



Powieść w ałtówce

Natasha
Solomons



Solomons Natasha

Powieść w altówce

Latem 1938 roku Elise Landau przybywa do Tyneford, wspaniałego majątku nad zatoką. Młodziutka dziewczyna z Wiednia, zmuszona do poszukania pracy pokojówki, nie wie o Anglii nic. Kiedy reszta służby poleruje srebra i podaje drinki, ona nosi perły matki pod uniformem subretki i wywołuje skandal, tańcząc z chłopcem zwanym Kit. Ale nadchodzi wojna i świat się zmienia. A Elisie uczy się, że można być więcej niż jedną osobą. I kochać więcej niż jeden raz.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Garść ogólnych informacji o czworonogach

Kiedy zamykam oczy, widzę Tyneford. W ciemnościach, gdy kładę się spać, widzę wapienny fronton w blasku późnego popołudnia. Słońce odbija się w górnych oknach, powietrze jest ciężkie od zapachu magnolii i soli. Bluszcz oplata łuk portyku, a sroka dziobie porosty oblepiające wapienne dachówki. Z jednego z wielkich kominów sączy się dym, majowo szmaragdowe liście w lipowej alei rzucają cętkowane cienie na podjazd. Żaden chwast się jeszcze nie przedziera przez rabatki z lawendą i tymiankiem, murawa, króciutko przycięta i aksamitna, roztacza się soczyście zielonymi pasami. Starego ogrodowego muru nie znaczą jeszcze dziury po pociskach, w szeroko otwartych oknach salonu tkwią szyby, jeszcze niestrzaskane przez artyleryjski ostrzał. Widzę dom taki, jaki ukazał się moim oczom tego pierwszego popołudnia.

W zasięgu wzroku nie ma żywej duszy. Słyszę podzwanianie przygotowywanej tacy z drinkami, wazon różowych kamelii stoi na stole na tarasie. A w zatoce łódzie rybackie z szeroko zarzuconymi sieciami podskakują na falach wśród plusku wody obmywającej drewniane kadłuby. Jeszcze nas nie wygnano. Domki na plaży jeszcze nie leżą w gruzach, leszczyna i tarnina nie porosły jeszcze kamiennych podłóg chałup w wiosce. Jeszcze nie oddaliśmy Tyneford na pastwę karabinów, czołgów, ptaków i duchów.

Od jakiegoś czasu łapię się na tym, że coraz więcej zapominam. Póki co, nic ważnego. Rozmawiałam niedawno przez telefon i gdy tylko odłożyłam słuchawkę, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, z kim i co powiedział. Prawdopodobnie przypomnę sobie później, gdy będę leżała w kąpielni. Bywa, że inne kwestie też mi ulatują; nazwy ptaków już nie tkwią gotowe na końcu języka i ze wstydem przyznaję, że nie mogę sobie przypomnieć, gdzie w tym roku posadziłam cebulki żonkili. Jednak, choć lata zacierają inne wspomnienia, Tyneford trwa -niczym gładki kamyczek pamięci. Tyneford. Tyneford. Może jeśli wypowiem nazwę majątku wystarczająco wiele razy, uda mi się do niego powrócić. Każde lato było tam długie, niebieskie i gorące. Pamiętam je wszystkie, a przynajmniej tak mi się zdaje. Mam wrażenie, jakby dopiero co minęły. Tak często odtwarzałam w myślach spędzone tam chwile, że w każdej słyszę własny głos. Teraz, kiedy je spisuję, wydają się niewzruszone, kompletne. Na stronach znowu żyjemy, młodzi i nieświadomi, wszystko dopiero ma się wydarzyć.

Kiedy otrzymałam list, który przywiódł mnie do Tyneford, nie wiedziałam o Anglii nic poza tym, że mi się nie spodoba. Tego ranka siedziałam na swoim zwykłym miejscu obok ociekacza w kuchni, po której krzątała się Hildegarda z rękoma uwalanymi mąką aż po łokcie i jedną brwią śniegowobiałą. Zaśmiałam się, a ona trzepnęła mnie ścierką do naczyń, wytrącając mi z ręki na podłogę kromkę chleba.

- *Gut.* Ciut mniej pieczywa i masła ci nie zaszkodzi.

Rzuciłam jej gniewne spojrzenie i strząsnęłam okruszki na linoleum. Żałowałam, że nie wdałam się bardziej w Annę. Od trosk jeszcze bardziej zeszczupiała. Oczy sprawiały wrażenie ogromnych na tle bladej twarzy i nigdy jeszcze nie przypominała tak bardzo bohaterki oper, które grała. Była już gwiazdą,

kiedy poślubiła mojego ojca - czarnooką piękną z głosem jak wiśnie w czekoladzie, diwą z prawdziwego zdarzenia. Kiedy otwierała usta i zaczynała śpiewać, czas zamierał, a wszyscy słuchali, pławiąc się w dźwiękach, niepewni czy to, co słyszą, jest prawdą czy figlem wyobraźni. Kiedy sytuacja zrobiła się ciężka, z Wenecji i Paryża zaczęły napływać listy od tenorów i dyrygentów. A nawet jeden od kontrabasu. Wszystkie brzmiały tak samo: *Droga Anno, uciekaj z Wiednia i przyjeżdżaj do Paryża/ Londynu/ Nowego Jorku, a zapewnię ci bezpieczeństwo...* Oczywiście nigdy nie ruszyłyby się z miejsca bez mojego ojca. Albo mnie. Czy Margot. Ja wyjechałabym w okamgnieniu: spakowała suknie balowe (gdybym jakiegoś miała) i czmychnęła popijać szampana na Champs Elysees. Ale do mnie listy nie przychodziły. Nawet marny bilecik od drugich skrzypiec. Zatem zajadałam się bułkami z masłem, a Hildegarda poszerzała mi sukienki w pasie małymi kawałkami elastycznego materiału.

- Chodź. - Przegoniła mnie z blatu na środek kuchni, gdzie na stole spoczywało wielkie, oproszone mąką tomiszczce. - Musisz się wprawiać. Co przygotowujemy?

Anna wypatrzyła tę cegłę w jakimś antykwariacie i wręczyła mi ją z rumieńcem dumy. Było to *Vademecum pani domu* pióra pani Beeton - dobry kilogram porad, dzięki którym miałam się nauczyć gotować, sprzątać i zachowywać. Taki niepiękny los mnie czekał.

Pogryzając warkocz, trąciłam tom, tak by się otworzył na spisie treści: „Garść ogólnych informacji na temat czworonogów... zupa z głowizny cielecej... węgorz w cieście”. Wzruszyłam ramionami.

- To. - Pokazałam na przepis figurujący w połowie strony. - Pasztet. Powinnam umieć zrobić pasztet. Napisałam, że umiem.

Miesiąc wcześniej Anna zabrała mnie na pocztę, żebym nadała telegram do działu ogłoszeń londyńskiego „Timesa”. Włókłam się za nią noga za nogą, kopiąc wilgotne kupki opadłego kwiecia, które zaścielało chodnik.

- Nie chcę jechać do Anglii. Pojadę do Ameryki z tobą i tatą. Rodzice liczyli, że uda im się uciec do Nowego Jorku, władze

Metropolitan Opera obiecały pomóc w załatwieniu wiz, jeśli tylko Anna zgodzi się u nich śpiewać. Przyspieszyła kroku.

- I pojedziesz. Ale teraz nie jesteśmy w stanie zdobyć dla ciebie amerykańskiej wizy. - Przystanąła na środku ulicy i ujęła moją twarz w dłonie. - Przysięgam, że zanim jeszcze obejrzę buty w Bergdorfie Goldmanie, zobaczę się z prawnikiem w sprawie ściągnięcia cię do Nowego Jorku.

- Zanim obejrzysz buty w Bergdorfie?

- Słowo.

Anna miała maleńkie stopki i ogromne zamiłowanie do obuwia. Wprawdzie jej pierwszą miłością była muzyka, ale buty bez wątpienia drugą. W szafie trzymała niezliczone rzędy eleganckich szpilek z różowej, szarej, lakierowanej i cielejącej skóry oraz zamszu. Zakpiła z siebie, żeby mnie udobruchać.

- Pozwól mi przynajmniej rzucić okiem na swoje ogłoszenie - poprosiła.

Przed poznaniem ojca śpiewała jeden sezon w Covent Garden i mówiła niemal perfekcyjną angielszczyzną.

- Nie. - Wyrwałam jej kartkę. - Jeśli mój angielski jest tak fatalny, że będą mnie chcieli tylko w jakiejś oberży, sama jestem sobie winna.

Anna starała się stłumić śmiech.

- Kochanie, czy ty chociaż wiesz, co to jest oberża? Oczywiście nie miałam pojęcia, ale nie mogłam jej tego po-

wiedzieć. Mgliście wyobrażałam sobie uchodźców, takich jak ja, na zmianę padających bez przytomności na wyściełane sofy. Oburzona kpinami kazałam jej poczekać przed pocztą, kiedy nadawałam telegram:

Wiedienka żydowskiego pochodzenia, lat 19, szuka posady pokojówki. Mówię ciekłe po angielsku. Narobię wam pasztetu. Elise Landau, Wiedeń 4, Dorotheegasse 30/5.

Hildegarda spiorunowała mnie wzrokiem.

- Elise Roso Landau, nie mam dziś w spiżarni dość mięsa na pasztet, więc bądź łaskawa wybrać coś innego.

Miałam właśnie zdecydować się na papużki w cieście, żeby ją rozjuszyć, kiedy do kuchni weszli rodzice. Ojciec trzymał w dłoni kopertę. Był wysoki, miał metr osiemdziesiąt dwa bez kapelusza, gęste czarne włosy z kapką siwizny na skroniach i oczy lazurowe jak letnie morze. Oboje z Anną stanowili żywy dowód na to, że piękni ludzie niekoniecznie produkują piękne dzieci: ona, ze swoim delikatnym blond powabem, i Julian, tak przystojny, że zawsze nosił okulary w drucianych oprawkach, żeby zmniejszyć siłę rażenia tych zbyt niebieskich oczu (kiedyś, gdy się kąpał, założyłam je i odkryłam, że soczewki są niemal zerowe). Jakimś cudem jednak wydali na świat właśnie mnie. Przez lata cioteczne babki gruchały: „Och, poczekajcie tylko, niech no podrośnie i rozkwitnie! Ani się obejrzymy, a skończy dwanaście lat, zakarbujcie moje słowa, i będzie z niej czysta matka”. Owszem, bywałam czysta, ale matki zupełnie nie przypominałam. Dwunaste urodziny nadeszły i minęły. Babki wytrzymały do szesnastych. Rozkwitu jak nie było, tak nie było. Kiedy dobiłam do dziewiętnastki, nawet Gabrielle, najbardziej optymistyczna z nich wszystkich, zarzuciła nadzieję. Teraz zdobywały

się na co najwyżej: „Ma swój urok. I charakter”. Czy ten ostatni jest dobry czy nie, nigdy nie precyzowały.

Anna czaiła się za Julianem, mrugając i przesuając różowym koniuszkiem języka po dolnej wardze. Stałam prosto i skupiłam uwagę na kopercie w dłoni ojca.

- Z Anglii - powiedział i wyciągnął list w moją stronę. Wzięłam ją i z umyślną powolnością, świadoma, że cała trójka

mnie obserwuje, wsunęłam nóż do masła pod miejsce sklejenia. Wyciągnęłam kremowy arkusz papieru z filigranem, rozłożyłam i wygładziłam zagięcia. Zaczęłam nieśpiesznie przebiegać go wzrokiem w milczeniu. Znosili to przez jakąś minutę, w końcu Julian nie wytrzymał.

- Na miłość boską, Elise, co tam jest napisane? Spojrzałam na niego bykiem. Bardzo często patrzyłam wówczas bykiem. Nie przejął się, więc odczytałam:

Szanowna Fraulein Landau!

Pan Rivers polecił mi napisać do Pani i poinformować, że jeśli nadal jest Pani zainteresowana, czeka na Panią posada pokojówki w rezydencji Tyneford. Zgodził się podpisać wszystkie oświadczenia konieczne do podania o wizę, pod warunkiem że zostanie Pani u nas co najmniej dwanaście miesięcy. Jeśli chce Pani przyjąć posadę, proszę o potwierdzenie telegramem albo listem zwrotnym. Po przyjeździe do Londynu uda się Pani do agencji Mayfair na Audley Street W1, która zorganizuje Pani przejazd do Tyneford.

Z poważaniem Florence Ellsworth ochmistrzyni, dwór Tyneford

Opuściłam list.

- Ale dwanaście miesięcy to za długo. Przecież wtedy mam być już w Nowym Jorku, tatusiu.

Rodzice wymienili spojrzenia i Anna odpowiedziała:

- Kochana Faselko, mam nadzieję, że będziesz za pół roku w Nowym Jorku. Ale do tego czasu musisz jechać tam, gdzie jest bezpiecznie.

Julian pociągnął mnie za warkocz w geście swawolnej czułości.

- Nie wyjedziemy do Nowego Jorku, dopóki nie będziemy pewni, że nic ci nie grozi. Sprowadzimy cię, gdy tylko dotrzemy do Metropolitan Opera.

- Podejrzewam, że za późno już na naukę śpiewu w moim przypadku?

Anna tylko się uśmiechnęła. Zatem to prawda. Mieliśmy się rozstać. Aż do tej chwili ta perspektywa nie wydawała się realna. Niby napisałam ten telegram, nawet go nadałam, ale przez cały czas miałam wrażenie, że to tylko taka zabawa. Wiedziałam, że sytuacja w Wiedniu nie przedstawia się dla nas różowo. Słyszałam opowieści o kobietach wyciąganych ze sklepów za włosy i zapędzanych do szorowania bruku. Frau Goldsmith musiała zetrzeć z rynsztoka psie fekalia swoją etolą z norek. Podśledzałam, jak po wszystkim zwierzała się Annie: siedziała skulona na sofie w salonie, podzwaniając porcelanową filiżanką o spodeczek w rozdygotanych dłoniach, gdy opowiadała o przeżytej gehennie. „Najzabawniejsze, że nigdy nie lubiłam tego futra. To był prezent od Hermana i nosiłam je tylko, żeby sprawić mu przyjemność. Było zbyt ciepłe i w kolorze jego matki, nie moim. Nigdy się nie nauczyłam... Ale żeby zniszczyć je w ten sposób?” Wydawało się, że bardziej ją nęka strata etoli niż własne upokorzenie. Zanim wyszła, zobaczyłam, jak Anna ukrad-

kiem wsadza jej do torby na zakupy piękny szal z polarnych zajęcy.

Świadectwa ciężkich czasów rzucały się w oczy w całym mieszkaniu. Na podłodze w salonie, gdzie wcześniej stał fortepian koncertowy Anny, widniały zadrapania. Wart niemal trzysta marek był prezentem od jednego z dyrygentów z La Scali. Pojawił się w naszym mieszkaniu kiedyś wiosną, zanim jeszcze ja i Margot przyszłyśmy na świat, ale wiedziałyśmy, że Julian krzywo patrzy na zagracającą mu dom pamiątkę po byłym kochanku żony. Trzeba było ją wciągnąć z pomocą dźwigu przez okna jadalni, z których wcześniej specjalnie usunięto szyby -jakże żałowałyśmy z Margot, że nie dane nam było oglądać owego wspaniałego spektaklu latającego fortepianu. Od czasu do czasu, kiedy między rodzicami wybuchały rzadkie sprzeczki, ojciec mruczał pod nosem: „Dlaczego nie możesz mieć pudełka z listami miłosnymi albo albumu na zdjęcia jak inne kobiety? Czemu akurat ten wielgaśny fortepian koncertowy? Mężczyzna nie powinien co rusz się nadziewać na dowód uczucia swojego rywala”. Anna, tak delikatna w niemal wszystkich sprawach, w kwestii muzyki pozostawała niewzruszona. Zakładała ręce na piersiach, prostowała się na swoje całe metr pięćdziesiąt i oznajmiała: „Jeśli nie chcesz wyrzucić trzystu marek na drugi i znowu zdemolować jadalni, fortepian zostaje”. I został aż do dnia, kiedy wróciwszy do domu po załatwieniu zmyślonych naprędce przez Annę sprawunków, zobaczyłam, że zniknął. Przez cały parkiet biegły głębokie rysy, a z sąsiedniego mieszkania dolatywał raniący uszy odgłos uczącego się grać antytalentu. Anna sprzedała ukochany instrument za ułamek jego prawdziwej wartości kobiecie mieszkającej po drugiej stronie korytarza. Od tamtej pory zawsze o szóstej wieczór słyszeliśmy brzęk niekończących się topornych gam, kiedy jej nękanego trądzikiem

syna zmuszano do ćwiczeń. Wyobrażałam sobie, że fortepian najchętniej wzniosłby lament nad tym, jak się z nim obchodzą, i usycha z tęsknoty za dotykiem Anny, ale jest sparaliżowany szpetotą własnego dźwięku. Jego bogate, ciemne tony kiedyś mieszały się z jej głosem jak śmietanka z kawą. Po tej niechlubnej banicji Anna zawsze o osiemnastej znajdowała jakiś powód do opuszczenia mieszkania - a to zapomniała kupić ziemniaków (choć spiżarnia był ich pełna), a to musiała nadać pilny list albo opatrzyć nagniotki Frau Finkelstein.

Pomimo zniknięcia fortepianu i obrazów ze ścian, pomimo zniszczonych futer oraz wydalenia Margot z konserwatorium z powodów rasistowskich i odchodzenia kolejnych młodych służących, tak że w końcu została już nam tylko Hildegarda, aż do tej chwili tak naprawdę nie myślałam, że będę musiała wyjechać z Wiednia. Kochałam to miasto. Było w takim samym stopniu członkiem rodziny jak Anna czy cioteczne babki Gretta, Gerda i Gabrielle. To prawda, działy się dziwne rzeczy, ale miałam wtedy dziewiętnaście lat, żadne potworności nie dotknęły mnie osobiście i, obdarzona niezachwianym optymizmem, w głębi duszy święcie wierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Kiedy jednak stałam tam w kuchni i obserwowałam twarz Juliana, jego smutny półuśmiech, po raz pierwszy w życiu dotarło do mnie, że nic nie będzie dobrze, że nic się nie ułoży. Będę musiała opuścić Austrię, Annę i mieszkanie na Dorotheegasse z jego wysokimi otwieranymi pionowo oknami wychodzącymi na topole, które jarzyły się różowym ogniem, kiedy słońce się za nie chowało, i chłopca ze sklepiku, który pojawiał się w każdym wtorek, krzycząc: „*Eis! Eis!*”. I blad różowe zasłony w mojej sypialni, których nigdy nie zaciągałam, żeby widzieć żółtą poświatę latarni i podwójne światła tramwajów niżej. Będę musiała opuścić szkarłatne tulipany w parku w kwietniu i białe suknie

wirujące na balu w Operze, i dłonie w rękawiczkach składające się do oklasków, kiedy Anna śpiewała, a Julian ocierał łzy dumy haftowaną chusteczką, i lody o północy na balkonie w sierpniowe noce, i opalanie się z Margot na leżakach w paski w parku przy dobiegających z estrady dźwiękach trąbek, i Margot przypalającą kolację, i Roberta mówiącego ze śmiechem, że to nic takiego, i nas jedzących jabłka i smażony ser zamiast, i Annę pokazującą mi, jak nakładać bez rozrywania jedwabne pończochy za pomocą giemzowych rękawiczek i...

- I usiądź, napij się wody.

Matka podała mi szklanę, a Julian wsunął pode mnie drewniane krzeselko. Nawet Hildegarda wyglądała na zdenerwowaną.

- Musisz jechać - oświadczyła Anna.

- Wiem - powiedziałam i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że moje wspaniałe, przedłużające się dzieciństwo dobiega właśnie końca.

Wpatrywałam się w Annę z przyprawiającym o ciarki poczuciem, że czas wznosi się i opada jak huśtawka. Zapamiętałam każdy szczegół: maleńką zmarszczkę na środku jej czoła, która się pojawiała zawsze w chwilach zdenerwowania, Juliana obok, trzymającego dłoń na jej ramieniu, szary jedwab bluzki. Niebieskie kafelki nad zlewem. Hildegardę wyżymającą ścierkę.

Tamta Elise, dziewczyna, którą wtedy byłam, uznałaby mnie za starą, ale się myli. Nadal nią jestem. Nadal stoję w kuchni z listem w dłoni, obserwuję bliskich i czekam, i wiem, że wszystko musi się zmienić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Śpiewająca w kąpieli

Wspomnienia nie trzymają się linii czasu. W mojej głowie wszystko dzieje się w jednej chwili. Anna całuje mnie na dobranoc i układa w dzieciennym łóżeczku, gdy ktoś inny czesze mi włosy na ślub Margot, który teraz odbywa się w ogrodzie w Tyneford, gdzie chodzę boso po trawie. Jestem w Wiedniu i czekam, aż listy od rodziców nadejdą do Dorset. Chronologia przedstawiona na tych stronach przywoływana jest nie bez wysiłku.

W snach jestem młoda. Twarz, jaką widzę potem w lustrze, zawsze mnie zaskakuje. Przyglądam się eleganckim siwym włosom, ładnie ułożonym, naturalnie, i oczom z oznakami zmęczenia, które nigdy nie znikają. Wiem, że to moja twarz, a mimo to, gdy widzę swoje odbicie następnym razem, znowu jestem zdziwiona. O, chyba zapomniałam, że tak wyglądam. W tym błogim okresie, kiedy mieszkałam w *bel-etage*, byłam beniaminkiem całej rodziny. Wszyscy mnie rozpieszczali: Margot, Julian, a najbardziej Anna. Byłam ich oczkiem w głowie, ich *liebling*, które należało niańczyć i podziwiać. Nie miałam żadnych wyjątkowych zdolności, jak reszta rodziny. Śpiewałam fatalnie. Grałam wprawdzie na pianinie i altówce, ale bez porównania słabiej od Margot, która odziedziczyła cały talent mamy. Jej mąż, Robert, zakochał się w niej, nim zamienili pierwsze słowo, kiedy słuchał jej partii altówki w *Utworach fantastycznych* Schumanna.

Mówił, że odmalowała muzyką burze z piorunami, falujące w deszczu pola pszeniczne i dziewczęta o włosach niebieskich jak morze. Mówił, że nigdy jeszcze nie patrzył na świat oczyma kogoś innego. Margot postanowiła w zamian też go pokochać i pobrali się po sześciu tygodniach. To wszystko było obrzydliwie ckliwe, a ja pewnie byłabym nieznośnie zazdrosna, gdyby nie fakt, że Robert nie miał za grosz poczucia humoru. Nigdy się nie śmiał z moich dowcipów - nawet tego o rabbim, krześle w jadalni i orzechu - zatem ewidentnie był ułomny. Szansa, że jakikolwiek mężczyzna straci głowę dla moich muzycznych dokonań, była raczej mało prawdopodobna, ale bezwzględnie musiał umieć się śmiać.

Nosiłam się z myślą o zajęciu się literaturą jak Julian, jednak w przeciwieństwie do niego nigdy nie napisałam niczego poza listą chłopców, którzy mi się podobali. Kiedyś, obserwując, jak Hildegarda grubymi czerwonymi palcami nakłada peklowane mięso mielone na liście kapusty, uznałam, że to wspaniały temat na wiersz. Ale nie wyszłam poza tę konstatację. Byłam pulchna, podczas gdy pozostali członkowie rodziny byli szczupli. Mieli piękne figury i wydatne kości policzkowe. Ja miałam wydatne tylko kostki u nóg, a jedyną piękną cechą, jaką odziedziczyłam, były czarne włosy Juliana, które zwieszały mi się grubym jak pyton warkoczem aż do majtek. Ale i tak mnie kochali. Anna tolerowała moje dziecinne zachowania i mogłam stroić fochy, wypadać ze złością do swojego pokoju i mazać się nad bajkami, z których już dawno powinnam wyrosnąć. Moje niekończące się dzieciństwo sprawiało, że czuła się młodo. Mając taką dziecinną córeczkę, nawet sama przed sobą nie przyznawała się do swoich czterdziestu pięciu lat.

Nadejście listu to wszystko zmieniło. Musiałam wyjechać sama w wielki świat i w końcu dorosnąć. Reszta rodziny trakto-

wała mnie tak jak przedtem, ale wyczuwałam w ich zachowaniu nienaturalność, jakby wiedzieli, że jestem chora, i bardzo się starali nie dać niczego po sobie poznać. Anna nadal uśmiechała się dobrotliwie z moich dąsów, podsuwała mi najgrubsze kawałki ciasta i dodawała swoich najlepszych lawendowych soli do mojej kąpieli. Margot nadal się ze mną kłóciła i brała moje książki bez pytania, ale wiedziałam, że tylko na pokaz. Nie wkładała serca w sprzeczki, piekliła się bez przekonania i podkradała jedynie te powieści, które już czytałam. Tylko Hildegarda zachowywała się inaczej. Przestała mnie besztać i teraz, kiedy było to prawdopodobnie sprawą najbardziej nagłą, zarzuciła próby wtłoczenia mi do głowy pani Beeton. Zwraçała się do mnie per „Fraulein Elise”, choć od drugiego roku życia aż do teraz byłam dla niej po prostu Elise albo krzyżem pańskim, względnie jej utrapieniem. Jednak ta nagła oficjalna forma nie płynęła z szacunku dla jakiejś mojej nowo odkrytej godności. To była litość. Podejrzewałam, że chce dać mi odczuć moją pozycję i status, wiedząc, jakie upokorzenia czekają mnie w najbliższych miesiącach, ale osobiście wołałabym, żeby nadal nazywała mnie Elise, nacierała mi uszu i groziła, że znowu przesoli moją kolację. Zostawiałam okruszki po herbatnikach na nocnej szafce w jawnym pogwałceniu jej zasady „żadnych herbatników w sypialni”, jednak nic nie mówiła, tylko dygała nieznacznie (cała się wtedy w środku zwijałam) i odchodziła do kuchni ze zranioną miną.

Mijały dni. Miałam wrażenie, że biegną coraz szybciej niczym malowane koniki na karuzeli. Usiłowałam spowolnić czas. Koncentrowałam się na tykaniu zegara w holu, starając się wydłużyć ciszę między uderzeniami drugiej wskazówki. Oczywiście, to nie działało. Moja wiza przyszła pocztą. Tik-tak. Anna zabrała mnie po odbiór paszportu. Tik-tak. Julian udał się do innego urzędu, żeby opłacić mój podatek wyjazdowy, a po po-

wrocie zaszył się w swoim gabinecie bez słowa, za to z karafką burgunda. Tik-tak. Zapakowałam do kufra podróżnego morze jedwabnych pończoch, a Hildegarda dorobiła we wszystkich moich sukienkach ukryte kieszenie, żeby schować zakazane kosztowności, i pozaszywała piękne złote naszyjniki wzdłuż szwów. Anna i Margot towarzyszyły mi w wizytach u ciotecznych babek, gdzie jadłam miodowniki i żegnałam się, obiecując, że spotkamy się znowu, gdy to wszystko się już przewali. Tik-tak. Staralam się nie zmrużyć oka w nocy, tak by rano nadszedł wolniej i żeby miał więcej cennych chwil w Wiedniu. Zasnęłam. Tik-tak-tik-tak i następny dzień minął. Zdjęłam zdjęcia ze ścian sypialni, wetknęłam nóż pod obicie wieka kufra i wsunęłam tam rycinę Pałacu Belwederskiego, sygnowane programy balu w Operze i fotografie wykonane na ślubie Margot: ja w muślinowej haftowanej w listki sukni, Julian we fraku i Anna, która włożyła bezkształtną czerń, by nie przyćmić panny młodej, a mimo to nadal wyglądała piękniej niż którakolwiek z nas. Tik-tak. Bagaze zniesiono do holu. Tik-tak. Moja ostatnia noc w Wiedniu. Zegar w korytarzu wybił godzinę: szósta, pora się ubierać na bal.

Zamiast udać się do swojego pokoju, pożeglowałam do gabinetu Juliana. Siedział przy biurku i coś tam bazgrał piórem zaciśniętym w lewej dłoni. Nie wiedziałam co. Żadna oficyna w Austrii nie wydawała już jego książek. Zastanawiałam się, czy następną powieść napisze po angielsku.

- Tato?

- Tak, Fasolko.

- Obiecuj, że sprowadzisz mnie zaraz po przyjeździe na miejsce. Przestał pisać i odsunął krzesło. Wciągnął mnie na kolana, jakbym miała dziewięć lat, a nie dziewiętnaście, i przycisnął do siebie, chowając twarz w moich włosach. Poczulałam świeżą woń mydła do golenia i zapach dymu cygara, którym zawsze pach-

niał. Oparłam podbródek na jego ramieniu i zobaczyłam, że karafka z burgundem stoi na biurku, znowu pusta.

- Nie zapomnę o tobie, Faselko - rzucił głosem stłumionym przez płataninę moich włosów. Uścisnął mnie tak mocno, że aż mi zebra zatrzeszczały, potem z cichym westchnieniem puścił. -Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła, kochanie.

Zsunęłam się z jego kolan i patrzyłam, jak idzie w kąt pokoju, gdzie, oparty o ścianę naprzeciwko, stał czarny futerał. Podniósł go, położył na biurku i otworzył z kliknięciem.

- Pamiętasz tę altówkę?

- Tak, oczywiście.

Brałam na niej swoje pierwsze lekcje muzyki, jeszcze zanim Margot zaczęła. Ona ćwiczyła na fortepianie w salonie, a ja stałam w tym pokoju (zaszczyt, który miał mnie zachęcić do ćwiczeń), a altówka kwiliła i zgrzytała. Nawet lubiłam tak rzępolić, dopóki pewnego dnia Margot nie zakradła się do gabinetu i nie wzięła do rąk smyczka. Przeciągnęła nim po strunach i instrument ożył. Palisander po raz pierwszy zaśpiewał, muzyka popłynęła lekko niczym wiatr muskający tafłę Dunaju. Wszyscy się zbiegliśmy, żeby posłuchać, ściągnięci dźwiękiem niczym pieśnią syreny. Anna, z wilgotnymi i błyszczącymi oczyma, zacisnęła dłoń na ramieniu Juliana, Hildegarda ocierała powieki ściereczką do kurzu, a ja czaiłam się w wejściu, czując podziw dla siostry i taką zazdrość, że zrobiło mi się niedobrze. Miesiąc nie minął, kiedy wezwano do Margot najlepszych nauczycieli muzyki w Wiedniu. Ja nigdy już nie zagrałam.

- Chcę, żebyś zabrała ją ze sobą do Anglii - oznajmił Julian.

- Ale przecież już jej nie używam. Poza tym należy do Margot.

Julian pokręcił głową.

- Nie grała na staruszcze od wieków. Zresztą się nie da. Spróbuj.

Już miałam odmówić, ale w wyrazie jego twarzy było coś dziwnego, więc sięgnęłam po instrument. Zaciążył mi w dłoniach, jakby w pudle tkwił jakiś balast. Patrząc na ojca, ułożyłam altówkę pod podbródkiem, sięgnęłam po smyczek i przeciągnęłam nim wolno po strunach. Rozległ się stłumiony, dziwny dźwięk, jakbym umieściła tłumik pod mostkiem. Opuściłam instrument i popatrzyłam na Juliana. Na ustach błąkał mu się półuśmiech.

- Co jest w środku, tatusiu?

- Powieść. Moja powieść.

Zajrzałam do wnętrza przez otwory rezonansowe w kształcie litery f wycięte w wierzchniej płycie pudła i zorientowałam się, że całe jest wypchane żółtym papierem.

- Jak zdołałeś wsadzić te wszystkie kartki do środka? Wygięcie warg przeszło w pełny uśmiech.

- Poszedłem do lutnika. Odkleił nad parą wierzch, wsadziłem powieść do środka, a on z powrotem skleił pudło. - Mówił z dumą, chętnie wyznając tajemnicę, potem jego twarz znowu stała się poważna. - Chcę, żebyś zabrała ją do Anglii na przechowanie.

Julian zawsze pisał drobnym, pełnym zawijasów maczkiem przez kalkę, tak że na stronach pod spodem powstała równoległe powieść-cień. Egzemplarz spisany na białym papierze z filigranem wysyłał do wydawcy, a kopia na marnej żółtej bibule wędrowała do zamkniętej szuflady. Potwornie się bał, że straci dzieło, i mahoniowe biurko kryło ogromny skarb ze słów. Nigdy wcześniej nie pozwolił, by któraś kopia opuściła gabinet.

- Wezmę rękopis ze sobą do Nowego Jorku. Ale chcę, żebyś drugi egzemplarz zabrała do Anglii, na wszelki wypadek.

- Dobrze. Ale oddam ci go w Ameryce i będziesz mógł go znowu zamknąć w biurku.

Zegar w holu wybił pół godziny.

- Pora się przebrać, małeńka - oznajmił Julian, wyciskając mi na czole całusa. - Goście zaraz będą.

To była pierwsza noc Paschy i Anna urządziła przyjęcie z szampanem i tańcami, takie jakie wydawaliśmy, zanim nadeszły złe czasy. Płacz został stanowczo zakazany. Margot przyszła wcześniej, żeby się ubrać, i siedziałyśmy w szlafrokach w dużej łazience matki, z twarzami zaczerwienionymi od pary. Anna nasypała do wanny płatków róż i umieściła świeczniki obok lustra przy umywalni, tak jak robiła w wieczór balu w Operze. Leżała w wannie z włosami upiętymi na czubku głowy, kreśląc palcami wzory na wodzie.

- Zadzwon na Hildegardę, Margot. Poproś, żeby przyniosła butelkę Laurent-Perrier i trzy kieliszki.

Margot wykonała polecenie i wkrótce siedziałyśmy, sącząc szampana. Każda z nas udawała rozradowanie z myślą o dwóch pozostałych. Wzięłam łyk i poczułam pieczenie wzbierającego w gardle szłochu. Żadnych łez, upomniałam się i przełknęłam, krztusząc się bąbelkami.

- Uważaj - rzuciła Anna ze zbyt piskliwym chichotem, w którym pobrzmiwał ton fałszywej wesołości.

Zastanawiałam się, ile butelek wina i szampana nam zostało. Wiedziałam, że Julian sprzedał co lepsze. Wszystkie wartościowe czy kosztowne przedmioty podlegały konfiskacie, rozsądniej

było zawczasu je spieniężyć. Margot wachlowała się pismem, potem rzuciła je na bok i otworzyła okno, żeby wpuścić zimny powiew nocnego powietrza. Patrzyłam, jak para wypływa powoli na zewnątrz, wydyma się firanka z gazy.

- No to opowiedz mi o tym wydziale w Kalifornii. - Anna oparła się o wannę i zamknęła oczy.

Margot opadła na bujany fotel z wikliny i rozwiązała szlafrok, ukazując biały koronkowy gorset i majtki od kompletu. Byłam ciekawa, jak się Robertowi widzi taka wspaniała bielizna, i natychmiast ogarnęła mnie zazdrość. Nikt nigdy nie przejawiał śladu zainteresowania oglądaniem mnie w dessous. We właściwym oświetleniu Robert prezentował się całkiem atrakcyjnie, choć zawsze za bardzo się ożywiał, kiedy opowiadał o swoich gwiazdnych projektach na uniwersytecie. Kiedyś ciężko go uraziłam, przedstawiając na jednym z przyjęć jako „mojego szwagra, astrologa” zamiast „astronoma”. Spiorunował mnie wyniosłym wzrokiem i spytał:

- Czyja noszę niebieską chustę na głowie i wiszące kolczyki albo proszę cię, żebyś zakreśliła srebrną monetą krzyż na mojej dłoni, zanim ci powiem, że przy Wenus w retrogradacji widzę przystojnego nieznajomego w twojej przyszłości?

- Nie. A szkoda - odparowałam i w konsekwencji nigdy mi tego tak naprawdę nie wybaczył - niestety, bo wcześniej dawał mi czasem pociągnąć swoje cygaro.

- Uniwersytet Berkeley jest ponoć bardzo dobry - mówiła Margot. - Są zachwyceni Robertem. Bardzo się cieszą, że do nich dołącza. I tak dalej.

- A ty? Będiesz grała? - spytała Anna.

Obie były takie same: czuły się jak ptaki w klatce, jeśli nie miały wokół siebie muzyki. Margot zapaliła papierosa i zobaczyłam, że ręka jej nieznacznie drży.

- Poszukam jakiegoś kwartetu.

- *Gut. Gut* - pokiwała głową Anna, zadowolona. Wzięłam kolejny łyk szampana, patrząc na siostrę i matkę.

Wiedziałam, że gdziekolwiek wylądują, nigdy nie będą samotne. W każdym mieście, do którego rzuci je los, odszukają najbliższą grupkę muzyków i na czas trwania sonaty, symfonii czy menueta będą się czuły jak w domu.

Patrzyłam na siostrę, jej długie kończyny i złote włosy Anny, które opadały wilgotnymi puklami na nagie ramiona. Siedziała rozwalona w wiklinowym fotelu w rozmamłanym szlafroku, popijając szampana i zaciągając się papierosem ze zblazowaną miną. Kropelki potu zraszały jej skórę. Uśmiechnęła się do mnie rozmarzonymi oczyma.

- Masz, Elsie, sztachnij się - pomachała trzymanym w palcach papierosem.

Odrzuciłam jej dłoń.

- Nie nazywaj mnie tak.

Nienawidziłam tego zdrobnienia. Brzmiało jak imię starej kobiety. Margot zaniósła się głębokim, dźwięcznym śmiechem i w tamtej chwili jej też nienawidziłam i cieszyłam się, że wyjeżdżam tak daleko. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby już nigdy jej nie oglądać. Wycofałam się do okna, w tych kłębach pary nie mogłam oddychać. Pomimo gorąca owinęłam się ciasno szlafrokiem, nie chcąc go w ich obecności zdejmować i świecić wielkimi białymi majtasami, pensjonarskim stanikiem i małą oponką dziecięcego tłuszczu, która opasywała mi talie.

Wyczuwając wiszącą w powietrzu sprzeczkę, Anna zrobiła jedyną rzecz, która mogła nas powstrzymać. Zaczęła śpiewać. Później tego wieczoru wystąpiła także przed przybyłymi gośćmi, naszyjnik z granatów na jej szyi drżał wtedy niczym krople krwi, ale to tamtą chwilę w łazience pamiętam. Kiedy myślę

o matce, widzę ją śpiewającą w kąpieli. Dźwięk wypełnił małe pomieszczenie, gęstszy od pary, a woda w wannie zaczęła wibrować. Bardziej czułam jej głos, niż go słyszałam. Głębokie tony mezzosopranu były we mnie w środku. Zamiast arii zaśpiewała melodię do *Für Elise*, pieśń bez słów, pieśń dla mnie.

Oparłam się o ramę okna, czując chłodne powietrze na plecach, a dźwięki lały się na moją skórę niczym deszcz. Kieliszek Margot spadł na podłogę, niepilnowany, szampan wylał się na posadzkę. Zobaczyłam, że drzwi się uchylily i Julian zastygł w wejściu, patrząc na naszą trójkę i słuchając. Złamał nakaz Anny obowiązujący tego wieczoru. Płakał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kieliszek słonej wody

Goście zaczęli się schodzić na przyjęcie. Specjalnie na ten wieczór wynajęto lokaja, który stał w korytarzu, odbierał płaszcze od dżentelmenów i pomagał damom uwolnić się od kapeluszy i futer. Pierwszy pojawił się Robert: przyszedł przed dwudziestą, więc spiorunowałam go wzrokiem na znak dezaprobaty. Zdaniem Anny przesadna punktualność była okropnym zwyczajem u gościa, choć ku mojej irytacji, gdy utyskiwałam na Roberta, powiedziała, że u członków rodziny czy kochanków jest dopuszczalna. Niektórzy biesiadnicy w ogóle nie przybyli. Tydzień wcześniej Anna wystosowała trzydzieści zaproszeń. Ale ludzie zaczęli znikać, a ci, co zostali, uznali, że lepiej nie ściągać na siebie uwagi, żyć cicho i chodzić z pochyloną głową. Rozumieliśmy, że niektórzy woleli darować sobie wieczorek sestero-wy w domu sławnej żydowskiej śpiewaczki i jej awangardowego męża powieściopisarza. Anna i Julian nie skomentowali ich nieobecności. W milczeniu zmieniono nakrycia na stole.

Wszyscy zebraliśmy się w salonie. Ci, którzy zdecydowali się jednak pokazać, najwyraźniej jednomyślnie postanowili zabłysnąć toaletą. Doszli do wniosku, że skoro udział w przyjęciu u Landauów jest niebezpieczny, mogą przynajmniej rzucić wszystkich na kolana strojem. Mężczyźni prezentowali się bardzo szykownie we frakach. Panie przybyły w ciemnych fu-

trach albo nieefektywnych płaszczach do ziemi, ale kiedy wyłoniły się z tych wierzchnich osłonek, zobaczyliśmy, że pod spodem skrzą się niczym egzotyczne motyle. Margot włożyła suknię z mieniającego się jedwabiu barwy indygo, granatową jak letnia noc i usianą srebrnymi wyszywanymi gwiazdkami, migoczącymi przy każdym ruchu. Nawet tłusta Frau Finkelstein wbiła się w śliwkową toaletę z obcisłymi rękawami z gazy, które marszczyły się na jej białych, ziemistych ramionach, zaplecione w koronę siwe włosy przyozdobiła kwiatami wiśni. Niczym magik wyciągający królika z kapelusza Lily Roth dobyte z torebki pierzasty fascynator i kiedy przymocowała go do włosów, przedzierzgnęła się w rajskiego ptaka. Wszystkie damy miały na sobie całą biżuterię, jaką posiadały. W przeszłości bardzo uważaliśmy, by nie wyglądać zbyt krzykliwe, ekstrawagancko albo drobnomieszczaczo, ale teraz, gdy czuliśmy, że wszystko pochłania mrok, zachodziliśmy w głowę, jak w ogóle mogliśmy się przejmować czymś takim. Tego wieczoru chcieliśmy się bawić. Wiedzieliśmy, że nazajutrz będziemy musieli sprzedać rodowe klejnoty - diamentową broszkę babci w kształcie pajęczyny, złotą bransoletę wysadzaną rubinami i szafirami, od lat dawaną do gryzienia ząbkującym dzieciom, platynowe spinki do mankietów, które Herman dostał, kiedy został współnikiem w banku - więc tego wieczoru założyliśmy je wszystkie, żeby błyszczeć w poświacie księżyca.

Julian sęczył burgunda i słuchał opowieści Herr Finkelsteina, uśmiechając się lekko we wszystkich właściwych momentach. Znałam każdą na pamięć - tym razem staruszek perorował o tym, jak spotkał na koncercie barona Rothschilda, który wziął go za kogoś innego i skinął mu głową, a baronowa przechyliła kieliszek sherry: „I kto by pomyślał, że jest jakiś inny elegancik, równie łysy i okrągły jak ja. Muszę znaleźć tego sobowtóra

i uściskać mu dłoń". Przewróciłam oczyma, znudzona nawet na odległość. Julian mnie zobaczył i pokazał gestem, bym do nich dołączyła. Kiedy pokręciłam głową i odsunęłam się dalej, stłumił śmiech. Margot gawędziła z Frau Roth. Robert sterczał u jej boku, niezdolny do towarzyskich konwersacji. Potrafił rozmawiać tylko o swoich pasjach: astronomii, muzyce i Margot, tymczasem jedynym tematem rozmowy uznawanym przez Frau Roth było jej siedemnaścioro wnucząt. Miałam nadzieję, że nie będą siedzieli koło siebie w czasie obiadu.

Wiedziałam, że to ostatnie przyjęcie, na którym występuję w charakterze gościa. Obserwowałam bacznie lokaja w smokingu, jego obojętną twarz, i usiłowałam sobie wyobrazić siebie w takiej roli: jak dolewam do kieliszków i udaję, że nie słyszę prowadzonych rozmów. Żałowałam, że nigdy nie powiedziałam niczego wartego podsłuchiwania, gdy jeszcze miałam okazję. Próbowałam teraz zmusić się do refleksji - jakiegoś przenikliwego sądu na temat stanu narodu. Nie. Nic. Uśmiechnęłam się do lokaja w geście solidarności. Złapał moje spojrzenie, ale zamiast odpowiedzieć uśmiechem, przemknął szybko w moim kierunku.

- Fraulein? Jeszcze drinka?

Zerknęłam na pełen kieliszek w swojej dłoni.

- Nie. Dziękuję. Nie trzeba. Mam co pić.

Cień konfuzji pojawił się na jego twarzy - ewidentnie wezwałam go tylko dla zabawy. Spłonęłam, wymamrotałam przepraszam i wypadłam z salonu. Przystanęłam w korytarzu i przez chwilę nasłuchiwałam strzępów rozmów dolatujących z pokoju obok: „Ponoć Max Reinhardt wyjeżdża w przyszłym tygodniu do Nowego Jorku... Tak? Myślałem, że do Londynu”.

Zamknęłam oczy i próbowałam powstrzymać się od wsadzenia palców w uszy. Drzwi do kuchni były zamknięte na głucho,

ale nagle rozległa się zza nich seria brzęków, trzasków i kilka co barwniejszych przekleństw Hildegardy. Nikt, ani Rudolf Valentino, ani sam Mojżesz, nie zdołałby mnie namówić do wejścia tam w tamtej chwili.

Z miejsca, gdzie stałam, widziałam Margot i Roberta: szeptali w rogu i trzymali się za ręce. Wiedziałam z dobrego źródła, że publiczne flirtowanie z własnym mężem jest szczytem złych manier (oczywista, we flirtowaniu z małżonkiem kogoś innego nie było niczego zdrożnego), ale Anna ponownie poinformowała mnie, że uchodzi w ciągu roku od ślubu. Miałam nadzieję, że Margot zaznaczy w swoim terminarzu pierwszą rocznicę razem z adnotacją, żeby „przestać flirtować z Robertem”. Miała być już wtedy w Ameryce i z czymś na kształt żalu uświadomiłam sobie, że nie będę mogła osobiście jej upomnieć, żeby się zachowywała. Obiecałam sobie jednak, że do niej napiszę i oświecę ją w tej kwestii. Choć, dumalam, niewykluczone, że Amerykanie mają w tym względzie inne zasady, i zastanawiałam się, czy na to też powinnam ją uczulić. W tamtej chwili byłam nastawiona bardzo miłosiernie do siostry. Podczas większości przyjęć obserwowałam, jak mężczyźni obskakują Margot i Annę, ale tego wieczoru przyłapałam Jana Tibora na zerkaniu ukradkiem na mój biust i poczułam się równie atrakcyjna i dojrzała jak one. Wypięłam pierś w mroku korytarza i zatrzepotałam rzęsami, wyobrażając sobie, że jestem ciemnowłosą Marleną Dietrich, której nikt nie może się oprzeć.

- Kochanie, nie rób tego - powiedziała Anna, przystając obok. - Szwy mogą pęknąć.

Westchnęłam i wypuściłam powietrze. Moja różowa suknia-futerał należała swego czasu do matki, i choć Hildegarda poszerzyła ją maksymalnie, jak się dało, nadal piła mnie w boku.

- Ślicznie na tobie leży - oznajmiła Anna, uświadamiając

sobie, że jej wcześniejsza uwaga mogła mnie urazić. - Musisz ją ze sobą zabrać. Prychnęłam.

- Do zmywania statków? Czy ścierania kurzy? Zmieniła temat.

- Chcesz zadzwonić na obiad?

Robiło się to za pomocą maleńkiego srebrnego dzwonka, który ongiś należał do mojej babki, i według Margot, obdarzonej słuchem absolutnym, wydzwaniał „cis”. W dzieciństwie to była wielka frajda: wdziewałam odświętną sukienkę, czuwałam do późna i szłam zadzwonić na obiad. Potem stałam obok drzwi do jadalni i z powagą pozwalałam się całować na dobranoc gościom nadciągającym gęsiego na posiłek. Tego wieczoru, kiedy zadzwoniłam, przelatywały mi przed oczyma te wszystkie przyjęcia, a obok niekończący się sznur mijających mnie ludzi niczym wąż wijący się bez końca dokoła pokoju. Gawędzili głośno z twarzami zaróżowionymi od alkoholu i jak jeden mąż przestrzegali wydanego przez Annę nakazu wesołości.

Moja rodzina nie była za grosz religijna. Kiedy byłyśmy małe, Anna chciała, żebyśmy liznęły z Margot trochę naszego dziedzictwa, i przed zaśnięciem równie często co historie o *Piotrusiu i wilku* czy Mozarcie i Konstancji opowiadała nam przypowieści z Tory. W jej ustach Ewa miała powab Grety Garbo i wyobrażałyśmy sobie, jak wyleguje się w rajskim ogrodzie, z węzem kusząco udrapowanym na szyi i zakochanym Adamem (którego odgrywał Clark Gable) klęczącym u jej stóp. Opowieści biblijne miały dziką i nieprawdopodobną fabułę operowego libretta i obie z Margot chłonełyśmy je z entuzjazmem, gładko mieszając w myślach oba gatunki. Ewa wodziła Adama na pokuszenie ariami Carmen, a głos Boga bardzo przypominał brzmieniem baryton Figara z *Cyrulika sewilskiego*. Gdyby ktokolwiek kazał

Annie wybierać między muzyką a Wszechmogącym, z góry było wiadomo, kto wygra. Julian zaś, jak podejrzewałam, był ateistą. Nigdy nie chodziliśmy do okazałej ceglanej synagogi na Leopoldstadt, zajadaliśmy się sznycłami w niekoszernych restauracjach, obchodziliśmy Boże Narodzenie zamiast Chanuki i z dumą zaliczaliśmy się do nowej klasy austriackiej burżuazji. Byliśmy wiedeńskimi żydowskiego pochodzenia, ale aż do tej pory część wiedeńska zawsze szła pierwsza. Nawet kiedy Anna postanowiła, że będziemy obchodzić Pesach, miało to być w formie przyjęcia, z Margot w ślubnych szafirach i mną w perłach Anny.

Długi stół zaścielał biały obrus z monogramem, na którym stała zastawa z miśnieńskiej porcelany ze złożonym rąbkiem i leżały pozostałe nam jeszcze rodowe srebra, wypolerowane na błysk przez Hildegardę. Wszędzie dokoła migotały świece, na talerzykach dam spoczywały bukietki (z czarnych róż, które symbolizowały miłość i smutek, oraz z narcyzów na znak nadziei), a na talerzykach dżentelmenów srebrne jarmużki. Anna nalegała, by nie włączać elektrycznego żyrandola, i jedyne źródło światła stanowiły świece. Wiedziałam, że tylko po części miało to na celu uzyskanie czarownej atmosfery, jaką stwarzają migające płomyki. W wymiarze bardziej praktycznym chodziło o ukrycie śladów na ścianach jadalni, gdzie kiedyś wisiały dobre obrazy. Portrety rodzinne pozostały: w tym ten przedstawiający mnie w wieku lat jedenastu w cienkiej muślinowej sukience i krótko przystrzyżonych włosach oraz wizerunki skwaszonych, cienko-ustych prababek w koronkowych czepcach. Zachował się także konterfekt ciotecznej praprababki Sophie sportretowanej dość zaskakująco na tle zielonych łąk i niebieskiego nieba - przez całe życie cierpiała na agorafobię i przez czterdzieści lat uparcie odmawiała opuszczenia swojego zaśmierzdłego mieszkania, jednak

obraz kłamał, obsadzając ją w roli jakiejś rozkochanej w naturze miłośniczki chmur. Moim ulubionym był portret Anny jako Violetty Verdiego na moment przed śmiercią: była na nim bosa i odziana tylko w przeświecającą koszulę nocną (która w równej mierze fascynowała, co oburzała krytyków), gdziekolwiek się stało, natykało się na jej błagalne spojrzenie. Kiedyś chowałam się pod stołem w jadalni, żeby go uniknąć, ale kiedy wyłaziłam po godzinie lub kilku, dalej patrzyła z wyrzutem na twarzy. Inne obrazy zniknęły, jednak pozostawiły ślady - kwadratowe plamy na spłowiałej od słońca tapecie. Najbardziej brakowało mi pejzażu tonącej w mżawce paryskiej ulicy. Panie przemykały na nim szybko po obsadzonym drzewami bulwarze, panowie w cylindrach ściskali kurczowo czarne parasole. Sklepy miały czerwone i niebieskie witryny, a damy różowe policzki. Nigdy nie byłam w Paryżu, jednak to malowidło dawało mi jego posmak. Wzruszyłam ramionami - niby nie powinnam się przejmować, że obrazy zniknęły, skoro i tak nie będę ich już oglądać. Ale kiedy się wyjeżdża, człowiek lubi mieć pewność, że jego dom jest taki, jaki być powinien, jaki był wcześniej: doskonały i niezmienny. Teraz, gdy myślę o naszym mieszkaniu, przywracam wszystkie płótna na właściwe miejsce: Paryż naprzeciwko czarownego śniadania na balkonie (które Julian kupił w prezencie dla Anny w czasie podróży poślubnej). Muszę się napominać, że przecież zniknęły przed tą ostatnią nocą, i wtedy, w jednej chwili, ściany znowu robią się gołe.

Panowie pomagali paniom zająć miejsca przy stole, krzesła szurały o parkiet, przydeptywane suknie zaczepiały się o ich nogi i gwar rozmów rozbrzmiewał gromkimi „przepraszam”. Wszyscy rozglądali się dokoła z zaciekawieniem i nadzieją, że będą się dobrze bawić i że innym nie trafili się ciekawszy towarzysze. Herr Finkelstein poprawił jarmułkę, by dokładnie

przykrywała łysinę. Czarno-białe, poważne stroje mężczyzn, porozsadzanych między kobietami, gwarantowały, że tęczowe suknie dam nie będą się ze sobą gryzły. Rodzice zasiedli u przeciwległych szczytów stołu. Wymienili spojrzenia i Anna znowu zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem. W jednej chwili goście się uciszyli i powstał Julian.

- Witajcie, przyjaciele. Ten wieczór różni się od innych. Rano moja młodsza córka, Elise, wyjeżdża do Anglii. A za kilka tygodni Margot uda się z mężem do Nowego Jorku.

Zgromadzeni uśmiechnęli się do Margot, potem do mnie, z zazdrością albo ze współczuciem - nie potrafiłam orzec. Gwar głosów jeszcze raz przygasł, kiedy Julian uniósł dłoń. Był blady i nawet w panującym półmroku widziałam pot zraszający mu czoło.

- Jednak prawda wygląda tak, przyjaciele, że wszyscy już żyjemy na wygnaniu. Nie jesteśmy dłużej obywatelami naszego kraju. A lepsza jest banicja wśród obcych niż wśród swoich.

Usiadł raptownie i otarł czoło serwetką.

- Kochanie? - spytała Anna z drugiego krańca długiego stołu, starając się ukryć nutę niepokoju w głosie.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem wziął się w garść, wstał raz jeszcze i otworzył Hagadę. To było dziwne - dotąd zawsze szybko odbębnialiśmy rytuały wieczerzy sederowej. Stało się to nawet swego rodzaju zabawą, sprawdzenie, jak szybko uda nam się dotrzeć do końca, czytając na wyścigi, omijając całe fragmenty, tak by w rekordowym czasie dobrnąć do dań Hilde-gardy, najlepiej zanim jeszcze była gotowa je podać i zaczynała cmokać i sarkać zirytowana. Tego wieczoru zwolniliśmy tempo i przy milczącej zgodzie wszystkich odczytaliśmy każde słowo. Ci co bardziej bogobojni wierzyli być może w siłę modlitwy i mieli nadzieję, że w zamian za ich gorliwość Bóg się nad nimi

zlituje. Osobiście w to raczej wątpiłam, ale kiedy słuchałam, jak korpulentny Herr Finkelstein śpiewa po hebrajsku z ferworem, od którego trząsał mu się podwójny podbródek, byłam rozdarta między pogardą dla jego pobożności (jako nieodrodna córka Juliana) a poczuciem stosowności. Jego słowa muskały mnie w ciemnościach i miałam wrażenie, że świecą niczym światła domu. Wyobraziłam sobie Mojżesza Anny, jakieś bożyszcze dużego ekranu (Jamesa Stewarta może) prowadzącego Żydów na czerwonoróżaną pustynię, a potem coś starszego, błysk jakiejś opowieści, którą zawsze znałam. Jednak jako nowoczesna dziewczyna, bawiłam się nożem do masła, speszona recytatywem Herr Finkelsteina. Wbił spojrzenie w sufit, niepomny na kapkę smalcu trzęsącą się w kąciku jego wilgotnych warg, i chciałam, żeby przestał i żeby nigdy nie przestawał.

Wyszeptaliśmy błogosławieństwa nad kielichami z winem i Jan Tibor, najmłodszy z nas, rozpoczął rytuał czterech pytań.

- Dlaczego różni się noc ta od wszystkich innych nocy w roku? Po wszystkie inne nocy w roku pożywamy chleb kiszony lub niekiszony, nocy tej zaś jedynie niekiszony?*

Frau Goldsmith nasadziła na nos okulary do czytania i wyrecytowała odpowiedź.

- Ten chleb niekiszony, który jemy, jest na tę pamiątkę, że przodkowie nasi piekli z ciasta, które przynieśli z sobą z Egiptu, praśniki niekiszone, bo ono nie zakisalo, gdyż byli nagleni do wyjścia z Egiptu i nie mogli się ociągać, dlatego też nie mieli czasu przygotować sobie zapas żywności.

Margot prychnęła.

* Cytaty za: *Hagada. Opowiadania o wyjściu Izraelitów z Egiptu na dwa pierwsze wieczory Święta Pesach*, 1927 rok, Wydawnictwo Księgarni M. Zalcmana, Wiedeń, II. Grosse Schiffgasse 4, s. 9,10,31,32 (przyp. tłum.).

- Żydowski dom z pustą spizarnią? Bez choćby bochenka chleba? Jakoś mi się to nie widzi.

Kopnęłam ją pod stołem, dość mocno, by posiniaczyć jej piszczel, i poczułam dreszcz satysfakcji, kiedy się skrzywiła.

- Elise. Następne pytanie - powiedział Julian tonem „żadnych głupstw”. Wzniósł gałązkę pietruszki i kieliszek do jajka wypełniony słoną wodą.

Odczytałam ze zniszczonej książki na kolanach.

- Po wszystkie inne nocy jeść możemy różne zioła, nocy tej zaś tylko gorzkie?

Julian położył swoją książkę grzbietem do góry, jakbym naprawdę zadała mu pytanie, na które naprawdę chcę znać odpowiedź.

- Gorzkie zioła przypominają nam o goryczy życia żydowskich niewolników i niedoli naszej własnej egzystencji. Ale są także symbolem nadziei i lepszych czasów. - Nie zaglądał do Hagady i gdy ciągnął, uświadomiłam sobie, że mówi własnymi słowami. - Człowiek, który doświadczył wielkiego smutku, a potem poznał jego koniec, co dzień raduje się wschodem słońca. - Wziął łyk wody i otarł usta. - Margot. Następne.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem spuściła wzrok na książkę.

- Po wszystkie inne nocy nie jesteśmy obowiązani zanurzać pokarmów ani raz jeden, nocy tej zaś dwa razy?

Julian unurzał natkę pietruszki w naczyniu ze słodkim charośetem i nachylił się przez stół, żeby mi ją podać. Wsadziłam ją do ust i przełknęłam lepką mieszaninę jabłek, cynamonu i wina. Unurzał drugi listek w słonej wodzie, podał mi go i patrzył, jak jem. Poczułam szczypanie soli, łzy i przedsmak długich zamorskich podróży.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dość chmur na piękny zachód słońca

Po wieczerzy zakradłyśmy się z Margot na balkon. Przygotowany przez Hildegardę na obiad zawieszisty gulasz wołowy udał jej się wybornie, chciałam napchać się smakiem domu, dopóki mogłam. Margot rzuciła kilka poduch na podłogę i usiadłyśmy obok siebie, spoglądając na liście drżące na szczycie topoli.

- Będiesz pisać, Faselko - powiedziała.

- No, postaram się. Ale spodziewam się, że będę raczej zajęta brydżem, piknikami na trawie i tak dalej.

Ku mojemu zdziwieniu, ścisnęła mi kurczowo dłoń.

- Musisz pisać, Elise. Bez żartów.

- Dobrze. Tylko ostrzegam, bazgrzę jak kura pazurem i nie zamierzam tego zmieniać.

- Nie szkodzi. Robert będzie miał kolejny powód do narzekań. A wiesz, jak go to uszczęśliwia.

Obszerny katalog moich przywar stanowił dla niego odnawialne źródło przyjemności, w związku z czym uważałam, że powinien okazywać mi trochę więcej wdzięczności. Zaskrzypiały drzwi i na balkonie pojawiła się Anna. Przesunęłyśmy się, żeby zrobić dla niej miejsce na naszym łożu z poduszek. Ściągnęłam buty, które zaczęły mnie cisnąć, i pokiwałam palcami w chłodnym nocnym powietrzu. Anna pomalowała mi paznok-

cie na kolor szkarłatu i moim zdaniem prezentowały się bardzo sztywnie - żal w ogóle było zasłaniać je obuwem.

- Zabierzesz ze sobą perły Elise. Hildegarda wszyje je dzisiaj w rąbek sukni.

- Nie, mamo. Należą do ciebie. Jeśli będę potrzebowała pieniędzy, mam złote łańcuszki.

Ujęłam jej dłoń, chcąc, by zamilkła. W mieszkaniach po drugiej stronie ulicy świeciły się światła i tam, gdzie nie zaciągnięto zasłon, oglądałyśmy teatrzyk cieni odgrywających rytuały codziennego życia: pokojówki przygotowywały kąpiele albo opróżniały tace z naczyńiami po kolacji, starsza pani trzykrotnie próbowała wspiąć się na swoje wysokie łóżko, pies siedział na krześle przy otwartym oknie, a jakiś mężczyzna, całkiem sam i goły jak święty turecki, z wyjątkiem kapelusza, przechadzał się wte i wewte z rękoma splecionymi na plecach. To był z Margot nasz ulubiony punkt obserwacyjny, przez lata naoglądałyśmy się niezliczonych dramatów, jakie rozgrywały się po drugiej stronie ulicy. W dzieciństwie darłyśmy koty i skakałyśmy sobie do oczu, jednak zawsze wraz ze zmrokiem nieuchronnie zapadał również rozejm, wpełzałyśmy na balkon i siedziałyśmy obok siebie w zgodnym milczeniu, śledząc występy sąsiadów. Niemal nie mieściło się w głowie, że będą się dalej odbywać beze mnie. Żeby się pokrzepić, popatrzyłam na swoje piękne czerwone paznokcie.

- Perły są twoje - stwierdziła Anna. - Margot dałam w prezencie ślubnym szafiry, więc tobie należą się perły.

- Przestań - warknęłam. - Dasz mi je w Nowym Jorku. Anna bawiła się rąbkami sukni i milczała.

- Dlaczego chcesz, żebym je już teraz zabrała? - spytałam. - Chyba nie zapomnisz ściągnąć mnie do siebie? Jak możesz o mnie zapomnieć? Obiecałaś, Anno. Obiecałaś.

- Kochanie! Uspokój się, proszę. - Roześmiała się z mojego wybuchu.
- Oczywiście, że o tobie nie zapomnę. Co za bzdura.

- Elise, niełatwo o tobie zapomnieć. Jesteś jej córką, nie parą rękawiczek - powiedziała Margot.

Skrzyżowałam ręce na piersi, drząc w rześkim nocnym powietrzu i usiłując powstrzymać łzy. Oni nie rozumieli. Niby też wyjeżdżali, ale mieli przynajmniej siebie nawzajem. Tylko ja miałam zostać sama. Bałam się, że o mnie zapomną albo, co gorsza, uznają, że lepiej im bez Elise.

Przysunęłam się bliżej Margot, spragniona jej ciepła.

- Och, patrzcie. - Wskazała balkon na najwyższym piętrze, gdzie wymuskana pokojówka w uniformie trzymała nad brzegiem parapetu kędzierzawego pudła, żeby się załatwił. Żółta struga spłynęła łukiem na chodnik w dół.

Anna syknęła na znak dezaprobaty.

- Och, widziałyście kiedyś taki szczyt lenistwa?

- Uważam, że to wielce oryginalne rozwiązanie i jako takiemu w pełni mu przyklaskuję - oświadczyłam.

- Niech Bóg ma w opiece rodzinę, u której wylądujesz - powiedziała Margot.

Nie miałam czasu zaripostować, bo Julian zawołał nas do środka.

- Kochane, fotograf już jest.

Siłą rzeczy zachodzę w głowę, czy przypadkiem nie pamiętam tej ostatniej nocy tak żywo właśnie z uwagi na zdjęcie. Zebraliśmy się wszyscy w salonie, stoły odsunięto pod ścianę, krzesła stłoczono w bezładnych rzędach. Lily Roth ustawiała nas, używając swojego pierzastego fascynatora jak wskaźnika, i pokrzykiwała na panów, by pogasili cygara i papierosy. Dałyśmy się z Margot skierować na niskie stołki w pobliżu Juliana i Anny. Nadal nie miałam na sobie butów i ukryłam bosc

stopy pod długą suknią. Tuliłyśmy się do siebie konspiracyjnie, chichocząc, kiedy starsze panie gorączkowały się, wierciły i nalegały, żeby siedzieć ze swoimi mężami albo synami, albo bardziej z tyłu, gdzie ich trzęsące się poliki nie będą się tak rzucały w oczy.

Fotografie to takie dziwne światy, zawsze funkcjonują w czasie teraźniejszym, utrwalając chwilę, która nigdy się już nie powtórzy. Robimy je z myślą o potomności i kiedy migawka trzaska, zastanawiamy się, jak przyszłe wersje nas samych będą wspominać to wydarzenie. Zdjęcie z przyjęcia, które mam, zostało pstryknięte, kiedy czekaliśmy na wykonanie oficjalnej fotografii. Rozbłysło światło i aparat uwiecznił nas nieprzygotowanych. Margot i ja siedzimy, nie zwracając większej uwagi na innych, szepczemy coś i śmiejemy się, może z Lily i jej dyrygowania tłumem za pomocą piórka albo z niezauważonej plamy po sosie na białej koszuli Herr Finkelsteina. Dopiero kiedy zobaczyłam to zdjęcie, dotarło do mnie, jak bardzo jesteśmy z Margot do siebie podobne. Mamy inne włosy, ona jasne, a ja ciemne, ale nasze oczy są takie same i z wyjątkiem lekkiego dziecięcego zaokrąglenia mojej twarzy, jesteśmy jak dwie krople wody.

Jan Tibor przygląda się nam ze skraju tłumy. Anna i Julian siedzą obok siebie, blisko, choć się nie dotykają, i oglądają jakiś zapomniany dramat rozgrywający się poza kadrem. Ona ma na sobie etolę z polarnych lisów spiętą diamentową sprzączką: śnieżnobiałe futro ociera jej szyję, jedwabna suknia wylewa się spod spodu. Brązowe oczy są niespokojne, a czoło lekko zmarszczone. Julian przechyla się w jej stronę, przystojny i poważny. Siedzi z nogą założoną na nogę, lewa nogawka spodni podjechała do góry i ukazuje skrawek niestosownie jasnej skarpety, która w mojej pamięci jawi się jako zjadliwie żółta. Nie cierpiał paradować w

smokingach i frakach i zawsze przesznułowywał jakiś element rebelli do wieczorowego stroju. Na skutek sztuczki fotografa tylko sylwetki ich dwojga są ostre, reszta nas skupia się dokoła niczym śmiertelnicy u stóp białej królowej i jej czarnowłosego księcia w skrzyżowanych podwiązkach.

Nie mogłam zasnąć. Wiedziałam, że gdy tylko zamknę oczy, nadejdzie ranek i pora odjazdu. Zrzuciłam pościel, wygrzebałam się z łóżka i zakradłam do cichego holu. Para zabłąkanych koniakówek stała porzucona na parapecie na drugim końcu i zamigotała światłem, kiedy brzask chyłkiem wyłonił się na wschodzie nieba, wściubiając się w luki między tarasami. „Spracowany stary głupcze, wracaj do łóżka”, mruknęłam do słońca i przemknęłam się cicho do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Wychodziła na zachód, panował więc tam krzepiący mrok i noc jeszcze trwała. Pomieszczenie było ciasne, zaprojektowane bez troski o wygodę kucharki, ale Hildegarda dokonywała czarnoksięskich cudów, jeśli idzie o gotowanie, i z jej kryjówki zawsze płynął niekończący się strumień przysmaków. Posprzątała już resztki po przyjęciu, drewniane blaty były wyszorowane, a pozostałości dań schowane. Naszła mnie ochota na nocną - czy raczej poranną (dochodziła piąta) - przekąskę i wślizgnęłam się do spiżarni.

Na górnej półce pod szklanym kloszem spoczywała duża misa kremu waniliowego, a obok taca z ziemniakami w ziołach. Uznałam, że się nadadzą, i rozłożywszy skrzypiącą drabinę, wspięłam się, żeby ściągnąć łupy. Zaniiosłam je z powrotem do kuchni i usiadłam za stołem z dużą łyżką w dłoni. Nie dobrnęłam nawet do połowy deseru i w ogóle nie spróbowałam ziemniaków, kiedy ze skrzypnięciem uchyliły się drzwi i we-

szła Hildegarda we flanelowej koszuli nocnej i czepku. Wysunęła krzesło i usiadła obok mnie, gdy oblizywałam tył łyżki. Nie natarła mi uszu za ów nocny nalot (dostawałam po łapach za mniejsze przewiny), świadoma chyba faktu, że po raz ostatni musi się martwić złodziejem z warkoczem. Przyglądała mi się spod opadających powiek.

- Mam marcepan. Chcesz trochę na grzance?

Skinęłam głową i odsunęłam na bok misę z kremem. Dźwignęła się na nogi, rozpakowała bochenek chleba, odkroiła cieką kromkę i rozpała pod rusztem.

- Zabierzesz ze sobą *Vademecum pani domu* pani Beeton -rzuciła, stojąc plecami do mnie. - Zakraśliłam moje ulubione ustępy.

- Ale to przecież straszna cęła.

- Anglićy różnią się od nas. Pani Beeton ci pomoże.

Wiedziałam, że nie mam szans wygrać tej sprzeczkę. Mogłam się nie zgodzić na zabranie poradnika. Mogłam go nie zapakować. Mogłam nawet pozamykać na kłódkę swoje kufry. Ale miałam pewność, taką samą, z jaką wiedziałam, że trzeba dwóch mis kremu, bym dostała mdłości, że kiedy otworzę bagaże w Londynie, pani Beeton w czerwonej oprawie będzie spoczywała między moimi majtkami.

- Dobrze. Wezmę.

Rozległo się grzmotnięcie i książka wylądowała na stole obok misy. Przelotnie rozważałam, czyby nie powalać jej żółtym kremem, jednak wiedziałam, że to nie powściągnie Hildegardy. Byłam zbyt zmęczona, by czytać, ale kiedy przewracałam stronicę, rozeszła się po kuchni woń stęchlizny. Podejrzewałam, że tak samo pachną stare angielskie domy. Między dwiema kartkami tkwił cieką kawałek zniszczonego papieru. Wyciągnęłam go i odczytałam angielski tekst: *Dla pani Roberts oraz jej Ukocha-*

nego i Męża, od szczerego i serdecznego sympatyka. Oby w waszym życiu było dość chmur, by zagwarantować piękny zachód słońca.

Zamknęłam książkę z odrazą, chowając kartkę. Hildegarda miała rację: Anglicy się od nas różnią. Z okazji ślubu życzą sobie nieszczęścia. I żeby wspominać zachód słońca na samym początku małżeństwa - to było bardzo niesmaczne. Dałabym sobie rękę uciąć, że takie zachowanie gwałci wszystkie zasady etykiety. Hildegarda z trzaskiem postawiła przede mną talerz: grzanka z roztopiającym się masłem i cienkimi kawałeczkami marcepana na wierzchu. Wzięłam porządną kęs i przymknęłam oczy z błogością. Anna i Julian spali po drugiej stronie korytarza, rury wodociągowe jęczały i burczały. Chciałam zostać tu na zawsze i bez końca jeść grzankę w towarzystwie śpiących rodziców.

Później myślałam o tej ostatniej nocy setki, nie, tysiące razy, jednak nigdy wcześniej jej nie opisałam. I teraz ze zdziwieniem odkrywam, że podoba mi się trwałość słów na papierze. Julian i Anna leżą otuleni w nich bezpiecznie, śniąc swoje papierowe sny. Mogłabym dać sobie spokój ze wspomnieniami i ześlizgnąć się w fikcję. Nic nie stoi na przeszkodzie, bym napisała im całkiem inną historię, taką, której dla nich zawsze pragnęłam. Ale tego nie robię i wymykam się cichutko, powracając do zgiełku teraźniejszości, do ogrodnika pytającego o pelargonie, do listonosza, który pojawił się z paczką, i zostawiam rodziców pogrążonych we śnie w ten chłodny wiosenny poranek na Dorotheegasse dawno temu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie te drzwi

W Londynie było zimno. Wyjechałam z Wiednia, kiedy lato powoli zakradało się do miejskich parków - kałuże opadłego kwiecica leżały na trawie, a tulipany i niezapominajki zapępiały rabaty, połyskując w chłodnym słońcu poranka. Tymczasem w stolicy Anglii kwaśna warstwa węglowego dymu spowijała ulice skąpane w żółtej, nieznikającej szarówce ni to świtu, ni to zmroku. Słońce nie grzało i Londyn trwał w okowach fałszywej zimy. Przechodnie wydawali się szarzy i pokryci warstewką smogu. Przemykali pośpiesznie ze wzrokiem wbitym w bruk, nie przystając ani na moment, żeby ponapawać się pięknem poranka, jak to było w zwyczaju w Wiedniu, ale śpieszyli za swoimi sprawami, radzi jak najszybciej uciec do domów.

Nie bardzo przypominam sobie hostel, w którym spędziłam pierwszą noc w Anglii. Pamiętam tylko, że mieścił się na Great Portland Street w pobliżu synagogi i pękał w szwach od strwożonych dziewcząt z Wiednia, Berlina, Frankfurtu i Kolonii. Wszystkim nam wbijano do głowy, że mamy porozumiewać się tylko po angielsku, a ponieważ nie umiałyśmy, nie mówiłyśmy w ogóle. Kiedy rzuciłam się prosto z korytarza do wspólnej toalety, grupka niemych podlotków z zasznurowanymi ustami śledziła mnie wzrokiem niczym Anna z portretu w domu. Hostel, założony przez żydowskich filantropów, zapewniał dar

mowy nocleg i wikt świeżo przybyłym z Europy dziewczętom. Wyjeżdżając z kraju, nie wolno nam było zabrać ze sobą żadnych pieniędzy ani kosztowności, więc zjawiłyśmy się u drzwi schroniska jedynie z torbami wypełnionymi ubraniami, książkami, listami i pończochami - gromadzonymi całe lata pamiątkami dawnego życia. Kierowniczka uparła się, żeby mój kufer zamknąć w schowku na parterze, utyskiwała, że jest zbyt ciężki, by taszczyć go na górę. Przynajmniej tak rozumiałam, kiedy lustrowała wzrokiem wysłużone bagaże i syczała w moim kierunku potok słów tak ostry i deprymujący jak skrzek rozjuszony gęsi. Nie stawało mi angielskiego, żeby z nią dyskutować, więc wzięłam futerał z altówką, zarzuciłam torbę na ramię i powlokłam się na górę do łóżka.

Kiedy zdejmowałam wierzchnie okrycie, odkryłam, że wszystkie miejsca na ciele, które były odsłonięte, pokrywa mi osad brudu. Stałam przy umywalni w wąskim pomieszczeniu i szorowałam dłonie, twarz i szyję kostką szarego mydła, aż skóra zrobiła się żywoczerwona. Zasłony w sypialni były poplamione, a okna zabite na głucho gwoździami, ale przez małą szparę w ramie mgła przesączała się niczym smużki dymu, a kiedy odkaszlnęłam, na lnianej chusteczce pojawił się czarny śluz. Anna zachęcała mnie wcześniej, żebym trochę pozwiedzała, przeszła się po Mail, spenetrowała Talfalgar Square i rzuciła okiem na budynek opery w Covent Garden, ale nie chciałam opuszczać maciupkiego pokoiku z obawy, że na dworze się uduszę. Kiedyś na lekcji biologii nauczyciel rozkroił płuca świni. Były lśniące różowe i pomyślałam sobie wtedy, że wieprzek żył szczęśliwie na wsi, nie wadząc nikomu, i wdychał do woli przesycone wonią traw powietrze aż do swojego niefortunnego końca. W pierwszą noc w Londynie przycupnęłam na skraju drewnianej pryczy i myślałam o własnych płucach, już nie świńsko różo-

wych, a czerniejących powoli niczym przytrzaśnięty drzwiami paznokiec.

Miałam przy sobie tylko małą skórzaną torbę z przyborami do mycia i zmianą bielizny, ale kiedy ją otworzyłam, zobaczyłam, że Margot wepchnęła na dno tabliczki czekolady i romansidło. Wiedziałam, że to jej sprawka, Hildegarda nie pochwałała kupnych łakoci, a książka pachniała fiołkowymi perfumami siostry. Kiedy wciągnęłam znajomą woń, ogarnęła mnie tak mocna tęsknota za domem, że poczułam mdłości. Zrobiłam jedyną rzecz, od której mogłam poczuć się lepiej - zjadłam słodycze. Wszystkie. Zwinęłam się na twardym łóżku, zbyt przerażona opowieściami o wszach i makabrycznych pluskwach, by się rozebrać, i wpakowałam do ust czekoladę, obie tabliczki naraz. Wiedziałam, że Margot i Anna zostawiłyby je na później, skubnęły kawalątek co najwyżej, starając się możliwie jak najdłużej zachować tę małą relikwię domu. Na myśl o matce i siostrze, o tyle rozsądniejszych, rozplakałam się, ale usta nadal miałam pełne czekolady, więc łzy ściekały mi po brodzie razem ze strużkami brązowej mazi i nagle odczułam całą sromotę swojego położenia. Postanowiłam nie opuszczać pokoju, dopóki nie nadejdzie pora, żeby udać się do Agencji Służby Domowej Mayfair, i leżałam na łóżku, czytając, jedząc czekoladę i tęskniąc za domem tak mocno, że myślałam, że umrę.

Po śniadaniu (lura zamiast herbaty, czerstwy chleb, dżem o barwie pomarańczy) wyruszyłam do Mayfair. W rękę ścisnęłam list od pani Ellsworth. Czytałam go już dziesiątki razy, ale nadal nie mogłam niczego wywnioskować o samej ochmistrzyni. Jej instrukcje były jasne: powinnam się udać na Audley Street. Nie miałam pojęcia ani jak to daleko, ani jak kupić bilet na

jeden z tramwajów czy omnibusów, które z hukiem przetaczały się po ulicach. Wyobrażałam sobie, że zostanę albo wyrzucona z pojazdu z powodu nieuiszczenia opłaty i wyląduję na bruku wśród trzasku łamiących się kości, albo wywieziona do innej części miasta, gdzie zgubię się z kretesem i nie będę potrafiła znaleźć powrotnej drogi na Great Portland Street. Zapięłam płaszcz, poprawiłam ulubiony szmaragdowy szal z jedwabiu (ten, który zdaniem Anny podkreślał kolor moich brązowozielonych oczu) i upewniłam się, czy założyłam czystą parę rękawiczek.

Stałam niezdecydowana przed czarnymi drzwiami na Audley Street. Zostały niedawno odmalowane, mosiężna kołatka błyszcząca, a dopiero co wyszorowane schody były jeszcze wilgotne. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Annie, o najróżniejszych typach kobiet, których rolę odgrywała, i postanowiłam zrobić to samo. Tak, będę Violetta, uwielbianą przez mężczyzn kurtyzaną/kurwą, obojętną na żenujące ataki opinii publicznej - i moją ulubioną heroiną wszech czasów. I tak oto, wyobrażając sobie, że jestem czarownicą dziewiętnastowieczną ladacnicą, wkroczyłam do Agencji Służby Domowej Mayfair.

Znalazłam się w pomalowanym na złoto-biało pomieszczeniu, gdzie królował gruby pluszowy dywan i czerwone sofy z aksamitu zarzucone poduszkami obszytymi frędzlą. W powietrzu rozchodził się smakowity aromat kawy i świeżo upieczonych ciastek. Ślinka napłynęła mi do ust. Stałam tam, tak jak uważałam, że stałaby Violetta, z wyniosłą i obojętną miną, i chyba dobrze wczułam się w rolę, bo jakaś elegancka kobieta w grubej czarnej sukni pożeglowała do mnie z przyklejonym do twarzy wystudiowanym uśmiechem - uprzejmym, zawodowym, ciut służalczym.

- Mogę zabrać pani płaszcz?

Nie racząc się odezwać, pozwoliłam ściągnąć z siebie okrycie i zaprosić się na jedną ze wspaniałych sof.

- Ma pani ochotę na kawę? Może ciastko? - spytała, gdy tylko wygodnie się usadowiłam.

Odetchnęłam z ulgą. Na takie pytania odpowiadałam wiele razy w trakcie lekcji angielskiego z Anną.

- Ofszem, jeśli łaska. Poprroszę o coś do bicia. Zamarła. Przylepiony uśmiech, już nie tak uprzejmy, zrobił

się jeszcze bardziej oficjalny.

- Pani jest z Niemiec?

- Z Austrii. Z Wiednia.

- I szuka pokojówki?

Uśmiechnęłam się do niej miło, trenując indyferentyzm, i wyłowiłam zmięty list z kieszeni spódnicy.

- Jestem Fraulein... pani przebaczyć... panna Elise Landau i mam pracować w dworze Tyneford.

Uśmiech zniknął całkowicie, kobieta pochyliła się i jednym ruchem ściągnęła mnie z kanapy ewidentnie, jak to sobie teraz uświadamiam, wściekła z powodu własnej pomyłki. Jak to możliwe, że dała się tak nabrać i potraktowała emigrantkę, w dodatku służącą, z unizonym szacunkiem należnym angielskiej damie? To oburzające.

- Wszłaś nie tymi drzwiami. To wejście tylko dla dam. Rzuciła mi płaszcz.

- Wyjdź i wejdź drugim.

Wpatrywałam się w nią, przyrośnięta do dywanu, z lewym ramieniem w prawym rękawie płaszcza, starając się pamiętać, że nie jestem Elise, a Violetta. Przypomniałam sobie, że zawistne kobiety zawsze próbowały ją upokorzyć (a także odbić adoratorów, kiedy umierała na suchoty), i poczułam się trochę lepiej. Z płaszczem wlokącym się za mną po ziemi, wykonałam

swój najlepszy obrót na pięcie, pomaszerowałam do drzwi i wyszłam.

Stałam na chodniku, oparłam się o barierkę i rozejrzałam w poszukiwaniu drugiego wejścia. Ciąg schodów prowadził do sutereny, gdzie na ścianie z podpryskiwaną farbą znajdowały się kolejne czarne drzwi. Nie miały mosiężnej kołatki, tylko tabliczkę z napisem PROSZĘ WCHODZIĆ Zeszłam po stopniach, uważając, żeby się nie poślizgnąć na gnijących liściach, które je zaścielały.

W pomieszczeniu, w którym się znalazłam, nie było sof, pluszowych dywanów ani złożonych luster. Podłogę pokrywało odrapane linoleum, a pod ścianami stały niskie drewniane ławki. Po jednej stronie siedziały panie, garstka mężczyzn naprzeciwko. Rozglądając się, zauważyłam, że wszystkie dziewczęta wyglądają tak jak ja: uchodźczynie o pobladłych twarzach, zdenerwowane, ale pomne uwag matki, by siedzieć prosto, i ściskające kosztowne rękawiczki w spoconych palcach. Jakaś starsza para, on w dobrze skrojonym garniturze, ona w futrzanej etoli, siedziała, trzymając się za ręce, na ławce dla kobiet. Sprawiali wrażenie, jakby mieli zaraz wybrać się na lunch, a nie go podawać. Zastanawiałam się, kim on był wcześniej: Bankierem? Skrzypkiem? Czy ona zdejmie futro i położy na blacie, zanim zabierze się do skrobania marchewek?

Na końcu pomieszczenia za prostym drewnianym biurkiem siedziała siwowłosa kobieta w okularach połówkach i przeprowadzała rozmowy kwalifikacyjne. Właśnie się zastanawiałam, czy powinnam do niej podejść, rzucić na biurko list od pani Ellsworth i zażądać obiecaną pomocy, kiedy krostowaty, na oko czternastoletni wyrostek, posłał mi oko i przesunął powoli językiem po zębach. W Wiedniu w podobnej sytuacji wymierzyłabym mu policzek, choć tam najprawdopodobniej w życiu nie ośmieliłby się na tak lubieżny gest wobec dziewczyny mojej

pozycji. Ale Wiedeń został daleko i skuliłam się pod ścianą, nagle wyczerpana. Nie byłam żadną Violetką, tylko Elise, i przybita zajęłam miejsce na końcu ławki razem z innymi dziewczętami.

Czekałam tam chyba kilka godzin, obserwując, jak ćma uderza papierowymi skrzydłami o zwisającą elektryczną żarówkę. Co dwadzieścia minut kobieta za biurkiem wołała: „Następna!” albo: „Następny!” - bardzo się pilnowała, by naprzemiennie wywoływać mężczyzn i kobiety. Patrzyłam, jak starsi państwo podchodzą razem do biurka, i udało mi się podsłuchać kilka oderwanych słów: „razem... kamerdyner... gosposia... tak, chyba ogrodnik i kucharka mogą być...”. Kiedy przyszczaty wyrostek przechodził obok mnie, żeby zająć miejsce przy biurku, spiorunowałam go wzrokiem, robiąc wszystko, co w mojej mocy, by emanować chłodną dezaprobatą. Hildegarda była w tym mistrzynią, zwłaszcza kiedy Julian zostawiał niedopałki cygar przy wannie, które ona zbierała w wilgotną kupkę i stawiała w popielniczce przed jego gabinetem - nie mogła go zbesztać, ale dawała wyraz swojemu oburzeniu. Najwyraźniej jednak nie miałam jej talentu, bo kiedy chłopak nieśpiesznie przechodził obok mnie w drodze do wyjścia, posłał mi całusa. Zamarłam ze zgorzienia i sfrustrowana własną niemożnością wysmagania go słowem, pokazałam mu język. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę i ujrzałam w jego oczach błysk triumfu.

- Następna... Ty. Do biurka.

Minęła chwilka, zanim się zorientowałam, że sztywna jak kij kobieta w okularach połówkach woła mnie. Z płonącymi policzkami pospieszyłam do biurka i usiadłam. Wbiła we mnie niebieskie oczka.

- Trochę ogłady z łaski swojej. Możesz trafić do jednej z najlepszych rodzin w całej Anglii. Albo Szkocji - dodała po namyśle. - Masz jakieś doświadczenie w służbie domowej?

Wpatrywałam się w nią, wolno tłumacząc w myślach jej słowa.

- No - ponagliła, zniecierpliwiona. - Zapomniałaś języka w gębie?

To było takie dziwne wyrażenie, że wbrew woli zachichotałam, ale zaraz zrozumiałam swój błąd i przyłożyłam dłoń do ust. Pośpiesznie wyciągnęłam z kieszeni wymiętą epistołę pani Ellsworth i przesunęłam ją po blacie. Kobieta przeczytała list w milczeniu i przeniosła wzrok na mnie.

- No, masz dużo szczęścia, Elise. Pan Rivers pochodzi z bardzo dobrego rodu. Nie utytułowanego, ale starego. Musisz się starać nie zawieść zaufania, jakie w tobie pokłada - oznajmiła tonem sugerującym jednoznacznie, że uważa to za wysoce nieprawdopodobne. - Nie chcę cię widzieć u nas z powrotem za tydzień czy dwa, bo praca okazała się ciężka. W zeszłym miesiącu miałam tu kobietę, która utrzymywała, że jest hrabiną czy kimś tam. Twierdziła, że nigdy wcześniej nie wkładała sama nawet pończoch, i gdyby tylko nie ten niedobór służby, odesłałabym ją z kwitkiem. A tu proszę: dziś rano otrzymałam od pani Forde liścik z informacją, że pani Goldschmidt jest najlepszą sprzątaczką, jaką miała.

Popatrzyła na mnie zza biurka i uświadomiłam sobie, że spodziewa się jakiejś odpowiedzi, ale zakneblowana nieznaną języka znowu nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Zrozumiała, że się nie doczeka, i uznawszy mnie prawdopodobnie za impertynencką gęś, wstała, wyprostowała się i odepchnęła krzesło. Zapiszczało na linoleum jak kopnięty piesek. Zniknęła w bocznym pokoju i pojawiła się minutę później z kopertą, którą rzuciła na blat.

- Masz. Weź to. W środku są wskazówki i fundusze wystarczające na podróż. Pojedziesz pociągiem do Weymouth, który odjeżdża z dworca Waterloo o ósmej siedemnaście jutro rano.

Ktoś po ciebie wyjdzie na stacji w Wareham. - Lustrowała mnie wzrokiem przez chwilę, potem dodała: - Doskonale wiem, ile pieniędzy jest w tej kopercie, więc lepiej nie próbuj wmawiać pani Ellsworth, że ci nie wystarczyło, bo cię zdemaskuje, jak mi Bóg miły.

Chwycałam list i upychając go w kieszeni płaszcza razem z pieniędzmi, przeszłam obok ławek z czekającymi uchodźcami i byłymi hrabinami.

Leżąc tej nocy na wąskim łóżku w wymiętym już teraz ubraniu, zasnąłam ukołysana własnym szlochem. Przed przyjazdem do Londynu nigdy wcześniej tak naprawdę nie płakałam. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy próbowałam uciekać przed rozjuszoną Hildegardą, po tym jak ukradłam skrzydełko kurczaka na zimno przygotowanego na damski wieczorek brydżowy Anny, walnęłam się palcem u nogi o kuchenny stół tak mocno, że łzy napłynęły mi do oczu, ale trudno to nazwać płaczem.

Po spotkaniu w agencji Mayfair udałam się na pocztę, żeby zgodnie z obietnicą wysłać telegram do Anny. Kiedy czekałam w następnej kolejce (w ciągu pierwszych trzydziestu sześciu godzin w Anglii spędziłam w kulturalnych ogonkach szurających stóp więcej czasu niż w całym swoim dotychczasowym życiu), układałam sobie w głowie treść depeszy:

ANGLICY PRZERAŻAJĄCY STOP WRACAM DO DOMU STOP

Albo:

JESTEM OSKARŻONA O KRADZIEŻ STOP UCIEKAM DO NOWEGO JORKU STOP

Mimo to wiadomość, którą wysłałam, gdy w końcu dotarłam do okienka, brzmiała:

WSZYSTKO DOBRZE STOP JUTRO WYJEŹDŹAM DO TYNEFORD STOP ANGLICY UROCZY STOP

O ósmej dziewiętnaście następnego ranka siedziałam w wagonie trzeciej klasy pociągu do Weymouth, który sapiąc, odjeżdżał właśnie ze stacji Waterloo. Mój kufer i walizka leżały upchnięte w wagonie bagażowym, a ja siedziałam wciśnięta między dwie korpulentne matrony i ku swojemu niezadowoleniu, za każdym razem, gdy pociąg przechylał się w prawo lub lewo, łądowałam na piersi jednej lub drugiej. Wydawało się, że żadna tego nie zauważyła, ale poczułam ulgę, kiedy jedna wysiadła w Croydon i mogłam się przesunąć na miejsce przy oknie. Przycisnęłam twarz do szyby i przez własne odbicie obserwowałam ciągnącą się bez końca zabudowę Londynu. W życiu nie widziałam takiej masy szarości, jedynymi barwnymi punkcikami były czerwony sweter albo żółta sukienka powiewające gdzieś wśród spłowiałej bieli ubrań na sznurkach do prania. Zwrócone tyłem do torów małe szeregowce domki z nierównymi patchwor-kowatymi ogródkami i zarosłymi brudem oknami przypominały mi o scenkach z życia moich byłych sąsiadów z kamienicy po drugiej stronie ulicy. Chłopcy w szortach grzebali w ziemi i rzucali kamyczkami w przejeżdżający pociąg, a kobiety w drzwiach ich rugały. Ze wszystkich kominów buchały kłęby dymu, a liście skarłowaciałych krzewów przy torach były czarne zamiast zielone. Bilet, który trzymałam w zaciśniętej kurczowo dłoni, zrobił się lepki od potu, atrament zaczął puszczać.

Zaburczało mi w brzuchu. Zjadłam tylko mizerne śniadanie zapewnione przez hostel, na lunch nie miałam pieniędzy, oprócz

reszty za bilet w kopercie. Wzdrygnęłam się na wspomnienie groźby pracownicy agencji - nie ośmieliłabym się wydać nawet pół pensa z tych moniaków na bułkę. Nie miałam pojęcia, co by się stało, gdybym wylądowała w więzieniu - wątpiłam, by Julian mógł mi tam pomóc. Zaczęłam żałować, że spałaszowałam całą czekoladę od Margot.

Do pociągu wsiadł młodzieniec w tanim garniturze, woniejący wodą kolońską i papierosami. Trzasnął drzwiami wagonu, usiadł naprzeciwko, skinął mi głową i posłał uśmiech, zanim wsadził nos w gazetę. Usiłowałam odczytać nagłówki. W cichym kokonie własnej niedoli zapomniałam na dzień czy dwa o bożym świecie i nie słyszałam żadnych wiadomości. *Rekordowy smog w Londynie... Rodzina królewska w podróży do Ameryki... Czy Czechosłowacja będzie następna?* Próbowałam przeczytać coś więcej, ale druk był za mały.

- Chce panienka przejrzeć?

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że młodzieniec wyciąga w moją stronę dziennik. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że siedzę na samym brzeżku siedzenia.

- Dziękuję. Prosię. Tak. Chcę widelce.

Wzięłam gazetę i zaczęłam czytać artykuł, wolno, acz całkiem płynnie. Zrozumienie pisanej angielszczyzny przychodziło mi dużo łatwiej. Poczułam nagle, że mój sąsiad mnie obserwuje.

- Rusza panienka ustami, kiedy czyta.

Zrobiłam wielkie oczy, zbita z pantalątku taką intymną obserwacją.

- Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny. Jestem Andy. Andy Turnbull.

Nie byłam pewna, czy w Anglii jest przyjęte, że nieznajomi przedstawiają się sobie z imienia i nazwiska w pociągach. Może taki zwyczaj obowiązywał tylko w składach relacji Waterloo

-Weymouth. Nie chciałam ani obrazić gazetodawcy, ani prowokować jego awansów.

- Elise Landau - rzuciłam krótko i wróciłam do lektury.

- Czyli pochodzi panienka z Czechosłowacji, panno Landau? Opuściłam „Daily Mail” zdziwiona.

- Nie, z Austrii. Z Wiednia.

- Ach, z Wiednia. Obiło mi się o uszy. Piękne kanały. Pałac Dudźów. Westchnęłam. Wyglądało na to, że Anglicy rzeczywiście są tak ciemni, jak twierdziła Margot.

- Nie, to w Wenecji. We Włoszech.

Widziałam po jego mnie, że nic mu to nie mówi. Spróbowałam raz jeszcze.

- Ja jestem z Wiednia. W Austrii.

Patrzył na mnie ze skonsternowanym uśmiechem na ustach i było jasne, że w życiu nie słyszał o Wiedniu. Niby powinnam mieć to gdzieś, a jednak irytował mnie fakt, że ów nazbyt poufały młody człowiek w wyświeconym garniturze z plamą zaschniętego jajka na lewej nogawce spodni nic nie wie o moim mieście.

- Wiedeń to miasto, gdzie widzi się niebo. Na uliczkach są tysiące kafejek, w których gawędzimy, popijając kawę, a starsi panowie kłócą się przy szachach i kartach. Wiosną odbywają się bale i tańczymy do trzeciej nad ranem, białe suknie dam wirują niczym kwiecie jabłoni opadające na ziemię nocą. Latem zajadamy się lodami nad Dunajem i podziwiamy obwieszone lampionami statki na wodzie. Tam nawet wiatr tańczy walca. To miasto muzyki i światła.

- Co proszę?

Jeszcze raz zrobiłam wielkie oczy, kiedy uświadomiłam sobie, że mówiłam po niemiecku.

- Błagam przebaczyć mi. Mój angielski język nie jest za dobry. Wiedeń to najbardziej dobre miasto na wszystkim świecie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- W takim razie dlaczego panienka jest tutaj?

Nie miałam ani odpowiednich słów, ani ochoty, żeby mu to tłumaczyć. Łamałam sobie głowę w poszukiwaniu odpowiedniego zwrotu.

- Jestem podróżniczką. Z gorzałą.

Wsadziłam nos w gazetę i nie odezwał się do mnie przez bite pół godziny. Studiowałam artykuły, usiłując zrozumieć niuanse. Podejrzewałam, że jeden czy dwa teksty miały być lekko humorystyczne, ale szczegóły mi umykały.

- Mogę przynieść panience coś z bufetu? - spytał Andy, przerywając mi lekcję.

Umierałam z głodu i pomyślałam z miną winowajcy o kopercie z pieniędzmi w kieszeni. Anna twierdziła, że nigdy nie należy przyjmować poczęstunku od nieznanomych mężczyzn. Po zastanowieniu uznałam, że muszę być ostrożna.

- Nie, dziękuję.

Uchylił kapelusza i ruszył powoli wagonem, objijając się o ławki po obu stronach przejścia w rytm kołysania pociągu. Kilka minut później wrócił z dwiema butelkami mleka i dwiema papierowymi torebkami czekoladowych biskwitów. Jedną butelkę i torebkę wcisnął mi w rękę.

- Proszę wybaczyć, panienko. Czułbym się strasznie źle, siedząc i pałaszując sam naprzeciwko panienki - powiedział i podniósł własną torebkę biskwitów. - Przepraszam za zuchwałość.

- Dziękuję - rzuciłam i pociągnęłam z butelki.

Mleko było lekko skwaśniałe, bliskie fermentacji, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Piłam zachłannie wielkimi hausta-

mi i starałam się nie wepchnąć do ust wszystkich herbatników naraz. Po raz pierwszy od dwóch dni ktoś okazał mi dobroć.

- Była panienka głodna - zauważył Andy. Przełknęłam to, co miałam w ustach, nagle zażenowana.

Złożyłam gazetę i mu ją oddałam.

- Ja dziękuję ci. Panie Turnbull. Widelce uprzejmie. Uśmiechnął się.

- Zabawna jest panienka.

Odwróciłam się do okna - może w Anglii byłam zabawna. Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam też kiedy, ale opuściliśmy już Londyn i pędziliśmy teraz przez soczyście zielone pole. Zaczęło padać, krople deszczu bębniły o szyby. Mijaliśmy chowające się pod kępami drzew krowy i mokre wełniste owce, i wezbrane rzeki przelewające się przez brzegi. Stacyjki stały się mniejsze, a czas dojazdu do kolejnych się wydłużał. Miejsce wijących się wzdłuż torów tłuczniowych dróg zajęły gruntowe, zamienione przez ulewę w błotnistą zupę. Plułam sobie w brodę, że spakowałam płaszcz przeciwdeszczowy na samo dno kufra. Wagon powoli pustoszał; Andy wysiadł w Salisbury, uchyliwszy kapelusza na pożegnanie.

Pociąg zwolnił. Widziałam ogromniaste wiejskie rezydencje, każda rozmiaru kamienicy, porozrzucane na morzu zieleni niczym oceaniczne liniowce. Po obskurnej szarości miasta miałam wrażenie, że nie patrzę na rzeczywistość, a teatralną scenografię maźniętą nieprawdziwymi kolorami. Trawa była zbyt zielona, a kępy pierwiosnków przy torach jaskrawo połyskliwe jak świeże masło. Deszcz zniknął tak nagle, jak się pojawił, słońce wyjrzało chyłkiem zza chmury, niebo poprzecinały pasma błękitu i zielony grunt załśnił. Słuchałam obco brzmiących nazw miejscowości wykrzykiwanych przez kierownika pociągu: „Następna stacja Templecoomb... Przesiadka do Blandford Forum

i na pociąg osobowy do Sturminster Newton... Następna stacja Dorchester..."

Zrobiłam się senna, nogi i ręce miałam sztywne, skronie pulsowały rytmem pociągu. W wagonie było duszno, otworzyłam szarpnięciem okno, wychyliłam się na zewnątrz i radowałam wiatrem, który owiewał mi policzki i ciągnął za szpilki przytrzymujące włosy. Rozchyliłam usta i poczułam smak soli. Powietrze było czyste i pachniało wrzosem, zaczęłam przeczesywać wzrokiem horyzont w poszukiwaniu przebłysku morza. Mknęliśmy wzdłuż dzikich wrzosowisk przeplatanych zaroślami i czarnymi pasami lasów. Drzewa ciągnęły się w dal bez końca jedną masą rozkołysanej, falującej zieleni, która to się wznosiła, to opadała na pagórkach.

- Następna stacja Wareham. Wareham następna stacja! - zawołał kierownik, przemierzając śpiesznie pociąg.

Wstałam szybko z szaleńczo walącym sercem, chwyciłam torebkę i futerał z altówką. Zachwiałam się, kiedy pociąg szarpnął i zahamował, rozdygotanymi rękoma chwilę szarpałam się z drzwiami i w końcu wysiadłam na peron. Przerazona, że skład odjedzie z moimi bambetlami, zawołałam kierownika i pognałam do wagonu bagażowego.

- Które to panienki? Proszę się pospieszyć. Pociąg musi odjeżdżać.

Pół minuty później stałam sama na peronie. Rozdarty plakat nakazujący czytelnikom pić jasne ale Eldridge Pope łopotał na wietrze, a gdzieś w oddali czekał pies. Patrzyłam, jak pociąg się oddala, zmniejsza do rozmiaru ślimaka i niknie w lasach. Potem usiadłam na kufrze i czekałam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Siedemnaście bram

Elise Landau?

- Tak?

Podniosłam głowę i zobaczyłam szczupłego, lekko przygarbionego mężczyznę, dobrze po siedemdziesiątce. Stał na końcu peronu i w nabożnym skupieniu ciągnął dym z cybucha fajki. Podeszedł do mnie nieśpiesznie i rzucił okiem na moje bagaże.

- Panyne?

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc. Wyjął z ust fajkę i wyartykułował z przesadną starannością.

- Te tutaj toboły to panine?

- Tak.

Mrucząc coś pod nosem, odszedł peronem tym samym powolnym krokiem i pojawił się po kilku minutach z wózkiem. Z zaskakującą łatwością dźwignął bagaże i potoczył je na wózku przed budynek stacji.

- Pan Bobbin nie lubieje czekać - powiedział szorstko.

Usiłowałam przygłodzić włosy i sukienkę, przebierając jednocześnie nogami, żeby za nim nadążyć. Wiedziałam z doświadczenia, że wszyscy szoferzy to niecierpliwcy. Staruszek zaprowadził mnie na brukowany dziedziniec, gdzie stało eleganckie auto z pracującym silnikiem, ale przeszedł obok niego i zatrzymał się przy rozklekotanym drewnianym wozie, do któ-

rego zaprzężony był zwalisty koń pociągowy z pyskiem w torbie obroku.

- Pan Bobbin - powiedział i westchnął z zadowoleniem. W Wiedniu nadal widywało się jeszcze wtedy bryczki i wozy,

ale należały do druciarzy i węglarzy albo farmerów wożących płody rolne na rynek. Z tego co zrozumiałam, pan Rivers był zamożnym człowiekiem i tym samym, wedle moich szacunków, właścicielem co najmniej jednego samochodu. Doznałam dziwnego wrażenia w żołądku, gdy dotarło do mnie, że pan Rivers istotnie może i ma elegancki samochód, ale po prostu nie uznał za stosowne wysłać nim szofera po nową pokojówkę. Stałam, czekając, podczas gdy starszy bezceremonialnie wrzucił moje bagaże na tył wozu, wgramolił się na kozioł, wyciągnął rękę i jednym ruchem silnego ramienia podciągnął mnie na górę.

- Może sięść na tyle albo kole mnie.

Tył wozu zaścielały puste worki na zboże, najróżniejsze narzędzia rolnicze i rozwalone skrzynki. Zobaczyłam błysk kosi i dałabym głowę, że coś się rusza pod kawałkiem brezentu. Postanowiłam usiąść na przedzie.

- Jak się pan nazywa? - spytałam, sadowiac się na drewnianej ławeczce.

- Arthur Tizzard. Ale może panna mówić mi Art.

- Jak na obraz*?

Zaśmiał się niskim chichotem z głębi piersi.

- Ano. Nie jenacej.

Ruszyliśmy przez Wareham, pierwsze angielskie miasteczko, które dane mi było oglądać. Budynki były niskie, w większości wzniesione ze spłowiełej czerwonej cegły i kryte dachówką, niektóre bielone, z odłazającym miejscami wapnem, tu i ówdzie

* *Art* (ang.) - sztuka (przyp. tłum.).

migała brązowa strzecha. Górne piętra zachodziły na chodnik głównej uliczki niczym szczeka Frau Schmidt na zuchwę. Było popołudnie, większość okiennic zamknięta i mało ludzi na zewnątrz. Ci nieliczni nie zdawali się nigdzie spieszyć. Jakiś chłopiec pchał rower z koszykiem wypełnionym cętkowanymi jajkami. Na jednej z werand siedziała kobieta i paliła, a pod jej spódnicą dziecko bawiło się w „a kuku”. Koła wozu chrzęściły na drodze, kopyta Pana Bobbina stuk-stukotały. Przejechaliśmy przez most, gdzie z tuzin żaglowych łodzi podskakiwało na cumach, i minęliśmy okazały pub, przed którym mężczyźni sprzeczali się nad kartami ospale, jakby nie przejmowali się specjalnie wynikiem rozgrywki, tylko czerpali leniwą przyjemność z samej kłótni. Po kilku minutach wyjechaliśmy z miasteczka i zaczęliśmy z trudem posuwać się prostą drogą biegnącą przez moczary: ptaki wylatywały z trzcin i wlatywały z powrotem, a powietrze cuchnęło błotem i wilgocią. Płaski teren roił się od małych sadzawek ciemnej wody pełnych pływającego ptactwa. W pewnej chwili mignęło mi w powietrzu białe skrzydło i zaraz na ziemi wylądował czarnodzioby łabędź z głuchym zawodzeniem, które utonęło w wietrze. Dokoła bagniska ciągnęły się rzędy wzgórz, niektóre porośnięte rozkołysanymi łąkami, inne ciemnym lasem.

Na rozstajach, bez instrukcji Art, Pan Bobbin samodzielnie skrzył ostro w prawo i po chwili zostawiliśmy trzęsawiska za sobą i znowu zaczęliśmy się wspinać stromą drogą w coraz bardziej pagórkowatym terenie. Nadal nie widziałam nigdzie morza i, stając na siedzeniu, starałam się wypatrzeć je za pasmem zielonych wzgórz.

Art zachichotał.

- Poczkaż panna. Wraz obaczysz.

Po obu stronach drogi pojawiły się gęste drzewa i tylko od

czasu do czasu migały mi gdzieś pagórkowate pola i biało-niebieski marmur nieba. Na szczycie wzniesienia ujrzałam elegancki dworek z kamienia, na wpół zasłonięty przez usiane szkarłatnym kwieciami różaneczniki.

- Creech Grange - powiedział Art.

Grzbiet Pana Bobbina parował od potu i ślina pienila się dokoła kielzna. Art nachylił się do przodu i zanucił kilka słów zachęty:

- No, wista wio, dalejże, ty stary miglancu, ciongnij. Droga robiła się coraz bardziej stroma, koń oddychał coraz

bardziej chrapliwie, wóz jechał coraz wolniej i wolniej, aż w końcu dotarliśmy do wyciętej w zboczu mijanki i Art zatrzymał wóz.

- No, zsiądźże panna. Panu Bobbinowi trza odzipnąć.

Zadowolona, że będę mogła rozprostować kości, zeskoczyłam z kozła. Wylądowałam na wilgotnej kępie mchu, ale poślizgnęłam się, poleciałam na pupę i otarłam sobie ręce, próbując zamortyzować upadek. Art mnie podniósł i otrzepał z ziemi niczym pięciolatkę, cmokając z niezadowolaniem wypisz wymaluj jak Hildegarda.

- Aj. Panna nie masz sposobnych trzewików. Musowo gumiaki trza nosić. Masz, panna, rozetrzej to na obetarciach.

Wręczył mi butelkę i wyciągnął korek. Pociągnęłam nosem i poczułam woń whisky.

- Nie, nie woniaj, ino polej. Pieruńsko piecze, ale nie bendzie się babrało. Nauczył się zech tego na wojnie.

Zrobiłam, jak radził - spryskałam kilkoma kroplami otarte dłonie i sapnęłam z bólu, gdy alkohol wsączył się w skaleczenia, a ja poczułam mrowienie ognia.

Art zachichotał.

- No, a tera chlapnij se panna zdrowo.

Anna miała bardzo sprecyzowane zdanie w kwestii dam

i wysokoprocentowych trunków: nie idą w parze. Ale Anna była daleko. Pociągnęłam z butelki i poczułam pieczenie w gardle, jakbym połknęła rozgrzane do czerwoności igły.

Ruszyliśmy wzgórzem: Art z ręką na wilgotnym boku Pana Bobbina, a ja kuśtykając na obolałych, posiniaczonych nogach. Zastanawiałam się, co powiedziałyby Margot, gdyby mnie teraz zobaczyła: moką, brudną i powalaną błotem, z rozczochranymi włosami, uwolnionymi spod kurateli szpilek. Posuwaliśmy się powoli, bo co kilka minut drogę zagradzały nam kolejne wiekowe drewniane bramy. Koń przystawał i cofał się, kiedy Art podnosił skobel i otwierał wrota. Na przestrzeni niecałej mili naliczyłam ich jedenaście, ale nie przeszkadzało mi wolne tempo naszego marszu. Powietrze przepelniał zapach mokrej ziemi i nieznanymi mi kwiatów. Owady bzyczały i spadały z niskich gałęzi na włosy i policzki. Strzepywałam je, rozmazując czarną maź na skórze. Gęsty szpaler drzew kapał wszystko w zielonej poświacie, a ja ślizgałam się i potykałam o kamienie pod stopami. Pod drzewnym baldachimem było wilgotno, miałam wrażenie, że cała się lepę, i czułam wstyd z powodu ciemnych plam potu, które wykwitły mi na bluzce. Wreszcie na końcu szpaleru pojawił się biały wyłom dziennego światła zatarasowany przez kolejną bramę. Koń znowu przystanął, Art znowu podniósł rygiel i wyszliśmy na słońce. Powietrze z miejsca się zmieniło. Poczułam smagnięcie słonego wiatru, który rzucił mi włosy na twarz, i zobaczyłam, że stoimy na samym szczycie pasma wzniesień. Po obu stronach teren opadał w kierunku morza. Na prawo roztaczała się koronka srebrzystoszarych rzek, które przepływały przez zielone pola, nakrapiane brązowo-białymi grzbietami krów. Sadowki migotały niczym lusterka dam i robiły się coraz większe i większe, aż w końcu wpadały do ogromnego szarego morza. Na odległej plaży pieniały się fale i wyobrażałam so-

bie, że słyszę nie zawodzenie wiatru na szczycie nieosłoniętego wzgórza, ale szum oceanu. Na lewo dywan ostrych traw opadał w ocienioną dolinę, utworzoną przez zbocza wzgórz. Koń sapał i dyszał, a Art pykał z fajki.

- Dolina Tyneford - powiedział. - Czuje panna? Popatrzyłam na niego, potem na żółtą plażę przed nami.

Czułam zapach wrzosu, dymu drzewnego i coś jeszcze, coś nieuchwytnego, czego nie potrafiłam wyrazić słowami. Art zachichotał.

- Ano. Na kaźden jeden działa. Czar Tyneford. - Odwrócił się i obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. - Nie gada panna wiela, nie? Niechtóre nowe pokojowe pytlujom bez przestanku.

Uśmiechnęłam się, zastanawiając się, co pomyślałby Julian o tej diagnozie: cicha dziewczyna, która nie trajkocze jak inne. Minał zaledwie tydzień, a już by mnie nie poznał. Nie byłam cicha - to nieznanomość angielskiego więziła mnie w milczeniu. Bardzo pragnęłam wypytać Arta o pana Riversa, panią Ellsworth, Tyneford i nazwę zatoki, która migotała w oddali, i czy można bezpiecznie popłynąć do tych skał, na których siedziały mewy, i co to za ptak z długim pierzastym ogonem, który wypadł z krzaków z pieśnią słodką jak miód. Pytania przewalały mi się przez głowę i cisnęły na usta, jednak nie potrafiłam przyoblec ich w słowa. Szłam zatem obok konia oniemiała i pozwalałam, żeby Art brał mnie za miłą, cichą dziewczynę.

Podtrzymał mnie pod łokieć, kiedy gramoliłam się z powrotem na wóz, zadowolona z możliwości odpoczynku. Byłam w podróży cały dzień i głowa zaczynała mnie boleć. Droga była wąska, poprzetykana tu i ówdzie kępkami zakurzonej trawy lub matowozielonymi pasami wyrastających na środku ostów. Pan Bobbin człapał z mozołem, a ptaki szybowały wte i wewte albo ćwierkały jak szalone wśród niskich kolcolistów. Bezkresne nie

bo rozciągało się od wzgórz po szaroniebieski horyzont, gdzie stapało się z morzem. Odchyliłam się, by popatrzeć na pędzące obłoki, i zakręciło mi się w głowie na myśl o własnej małości, miałam wrażenie, że jestem tylko piórkem na skrzydle jednej z brązowogrzbietych gęsi, które pikowały w górze.

Pan Bobbin skręcił w lewo i dreptał powoli, ślizgając się i potykając na luźnych kamieniach. Tu trakt zrobił się węższy i opadał ostro w dolinę Tyneford. Dzikie kwiaty i krzewy ocierały się o skrzynię wozu po obu stronach, a maleńkie główki trybuli leśnej odrywały się od łodyżek, wciskając między drewniane listwy boczne i szprychy kół. Maciupki cętkowany ptaszek postanowił przejechać się okazją na sfatygowanej skrzyni na mleko z tyłu. Kolejny ciąg bram przecinał drogę i Art co rusz zeskakiwał, żeby je otwierać. Bydło i owce pasły się swobodnie na poboczu, czasami zachodziły nam drogę, a wtedy syczał i pokrzykiwał:

- Sio, sio. Poszły, wy kościste france.

Przeprowadził nas przez ostatnią bramę i obok pary niskich chatek, których kamienne ściany porośnięte były bluszczem, a z kominów unosił się dym. Więcej podobnych i kilka większych domów zbudowanych z takiego samego szorstkiego szarego kamienia zobaczyłam przy wąskiej uliczce, która biegła w kierunku pompy wodnej i małego kościółka, ale koń, nie czekając na polecenie, skręcił w lewo i nieśpiesznie ruszył aleją rozkołysanych lip. Młode listowie zieleniło się, jaskrawe i delikatne, na wznoszących się nad nami drzewach, ich konary przypominały masę splecionych dłoni i rąk.

Dwór zobaczyłam, dopiero kiedy prawie do niego dotarliśmy. Sponad szczytów lip sterczały kominy i blaszany wiatrowskaz w kształcie statku, który halsował na wietrze, i wydawało się, że żegluje po morzu zielonych liści. Potem zauważyłam błysk światła i okna północnego poddasza zamigotały między drze-

wami. Wstałam podekscytowana, żeby zobaczyć coś więcej, i kiedy wyjechaliśmy z alei, przed nami wyłonił się Tyneford. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego wrażenia: okazały dwór, wytworny i bezpretensjonalny jednocześnie, zbudowany z innego kamienia niż chatki, które mijaliśmy - ciepłóżółtego, który lśnił w promieniach słońca. Z boku domu znajdował się gotycki portyk, na fasadzie z piaskowca wyryta była rodowa tarcza herbowa, para kamiennych róż w każdym rogu, a zachodnie okna obrzeżały pnącza starej wisterii z masą ciężkiego, rozkołysanego wiatrem kwiecica. To nie tyle piękno samego budynku uderzyło mnie najbardziej tego popołudnia i wiele razy później, ile ma-lowniczość otoczenia: mało jest miejsc w Anglii, gdzie natura dokonałaby większych cudów. Bukowe zagajniki okalały park, a dom stał na wzniesieniu, na którego tyłach rozciągały się zbocza wzgórz. Przez całą długość budynku biegł elegancki taras, z którego schodziło się po schodkach na aksamitne pasy opadającej w kierunku morza murawy. Wszystkie frontowe okna wychodziły na zatokę, która skrzyła się, spokojna i zniewalająca. Ponownie poczułam tę dziwną woń: tymianku, świeżo przekopanej ziemi, potu i soli.

Art skierował wóz do ceglanych budynków stajennych na dużym dziedzińcu z tyłu domu. Wyprzął Pana Bobbina i zaczął myć go wężem. Zeszłam z wozu i stałam zakłopotana na brukowanym podwórzu, słuchając szumu morza.

- Tam. - Wskazał drewniane drzwi na tyłach domu. - Zmykaj, panna, sio. Za chwilę przyniesie panny bagaże.

Ściągnęłam brwi, uświadomiwszy sobie, że zwraca się do mnie dokładnie tym samym tonem, jakim strofował niesforne bydło. Dopiero później odkryłam, że był to wyraz wielkiej czułości i zaufania. Istniało bardzo niewiele dwunożnych stworzeń, które Art miał w poważaniu. Dwóch młodych stajennych wy-

szło z któregoś z boksów i jeden zaczął szcztokować Pana Bobbina, a drugi przytaszczył duże wiadro wody. Gapił się na mnie z otwartą szeroko buzią i ochlapał Artowi buty.

- Ty durny, niezgułowaty gałganie... - zaczął złorzeczyć staruszek, więc postanowiłam opuścić podwórze, zanim i mnie się dostanie.

Za tylnymi drzwiami ciągnął się ciemny korytarz zalatujący wilgocią i myszami - mdlącą wonią zbliżoną do smrodu moczu. Ściany były pobielone, ale małe szczelinowe okna prawie nie przepuszczały światła. Zza zamkniętych drzwi na końcu korytarza dochodziły głosy. Zapukałam, niepewna czy chcę, by ktoś otworzył. W domu wprawdzie zawsze wkraczałam do kuchni z najwyższą ostrożnością, ale tam miałam przynajmniej świadomość, że Hildegarda musi się kontrolować - moja matka była jej pracodawczynią. Drzwi otworzyły się gwałtownie, rzucając mnie na ścianę.

- O, a ty czego tu sterczysz? - spytała korpulentna dziewczyna w białym fartuchu i czepku.

- May Stickland. Przestań się wałkonić, przynieś te ziemniaki i wracaj.

- Ano. Ino w korytarzu czai się jakaś dziewczucha - powiedziała May.

- No to ją wprowadź.

Weszłam za nią do kuchni - dużego i nowoczesnego pomieszczenia z błyszczącym rzędem wyłożonych płytkami blatów oraz wielkim drewnianym stołem na środku, wtedy akurat powalany mąką i zarzuconym foremkami do ciasta. Półki z naczyniami kuchennymi zwieszały się na hakach nad dużą żeliwną kuchnią, a w słojach obok dwukomorowego ceramicznego zlewu tłoczyła się armia drewnianych chochli i łyżek. Przez umieszczone wysoko okna wprawdzie niewiele było widać, ale

do środka wlewało się słońce, podświetlając drobinki mąki, które wirowały w powietrzu niczym śnieżynki. Wiedziałam, że Hildegarda rozszlochałaby się z radości już na sam widok takiej kuchni - to byłby jej Xanadu. Ochmistrzyni, pani Ellsworth, królowała za stołem, otoczona przez tortownice, osełkę masła, pojemnik z mąką, opakowania przypraw i drożdże. Siwe włosy miała ściągnięte w schludny koczek, skórę pomarszczoną i ogorzałą, jakby wiele czasu spędzała na powietrzu, mimo swej pozycji udzielnej władczyni tego domowego królestwa. Na wy-krochmalonej białej koszuli i szerokiej czarnej spódnicy tkwił przewiązany w pasie odprasowany fartuch.

- Elise Landau - nie tyle spytała, ile oznajmiła, i nie bardzo wiedziałam, co na to rzec.

Sięgnęłam do kieszeni, wyciągnęłam kopertę z Agencji Służby Domowej Mayfair i jej podałam. Otworzyła ją i zerknęła na zawartość: kilka monet i paragon za bilet kolejowy.

- Nie jadłaś lunchu? Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś, by jakiś młodzieniec kupował ci przekąski, moja panno?

Milczałam i modliłam się, żeby policzki nie oblały mi się pąsem. Pani Ellsworth cmoknęła i skinęła na May.

- Daj dziewczynie trochę chleba i masła. Musi być głodna. Bez obiadu, słyszane rzeczy. Mam nadzieję, że nie należysz do tych kontynentalnych niejadków. Nie mam czasu na chu-derlawe dziewczyny.

- Przypatrzyła mi się szarymi oczyma. -No, nie wyglądasz na jedną z tych niedojadających pannać. Za dużo roboty na ciebie czeka, żebyś mi tu słabowała, pamiętaj - ostrzegła.

- Nie gada za wiele - skonstatowała May, stawiając przede mną talerz z chlebem i białym serem.

- No, tobie na pewno by nie zaszkodziło, gdybyś mniej mówiła - powiedziała pani Ellsworth i May szurnęła chyłkiem do

zlewu, gdzie mogła zmywać naczynia i obserwować sytuację, nie narażając się na połajanki.

Ochmistrzyni odwróciła się do mnie:

- Rano wprowadzę cię w twoje obowiązki. Dziś wieczorem możesz się wcześniej położyć.

Potaknęłam bez słowa z ustami pełnymi chleba i sera. Przesunęła w moją stronę po blacie stosik świeżo upranych rzeczy.

- Chcę, żebyś jutro to włożyła. I będziemy musiały porozmawiać o twoich włosach.

Wytarłam ręce o spódnice i podniosłam ubranie: biały czepek i fartuszek. Były to insygnia mojego nowego życia i z miejsca je znienawidziłam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pan Rivers

Położyłam się wcześniej w małej facjatce. Miała pochyłe ściany i wyprostować się całkiem mogłam jedynie w jej części, więc leżałam na łóżku (w swojej bawełnianej piżamie, wreszcie odważywszy się zdjąć sukienkę bez lęku przed pchłami) i gapiłam się na chropawe belki sufitowe. Nie zostały oszlifowane i na całej ich długości widać było poszarpane ślady po pile - kto by tam zawracał sobie głowę gładzeniem belek w służbówce. Ale pokoiak był nieskazitelnie czysty, świeżo pobielony i gdyby tylko miał maleńki kominek, mógłby uchodzić za przytulny. Ustawiłam fotografie rodziny i Wiednia na komódce. Belweder wyglądał raczej osobliwie w tym spartańskim otoczeniu. W pomieszczeniu nie było ani grzejnika, ani przełącznika światła, więc leżałam przy świeczce i czułam się jak jedna z operowych heroin Anny, gdyby nie panujący ziąb, mój podły nastrój i brak owacji publiczności. Przez maleńkie okienko widziałam niebieskoszary skrawek morza, który zmienił się w połyskliwą czerń wraz z nadejściem zmierzchu. Ktoś zapukał do drzwi i wsunął pod nie białą kopertę.

Zerwałam się i owinięta kołdrą poczłapałam do drzwi, ale kiedy je otworzyłam, nikogo za nimi nie było. Zakradłam się na korytarz i rozejrzałam na wszystkie strony. Żywej duszy. Wzruszyłam ramionami, wróciłam do sypialni i podniosłam list. Zo-

baczyłam stempel Wiednia i pełne zawijasów pismo Margot. Rozerwałam kopertę i zaczęłam czytać.

Pomyślałam sobie, że się ucieszysz, gdy dostaniesz list zaraz po przyjeździe. Kiedy go piszę, jeszcze nie wyjechałaś. Słyszę, jak kłócisz się z Tatą w jego gabinecie - znowu oszukiwałaś w tryktraka. Ale już za Tobą tęsknię. Jesteś tu, a mnie już Ciebie brakuje. Mam nadzieję, że smakowała Ci czekolada. Jeszcze jej nie spakowałam, ale to zrobię. I wiem, że kiedy będziesz czytała ten list, już dawno nie będzie po niej śladu. Prawdopodobnie pochłonęłaś całą za jednym posiedzeniem, tak że na pewno zrobiło Ci się niedobrze, a następnego dnia byłaś głodna.

Słyszałam, że w Dorset są muszle, które wygrywiają doskonale środkowe c. Chcę, żebyś jedną znalazła - będziemy mogły wtedy razem pomuzykować. Ja zagram na altówce, a Ty będziesz gwizdała na konsze.

Prychnęłam. Margot zawsze stawiała na rzesach, żeby włączyć mnie w swoją muzykę - zupełnie jakbym była ślepa, a ona musiała wymyślać sposoby na pokazanie mi świata. Dawno już zarzuciłam próby wytłumaczenia jej, że uwielbiam słuchać utworów muzycznych, ale nie odczuwam chęci ich wykonywania. Znajdę jej tę muszlę i zawiozę do Nowego Jorku, może wtedy uświadomi sobie wreszcie, co to za nedorzeczny pomysł. Na samą myśl o Ameryce poczułam ból w piersi. Znajdowała się jeszcze dalej ode mnie niż Wiedeń, za jeszcze większym morzem.

Posłuchaj Hildy i czytaj panią Beeton. Anna twierdzi, że wszystkie Angielki z niej korzystają. Musisz starać się dobrze sprawować, Fasolko. Spróbuj nie wylecieć ze służby u pana

Riversa. Przynajmniej do czasu, kiedy nie zdobędziemy dla Ciebie amerykańskiej wizy. Wtedy będziesz mogła wparadować do salonu w porze herbaty wyskubać czereśnie z ciasta i nawtykać wszystkim jak leci, zupełnie jak w domu i dać się zwolnić z hukiem i przyjechać czym prędzej do Kalifornii a ja wtedy nieziemsko ucieszę się na Twój widok i opijemy to szampanem. Jednak do tego czasu musisz być grzeczna.

Uszczypnęłam się w ramię, żeby się nie rozpłakać. To przez ten brak przecinków - miało się wrażenie, że Margot trajkocze bez chwili wytchnienia, zdyszana jak to się jej zdarzało w chwilach rozgorączkowania. Czasami jej nienawidziłam, ale lubiłam nienawidzić z bliska. Wiedziałam, że będąc tak daleko, szybko zapomnę, jak bardzo mnie irytowała, i zacznę za nią tęsknić z bólem, który stanie się nie do wytrzymania. Zmrużyłam oczy i skoncentrowałam się na wszystkim, czym tak skutecznie zalewała mi sadła za skórę: podkradała moje książki i podkreślała ustępy, które jej się podobały, fioletowym atramentem, paradowała po mojej sypialni w jedwabnej bieliźnie, kłując mnie w oczy swoim pierwszorzędnym biustem, czasem, gdy się kłóciłyśmy, chwytając w palce oponkę tłuszczu na mojej talii i zawsze wyglądała w moich ubraniach lepiej ode mnie. Nie, nic z tego ani trochę nie zmniejszyło tęsknoty - nienawiść do siostry była luksusem należącym do starego życia. Z pożądliwą niecierpliwością wyczekiwałam chwili, kiedy znowu będę mogła jej nie cierpieć. Podeszłam do lusterka opartego o prostą drewnianą toaletkę i przyłożyłam biały czepek służącej do włosów. Nawet Margot nie wyglądałaby w nim dobrze, choćby spędziła godzinę w łazience z brzoskwiniową szminką, pudrem

i różem sprowadzonym z Paryża. Rzuciłam go na podłogę z odrazą i kopnęłam gołym palcem.

Kiedy byłam w kuchni z panią Ellsworth, Art przytaszczył moje bagaże i postanowiłam teraz je rozpakować. Nigdy wcześniej nie robiłam tego sama, zawsze mieliśmy pokojówki do takich zadań, a kiedy musieliśmy je zwolnić, Hildegarda i żydowska pomoc domowa na przychodne utrzymywały nasze szafy w porządku, i czysta bielizna dalej pojawiała się w szufladach co miesiąc, wykrochmalona i równiutko złożona. Po raz pierwszy od wyjazdu z Wiednia otworzyłam kufer i podniosłam wieko. Jakżeby inaczej, ogromne *Vademecum pani domu* autorstwa pani Beeton leżało na wierzchu, niczym wysiadująca jajka kwoka. Niemal się ucieszyłam na jego widok, bo to było tak, jakbym miała kawałek Hildegardy ze sobą. Nadal nie zamierzałam jednak go czytać. Powpychałam bieliznę w szuflady komody, potem wyciągnęłam spódnice i suknie i rozłożyłam je starannie na łóżku. Wśród przyborów toaletowych miałam małą żyletkę. Usiadłam po turecku na kołdrze i zabrałam się do rewindykowania kosztowności ze schowków, starając się nie pociąć sobie palców i nie pokrwawić ubrań. Obmacywałam zakładkę każdej spódnicy przed odwieszeniem jej do szafy i wkrótce miałam przed sobą małą kupkę złota, którą wepchnęłam do pończochy i wsunęłam w głąb jednej z szuflad. Anna zapakowała w kilka warstw bibuły bladuróżową suknię wieczorową, w której wystąpiłam ostatniego wieczoru w Wiedniu. Nie miałam pojęcia, kiedy zdołała przemycić ją do bagaży, i choć wiedziałam, że nigdy nie będę miała okazji nosić tu takiej toalety, pomyślałam, że z radością powieszę ją obok swojej garderoby jako przypomnienie lepszych czasów. Kiedy ją podniosłam, zauważyłam, że rąbek marszczy się, jakby wewnątrz coś było schowane. Sięgnęłam po

żyłkę, przecięłam dodatkowy szew i ostrożnie wyciągnęłam sznur białych kulek. Perły Anny.

Wieczór powoli dogasał i przechodził w ciemność nocy, a ja siedziałam na łóżku i nasłuchiwałam szumu fal na plaży. Przebiegłam palcami po gładkich, migoczących w blasku świec perłach, białych niczym krople mleka. Ten przeszmyglowany naszyjnik zdradzał niewiarę Anny, że kiedykolwiek jeszcze zobaczymy się w Nowym Jorku. Przesuwałam go między palcami raz po raz, nie chcąc założyć na szyję w obawie, że mnie udusi.

Zapadłam w niespokojny, naznaczony odgłosami morza sen. Podróżowałam statkiem do dalekich lądów, jednak nie do Ameryki, wiedziałam, że płyniemy w odwrotnym kierunku niż Julian, Anna i Margot. Krzyczałam na kapitana, żeby zawrócił, ale dwóch muskularnych marynarzy o wilczych twarzach chwyciło mnie pod ramiona i wrzuciło do morza. Wymachiwałam rękoma i nogami i kiedy próbowałam krzyczeć, płuca zalała mi szczypiąca słona woda. Obudziłam się z krzykiem zlaną potem, w pościeli tak mokrej, jakbym wylała na nią wiadro wody. Śweczka się wypaliła i dokoła panowała nieprzenikniona ćma. Brałam głębokie oddechy, wciągając i wypuszczając powietrze, wciągając i wypuszczając, dopóki serce nie zaczęło bić miarowo. Wtedy postanowiłam pójść przemyć twarz.

Ruszyłam korytarzem, boso i po omacku, badając otoczenie rękoma, jakbym bawiła się sama ze sobą w ciuciubabkę. Nigdy nie bałam się ciemności ani odgłosów nocy i teraz też starałam się nie dopuścić do siebie strachu. Wcześniej w drodze na górę nie zauważyłam nigdzie łazienki, a gdy spytałam o możliwość skorzystania z toalety, zostałam skierowana do wygodki na zewnątrz. Kilka par drzwi odchodziło od korytarza, ale nie

chciałam przeszkadzać May lub innym służącym, które mogły już spać, i postanowiłam przemknąć się chyłkiem na podwórze i obmyć twarz na zewnątrz w chłodnym powietrzu. Schody dla służby tonęły w mroku. Z ręką na poręczy i cudem tylko nie poślizgnąwszy się na wąskich stopniach, zesłam po omacku na korytarz przy kuchni i szybko pomknęłam do tylnych drzwi. Nie były zamknięte na klucz i wyszłam prosto na rozświetlony księżycową poświatą dziedziniec.

Bruk był zimny pod stopami i śliski od rosy. Kiedy się potknęłam, uderzając palcem o nierówny kamień, przemknęło mi przez głowę, że rozsądniej byłoby włożyć wcześniej buty, ale w tamtym okresie rozsądek nawiedzał mnie tylko, gdy było już po ptakach. Srokaty łeb Pana Bobbina spoczywał na drzwiach stajni: koń miał zamknięte oczy i cicho pochrapywał. Uśmiechnęłam się - nigdy wcześniej nie słyszałam chrapiącego konia -co najwyżej Juliana, kiedy wypił zbyt dużo brandy z karafki w jadalni po dobrym obiedzie.

W nocnym powietrzu czuło się ziąb i zadygotałam w wilgotnej piźniamie, ale podobała mi się panująca dokoła cisza. Oprócz mnie nie było nikogo w pobliżu i poczułam radość. Chwilowo nie musiałam się zamartwiać, jak się zachować, co powiedzieć, jakich słów użyć i gdybym chciała, mogłabym hasać sobie po całym dziedzińcu w dzikich lansadach bez obawy, że ktoś mnie obsztorcuje za niestosowne narowy. Przeciągnęłam się z lubością, wystawiając goły brzuch, i ziewnęłam zgoła nie jak dama. Przepocone włosy oblepiały mi twarz, zdecydowałam więc, że mimo chłodu się umyję. Na środku podwórza znajdowała się staroświecka pompa na wodę z żelaznym ramieniem. Widziałam wcześniej, jak korzystał z niej chłopiec stajenny, szorując Pana Bobbina. Naśladując jego ruchy, podnosiłam i opuszczałam wajchę dopóty, dopóki na stopy i kocie łby nie poleciał nieprze-

rwany strumień. Klęknełam wtedy, wsadziłam pod niego głowę i dalej pompując, zdołałam splukać włosy i cała się ochłapać. Zimno pozbawiło mnie tchu i wyrugowało z głowy wszystkie myśli, zostawiając tylko doznanie piekielnie lodowatej wody na włosach, policzkach i szyi. Nie było nieprzyjemne, a zimny strumień przegonił na chwilę wszystkie kłębiące się w głowie troski. Pompa skrzypiała i piszczała, wypełniając pusty dziedziniec hałasem, i minęła dobra chwila, zanim zdałam sobie sprawę, że ktoś do mnie mówi.

- Przepraszam?

Podniosłam się gwałtownie i uderzyłam głową o pompę. Poczułam przeszywający ból nad okiem i kucnełam z powrotem, rozcierając sobie czoło. Chwilę później ukląkł przy mnie mężczyzna i odgarnął mi włosy z twarzy.

- Krew ci leci? Czy to woda? Nie widzę. Chodź do światła. Dałam się poprowadzić w róg dziedzińca, gdzie na stopniu

do wsiadania na konia stała żółta lampa naftowa. Mężczyzna dotknął mojego czoła w miejscu, gdzie się uderzyłam. Byłam zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć mu w oczy, i wbiłam wzrok w swoje gołe, brudnawe palce u nóg.

- Nie, nic ci nie jest. Przepraszam. Nie chciałem cię tak wystraszyć.

Podniosłam głowę i zobaczyłam w mroku około czterdziestoletniego mężczyznę z ciemnymi włosami i cieniem uśmiechu igrającym w kącikach oczu. Anna uznałaby go za przystojnego, ale ja uważałam, że czterdziestoletni panowie są zdecydowanie za starzy, by mieścić się w tej kategorii.

- Christopher Rivers - przedstawił się.

- Elise Landau - rzuciłam i wyciągnełam do niego dłoń. Patrzył na nią przez chwilę, zanim ujął ciepło w obie swoje ręce. Przypomniałam sobie poniewczasie, że teraz jestem poko-

jówką i nie podaję dłoni dżentelmenom. Chwilę później dotarło do mnie jeszcze, jak dziwnie muszę wyglądać w jego oczach, stojąc nocą na środku stajennego dziedzińca w przemoczonej piżamie, i oblałam się pasem. Kiedy puścił moją rękę, skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Bardzo przyjemnie pana doznać - oświadczyłam.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Elise - zapewnił, starając się ze wszystkich sił stłumić uśmiech, który objął teraz także usta.

Wbiłam wzrok w bruk. Żaden mężczyzna wcześniej, z wyjątkiem Juliana, nie zwrócił się do mnie per „Elise”. W Wiedniu tylko ojcowie, bracia i kochankowie mogli mówić damom po imieniu. Garstka znajomych panów zawsze tytułowała mnie „Fraulein Landau” albo co najwyżej „Fraulein Elise” i kiedy teraz ten wysoki mężczyzna użył mojego imienia, zabrzmiało to bardzo intymnie.

- Mogę zasugerować, żebyś wróciła do środka? Jesteś trochę mokra, a nie chciałbym, żebyś się przeziębila.

- Tak... eee... Panie... Sir.

- Wystarczy panie Rivers.

Skinęłam głowę, wyjęłam wodę z warkocza na ziemię i odwróciłam się, żeby wejść do domu. Kiedy byłam już przy drzwiach, zawołał:

- Elise?

Przystanąłam z dłonią na klamce.

- Myślę, że najlepiej, żeby żadne z nas nie wspominało pani Ellsworth o tym spotkaniu. Zobaczymy się rano, tak jakbyśmy się w ogóle nie znali.

- Tak, panie Rivers.

Nie jestem pewna, czy była wtedy pełnia, ale jeśli nie, to powinna być. Ilekroć wracam myślą do tej nocy, widzę biały lam-

pion księżycyca nad dziedzińcem, słyszę wiatr szeleszczący wśród kęp piaskownicy. I, tak jak to w snach bywa, jestem jednocześnie tą dziewczyną w piżamie i jakąś inną mną, która ją obserwuje. Widzę, jak pan Rivers odgarnia włosy pokojówki, i czuję ciepło jego palców na swoim czole. Patrzę, jak ta druga Elise przechodzi przez podwórze i wślizguje się do ciemnego domu.

A potem leżę w ciemności i gapię się na poczerńiałe belki sufitu i owijam wilgotny warkocz dokoła ręki, owijam, owijam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak Samson nie zetną włosów

Pani Ellsworth wprowadziła mnie do głównej części domu przez obite zielonym suknem drzwi. Stanowiły granicę między dwoma światami - naszym i ich - równie nienaruszalną jak państwowa. Oprowadziła mnie po zachodnim salonie, pokazując zatrważający zestaw drogocennych porcelanowych dzwoneczków i antycznych netsuke, których miałam nie stłuc. Kolekcja srogolických przodków patrzyła na mnie spode łba ze skąpanych w mroku ścian: zasłony pokoju były dokładnie zaciągnięte, by chronić przed słońcem chińską tapetę z jedwabiu i marinę Turnera przedstawiającą skały w zatoce Mupe. Fale na obrazie rozбивały się bezgłośnie o skały błyszczące pod skłębionymi burzowymi chmurami. Głosem przepelnionym dumą pani Ellsworth poinformowała mnie, że to najcenniejsze płótno w całym domu, ubezpieczone na ponad dziesięć tysięcy gwinei. Przystanąła przy okazałym kominku z herbem rodowym i wyrzeźbionym bluszczem. Żółty piaskowiec szerniał w środku od sadzy i dymu, a w palenisku fruwał popiół.

- Co rano masz wyczyścić paleniska w głównym salonie, jadalni i pokoju dziennym. Jeśli akurat przy zimnej pogodzie goszczą jakieś damy, musisz cicho wejść do ich pokojów i rozpalić ogień. Noc wcześniej trzeba w nich napalić, pamiętaj.

- Tak, pani Ellsworth.

Stłumiłam ziewnięcie. Nigdy jeszcze się tak nie nudziłam. Lista moich obowiązków nie miała końca i wiedziałam ze spokojną pewnością, że nigdy nie spamiętam nawet połowy, a ostra bura jest nieunikniona.

- Zrozumiałaś, jak nakładać воск na podłogi?

- Tak, pani Ellsworth.

- I widziałaś, jak polerować bibeloty, żeby ich nie stłuc?

- Tak, pani Ellsworth.

- Wrócisz i posprzątasz tu później. Pan Wrexham lubi pokazywać nowym pokojówkom, jak należy rozpalać ogień.

Potruchtałam pośpiesznie za panią Ellsworth wyłożonym boazerią korytarzem do wesołej jadalni naszykowanej do śniadania. Pierwsza moja lekcja dotyczyła szybkiego chodzenia: pokojówka nigdy się nie obija, a guzdranie się i powłóczenie nogami jest obijaniem się. Przez następne dwanaście miesięcy miałam wszędzie przemieszczać się truchtem, jakbym załatwiała pilne sprawy wagi państwowej, nawet jeśli tylko odnosiłam do spizarni pojemnik na jajka. Dowiedziałam się, że przechadzanie się jest przywilejem bogatych, i po chwili namysłu uświadomiłam sobie, że rzeczywiście nigdy nie widziałam, żeby Hilde-garda chodziła spacerowym krokiem, zawsze uwijała się jak w ukropie i robiła wszystko na biegu jak pani Ellsworth i nawet w tych spokojnych chwilach, kiedy sobie gawędziłyśmy w kuchni, zawsze miała ręce czymś zajęte - robiła na drutach, cerowała moje ubrania albo posypywała cukrem wyjęte z pieca bułeczki.

W pokoju dziennym na podgrzewaczu stał srebrny dzbanek na kawę i roztaczał cudowną woń, od której pociekła mi ślinka - od przyjazdu do Anglii piłam tylko mocną czarną herbatę, którą uznałam za wstrętą. Odślonięto zasłony i oślepiające słońce wlewało się do środka przez wysokie skrzydłowe okna. Za nimi rozciągał się taras z kamienną balustradą porośłą splą-

tanym winem. Niskie terakotowe donice ze szkarłatnymi perlagoniami stały porozstawiane w równych odstępach między białymi stolikami i krzesłami, a za tarasem aksamitna murawa opadała w kierunku morza. Widok był tak piękny, że chcąc nie chcąc, się uśmiechnęłam.

- He! Kolejna próżniaczka - powiedział jakiś głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam obok pani Ellsworth siwowłosego mężczyznę o władczej postawie dyrygenta. Stłumiłam chichot. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś naprawdę mówił „he”. To było słowo, które do tej pory spotykałam tylko w bajkach, gdy usiłowałam podciągnąć się z angielskiego.

- Elise, to jest pan Wrexham, kamerdyner, pokojowiec i zarządca służby w Tyneford.

Zawahałam się, nagle bardziej onieśmielona w obecności tego srogiego mężczyzny niż minionej nocy w obecności pana Riversa. Czy powinnam uścisnąć mu dłoń? Dygnąć?

- Widelce się czesze - oznajmiłam.

Spojrzał na mnie skonsternowany i skorygował:

- U nas widelce się myje. Utrzymywać dom w nienagannym porządku i dbać o komfort jaśnie państwa. Takie cele ma tu służba.

- Bardzo czyste i słoneczne - zapewniłam. Mierzył mnie wzrokiem spod zmrużonych powiek.

- Czy ta dziewczyna sili się na żarty?

- Nie, nie wydaje mi się, panie Wrexham. Myślę, że jej angielski trochę kuleje.

- Cóż. W takim razie proszę dać jej jakieś książki do nauki. To niedopuszczalne. Ona ma podawać do stołu angielskim damom i dżentelmenom, nie wywołując przy tym zamieszania czy wstydu. - Ostatnie słowo wymówił tak, jakby to była karana śmiercią zbrodnicą.

- Dobrze, panie Wrexham - powiedziała pani Ellsworth. Przez następny kwadrans pan Wrexham uczył mnie rozpalać

w kominku. Zużyłam większość zapalek z pudełka, kilka gazet i całą jego cierpliwość, ale kiedy drzwi do pokoju dziennego się otworzyły i do środka wszedł pan Rivers, w palenisku buchał ogień co się zowie. Powiedział dzień dobry starszym służącym i, zupełnie mnie ignorując, zasiadł za stołem z poranną gazetą.

- Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze, panie Rivers? - spytała pani Ellsworth.

- Nie, dziękuję.

- To jest ta nowa pokojówka podająca do stołu, Elise - przedstawiła mnie.

- O, świetnie. Miło cię poznać, Elise - rzucił pan Rivers, nie podnosząc głowy znad gazety.

Poczułam ciarki irytacji na karku. Elise, też mi coś. Chciałam chwycić jego paskudną gazetę i zмяć. Nikt nigdy wcześniej nie potraktował mnie równie lekceważąco. Pani Ellsworth wyprowadziła mnie z pokoju i wsadziła w ręce pudełko z przyborami do sprzątnięcia.

- Proszę. Możesz teraz iść i posprzątać salon jak należy. Potem zabierz się do sypialni. Tylko pamiętaj, żeby łóżka zasłać porządnie, tak jak ci pokazywałam.

Ruszyłam różnym krokiem, ale mnie przywołała i cichym głosem udzieliła następnej porcji instrukcji.

- Elise. Pamiętaj, że nie możesz być widoczna z zewnątrz. Kiedy będziesz myła okna, musisz się schylić i natychmiast odejść, gdy tylko zobaczysz damy czy dżentelmenów w ogrodzie lub na tarasie. Jeśli wejdzie pan Rivers, przepraszasz, zbierasz swoje rzeczy i wychodzisz. Musisz być niewidzialna. Rozumiesz?

- Tak, pani Ellsworth. Mam być niewidzialna.

Dłonie mi krwawiły. Paznokcie się połamały, usiane tysiącem skaleczeń opuszki palców poobcierały, a nogi bolały, jakbym kilometrami biegała po wzgórzach, i miałam wrażenie, że naciągnęłam sobie każdy mięsień barku i ramienia. Marzyłam, żeby poleżeć w gorącej kąpieli z lawendowymi solami Anny, a potem zagrzebać się w mięciutkim łóżku z filiżanką gorącej, zaprawianej kirszem czekolady, jaką robiła Hildegarda. Zamiast tego musiałam myć, szorować, polerować i pospiesznie przemieszczać się z jednego pomieszczenia do drugiego. Dom był ogromny, dużo większy od naszego urządzonego z przepychem wiedeńskiego mieszkania, i całkowicie pozbawiony nowoczesnych wygód - a już na pewno wszystkich, które mogłyby ułatwić życie służbie. Ze zdumieniem przyłapałam się na tym, że na myśl o eleganckim nowym odkurzaczu Hildegardy wzdycham jak do kochanka. Pan Wrexham natomiast przyłapał mnie na wyglądaniu przez łukowate okienko nad bocznym portykiem: stałam i gapiłam się na pierzaste chmury przepływające po niebie niczym gromadka kacząt.

- Migiem, migiem, dziewczyno. Jeśli masz czas się wałkonić, mam dla ciebie całą listę innych zadań.

Klasnął w dłonie. Podniosłam ściereczkę, wzięłam butelkę z octem i pobiegłam do najbliższej sypialni umyć okno i toaletkę. Na blacie, obok grzebienia z szylkretu i puzderka na kolczyki, stało zdjęcie ładnej młodej kobiety w sukni z opuszczanym stanem, takiej, jakie były szczytem mody w latach dwudziestych. Podniosłam je, żeby odkurzyć szkło, i popatrzyłam na twarz. Nieznajoma miała uroczy uśmiech, trochę skrzywiony, i mrużyła nieśmiało oczy do aparatu, jakby niechętnie pozowała. Reszta rzeczy na stoliku nie pasowała do dwóch poprzednich: stosik pism dla panów, stary egzemplarz „Racing Post” i srebrna papierośnica. Przyjrzawszy się lepiej, zobaczyłam, że w puzderku leżą

nie kolczyki, a spinki do mankietów. Przy oknie stał brązowy skórzany fotel, a na parapecie spoczywała popielniczka. To był pokój dżentelmena, nie damy. Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi za plecami i odwróciłam się przekonana, że ujrzę pana Ri-versa. Do środka, z płynną gracją właściwą najwytrawniejszym kamerdynerom, wsunął się jednak pan Wrexham.

- To jest sypialnia pana Christophera Riversa - oznajmił.

- Tak. Pana Riversa. Zmarszczył brwi.

- Nie. Panicza Christophera Riversa. Syna pana Riversa. Obecnie przebywa w Cambridge. Przyjeżdża za kilka dni. Wtedy May ją posprząta. Nie wolno ci tu wchodzić podczas jego pobytu w domu.

- Dlaczego?

Pytanie mi się wymyknęło, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Pan Wrexham poczerwieniał z niezadowolenia i widziałam, że bije się z myślami, czy w ogóle odpowiedzieć.

- Ponieważ pan Rivers liczy się łaskawie z twoją sytuacją. Nie uważa za stosowne, byś przebywała w sypialni młodego dżentelmena, kiedy jest w domu.

Wyciągnął rękę, zabrał zdjęcie dziewczyny, które nadal bezwiednie trzymałam w dłoniach, i odstawił delikatnie na stolik.

- Świętej pamięci pani Rivers. Wielka dama - powiedział cicho, bardziej do siebie.

Patrzyłam na delikatną postać z cienkimi jasnymi włosami i usiłowałam zobaczyć w niej żonę energicznego pana Riversa. Zachodziłam w głowę, dlaczego wszystkie stare fotografie wydają się smutne.

Dzień minął w wirze pracy i kurzu. May i szczerbata dziewczyna z wioski pomagały w robocie. Kilka razy mignął mi też służący z wiadrami na węgiel i lokaj w liberii, który niósł tacę do biblioteki czy gabinetu. Posprzątałam cztery pokoje gościnne. Żaden nie sprawiał wrażenia używanego, a we wszystkich mimo codziennego wietrzenia unosił się zatechły smród zaniedbania. O siedemnastej zesłam tylnymi schodami do jadalni dla służby. Długi dębowy stół nakryto do posiłku i pan Wrexham zasiadł u jego szczytu, a pani Ellsworth naprzeciwko. Po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć całą służbę i okazało się, że jest nas mniej, niż sobie wyobrażałam. Za dziesięć piąta dwie dochodzące pokojówki udały się na obiad do swoich domów i tylko osiem osób otrzymało miski z parującym gulaszem i puree. Po obu stronach stołu stały dwie niskie ławki, a u jego szczytów dwa krzesła z wysokimi oparciami dla kamerdynera i ochmistrzyni. Wyłożona ciemną boazerią sala miała dziesięć metrów długości, stół ciągnął się niemal od ściany do ściany i z łatwością pomieściłby ze czterdzieści osób. Pomieszczenie rozbrzmiewało echem naszych głosów i zastanawiałam się, kiedy po raz ostatni było pełne. Znacznie wygodniej siedziałoby się nam w widnej kuchni niż na tych twardych skąpanych w mroku ławkach. Nad naszymi głowami przybita gwoździami spłowiła makatka głosiła przygnębiające motto „Praca i wiara”, a na ścianie wisały małe mosiężne dzwoneczki, każdy odpowiednio oznakowany: gabinet, salon, główna sypialnia i tak dalej. W korytarzu dla służby i w kuchni zainstalowano już nowocześniejsze elektryczne sygnalizatory, i ten staroświecki system przydawał jadalni aury posepności. Siedziałam obok Henry ego, lokaja (naprawdę nazywał się Stan, ale lokaje w Tyneford zawsze nosili imię Henry), a Billy ogrodnik (z dziką strzechą włosów, nigdy chyba nieprzy-cinanych w odróżnieniu od krzewów w jego królestwie) pałaszo-

wał, nie odzywając się do nikogo. Podkuchenny Jim gawędził z Peterem, głównym pokojowcem. May, pomywaczka, główna papla i osoba najbardziej zdegowana moim przybyciem, siedziała naprzeciwko, przyglądając mi się okrągłymi, świńskimi oczkami. Czułam, że gdyby nie obecność innych, warknęłaby i wyszczerzyłaby na mnie żółte zębki.

- Ja zem miała być pokojówką. Od pienciu roków urabiam se łokcie na tym zmywaku - oświadczyła.

Przypatrywałam się w milczeniu brązowej parującej zawartości miski przede mną.

- Nie jesteś jeszcze gotowa na awans. Nie pozwolę, żebyś trajkotała do jaśnie pań i panów. - Ochmistrzyni zabębniła palcami po stole i odniosłam wyraźne wrażenie, że jest to kwestia nie po raz pierwszy maglowana.

- Dosyc - uciał pan Wrexham z oczyma zmrużonymi z oburzenia. - Elise została przyjęta na bezpośrednie polecenie pana Riversa. Nie dopuszczę, by ktoś w tym domu kwestionował jego dyspozycje. Czy to jest jasne?

May spuściła głowę i zaczęła płakać bezgłośnie w talerz. Ochmistrzyni wyciągnęła rękę, żeby ją pocieszyć, ale zauważyła wściekłe spojrzenie pana Wrexhama, rozmyśliła się i tylko sięgnęła po serwetkę.

- Pani Ellsworth, zmówi pani modlitwę? - spytał kamerdyner.

Wszyscy spuścili głowy i złożyli wsparte na łokciach dłonie w trójkąty nad swoimi talerzami. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Nie mogłam się z nimi modlić. Musiałam opuścić bliskich, ale nie zamierzałam z tego powodu stać się chrześcijanką. Wiedziałam, że każdy zmówiony pacierz tylko mnie od nich oddali. Zamknęłam oczy i zasznurowałam usta.

- Dziękujemy ci, Boże, za Twe hojne dary, które będziemy

pożywać. Pobłogosław, Panie nasz i Zbawicielu, pana Riversa, pana Christophera i wszystkich, którzy w domu tym mieszkają.

Rozległo się chóralne „amen” i otworzyłam oczy. Pan Wrexham patrzył na mnie z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę dezaprobaty.

- Nie chcesz, by Pan błogosławił temu domowi?

- Ja nie móc się z wami modlić.

- A czemuż to? Nasz Bóg nie jest dla ciebie dość dobry?

Pomyślałam o Annie, Julianie i ostatnim wieczorze spędzonym w Wiedniu. Przed wieczerzą sederową nigdy się tak naprawdę nie modliłam. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek jeszcze będę, ale pamiętałam słodki recytatyw Herr Finkelsteina i jego pieśń o Ziemi Obiecanej. Postanowiłam, że dopóki nie zobaczę znowu bliskich, to musi być moja ostatnia modlitwa.

- Jestem żydówką.

Zaskoczyło mnie brzmienie własnego głosu: mocny i wyraźny ton kategorycznej deklaracji. Nigdy wcześniej jej nie złożyłam, i choć to właśnie przez te słowa zostałam wygnana z Wiednia aż za morze, jeszcze nigdy nie wypowiedziałam ich na głos. Musiało być coś w wyrazie mojej twarzy, ponieważ ani pan Wrexham, ani nikt inny nie komentował już mojej odmowy zmawiania modlitwy przed posiłkiem.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi i do środka prosto z dworu wkroczył Art, w brudnych butach oblepionych błotem, które cuchnęło wyraźnie końskim łajnem. Pani Ellsworth zmarszczyła brwi, ale zamiast go zbesztać, rzuciła tylko:

- Obiad masz na podgrzewaczu w kuchni. Możesz go sobie zabrać.

Zupełnie zapomniałam o staruszkę i teraz się zastanawiałam, dlaczego z nami nie je. Peter nachylił się do mnie i wyjaśnił:

- Art nie lubi jadać z ludźmi. Woli z koniami i krasulami. Ino cosik bardziej od siana podchodzi mu miensna strawa. -Zarechotał głośno z własnego żartu.

- Pan Bobbin nie gada i połowy głupot, co wy tu prawicie -rzucił Art. - Dziwota to, co człek chce w pokoju pożyć wieczerze?

Ja się zupełnie nie dziwiłam i żałowałam, że nie mogę zabrać swojej miski i wymknąć się na dwór, żeby zjeść obok Pana Bobbina na cichym dziedzińcu. Uśmiechnęłam się do Arta, a on posłał mi oko, wychodząc. Zalała mnie fala radości na myśl, że mam choć jednego sprzymierzeńca wśród służby. May wpatrywała się we mnie z nieskrywaną niechęcią.

Po posiłku odnieśliśmy talerze do zlewu w pomywalni i May, cała po łokcie w mydlinach, zaczęła je szorować, sarkając pod nosem. Reszta służby rozeszła się do swoich obowiązków, a ja powlokłam się za panią Ellsworth i panem Wrexhamem do kuchni. Przystanąłam w drzwiach, niepewna co dalej.

- Elise. Będiesz podawała dziś wieczorem do stołu - oznajmił kamerdyner. - Pan Rivers spodziewa się gościa, a Henry ma wychodne.

- Z chęcią go zastąpię, panie Wrexham - zaproponowała ochmistrzyni.

- Dziękuję, pani Ellsworth, ale nie. Dziewczyna musi się uczyć. Została przyjęta na pokojówkę do podawania do stołu i powinna wykonywać te obowiązki.

Przypatrywałam się parze starszych służących. Domyślałam się, że mieszkali razem w tym domu od dwudziestu lat, mimo to nigdy nie zwracali się do siebie inaczej niż per pan i pani. Ochmistrzyni stłumiła westchnienie i usiadła przy stole. Pan Wrexham postawił przed nią świeże nakrycie i wręczył mi dwa widelce oraz malowany w wierzby półmisek z grochem.

- Dobrze. Nałóż pani Ellsworth warzywa.

Każdego wieczoru w Wiedniu podczas kolacji jedna z pokojówek, a później sama Hildegarda, zgrabnie nakładała ziemniaki i jarzyny na mój talerz. Teraz, kiedy sama musiałam to zrobić, okazało się to nie lada sztuką. A to ziarna grochu upadały na kolana pani Ellsworth, a to wypadały mi z rąk widelce. Kamerdyner rugał mnie albo za to, że nachylałam się zbyt blisko (to nie jest pospolity pub, dziewczyno), albo że stoję za daleko (jak możesz podawać damie z takiej odległości. Trochę rozsądku, dziewczyno). Po półgodzinie pani Ellsworth wstała.

- Proszę wybaczyć, panie Wrexham. Mam robotę.

Podeszła do ogromnego pieca i zaczęła tłuc garnkami, a kamerdyner odłożył talerz do kredensu i wsypał groch do słoika. Wręczył mi czysty fartuszek.

- Dziś wieczorem, Elise, będziesz nalewała wodę i zbierała puste naczynia.

Skrzywiłam się. Udało mi się umieścić zgrabnie na talerzu pani Ellsworth niemal wszystkie ziarna grochu z ostatniego widelca, tylko jedno zniknęło za jej kołnierzem. Poczułam się wystrychnięta na dudka tą degradacją do wodolejcy, ale uznałam, że lepiej się nie spierać.

- Usiądź - zarządził kamerdyner.

Zrobiłam, jak kazał, zastanawiając się, czego dotyczyć będzie następna lekcja. Może sztuki wykonywania odpowiedniego wy-wijasa ręką przy rozkładaniu serwetki? Ale nagle poczułam dłoń pana Wrexhama w swoich włosach. Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam prosto na błyszczące ostrza nożyczek.

- Bez hysterii, proszę. Trzeba obciąć ci włosy.

- Nie. Nie. Nie mogę.

Zaczełam się cofać w stronę dębowego kredensu po drugiej stronie kuchni. Serce dziko mi waliło, a gulasz w brzuchu bulgotał. Nie odwracałam oczu od długich ostrzy. Powtarzałam sobie

w duchu: nie możesz mrugnąć, nie możesz mrugnąć. W głowie widziałam fryzjera ze *Stasia Straszyno*, który zbliża się z okrzykiem „rach-ciach”, by skrócić mnie o włosy.

- Nie zetnę włos - ni to krzyknęłam, ni to zakwiliłam, wycofując się dalej w kąt.

- Elise. Nie rób sceny - powiedziała pani Ellsworth. - Panie Wrexham, na śmierć pan wystraszył dziewczynę. Jest biała jak ściana.

Kamerdyner opuścił nożyczki i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie pozwolę, żeby w mojej jadalni do stołu podawała długowłosa służąca. To niedopuszczalne i nieapetyczne. I wysoce niehigieniczne.

Pani Ellsworth odwróciła się do mnie z twarzą niemal współczującą.

- W Anglii, moja droga, wszystkie pokojówki muszą mieć krótko obcięte włosy. To oznaka pozycji. Oraz higieny - dodała, jakbyśmy my, Austriacy, nie mieli bladego pojęcia o czystości.

Zamknęłam oczy, połykając napływające łzy. Margot upominała mnie, żebym była posłuszna. Wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy, nie przez coś tak głupiego jak włosy.

- W taką razą zetnę włos. Ale ja ciąc. Nie on. - Pokazałam na pana Wrexhama, czającego się za ciężkim stołem.

Pani Ellsworth skinęła szorstko głową.

- Dobrze. Proszę podać Elise nożyczki, panie Wrexham. Położył je na blacie i przesunął w moim kierunku. Błysnęły,

kiedy słońce z wysokich okien padło na ostrza. Wiedziałam, że ochmistrzyńni i kamerdyner mnie obserwują, powątpiewając, czy się odważę. Wzięłam oddech, chwyciłam nożyczki i ruszyłam sztywno do drzwi.

- Nad kołnierzem, Elise - zawołał pan Wrexham. Pobiełam schodami na złamanie karku do swojej facjatki

i zatrzasnęłam drzwi. Przysiadłam na końcu wąskiego łóżka, stalowe nożyczki położyłam na kolanach. Przekrzywione lustro na toalecie odbijało moją pobladłą twarz i zaciśnięte usta. Czepek, którego pan Wrexham nie zdjął przy zamachu na moją fryzurę, nadal tkwił przypięty za uszami. Ściągnęłam go rozdygotanymi palcami, a potem wyciągnęłam szpilki utrzymujące w ryzach długie czarne pukle. Opadły ciemnymi falami i przesunęłam po nich ręką, czując na policzku ich miękkość. Moje włosy, moja jedyna ozdoba. Niczym innym się nie pyszniłam. W dzieciństwie Margot często mi dokuczała, powtarzając, że jestem podrzutkiem, że Anna i Julian nie mogą być moimi prawdziwymi rodzicami, bo są zbyt mądrzy i piękni, a ja jestem pulchna, brzydka i nie umiem grać na altówce. Wiedziałam, że kłamie. Moje czarne włosy były tego samego koloru co czupryna Juliana. Gdy byłam mała i nadchodziła pora spania, kładł się obok mnie na łóżku, tak że nasze głowy, ciemne jak rzeka nocą, się stykały, owijał sobie mój długi warkocz dokoła nadgarstka i opowiadał bajki. Kiedyś opowiedział mi szeptem historię Samsona i Dalili. Samson, biblijny bohater, który gołymi rękoma rozerwał lwa i wyciągnął plaster miodu z jego piersi, miał włosy koloru słomy, w których kryła się jego siła, dopóki nie pojawiła się Dalila z winem, zdradą i nożyczkami, i nie przerobiła go nimi na śmiertelnika. Gapiłam się na Juliana okrągłymi oczyma, aż zaczął się ze mnie śmiać i mnie uszczypnął, ale nie zrozumiałam żartu i obiecałam mu z dziecięcą powagą: „Jak Samson nigdy nie zetnę włosów”.

Wzięłam do ręki szczotkę, którą dostałam od Anny na urodziny. W gąbkę zamocowaną na mahoniowej łopacie było wszyte prawdziwe włosie dzika. Wolno rozczesując splątania i supełki, przeciągnęłam nią po włosach, aż zabłyszczały. Rozdzieliłam je i zaplotłam po raz ostatni. Potem ze wzrokiem wbitym w lustro,

sięgnęłam po nożyczki i zacisnęłam błyszczące ostrza na warkocz. Krzyknęłam cicho, zanim dotarło do mnie, że nie boli. Był tak gruby, że musiałam go ciąć i dydolić. Po minucie siedziałam i gapiłam się na warkocz leżący na podłodze. Podniosłam go i podeszłam do kosza, ale się zawahałam. Trzymałam w dłoniach jakby słoje drzewa: zapuszczałam włosy od dziewiątego roku życia. Pierzaste końcówki należały do pulchnego dziecka, które uciekało na bosaka po mieszkaniu, chowając się przed siostrą. Bawiłam się wtedy porcelanową lalką Margot, a ona pociągnęła mnie za włosy tak mocno, że łzy stanęły mi w oczach. W ramach zemsty wytarłam palce o brudną ścierkę do podłogi, zakradłam się do pokoju siostry, otworzyłam futerał z altówką i przeciągnęłam nimi po włosiu smyczka. Kiedy przyszła grać, instrument jęknął i zapiszczał, potem jęknęła i zapiszczała Margot. Ukryłam się w pralni, gdzie próbowałam uspokoić wyrzuty sumienia z powodu zniszczonego smyczka wspomnieniem piekącego bólu ciągniętych włosów.

Otworzyłam pustą szufladę, zwinęłam warkocz i włożyłam go do środka. Widok odciętych włosów na kartonowej podkładce był trochę makabryczny, ale nie potrafiłam ich wyrzucić.

Kiedy godzinę później wróciłam do kuchni z oczyma czerwonymi od płaczu, pani Ellsworth była na tyle delikatna, by tego nie skomentować. Wcisnęła mi w ręce kubek gorącej herbaty i imbirowego biskwita i wróciła do swojego ciasta. Doceniając ów dowód życzliwości, wzięłam herbatę i próbowałam zjeść herbatnika, ale stawał mi w gardle.

- Dobrze, idź teraz do jadalni. Pamiętaj, żeby stać po lewej stronie jaśnie pana, tuż przy jego łokciu, a gdy się pochylasz, trzymaj lewą rękę założoną z tyłu. I nie uśmiechaj się. Choć to

akurat chyba ci nie grozi - mruknęła, poprawiając mi czepek i strzepując załamanie na fartuszk. - Nie przejmuj się panem Wrexhamem. Nie jest złym człowiekiem, po prostu lubi robić wszystko po staremu.

Zostawiłam ciepłą kuchnię, bulgoczące garnki i odprowadzana odgłosami May tłukącej naczyniami w pomywalni, ruszyłam pośpiesznie korytarzem do wyłożonego boazerią holu. Był cichy i pusty. Usiłowałam sobie przypomnieć, które drzwi prowadzą do jadalni. Wszystkie były zamknięte, z każdej strony otaczał mnie ciąg drewnianych skrzydeł. Zaczęłam nasłuchiwać, wychwyciłam ruch za jednymi, uznałam, że to jadalnia, i wślizgnęłam się do środka w poszukiwaniu pana Wrexhama.

Pan Rivers pochylał się nad stołem bilardowym, szklaneczka whisky stała obok. Wymamrotałam „przepraszam” i chciałam się wymknąć, zanim mnie zauważy.

- Twoje włosy.

- Co?

- Ściąłaś je.

- Przebaczyć mi, muszę znajdować pana Wrexhama.

Opuścił kij i zrobił krok w moją stronę, wyciągając rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale się powstrzymał i sięgnął zamiast tego po whisky. Wziął głęboki łyk. Odstawił szklaneczkę na stół i machnął lekko ręką na znak, że mogę odejść. Ustawił kij, pochylił się nisko nad zielonym suknom i zmrużył oczy, celując w białą bilę.

- Wrexham będzie w jadalni. Drugie drzwi na prawo. Odwróciłam się, żeby wyjść, ale się zawahałam.

- Czemu ja, panie Rivers? - odezwałam się zgoła nie jak służąca. - Nie wiem nic gdzie jest co. W gazecie „Times” pełno anonse każdego dnia. Czemu pan na pokojówka zatrudnić dokładnie mnie, a nie jakaś inna dziewczyna?

Wyprostował się, mierząc mnie przez chwilę wzrokiem, potem się uśmiechnął.

- Przeglądałem gazetę i rzuciło mi się w oczy to pocieszne ogłoszenie, które umieściłaś: „Narobię wam pasztetu” czy jakoś tak. Rozśmieszyło mnie.

Uznałam, że pan Rivers jest nietuzinkowym człowiekiem. Podejrzywałam, że niewielu ludzi zatrudnia pokojówki na podstawie ich potencjału komediowego. Znowu schylił się nad stołem i ustawiał czerwoną.

- Potem, przypadkiem, zauważyłem twoje nazwisko: Landau. Takie samo nosi pewien interesujący powieściopisarz. Uznałem to za obiecujący zbieg okoliczności. Poprosiłem panią Ellsworth, żeby do ciebie napisała. Zawsze narzeka, że nie można znaleźć nikogo do pracy.

- Julian Landau?

- Tak. Znasz go?

- To mój ojciec.

- Naprawdę? - Wyprostował się i położył kij na stole, zapominając o grze. - Mam wszystkie jego powieści. Chodź i zobacz.

Poszłam za nim do biblioteki, gdzie pokazał szereg oprawionych tomów ustawionych w symetrycznych rzędach nad biurkiem. W tym obcym domu wydały mi się jak twarze starych przyjaciół. Pomyślałam, że w pewien sposób ojciec mnie uratował - dzięki jego książkom wyjechałam do Tyneford. Przypomniałam sobie nową powieść ukrytą w altówce i zastanawiałam się, kiedy zostanie oprawiona w elegancką skórę i dołączy do innych na półce.

- Możesz je czytać, jeśli chcesz - zaproponował pan Rivers. - Na pewno przypomną ci dom.

Podziękowałam mu grzecznie, Anna nieraz powtarzała, że

człowiek z dobrym literackim gustem to człowiek godny zaufania.

Obiad przebiegł bez incydentów. Nalewalam wodę, zbierałam talerze, stałam w rogu i byłam nieszczęśliwa. Panowie siedzieli po przeciwnych stronach stołu, rozdzieleni połącią wypolerowanego mahoni, więc konwersacja odbywała się drogą jodłowania z jednego krańca na drugi. Pan Wrexham kursował między oboma dżentelmenami, podając tace z warzywami i nalewając wino. Nie mogłam pojąć, dlaczego nie siedzą obok siebie tak jak Julian i Anna, kiedy nie pełnili honorów domu. Absurdalne angielskie zwyczaje i tradycje brały górę nad zdrowym rozsądkiem - jeśli to było zalecenie pani Beeton, nie podobało mi się. Pan Rivers nie patrzył na mnie i w ogóle nie zauważał mojej obecności. Jego gościem był pulchnawy jegomość z obwisłymi policzkami i rudą brodą porastającą podwójny podbródek. Rozmawiali o polityce, wojnie i Chamberlainie, ale byłam zbyt strapiona, by podsłuchiwać. Pan Wrexham, zadowolony z tego, jak się spisałam, odesłał mnie do łóżka z filiżanką kakao w ramach nagrody. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Anglicy używają wiktuałów do komunikacji. W Wiedniu Frau Finkelstein za pomocą smakołyków szkoliła swoje mopsy.

Na górze resztki kakao wylałam przez okno facjatki, patrząc, jak rozpryskuje się na bruku. Włożyłam piżamę, usadowiłam się na łóżku, wyciągnęłam arkusz papieru i zaczęłam układać list do domu.

Kochana Margot (a także Julianie, Anno i Hildegardo, bo wiem, że wszyscy będziecie to czytać)!

Nie miałam jeszcze okazji poszukać muszli. Kazali mi ścieć włosy. Ale, proszę, nie smućcie się. Wyglądam bardzo elegancko. I szczupłej. Nie jestem pewna, co lepsze.

W Nowym Jorku pójdę do pierwszorzędnego fryzjera, żeby mi je podciął jak należy, i wtedy już naprawdę będę się prezentowała prima sort.

Kiedy wyjeżdżacie do Ameryki? I czy jedziecie wszyscy razem? Pamiętajcie, żeby mnie od razu sprowadzić. Ale nie martwcie się - tu jest nie tyle strasznie, ile bardzo nudno -nie ma z kim pogawędzić. Zdaje się, że reszta służby za mną nie przepada. Pan Rivers jest w porządku - lubi książki Taty. Całuję Was wszystkich.

Przebiegłam wzrokiem list emanujący beztróską, której sama nie czułam, wyciągnęłam altówkę spod łóżka i przycisnęłam do piersi.

- O czym jesteś? Masz już jakiś tytuł? Może o dziewczynie rzuconej na pastwę losu na deszczową wyspę? Dziewczynie z zielonymi oczyma i słabością do czekolady.

W głowie usłyszałam prychnięcie, gdy Julian pokręcił głową.

- Nigdy nie napisałbym takiej historii. Nawet za milion lat. Potrząsnęłam altówką, słuchając, jak stos kartek uderza o drewno.

- W takim razie o piratach, tato. Mam nadzieję, że jest o piratach i wielkim statku.

Zaśmiał się gromko.

- Zdecydowanie za romantyczne.

- Uchyl rąbka tajemnicy - poprosiłam wyimaginowanego Juliana i próbowałam bezskutecznie wyciągnąć jakąś stronę przez otwory rezonansowe. To było na nic, wsadziłam altówkę do futerału. Zamknęłam oczy i udawałam, że jestem z powrotem w domu, w Wiedniu, słucham, jak Hildegarda krząta się w kuchni, a rodzice śpią po drugiej stronie korytarza. Jeśli się bardzo postarałam, mogłam niemal usłyszeć chrapanie ojca.

Obudziłam się w środku nocy. Usiadłam na łóżku, nasłuchując nieznajomych skrzypnięć i chrobotów starego domu i czując się do szpiku kości samotna. Potrzebowałam pocieszenia. Otumaniona zeszałam na dół do spiżarni pani Ellsworth. Sięgnęłam na górną półkę i poczęstowałam się syllabubem z kwiatów dzikiego bzu, który został z deseru jaśnie państwa. Z perspektywy czasu wiem, że miałam szczęście, bo nikt mnie nie przyłapał. Ale wtedy nie uważałam wcale tej nocnej przekąski za kradzież. Chciałam tylko się zapchać, tak jak to robiłam w domu, jednak słodycz kremu była mdląca i nieznajoma. Nawet teraz, po tak długim czasie, syllabub ciągle jeszcze smakuje tęsknotą za domem, a jeśli wczesnym latem przypadkiem poczuję zapach dzikiego bzu, znowu mam dziewiętnaście lat, siedzę po turecku na podłodze spiżarni, trzymam misę kremowego deseru i połykam łzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kit

Następne kilka dni minęło w oparach środków do czyszczenia. Odkurzałam nawet we śnie, a moje ubrania pachniały octem. Jedyne chwile wytchnienia od samotności stanowiły kradzione minuty na dziedzińcu stajni, kiedy karmiłam Pana Bobbina ogryzkami jabłek albo resztkami sałaty. Podwórze stajenne mieściło się z boku domu i nie wychodziło na morze, ale słyszałam szum fal, a na skraju bruku rosły ostre źdźbła piaskownicy. Co noc leżałam w łóżku, słuchając, jak woda przelewa się i rozbija na skałach niżej, i obiecywałam sobie, że nazajutrz rano pójdę wreszcie na plażę. Jednak kiedy przychodził świt, zawsze byłam zbyt zmęczona i tylko wierciłam się pod kołdrą, desperacko spragniona jeszcze kilku minut snu.

Nie miałam wolnego czasu. W te pięć minut przed obiadem, kiedy miałam myć ręce i twarz, wychodziłam na dziedziniec. Karmiłam z ręki Pana Bobbina, czując jego ciepły oddech na skórze i słuchając rytmicznego zgrzytania dużych żółtych zębów. Nigdy nie rżał głośno, ale prychał, posapywał przez nozdrza i uderzał nosem o drzwi stajni na mój widok. Uświadomiłam sobie, że powoli upodabnam się do Arta, skoro za jedynego przyjaciela mam czworonoga, i uznałam, że koniecznie muszę podszlifować angielski. Pan Wrexham miał w tej kwestii takie samo zdanie, choć zgoła inne motywy: wiązał wiel-

kie nadzieje ze mną jako podającą do stołu. Nie wolno mi było się odzywać w jadalni jaśnie państwa ani podsłuchiwać prowadzonych rozmów, a mimo to musiałam być w stanie prowadzić konwersację nienaganną angielszczyzną. Obarczył mnie skróconym wydaniem słownika oksfordzkiego w dwóch tomach oraz almanachem angielskiej arystokracji Debretta z 1920 roku. Zamierzał dorzucić jeszcze panią Beeton i wargi zdrząły mu z aprobaty, kiedy wyjaśniłam, że mam już własny egzemplarz.

- Powinnaś go studiować, Elise. Codziennie poświęć godzinę na zgłębianie mądrości Isabelli Beeton. Píše wprawdzie z myślą o damach i paniach domu, ale jej rady są uniwersalne. Uniwersalne.

Roześmiałam się z jego poufałości z „Isabellą” i faktu, że wyszeptał to imię rozmarzonym tonem starego kochanka, ale wiedziałam już, że pan Wrexham jest człowiekiem całkowicie wyzutym z poczucia humoru i nie najlepiej reaguje na uśmiechy innych. Schowałam książki w kącie facjatki, obiecując sobie solennie nigdy do nich nie zajrzeć.

Któregoś dnia wczesnym rankiem w drugim tygodniu pobytu w Tyneford, kiedy sprzątałam niebieski pokój gościnny -słoneczny buduar z zasłonami barwy nieba - natknęłam się na stosik powieści na parapecie. Ewidentnie przeznaczone dla rozrywki podejmowanych dam różniły się od oprawnych w skórę tomów w bibliotece pana Riversa. Przysiadłam na ławeczce przy oknie wychodzącym na falistą murawę. Wcześniej przez wiele godzin padało i lwie paszcze i malwy leżały pokotem na zmaltretowanych deszczem rabatach. Teraz jednak mokra trawa zabłysła w nagłym promieniu słońca i choć nad wzgórzami czarne burzowe chmury nadal kłębiły się niczym dym ze smoczyc paszczy, niebo nad morzem było bezchmurne i blado-

niebieskie. Zapragnęłam zejść na plażę, usiąść na kamieniach i wdychać haustami słone powietrze. Od wielu dni byłam zamknięta w czterech ścianach i powoli zaczynałam się czuć jak lew w klatce.

Gotowa za wszelką cenę wyrwać się na dwór choćby na kilka godzin, wybrałam powieść w obszarpanej pomarańczowej okładce, ukryłam na dnie skrzyneczki na środki czystości, poszłam na górę do facjatki po słownik oksfordzki i wróciłam na korytarz dla służby. Przystanąłam przed otwartymi drzwiami pokoju pana Wrexhama. Nie było jeszcze ósmej, a on stał w perfekcyjnie odprasowanym fraku i prasował gazetę pana River-sa. Weszłam po cichu i zaglądając mu przez ramię, usiłowałam przeczytać nagłówki. Musiałam znaleźć sposób na uzyskanie dostępu do wyrzucanych gazet, siedziałam w Tyneford już prawie od dwóch tygodni i bardzo mi brakowało wiadomości ze świata. Pani Ellsworth miała radio w swojej bawialni i czasami pozwalała mi i May posłuchać jakiejś audycji w ramach nagrody, ale lubiła tylko programy rozrywkowe. Starą prasę kamerdyner składał w pieczołowicie w swoim pokoju, podejrzewałam jednak, że uznałby pożyczenie wyrzuconej gazety za kradzież. Nie pochwalał zainteresowania kobiet polityką, czytanie gazet pozostawało w jego oczach domeną mężczyzn, a tylko dżentelmenom wolno było wyrażać opinie na temat ich zawartości.

- Panie Wrexham?

Podskoczył i o mały włos nie upuścił żelazka.

- Elise! Niemal spaliłem przez ciebie „Timesa” pana Riversa.

- Przepraszam widelce, panie Wrexham.

- Wielce, nie widelce. A w ogóle mówi się przepraszam bardzo. Musisz się nauczyć.

- Przepraszam barco.

Odstawił żelazko w kącie obok pieca.

- Prawie. Bar-dz-o. Nie bar „co”, tylko „dzo”. O. Widzę, że masz słownik. Dobrze.

- Tak. Boli mi głowa, panie Wrexham. Bardzo. Proszę, ja pójść i studiować angielski na świeże powietrze?

Zmarszczył brwi.

- A twoje obowiązki?

- Sprzątnęłam pokoje gościnne. Przygotowałam kominki. Z powietrzem poczuć się lepiej do lunchu.

Wahał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

- Dobrze. Godzina. Ale pamiętaj, to nie może wpaść ci w nawyk. Musisz być silna na służbie.

Skinęłam głową i posłałam mu uśmiech, który, miałam nadzieję, wyglądał na szczery.

- Tak, jestem silna dziewczyna.

- Dobrze zatem. Idź. - Wrócił do prasowania gazety. Zawahałam się, potem chrząknęłam.

- Panie Wrexham? Mogę położyć gazeta w salonie dziennym. Wiedzieć, jak „Times” leżeć na talerzyku, nagłówkiem w stronę pana Riversa.

- Dobrze. Tylko nie pognieć. - Podał mi dziennik z nabożną czcią.

Czmychnęłam z pokoju, zanim miał czas zmienić zdanie, i gdy tylko opuściłam korytarz dla służby, zwołałam do zakazanego człapania, żeby zdążyć przeczytać nagłówki.

Spotkanie Rady Ministrów w sprawie uchodźców... Widmo bezrobocia...

Miałam czas jedynie na pobeżne przelecenie wzrokiem kilku pierwszych linijek, a chciałam poszukać w środku jakichkolwiek strzępów informacji o sytuacji w Wiedniu. Dowłokłam się do salonu i położyłam gazetę na stole nakrytym dla jednej osoby. Od chwili mojego debiutu w roli podającej do stołu pan Rivers

nie miał innych gości. Wydawało się, że jeśli nie liczyć towarzystwa służby, żyje sobie w spokojnej samotności. Rankiem zawsze zaszywał się w gabinecie, a popołudniami spacerował. Jedynym stałym odwiedzającym był pan Jeffreys, zarządca majątku, nieodmiennie odziany w ubłocone bryczesy i z merdającym rudym seterem u boku. Zastanawiałam się, po kiego licha szorujemy i froterujemy codziennie pół tuzina gościnnych pokoi, skoro żadni goście nie przyjeżdżają.

Uniosłam pierwszą stronę gazety w poszukiwaniu wiadomości o Austrii. Od listu Margot nie miałam żadnych informacji z Wiednia i rozpaczliwie wyczekiwałam jakichś wieści. Mosiężny zegar na kominku wybił godzinę, więc wymknęłam się z pokoju, nie chcąc, by pan Rivers przyłapał mnie na wertowaniu jego „Timesa”. Ojciec tego nie cierpiał. „Gazeta mężczyzny jest tylko jego. To świętość”.

Wyszłam tylnymi drzwiami na dziedziniec, ale ten jeden raz nie przystanąłam pogłaskać Pana Bobbina, nawet kiedy zaczął walić pyskiem o drzwi stajni, żeby zwrócić moją uwagę. Ruszyłam pośpiesznie ścieżką odchodzącą od sosnowego zagajnika w kierunku wioski. Żywopłoty ociekały deszczem i buty natychmiast przemokły mi od mokrej trawy, ale nie zwracałam na to uwagi. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Tyneford byłam wolna, nawet jeśli tylko na godzinę. Droga była śliska od błota, komary krążyły wokół mojej twarzy, a białe motyle fruwały wśród kapryfolium, którego mdłosłodki zapach unosił się w wilgotnym powietrzu. Doszłam do grupki domów i zgrabnego szeregu kamiennych sklepików: była tam piekarnia, rzeźnik, poczta i skład wielobranżowy z pomalowaną na szkarłatno skrzynką na listy na fasadzie. Za nimi wznosił się mały kościółek, zbudowany z tego samego szarego wapienia, a w oddali rozciągał się niski ciąg wzgórz Purbeck. Wiekowy dach i kominy dworu

wyglądały zza zagajnika sosnowego niczym maszty okrętu dowodzenia wśród floty kamiennych domków.

Za jednym z okien jakaś staruszka obrzucała nitką szew, a mnie wzrokiem. Uśmiechnęłam się i niemal mi pomachała, zanim zaciągnęła firanki, likwidując lukę. Kilka kobiet w kwiecistych sukniach, rozpinanych swetrach i kaloszach minęło mnie i wśród trzaskania drzwi i podzwaniania mosiężnego dzwoneczka weszło gęsiego do sklepu. Zajrzałam przez szklaną wystawę do środka i zobaczyłam stosy ustawionych jedno na drugim pudeł z cukrem, mąką, pastą do podłóg, płatkami mydlanymi, grzebieniami, czekoladą, łojem, kopertami, papierem toaletowym, butelkami rumu i cytrynowego kordiału, książkami w papierowych okładkach, żyłkami i motkami wełny. Nigdy jeszcze nie widziałam sklepu tak wyładowanego towarem, klienci musieli lawirować ostrożnie między stertami artykułów. Trzymałam w dłoni całego szylinga (nagroda za pomoc Artowi przy sprzątaniu wnętrza wolseleya) i z leciusieńkim ukłuciem winy wkroczyłam do środka. Po pięciu minutach wyszłam z kieszeniami wypchanymi trzema tabliczkami czekolady.

Wioska przycupnęła u stóp doliny, z trzech stron otoczona przez pierścień wzgórz, z przodu szare morze rozciągało się aż po horyzont. Odwróciłam się od grupki domów i ruszyłam nieutwardzoną drogą w kierunku plaży. Dźwięk krowich dzwonków niósł się z wiatrem i napełniał powietrze niesamowitą muzyką. Na pochyłym zboczu dwaj mężczyźni w samych koszulach wybierali z większego stosiku kawałki krzemienia i wsadzali w skracający łukowato murek, żeby wyznaczyć granicę nowego pola. Samotny gawron przysiadł na słupku bramy, obserwując ich pracę z leniwą ciekawością. Nieco dalej droga robiła się wyboista i zbyt wąska dla wozu czy samochodu. Kiedy huk morza się nasilił, zaczęłam biec.

Po dziesięciu minutach zostawiłam za sobą wioskę i dotarłam na skraj półkola zatoki. Tuż nad linią przypływu stała wałaca się chałupa, na wpół zasłonięta przez krzaki jeżyn i niebieską trawę morską. Przypominała chatkę rybaka z bajki i wydawało się, że wyrasta prosto ze skały. Przed nią, na wiecierzu do połowu homarów siedział starzec z włosami białymi jak puch dmuchawca i zardzewiałym nożem naprawiał kawałek sieci. Wyglądał dziwnie znajomo, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go widziałam. Uśmiechnęłam się i skinął mi szorstko głową, zanim wrócił do sieci. Starając się nie upuścić trzymany pod pachą książek, wdrapałam się na skały, które prowadziły w dół na plażę. Robiło się coraz cieplej i poczułam swędzenie potu nad górną wargą. Kilka łodzi rybackich stało opartych o skały obok brukowanej drogi na grobli poza zasięgiem przypływu. Ich malowane kadłuby pstrzyły pancerzyki pąkli i cuchnące strzepy wodorostów. Nawet z kilku metrów czułam odór ryb.

Przede mną morze pieniało się i rozbijało o brzeg. Fala chlustała o kamienie, potem rozlegał się jęk, kiedy się przewalała wśród grzechotu i chrzęstu kamyków. Zerknęłam do tyłu na chatkę. Starzec zajmował się siecią, oprócz niego nie było w zasięgu oka żywej duszy. Kucnęłam, ściągnęłam buty oraz pończochy i obejrzawszy się jeszcze raz przez ramię, zdjęłam spódnicę i obciążyłam ubranie książkami. Od wody, mimo wczesnego lata, wiała chłodna bryza i na ciele wykwitła mi gęsia skórka. Boso, lawirując między kamieniami, zeszłam w stronę morza. Mokre otoczaki błyszcząły w słońcu, a wiatr smagał mi twarz i wpychał krótkie włosy do ust. Przytrzymałam je jedną ręką, sarkając pod nosem zirytowana. Kiedy były długie, spinałam je mocno i nie wpadały do oczu. Dotknęłam palcami stóp zimnej wody i sapnęłam. Po nogach przebiegł mi dreszcz. Pisnęłam.

Nikt nie usłyszał. Mogłam tu bezkarnie wrzeszczeć, tupać

i drzeć się wniebogłosy. Weszłam głębiej do wody i zaczęłam walić pięściami w uda, aż zrobiły się jadowicie czerwone. Krzyknęłam i głos utonął w morzu.

Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę. Anna. Julian. Margot. Hildegarda. AnnaJulianMargot. Annajulianmargorannaju-maanna...

Wykrzykiwałam ich imiona raz po raz, aż zmieniły się w papkę dźwięku i straciły znaczenie. Rozprysk fal smagał mi twarz solą. Oblizawałam słone krople. Miałam po uszy zachowywania się i siedzenia cicho. Chciałam słów. Brzydkich słów. Spróbowałam rzucić mięsem po niemiecku, przypominając sobie wszystkie przekleństwa, jakich używał czasem Julian, zwłaszcza te, przy których Anna się wzdrygała i mruzczała: „Och, mój drogi”. Jednak okazały się, dziwna rzecz, niezadowolające. Potrzebowałam angielskich bluzgów. Im straszniejszych, tym lepiej. Zerknęłam na słownik leżący na plaży. Z ciekawości sprawdziłam wcześniej kilka zakazanych wyrazów. Jak to brzmiało? Jądra. Tak, to musi być bardzo brzydki wyraz. Ale chciałam więcej. Musiałam sobie przypomnieć jeszcze jakieś. Zacisnęłam powieki i odgrzebałam w pamięci słowo, które widziałam nabazgrane farbą na murze w Londynie. Tak. Miałam je przed oczyma niemal jak żywe. Przypominało nazwę tego złodziejskiego ptaka z opery Rossiniego, w której Anna śpiewała partię Ninetty. Henry lokaj podał mi ją kilka dni temu. Nabrałam powietrza w płuca i cisnęłam w morze wiązanką.

- Jądra! Jądra i sroka!

Krzyk utonął w huku fal. Spojrzałam na przewalające się po niebie chmury i rozdarłam się raz jeszcze do ochrypnięcia:

- Gównno. Piekło. Nienawiść. Jądra i sroka! Srrroka!

- Cycki. Cycki i pliszka!

Obróciłam się na pięcie i zobaczyłam opalonego młodzieńca

w podwiniętych do kolan spodniach skaczącego przez kamienie w moim kierunku. Patrzyłam na niego z otwartymi ustami. Podniósł dłoń w geście powitania i opuścił ją, gdy przy mnie stanął.

- O, przepraszam. To jakaś prywatna zabawa? Miałem nadzieję, że się przyłączę.

Byłam zbyt zaskoczona, by czuć zawstydzenie. Gapiłam się na niego z rozdziawioną buzią. Musiał być w moim wieku, może rok lub dwa lata starszy. Miał ciemnoblonde włosy i najwyraźniej nie ogolił się tego ranka, bo podbródek pokrywała mu szczecinka koloru słomy. Margot uznałaby go za „abnegata”, a Anna zawsze mnie napominała, żebym się wystrzegła młodych mężczyzn, którzy się nie golią. Na ustach igrał mu uśmiezek. Dotarło do mnie, że stoję w wodzie w majtkach. Obciągnęłam nisko wełniany sweter, żeby się zakryć, i ignorując przybysza, odwróciłam się i pomaszerowałam przez plażę do swoich ubrań. Usiadłam i szybko wciągnęłam spódnicę. Podszedł i przycupnął obok. Odsunęłam się, zwiększając dzielącą nas odległość, i położyłam między nami książki w ramach dodatkowej bariery. Spojrzał na moją obronną stertę, ewidentnie rozbawiony, i przeniósł wzrok na morze.

- Mam na imię Christopher. Christopher Rivers. Ale wszyscy mówią na mnie Kit.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Ale mieć panicz przyjechać dopiero na czwartek.

- No proszę, tymczasem jest wtorek, a już tu jestem.

- Pan Wrexham być widelce niezadowolony. On lubić mieć guzik ostatni zapięty.

- Wrexham jest zawsze niezadowolony. Urodził się już wkurzony. I, Boże wielki, twój angielski naprawdę woła o pomstę do nieba.

Rzuciłam mu wściekle spojrzenie, podniosłam książki i wsta-

łam. Złapał mnie za nadgarstek i próbował pociągnąć na dół. Wyrwałam rękę, czując ze wstydem szczypanie łez w oczach.

- Puszczaj mnie! Przestać.

- Przepraszam. Tylko żartowałem. Serio, trochę idiota ze mnie. Naprawdę nie chciałem cię zdenerwować. Proszę.

Podał mi brudną chusteczkę. Popatrzyłam na nią z odrazą i schował ją z powrotem do kieszeni.

- Widzisz? Mówiłem, że jestem idiotą. Uświadomiłam sobie, że tłumię śmiech. Włosy opadały mu

na oczy, a marynarski sweter miał dużą dziurę na łokciu, co było raczej ujmujące. Podejrzywałam jednak, że pewnie nie narzeka na brak dziewcząt gotowych cerować mu ochoczo swetry, skarpety czy cokolwiek innego.

- Pracujesz we dworze?

- Tak. Nazywam się Elise Landau. Nowa pokojówka.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął wilgotną paczkę papierosów. Włożył jednego do ust, drugiego wyciągnął w moim kierunku. Pokręciłam głową. Anna uważała, że młodzi mężczyźni nie powinni palić, zwłaszcza przed szesnastą. Spróbowałam poczuć dezaprobatę.

- A, Elise. Wiem o tobie wszystko. Przyjechałaś z Wiednia. I, przykro powiedzieć, fatalnie polerujesz srebra. A, tak, i twoim ojcem jest ten raczej poważny powieściopisarz Julian Landau.

Patrzyłam na niego zaskoczona, a on się napuszył, wniebowzięty moją reakcją. Postanowiłam w duchu, że muszę się nauczyć go rozczarowywać. Wszystko, co powiedział, się zgadzało - nie dalej jak dzień wcześniej pani Ellsworth zbeształa mnie za zostawienie resztki pasty na srebrze i niewypolerowanie łyżek.

- Czytać książki mojego tata?

Kit próbował zapalić papierosa. Draska była jednak wilgot-

na. Po kilku próbach wyrzucił rozmiękle pudełko i zapalił zapalną o kamień.

- Nie. Obawiam się, że nie czytałem. Choć teraz, oczywiście, będę musiał. - Wypuścił obłoczek dymu. - Mój ojciec jest prawdziwym mołem książkowym. A ponieważ sięga tylko po bardzo poważne i, z przykrością to mówię, raczej nudne pozycje, wnioskuję, że powieści twojego ojca są... hmm... poważne.

- Są wielce poważne. I też... - Sięgnęłam po słownik i przerzuciłam strony - głębokie.

- Głębokie? No cóż, w takim razie cofam obietnicę ich przeczytania. „Racing Post” to szczyt moich możliwości, jeśli idzie o głębokie lektury.

Roześmiałam się.

- Nie być tak głupi. Ja jestem bar-dzo pewna.

- Nie głupi, Elise. Leniwy.

Oparł się na łokciach elegancko rozwalony i po raz kolejny ku swojemu zdziwieniu poczułam żal, że nie mam już długich włosów. Czulałam się skępowana przy tym angielskim chłopcu-mężczyźnie. Nie chciałam wyjść na dziecinną, więc usiadłam z powrotem, zachowując jednak bezpieczny dystans. Wskazał na klify za nami. Kępki szorstkiej trawy i czerwonych ostów porastały kruszejącą ścianę.

- To jest zatoka Worbarrow. A ta skała w kształcie pyska, tam, to Tout.

Potem pokazał na szeroki łuk plaży, ciągnący się dobry kilometr do stromego klifu z poszarpanego żółtego kamienia, który zamykał zatokę. Uniósł się trochę i przysunął bliżej, żebym mogła śledzić koniuszek jego palca. - A to jest Flowers Barrow.

Oślepiła mnie okrągły dysk słońca, dopiero kiedy zmrużyłam oczy, zobaczyłam surowy zarys skały na szczycie górującego

nad morzem wzgórza. Odchodziły od niego długimi rzędami trawiaste pagórki opadające w stronę Tyneford. Kit zamknął powieki i położył się płasko na kamieniach.

- Tak, potrzebujesz przewodnika. I nauczyciela angielskiego. Zmarszczyłam brwi, oburzona jego zuchwałością.

- Mam słownik. I książki, żeby mnie uczyły.

- Tak? A jakie książki?

Wyciągnęłam zniszczony tom w papierowej oprawie z wnętrza słownika i podałam mu z wyzywającą miną w oczekiwaniu na śmiech. Otworzył jedno oko i przyjrzał się z powagą pierwszemu wydaniu *Sagi rodu Forsyte'ow*, potem mi je oddał z bezradnym wzruszeniem ramion.

- Cóż, masz rację, Elise. Tego nie przebiję. Pierwszą rodziną Anglii nie są Windsorowie, tylko Forsytebwie. Myślę, że powinniśmy czytać razem.

Popatrzyłam na niego, starając się dociec, czy sobie żartuje, ale posłał mi niewymuszony uśmiech. Nie dalej niż rano ubolewałam nad swoją samotnością i kiepską angielszczyzną. Perspektywa lekcji z Kitem brzmiała obiecująco.

- Tak. Zgoda, panie Rivers. Przewrócił oczyma.

- Mój ojciec jest panem Riversem. Mówiłem ci. Ja jestem Kit. Tak czy siak, ja będę nazywał cię Elise, choć muszę przyznać, że „Fraulein Landau” brzmi uroczo. Surowo i egzotycznie zarazem.

Zachichotałam i podniosłam powieść.

- Kto czytać jego pierwszy?

- Ja. Nie jego. A ja znam na pamięć dzieje pięknej Irene i nikczemnego Soamesa. Ty przeczytasz dzisiaj wieczorem i jutro porozmawiamy.

Kiedy zbierałam książki, wypadły mi na ziemię tabliczki czekolady. Kit przewrócił oczyma.

- Nie możesz zjeść ich wszystkich. Brzuch cię rozboli. Wzruszyłam ramionami i upchnęłam je w kieszeni, nagle zupełnie straciwszy na nie ochotę.

- Muszę podróżować z powrotem do domu.

Kit ziewnął, przeciągnął się, wstał i podał mi rękę, a kiedy ją chwyciłam, podciągnął mnie na nogi.

- Przejdę się z tobą - powiedział i ze zdziwieniem skonstatowałam, że się cieszę.

Przeszliśmy obok pary kamiennych domków, gdzie stary rybak nadal zajmował się wężycami. Ziemię na zewnątrz chaty zaścielały sieci, niektóre splecione i porozdzierane, dopiero czekające na naprawę, inne starannie złożone. Kit mu pomachał.

- Dzień dobry, Burt.

- Szanowanie, paniczu Kit. Wybiera się panicz na łódki?

- Jasne. Jeszcze dziś po południu, jeśli pogoda się utrzyma. Burt pokręcił głową.

- Ba, kaj nic z tego. Lunie później. Po lunchu, se myślą. Jutro bendzie ładniej. Aliści nejpiknij w niedziela. - Mrugnął i uśmiechnął się szeroko, ukazując połać bezzębnych dziąseł, brązoworóżowych jak dżdżownica. - Ano, w niedziela bendzie pogoda jak drut. Tak czuja.

Kit przyglądał się starcowi, jakby starał się coś odczytać z jego miny. Wsadził ręce do kieszeni i skinął krótko głową na znak, że rozumie.

- Niedziela zatem. I wezmę ze sobą Elise.

- A jużci, jużci.

Rybak z powrotem pochylił głowę nad robotą, a my ruszyliśmy dalej ścieżką. Błotnisty grunt wysychał w promieniach słońca i w zagłębieniach tworzyły się mętne kałuże.

- Rozpoznałaś go? - spytał Kit. Zmarszczyłam czoło.

- On wydawać się znajomo, ale nie umiem... Kit się roześmiał.

- To Burt Wrexham, starszy brat Wrexhama, kamerdynera. Nagłe uświadomiłam sobie uderzające podobieństwo między dwoma mężczyznami. Na dobrą sprawę wyglądali jak bliźniacy.

- Ale on mówi tak inaczej. Czy oboje wylęgli się w Tyneford?

- Tak, obaj się tu urodzili i wychowali. Są dziećmi Dicka rybaka i Rose, flądry, jakżeby inaczej. - Zachichotał. - Pierwszemu synowi dali na imię Burt, ale Rose się uparła, żeby drugiego nazwać Digby. Pojęcia nie mam dlaczego. Wieść niesie, że lord Digby wyświadczył jej kiedyś grzeczność, podwożąc do domu, kiedy była w ciąży i wracała z rynku czy skądś tam. To pewnie bzdura. Ale tutejsi ludzie wierzą, że właśnie przez tę historię i imię Digby młodszy chłopak Wrexhamow zaczął zadzierać nosa. Wyżej piał, niż gardło miał.

Spojrzałam na Kita z rezerwą.

- O, ja sobie mogę pozwolić na zadzianie nosa. Jestem synem dziedzica, wiesz. - Wzniósł ręce z udawaną rezygnacją i uśmiechem niewiniątka na ustach. Potem przystanął, by zapalić kolejnego papierosa, i z radością wydmuchnął dym na wiatr. - No, tak czy siak, Digby Wrexham dał nogę z Tyneford w dniu swoich trzynastych urodzin, kiedy miał zacząć pracować u swojego ojca. Wszyscy Wrexhamowie z dziada pradziada byli szyprami. Ale on wrócił pięć lat później bez śladu wiejskiej gwary czy akcentu w mowie, zapukał do drzwi mojego dziadka i poprosił o posadę starszego lokaja.

Usiłowałam wyobrazić sobie, jak pan Wrexham dorastał w maleńkiej chatce przy plaży, a potem uciekał przed losem rybaka. Nie bardzo rozumiałam dlaczego. Burt wydawał się szczęśliwy, siedząc na słońcu wśród sieci.

- Kiedy ma wychodne, nadal wypływa z Burtem na ryby.

W myślach zobaczyłam pana Wrexhama w czarnym płaszczu i fraku przycupniętego na dziobie wiosłowej łodzi niczym wielka, złożona chorobą morską wrona i zachichotałam.

Doszliśmy aleją lipową na pusty dziedziniec stajenny. Bruk był niemal suchy, choć z pompy spływała strużka wody i meandrowała między kamieniami, tworząc miniaturowy system rzeczny.

- Poczekaj. - Kit złapał mnie za ramię. - Twoje ubranie.

Stałam nieruchomo, kiedy poprawiał mi biały czepek pokojówki. Naprostował go staranie, potem strzepnął mój fartuszek i zdjął rzep z rękawa.

- Proszę. Teraz Flo nie będzie sarkać.

- Flo?

- Pani Florence Ellsworth. Choć nie radziłbym ci tak się do niej zwracać.

Kiedy wślizgnęłam się tylnymi drzwiami do domu i pomknęłam korytarzem dla służby, słyszałam, jak krzyczał jeszcze do moich pleców:

- Przeczytaj jak najszybciej tych *Forsyte'ów*. Wtedy zaczniemy lekcje angielskiego.

Pognałam schodami do swojej facjatki pod okapem, cisnęłam książki na toaletkę i uśmiechnęłam się po raz pierwszy od kilku dni.

Zgodnie z moimi podejrzeniami, pan Wrexham był ogromnie zdegustowany nieoczekiwanym pojawieniem się Kita. Spodziewał się go, w pełnej gotowości, w czwartek rano, przekonany, że przyjedzie pociągiem z Basingstoke o jedenastej czterdzieści trzy. Na tę okazję sprowadzono już z Londynu papierosy marki, którą palił, zamówiono w sklepiku wielobranżowym „Ra-

cing Post", zdjęto dodatkowy słoiczek dżemu z najwyższej półki w spiżarni, a Art otrzymał polecenie przygotowania samochodu, żeby wyjechać po panicza na stację. May była w trakcie prania zasłon z jego sypialni. W chwili jego przyjazdu leżały porozwalane w całej pralni, a pokój nie był gotowy. Gdyby tylko mógł, pan Wrexham zmyłby Kitowi głowę, ale ponieważ nie mógł, zadowolil się zruganiem mnie. W jakiś tajemniczy sposób łączyl jego przedwczesne przybycie z moją osobą i choć nie bardzo potrafił wykoncypować dlaczego, uznał, że ja jestem temu winna.

- Tego typu rzeczy nie powinny mieć miejsca. Jak kamerdyner ma być przygotowany w takich okolicznościach? I z taką małą liczbą służby? To nie do zniesienia. Nie do zniesienia.

Cała moja praca też okazała się nie do zniesienia: noże były brudne, lustro w smugach, a kominki źle rozpalone. Za karę pan Wrexham wykluczył mnie od podawania do stołu przy obiedzie: był to dyshonor, który w jego mniemaniu z pewnością głęboko odczułam.

- Idź dzisiaj na górę wcześniej, dziewczyno. Poucz się angielskiego i spisuj się lepiej jutro.

Tej nocy leżałam na łóżku, obserwując, jak wieczorne niebo robi się pomarańczowe, a potem czarne, i zastanawiałam się, czy rzeczywiście czuję się rozczarowana zakazem wstępu do jadalni. Cieszyłam się, że mam dodatkową godzinę tylko dla siebie, zazwyczaj wczółgiwałam się do łóżka, marząc już tylko o śnie. Mimo to czułam coś na kształt zawodu na myśl, że zobaczę Kita dopiero nazajutrz. A może i później: naoglądałam się oper, w których występowała Anna, i wiedziałam, że obcokrajowcy są zmienni i niegodni zaufania. A jednak pobyt w Tyneford nie wydawał mi się już tak straszny jak jeszcze rankiem, kiedy wściekałam się nad morzem. Myśląc o Kicie, czułam ciepło w brzuchu, jakbym zjadła dużą porcję gulaszu wołowego Hildegardy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ryby i filizanka w różyczki

Obecność Kita tchnęła życie w stary dom. Wszyscy się obudzili: pokojówki na przychodne nuciły, kiedy z fanatyczną starannością odkurzały każdy kącik, rozprowadzały воск pszczeli po kamiennych podłogach albo trzepały wiekowe dywany leszczynowymi miotłami. Zupełnie jakby dwór i jego mieszkańcy byli wcześniej przykryci niewidzialnym pokrowcem na meble, a Kit go ściągnął. W zatechłej jadalni i korytarzu dla służby unosiła się woń wypieków pani Ellsworth. Pan Wrexham zaszył się w ciemnej spiżarni, o której istnieniu nie miałam pojęcia, i zaczął napępniać sagany wodą ze źródła w kuchennym ogrodzie. Wybaczył Kitowi przybycie przed czasem i zaraz po śniadaniu obaj znikali w spiżarce. Zza zamkniętych drzwi dochodził odgłos bulgotania, a przez prześwit pod nimi sączyła się para przesycona słodkim zapachem drożdży. Nawet May wydawała się mniej skwaszona z powodu mojej obecności i posunęła się nawet do poczęstowania mnie miętówką z rożka zwiniętego z gazety.

Nie udało mi się porozmawiać z Kitem aż do soboty. Przez cały tydzień kręciłam się przy drzwiach spiżarni, czekając, aż zza nich wychynie, ale pani Ellsworth naskoczyła na mnie i przegoniła z listą prac do wykonania długą niczym tkany przez Penelopę całun. Każdą chwilę miałam zajęta, pan Wrexham zaś

nie uznał za stosowne przywrócić mi przywileju podawania do stołu. Ale w sobotę rano, kiedy myłam okna w salonie, zobaczyłam Kita i jego ojca, jak spacerowali w ogrodzie, z głowami pochylonymi w poważnej rozmowie. Śledziłam ich wzrokiem, świadomie ignorując nakaz bycia niewidzialną. Pan Rivers miał poszarzałą twarz, wyglądał na zmęczonego i nieszczęśliwego. Kit odwrócił się od ojca, z obojętnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Zobaczył, że obserwuję ich z okna, i przez sekundę patrzył mi w oczy, potem wszedł do domu. Na śmierć zapomniawszy o sprzątaniu, obserwowałam dalej, jak pan Rivers kroczy po trawie i znika na ścieżce prowadzącej nad morze. Przyszło mi do głowy, że jest jedynym mieszkańcem Tyneford najwyraźniej nieporuszoną przybyciem syna. Trzasnęły drzwi werandy i sekundę później w salonie pojawił się Kit, zostawiając wilgotne ślady butów na wyfroterowanej podłodze. Ściągnęłam brwi i już miałam zwrócić mu uwagę, jednak przypomniałam sobie w czasie, gdzie jest moje miejsce. Ugryzłam się w język, ale musiał dostrzec wyraz niezadowolenia na mojej twarzy.

- Przepraszam. Zdejmę je.

Patrzyłam w milczeniu, jak siada na środku podłogi i ściąga obuwie. Przeszedł przez pokój w samych skarpetkach do okna, przy którym stałam ze ścierką w dłoni, otworzył je na oścież i wyrzucił buty, tak że poszybowały w powietrzu i wylądowały z głuchym łup-łup na trawniku. Zamknął skrzydło.

- Proszę. Jeszcze raz przepraszam. - Uśmiechnął się ciepło, z błaganiem w niebieskich oczach. - Zapoznałaś się już z *Forsyte'amP*.

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, że mówi o powieści w papierowej okładce, ukrytej pod moją poduszką.

- Nie miałam czasu - powiedziałam, stojąc sztywno obok podniszczonej sofy. Co wieczór obiecywałam sobie, że poczy-

tam, ale kiedy w końcu kładłam się do łóżka, natychmiast zasypiałam kamiennym snem.

Opadł na głęboki fotel i przerzucił nogę przez oparcie, ukazując dużą dziurę w skarpetce. Wystawał z niej palec.

- Ooo. - W jego głosie było tyle smutku, jakbym dała mu rekuzę.

- Chcieć przeczytać. Ale zawsze strasznie zajęta.

- Och, no dobrze. Postaraj się jednak i pospiesz.

Przyglądałam się Kitowi i zastanawiałam się, czyja też okazywałam Hildegardzie takie zniecierpliwienie. Prawdopodobnie. Teraz byłam na okrągło zmęczona. Codziennie bladym świtem May waliła w moje drzwi i zrywałam się z łóżka, żałując, że nie mogę dłużej pospać. Lubiłam sprzątać duży salon, bo tam mogłam siedzieć na perskim dywanie za sofą i oddawać się marzeniom na jawie. Gdyby pojawił się pan Wrexham albo ktokolwiek inny, byłam niewidoczna, a jeśli by nawet mnie dostrzegł, mogłam zawsze udawać, że poleruję mosiężną nogę sofy, albo ścieram zabrudzenie na parkiecie.

- No to przyjdiesz?

- Przepraszam? Nie dosłuchałam.

Pogrążona w myślach, nie usłyszałam ani słowa z tego, co Kit mówił.

- Do kościoła, jutro.

Chrząknęłam i odruchowo przeciągnęłam ręką po włosach.

- Nie mogę. Nie chadzam do kościoła. Usiadł prosto w wyściełanym fotelu.

- Tylko ten jeden raz. Obiecuję, że będzie niezła zabawa.

- Zabawa?

Nie mogłam uwierzyć, żeby kościół aż tak bardzo różnił się od synagogi. Podczas tych kilku razy, kiedy zaciągnęły mnie do niej cioteczne babki, skręcałam się z nudów. W Jom Kippur,

gdy nie wolno myć zębów ani płukać ust, cały dzień mijał mi na unikaniu kwaśnego odoru oddechów starszych pań i uchylaniu się przed ich pocałunkami.

- Tak. Zabawa. Nie musisz wchodzić do środka. Stań przy drzwiach. Tylko ten jeden raz. Zaufaj mi.

- Zastanowię się.

Otworzyły się drzwi i w wejściu stanął Wrexham. Kiedy zobaczył, że rozmawiam z Kitem, oczy mu się zwęziły z niezadowolenia. Zabrałam pudełko z akcesoriami do sprzątania i pośpiesznie wyszłam na korytarz.

- Nie wolno ci rozmawiać z paniczem Kitem.

- On pierwszy zaczynać. Pan Wrexham ściągnął brwi.

- No cóż, panicz Kit jest bardzo przyjacielski. Ale jaśnie państwo nie powinni widzieć, jak sprzątasz. To nieestosowne. Następnym razem natychmiast przepraszasz i wychodzisz.

- Tak, panie Wrexham.

Kamerdyner i ochmistrzyni uparcie starali się podtrzymać iluzję, że dom sprząta się za pomocą czarów lub elfów. Trzeba było rozpalać w kominkach, odsuwać i zasuwać zasłony, zamiatać podłogi, odkurzać dywany, polerować srebra, ścierać kurze z obrazów, jednak sama czynność sprzątania miała być niewidoczna. Wydawało mi się to bardzo osobliwe. Nawet Hildegarda i służące na przychodne w Wiedniu robiły porządki w naszej obecności. Hilda na dodatek jeszcze sapała, dyszała i psioczyła pod nosem. Nie była ani cicha, ani niewidoczna.

Pan Wrexham odciągnął mnie w róg holu i powiedział cicho:

- Elise, dostałaś list. Listonosz przyszedł dzisiaj później niż zwykle. Złapał, zdaje się, gumę, na rowerze. Zatem, jeśli chcesz, możesz przyjść do moje...

Urwał w pół zdania, przywołując na twarz obojętny uśmiech kamerdynera, kiedy do holu wszedł Kit w skarpetkach.

- Jak się ma nasz zacier dzisiaj, Wrexham?

- Bardzo ładnie dochodzi, sir. Chciałby pan zajrzeć i sam sprawdzić? Kit się do mnie wyszczerzył.

- Cicha woda z tego Wrexhama. Niedościgniony mistrz browarnictwa. Robi najlepsze piwo w Dorset.

- Sir jest dla mnie bardzo łaskaw. Kit zerknął na zegarek.

- Kwadrans po dziesiątej. Doskonała pora, żeby spróbować najnowszej partii. Chcesz skosztować, Elise?

Uśmiech pana Wrexhama pozostał twardo przyszpilony do ust.

- Elise ma dziś mnóstwo pracy.

Kit wzruszył ramionami i podreptał za kamerdynerem do spiżarni na tyłach. Odprowadzałam ich wzrokiem przez chwilę, potem, niepomna na późniejszą burę, zawołałam:

- Panie Wrexham?

Stanął jak wryty i odwrócił się, mierząc mnie zimnym, pełnym dezaprobaty wzrokiem.

- Mój list? Proszę. Mój list.

- Jestem teraz z młodym panem, Elise. Gdzie twoje maniere? Zachowuj się.

W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta, ale Kit się nie przejął.

- Och, daj Elise jej list, Wrexham. Piwo nie ucieknie. Poczulałam dla niego wdzięczność, choć wiedziałam, że stary służący sobie na mnie poużywa.

- Dobrze - oświadczył pan Wrexham, nie patrząc na mnie. Ruszyliśmy w milczeniu korytarzem do jego pokoju. Tam

przystanąłam i czekałam przy drzwiach, a Kit poszedł dalej do piwniczki na piwo. Pan Wrexham wślizgnął się do środka i wziął nie jeden, a dwa listy oparte o stół przy drzwiach. Podał mi je bez słowa.

- Dziękuję.

Wsunęłam je do kieszeni fartucha i odwróciłam się, rozpaczliwie pragnąc zaszyć się na górze i przeczytać je w spokoju.

- Poczekaj - polecił kamerdyner. - Weź pastę do polerowania i ścierki. Porcelana w bibliotece wymaga pilnego czyszczenia. Sprawdzę przed lunchem, jak się sprawiłaś. I ostrzegam, oczekuję perfekcji. Dobrze ci radzę, lepiej zanieś korespondencję na górę i przeczytaj później.

Tłumiąc westchnienie, spuściłam głowę. Kiedy ją podniosłam, zobaczyłam pełne współczucia spojrzenie Kita. Czaił się w mroku korytarza, tuż poza zasięgiem wzroku kamerdynera. Na szczęście tym razem nic nie powiedział, najwyraźniej świadom, że kolejna próba wstawienia się za mną jeszcze bardziej rozsierdzi starego lokaja. Ani mi się jednak śniło odkładać lekturę na później. Wzięłam ścierki i pospieszyłam do biblioteki, zadowolona, że pan Rivers jest na spacerze i będę tam sama.

Biblioteka mieściła się w północnym skrzydle domu, jedno okno wychodziło na podjazd i werandę, a drugie na trawnik przed domem. Jeśli tylko nie było w pokoju pana Riversa, zasłony trzymane zaciągnięte, by chronić delikatne oprawy wiekowych tomów. Morskie powietrze, tak korzystne dla siermiężnego ludzkiego zdrowia, było bezwzględne dla rodowego księgozbioru Riversów, i kiedy otwierało się niektóre foliały, stronicie kruszyły się i rozpadały w proch. Pewnego razu, gdy przeciągnęłam palcem po skórzanym grzbiecie, warstwa szkarłatu odpadła i przyłgnęła mi do skóry. Pani Ellsworth kazała mi co rano palić w kominku sosnowe szyszki i zanurzać świe-

ce w olejku lawendowym, ale woń zatechłego papieru i tak nie znikala. Służące na przychodne nie cierpiały tego pokoju, skarżąc się, że „tam ćma choć oko wykol i tylko utrapienie”. Zdobyłam sobie ich ogromną wdzięczność, kiedy zaproponowałam, że przejmę jego sprzątanie. Lubiłam bliskość powieści Juliana, a stały półmrok wydawał mi się bardziej kojący niż upiorny i uwielbiałam przychodzić tam o zmierzchu. Przycinałam knoty zapachowych świec, pomarańczowe słońce zniżało się na zachodzie nieba, sprawiając, że grzbiety ksiąg zdawały się płonąć przez chwilę, zanim gasły, gdy ześlizgiwało się za cień wzgórza.

Wiedziałam, że Kit i jego piwo zajmą pana Wrexhama, a pani Ellsworth jest pochłonięta przygotowaniem lunchu, miałam więc kilka minut na przeczytanie listów. Pożyczyłam sobie srebrny nożyk do papieru z wiktoriańskiego biurka i usiadłam na dywaniku przed kominkiem. Najpierw otworzyłam kopertę z wcześniejszą datą stempla pocztowego. W środku znajdował się arkusik zapisany zziąjanymi gryzmołami Margot.

futro wyjeżdżamy z Robertem do Ameryki. Nie chciałam się ruszyć, dopóki nie nadejdą wizy dla rodziców i nie będziemy mogli pojechać wszyscy razem, ale tata odbył rozmowę z Robertem i potem obaj nalegali, żebyśmy wypłynęli następnym statkiem. Płakałam, mama też, ale obaj obstawali twardo przy swoim. Więc proszę, nie denerwuj się, jeśli przez jakiś czas nie otrzymasz ode mnie listu, bo będę na statku, a potem nie wiem ile czasu minie zanim uda mi się do Ciebie znowu napisać och, Fasolko, już tak strasznie tęsknię za Tobą, a o ileż trudniej mi będzie z dala od Hildy, mamy i taty i nawet ciotek. Chciałabym bardzo zostać, bo to wszystko na pewno szybko się uspokoi, nawet mama tak mówi, a ja nie chcę wyjeżdżać taki szmat

drogi, miesiąc nie minie, a oni na pewno dołączą do nas. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze i postaraj się nie jeść za dużo.

Atrament był rozmazany - zapewne, uznałam, od łez Margot. Wzięłam głęboki oddech, bo trochę mnie zemdliło. Z nas dwóch to moja siostra zawsze przejawiała skłonność do hysterii czy też, jak mawiał Julian, „artystyczny temperament” (ponieważ ja nie miałam zadatków na artystkę, moje humory klasyfikowano jako dziecinną niedojrzałość). Jeśli chciał, żeby wyjechała, musiał być po temu ważny powód. Poza tym Robert został zwolniony z uniwersytetu tydzień po Anszlusie, a w Kalifornii czekała na niego dobrze płatna posada. Nie było sensu, by siedzieli w Wiedniu dłużej. Wrócimy tam wszyscy za rok lub dwa, a do tego czasu trzeba schować łzy do kieszeni. Prychnęłam - od kiedy to stałam się taka pragmatyczna? Moi bliscy mnie nie poznają.

Sięgnęłam po drugi list, wysłany tydzień po liście Margot.

Dziękujemy za telegram. Ale następny list wyślij już na nasz nowy adres. Przeprowadziliśmy się z ojcem i Hildegardą z Dorotheegasse do mniejszego mieszkania na Leopoldstadt. Nie denerwuj się tylko ani nie zamartwiaj niepotrzebnie. Nowe lokum jest ładne i jasne i to zdecydowanie rozsądniejsze rozwiązanie dla naszej trójki. Kiedy wyjechałyście, objaliśmy się tylko z Julianem o ściany takiego wielkiego mieszkania. To jest o wiele przytulniejsze.

U nas wszystko dobrze. Tęsknimy za Tobą, Margot, a nawet, Bogiem a prawdą, za zrzędlwym Robertem. Ale bardzo się cieszymy, że jesteście bezpieczne. O nas się nie martwcie - oni najwyraźniej nie są zainteresowani takimi starymi ludźmi jak my. Musisz opisać mi angielską

wieś. Słyszałam, że jest bardzo piękna. Mam nadzieję, że jedzenie da się jeść, nawet jeśli odstaje poziomem od kuchni Hildegardy. Postaraj się nie schudnąć.

Twoja kochająca matka Anna Julie Landau

Wsunęłam kopertę z powrotem do kieszeni fartucha z nagłym uczuciem niepokoju. Zawsze mówiłyśmy sobie z Anną i Margot wszystko, ale ten list krzyczał niedopowiedzeniami. Dlaczego rodzice się przeprowadzili? Przecież, skoro amerykańskie wizy miały nadejść lada chwila, mogli poczekać te kilka tygodni. Nie podobało mi się, że nie jestem w stanie ich sobie wyobrazić. Zwykle kiedy o nich myślałam, widziałam ich w rodzinnym domu: Julian gryzmolił coś w gabinecie, Anna wracała z zaróżowionymi policzkami ze sklepu, obładowana pakunkami owiniętymi w pasiasty papier. Teraz nie wiedziałam, jak przywołać ich obraz. Zamiast niego miałam przed oczyma pustkę.

Po południu pan Wrexham polecił mi podać jaśnie państwu herbatę na tarasie. Ewidentnie uważał, że jest to zaszczyt, na który nie zasługuję, ale na prośbę Kita sam rozlewał do butelek piwo na niedzielny lunch i choć powinnam zostać ukarana za mój tupet (domaganie się listu i marnowanie czasu panicza to zbrodnia - potrzeby jaśnie państwa są zawsze ważniejsze od twoich, moja panno), nie mógł narażać dżentelmenów na dyskomfort czekania. Wprawdzie ja byłam w niełasce, ale herbata nie mogła być podana z poślizgiem.

Stałam w kuchni, trzymając ogromną tacę i modląc się, żeby

nie trzęsły mi się ręce, kiedy pani Ellsworth umieszczała na niej porcelanowy dzbanek do herbaty z sitkiem, imbryk z gorącą wodą, dzbanuszek na mleko, babeczki, gęstą śmietankę, dżem malinowy, talerzyk herbatników ze skórką cytrynową i kopiastrą porcję kanapek z łososiem i ogórkiem. Asekurowana przez lokaja Henry ego, który otwierał przede mną drzwi, przeszłam przez tudoriański portyk na taras.

- Tu już sobie poradzisz, Elise? - spytał Henry.

- Tak, dziękuję.

Zniknął w środku. Pan Rivers i Kit siedzieli na żeliwnych krzesłach przy pomalowanym na biało stole. Kit palił, strzepując popiół do donicy z terakoty. Ojciec go ignorował i udawał, że czyta gazetę. Wiedziałam, że tylko markuje, ponieważ miał ustalony, niezmienny porządek dnia: śniadanie i nagłówki kwadrans po ósmej, później do dziesiątej trzydzieści korespondencja i lektura wiadomości. Gazeta zawsze była gotowa do odłożenia na stertę w pokoju pana Wrexhama przed lunchem. Postawiłam tacę na stole i przekładając sztucce, zastanawiałam się, dlaczego pan Rivers nie chce rozmawiać z synem.

Podniosłam szczypczykami samotną kostkę cukru i wrzuciłam ją z powrotem do cukiernicy w nadziei, że żaden z nich tego nie zauważył. Pani Ellsworth bardzo szczegółowo poinstruowała mnie, jak należy podawać herbatę, i dopiero kiedy dwa razy wykonałam bezbłędnie całą procedurę na niej i May, pozwolono mi serwować jaśnie państwu. Postawiłam przed ojcem i synem porcelanowe filiżanki na spodeczkach, na brzegu każdego położyłam następnie maleńką srebrną łyżeczkę dokładnie na godzinie drugiej, wzięłam dzbanek z herbatą i stanęłam z lewej strony pana Riversa.

- Herbaty, sir?

- Tak, proszę, Elise. Nalej.

Chlusnęłam napar do filiżanki, uznałam, że jest ciut za ciemny, i dodałam kapkę gorącej wody ze srebrnego imbryczka.

- Cukier, sir?

- Nie, nie, dziękuję.

Popatrzyłam na Kita. Nie bardzo wiedziałam, jak powinnam się do niego zwracać w obecności jego ojca. Uśmiechnął się do mnie swobodnie z drugiej strony stołu.

- Tak, proszę, i dwie kostki cukru - powiedział, wybawiając mnie z kłopotu.

Nie minęła minuta, a na stole stały dwie parujące filiżanki herbaty, bez ani jednej kropelki uronionej na spodeczek, oraz talerzyki z babeczkami i dżemem. Byłam z siebie zadowolona.

- Czy mogę podać coś jeszcze, sir?

Pan Rivers opuścił gazetę, złożył ją na pół i położył na stole. Wpatrywałam się w nią pożądliwie, bardziej łasa na wiadomości niż na wypieki pani Ellsworth.

- Nie, dziękuję, to wszystko.

Kiedy zabrałam tacę, gotowa wrócić do kuchni, pan Rivers wziął łyce herbaty. Ułamek sekundy później go wypluł. Na spodeczku pływała masa liści. Zapomniałam użyć sitka. Ze zgrozą przyłożyłam dłoń do policzków.

Kit wybuchnął głośnym śmiechem, wziął łyk swojej i przełknawszy, lekko się wzdrygnął.

- O, to tak się pija herbatę w Wiedniu? Próbujesz nauczyć nas dobrych manier?

- Strasznie mi przykro, panie Rivers. - Usiłowałam zabrać mu filiżankę.

Pan Rivers się uśmiechnął i nie chciał wypuścić naczynia z rąk. Rozległ się trzask i uszko się odłamało. Popatrzyłam na niego, potem na kawałek malowanej w różę porcelany w mo-

ich palcach i zastanawiałam się, czy byłoby niegrzecznie się rozpłakać.

- Jestem beznadziejną pokojówką - oświadczyłam ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Szczerze mówiąc, miewaliśmy już znacznie gorsze. Proszę. - Kit podał mi chusteczkę, czystą tym razem. - Naprawdę nic się nie stało.

Pan Rivers delikatnie wyjął mi z dłoni odłamane uszko.

- Daj spokój. Też mi powód do zdenerwowania. Bogiem a prawdą, nie cierpimy tych herbatek. To pani Ellsworth na nie nalega.

- Tak - potwierdził Kit. - Nawet ojciec boi się Flo. Chcąc nie chcąc, się uśmiechnęłam. Pan Rivers wstał i wylał

zawartość obu filiżanek na trawnik, zostawiając czarną plamę z herbacianych liści.

- Powiem pani Ellsworth, że to ja ją stukłem. Jakoś zniosę jej burę, zapewniam - rzucił, zerkając na Kita.

- Dziękuję.

- Zadzwonimy, jeśli będziemy potrzebowali czegoś jeszcze - dodał życzliwie, odprowadzając mnie.

- Tak, sir.

Widziałam wcześniej, że inne dziewczęta wykonują w tym momencie dygnięcie albo ukłon, ale sama nie potrafiłam się przemóc. Julian nauczył mnie nikomu nie czapkować. Franz Josef nie żył, cesarstwo się rozpadło, i słusznie, a w republice wszyscy są sobie równi. Zastanawiałam się wprawdzie, jak godzi to przekonanie z faktem, że Hilda pierze mu skarpetki oraz przygotowuje śniadania i kąpiele, ale uznałam takie myśli za nielojalne z mojej strony, bo przecież nie był w stanie się bronić.

Usłyszawszy brzęk dzwonka, wróciłam na taras i zobaczyłam, że pana Riversa już nie ma, a Kit siedzi sam. Nie tknął

nawet jedzenia, ale obok jego krzesła leżała kupka papierosowych petów. Zebrałam naczynia na tacę, starając się nie brzęczeć nimi za głośno.

- Jak się ma twoja rodzina? - spytał.

- Wielce dobrze, dziękuję. Przeprowadzili się do mniejszego mieszkania. - Przełknęłam ślinę i oblizyłam wyschnięte wargi. - Kit?

- Tak, Elise? - Uniósł brew.

- Bardzo chcę czytać gazetę „Times” pana Riversa. Nie mam żadnych wiadomości ze Wiednia. Kiedy on kończy, może ja czytać? To też dobre dla naprawy angielskiego.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Spytam ojca. Nie będzie miał nic przeciwko.

- Dziękuję ci bardzo.

Zbył moją wdzięczność machnięciem ręki i strząsnął ze stołu okruszek.

- Przyjdź jutro do kościoła. Rozerwiesz się. To nie będzie miało nic wspólnego z Bogiem, obiecuję. Tylko z rybami.

- Z rybami?

- Tak. No proszę, teraz cię zaintrygowałem, ale dowiesz się, o co chodzi, dopiero kiedy przyjdiesz.

- Dobrze. Przyjdę, jeśli pan Wrexham zezwoli. Kit prychnął.

- Jasne, że się zgodzi. Szansa przekabacenia żydówki? Będzie wniebowzięty.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Balaam i Balak

Kit miał absolutną rację. Pan Wrexham z trudem powstrzymał się od zacierania rąk z radości, kiedy poinformowałam go następnego ranka, że chciałabym się udać na niedzielną mszę z resztą służby.

- O, świetnie. Cieszę się, że panicz Kit cię namówił. To chłopiec o wielkiej duszy.

Milczałam, pewna, że moja obecność w kościele nie ma nic wspólnego z niczyją duszą.

Posłano mnie na górę po nakrycie głowy, ale ponieważ kapelusik w kształcie helmu leżał rozplaszczony na dnie szafy, zawiązałam na włosach jedwabną chustkę. Margot zawsze się ze mną droczyła, powtarzając, że w chustce na głowie przypominam jedną z tych niemodnie ubranych aszkenazyjskich gospodyń domowych. Przybyły z rodzinami do Wiednia ze sztetli na wschodzie i tłoczyły się w smętnych stadkach przed ladą żydowskich delikatesów, szwargocząc swoim ostrym niemieckim. Wstydziliśmy się tego żydowskiego chłopstwa, które nie miało z nami nic wspólnego. W szkole ich córki trzymały się razem, zbite w grupkę po drugiej stronie dziedzińca w płaszczach z brązowej wełny i prostych chustach na głowę, podczas gdy Margot, ja i inne zasymilowane austriackie żydówki z zamożnych domów bawiłyśmy się w berka z katoliczkami i podśmiewały

z nich z daleka. Zdaniem Margot jednak skrycie byłam jedną z nich: nawet w ciuchach od Hermesa wyglądałam, jakbym nadawała się tylko do sprzedawania ziemniaków.

Kiedy wróciłam na dół, okazało się, że wszyscy już wyszli do maleńkiego kościółka u stóp wzgórza. Ucieszyłam się. Wolałam iść sama, wolna od litanii wychowawczych pouczeń pana Wrexhama. Większa była też szansa, że będę mogła swobodnie przystanąć sobie w drzwiach, nienaciskana, by usiąść z innymi. Nie chciałam zapędzać się w głąb kościoła i nie miałam zamiaru się modlić.

Pamiętam tę niedzielę z absolutną klarownością - to był jeden z tych nieskazitelnych czerwcowych poranków, kiedy człowiek gotów by dać głowę, że raj to letni dzień w południowej Anglii. Dźwięk dzwonów niósł się po zboczu, mieszając z brzękiem dzwoneczków owiec, które pasły się na przylegającej do przykościelnego cmentarza łące. Jaskółki śmigły po bezchmurnym niebie, a na kamiennym murku przysiadł czarny kot i obserwował pożądlivym wzrokiem stadko żółtych kacząt w stawie. Wzięłam głęboki oddech i napełniłam płuca latem. Powietrze przesyciła woń tysiąca dzikich kwiatów, lwie paszcze i naparstnice w przydomowych ogródkach połyskiwały w promieniach słońca różem i cynobrem. Cała okolica była jedną plamą barw: niebo na górze pulsowało krzykliwym błękitem, a na dole łąki obsypane jaskrami lśniły niczym złote monety. Wtedy jeszcze nie znałam nazw kwiatów - nauczyłam się ich dopiero później - ale teraz zamiast kęp pomarańczowych i żółtych płatków widzę pierwiosnki i pieniądze. W oddali morze skrzyło się i migotało, rozbijając białą mgiełką o brzeg. Kusiło mnie, żeby w ogóle darować sobie kościół i zamiast tego zaszyć się na plaży, ale świadoma, że w ten sposób podpadłabym tylko przełożonym, przeszłam pośpiesznie cmentarzem. Przystanęłam

w dębowych drzwiach, które prowadziły do nawy. Parafianie tłoczyli się w ciasnych rzędach i śpiewali jakiś posepny hymn, duży czarny kapelusz pani Ellsworth, tkwiący na jej głowie niczym waląca się skała, był widoczny ponad rozkołysanym tłumem. Z przodu na podwyższeniu siedzieli na ławce pan Rivers i Kit.

Oparta o chłodną, bieloną wapnem ścianę czekałam z tyłu z zasznurowanymi ustami. Nie chciałam śpiewać. Co pomyśleliby sobie Anna i Julian, gdyby wiedzieli, że tu jestem? Poczułam, jak policzki oblewają mi się pąsem, i już chciałam się wymknąć, kiedy Kit mnie zobaczył i się uśmiechnął. Był to rozkoszny widok. Ku mojemu zdumieniu sprawiał wrażenie naprawdę zadowolonego, że przyszłam. Uznałam, że muszę zostać, choćby tylko na kwadrans.

Z na wpół przymkniętymi oczyma słuchałam cichego głosu pastora mamlącego modlitwy i ogłoszenia parafialne. Był to łysiejący mężczyzna odziany w długą czarną sutannę i białą komżę i wydawało się, że czuje się bardzo nieswojo, gdy tak stał, mamrocząc przy ołtarzu. Zapach wilgoci mieszał się z wonią naftalinowych kulek na mole, jakby wszyscy zgromadzeni przywdziali ubrania przechowywane w głębi szafy przez sześć dni w tygodniu. Nabożeństwo było równie nudne jak moje rzadkie wizyty w synagodze i poczułam się dziwnie spokojna. Bóg ani jego kult nie robiły na mnie wrażenia w żadnym języku czy wydaniu. Julian trzymał na półce w gabinecie ręcznie malowany hinduski modlitewnik ilustrowany setkami fantastycznych miniatur ze złotą obwódką: bogowie o niebieskiej skórze z całym pękiem ramion hasali sobie po żółtych miastach albo polowali na ryczące tygrysy w zielonych lasach. Podejrzewałam, że nawet gdybym uczestniczyła w jednym z tych egzotycznych hinduskich obrzędów religijnych z kadzidłem, złoceniami i niebieskimi bóstwami, i tak bym się nudziła. Lustrowałam wzrokiem parafian

i choć kilku wpatrywało się w pastora w nabożnym skupieniu, większość bawiła się modlitewnikami albo gapiła w otwarte okno, gdzie motyl o brązowo-purpurowych skrzydłach trzepotał w przeciągu, rozpaczliwie usiłując uciec. W ostatniej ławce Burt i Art ucinali sobie ukradkową partyjkę kart. Kiedy szczególnie głośne chóralne „amen” odwróciło na moment uwagę Arta, rybak wsunął asa trefl do kieszeni spodni i mrugnął do mnie konspiracyjnie.

Przestępowałam z nogi na nogę, bawiąc się końcami jedwabnej chustki i tłumiąc ziewanie. Nie pojmowałam, po co Kit kazał mi tu przyjść, i już miałam się zabierać, kiedy w jednej z przednich ławek zauważyłam rudowłosą dziewczynę. Nie miała kapelusza ani w ogóle żadnego nakrycia głowy i długie pukle opadały jej na plecy szkarłatnymi falami niczym krwistoczerwone morze. Stała w rzędzie tuż za Kitem, który właśnie się obrócił i wyszeptał jej jakiś sekret, zasłaniając usta modlitewnikiem, by nikt nie podsłuchał. Zachichotała i zamrugowała. Postanowiłam zostać.

Parafianie zaczęli się niecierpliwić, Art i Burt zaś pochowali karty w kieszeniach marynarek. Zauważyłam, że wszyscy mężczyźni po cichu rozwiązują krawaty i fulary, ściągają i upychają je w kieszeniach albo podają żonom. Słysząc było cichy szmer wyczekiwania. Teraz wszystkie pary oczu wpatrywały się w pastora. Najwyraźniej miał świadomość nagłego zainteresowania wiernych jego osobą i kropelki potu zaczęły spływać mu po czole, gdy jękając się, odmawiał następną modlitwę. Ludzie zwijali się, cofali niczym syczący język węża i cieszyłam się, że stoję przy drzwiach. Pastor podszedł chwiejnym krokiem do okazałego skózanego tomu, który leżał otwarty na drewnianym pulpicie, i otarł wilgotne czoło grzbietem dłoni. Odchrząknął dwa razy, ale głos mu się łamał, kiedy przemówił:

- Dzisiejsze kazanie jest z Księgi Liczb...

Rozległ się chóralny wdech.

- Balaam...

Wszyscy mężczyźni wstali.

- ...iBalak.

Przy słowie Balak rzucili się w stronę drzwi. Rozpłaszczyłam się na ścianie z dziko bijącym sercem, kiedy przebiegali obok mnie, przerażona, że tłum mnie porwie i strąci. Kościół rozbrzmiał hukiem pięćdziesięciu par nabijanych ćwiekami butów stukających na kamiennej posadzce. Nagle poczułam, że czyjeś palce splatają się z moimi, i Kit syknął mi do ucha: „Chodź”.

Pociągnął mnie na zewnątrz w rzekę gnających ludzi. Zobaczyłam, że trzyma też za rękę rudowłosą dziewczynę. Zmrużyłam oczy i pobiegłam.

Pędziliśmy w stronę morza, kamienna ścieżka rozbrzmiewała echem setki tupoczących nóg. Kiedy dotarliśmy na plażę, dwie łodzie rybackie podskakiwały jak szalone na wodzie. Obok kilku innych tłoczyli się mężczyźni - brali je na szerokie ramiona i szli chwiejnie w stronę fal.

- Paniczu Kit, chodźcie! - zawołał jakiś głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Burta wrzeszczącego sprzed

swojej chaty, gdzie na drewnianym podwyższeniu spoczywała biało-niebieska łódź.

- Pomóżcie mi ją zepchnąć - zadysponował rybak. Wdrapaliśmy się po skałach razem z Kitem i rudowłosą

i dźwignęliśmy łódkę. Okazała się potwornie ciężka, kolana mi się ugięły. Chwilę później poczułam, że brzemie się zmniejszyło, i zobaczyłam barczystego młodzieńca o piaskowych włosach podtrzymującego dziób łodzi.

- Uciekaj, Poppy, zrobisz se krzywdę - powiedział do dziewczyny. - Ty też - dodał, skinąwszy głową w moim kierunku.

Odsunęliśmy się i patrzyliśmy, jak trzech mężczyzn biegnie

z łodzią do morza, grzęznąć w kamykach jak w błocie. Weszli do wody, od której spodnie natychmiast zrobiły im się czarne, i rzucili łódź na fale.

- No, idziecie?! - wrzasnął Kit.

Rudowłosa chwyciła mnie za rękę i pociągnęła przez plażę do łodzi. Podkasała wysoko spódnicę, wsunęła rąbek za majtki i ściągnawszy buty, wrzuciła je na pokład. Też podciągnęłam sukienkę nad uda, ale nie posunęłam się do wsadzenia jej za bieliznę. Dziewczyna pokręciła głową, gdy wysoki młodzieniec wyciągnął do niej rękę, i wskoczyła na pokład. Spróbowałam pójść za jej przykładem, ale tylko walnęłam o drewniany kadłub i poraniłam sobie golenie. Chwilę później poczułam, że czyjeś dłonie chwytają mnie w talii, i zostałam wrzucona do łodzi głową do przodu, niczym złowiona ryba. Podskoczył do mnie Kit.

- Przepraszam. Ale nie pora na ceregiele. - Chwycił wiosło i odepchnął łódź od brzegu, podczas gdy pozostali mężczyźni podnosili podniszczony brązowy żagiel. - Widzisz? Nie cieszysz się, że przyszłaś? - dopytywał się.

Siedziałam w kałuży na dnie, z piszczeli spływała mi krew i milczałam.

- To jest Poppy. - Wskazał na dziewczynę o szkarłatnych włosach. - A to Will.

Młody mężczyzna posłał mi krzywy uśmiech i uniósł dłoń, zanim wrócił do takielunku.

- A nie zabyliśta przypadkiem o kimś, paniczu? - spytał Burt z wyrzutem w głosie.

- A, tak. Ten wspaniały staruszek - Kit postukał w drewniany maszt - to *Lugier*.

Poppy przysunęła się do mnie.

- Powiedział ci chociaż, co dzisiaj mamy? - spytała, obrzucając Kita gniewnym spojrzeniem.

Pokręciłam głową osłupiała.

- Okropny jest. Musisz nas wszystkich mieć za barbarzyńców.

- To ma coś wspólnego z rybami.

- Tak. Pierwszy dzień sezonu na makrele. Wychodzimy na połów, gdy tylko pastor zaczyna opowiadać historię o Balaamie i Balaku.

- Moglibyśmy zaczynać każdemu jednemu porom w czerwcu - powiedział Burt, wynurzając się zza żagla. - Ino wtedy ni ma taka zabawa.

- Tak. Wybieganie z kościoła naprawdę denerwuje pastora - potwierdził Kit. - No i stwarza atmosferę wielkiego wydarzenia.

- Widziałem ławice dziś rano. W głębi Worbarrow. Tam popłyniem - zarządził stary rybak.

Lugier został zwodowany jako ostatni i wszędzie dokoła nas podskakiwały na falach małe kutry rybackie. Niektóre zdążyły odpłynąć już tak daleko, że wyglądały jak zabawki, ich białe żagle przypominały złożone chusteczki do nosa. Niebo nad nami pokrywały smugi pierzasto-kłębiastych chmur, a zielononiebieskie morze ciągnęło się aż po horyzont. Słony rozprysk fal smagał policzki, wiatr podwiewał mi chustkę i sprawiał, że włosy Poppy wiły się na podobieństwo ramion meduzy.

- Nie turbujta się. - Burt wskazał na pozostałe łodzie. - Wy-znamom się na tym jak kura na pieprzu. Sam niewielka łapie, ale łapie ryby. Zwrot przez sztag.

Wszyscy odruchowo się schylili. Wszyscy, tylko nie ja. Dostałam prosto w potylicę, kiedy bom przeleciał przez łódź. Zwaliłam się na dno, głowa eksplodowała mi bólem.

- Idioci! - wrzasnęła Poppy. - Ona nie wie, co robić. Przykucnęła przy mnie i objęła kościstymi ramionami. Byłam

ogłuszona, miałam lekkie mdłości i chciałam, żeby mnie puściła.

- Zostaw ją, Poppy. Daj jej chwilę, dojdzie do siebie. Nic jej

nie będzie - powiedział Kit, podchodząc bliżej. - Nic ci nie będzie, prawda? - Przyjrzał mi się badawczo.

- Jak chce rzygać, to łaskawie za burta - powiedział Burt. Leżałam na dnie kadłuba, czując, jak pulsujący ból powoli ustępuje.

- No widzicie. Nic jej nie jest - stwierdził Kit. - Kolory jej wracają.

Pomógł mi się podnieść, zaprowadził na dziób i podał naręcze zwiniętych lin oraz pokrowców na żagiel, żebym mogła wygodnie usiąść.

- Jeśli ktoś mówi „zwrot przez sztag”, schylasz się. „Zwrot przez rufę”, schylasz się. „Niech to szlag”, schylasz się. Rozumiesz? - spytał.

Skinęłam głową, czego z miejsca pożałowałam, bo zaczęła mnie z powrotem boleć. Mimo to się uśmiechnęłam. Nigdy wcześniej nie pływałam po morzu. Podróż statkiem z Francji się nie liczyła. Siedziałam wtedy skulona na swoim kufrze w głębi liniowca, wymiotując po cichu do papierowej torebki, niezdolna się ruszyć. Teraz było zupełnie inaczej. Nad głowami krążyły nam szaroskrzydłe mewy i czarne kormorany, wrzeszcząc chrapliwie na wietrze. Łódź wznosiła się i opadała na falach i ze zdziwieniem odkryłam, że podoba mi się to kołysanie. Pęd powietrza i huk słonej wody sprawił, że zapomniałam o wszystkim poza odgłosem morza i wołaniem mew. Pisnęłam, gdy przez łódź przewaliła się fala i przemoczyła mnie do suchej nitki. Poppy, Will i Kit uznali, że to zabawa, i dołączyli do mnie, wydzierając się radośnie na całe gardło.

- Patrzajta. - Burt wskazał ciemny cień pod lustrem wody. Stadko mew krążyło nad nami i nurkowało. - Zwrot przez sztag.

Przykucnęłam i nakryłam głowę rękoma, kiedy bom ze świstem przeleciał na drugą stronę. Mała łódka pomknęła w kie-

runku ciemnego skrawka morza, dając znaki innym kutrom. Nie zauważyłam kiedy, ale zawróciliśmy i kierowaliśmy się w stronę brzegu, płynąc wzdłuż podwodnego cienia. Will i Kit wylali cuchnącą przynętę za burtę i woda wzburzyła się od migotliwych ryb.

- Przejmij rumpel - polecił Burt i Poppy zajęła miejsce przy sterze, podczas gdy on zaczął rozwijać ułożoną na rufie sieć.

Inna łódź znajdowała się teraz niecałe dwadzieścia metrów dalej, płynąc równolegle do nas. Burt zagwizdał i w odpowiedzi rozległ się ostry dźwięk.

- Ano. *Królowa Brandy* się zbliża.

Drugi kuter obrócił się przez sztag i podpłynął do nas, niemal ocierając się o burtę. Burt rzucił jeden koniec sieci brodatemu rybakowi, który złapał go bez trudu. Kiedy *Królowa Brandy* ponownie skręciła, Burt odwinął i wrzucił swój koniec do wody, zamykając ryby w pułapce. *Królowa Brandy* i *Lugier* wyczekiwały w miejscu, gdzie dno gwałtownie opadało. Chwilę później zaroilo się dokoła od pozostałych kutrów. Wśród trzasku wiosel i pokrzykiwań zagnano makrele na płytką wodę i do wielkiej rozciągniętej sieci, z dala od bezpiecznej głębi. Sieć opasywała teraz ciemną ławicę, ale ryby leżały bez ruchu, gdy *Królowa Brandy* i *Lugier* ciągnęły je coraz bliżej i bliżej brzegu. Na plaży czekała już reszta mieszkańców wioski, kobiety i dzieci, przebrane z odświętnych strojów w robocze i gotowe do pomocy w zebraniu połowu. Wąską ścieżką toczyła się na plażę karawana furmanek.

- Straż Przybrzeżna zatelegrafowała do handlarzy - powiedział Kit.

- Pewno im nie w smak, co ich odciongamy od lunchu w niedziela - skonstatował Burt. - Ale zaciong bendzie dobry, czuja mrowienie w palcach nogi.

Lugier był już prawie na plaży, kiedy nagle morze eksplodo-

wało. Tęczowe ryby wyskoczyły z wody, przebijając tafłę w tysiącach miejsc i zamieniając płyciznę w spieniony biały wir. Promienie słońca odbijały się od błyszczących grzbietów makreli, które migotały czerwono, brązowo, zielono i czarno. Mewy krzyczały i nurkowały, łapiąc w dzioby trzepoczące się ryby, a dzieci odganiały je miotłami i kijami. Kobiety rzuciły się do przodu, wpakowały się z pluskiem do wody w ubraniach i chwyciły za sieć. Mężczyźni wyskakiwali z łodzi, żeby pomóc. Morze roilo się od tańczących ryb, które wzbijały się wysokim łukiem w powietrze i opadały, uderzając o fale. Pięćdziesiąt osób stało wzdłuż brzegu, trzymało ciężką sieć i wyciągało ją cal po calu z wody.

Ryby leżały na mieliźnie, podrygując w słońcu, a bosa dzieci biegały wte i wewte i ciskały kamieniami, żeby odstraszyć mewy i żarłoczne kormorany. Nikogo nie brakowało: pan Wrexham i pani Ellsworth odpędzali ptaki, May gawędziła z jakimś rybakiem i bez zapалу ciągnęła sieć. Pan Rivers także pomagał przeciągnąć ją w miejsce przyboju, żeby obmywane słoną wodą makrele zachowały świeżość do chwili, gdy handlarze załadują je na wozy z lodem. Ściągnął krawat, podwinął rękawy koszuli i stał bez butów na płyciźnie w mokrych do kolan spodniach. Na widok Burta i jego łodzi wszedł głębiej i chwycił faleń.

- Pociągnąć was na brzeg? - spytał.

- Ano - przytaknął Burt. - Paniąkom nie uśmiecha się kąpiel. Kit zeskoczył do wody, żeby pomóc ojcu; obaj szolowali łódź

na brzeg i wciągnęli kilka metrów w głąb plaży. Poppy wyskoczyła bez wysiłku i pobiegła do ryb. Pan Rivers podał mi rękę i pomógł wygramolić się na kamienisty brzeg.

- No, podejrzewam, że czegoś takiego nie widuje się na co dzień w Wiedniu.

- Nie, sir.

- A, póki pamiętam, Elise... Poinformuję Wrexhama, że masz zgodę na czytanie mojej gazety.

Zanim zdążyłam mu podziękować, z tyłu rozległy się krzyki i plaża zarośla się od handlarzy makreli.

- Przepraszam - powiedział pan Rivers.

Odwrócił się i podbiegł do grupki przybyłych, pokazując na ryby z szerokim uśmiechem na twarzy. Chwilę później dołączył do niego Kit. Uścisnęli dłonie wszystkim handlarzom po kolei, przez chwilę słuchali ich cierpliwie, a potem pokręcili głowami i jeszcze raz wskazali na zaciąg.

- No, dobra nasza - powiedział Burt. - Już pan Rivers i panicz Kit dopilnują, co byśmy dostali dobra cena. Handlarze skóra by z nas zdarli, ale przy jaśnie panu dziedzicu nie Śmiejo.

Wyglądało na to, że dobito targu, jeszcze raz uściśnięto sobie dłonie i kiedy Kit przywołał gwizdnięciem mężczyzn, kobiety i dzieci rzuciły się wśród ogłuszających krzyków mew do makreli i zaczęły je ładować na nosidła, do wiader i beczek i taszczyć na wozy. Szybko straciłam rachubę, ile takich ładunków pomogłam dźwigać. Poppy niezmordowanie biegała z Willem wte i wewte z kolejnymi porcjami zaciągu. Wśród dziesiątków ruszających się głów wyróżniała się niczym owoc ostrokrzewu w koszu pełnym orzechów laskowych. Ze swoimi krótkimi włosami czułam się przy niej brązowa i nijaka. Niektóre wozy zjechały na kamienistą plażę i kiedy zaciąg w sieci się przerzedził, ryby zaczęto ładować prosto z niej na fury. Trwało to kilka godzin i dochodziła trzecia, kiedy wreszcie ostatni handlarz odjechał kamienistą drogą. Na plaży walały się pojedyncze ryby i dzieci, skierowane przez panią Ellsworth do ostatnich porządków, wrzucały je z pluskiem do ogromnego stalowego sagana. Położyłam się na plaży i zamknęłam oczy, wyczerpana. Kit zwałił się obok.

- Mam nadzieję, że lubisz makrele - powiedział.

Jego ramię ocierało się o moje, ale byłam zbyt zmęczona, by zważać na to, co wypada, i go nie odepchnęłam. Miał cudownie ciepłą w dotyku skórę i przeszło mi przez głowę, że Anna w swoich wykładach na temat właściwego zachowania jakoś zapomniała wspomnieć, że to niewłaściwe jest o wiele bardziej ekscytujące.

Później tego wieczoru mieszkańcy wioski urządzili na plaży ucztę. Powietrze zdążyło się już ochłodzić, ale pstrokate kamienie nadal były rozgrzane wcześniejszym upałem, i nawet kiedy słońce już zaszło, chodziliśmy po nich na bosaka. Mali chłopcy biegali tam i z powrotem i zbierali naręcza chrustu oraz kupki suchej morskiej trawy, potem pod nadzorem Kita wzniesli z nich na brzegu wielki stos. W zapadającym zmierzchu Kit go rozпалиł, wpychając zapalonego papierosa w kokon martwych liści. Po kilku minutach pomarańczowe płomienie lizały już niebo, a snopy iskier leciały do morza niczym cynobrowe świetliki.

- Nie obijaj się, Elise, chodź i pomóż! - krzyknęła pani Ellsworth.

Podreptałam po kamyczkach na skraj wydm, gdzie razem z małą armią innych kobiet rozstawiła połowę kuchni. Na skałach jarzyły się czerwone węgielki, a bezpośrednio na nich stały dziesiątki żeliwnych patelni z makrelami. Ryby oskrobano i wypatroszono, ale nic więcej. Ściśnięte razem i bezokie skwierczały na maśle z dodatkiem garści ciemnozielonej babiej soli oraz kawałków bulw fenkułu z pieprzem. Ukucnęłam między Poppy a panią Ellsworth i przejąwszy patelnię, obracałam makrele połyskujące w poświacie tonącego w morzu słońca. Dokoła ogniska zebrał się tłum, kilkoro dzieci trzymało w rękach bukiety

z firletek, kapryfolium, lawendy, rozmarynu, miodownika i dzikich róż. Burt i Art pomagali im zdobić nimi *Lugiera* i wkrótce zdezelowana łódź rybacka zmieniła się w baśniowy statek bardziej odpowiedni dla Pani z Shalott Tennysona niż zarośniętego rybaka w butach nie do pary. Potem Art, Will i Kit zanieśli kuter na wodę. Burt wybrał małą dziewczynkę, góra siedmio- lub ośmioletnią, wziął ją na ręce i delikatnie posadził na pokrowcach żagla na dziobie, po czym oboje popłynęli, odprowadzani naszymi spojrzeniami, w kierunku ujścia zatoki.

- To stary zwyczaj. - Poppy nachyliła się, żeby przewrócić ryby widelcem. - Musimy podziękować morzu. Po pierwszym połowie zawsze składamy ofiarę z kwiatów. Choć, jeśli o mnie idzie, nie miałabym nic przeciwko, żeby Sally Hopkins też powędrowała za burzę. To dziecko to istna zmore.

- Nie wygaduj takich rzeczy - zganiała ją pani Ellsworth.

- Przepraszam, ciociu Florence - rzuciła Poppy. Spojrzałam na nie zaskoczona.

- Nie, nie jest moją prawdziwą ciocią. Pochodzi z Bristolu, a ja wychowałam się w tym parterowym domku na klifie. - Wskazała widelcem w stronę migoczącego na cyplu światła. - Ale zna mnie od urodzenia. Tyneford to dziwne miejsce. Nigdzie nie ma drugiego takiego, a my różnimy się od innych.

Jedliśmy ryby palcami, wydłubując ości i rzucając je na plażę mewom albo falom na pożarcie. Siedziałam razem z Poppy, Willem i Kitem na dużej wyrzuconej na brzeg kłodzie i posilałam się w pełnym zadowolenia milczeniu. Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy od opuszczenia Wiednia czuję się szczęśliwa. Rybacy pili piwo i śpiewali sprośne przyspiewki do księżyca, a dzieci krzyczały i bawiły się na wydmach.

- Widziałaś kiedyś, jak pałą się bierwiona z morza? - spytał Kit.

Kiedy pokręciłam głową, natychmiast zerwał się na nogi i szarpnął kłodę, na której siedzieliśmy, zwalając nas wszystkich na ziemię w płataninie kończyn.

- Przestań. - Poppy usiłowała usiąść z powrotem, nie wypuszczając z rąk ryby.

- Przeklęty gnojek. - Will rzucił kamykiem, który ze świstem przeleciał obok ucha Kita.

- Elise musi zobaczyć - upierał się Kit, najwyraźniej nie-przejęty faktem, że o mały włos nie stracił kawałka małżowiny.

Zaciągnął gigantyczny kawał drewna do ognia, gdzie za-skwierczało, zapłonęło i z sykiem wzbilo w niebo jaskrawo-niebieskie języki. Wyglądało to nierealnie i baśniowo niczym palenisko czarodzieja i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby z szafirowych płomieni wyłonił się dżin z rybim ogonem. Były niemal równie lazurowe jak oczy Kita. A on zupełnie nie przypominał chłopców, których znałam w Wiedniu - choć nie znałam ich wielu. Owszem, był mały Jan Tibor, niewyrośnięty jak na swój wiek okularnik z ogromnym, według zgodnego chóru ciotecznych babek, talentem do gry na pianinie. Niestety, mnie samej nigdy nie dał możliwości podziwiania swego muzycznego geniuszu, albowiem za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, zaczynał się nerwowo jąkać, wybałuszać oczy za grubymi szklami i ogólnie sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar raczej puścić pawia, a nie cugle muzycznej fantazji. Cioteczna babka Gabrielle święcie wierzyła, że kiedyś zostanie sławnym kompozytorem. Mimo to karłowaty wzrost wykluczał go z moich romansowych planów. Robert Margot był wprawdzie wystarczająco przystojny, ale bardziej sztywniacki od posepnych antenatów na ścianach jadalni Tyneford. Poza tym nie podobali mi się mężczyźni, którzy mnie pouczali. Uznałam, że byłby z niego doskonały kamerdyner, surowy i pełen dezaprobaty. Mogliby razem z panem Wrex-

hamem spędzić niejedno wspaniałe popołudnie, wymieniając się spostrzeżeniami na temat mych niedostatków.

Kit był inny. Nie zbywało mu na pewności siebie, ale nie miał w sobie śladu tej nedorzecznej buty niektórych austriackich chłopców. Lubiłam jego śmiech. Uświadomiłam sobie, że chcę robić rzeczy, które sprawiają, że znowu go usłyszę.

- Kochasz się w Kicie? - spytała Poppy, która pojawiła się nagle przy moim boku.

- Że co prosie?

- O, to nic złego. Wszyscy się w nim kochają. Ja też przez to przechodziłam. Gdzieś tak do czternastego roku życia, wtedy z tego wyrosłam.

- Już się we mnie nie kochasz? - spytał Kit, który wrócił od ogniska, żeby przy niej usiąść.

- Nie. - Odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok we mnie. - No? To kochasz się?

Gapiłam się na nią, zbyt zszokowana, by się odezwać. Will gmerał przy butach, nagle bardzo pochłonięty swoimi sznurówkami, podczas gdy Kita zafascynowali dwaj mali chłopcy radośnie opiekający w płomieniach ogniska nabite na patyki ślimaki.

- Nie przejmuj się - ciągnęła Poppy. - On to lubi. Chce, żeby wszystkie kobiety dokoła go uwielbiały. Myślę, że to przez jego matkę. Zmarła, kiedy był bardzo mały.

Popatrzyłam na Kita, który uśmiechnął się do mnie z niewymuszoną dobroduszością, najwyraźniej zupełnie nieprzejęty, że Poppy mówi o nim i o jego matce, tak jakby go tu w ogóle nie było. Przypomniałam sobie blondynkę o nieśmiałym uśmiechu, którą widziałam na fotografii w sypialni, i zastanawiałam się, jak umarła.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam. Uśmiechnął się.

- Nie ma sprawy. Nawet jej nie pamiętam.

Nie bardzo rozumiałam, jak niepamiętanie może powodować, że nie ma sprawy. Według mnie raczej ją pogarszało.

- Ten psychoanalityk. Pan Freud. Jest z Wiednia. Poznałaś go może? - spytała Poppy.

Powitałam zmianę tematu z cichym westchnieniem ulgi.

- Nie. Ale raz widzieć jego córkę Annę w sklepie papierniczym.

- O, fajnie. I co kupiła?

- Nie pamiętam. Chyba koperty.

- Lee.

Nie ukrywała swojego rozczarowania, ewidentnie licząc na jakieś wyjątkowe obserwacje. Dostrzegła odwróconą beczkę, wdrapała się na nią i siedziała, machając nogami, ich jasna skóra była upstrzona złotymi piegami niczym biały obrus okruszkami herbatnika. Morze migotało pod gwiazdami, a daleko w kanale światła statku mrugały w ciemnościach. Przyśpiewki rybaków stawały się coraz bardziej frenetyczne, oni sami tupali i klaskali do rytmu, a chrzęst kamieni pod ich stopami rozlegał się jak pomruk z trzewi ziemi. Kołysałam się w takt melodii, wyobrażając sobie, że Anna śpiewa razem z nimi, że słyszę jej srebrny głos na tle chóru. Statek na horyzoncie zniknął za załomem lądu i pomachałam mu, udając, że to Margot w swojej zamorskiej podróży. Art wskoczył na odwróconą do góry dnem łódź i do wtóru śpiewającym zaczął wygrywać na skrzypkach melancholijną melodię. Ze strun popłynął bogaty, ciemny ton i w mojej głowie to Margot grała na niknącym w oddali statku, a dźwięk dochodził stłumiony i dziwny z powodu rękopisu Juliana ukrytego we wnętrzu altówki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY
Diana i Juno

Siedzieliśmy z Kitem na urwisku w chłodny listopadowy ranek. Lato dawno już rozkwitło, zwiędło i przeszło w jesień. Siedzieliśmy ramie przy ramieniu na szczycie nad Flower's Barrow i patrzyliśmy w dół na wzburzone morze. Zadrżałam i się skuliłam, kiedy słabowite słońce wstawało za wzgórzem.

- No, daj spokój. Teraz jesteś złośliwa. Nie była taka zła -powiedział Kit.

- Zgoda, nie była. Ale i tak najbardziej podoba mi się *Saga rodu Forsyte ów*. Jest lepiej napisana.

Kit prychnął.

- Bzdura. Po prostu twój angielski był wtedy tak kiepski, że nie zauważyłaś, jak bardzo jest afektowana.

- Może. Ale mówię ci, Forsyteowie już na zawsze pozostaną mi bliscy. Są pierwszą angielską rodziną, którą poznałam. -Uśmiechnęłam się i chuchnęłam w dłoń. - Chodź, zmarzłam i czeka na mnie z tysiąc kieliszków do wypolerowania.

Kit się podniósł, a potem podciągnął mnie tak, że się zachwiałam i wpadłam na niego ze śmiechem. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał z Cambridge do domu, odbywaliśmy poranne lekcje angielskiego. Dzięki morzu lektur i jego naukom mówiłam już płynnie. Nadal zdarzało mi się czasem zaciąć na jakimś słowie, a w chwilach ekscytacji lub zdenerwowania konstrukcja

moich zdań stawała się ciut ekscentryczna, ale rozmowa przychodziła mi teraz bez trudu. Uświadomiłam sobie z poczuciem winy, że zaczęłam śnić po angielsku, nawet jeśli o Wiedniu. Nie byłam już tą dziewczyną z pytonim warkoczem, która przybyła do Tyneford kilka miesięcy temu - stałam się kimś innym. Gdyby kaprys historii nie rzucił mnie na drugi kraniec Europy, czybym odkryła, że kocham morze, przepaściste niebo i łąki? To musiało tkwić we mnie głęboko, ukryte jak dąb w żołądzu albo kampanule w ziemi. Kiedyś dawno temu moi przodkowie mieszkali w sztetlach na wschodzie i uprawiali ziemię. Być może moja miłość do natury była swego rodzaju przejawem pamięci zbiorowej kryjącej się w sercu każdego Żyda mieszczaucha. Usiłowałam wyobrazić sobie Annę, jak kroczy wielkimi susami przez wzgórza, ubrana na kolorową chłopską modłę. Podejrzewałam, że jej afekt do wsi i natury (tam tylko brud i smród, kochanie) skrywa się trochę głębiej niż u mnie. Jakiś odprysk tych myśli musiał się odmalować na mojej twarzy.

- Dostałaś od nich jakieś wiadomości? - spytał Kit.

- Nie. Nadal nic. Nie rozumiem dlaczego.

- Zdawało mi się, że mieli wyjechać do Nowego Jorku.

- Mieli. Wiele miesięcy temu. Ale nie dostali jeszcze wiz.

- Wszystko będzie dobrze, Elise.

- Tak myślisz? - Zagrzebałam dłonie w ciepłej wełnie płaszcza i zaczęłam schodzić wzgórzem.

- Mam nadzieję, że przygotowałaś dla mnie prezent na urodziny - rzucił Kit, starając się mnie dogonić.

- Nie. Nic dla ciebie nie mam.

- To dobrze. Bo chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Tak? - Spojrzałam na niego z podejrzliwością. Przysługi dla Kita zawsze kończyły się dla mnie połajanką od pana Wrexhama.

- Nie rób takiej wystraszonej miny. Chciałbym, żebyś po kolacji spotkała się ze mną, Poppy i Willem na dziedzińcu.

- Zgoda.

Przyspieszyliśmy kroku, schodząc po pochyłej grani. Czyż-nie z głogu i tarniny od stuleci smagane sztormowymi wichurami, wypuszczały gałązki tylko z jednej strony i ich nagie witki powiewały niczym włosy dziewczyny na wietrze. Nie zostały jeszcze ogołoczone przez śmigające po szarym niebie dzwońce i pliszki i nadal usiane były szkarłatnymi jagodami. Pnącza czarcich wąsów leżały splątane między krzakami, a u stóp żywopłotu czaiły się trójkąty dzikich irysów. Wilgotne trawy spłwiałały do matowej zieleni, którą tu i ówdzie nakrapiały plamki ciemnego błota.

- Biegniemy - powiedział Kit i chwycił moją rękę.

Pognał drogą po grani, rozganiając owce, których dzwoneczki podzwaniały na wietrze, i wlokąc mnie za sobą. Przenikliwy wiatr smagał mi policzki i pozbawiał czucia, a płuca paliły mnie z wysiłku i zimna. Kit mógł biegać godzinami. Na ogół prowadził bardzo siedzący tryb życia - ponad wszystko uwielbiał umościć się w wyściełanym fotelu, z nogą przerzuconą przez poręcz, papierosem w jednej ręce i książką w drugiej, i gawędzić ze mną dla zabicia czasu, gdy odkurzałam albo sprzątałam pa-lenisko. Z trudem mobilizował się na tyle, by przynieść sobie kolejną szklaneczkę sherry albo opróżnić popielniczkę. Ale kiedy postanawiał biegać, sadził przez wzgórza niczym złota sarna ze zgrają psów gończych na ogonie i bywało, że kłusował niezmordowany przez godzinę lub dłużej. Nieraz obserwowałam z okna w salonie, jak biega tak dla czystej przyjemności, upojony ruchem. Potem wracał zmęczony i padał na swój wysłużony skórzany fotel w salonie, zapalał papierosa i nie ruszał palcem w bucie przez dzień lub dwa.

- Kit! Zwolnij. Nie mogę - wysapałam, z trudem wyrzucając z siebie słowa między jednym oddechem a drugim.

Miałam za wąską spódnicę na jego wielkie susy i niechybnie bym się przewróciła, gdybym nie przystanęła, żeby ją podciągnąć. Rozległo się głośne „trach”, kiedy szew poszedł.

- Kit!

Puścił to mimo uszu i dalej ciągnął mnie w dół stromego zbocza w kierunku wsi. Nad nami unosiła się nakrapiana pustułka szybująca z nieruchomymi skrzydłami nad jakąś niewidzialną ofiarą. Ścieżka była śliska, potykałam się i ślizgałam na kamieniach, przerażona, że upadnę. W końcu znaleźliśmy się na dole i Kit odwrócił się do mnie roześmiany, ale ja gotowałam się ze złości.

- Nigdy... więcej... nie... rób... czegoś... takiego... - wrzeszczałam, z trudem łapiąc powietrze. - Myślałam... że się... przewrócę.

- Ale się nie przewróciłaś - powiedział zupełnie nieprzejęty. - No i nie spóźnisz się teraz do Wrexhama.

Chwyciłam jego nadgarstek i obróciłam, żeby spojrzeć na zegarek. Nie było jeszcze szóstej i miałam czas wrócić i spokojnie zająć się swoimi codziennymi obowiązkami. Kamerdyner zgodził się, żebym się uczyła z Kitem, tylko pod warunkiem że nie ucierpi na tym moja praca. „Ta dziewczyna jest tu służącą, nie gościem. Nie obchodzi mnie, czy w Wiedniu była hrabiną”. To była najostrzejsza odzywka, na jaką pan Wrexham pozwolił sobie wobec Kita, bo na swój szorstki sposób go uwielbiał. Kit wziął sobie do serca ten warunek i zapewnił, że lekcje będą się odbywały jeszcze przed porą rozpalania kominków. Latem nie miało to znaczenia, ale z początkiem listopada oznaczało, że musiałam zrywać się z łóżka przed świtem, dobrą godzinę zanim May waliła w drzwi mojej sypialni.

- Myślę, że następne lekcje muszą poczekać. Wrócimy do nich po twoim przyjęciu - powiedziałam.

- Nie możesz spróbować wykroić jakoś trochę czasu? Po prostu wstawaj ciut wcześniej, leniuchu.

Dał mi lekkiego kuksańca w żebra.

- Nie. - Próba sprzeciwienia się Kitowi była prawie zawsze z góry skazana na niepowodzenie. Zwłaszcza jeśli mu na czymś zależało. - Już i tak wstaję o piątej.

- Ja też.

- Tak. Tylko że ty potem przesypiasz cały ranek, a ja muszę pracować.

- Mój biedny Kopciuszek.

Rzuciłam w niego zerwanym rzepem, który natychmiast przyczepił mu się do złotej czupryny. Usiłował go usunąć, ale kiedy zobaczył, że kolczasta kulka wplątała się we włosy, wzruszył ramionami i dał sobie spokój, pozwalając, by wisiała. Nie był próżny.

- Dziś przyjeżdżają twoi przyjaciele.

Nazajutrz przypadały dwudzieste pierwsze urodziny Kita -dzień osiągnięcia przez niego pełnoletności. Pan Rivers zgodził się wydać z tej okazji przyjęcie w Tyneford: bite trzy dni zabaw i tańców z udziałem połowy młodych dam i dżentelmenów z Dorset. Pan Wrexham i pani Ellsworth od kilku tygodni żyli w związku z tym w stanie intensywnego napięcia. Próbowali zatrudnić dodatkowy personel - bez skutku, wobec czego kamerdyner opracowywał i rozprawdzał wśród służby niekończące się plany organizacyjne, które kilka godzin później wyrzucał z odrazą. Ochmistrzyni większość tygodnia spędziła na pieczeniu ciast i ciasteczek oraz przygotowywaniu dżemów, pikli i marynat z pomocą dziewczyny z wioski. Kit sprowadził z Londynu całe skrzynki alkoholu razem z shakerami z nie-

rdzewnej stali i co wieczór przed kolacją uczył Henry ego, Arta i pana Wrexhama sztuki przyrządzania koktajli. Kamerdyner patrzył na te wymysły krzywym okiem. Uważał je za amerykańskie paskudztwo, ale ponieważ młody panicz właśnie wchodził w wiek dorosły, wszystko musiało być tak, jak sobie zażyczył. Zatem stary lokaj, jeśli tylko akurat nie ślęczał nad kolejnym harmonogramem zadań, zgłębiał z najwyższą pilnością przepisy na „Toma Collinsa”, gin z sokiem cytrynowym oraz „Har-veya Wallbanger” niczym wkuwający łacińskie słówka uczeń.

Pierwsi goście przybyli po lunchu. Akurat byłam zajęta układaniem kwiatów, czy też raczej, gwoli ścisłości, wysłuchiwaniami uwag pani Ellsworth o tym, że moje układanie jest absolutnie poniżej poziomu. Ochmistrzyń szarpała ozdobne osty, bluszcz oraz różowe gałązki żurawich nosków, tworząc z nich czarujący bukiet.

- Matka nigdy cię nie uczyła?

Wzruszyłam ramionami. Anna uwielbiała kupować kwiaty, co tydzień zносиła ich z rynku całe naręcza: pęki czarnych róż, białych lilii albo kwiatów pomarańczy, które rozkładała w kuchni i z dziecięcą radością zachwycała się ich kolorami i wonią, nucąc duet kwiatów z *Lakme Delibesa*. Stronę praktyczną ich układania pozostawiała Hildegardzie.

- Proszę. Widzisz?

Pani Ellsworth wręczyła mi ładny porcelanowy wazon w niebieskie rybki, wypełniony pieczołowicie skotłowanym kwieciem.

- Postaw go na górze w pokoju lady Diany Hamilton.

- Tak, pani Ellsworth.

Pospieszyłam z wazonem na korytarz i tylnymi schodami do niebieskiego pokoju gościnnego. Postanowiono, że na tydzień zostanę osobistą pokojówką sióstr Hamilton. Miały tytuł, ale

nie miały pieniędzy, a przynajmniej nie dość, by podróżować z własną służbą. Pan Wrexham upierał się, że to ja powinnam pełnić tę rolę. Twierdził, że kwalifikuje mnie do tego moja wiedeńska przeszłość - „bywałeś na balach i w operze albo pomagałaś matce się na nie szykować, jestem pewien” - ale Henry zdradził mi w zaufaniu, że zaraz po paryskich, wiedeńskie pokojówki uchodzą za najmodniejsze. Najwyraźniej kamerdyner czerpał ogromną satysfakcję z faktu, że dwór Tyneford może zapewnić austriacką służącą szlachetnie urodzonym gościom panicza Kita. Nie miałam wcześniej pojęcia, że narodowość czyni mnie tak łakomym kąskiem. Zastanawiałam się, czy straciłabym na atrakcyjności, gdyby wiedzieli, że Austria nie zalicza mnie już w poczet swoich obywateli.

Postawiłam wazon na toaletce i rozejrzałam się po pokoju. Pastelowo niebieskie zasłony komponowały się idealnie z listopadowym niebem, a za oknami szare morze błyszczało i huczało. Byłam ciekawa, jak by to było, gdybym przebywała tu jako gość, a nie służąca, a Kit odsuwałby mi krzesło przy obiedzie i wołał: „Wrexham, jeszcze jedna woda sodowa z limetą dla pani”. Kiedy przypomiinałam sobie tamtą Elise z Wiednia, z jej beztruskim życiem wypełnionym koncertami, wonnymi kąpielami i rodzinną miłością, miałam wrażenie, że wspominam kogoś obcego. Z dworu doleciał chrzęst opon na żwirze, a po minucie na dole rozległy się głosy i poruszenie. Wyślizgnęłam się z niebieskiego pokoju i obserwowałam sytuację, ukryta w cieniu u szczytu schodów. Hol przemierzało dwoje dziewcząt z blond lokami przystrzyżonymi na cheruba. Wiedziałam, że czekają na Kita. Miały na sobie jasne futra i pani Ellsworth wzięła od nich rękawiczki, ale wyższa dziewczyna nie pozwoliła pomóc sobie z norkami.

- O nie. Zawsze jest mi zimno, a tu jest wręcz lodowato.

Gdzie, na Boga, podziewa się ten Kit? Znaczy się, skoro już ściąga nas do tej zapadłej dziury, mógłby przynajmniej pokazać się na powitanie - powiedziała tonem, który, szłam o zakład, był w jej przekonaniu kpiarski i rozbrajający, a w moim po prostu niegrzeczny.

Otworzyły się drzwi i z salonu prosto w objęcia obu przybyłych wyszedł Kit w skarpetkach.

- Przepraszam. Odsypiałem. Zerwałem się z łóżka o piątej rano.

- Dlatego że nie mogłeś się już doczekać naszego przyjazdu? Laleczkowata dziewczyna obłapiała go, wygładzając mu wymięty kołnierz.

- No, a przez co by innego, Diano?

Pomógł jej zdjąć futro. Najwyraźniej już się nie przejmowała, że zmarznie.

- Diano. Juno. Miło was znowu widzieć.

W holu pojawił się pan Rivers i dziewczęta nadstawiły po policzku: złożył chłodny pocałunek na każdym. Ucichły prze-komarzanki i wydawało się, że obie przybyłe czują wobec niego respekt.

- Pani Ellsworth pokaże wam wasze pokoje. Może potem wypijecie ze mną i Kitem herbatę?

- Chętnie. Dziękujemy, panie Rivers - powiedziała Diana. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Myślę, że jesteście już wystarczająco duże, by nazywać mnie Christopherem.

- Tak, Christopher - rzuciła tonem uczennicy, która właśnie odkryła, że jej nauczyciel ma imię.

Nagle ciche i potulne ruszyły za ochmistrzynią po schodach. Śmignęłam w głąb korytarza. Ułamek sekundy za późno.

- Elise! - zawołała pani Ellsworth.

Zawróciłam z ociąganiem.

- To jest Elise. Będzie pokojówką jaśnie panienek.

Dziewczęta zmierzyły mnie wzrokiem od stóp do głów. Nastąpiła długa chwila milczenia, w czasie której spodziewały się pewnie, że dygnę. Nie dygnęłam. Pani Ellsworth odchrząknęła i otworzyła drzwi niebieskiego pokoju.

- Mam nadzieję, że będzie u nas panienkom wygodnie. Proszę dzwonić, gdyby było czegoś trzeba.

Skinęła im nieznacznie głową i zniknęła. Odwróciłam się, by pospieszyć za nią, ale Juno zawołała:

- Jeliz. Poczekaj chwilę. Możesz nam być potrzebna. Stłumiłam westchnienie i weszłam za nimi do pokoju. Diana usiadła przy toalecie, zerknęła do lustra i wzniosła

oczy do nieba.

- Święci pańscy! Wyglądam jak nieboskie stworzenie. Zrobisz coś z moimi włosami?

- Elise. Mogę spróbować, jeśli panienka sobie życzy. Wzięłam szczotkę i kilka szpilek, potem sięgnęłam po wiszący luźno jasny lok. Pacnęła mnie w rękę.

- Przestań. Tylko pogorszysz sprawę. Zacisnęłam usta, żeby nie odpowiedzieć. Juno zwała się na ławeczkę przy oknie.

- Ta pogoda mnie dobija. Bóg jeden wie, dlaczego Kit organizuje to przyjęcie właśnie teraz. Mógł zaczekać do czerwca albo lipca, kiedy byłaby szansa na trochę słońca. Tu jest po prostu obrzydliwie zimą.

Diana nastroszyła palcami włosy.

- Wiś to hobby, a nie prawdziwe miejsce zamieszkania. Ugryzłam się w język. Czy też kiedyś taka byłam? Miałam

nadzieję, że nie, zresztą Hilda spuściłaby mi lanie, gdybym choć spróbowała. Diana popatrzyła na mnie w lustrze.

- Zatem, Ellis, jesteś niemiecką żydówką?

- Austriacką.

- No tak. Jeden pies - warknęła, zniecierpliwiona.

- Pochodzę z Wiednia.

- Wiedenki są teraz bardzo *en vogue*. - Odwróciła się do siostry. - Słyszałam, że kiedy Jecca Dunworthy zatrzymała się u Pitt--Smythów w Bath, do stołu podawała jakąś wiedeńska hrabina.

Milczałam, zdejmując blond włosy ze szczotki. Diana przeciągnęła szminką po ustach.

Podczas obiadu stałam za Dianą z plecami płasko przyciśniętymi do ściany. Jako starsza siostra cieszyła się szczególnymi względami. Za Juno kręciła się ściągnięta ze wsi dziewczyna, która otrzymała bezwzględny zakaz odzywiania się lub robienia czegokolwiek poza sprząaniem ze stołu brudnych naczyń. Po południu przyjechało jeszcze kilka innych młodych dam i dżentelmenów i jadalnia rozbrzmiewała ich śmiechem. Pan Rivers siedział u szczytu stołu obok drobnej dziewczyny w lawendowej sukni. Była tak szczupła, że przywodziła na myśl uschnięty listek, jakby jej w ogóle nie było. Nic nie jadła, mimo nalegań pana Riversa, i sączyła tylko białe wino. Nigdy jeszcze nie byłam w towarzystwie tak wielu młodych osób. Z wyjątkiem jego ojca, wszyscy biesiadnicy byli rówieśnikami Kita i atmosfera skrzyła się flirtem. Pan Wrexham w milczeniu dolewał do kieliszków. Przy kominku zrobiło się duszno. Przed posiłkiem dołożyłam jeszcze drew do paleniska, aż zaczęło dziko buzować i teraz ledwo mogłam oddychać. Marzyłam o tym, żeby usiąść, i czułam, jak po czole spływa mi pot. Nie mogę upaść. Nie mogę. Próbowałam wciągać powietrze nosem i wypuszczać ustami. Świece rzucały migotliwe cienie na ciemną tapetę i twarze na rodo-

wych portretach wyglądały jak żywe. Rozpływały się niczym figury z wosku.

- Jeliz. Ty.

Diana pstryknęła na mnie palcami i zorientowałam się, że wskazuje na serwetkę, która spadła jej na podłogę. Zrobiłam krok do przodu, modląc się, żeby nie zemdleć, i schyliłam się, żeby ją podnieść. Palce odmawiały mi posłuszeństwa i chwyciłam materiał dopiero za drugim razem. Wyprostowałam się, słaniając, i przytrzymałam oparcia jej krzesła.

- Co robisz? - syknęła.

- Bardzo przepraszam, jaśnie panienko.

Położyłam jej serwetkę na kolanach lekko teatralnym gestem i wycofałam się pod ścianę. Zobaczyłam, że pan Rivers mi się przygląda. Przez twarz przemknął mu cień niepokoju. Zawołał do siebie pana Wrexhama i chwilę później kamerdyner otworzył na oścież drzwi jadalni i okno. Poczulałam podmuch zimnego powietrza na policzkach i uśmiechnęłam się do pana Riversa, ale on już odwrócił się do Juno, utkwivszy w niej poważne niebieskoszare spojrzenie. W drugim końcu pokoju Kit wznosił wieżę z bułek i zaśmiewał się z jakąś piersiastą dziewczyną w zielonej sukni. Gdy po kilku minutach przeniosłam wzrok na drugi kraniec stołu, zobaczyłam, że krzesło pana Riversa jest puste.

- Ty. Znowu.

Serwetka Diany ponownie leżała u jej stóp. Musiała mieć suknię z bardzo śliskiego materiału. Przykucnęłam, ale kiedy dotknęłam płótna, przesunęła stopę, przygważdżając mi spódnice do podłogi ostrym obcasem. Klęczałam u jej stóp niczym jakiś idiotyczny paź. Pociągnęłam spódnice, ale wbiła but mocniej i nie mogłam się uwolnić bez robienia sceny. Minęło dobre pół minuty, zanim pozwoliła mi wstać i odłożyć serwetkę na jej kolana.

Wycofałam się pod ścianę, pamiętając, żeby się o nią nie opierać, zgodnie z bardzo precyzyjnymi instrukcjami pana Wrex-hama. Najwyraźniej opieranie się było tak samo zdrożne jak ociąganie się. Diana karmiła Kita swoim deserem z bitej śmietany. Zjadł łyżeczkę albo dwie, potem, odepchnąwszy ją, wyciągnął papierosa. W obecności ojca nigdy nie ośmieliłby się zapalić przy obiedzie w towarzystwie dam, ale kiedy pan Rivers się ulotnił, to samo stało się z resztkami konwenansów. Juno oparła głowę na ramieniu jakiegoś młodzieńca, który miział ją po włosach. Kamerdyner poszedł po kolejną butelkę z piwniczki. Panowie rozwiąali muchy.

- Elise! - zawołał Kit.

- Tak, sir?

Pomachał swoją czarną muszką.

- Załóż ją.

- Nie.

- Dzisiaj są moje urodziny.

- Nie, dopiero jutro.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że wszyscy goście patrzą, jak się kłócimy. Próbowałam zabrać mu muchę.

- Nie. Sam chcę ci ją założyć.

- Kit - poprosiłam cicho.

Oczy miał szkliste od alkoholu. Uznałam, że lepiej będzie ustąpić i spełnić prośbę, zanim wróci pan Rivers albo Wrexham. Zrugac zdazę go później. Przykucnęłam przy jego krześle i owinał mi szyję czarnym jedwabiem. Śmierdział alkoholem, a usta miał czerwone od wina. Poczułam, jak się rumienie, gdy zawiązywał mi muchę, muskając palcami moją skórę. Chrząknęłam, ale nie zabrał ręki. Wiedziałam, że powinnam odejść, ale tkwiłam tak jeszcze przez chwilę, czując ciepło jego palców i patrząc mu w zmrużone w półśmiechu oczy.

- Czy mam zadzwonić po kawę? - Diana zabębniła pomalowanymi paznokciami po stole.

Odepchnęłam Kita, podniosłam się i niemal wybiegłam z jadalni po tacę.

Kiedy podałam kawę, wymknęłam się na dziedziniec. Poppy i Will siedzieli ramie przy ramieniu na stopniach do wsiadania na konia. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczęli się po cichu spotykać i teraz piegowata rączka spoczywała w dużej ręce Willa.

- Jak przyjęcie? - spytała Poppy.

- Kit się upił.

- W obecności ojca?

- Pan Rivers po deserze poszedł do siebie.

Kopnęłam poniewierający się kamyczek, który przeleciał przez podwórze i uderzył z trzaskiem o pompę.

- Co wiecie o lady Dianie Hamilton?

Poppy machała nogami i podrzucała do góry gruszkowe drażetki, które potem łapała na wystawiony język.

- Hmm, jej ojciec, lord Hamilton, przepuścił rodzinny majątek na koniach. Zaiste tragedia. Diana dostała imię po klaczy, dzięki której wygrał pierwsze wielkie pieniądze. Juno na cześć drugiej. Potem wziął i stracił wszystko na koniu imieniem Rozkosz Południa.

- Myślę, że ma feblik do Kita. Poppy wzruszyła ramionami.

- Jak większość dziewczyn. Ale byłaby szkoda, jeśli naprawdę zagięła na niego parol. Flirtowanie i robienie słodkich oczu proszę bardzo, ale on powinien poślubić kogoś z pieniędzmi. To miejsce potrzebuje ogromnych nakładów.

Odwrociłam oczy, unikając jej spojrzenia.

Podrzuciła kolejną drażetkę, ale Will ją ubiegł i sam złapał cukierka. Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, i pożarła kolejnego prosto z papierowej torebki. Zmusiłam się do uśmiechu i oparłam o drzwi stajni.

- A o czym tak w ogóle Kit chce z nami porozmawiać? Poppy wzruszyła ramionami i podeszła do Pana Bobbina.

Kiedy stary koń wystawił pysk, dała mu cukierka.

- I już dobrze, prawda? - zanuciła, drapiąc go za uchem. Na dziedziniec wszedł nieśpiesznie Kit, z rękoma w kieszeni spodni i nieodłącznym papierosem w ustach.

- Przepraszam - powiedział, gdy tylko mnie zobaczył. - Kapkę za dużo wypilem. Nie od dziś wiesz, że jestem idiotą.

Wcześniej chciałam się na niego wydrzeć, zmyć mu głowę za jego głupotę, ale wyglądał na tak skruszonego, że się zawahałam. Wyciągnęłam wymiętą muszkę z kieszeni fartucha i rzuciłam mu bez słowa. Wziął ją i utkwiał we mnie nabiegłe krwią oczy.

- Przepraszam, Elise. Naprawdę strasznie mi przykro. Czasami zapominam, że... no wiesz... że nie jesteś jedną z nas.

Zaczęłam przytupywać i potarłam ręce dla rozgrzewki. Szron powoli osiadał na kocich łbach, a bluszcz oplatający ściany stajni połyskiwał w ciemności. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej w Wiedniu byłam jedną z nich. Teraz nie miałam już pojęcia, gdzie przynależę. Reszta służby prawie się do mnie nie odzywała. Wiedzieli, że nie jestem też jedną z nich. Wszędzie byłam obca.

- Czego chcesz? - spytałam, uważając, by trzymać się od niego z daleka, po drugiej stronie dziedzińca.

Poppy przestała karmić słodyczami Pana Bobbina i obejrzała się na Kita, który odchrząknął i zgasił papierosa o bruk.

- No, pomyślałem sobie, że byłoby fajnie trochę, wiecie, rozruszać towarzystwo. Gdybyście razem z Poppy przyszły na bal

przebrane za facetów. Pożyczę każdej z was po swoim starym smokingu. Będzie ubaw.

Gapiałam się na niego, czując, jak w ciągu zaledwie dwóch godzin po raz drugi czerwienieję ze złości.

- Oszalałeś. Całkiem postradałeś rozum. Jestem pokojówką. Podaję drinki. Dolewam do kieliszków. Sprzątam. Nie jestem jakąś artystką kabaretową. To nie jest Simpl, na miłość boską.

Moja tyrada nie zrobiła na nim wrażenia. Popatrzył tylko na mnie tymi swoimi zbyt niebieskimi oczyma i wzruszył lekko ramionami.

- Nie musisz krzyczeć. Pomyślałem sobie, że może być klawa zabawa. Że jesteś dziewczyną, która lubi złamać zasadę czy dwie.

Musiałam przyznać, że trochę pociąga mnie ta wizja, podobnie jak perspektywa dokuczenia Dianie, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że byłoby to nieroztropne. Przypomniałam sobie ostrzeżenie Margot: muszę się zachowywać. W Nowym Jorku nie czekała na mnie wiza.

- Nie. Kładę się spać. Podać panu coś jeszcze, sir? - Użyłam tego „sir” specjalnie, żeby go zirytować, przypomnieć o różnicy naszej pozycji.

Popatrzył na mnie i po raz pierwszy w ciągu półrocznej znajomości zobaczyłam błysk gniewu na jego twarzy. Oczy mu się zwężyły.

- Tak, dziękuję, Elise. Poproszę szklaneczkę brandy i cygaro. Spiorunowałam go wzrokiem, ale po swoim wcześniejszym przytyku nie bardzo mogłam odmówić.

- No a ty, Poppy? - Odwrócił się do niej. - Dasz się skusić na smoking? Głowę daję, że wyglądałabyś szalowo.

Pokręciła głową.

- Nie, dzięki. Mam nową sukienkę. Chcę ją włożyć.

- No i dobrze - rzucił Will. Na śmierć o nim zapomnia-

łam. Zachowywał się tak cicho: siedział i tylko patrzył na Poppy w milczeniu wielkimi z miłości oczyma. - Nie jestem może jak ty dżentelmenem, ale cały ten pomysł paskudnie mi pachnie. Jakoś mi się nie widzi, coby ci twoi znajomi uznali, że to ubaw po pachy.

- Bzdura - rzucił Kit. - Co ty tam wiesz? Nawet nie przyjdiesz na bal.

- Bo nie trza mi szyderstw twoich znajomków. - Will mówił wolno, nie podnosząc głosu. - Życzę ci wszystkiego najlepszego i bardzo się cieszę z twojej przyjaźni. Ale nie przyjdę na tańce robić z siebie głupka. Tamci nie kapują, co tu je inaczej. Nie pojmą zwyczajów Tyneford.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby nie zgadzał się w czymś z Kitem. Ten nie odpowiedział, wsadził tylko ręce głębiej w kieszenie i kopnął kawałek słomy. Wiedział, że Will ma rację. Zauważył, że stoję przy tylnych drzwiach i gapię się na niego.

- Nie miałaś przypadkiem przynieść mi brandy? - warknął.

Sarkając pod nosem, wślizgnęłam się do domu. Kiedy wróciłam po kilku minutach, znowu się śmiali w najlepszej zgodzie, pokój został przywrócony. Nie wyobrażałam sobie, by Kit mógł się długo gniewać, zwłaszcza na Willa. Przyjaźnili się od małego. Poza Tyneford prawie nie znałam Anglii, ale podejrzewałam, że kamieniarze i synowie jaśnie panów rzadko przestają tu blisko ze sobą. Kit, Will i Poppy biegali razem po wzgórzach w poszukiwaniu jaj dzikich kaczek i łowili młode węgorze, odkąd tylko podrośli na tyle, by móc przeleźć przez przełaz albo wdrapać się na drewniane bramy dzielące dolinę. W ich towarzystwie Kit zachowywał się naturalnie. Kiedy był ze swoimi znajomymi z Cambridge albo miejscowej śmietanki, przywdziewał nową osobowość tak jak Diana futro. Stawał się birbantem, bawidamkiem, pił i nie byłam pewna, czy go lubię.

- Odprowadzę Poppy do domu - powiedział Will, obejmując ją masywnym ramieniem.

Kit walnął go żartobliwie w plecy i pocałował Poppy w policzek. Pomachała mi na do widzenia i zniknęli w ciemności, zostawiając mnie samą z Kitem na stajennym dziedzińcu. Podałam mu brandy.

- To sobie możesz wziąć, ale cygaro jest moje. Uniósł brew.

- Palisz? To coś nowego.

Wyciągnął z kieszeni na piersi pudełko zapalek i zapalił jedną. Pociągnęłam cygaro, ale bez skutku. Kit wyjął je mi z ust, zapalił i umieścił mi z powrotem między wargami. Wciągnęłam delikatnie dym do ust i udało mi się nie zakrztusić.

- Mój szwagier, Robert, czasami pozwalał mi pociągnąć na przyjęciach.

- Mam nadzieję, że szwagier to to samo co szwagier, bo inaczej byłbym zazdrosny. I musiałbym się z nim fechtować czy coś. A jestem w tym potwornie kiepski i pewnie by mnie ukatrupił.

Roześmiałam się, ale serce waliło mi głośno w piersi. Dziwiłam się, że Kit tego nie słyszy. Dopił brandy.

- To podłe, Elise, ale czasami łapię się na tym, że chcę, żeby wybuchła wojna. Bo wtedy musiałabyś tu zostać.

- Kit. Nawet tak nie mów. Moi bliscy.

- Wiem. Przepraszam.

- Szkoda, że nie możesz poznać Anny. Oczarowałyby cię w sekundę. - Podałam mu cygaro. - Jak pamiętasz swoją matkę?

- W tym sęk, Elise. W ogóle jej nie pamiętam.

- Chyba byłeś bardzo mały, kiedy umarła.

- Miałem cztery lata, dość, by zachować jakieś wspomnienia. Odeszła bardzo niespodziewanie. Utopiła się.

- Utopiła? O, Kit, strasznie mi przykro.

Potał nos, zostawiając szarą smugę na koniuszku.

- Najdziwniejsze, że ponoć pływała jak ryba, a utonęła w wannie. Miała jakiś atak. Ojciec ją znalazł. Przez lata odchodził od zmysłów, że cierpię na to samo. Nie pozwalał niani mnie kąpać. Upierał się, żeby tylko obmywała mnie gąbką. Musiałem być strasznym śmierdziuszkim.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc ujęłam jego dłoń. Pozwolił, żebym ścisnęła ją przez sekundę, potem się uwolnił, strzepując popiół z nogawki spodni.

- Kiedy mi powiedzieli, ponoć zemdlałem. A gdy przyszedłem do siebie, już jej nie było. Zniknęła. Nie rozumiałem, dlaczego wszyscy są tacy smutni. Dlaczego ojciec nie przestaje płakać. Bo razem z nią zniknęły wszystkie moje o niej wspomnienia. Patrzę na rodzinne fotografie i widzę siebie obok jakiejś nieznajomej pani o miłej twarzy. Pamiętam zabawy, pikniki, przejażdżki łódką i wiem, że też w nich uczestniczyła, ale w moich wspomnieniach jej nie ma.

- A śni ci się?

- Nie.

Pragnęłam powiedzieć mu coś pocieszającego, obiecać miłość Anny, ale nie mogłam znaleźć słów, a Anna była daleko. Pocałowałam go w policzek, wciągając sandałową woń jego wody kolońskiej zmieszanej z zapachem cygara.

Siedzieliśmy obok siebie w milczeniu, ale nasze dłonie się nie dotykały, i słuchaliśmy posapujących koni, których oddech unosił się w zimnym powietrzu niczym para wodna z gwizdzącego imbryka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Urodziny i stłuczone szkło

Nazajutrz May obudziła mnie przed świtem. To były dwudzieste pierwsze urodziny Kita i dzień jego balu. Na tańce i obiad zaproszono ponad setkę gości, musieliśmy wszystko przygotować na ich przybycie i zadbać jeszcze o ośmioro tych, którzy zatrzymali się we dworze. Sprzątnęłam salony i rozpałam w kominkach na dole, zanim słońce wychyło z za wzgórza. Kiedy zaniiosłam kosz z podpałką na górę, płomienny brzask wlewał się już przez okno nad portykiem. Zbocze zdawało się płonąć, grzbiety krów błyszcząły różową czerwienią, a szkarłat promieni lizał krzewy głogu. Pomyślałam o Mojżeszcu i uśmiechnęłam się.

- Elise - zawołał cichy głos z tyłu.

Odwróciłam się i zobaczyłam w holu pana Riversa w szlafroku i kapciach.

- Czytałaś gazety?

Wertowałam „Timesa” każdego wieczoru przed zaśnięciem w poszukiwaniu choćby najkrótszej wzmianki o Wiedniu czy Austrii, ale znajdowałam tylko ponure historie na stronie czternastej: prześladowania Żydów, konfiskata majątków, aresztowania i podżegające przemówienia Herr Ribbentropa i Herr Hitlera. Wiadomości ukryte między doniesieniami o hodowli pelargonii, otwarciu sesji Parlamentu przez króla i konieczności usunięcia migdałków sławnym trojaczkom Corry.

Pan Rivers ściągnął brwi, na czole wykwitły mu bruzdy niepokoju.

- Ten zamach w Paryżu? Mam nadzieję, że Herr von Rath przeżyje. Obawiam się, że w przeciwnym razie sytuacja Żydów jeszcze się pogorszy.

Dał mi znak i ruszyłam za nim po schodach do biblioteki. Odruchowo podeszłam do okien i rozsunęłam zasłony. Do pokoju wlało się światło poranka. Pan Rivers usiadł przy biurku i majstrował coś przy pokrętlach radia. Rozległy się trzaski, kiedy aparat się rozgrzewał. Zalała mnie fala mdłości i poczułam dudniący ból w skroniach. Zaczęłam w myślach recytować imiona bliskich jak modlitwę: Annaitataannaitataannaitatatata-tata. Potem rozległ się głos spikera: „Król otworzył wczoraj sesję Parlamentu. Wielka uroczystość...”.

Przez kilka minut słuchaliśmy w milczeniu najświeższych informacji. Nie padła ani jedna wzmianka o zamachu w niemieckiej ambasadzie. Kiedy zaczęła się prognoza pogody dla żeglugi, pan Rivers wyłączył radio.

- Cóż, wygląda na to, że BBC nie podziela mojego niepokoju. Być może słusznie i wszystko będzie dobrze. Dasz mi znać, gdy tylko dostaniesz jakąś wiadomość od rodziców?

- Tak, sir.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu przy biurku i przypatrywał mi się bez słowa. Nie wiedziałam, czy powinnam już odejść. Wprawdzie pan Rivers zawsze był dla mnie miły, ale miałam świadomość, że jest moim chlebodawcą. Emanował chłodną rezerwą, która nawet u takich trzpiotek jak Diana i Juno wymuszała respekt. Zawsze miałam wrażenie, że jest trochę oddalony, jakby żył za szybą. Nigdy się nie garbił, nie rozlewał whisky ani nie bałaganił. Na jego biurku panował skrupulatny porządek, koperty były poukładane według rozmiarów, a na listy odpo-

wiadał natychmiast. Nie miał w sobie swobody i serdeczności Kita i rzadko się do mnie odzywał poza uprzejmą prośbą o napój czy przekąskę. Czasami zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że ma takiego syna. Podejrzewałam, że Kit wdał się raczej w matkę. I nigdy nie wiedziałam, o czym myśli pan Rivers. Czasami przyłapywałam go na tym, że mnie obserwuje, ale zwykle tak szybko odwracał wzrok, że nie byłam pewna, czy coś mi się nie przywidziało. Teraz wskazał rząd książek Juliana na półce z tyłu.

- Twój ojciec pracuje obecnie nad czymś nowym?

- Tak, sir. Ale w Austrii nie znajdzie wydawcy. Jego książki są na indeksie.

Patrzył na mnie, nie mrugając. Zastanawiałam się, jakby zareagował na wieść, że ostatnia powieść Juliana jest schowana na górze. Przez chwilę niemal mnie kusilo, żeby mu powiedzieć. Ale nie. Należała tylko do mnie i nie zamierzałam się nikomu zwierzać z jej istnienia. To był sekret: mój i Juliana. Nagle uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam pana Riversa nieogolonego. Ciężki czarny zarostu znaczył mu podbródek i wargę. Przełknęłam ślinę i oblizałam wyschnięte usta - od dawna nie dawała mi spokoju jedna rzecz.

- Mówi pan po niemiecku, sir?

- Tak. Choć słabo. Dużo lepiej czytać.

Mimo przyprawiających o mdłości sensacji w brzuchu uśmiechnęłam się i klasnęłam w dłonie. Poczułam przypływ radości na dźwięk ojczyściego języka, nawet jeśli trochę kaleczzonego.

- Sir, mówi pan doskonale. Proszę powiedzieć, czy nie chciałby pan poćwiczyć. Bardzo chętnie pomogę. Słowo. Proszę powiedzieć, która z taty książek najbardziej się panu podoba. Ja najbardziej lubię *Kapelusz Minotaura*.

- Wolniej! - powiedział ze śmiechem, przerzucając się na angielski. - Nie rozumiem, kiedy mówisz tak szybko.

- Przepraszam.

- Byłbym bardzo rad z kilku lekcji konwersacji. Może gdy minie już to całe zamieszanie z przyjęciem?

- Dobrze, sir.

- I zupełnie niepotrzebnie cię zdenerwowałem. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Jeśli dowiem się czegoś więcej, natychmiast dam ci znać.

Po wyjściu z biblioteki zamiast pójść napalić w kominku u Diany, tak jak powinnam, pobiegłam na górę do swojej facjatki. Grzebałam chwilę w szufladach komody i wyciągnęłam perły Anny. Nie wiem dlaczego, ale chciałam je mieć tego dnia na sobie. Założyłam je, wsadziłam pod bluzkę i postawiłam kołnierzyk, żeby nie było ich widać. Pośpieszyłam do pokoju gościnnego, wślizgnęłam się do środka i odkryłam, że Diana już nie śpi.

- Spóźniłaś się. Zmarzłam. Muszę natychmiast napić się herbaty.

- Tak, jasnie panienko.

Odwróciłam się na pięcie, żeby przynieść tacę z herbatą, ale Diana zawołała mnie z powrotem.

- Najpierw napal w kominku. Nie mieści mi się w głowie, że nie ma tu normalnych grzejników.

To była prawda: w domu centralne ogrzewanie znajdowało się tylko w salonach na dole. Żadna sypialnia nie miała kaloryferów. Kit wyjaśnił mi, że ojciec musiał już sprzedać jeden z dobrych obrazów, żeby pokryć koszty instalacji ogrzewania na parterze, i uznał, że zamiast pozbywać się pejzażu Turnera, woli, by rodzina i goście jakoś się męczyli ze staroświeckimi ko-

minkami. Z wyjątkiem służby. My nie mieliśmy ani grzejników, ani pieców, za to od października mieliśmy odmroziny. Wydawało mi się bardzo dziwne, że człowieka, który posiada taki wielki i wspaniały dom jak Tyneford, nie stać na jego porządne ogrzanie. Kit poinformował mnie, że ziemia przynosi znikomy dochód, a w obliczu wyboru między posiadaniem służby a ogrzewania, jego ojciec zawsze wybierał służbę. Był dżentelmenem starej daty i wierzył w swój obowiązek zatrudniania jak największej liczby mieszkańców wioski. Obaj mężczyźni rzadko ze sobą rozmawiali i wyglądało na to, że niespecjalnie przepadają za swoim towarzystwem, jednak kiedy Kit mówił o ojcu, w jego głosie słychać było dumę.

Przyłożyłam zapalną do podpałki, delikatnie dmuchając na maleńki płomynek, i już po chwili w kominku buchał siarczasty ogień. Dołożyłam węgla i sosnowych bierwion i po pokoju rozeszło się ciepło. Wstałam z uśmiechem, dumna z nowo nabytej umiejętności. Przed przyjazdem do Anglii nigdy w życiu nie paliłam w kominku, ale podejrzewałam, że teraz jestem w tym równie dobra jak Hildegarda.

- To silniejsze od niego - powiedziała Diana.

Siedziała oparta na haftowanych poduszkach, poskręcane blond włosy tworzyły aureolę dokoła jej głowy. W porannym świetle oczy wydawały się fiołkowe.

- Przepraszam?

- Rzuciłaś urok na Kita. Wy, Żydówki. Niby nie ma na czym oka zawiesić. Ale mężczyźni nie mogą się wam oprzeć.

Wiedziałam, że nie powinnam, ale wybuchłam głośnym śmiechem.

- Nie waż się ze mnie śmiać. Ani się waż. Próbowałam stłumić chichot, rozbawiona na myśl o sobie

jako gatunku egzotycznej kusicielki. Podejrzywałam, że od tego

ciągłego biegania wte i wewte po schodach pewnie straciłam trochę tłuszczu w pasie. Wyobraziłam sobie w roli oturba-nionej uwodzicielki z jakiejś orientalnej baśni i zachichotałam. Diana rzuciła we mnie poduszką, która uderzyła mnie w policzek i upadła na dywan. Podniosłam ją, strzepnęłam i położyłam na fotelu przy oknie.

- Przyniosę herbatę, panienko.

- Należałaś do wiedeńskiej socjety? - spytała Diana, wygładzając koszulę nocną z jedwabiu.

Zawahałam się. Moja rodzina należała do burżuazji, nowej klasy żydowskich artystów i liberałów, ale choć zasymilowani, nawet w Wiedniu żyliśmy osobno. Annę fetowano na balach w Operze, bo wiedeńska elita chciała słuchać jej śpiewu, ale nazwisko Landau nie zapewniało nam łoży ani najlepszego stolika w Cafe Splendide. Diana nie musiała o tym wiedzieć.

- Tak - odpowiedziałam. - Należałam.

- Oo - powiedziała smutnym i zawiedzionym głosem. - Bo wiedenki słyną z elegancji. A przecież wszyscy wiedzą, że elegancka dama nie nosi pereł przed osiemnastą.

Wtuliła twarz w poduszki z pełnym satysfakcji uśmiechem igrającym na różowych ustach. Czując ciarki irytacji na plecach, wyszłam, żeby przynieść jej herbatę.

Przybyłych gości zaproszono na polowanie do pobliskiego majątku Lulcombe, żeby dać służbie czas na przyszykowanie wieczornej zabawy. Nam dzień minął w wirze gorączkowych przygotowań. Przebiegały ściśle według sprokurowanego przez pana Wrexhama rozkładu prac, dokumentu iście wojskowej precyzji. Kamerdyner sam nadzorował polerowanie sreber, ja czyściłam raz po raz noże, a Henry szorował na błysk solnicz-

ki, pieprzniczki, świeczniki i wizytówki na stół. Pani Ellsworth trzymała klucze do bielizniarki i pod jej czujnym okiem nosiłyśmy z May wykrochmalone obrusy do jadalni i rozkładałyśmy specjalnie obszyte sukna na stoliku w sali bilardowej, gdzie miał być urządzony bar. Na całym tarasie porozwieszano lampiony, a każdy pokój wypełniały sprowadzone z Harrodsa białe róże. Art z Burtem poustawiali na trawnikach rzędkę świec, które miały zostać zapalone o zmroku. Pani Ellsworth i kuchennemu pomagały dwie dziewczyny ze wsi, a przed lunchem pojawiła się nawet Poppy, żeby asystować przy przygotowaniu dziczyzny w cieście. W kącie rojącej się od ludzi kuchni obdzierała ze skóry bażanty, kroiła w kostkę sarninę i grzywacze oraz cięła na plasterki szynkę w miodzie. Do pokoju pana Wrexhama zanesiono cynową balię z lodem, do której powsadzano butelki szampana. Z wielkim trudem udało się wypożyczyć z sąsiednich majątków trzy dodatkowe pokojówki i jednego lokaja na wieczór i w korytarzu dla służby huczało od gwaru głosów i tupotu stóp niczym w pełnym pszczoł ulu. Spizarnia pękała w szwach od lukrowanych ciast: cytrynowych biszkoptów, czekoladowych truflif, placków z wiśniami i mandarynkami. Porcje syllabubu stały obok biszkoptów z owocami i bitą śmietaną, a na niskich skrzynkach spoczywały tace z gotowanym łososiem obłożonym cieniutkimi jak papier plasterkami ogórka. Kurczaki na zimno i egzotyczne ćatni z brzoskwiniami oraz kminkiem zastawiały pokój kredensowy. Biegałam tam i z powrotem z poleceniami, sztućcami, tacami ze szklaneczkami na wodę, nareczami serwetek, listami gości, wizytówkami na stół z Liberty of London, kostkami cukru i tłuczoną morską solą, shakerami do koktajli, gałązkami mięty, butelkami whisky, rumu, ginu i kirszu, ręcznie malowanymi paterami na owoce i porcelanowymi filiżankami do kawy.

Zdekoncentrowana upuściłam tacę z maselniczkami na kuchenną podłogę, tuż po tym jak May wycisnęła na maśle rodowy herb, i zostałam w niełasce skierowana do wyrzucenia kompostu. Nawet na tyłach domu ogrody prezentowały się nieskazitelnie. Bukszpany obwiązano białymi kokardami, a chłopcy stajenni splukiwali dziedziniec, na którym zrobiono miejsce dla trzydziestu samochodów. W pokoju Arta leżały bele siana i stały dzbany wina oraz talerze z kanapkami dla szoferów. Chciałam, żeby pan Rivers już wrócił i powiedział mi, czy są jakieś nowe wiadomości, ale polowanie miało się skończyć dopiero wtedy, gdy damy powinny zacząć się ubierać na bal. Mogłam więc tylko nosić, sprzątać, czekać i się denerwować.

Kolację dla służby podano wcześniej, o szesnastej, i po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Tyneford wszystkie miejsca przy stole w jadalni były zajęte: siedzieliśmy ściśnięci łokieć przy łokciu, jedząc zupę, chleb i ser. Atmosfera wrzała od pełnego rozgorączkowania uniesienia i słuchaliśmy pana Wrexhama z uczuciem zbliżonym do dumy.

- Wiem, że wszyscy jesteście bardzo zmęczeni. Pracowaliście ciężko od wielu tygodni. Dzisiejszy dzień jest ukoronowaniem naszych wysiłków. Wieczorem pan Christopher Rivers, przyszły dziedzic Tyneford, wkroczy uroczyście w wiek dorosły. Dopilnujmy, żeby wszyscy zaproszeni na bal goście wypowiadali się entuzjastycznie o tutejszej służbie. Bądźmy chlubą Tyneford i rodziny Riversów.

Rozległy się wiwaty, wznieśliśmy toast za Kita. Pan Rivers wyraził zgodę na otworenie butelki szampana i każdy z nas dostał teraz kapkę, którą sączyliśmy z kieliszków, delektując się trunkiem jak ambrozją. Nawet Henry i May się do mnie uśmiechali - przynajmniej na ten jeden wieczór uznali mnie za swoją. Potem pognałam na górę przebrać się w czysty uniform i spe-

cialnie na tę okazję zamówiony koronkowy czepek i fartuszek. Złapałam się na tym, że drzę z podekscytowania, o wiele silniejszego niż w Wiedniu, gdzie uczestniczyłam w przyjęciach jako gość. Zamknęłam za sobą drzwi facjatki, żeby mieć chwilę spokoju. Ponownie założyłam perły i pomyślałam o Annie. Czy jest bezpieczna? Czy o mnie myśli?

Zmierzch przeszedł w noc i na podjeździe rozległ się chrzęst opon. Wiedziałam, że Diana i Juno zaczną zaraz głośno domagać się mojej pomocy. Nie mieściło mi się w głowie, jak dwie dorosłe kobiety mogą być takie bezradne. Trzeba było rozkładać im suknie na łóżkach, wyjmować kostki mydła z opakowania, perfumować i podgrzewać ręczniki. Zeszłam pośpiesznie do niebieskiego pokoju i zaczęłam zaciągać zasłony. Przerwałam w połowie, otworzyłam jedno ze skrzydeł i wyjrzałam: we wszystkich oknach świeciło się światło, a w pogrążonym w mroku ogrodzie, gdzie Art pozapalał świece w lampkach sztor-mowych, migotały małe płomyczki. Czułam chłodny powiew nocnego powietrza na skórze i słyszałam wiatr śpiewający w liściach modrzewi.

- Kąpiel już gotowa? - spytała Diana, wparowując do pokoju i rzucając rękawiczki na podłogę.

Westchnęłam i zamknęłam okno.

- Zaraz ją przygotuję, panienko.

Weszłam do małej, wyłożonej kaflami łazienki i odkręciłam kurki. Woda zabębniła o ścianki wanny niczym pociąg w tunelu. Sypnęłam szczodłą ręką różane sole, które napełniły powietrze słodko pachnącą parą. Leciałam z nóg, bolały mnie wszystkie mięśnie, skronie pulsowały i dałabym wszystko, żeby samej wślizgnąć się do gorącej kąpieli.

- Czy ktoś pomoże mi się rozebrać? - zawołała Juno. Wróciłam pośpiesznie do pokoju i rozpięłam kościane gu-

ziki z tyłu jej peleryny do konnej jazdy. Ubranie było zupełnie niedorzeczne, nie mogłam sobie wyobrazić stroju mniej odpowiedniego do prawdziwej jazdy. Choć w przypadku Juno ryzyko tej ostatniej raczej nie zachodziło. Nie przypominałam sobie, żeby odważyła się wyjść z domu w innym celu niż zajęcie miejsca w samochodzie.

- Udany dzień, panienko?

- Nie odzywaj się do mnie - przywołała mnie do porządku.

- Mam ochotę na likier cytrynowy - oświadczyła Diana, która przynajmniej sama się rozebrała i teraz siedziała rozwalona na krześle przy oknie, kartkując „Vogue'a”.

Stłumiłam brzydkie słowo cisnące mi się na usta i zbiegłam na dół do kuchni. Wiedziałam z doświadczenia, że nie ma sensu wracać bez lodu, więc poszłam wyjąć kilka kostek z kubła w spiżarni. Jednak tam wszystko się już stopiło na breję i musiałam pofatygować się po kilka kostek do bali z szampanem w pokoju pana Wrexhama. Minęło bite pięć minut, zanim wreszcie wdrapałam się z powrotem po schodach do niebieskiego pokoju. Powitał mnie odgłos lejącej się wody. Wcisnęłam głupi cytrynowy likier Dianie i pobiegłam do łazienki. Wanna była już pełna i woda lała się na podłogę. Brodząc przez kałużę, zakręciłam kurki, potem wparowałam wściekła do sypialni, by rozmówić się z Dianą i Juno. Leżały rozwalone w jedwabnych halkach na łóżkach i omawiały rysunki sukien Diora na aktualny sezon.

- Nie mogłyście zakręcić kranu? - prawie krzyknęłam. Diana odwróciła się i zmierzyła mnie zimnym spojrzeniem.

- Mogłybyśmy, gdybyśmy były pokojówkami.

- Poszłam na dół po drinka dla paniarki.

- Tak. Dziękuję. Pamiętałaś o lodzie.

Dalsza dyskusja nie miała sensu. Posprzątałam bałagan najlepiej jak umiałam i zawołałam, że kąpiel gotowa.

- Pysznie. W szafie wisi moja suknia, bądź tak miła i rozłóż ją na łóżku. Coś mi się zdaje, że potrzebuje ponownego odprasowania - powiedziała Diana, przerzucając stronę pisma.

Podeszłam do szafy i otworzyłam drzwi. Zobaczyłam rząd spódnic, bluzek, bucików na szpilce i sukni z zielonego, różowego i kremowego jedwabiu.

- Szmaragdowa jest moja - zawołała Juno.

Wyjęłam ją i powiesiłam na drzwiach, szukając zagnieceń na materiale.

- Ja włożę różową - poinformowała Diana. Wyciągnęłam blad różową suknię z leżącego się jedwabiu

i uniosłam do światła. Serce podskoczyło mi do gardła i poczułam, jak zalewa mnie wściekłość.

- To moja własność - przycisnęłam suknię do piersi. - Nie możesz jej włożyć.

- Nie mogę? - rzuciła bardzo spokojnie. - Powiesz Wrexha-mowi, że jest twoja?

Wiedziałam, że kamerdynerowi będzie wszystko jedno, do kogo należy suknia. Najważniejszy był komfort gości. Ja byłam tylko pokojówką i takie upokorzenie nic nie znaczyło.

- Możesz zawsze pobiec na skargę do Kita - wyszeptała. Wpatrywałam się w nią bez słowa. Zatem chodziło o niego.

Usłyszałam brzęk tłukących się na dole kieliszków. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Annie. Miałam wrażenie, że brnę przez ruchome piaski, a grunt zapada się i wciąga mnie do środka. Byłam taka zmęczona.

Upuściłam sukienkę na podłogę i wyszłam z pokoju.

Poprawiłam czepek w lustrze na korytarzu i zeszałam głównymi schodami. Wyłożony boazerią hol był pusty, służba jeszcze nie

zajęła swoich miejsc. Wszystko było gotowe: stoły nakryte, kieliszki przygotowane, napoje odpowiednio schłodzone. Słyszałam pbrzękiwania i zduszone krzyki dochodzące z korytarza dla służby i postanowiłam trzymać się stamtąd z daleka. Otworzyłam szerzej drzwi biblioteki. Pan Rivers siedział za biurkiem, obracając w dłoniach szklaneczkę brandy. Kit opierał się

o ścianę przy oknie, choć raz bez papierosa w dłoni. Żaden nie uśmiechnął się na mój widok.

- Wszystkiego najlepszego, paniczu... Kit... sir - wymamrotałam. Nigdy nie wiedziałam, jak się do niego zwracać w obecności ojca.

- Dziękuję, Elise - rzucił z ponurą miną.

Pan Rivers nalał szklaneczkę brandy i przesunął ją po stole w moim kierunku.

- Herr von Rath nie żyje. Umarł kilka godzin temu i pojawiły się już pogłoski o pogromach w Niemczech.

Zakręciło mi się w głowie. Chwyciłam szklaneczkę i pociągnęłam łyk brandy. Paliła w gardle.

- A w Austrii?

- Na terenie całej Rzeszy - powiedział Kit.

- Są doniesienia o aresztowaniach. Demolowaniu żydowskich domów. Podpaleniach synagog. - Pan Rivers nalał mi kolejnego drinka.

- Elise, strasznie mi przykro. - Kit przeszedł przez pokój

1 ujął moją dłoń.

Świadoma, że obserwuje nas jego ojciec, wysunęłam pałce z uścisku. Opróżniłam szklaneczkę i zamrugałam.

- Coś jeszcze, sir? - spytałam, odwróciwszy się do pana Riversa.

Pokręcił głową z twarzą pełną smutku.

- Nie, Elise. Możesz odejść.

- Dziękuję, sir.

Skinęłam głową i wymknęłam się z biblioteki.

Goście napływali dwójkami i trójkami, żeglując do sali bilardowej na egzotyczne koktajle przygotowywane przez Henry ego i Arta, który stał w odświętnym uniformie, przestępując z nogi na nogę. Panie w boach z piór sączyły szampana w salonie albo przystawały, żeby poplotkować na schodach lub w holu. Kelnerzy we frakach przemykali tam i z powrotem, dolewając do kieliszków i roznosząc tartinki na srebrnych tacach. Mały zespół muzyczny stroił instrumenty w bibliotece i lekko chropawe dźwięki fletu mieszały się z gwarem rozmów i śmiechem. Dwie szklaneczki brandy okazały się błędem. Zrobiło mi się gorąco, a czarna wełniana sukienka lepiała się pod pachami. Chciałam rozpiąć guzik, ale nie mogłam ryzykować, że pan Wrexham dostrzeże ukryte perły. Pokojówki nie nosiły biżuterii, nawet po osiemnastej. Juno chichotała z Poppy, najwyraźniej nieświadoma faktu, że moja przyjaciółka należy do pospólstwa i dorastała w wiejskiej chacie. Zobaczyłam Kita: rozmawiał z Dianą i zaśmiewał się z czegoś, co powiedziała. Rumieńce na jej twarzy pięknie się komponowały z delikatną barwą toalety, którą miała na sobie. Na niej suknia Anny leżała luźniej niż na mnie, więc przewiązała ją w pasie sznurem z kryształowych paciorków, żeby podkreślić figurę. Wyglądała w tym stroju piękniej niż ja kiedykolwiek i w tamtej chwili jej nienawidziłam. To ja miałam włożyć tę suknię. Chciałam czuć dotyk materiału, leciutki zapach perfum Anny, którym był przesiąknięty. Nie było czasu, by przed wyjazdem z Wiednia dać sukienkę do czyszczenia, i wyobrażałam sobie, że nadal zachowała zapachy tamtego przyjęcia, tamtego życia.

Goście tłoczyli się w małych grupkach przy okrągłych stołach, pogryzając przygotowane przez panią Ellsworth tarteletki z gotowanym łososiem i przepiórczymi jajami. Jakaś kobieta w lawendowej sukni gładziła rękaw wysokiego młodzieńca z krótkim wąsikiem, na którego kolanach siedziała. Dwoje dziewcząt, obie w czerwonych toaletach, jadło kawałki czekoladowego ciasta i popijało zjadliwie kolorowe koktajle z wysokich szklanek. Zbierałam talerze, częstowałam damy plastrami kurczaka na zimno i pasztecikami, a kątem oka obserwowałam, jak Kit przemyka między gośćmi. Podkradł się bliżej i podał mi pusty kieliszek.

- Żadnych nowych wieści.

Napełniłam mu ponownie szampankę i stłumiłam chęć, by ją opróżnić. Pragnęłam zaszyć się sama z butelką na plaży, pić, krzyczeć i wściekać się nad morzem. Zamiast tego znowu zobaczyłam Dianę w sukni Anny: wyjadała lukrowane płatki róż z biszkopta i wymieniała uśmiechy z dwójką mężczyzn.

- Wszystko będzie dobrze, Elise. Naprawdę, będzie dobrze.

- Dlaczego w kółko to powtarzasz? Nic nie wiesz. Sprawiał wrażenie tak z kretesem przybitego, że poczułam

się podle. Miał urodziny, a to, co się działo w Europie, nie było jego winą. Wzięłam głęboki oddech i zmusiłam się do uśmiechu.

- Anna byłaby zachwycona twoim przyjęciem. I wściekła, gdyby wiedziała, że zamiast się bawić, tylko się o nią zamartwiasz.

Kit gapił się ze strapioną miną na swojego szampana. Potrząsał kieliszkiem i obserwował złote bąbelki.

- Słowo, byłaby bardzo zła. Stanełaby w połowie schodów. Doskonała akustyka, rozumiesz. I zaraz porozstawiałyby po kątach zespół. A potem by zaśpiewała. - Westchnęłam. - Szkoda, że nie możesz posłuchać jej śpiewu.

Zobaczyłam nad ramieniem Kita, że kamerdyner rzuca mi gniewne spojrzenia. Ucinanie sobie pogawędek z gośćmi przez służącą było niedopuszczalne. Oddaliłam się pospiesznie, chwyciłam popielniczkę i ruszyłam do grupki panów palących na tarasie.

- O, świetnie, masz może ogień? - spytał piaskowowłosy chłopak, wymachując pustym pudełkiem zapalek.

- Oczywiście, sir.

Wyciągnęłam z kieszeni fartuszka zapaliki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczyłam się, że kilka rzeczy powinnam zawsze mieć pod ręką. Pan Wrexham nie posiadał się z zadowolenia, kiedy odkrył, że noszę przy sobie zapaliki, zapasową chusteczkę, papier, ołówek, siatkę na włosy i miętówki. Uznał to za znak, że w końcu pogodziłam się z faktem, iż moją życiową misją jest troska o komfort jaśnie państwa. Tymczasem ja po prostu nie cierpiałam biegać w poszukiwaniu elastycznych bandaży czy aspiryny i przekonałam się, że zapas przeróżnych szpargałów na podorędziu zaoszczędza mnóstwo czasu i wysiłku. Nosiłam je bardziej z myślą o swojej wygodzie niż ich.

Na tarasie zrobiło się zimno, wiatr zgasił kilka świeczek, nawet te wewnątrz sztormowych latarni. Gruby płaszcz chmur zasłaniał gwiazdy i spowijał szczyt wzgórza. Ponieważ noc była ciemna, wydawało się, że huk morza dochodzi znikąd. Drzwi do domu otwarto na oścież, muzyka niosła się w powietrzu i spływała w dół, w stronę plaży, niczym niewidzialna mgła. Przyczałam się w cieniu, ciesząc się z chwili wytchnienia. Pod sznurem migoczących lampionów tańczyły pary, dziewczęta unosiły się tam i z powrotem w pastelowych sukniach jak bańki mydlane na wietrze. Patrzyłam na nie z radością i wspominałam ubiegłoroczny bal w Operze. Odbył się w marcu, zaledwie kilka tygodni przed Anszlusem, ale wtedy, tamtej nocy, wydawało się,

że nic się nigdy nie zmieni. Anna oczywiście otrzymała zaproszenie, by wystąpić, i po raz pierwszy poszliśmy tam wszyscy razem. Ponieważ był to mój pierwszy bal, miałam na sobie biel, jak wszystkie debutantki. Cioteczna babka Gerda pożyczyła mi brylantowe kolczyki, które skrzyły się w moich uszach niczym okruszki lodu. Przez pierwsze pół godziny nie byłam w stanie dołączyć do tańczących. Stałam jak sparaliżowana. Dziewczeta krążyły i sunęły po parkiecie w swych nieskazitelnych toaletach. Miałam wrażenie, że cały Wiedeń zgromadził się w tym jednym teatrze, tysiąc dziewcząt wirujących i wirujących bez końca. Zakreśliło mi się w głowie: zupełnie jakbym oglądała płatki śniegu podczas zawiei. Gdy teraz, na przyjęciu Kita, patrzyłam, jak jasnowłosa dziewczyna odchyła się w ramionach partnera, zobaczyłam Margot, jej twarz zaróżowioną ze szczęścia. Zegar kościelny wybił kwadrans i nagle z całego serca zapragnęłam cofnąć czas. Chciałam, żeby wskazówki pobiegły w przeciwną stronę i przeniosły mnie z powrotem do tamtej sali, na tamten bal. Nawet jeśli musiałabym przeżyć to wszystko jeszcze raz od początku, minuta po minucie, sekunda po sekundzie, pragnęłam wrócić do Wiednia i tamtej rzeczywistości.

Nagle przy moim boku pojawili się pan Wrexham z Dianą, na wpół ukryci w mroku.

- Lady Diana potrzebuje twojej pomocy, Elise - oświadczył kamerdyner i skinął mi szorstko głową.

- Wygląda na to, że miałam drobny wypadek z sukienką - zachichotała Diana z udawanym wstydem. - Taka niezdara ze mnie. Obląłam się winem.

Przyjrzałam się jej w ciemnościach i zobaczyłam, że przód sukni Anny szpeci szkarłatna plama. Diana patrzyła na mnie wyzywająco z uśmiechem na ustach, czekając, czy ośmielę się poskarżyć. Bez słowa ruszyłam za nią do domu. W środku mu-

siałyśmy przedzierać się przez tłum, lawirując między kłębiącymi się na podeście gośćmi. Kiedy wreszcie otworzyłam drzwi niebieskiego pokoju, Diana wślizgnęła się do środka. Sama rozpięła biegnące z prawego boku haftki, pozwoliła, by suknia opadła na ziemię, i wyszła z niej, zostawiając na podłodze kupkę materiału. Stała na środku sypialni w butach na obcasach i jedwabnym dessous, zupełnie nieskrępowana. Posłała mi spojrzenie pełne litości.

- Słyszałam, że macie problemy u siebie w ojczyźnie. Przykra sprawa. Niehciani tam. Niehciani tutaj. - Westchnęła głęboko. Każdy, kto jej nie znał, dałby się nabrać na szczerość tego współczucia. Popatrzyła na mnie ciemnymi oczyma barwy sińców. - Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić.

Kucnęłam, zebrałam zniszczoną sukienkę i pobiegam po schodach do swojego pokoju. Była zrujnowana. Ukryłam twarz w materiale. Śmierdział winem i mdlącymi perfumami Diany

O zapachu gardenii. Ukradła mi kawałek Anny. Byłam tak wściekła, że zaczęłam się drapać po rękach, aż na nadgarstkach pojawiły się kropelki krwi. Wsadziłam sukienkę do kosza na śmieci na facjatce i wróciłam na przyjęcie. Na podeście dziewczyna z długim ciemnym warkoczem przeplecionym srebrną nitką karmiła lodami truskawkowymi jakiegoś młodzieńca. Obok stała na wpół opróżniona butelka wina. Zabrałam ją, mimo ich protestów, i pospiesznie odeszłam. Obejrzałam się przez ramię, by sprawdzić, czy nie czai się gdzieś pan Wrexham, po czym pognałam do pokoju na drugim końcu korytarza, weszłam do środka i przekreśliłam klucz w zamku.

Sypialnia była pusta. Zasłony zaciągnięte. Wzięłam łyk wina i podeszłam do szafy Kita. W powietrzu unosił się zapach jego papierosów. Na poręczy wisiał wilgotny ręcznik, a otwarta buteleczka wody kolońskiej na toaletce pachniała drzewem sandało-

wym i miodem. Pociągnęłam kolejny łyk wina, prosto z butelki, kroplę, która pociekła mi po brodzie, starłam grzbietem dłoni. Muzyka z dołu przesączała się przez deski podłogi jak dym. Za oknem rozległ się wrzask, ale nie odsłoniłam zasłony, żeby wyrzeć. Czułam czarne morze w oddali, fale bijące o brzeg, bez końca, bez końca.

Pomimo chaosu związanego z przyjęciem pan Wrexham znalazł czas, by posprzątać zwykły bałagan w sypialni Kita. Wszystkie spodnie wisiały złożone w kancik w dużej szafie. Pociągnęłam jedną parę, ale okazało się, że nie jest od smokingu. Pozwoliłam, żeby spadła na podłogę. Wyciągnęłam kolejną i następną, wszystkie rzucając na ziemię, aż wreszcie znalazłam to, czego szukałam: ciemnoszary zestaw z matowym lampasem. Rozpięłam sukienkę i wciągnęłam spodnie. Kit był szczupły, miał gibką figurę pół chłopca, pół mężczyzny, mimo to, ku mojemu zdziwieniu, okazały się luźne w pasie. Kiedy stałam się chuda? Anna by tego nie pochwaliła. Znalazłam białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, włożyłam ją i wsadziłam do spodni. Marynarka była za szeroka w ramionach, ale nogawki tylko śladowo za długie, podejrzewałam, że musi być to komplet sprzed kilku lat, kiedy Kit chodził jeszcze do szkoły. Wzięłam jego grzebień, usiadłam przy toalecie i przeciągnęłam nim po swoich krótkich włosach. Matka Kita uśmiechała się do mnie z sepiowej fotografii. Chwyciłam butelkę i dopiłam resztki wina. To wszystko przez Dianę. Zniszczona sukienka. Plama czerwieni. Plama krwi. Zniszczone futro Frau Finkelstein. Zaginieni. Niechciani tutaj. Żydzi zabili Herr von Ratha. Pogromy. Suknia Anny. Ukradła Annę. Powieść w altówce. Diana. Wszystko Diana.

Sprawdziłam odbicie w lustrze. Błyszczące oczy. Usta ze śladami wina. Zostawiłam sukienkę w zmiętej kupce na środku

podłogi, otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Podświadomie spodziewałam się stłumionych okrzyków, zdegustowanych sarknięć. Nic. Dziewczyna z długim warkoczem zniknęła. Jakaś para całowała się w cieniu. Strzępy muzyki mieszały się z gwarem rozmów i wybuchami śmiechu, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Pewnie z uwagi na krótkie, gładko przylizane włosy brali mnie za chłopca. Schodząc po schodach, lustrowałam tłum w poszukiwaniu Kita. Nikt mnie nie nagabywał o drinki, sweterki, czyste talerzyki albo drogę do damskiej toalety. Na kilka chwil znowu się stałam jedną z nich. Pomimo gorąca, hałasu i wpadających na mnie roztańczonych dziewcząt mogłam oddychać. Dostrzegłam na tarasie Kita i ruszyłam prosto do niego.

- Kit. Kit.

Gapił się na mnie przez sekundę, nie rozpoznając. Pociągnęłam go za rękaw.

- Kit. To ja.

Twarz rozjaśnił mu powoli uśmiech zachwytu.

- Zrobiłaś to. Naprawdę to zrobiłaś.

Chwycił mnie za rękę, pociągnął pod latarnię, żeby się lepiej przyjrzeć, i obrócił w jedną stronę, potem drugą.

- Wyglądasz wystrzałowo. Po prostu byczo. - Wsunął mi pojedynczy kosmyk za ucho i wygładził włosy. - Prawie jak chłopak.

- No i? - spytałam. - Poprosisz mnie do tańca czy nie? Parsknął.

- Równie dobrze ty możesz poprosić mnie. Teraz to już chyba bez różnicy, kto kogo poprosi.

- Zatańczysz, Kit?

- Z rozkoszą. Poczekaj chwilkę.

Zniknął w środku, zostawiając mnie samą. Wycofałam się do

cienia, nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył. Jeszcze nie. Muzyka ucichła. Chwilę później rozległy się takty znajomej melodii, *Opowieści Lasku Wiedeńskiego* Johanna Straussa, i Kit pojawił się znowu u mojego boku.

- Uznałem, że walc wiedeński będzie najstosowniejszy. Nie użyłabym określenia „stosowny” w tych okolicznościach.

Podał mi dłoń, którą przyjąłem, i powiódł w stronę światła domu i rozkołysanych par.

- Momencik.

Chwyciłam ze stoliczka bezpieczny kieliszek szampana i opróżniłam, czując w gardle łaskotanie bąbelków. Odstawiłam pusty na tacę kelnera, który przechodził obok. Drzwi dużego salonu otwarto na wyłożony boazerią wielki hol i pary walcowały w najlepsze z jednego pomieszczenia do drugiego, wirując i przeplatając się między sobą w skomplikowanych układach. Wyobraziłam sobie, że połączone jedwabnymi nićmi wyszywają jakiś ogromny haft. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie fraki, toalety pań tworzyły bukiet deseni i barw. Wirowały rubinowe suknie, jakaś dziewczyna w morskim granacie wygięła się w łuk w ramionach partnera, zamiatając podłogę długimi włosami koloru piasku.

- Chodź. - Kit wziął mnie za rękę i poprowadził w tłum. Nigdy wcześniej z nim nie tańczyłam i już nigdy nie będę.

Zesztywniałam, kiedy objął mnie w talii lewą ręką i mocno przycisnął do siebie. Uśmiechnął się.

- Pomyślałem sobie, że poprowadzę. Nie masz nic przeciwko temu?

Nie byłam urodzoną tancerką, ale każda wiedenka umie tańczyć walca tak jak wróbel fruwać. Nie zwracałam uwagi na innych danserów i ruszałam się razem z Kitem. Na palce i na pięty. Na palce i na pięty. Ślizg i obrót. Szepty za plecami. Go-

ście zaczęli się orientować, że tańczą ze sobą dwaj mężczyźni. Dziewczyna w granacie pomyliła krok. Jej partner zwolnił. Popatrz tylko na Kita. W górę i w dół. I obrót. Zakręcił mną. Gdzie jest Diana? Musi zobaczyć. Pary wycofały się pod ścianę i obserwowały nas z sykami dezaprobaty. „To dziewczyna, nie chłopak”. Obrót. Ślizg i łuk. „Czy to przypadkiem nie ta pokojówka?” Kit odchylił mnie w ramionach. „Ponoć jest z Wiednia”. W górę i w dół. „Pokojówka czy żydowska kurwa?” Pochylił się nade mną.

- Wiesz, że kiedyś uważano walca za „grzeszny taniec”? - wyszeptał.

- I był zakazany w Londynie.

- Właśnie. Walc powinien szokować.

W długim lustrze mignęło mi nasze odbicie: dwie szczupłe, biało-czarne postacie: Kit wysoki, ze złotą czupryną połyskującą w blasku świec i ja, niska przy nim, z ciemnymi włosami i jeszcze ciemniejszymi oczyma. Dostrzegłam Dianę stojącą u stóp schodów w czystej sukni z tafty. Gapiła się na nas z ustami wykrzywionymi odrazą. Uśmiechnęłam się do niej, rozgrzana w ramionach Kita. Usłyszałam trzask szkła, gdy nastąpił na porzucony kieliszek szampana. Poślizgnęłam się na odłamkach. Strzaskane szyby świątyni. Smutek. Zawsze o nim pamiętaj. Nie ma radości bez smutku. Płynęliśmy dalej z muzyką. Zamknęłam oczy. Szkło z rozbijanych szyb. Urodziny Kita i płoną świątynię. Szeptał mi coś cicho do ucha, ale nie docierało do mnie ani jedno słowo. Wsłuchiwałam się w echo rozbijanego szkła.

- Myślę, że powinniśmy zszokować ich trochę bardziej - powiedział, głośno tym razem.

Odchylił mnie znowu i kiedy opadłam w jego ramionach, przybliżył usta do moich ust. Na chwilę zapomniałam o Dia-

nie, szeptach dezaprobaty i pozwalałam się całować. Smakował brandy i papierosami.

- Puść ją.

Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Otworzyłam oczy. Pan Rivers stał przy nas ze wzrokiem pociemniałym od gniewu.

- Co narobiłeś?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Koniec nas wszystkich

Staliśmy w bibliotece przed panem Riversem. Zza zamkniętych drzwi dochodziło narastające crescendo rozmów, zbiorowy pomruk niezadowolenia. Zasłony były niezaciągnięte i widziałam w szybie odbicie naszych bladych twarzy. Ostatnie świece na murawie pogasły, ogród zniknął w ciemnościach.

- Nie możesz już do mnie mówić w ten sposób. Mam dwadzieścia jeden lat i jestem dorosły - rzucił Kit wściekły jak nigdy.

- Tylko szczeniak mógł zrobić coś tak głupiego.

Pan Rivers chodził tam i z powrotem przed oknem, z rękoma splecionymi z tyłu.

- Nie możesz przebierać pokojówki w męski strój na oczach połowy dziewcząt z hrabstwa. To nie kabaret ani klub dla zбочeńców. Zrobiłeś z siebie głupca.

- To była zgrywa. Zabawa! - wrzasnął Kit.

- Nie, chciałeś się zabawić kosztem swoich znajomych. Ponabijać się. Zszokować. Sprawić, żeby myśleli, że jesteś „jednym z tych”. Zaprosiłeś połowę hrabstwa na przyjęcie, a potem obraziłeś. - Pan Rivers odwrócił się do mnie i wycedził zimno: - Nie wiem, jak jest w Wiedniu, ale w Anglii młode damy nie przebierają się za chłopców w przyzwoitym towarzystwie, z wyjątkiem przedstawień teatralnych.

Pomyślałam o Annie przebranej za Cherubina w pantalonach i włosach ułożonych w chłopięcego boba. Ale to był Mozart, nie prawdziwe życie. Julian zawsze powtarzał, że Mozart jest rewią dla intelektualistów.

Pan Rivers pokręcił głową, głos mu się załamywał z niedowierzania, i popatrzył z powrotem na Kita.

- Dlaczego ją pocałowałeś? I to na oczach wszystkich dziewcząt z towarzystwa?

Syn spojrzał mu w oczy wyzywająco.

- Bo chciałem.

Nie byłam pewna, co bardziej rozszło pana Riversa: fakt, że Kit mnie pocałował, czy fakt, że zrobił to przy gościach. Przemierzał pokój tam i z powrotem, w końcu stanął przede mną.

- I jak mam cię teraz nie odprawić?

Pokręciłam głową i usiadłam na drewnianej drabince opartej o regał. Czarny krawat mnie dusił i czułam się śmiesznie, marzyłam, żeby się przebrać z powrotem w szorstki strój pokojówki. Już nawet biały czepek i fartuszek były lepsze.

- Nie. To moja wina. Ja ją namówiłem - zaproponował Kit.

- Nie może tu zostać. Pan Wrexham i pani Ellsworth będą się domagać jej zwolnienia.

- A czyj to dom? Twój czy ich?

Kit był tak rozjuszony, że na policzkach wykwitły mi jaskra-woczerwone plamy.

- Mój, Kit. Dopóki nie umrę, to mój dom. - Pan Rivers wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. - Muszę dbać o dobro rodziny i majątku. Pamiętać o tym, co jest dla ciebie najlepsze. O twojej reputacji.

- Mną się nie przejmuj. Co z Elise?

- Bez trudu znajdę jej gdzieś odpowiednią posadę.

Pomimo całej dobroci i życzliwości pana Riversa nadal byłam w jego oczach tylko pokojówką - bez względu na to, kim byłam wcześniej. Głowa mi pękała. W skroniach czułam pulsujący ból. Kiedy przypomniałam sobie, ile brandy, wina i szampana wypiałam, żołądek podjechał mi do gardła. Co ja najlepszego narobiłam? Nad głową pana Riversa znajdował się rząd ksiązek z imieniem i nazwiskiem Julian Landau wytłoczonymi złotymi literami na grzbiecie. Miałam wrażenie, że ojciec spogląda na mnie stamtąd i twarz mu się powoli wydłuża.

- Proszę, ja pójdę. Wiedziałam, że to złe. Ja odejść. - Pod wpływem stresu mój angielski się posypał. Głos mi się załamał i przełknęłam łyżę.

Kit przykucnął obok i próbował wziąć mnie za rękę.

- Nie. Nie.

Odepchnęłam go, nawet na niego nie spojrzawszy.

- Nie rób tego - powiedział z twarzą wykrzywioną bólem.

Popatrzyłam na jego ojca. Stał tyłem do mnie, ramiona miał sztywne z wściekłości. Milczał.

- Dobranoc, Kit. Przepraszam. Bardzo przepraszam, panie Rivers. Mówiłam panu, że jestem beznadziejną pokojówką. Naprawdę mi przykro.

Drzwi balkonowe były otwarte i wyslizgnęłam się na zewnątrz w mrok.

Z policzkami mokrymi od łez pomknęłam po czarnej murawie i zbiegłam po stopniach prowadzących na ścieżkę na klifie. W miarę jak zbliżałam się do morza, moje łkania tonęły w huku fal. Dlaczego Kit za mną nie pobiegł? Powinien rzucić się za mną w noc i błagać, żebym nie odchodziła. Tymczasem zostawił mnie samą. Zadrżałam i zwolniłam, gdy dotarłam do skraju urwiska. U moich stóp morze grzmiało i pienilo się, dro-

binki soli smagały skałę. Kilkaset metrów dalej w ciemności migotało żółte światelko. Domek nad klifem. Poppy. Pójdę do Poppy. Zaczęłam biec.

Kiedy dotarłam na miejsce, załomotałam do drzwi w nadziei, że otworzy je Poppy, a nie któraś z jej ciotek. Mignęło światło i zaraz potem na ganku pojawiła się dziewczęca postać w białym szlafroku. Zlizalam sól z ust.

- Widziałam, co zrobiliście. O, Elise.

Zmarszczyłam brwi i wbiłam paznokiec w skórę kciuka, nie chciałam, żeby zobaczyła, że płaczę.

- Mogę tu dziś zostać na noc?

- Oczywiście.

Poprowadziła mnie do małej sypialni wychodzącej na plażę i wręczyła czystą koszulę nocną oraz kostkę mydła.

- Spróbuj zasnąć. Porozmawiamy rano.

Pamiętam, że kiedy wyszła, stałam jakiś czas w ciemnościach, trzymając rzeczy, które mi dała. W końcu skuliłam się na łóżku, zamknęłam oczy i słuchałam rytmicznego łoskotu fal przewalających się po plaży niżej. Teraz, gdy to spisuję tyle lat później, kusi mnie, żeby uciec w zupełnie inną opowieść. Biorę łyk kawy i wyobrażam sobie historię, w której zamiast leżeć rozogniona i czekać na sen, który nie przychodzi, zbiegam na brzeg. Biorę *Lugiera*, ciągnę go po kamienistej plaży na wodę. Wiem, jak podnieść żagiel, i odpycham się wiosłem od brzegu, a potem żegluję w księżycowej poświacie po bezkresnym morzu. Żegluję do Francji, żegluję do Anny i Juliana. Dopływam do Wiednia głuchą nocą, dryfując z prądem Dunaju, wstędze czarnego jedwabiu. Rodzice czekają już na brzegu, ściągnięci nad rzekę przez sny, i odpływamy razem. Płyniemy naszą łódeczką przez

ocean do Nowego Jorku - i do Margot - i docieramy do Statuy Wolności różanoczerwonym świtem i nikt nie próbuje nas zawrócić. To święte prawo autora próbować, od czasu do czasu, napisać takie zakończenie, jakiego by sobie życzył. Nawet jeśli istnieje ono tylko na kartce białego papieru.

Obudziło mnie stukanie w okno. Zastłony były rozsunięte i w półmroku wstającego dnia zobaczyłam Kita. Zrzuciłam kołdrę, pokazałam rękę, by był cicho, i wymknęłam się z sypialni. Uważając, by nie zbudzić Poppy ani jej ciotek, podkrađłam się do drzwi. Czekał na mnie na porośniętym zaroślami skrawku ziemi, który służył za przydomowy ogród.

- Przeszedłem, żeby... - zaczął.

Położyłam mu palec na ustach i poprowadziłam go dalej od domu. Okryta wstydem nie chciałam budzić innych. Miałam na sobie tylko koszulę nocną Poppy i czułam zimny piasek pod gołymi stopami. Objęłam się ramionami i zadrżałam.

- Wszystko dobrze. Możesz wrócić - oznajmił Kit. - Rozmawiałem z ojcem i możesz wrócić.

Pokręciłam głową.

- Nie. Nie mogę. Muszę odejść.

Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Niebieskie cienie pod oczyma zlewały się z kolorem jego tęczówek. Przebrał się w jasnobrązowe spodnie i marynarski sweter, ale domyślałam się, że nie kładł się tej nocy.

- Po lunchu złapię okazję do Cambridge - powiedział, starając się zmusić mnie, bym na niego spojrzała.

W milczeniu kreśliłam stopą wzory na piasku.

- Rozmawiałem z ojcem. Możesz wrócić. Kiedy ja wyjadę -dodał.

- To niesprawiedliwe, Kit. Ja narozrabiałam i ty nie powinienes przez to wyjeżdżać.

Zachichotał.

- Aleja cię namówiłem. To był mój prezent urodzinowy. Przełknęłam głośno i wróciłam do kreślenia pętli na ziemi.

Westchnęłam. Powinien znać prawdę, nawet jeśli już nigdy się do mnie nie odezwie.

- Nie dlatego to zrobiłam, Kit. Tylko przez Dianę. Ukradła suknię mojej matki i ją zniszczyła. Byłam na nią zła i zrobiłam to jej na złość. W ogóle nie chodziło o ciebie.

Przeciagnął dłonią po włosach. Sterczały mu dokoła uszu niczym złote źdźbła słomy.

- Pozwoliłaś, żebym cię pocałował na złość Dianie?

- Tak.

Podszedł krok bliżej. Teraz w jego oczach pojawił się gniew, źrenice robiły się coraz większe i większe, rozplływały się na tęczę niczym atrament na bibule. Chwycił mnie za ramiona, poczułam ciepło jego rąk na gołej skórze.

- Boli - powiedziałam.

Próbowałam się wyrwać, ale trzymał mnie mocno.

- Na złość Dianie? I tylko dlatego?

- Już powiedziałam. Tak.

Zamiast rozluźnić uścisk, pochylił się i mnie pocałował. Poczulałam na policzku drapanie szorstkiego zarostu. Jego usta smakowały papierosami i solą, jakby chodził po plaży. Wargi były ciepłe i miękkie i nagle sama zaczęłam go całować, myśląc o Margot i Robercie, o tym, jak zawsze się całowali w rogu bawialni na przyjęciach, a ja zachodziłam w głowę, dlaczego to robią, przecież to takie niegrzeczne, i przyszło mi do głowy, że teraz już rozumiem, a chwilę później w ogóle przestałam myśleć i modliłam się już tylko, żeby Kit nie przestawał, nie

przestawał jeszcze. Oderwał usta i ujął mój podbródek w obie dłonie.

- Tylko na złość Dianie, zatem - powtórzył z krzywym uśmiechem.

Dotknęłam palcami ust i zrobiłam wielkie oczy, zbyt zaskoczona, by mówić.

- Do widzenia, Elise - powiedział, biorąc mnie za rękę. - Mam nadzieję, że doczekasz się dobrych wieści od rodziców.

Pochylił się i wycisnął mi na ustach kolejnego całusa. Potem się odwrócił i odszedł do dworu ścieżką nad urwiskiem.

Obudziłam się kilka godzin później: Poppy siedziała na skraju mojego łóżka z filiżanką w ręce. Wyprostowałam się gwałtownie, o mały włos nie wytrąciwszy jej herbaty z dłoni, i popatrzyłam na strumienie słońca wlewające się przez okno.

- Która godzina? - Przygładziłam zmierzwione włosy.

- Późna. Po jedenastej.

- O.

Na wspomnienie swojego wstydu opadłam z powrotem na poduszki. Moje leżenie do góry brzuchem miało w sobie więcej ze sromoty niż z luksusu. Ale przecież Kit powiedział, że mogę wrócić po lunchu. Przełknęłam łyk piekielnie gorącej herbaty, w końcu przekonana do odrażającego angielskiego zwyczaju picia jej z mlekiem i cukrem.

- Przyszła wiadomość z dworu. O pierwszej trzydzieści masz się zobaczyć ze starszą służbą. - Poppy zabrała mi filiżankę, którą niebezpiecznie wymachiwałam nad białą pościelą. Postawiła ją zdecydowanym ruchem na szafce nocnej. - Do tego czasu nie ma sensu się zamartwiać. Ubieraj się. Pójdziemy na plażę.

Wciągnęłam spodnie Poppy i czerwony sweter, który musiał potwornie gryźć się z jej włosami, po czym ruszyłam za nią nad morze, zbiegając ścieżką nad urwiskiem. Ciotki już się udały do pracy i poczułam ukłucie zazdrości na myśl o swobodzie przyjaciółki. W Tyneford rozliczano mnie z każdej chwilki, ale Poppy mogła wstawać, kiedy jej się żywnie podobało, i robić, co tylko dusza zapragnie. Dla mnie ten dzień to było niespodziewane, wstydlive wychodne. Poppy codziennie mogła siedzieć i patrzeć na fale rozbijające się o brzeg, jeśli miała ochotę. Jej życie wydało mi się istnym rajem.

Był odpływ i plaża leżała naga, brązowe kamienie lśniły pod zimnym listopadowym niebem. Ściągnęłyśmy buty i skarpetki, podbiegłyśmy do wody i zaczęłyśmy puszczać kaczki. Moje kamyczki odbijały się tylko trzy czy cztery razy i zaraz szły na dno, Poppy od niechcienia słała swoje tak, że niczym żaby skaczące po liściach lilii kozłowały osiem, dziewięć razy z rzędu. Kiedy nam się to znudziło, ruszyłyśmy plażą do chatki Burta. Siedział na odwróconym do góry dnem wiadrze i znowu naprawiał więcierze. Pozdrowił nas przyjacielskim machnięciem i podeszłyśmy bliżej, lawirując niezgrabnie wśród zwiniętych sieci.

- Szanowanie - zawołał.

Poppy przyklękła przy nim i chwyciła więcierz. Wyciągnęła nożyk z kieszeni i zaczęła zeskrobywać pąkle.

- Żem słyszał, co wczora wieczór była jakaś draka z panną i paniczem Kitem?

Skinęłam oniemiała.

- I tera masz panna przechlapane u pana Riversa i pana Wrexhama?

- Tak.

Zachichotał cicho.

- Ale nie chcesz panna wyjeżdżać, co?

Oparłam się o drewniany płot i po raz pierwszy pomyślałam o opuszczeniu Tyneford. Poprzedniego wieczoru, zła i upokorzona, sama obiecałam, że wyjadę, ale wtedy nie myślałam, co to tak naprawdę oznacza. Teraz wyobraziłam sobie, jak Art zaprzęga Pana Bobbina do rozklekotanego wozu i wiezie mnie na stację, jak telepiemy się powoli po zielonych wzgórzach. A potem siebie, jak siedzę w szarym pociągu, który tuk-tuk, tuk-tuk, wywozi mnie z powrotem do szarego, skapanego w smogu miasta. Przy odrobinie szczęścia może dostałabym posadę u dwóch starych panien, którym serwowałabym herbatę i racuszki z masłem na koronkowych serwetkach z papieru, a one mlaskałyby sztucznymi szczękami. Nie byłoby już nawoływań lelka kozodoja z wrzosowisk o czerwcowym zmierzchu ani wiatru szepeczącego w liściach, ani słodkiego zapachu jaśminu po deszczu. Nie byłoby już odgłosu skłębionych fal rozbijających się na skałach podczas burzy. I nie byłoby Kita. Nie przez miesiąc, dwa lub trzy zesłania, ale nigdy więcej. Przełknęłam ślinę i wytarłam zwilgotniałe dłonie o spodnie.

- Nie, nie chcę stąd wyjeżdżać.

Burt się uśmiechnął i przestał manewrować przy wiecierzu.

- Która godzina? - spytała go Poppy. Przyjrzał się słońcu nad falami.

- Za kwadrans pierwsza albo kole tego.

- Potraficie tak dokładnie powiedzieć tylko po wyglądzie nieba? -

Spytałam pełna podziwu.

- Nie. Ino żem słyszał dzwony kościelne.

Pożegnałyśmy się z Burtem i pospieszyłyśmy do dworu. Włożyłam skarpetki i buty, a Poppy przygładziła mi włosy. Denerwowałam się, kiedy szłyśmy przez dziedziniec stajenny, z którego poznikały już wszystkie samochody. Goście wyjechali, Henry zwijał sznur lampionów. Udawał, że mnie nie widzi.

- Mam nadzieję... no wiesz. - Poppy dała sobie spokój z szukaniem odpowiednich słów i tylko mnie uścisnęła.

- Dzięki - powiedziałam i ruszyłam do tylnych drzwi.

Teraz, gdy dotarło do mnie, jak bardzo chcę zostać, serce latało mi w piersi jak grosik w kubku żebraka. Korytarz dla służby był pusty i świeżo urny ty. Lustrowałam wykładany boazerią hol, miejsce zbrodni ostatniej nocy. Wszystkie ślady przyjęcia już usunięto, mimo to w pachnącym mydłem porządku wyczuwałam nutę smutku. Dom westchnął, wzruszył ramionami i, podobnie jak balowicze, schował z powrotem swój blichtr do szuflad z dobrą porcelaną, zapadając się w szarzyznę i zapuszczenie codziennego dnia. Dębowa boazeria, przeorana maleńkimi dziurkami po całych pokoleniach korników, nagle wydała się obskurna w oślepiającym świetle popołudnia. Z ciężkich belek sufitowych nad głową dochodziło złowieszcze stuk-puk kołatka.

Odgłos moich kroków rozbrzmiewał echem w wyłożonym drewnem holu. Przeszłam do korytarza dla służby, czując potępiające spojrzenia antenatów Riversów zerkających na mnie ze złoconych ram. Nawet spaniele zastygłe u ich boków obserwowały mnie z pełną wyższości pogardą. Jeśli nie liczyć portretów, w domu nie było widać żywej duszy. Jeszcze dwanaście godzin temu pękał w szwach od tańczących par i zastępów odzianych na biało kelnerów; panująca teraz cisza działała mi na nerwy. Wprawdzie nie cierpiałam Diany i Juno, ale przynajmniej wniosły tu trochę życia i ruchu. Kiedy odwiedzałyśmy z Margot cioteczne babki w Wiedniu, zawsze wpadałyśmy jak burza do ich maleńkiego mieszkania między przykryte koronkowymi serwetkami stoliki i porcelanowe bibeloty z opowieściami o szkole i powiewem świeżego powietrza. Przysiadałyśmy na wyściełanych sofach, skubiąc imbirowe wafle i paplając jak najęte, a trzy ciotki, Gretta, Gerda i Gabrielle, uśmiechały się do nas promien-

nie zza swoich *pince-nez* i dogadzały nam, podsuwając czekoladę albo pozwalając myszkować w puzderku na biżuterię i używać brylantów oraz pozłacanych bransolet prababci do przebieranek. W końcu Anna zarządziła odwrót, zapinałyśmy wtedy z Margot płaszcze i wypadałyśmy z powrotem na ulicę, ale kiedy zerkiałam w górę, na okna mieszkania, ciotki stały za szybą i machały. Zawsze machały. Zawsze smutne. Z tym właśnie kojarzył mi się dom tamtego popołudnia: z niezamężną ciotką w oknie, machającą do odchodzących dzieci.

Z nogami jak z ołowiu podeszłam do drzwi pokoju kamerdynera i zapukałam.

- Proszę.

Pan Wrexham i pani Ellsworth oczekiwali mnie w pokoju kredensowym. Siedzieli obok siebie na krzesłach z wysokim oparciem i stanęłam naprzeciwko nich niczym skruszona pensjonarka. Wbiłam wzrok w kamienną posadzkę, była nieskazitelnie czysta i wyfroterowana. Spodziewałam się bury, wybuchu gniewu i byłam w pełni gotowa na łyzy. Przywykłam do po-rywczych mężczyzn: Julian potrafił się wściekać jak pijany miś w cyrku (zwykle kiedy pisanie mu nie szło albo Anna pochopnie pozwoliła sobie lekko skrytykować ostatni rękopis). Ale na to, co powiedział pan Wrexham, nie byłam przygotowana. Nie krzyczał. Nie sprawiał wrażenia zagniewanego. Był tylko smutny.

- A zatem jesteś końcem nas wszystkich - oświadczył.

Pani Ellsworth cmoknęła językiem o zęby na znak milczącej zgody. Pan Wrexham poruszył się na krześle, potem wstał i zwrócił się do mnie w słowach płynących z głębi serca.

- Coś podobnego nigdy by się nie wydarzyło za czasów mojego ojca. Dziewczyna taka jak ty zostałaby odprawiona i zniknęła. I dobrze. Sęk jednak w tym, że ty nie jesteś jedną z nas. Nie jesteś też jedną z nich. Nie pasujesz. W domach takich jak

ten każdy ma swoje miejsce. Musi je znać, żeby wszystko funkcjonowało jak należy. Każdy z nas ma określoną rolę do odegrania i przez tysiąc lat to się doskonale sprawdzało. Ale ty... ty i tobie podobne. Pan Rivers i panicz Kit nie traktują ciebie jak służącej. Każda inna dziewczyna zostałaby z miejsca oddalona, i to nie przez jaśnie pana, on by się nawet nie wtrącał. To moje królestwo. Ale teraz miesza się w prowadzenie domu z twojego powodu.

Po policzkach mimo woli spłynęły mi łzy i wytarłam nos grzbietem dłoni. Pan Wrexham podał mi świeżą białą chusteczkę, ale nie był w stanie przestać. Popatrzył na mnie strapiony.

- Pani Ellsworth nie może nawet cię przyuczyć na pokojówkę z prawdziwego zdarzenia. To nie sprowadza się tylko do odpowiedniego ułożenia podpałki w kominku, nalewania herbaty czy trzymania ust na kłódkę podczas obiadu. Zmieniłaś wszystko. Nie widzisz? Nie należysz ani tu, ani tam. To koniec Tyneford, zapewniam cię. I to nie twoja wina, ale to ty go sprowadziłaś.

Szlochałam w lnianą chusteczkę starego kamerdynera, nie wiedząc, co powiedzieć, jak się bronić. Jego oskarżenie nie miało charakteru osobistej wycieczki i nie mówił tego po to, by mnie zranić. Byłam tylko częścią czegoś znacznie większego, co zagrażało jego światu i światu jego ojca i dziadów. Ale kochałam to miejsce i nie chciałam jego końca. Nie mieściło mi się w głowie, że to może być prawda. Wrexham się myli. Musi się mylić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Może jutro

Nie miałam żadnych wieści od rodziców oprócz ośmiowyrazowego telegramu z końca listopada: WSZYSTKO DOBRZE STOP NIE MARTW SIĘ STOP KOCHAM CIĘ ANNA STOP. Co tydzień wysyłałam im listy z poczty w wiosce, pełne beztroskich ploteczek i głupstw albo strzępów anegdot opowiadanych mi przez Poppy albo Burta. Rodzice nie odpowiadali i nie miałam pojęcia, czy moje epistoły do nich w ogóle docierają, ale i tak je wysyłałam. Lubiłam sobie wyobrazić, że opiekają briosz-ki przed kominkiem i czytają moje listy, nawet jeśli to nie była prawda. Angielska zima nie była tak ostra jak austriacka, śnieg nie zalegał na dachach ani nie pokrywał wzgórz, ale było mi zimno, zimnej niż kiedykolwiek w życiu. Kładłam się do łóżka w ubraniu, z płaszczem na kołdrze i zwędzonym termoforem pod nią, żeby ogrzać zlodowaciałe palce stóp, a mimo to nadal marzłam. Tęskniłam za moją puchową kołdrą - te angielskie były zdecydowanie za cienkie. Śniłam o altówce, o fabułach w niej ukrytych. Wyczarowywałam w marzeniach muzyków wygrywających najdziksze melodie na skałach nad Worbarrow Tout i Juliana z Anną tańczących na morzu (on był w swoich kanarkowożółtych skarpetkach). Palisander skrywał nieskończenie wielki potencjał opowieści i w ciemnościach wiedeńscy domokrażcy kłębili się przed moimi oczyma razem z defilują-

cymi żołnierzami, którzy wyłaniali się z kamienic ze strzaskanymi szybami w oknach.

Palce miałam opuchnięte od odmrozin i z trudem pocierałam zapalką o draskę, żeby rozpalić ogień w kominku w salonie. Niemal zapomniałam już, jakie to uczucie, gdy człowiekowi jest ciepło, i dygotałam przed kuchennym piecem z dłońmi oplecionymi dokoła kubka gorącej herbaty, wzdragając się zapuszczać w głąb lodowatego domu. No i nie było Kita. Miałam nadzieję, że przyjedzie na Boże Narodzenie, ale pani Ellsworth nie wydała żadnych dyspozycji co do przygotowania jego pokoju. Trzymałam kciuki za Nowy Rok. 30 grudnia nadszedł i minął. Potem przyszedł sylwester, ale nie Kit.

Rok 1938 zmienił się w 1939, kiedy spałam. Pan Wrexham grzecznie zaprosił mnie, żebym dołączyła do reszty służby na kieliszek sherry pięć minut po północy (kiedy już uprzątnięto samotną szampankę pana Riversa), ale równie grzecznie odmówiłam. Czułam się w wielkim domu jak cień. Pan Rivers ledwo mnie zauważał, a służący ostentacyjnie ignorowali. Tylko Art jeszcze mnie tolerował i dawał naręcza siana, którym karmiłam Pana Bobbina, jedynego mieszkańca Tyneford cieszącego się z mojego towarzystwa.

Trzeciego stycznia przyszedł list od Margot. W chłodnym świetle poranka przycupnęłam przed kominkiem w bawialni i rozdarłam kopertę.

Anna nie poprosi Cię o pomoc, więc uznałam, że ja muszę. Amerykańskie wizy dla rodziców nie nadchodzą. Julian w ogóle do mnie nie pisze, nawet marnego zdania (można by posądzać pisarzy o większy zapal do korespondowania), a listy Anny pełne są pogodnych kłamstw. Chciałabym móc powiedzieć, że nie uwierzyłam w ani jedno

słowo, ale tak bardzo chciałam wierzyć, o, Faselko, tak bardzo chciałam. A potem napisała do mnie Hildegarda:

„To nie jest dobre miejsce dla Waszych rodziców. Z każdym tygodniem sytuacja staje się trudniejsza. Idą i czekają, i słyszą: Może jutro. Może w przyszłym tygodniu«. Ale wizy nie nadchodzą.

9 listopada zabrano Herr Finkelsteina. Wrócił, ale bez zębów. A miał zdrowe, mocne zęby. Wysłałam tamtej nocy Herr i Frau Landau do hotelu, gdzie byli bezpieczni. Ale ci obłąkańcy i tak tu przyszli, zabrali książki Herr Landaua i rozpalili z nich ognisko na ulicy. Potem wyrzucili przez okno jego biurko i je też spalili. Teraz wszystkie jego rękopisy zniknęły, a on dziękuje Bogu, w którego nie wierzy, że nie stało się nic gorszego”.

Elise, oni nie mogą czekać tam dłużej. Czy Twój pan Rivers nie mógłby ściągnąć ich jakoś do Anglii?

Opuściłam list i dmuchnęłam delikatnie w żar, aż na chwilę buchnął pomarańczowym ogniem. Starłam się nie czuć zazdrości w związku z faktem, że Anna pisała częściej do Margot niż do mnie - to nie miało znaczenia. Musiałam jeszcze tego samego dnia porozmawiać z panem Riversem, choć ledwo znosił moją obecność w domu. To przede mnie jego syn musiał opuścić Tyneford, a służba szeptała po kątach, ale byłam gotowa go błagać, jeśli będzie trzeba.

O wpół do pierwszej pan Rivers wyruszył na swój codzienny spacer na szczyt Flowers Barrow. Z okna w pokoju Kita patrzyłam, jak idzie wzgórzem z rozmerdanym spanielem zarządcy u nogi. Niebo było kamiennoszare, a darń pod nim zjadliwie zielona.

Angielska trawa naprawdę miała zieleńszy odcień. Kiedy przejeżdżałam pociągiem przez Francję, za oknem migwały niekończące się brązowe pola i nawet w austriackich Alpach faliste łąki były wiosną wyburzałe, pożółkłe od śniegu.

Pan Rivers szedł szybko - wysoka postać w łopoczącym na wietrze płaszczu - i dotarł na szczyt zaledwie w kilka minut. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale poruszał się tak jak Kit, tylko trochę wolniej, bardziej miarowo. Usadawiłam się w skórzanym fotelu przy oknie. Zaczął mżyć deszczyk, zostawiając mokre cętki na szybie i kamieniach tarasu. Lubiłam się chować w pokoju Kita. Cały nim pachniał: drzewem sandałowym, papierosami. Na parapecie leżała srebrna papierośnica, otworzyłam ją i zapaliłam papierosa. Zakaszlałam i rozgoniłam dym dłonią. Wiedziałam, że będę miała kłopoty, jeśli ktoś mnie przyłapie, ale od czasu incydentu bardzo się pilnowałam, moja praca była bez zarzutu i pani Ellsworth rzadko mnie kontrolowała. Pozwoliłam sobie na kilka sztachnięć, zdusiłam papierosa i schowałam na wpół wypalonego z powrotem w papierośnicy. Doszłam do wniosku, że nie chodzi o to, że tęsknię za Kitem -po prostu dom bez niego był pusty. Nie miałam do kogo otworzyć ust, i to dlatego jego nieobecność dawała mi się we znaki. Nie kryło się za tym nic więcej. Przebiegłam w myślach wspomnienie naszego pocałunku. Odtwarzałam je w głowie tyle razy, że trochę się sfatygowało, głos Kita zrobił się trzeszczący i słaby niczym dźwięk z puszczonej zbyt często gramofonowej płyty.

Wzięłam do ręki zdjęcie jego matki. Myśl, że dla Kita jest równie obca jak dla mnie, była niesamowita. Nic dziwnego, że wyglądała tak smutno. Przyglądałam się zarysowi jej szczęki, studiowałam blade złoto włosów. I zobaczyłam w tej twarzy Kita. Może i ją zapomniał, wymazał ze swego dzieciństwa, ale nadal w nim tkwiła, jej rysy kryły się tuż pod jego skórą.

Pan Rivers dotarł na otwartą łąkę i szedł pochylony w ochronie przed wiatrem. Wymknęłam się z pokoju, zbiegłam pośpiesznie tylnymi schodami i wyszłam na dziedziniec. Brak było śliskiego od deszczu. Podniosłam kołnierz i ruszyłam szybko, żeby dogonić pana Riversa. Nie chciałam rozmawiać z nim w bibliotece, miejscu mojego wstydu. Zauważyłam, że kiedy wraca ze swych spacerów z błyskiem w niebieskich oczach, wydaje się niemal szczęśliwy. Czasem widziałam nawet, że się uśmiecha. A nieczęsto to robił. Zmarszczyłam czoło i potarłam dłonie dla rozgrzewki. Zaraz po moim przyjeździe do Tyneford było inaczej, śmiał się codziennie - zwykle z mojej kiepskiej angielszczyzny, choć zawsze starał się to ukryć, żeby mnie nie urazić.

Rozpadało się nie na żarty. Zamrugałam, żeby strząsnąć wielkie krople lądujące mi na rękach. Buty plaskały i chlupotały na błotnistej skarpie. Zdegustowane krowy zbiły się w grupki pod ogołocionymi z liści drzewami, grube krople deszczu wisały im na uszach niczym klejnoty. Jakaś łaciata krasula odprowadzała mnie smutnym wzrokiem, gdy wspinałam się po wzgórzu. Żałowałam, że nie jestem taka jak bohaterki powieści w pomarańczowych okładkach, które pożyczał mi Kit. Nawet przemoknięte do suchej nitki roztaczały magnetyczny, zniewalający urok, czasami jedynie łapały lekkie zapalenie płuc, dzięki któremu szybciej lądowały w ramionach jękającego się bohatera. Czułam, że nos robi mi się czerwony, zaczyna z niego kapać, a krótkie włosy oblepiają twarz. Nie żebym chciała, by pan Rivers uznał mnie za zniewalającą, wystarczyłoby godną współczucia i wymizero-waną. Liczyłam, że spojrzy w moje tragiczne oczy (jak surowy ojciec z *Traviaty* w oczy konającej Violetty), i dojdzie do wniosku, że musi mi pomóc, palicho konsekwencje. Coś mi mówiło, że to jednak mało prawdopodobne. Kichnęłam.

Nagle u moich stóp rozległo się ujadanie i dopadł do mnie brązowo-biały spaniel - naskakiwał mi na nogi ubłoconymi łapami i lizał po rękach.

- Leżeć! Stanton! Nie wolno. - Pan Rivers chwycił psa, który jednak zaraz wymknął mu się z rąk, śliski jak ryba, i zaczął gonić krzyczącego bażanta. - Elise? - Był wyraźnie zaskoczony moim widokiem na skąpanym w deszczu wzgórzu.

Gdybym była heroiną z krwi i kości, osunęłabym się w tamtej chwili na ziemię zemdlona albo skręciła nogę w kostce i zalała się łzami, błagając, by pomógł mojej rodzinie. Niestety, miałam mocne kostki, a na policzkach zdrowy rumieniec.

- Przyszłam tu specjalnie, żeby z panem porozmawiać, panie Rivers. Proszę nie mówić nic panu Wrexhamowi.

Milczał i tylko patrzył na mnie tymi niebieskimi oczyma. Przełknęłam głośno ślinę, czując, jak wali mi serce.

- Spalili jego książki, panie Rivers. Wynieśli je na podwórko i spalili. Wiatr unosił mi włosy i smagał mnie nimi po twarzy.

- A amerykańskie wizy?

- Nadal ani widu, ani słychu.

Stał zupełnie nieruchomo, nie zwracając uwagi na lejący deszcz i świst wiatru w koronach nagich drzew. Zniecierpliwiona miałam ochotę tupnąć przesiąkniętym wodą butem. Musiał wiedzieć, o co mi chodzi.

- Pomoże mi pan? Proszę. Nadal milczał.

- Błagam. Wiem, że zachowałam się okropnie. Ale od tego czasu naprawdę się staram, słowo. I zupełnie nie wiem już, co począć. - Skinął lekko głową na znak, że słucha. Wzięłam głęboki oddech i ciągnęłam, patrząc w jego spokojne niebieskie oczy. - A co, jeśli wybuchnie wojna? Wszyscy mówią, że to pew-

ne. Nawet Art, Burt i pan Wrexham się zgadzają. Anna i Julian muszą się znaleźć w Ameryce, we Francji albo tutaj.

Przyłożył palce do ust i zagwizdał. W tumanie błota pojawił się spaniel z wywieszonym z radości różowym językiem.

- Lepiej wracajmy do domu. Okropna pogoda na spacer.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę. Pomoże? Nie potrafiłam powiedzieć.

Szepty o wiszącej w powietrzu wojnie urosły wkrótce do kakofonii, tak jak wietrzyk unoszący pojedynczy listek urasta do huraganu i podrywa całe leśne podszycie. Nawet pani Ellsworth zaczęła nastawiać wieczorne wiadomości w radiu i pozwalała nam z May ich słuchać w maleńkim saloniku, gdy piłyśmy kakao przed snem. Chciałam wojny. Chciałam odzyskać swoją Austrię, pod warunkiem że działania zbrojne zaczną się, dopiero gdy rodzice zostaną bezpiecznie przeschmuglowani przez morze. Próbowałam wyobrazić ich sobie tutaj: Juliana maszerującego wzgórzem u boku pana Riversa ze strzelbą przewieszoną przez ramię albo Annę grającą Mendelssohna na fortepianie w bawialni. Był rozstrojony na skutek słonego powietrza, ale wiedziałam, że ona potrafi sprawić, że zaśpiewa. Pani Ellsworth przyniosła z piwnicy złowrogo wyglądające maski przeciwgazowe, pełna niepokoju mimo pocieszających zapewnień pana Riversa i święcie przekonana, że wojna wybuchnie lada chwila, a niemieckie bomby spadną na nas minutę później i zagazują cały dom. Nocami w niespokojnych snach widziałam Annę: grała na fortepianie, jej palce falowały na klawiszach, a anielski głos dochodził niewyraźnie, stłumiony przez gumową maskę przeciwgazową.

Pewnego ranka w lutym nadeszło kilka listów od Margot. Poczta z Ameryki robiła się coraz bardziej nieprzewidywalna,

tygodniami nie dostawałam ani słowa, a potem nagle przychodził cały pakiet kopert naraz. Ześlizgnęły się ze srebrnej tacki pana Wrexhama i złapałam je w fartuszek, zanim z szelestem upadły na podłogę. Tego popołudnia miałam cotygodniowe wychodne i włożyłam je do kieszeni, postanowiwszy przeczytać po lunchu na plaży. Poppy obiecała, że zabierze mnie do zatoki Brandy, a potem przez Wagon Rock aż do jaskiń Tilly Whim. O czternastej czekała na mnie przed swoim domem w sztormiaku, opatulona grubą warstwą wełnianych szali.

- No chodź - zawołała zniecierpliwiona. - Gotowa? Skinęłam głową i ruszyła w górę klifem. Wąska kredowa perć

była całkiem mokra od kilkutygodniowych deszczów i śliska jak lód. Pisnęłam, przerażona, że spadnę z urwiska. Wyglądniałe morze waliło o podnóże skał, na szczytach fal kłębiła się piana. Poppy się roześmiała i zwolniła do truchtu, żebym mogła ją dogonić. Włosy wydostały jej się spod szali, w które była zakutana, omiatały jej twarz czerwonym płomieniem. Wydawało się, że ciemne wody pochłaniają cały słoneczny blask i unoszące się nad nimi niebo zasnuwała szarość. Pukle Poppy odcinały się nienaturalną jaskrawością od zimowego pejzażu. Próbowала je okiełznać i na powrót schować pod szalem.

- Kiedyś ich nie cierpiałam - wyznała. - Urodziłam się z długimi włosami. Nie czuprynką loczków jak niektóre noworodki, ale długimi pasmami aż do ramion.

Nagle rozległ się furkot i trzepot skrzydeł, kiedy stadko sza-robiałych gęsi z pomarańczowymi dziobami przeleciało tuż nad naszymi głowami.

- Gęgawy. Czyż nie piękne? - spytała Poppy. - Powiedz Artowi, że je widziałas, a natychmiast pójdzie po strzelbę. Pieczona gęś i powidła śliwkowe, palce lizać.

Wbiłam wzrok w szybujące ptaki. Ogromne i ciemne jak

cienie, trzymały różowawe odnóża starannie podciągnięte pod brzuchy niczym wiekowe ciotki na sofie, ukrywające nogi pod kloszem spódnic. Nie chciałam jeść gęsi, chciałam patrzeć, jak latają. Poppy pobiegła przodem i też puściłam się biegiem, żeby ją dogonić. W uszach rozbrzmiewał mi huk i zawodzenie morza, świst wiatru smagającego coraz bardziej rozszalałe fale. W oddali mała rybacka łódź tańczyła i podskakiwała na wodzie. Szłyśmy i biegłyśmy zrywami przez jakąś godzinę, aż w końcu ścieżka się rozwidliła: jeden odcinek prowadził dalej w górę w kierunku Kimmeridge, drugi biegł do kamiennej półki i kilku czarnych kwadratowych pieczar. Pospieszyłam za Poppy na płaski wapienny występ. Jaskinie majaczyły ciemne i złowieszcze i stłumiłam rozkoszny dreszcz. Poppy zniknęła we wnętrzu jednej i poszłam jej śladem. W środku pachniało wilgocią, a ściany pokrywała pleśń koloru szpinaku. Ogromne kawały kamienia leżały porozrzucane na ziemi. Poppy przysiadła na jednym, ja obok na drugim. Zapaliła, a ja wyciągnęłam pakiecik listów od Margot i postanowiłam przeczytać ten ostatni.

Miałaś jakieś wieści od rodziców? Ja prawie nie dostaję już od nich listów. Ale dowiedziałam się od Hildegardy, na czym polega problem z wizą. Juliana i Anny nie stać na podatek wyjazdowy. Trzeba zapłacić łapówkę, nie wiem dokładnie jak dużą, tylko że skończyły im się pieniądze. Nie mogą dostać uczciwej ceny za nic, co sprzedają. Robert próbuje znaleźć sposób, żeby przesłać im trochę grosza z Ameryki, ale to prawie marzenie ściętej głowy - wszyscy uciekają tu z Europy, a nikt nie wraca. Błagam, Fasolko, poproś pana Riversa, żeby spróbował im jakoś pomóc.

A wtedy, kiedy będą już bezpieczni z Tobą, przekonam Roberta, że my też powinniśmy pojechać do Anglii. Nie

sądzę, by bardzo się różniła od Ameryki. Nam tu we dwójkę jest trochę samotnie. Kto by pomyślał, że będzie mi brakowało harmideru i bałaganu, jaki robiłaś. (Myślę o Tobie za każdym razem, gdy podnoszę z podłogi koszulę Roberta). Tęsknię nawet za smrodem cygar Juliana ipsioczeniami Hildy, kiedy zdarzało mu się rozlać na kredens kapkę burgunda. No i Anna... jak znosisz tęsknotę za Anną?

Myślałam, że Kalifornia jest gorąca i słoneczna. Tymczasem tutaj na okrągło pada. Mam parasolki we wszystkich kolorach - sama wynoszę swoją tęczę na deszcz. Angielski Roberta jest coraz lepszy. Choć, Bogiem a prawdą, nie ma to znaczenia, bo połowa wykładowców na jego wydziale jest ze Strasburga, Wiednia albo Berlina, a poza tym rozmawiają głównie w tym swoim naukowym narzeczu.

Dołączyłam do uniwersyteckiego kwartetu. Kobiety występują tu publicznie w prawdziwych salach koncertowych, a ludzie płacą, żeby ich posłuchać. Zastanawiam się, czy się ośmielę. Ciotki nie posiadałyby się z oburzenia. Wyobrażasz sobie ich miny? Cioteczna wnuczka, która jest zawodowym muzykiem w profesjonalnej orkiestrze! Przecież tylko nierządnicę występują za pieniądze. Ale, wiesz co, Fasołko - coś mi się zdaje, że podoba mi się bycie nierządnicą. Annie zawsze to odpowiadało.

Nic nie wiedziałam o podatkach wyjazdowych. Julian miał kiedyś mnóstwo pieniędzy. Przypomniałam sobie duże, szeleszczące banknoty w jego portfelu, ale teraz nikt nie drukował już jego książek. Pomyślałam o złotych łańcuszkach ukrytych w pończosze na facjatce i poczułam ukłucie winy. Postanowi-

łam jeszcze raz porozmawiać z panem Riversem. Kopnęłam kamyczek, który uderzył o ścianę jaskini, pociągając za sobą małą lawinę.

- Uważaj - ostrzegła Poppy. - Tu jest niebezpiecznie. Spadają kawałki sklepienia. - Przyglądała mi się przez chwilę, postukując stopami o kamień. - Przykro mi z powodu twoich rodziców. Pomogłabym wam, gdybym miała jak. Ale może będę miała, wiesz. Wyjeżdżam do Londynu. W tajnej sprawie. - Obejrzała się przez ramię, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje, i wyszeptwała: - Dla rządu, na wypadek wybuchu wojny.

- Naprawdę?

Byłam rozdarta między ciekawością a przygnębieniem z powodu jej wyjazdu.

- Tak. Postanowiłam nie zawracać sobie głowy Cambridge. Uważam, że studia w wypadku dziewcząt są bez sensu. Tyle pracy i nauki, a potem i tak nie dostajesz stopnia. To jak wyścig z jajkiem na łyżce, tyle że nie masz szans wygrać ani choćby zjeść jajka na mecie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Tak. Chyba wiem.

- A jeśli wybuchnie wojna, głowę daję, że nie pozwolą dziewczętom walczyć. Nigdy nie pozwalają, to bardzo nie fair. Ale w tej pracy będę musiała trzymać język za zębami. Chyba to będzie dla mnie najtrudniejsze. O, a może mogłabyś powierzyć mi w wielkiej tajemnicy jakiś sekret, żebym zaczęła się wprawiać?

Wbiła we mnie te swoje trawiastozielone oczy podekscytowana jak kukółka pierwszego dnia wiosny. Łamałam sobie głowę, szukając w myślach informacji, która byłaby sekretem i którą chciałabym się podzielić. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to pocałunek z Kitem o świcie, ale o nim nie miałam ochoty opowiadać. Należał tylko do mnie, wygadanie się przed Poppy jakoś by go zdewaluowało.

- Cóż. - Wzruszyła ramionami. - Nieważne. Ale jeśli coś ci się przypomni, daj znać. Nie będzie mnie trzy lub cztery miesiące.

- Tak długo? - Skrzywiłam się i odwróciłam wzrok. Najpierw Kit, teraz Poppy. Było mi żal samej siebie.

- Mhm. Will na pewno będzie potwornie za mną tęsknił - powiedziała radośnie. - Na samą myśl ogarnia mnie straszny smutek. Sądysz, że będzie płakał i straci apetyt? Będę musiała pisać do niego bardzo namiętne i bardzo krótkie listy. - Milczała przez kilka minut i minęła chwila, zanim się zorientowałam, że wlepią się we mnie z napiętym wyrazem twarzy. - Elise, co wiesz o zbliżeniach płciowych?

Popatrzyłam na nią zaskoczona i jednocześnie, rzecz niedorzeczna, mile połączona, że uważa mnie za tak doświadczoną.

- Dlaczego pytasz?

- Pomyślałam sobie, że mogłabym to zrobić z Willem. Zanim wyjadę.

- O - rzuciłam, zbita z pantałyku.

Kiedyś, gdy myśleli, że nie słyszę, rodzice pozwolili sobie na mało wybredny dowcip o stłumionych potrzebach seksualnych Brytyjczyków. W konsekwencji wierzyłam święcie, że Anglicy uprawiają seks dopiero po ślubie, i to wyłącznie w czwartki.

- No... - zaczęłam. - Matka wyjaśniła mi... Odpowiednie procedury. Zresztą jej zdaniem większość oper obraca się wokół seksu. I śpiewu. Ale tak naprawdę wszystkie są o seksie.

Poppy zmarszczyła brwi. Dyskusja na temat fabuł co lepszych operowych librett niezupełnie była tą informacją, której szukała.

- Czytałam też Freuda. On pisze tylko o seksie - dodałam, bardzo chcąc się okazać pomocna.

Kiedyś zakradłam się do biblioteki ojca i pożyczyłam kilka tomów Freuda, spodziewając się podobnego dreszczyku, jaki odczuwałam na widok na wpół ubranych pań o powłóczystych

spojrzeniach z pocztówek sprzedawanych za feniga na obskurnych straganach nad Dunajem. Drżałam, ilekroć wyobrażałam sobie, że jestem jedną z tych wygorsetowanych piękności, a ktoś wysupła grosik, żeby mnie oglądać. Dzieła Freuda nie spełniły jednak moich oczekiwań.

- I? - ponagliła Poppy. - Co pisze pan Freud? Naprawdę muszę wiedzieć.

Zmarszczyłam czoło, podejmując trud wyjaśnienia.

- Wszystko idzie o superega, ega i idy. Zdaje się, że mężczyzna wkłada swoją ideę, a może to było ego, w twoje superego i wtedy oboje doświadczacie sublimacji. To bardzo skomplikowane. I było tam jeszcze mnóstwo o tych fallusach.

- A, tak - powiedziała Poppy. - Widziałam je już kiedyś. U koni i psów. A raz u byka, który odbywał zbliżenie z krową. No, jeśli to, co robi bydło, nazywa się zbliżeniem, znaczy się. Bo wyglądało to trochę groźniej. No i na pewno nie widziałam żadnych idów czy egów u krów. Ale z drugiej strony, i tak nie wiedziałabym, czego szukać.

- Nie, ja też nie.

- Cóż. Ludzie wiedzieli co i jak, zanim Freud im to wyjaśnił, więc może my też sobie jakoś poradzimy i nie będzie tak źle - skonstatowała Poppy.

- Może. Ale ja wolałabym lepiej niż tylko nie tak źle. Poppy uniosła brew.

- Miło jest być w czymś dobrym. - Zarumieniłam się, starając nie myśleć o Kicie. - Ale nie wydaje mi się, żeby Willowi przeszkadzało, że jesteś początkująca. W końcu każdy kiedyś zaczyna - dodałam życzliwie, powtarzając zwrot, którego używała pani Ellsworth, gdy uczyła mnie czegoś nowego.

- Podejrzewam, że jeśli prześpię się z Willem, będę lafiryndą - stwierdziła Poppy, najwyraźniej niezmartwiona tą perspektywą.

- Nie wydaje mi się. Nie, jeśli go kochasz. A poza tym wszystkie co lepsze bohaterki prędzej czy później zostają lafiryndami. Ewa. Lafirynda. Anna Karenina. Tragiczna lafirynda.

- A ty też zostaniesz lafiryndą z Kitem?

Wiedziałam, że powinnam zaprzeczyć, nawet o tym nie marzyłam. W kwestiach morale dotyczących swoich córek Anna była zdecydowanie mniej wolnomyślna: nie pozwoliła Margot pojechać na wakacje z Robertem, zanim się pobrali. Przypomniałam sobie, jak, niewysoka i wściekła, gromiła moją siostrę: „Nie będziesz się lampartować po Strasburgu. Pomyśl tylko o biednych ciotkach. Umarłyby z szoku”. Serce mi się ścisnęło. Anna wiedziała by doskonale, co poradzić Poppy.

Na zewnątrz jaskini słońce powoli gasło, na brzegu kłębiły się ciemne chmury, a czarne morze migotało. Plasterek księżycy podskakiwał na falach.

- Chodź. - Wstałam i wyciągnęłam do niej rękę. - Powinniśmy wracać.

Nazajutrz rano wślizgnęłam się do jadalni, kiedy pan Rivers siedział jeszcze nad kawą. Studiował gazetę z głębokim marsem na czole i nawet nie zauważył, że weszłam. Sięgnęłam do kieszeni fartuszka, wyciągnęłam garść złotych łańcuszków i położyłam je na jego talerzu. Podniósł głowę, zaskoczony.

- Panie Rivers, to jest na łapówkę. Żeby wydostać Annę i Juliana z Austrii.

Patrzył bez słowa na złoto barwy świeżego masła.

- Miały być na mój bilet do Nowego Jorku. Są bardzo cenne. Proszę je sprzedać.

Pokręcił głową i przesunął talerzyk w moją stronę, przewracając marmoladę.

- Nie. Zachowaj je. Zrobię, co tylko w mojej mocy. Założyłam ręce do tyłu.

- Proszę wziąć łańcuszki, panie Rivers. Pieniądze nie są dla pana, tylko dla nich.

Musiało być coś w moim głosie, bo skinął gwałtownie głową, zawinął złoto w chusteczkę i schował do kieszeni.

Tej nocy, kiedy leżałam w łóżku i słuchałam odległego pomruku fal przelewających się przez kamienie na plaży, martwiłam się, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży łańcuszków mogą nie wystarczyć. Przypomniała mi się altówka ukryta pod łóżkiem. W Austrii nikt nie chciał opublikować powieści Juliana, ale w Anglii? Pan Rivers czytał je wszystkie, i gdybym przetłumaczyła je na angielski, może znalazłby się jakiś chętny wydawca. Wyskoczyłam z łóżka i przerzuciłam leżący na komodzie stos powieści w broszurowych oprawach. Wybrałam jedną z ascetyczną szaroczną okładką i uznawszy, że wygląda odpowiednio posepnie, skomponowałam list do jej wydawcy.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem córkę osławionego wiedeńskiego powieściopisarza Juliana Landaua, którego tamtejszy „Times” uznał za „niewątpliwie najbardziej osobliwego pisarza miasta”, co, jak z pewnością się Pan zgodzi, jest wyrazem wielkiego uznania. Na skutek szczęśliwego zbiega okoliczności, mam przy sobie w Anglii jego ostatni rękopis. Jeśli jest Pan zainteresowany, chętnie go prześlę. Może to potrwać tydzień lub dwa, jako że w chwili obecnej na wszelki wypadek pozostaje ukryty wewnątrz altówki. Z wielką ochotą wezmę na swoją barkę jego przekład.

Z wyrazami szacunku

Wgramoliłam się z powrotem do łóżka, rozgrzana nadzieją i pewna, że Julian zaopatrzył mnie w sposób zorganizowania swojej własnej ucieczki. Kiedy spałam, śpiew altówki mieszał się z szumem fal.

O ile w lutym było zimno, o tyle w marcu najbardziej doskwierała mi cisza. Brakowało mi trajkotania Poppy i musiałam spacerować zupełnie sama. Włóczyłam się po wzgórzach albo smaganych deszczem plażach z listami od Margot w kieszeni płaszcza, czytając je i czytając w kółko, aż znałam na pamięć każde słowo. Sztuka epistolarna zdecydowanie nie należała do moich ulubionych sposobów komunikacji - rozmowa toczyła się zbyt wolno. Miałam wrażenie, że jesteśmy z Margot dwiema staruszkami występującymi swoje myśli z pauzami rozmiaru Atlantyku między jedną kwestią a drugą. Napisałam jej o sprzedaży łańcuszków, ale nie o powieści w altówce. Może i źle postąpiłam, ale po szkodzie wszyscy jesteśmy mądrzy. To był mój sekret i postanowiłam, że jeśli tylko wydawca nie poprosi, bym wyjęła rękopis z instrumentu, zatrzymam go dla siebie. Ona w pełnym przejęcia liście usiłowała oszacować wartość złota, a ja w odpowiedzi liczbę tygodni, które miną, zanim przyjdzie wiza. Czasami siadywałam na szczycie wzgórza Tyneford, niżej na zboczu pasły się owce górskie, pobrzękując dzwoneczkami na wietrze, a ja gapiłam się na pędzące po niebie błękitne obłoki, których cienie wlokły się po wzgórzu niczym wielkie rozpostarte rybackie włoki.

Przycupnęłam na niskim kamieniu przy Flower's Barrow
i z rosnącym uczuciem zawodu przeczytałam odpowiedź od
londyńskiego wydawcy:

Szanowna Panno Landau!

Dziękuję za propozycję przeczytania najnowszej powieści Herr Landaua. I choć bardzo zaintrygował mnie pomysł szmuglowania książki w altówce, obawiam się, że w chwili obecnej w Anglii nie ma popytu na niemieckie powieści -nawet te w przekładzie. Jestem pewien, że Pani to rozumie.

Dziękuję za wzięcie pod uwagę naszej oficyny.

Z wyrazami szacunku

Marzec przyniósł wichury, które pozrywały dachówki z dachu stajni i zmusiły Arta do wspinania się po rozklekotanej drabinie w celu ich naprawy. Przy żywopłotach i na brązowych skarpach pojawiły się przebiśniegi, a murawa przed dworem usiana była fioletowymi krokusami, które otwierały się i zamykały na słońcu niczym dzióbki głodnych piskląt. Rybacy tłumnie ruszyli do łodzi, szczęśliwi jak tokujące łyski z powrotu łagodniejszej pogody. Obserwowałam kutry i ptaki z klifów albo mojej wysokiej grzędy na wierzchołku Tyneford. Pewnego popołudnia, jakoś miesiąc po wyjeździe Poppy, leżałam rozwalona na szczycie wzgórza i obserwowałam przez lornetkę Arta, jak szponia-stonogi myszołów szybuje w górę, a potem zawisa w powietrzu, trzepocząc skrzydłami. Zafascynowana widokiem jego ciemnego podbrzusza i ogromnych rozpostartych skrzydeł zupełnie straciłam rachubę czasu. Nagle dzwony kościelne wybiły trzecią i zerwałam się przerażona. Byłam spóźniona. Z lornetką obijającą się o płaszcz pognałam do domu, ślizgając się na błocie i kamieniach i roztrącając pobekujące owce. W dwadzieścia minut dobiegłam na tył dworku. Z żywoczerwoną, błyszczącą twarzą i oblepionymi błotem butami, przystanąłam na podjeździe, próbując złapać oddech, i zgięłam się wpół, żeby uśmierzyć kolkę

w boku. Kiedy się wyprostowałam, zauważyłam błysk srebrnego wólseleya przy frontowych drzwiach. Obok, w nonszalanckiej pozie, stał Kit i palił papierosa. Dосkoczyłam do niego bez zastanowienia i zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Wróciłeś. Dzięki Bogu, wróciłeś.

Zachichotał i nawet nie próbował się oswobodzić z moich objęć.

- Wnoszę z tego, że za mną tęskniłeś. Cofnęłam się.

- Cóż. Zrobiło się tu okropnie nudno bez ciebie. Zwłaszcza odkąd Poppy wyjechała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, na podjazd wyszła drobna postać w brązowym płaszczu Burberry. Przyłożyła do oczu małą dłoń w rękawiczce, żeby osłonić je przed ostrym wiosennym słońcem.

- O, a toto ciągle tutaj - powiedziała Diana, obrzucając mnie pogardliwym spojrzeniem. - Myślałam, że zostało zwolnione.

Zacisnęłam dłonie w pięści i zasznurowałam usta. Chciałam, żeby pan Rivers mi pomógł, a nie odprawił za impertynencję.

- Przestań, Di - zaoponował Kit. - Ona ma na imię Elise, jak cholernie dobrze wiesz. Udawaj miłą. - Nachylił się i wyszeptał mi do ucha: - Przepraszam. Część mojej pokuty. Nadskakiwanie Dianie Hamilton. Zabieranie jej na lunch i udawanie dżentelmena. Ciężkie zadanie. Ale w głębi duszy ona jest w porządku.

W to akurat raczej wątpiłam. Przeprosiłam i zniknęłam w domu, żeby przygotować herbatę.

Teraz, w obecności Kita, Diana zachowywała się wobec mnie grzecznie. Najwyraźniej uznała, że obrażanie i naśmiewanie się z pokojówki nie jest najlepszym sposobem na zaskarwienie sobie

jego sympatii. Podczas tej pierwszej herbaty uznałam, i to nieodwołalnie, że Diana nie jest w porządku. Nic się nie zmieniła, bez względu na to jak bardzo zamydliła oczy Kitowi. Kiedy nalewalam earl greya do porcelanowych filiżanek, chichotała. Nie ze mnie, ale z jakiejś jego uwagi. Po prawdzie to ani na moment nie przestawała chichotać - przywodziła na myśl jednego z tych jazgotliwych ptaków z bagien. Wszystko, co mówił Kit, było że boki zrywać. Mizdrzyła się i robiła dzióbek, podczas gdy ja krzywiłam się, robiłam miny i próbowałam nie upuścić herbatników. Kit potrafił być bardzo zabawny, ale Diana się błaźniła. A przynajmniej miałam taką nadzieję. Przypatrywałam mu się, żeby ocenić jego reakcję, ale patrzył rozleniwionym wzrokiem ponad murawą w kierunku morza.

- Jak dobrze być w domu. Stęskniłem się za tobą - wymruczał.

Nie byłam pewna, czy mówi do Tyneford czy do mnie.

Podobnie jak poprzedniego lata, przyjazd Kita zbudził cały dom. Podczas długich, pochmurnych zimowych miesięcy wszyscy poszarzeliśmy i pogodziliśmy się z własnym zaniedbaniem, ale obecność Kita rozświetliła każdy kącik. Oprócz Diany przywiózł ze sobą Juno i kilku kolegów ze studiów. Kiedy zmywałyśmy serwis do herbaty, pani Ellsworth narzekała, że młody panicz nie może zrobić kroku bez paczki znajomych. Bez słowa zanurzyłam kwiecistą filiżankę w mydlinach, ale podejrzewałam, że Kit chce po prostu uniknąć długich sam na sam z ojcem. Z Eddiem, Teddym czy Georgeem na podorędziu łatwiej było zapobiec tym niezręcznym *tetes-a-tetes* wzajemnego zawodu.

Pierwszego wieczoru przytargał z Artem i Burtem pół drzewa do wielkiego holu. Ignorując obawy ochmistrzyni o wyfro-

terowaną podłogę i protesty pana Wrexhama, że komina nie czyszczono od czterdziestu lat, rozpałił ogień w masywnym kamiennym palenisku. Komin ciągnął jak należy, a buzujący kawał dębu nappełnił cały dom ciepłem. Na skutek nalegań Kita wszyscy zebraliśmy się przed kominkiem, służba i jaśnie państwo razem. Kit wręczył każdemu po szklaneczce różowego ginu i kiedy go sączyliśmy, podszyty wilgocią wapienny tynk i poplamiona tapeta przemieniły się w przytulny przepych. Nawet pan Wrexham się uśmiechnął i poklepał mnie po ramieniu. Pan Rivers z Kitem wynieśli z salonu do holu stary gramofon i wszyscy, służące i dziewczęta z towarzystwa, tańczyli do Colea Portera przy trzaskającym ogniu: damy i dżentelmeni po jednej stronie wyłożonego boazerią pomieszczenia, służba po drugiej. Stałam rozdarta w ciemności pod portretem jegomościa o ziemistej cerze. Nie mogłam tańczyć. Nie tutaj, nie po tym, co się stało ostatnim razem. Kit płażał z Juno, a Diana z panem Riversem. Uśmiechałam się, patrzyłam na tańczących i wachałam swój różowy trunek.

- Mogę prosić? - spytał pan Wrexham z życzliwym uśmiechem.

Poczułam taką wdzięczność, że o mały włos się nie rozplakałam. Przeszliśmy tam, gdzie pani Ellsworth stała z Burtem, a Henry gibał się z May. Atmosfera była radosna niczym w Boże Narodzenie. Nagle rozdzwonił się telefon w bibliotece pana Ri-versa. Pan Wrexham przeprosił i poszedł go odebrać. Wrócił po kilku minutach i przekazał coś panu Riversowi. Ten słuchał z poważną miną, potem rzucił kilka słów kamerdynerowi, który podszedł do gramofonu i podniósł igłę. Muzyka powoli umilkła. Rozległy się protesty zde gustowanych dam i dżentelmenów, którzy tańczyli jeszcze przez takt czy dwa, dopóki pan Rivers nie podniósł ręki, prosząc o ciszę.

- Otrzymałem przed chwilą telefon od zarządcy majątku. Radio podało, że Hitler najechał Czechosłowację.

Nastąpiła cisza, zbiorowy wdech, a potem wybuch rozmów. Diana uczepiła się ramienia Kita, pani Ellsworth, z pobielającą twarzą, zacisnęła palce na pulchnej dłoni May. Pan Rivers wymknął się do biblioteki. Poszłam za nim. Stał plecami do mnie, majstrując przy pokrętle radioli.

- Panie Rivers? Udało się panu nam pomóc? Podskoczył na dźwięk mojego głosu.

- Jezu. Nie podkradaj się tak do człowieka. To przyprawia o ciarki. Wzruszyłam ramionami.

- Pan Wrexham zwykle narzeka, że chodzę ciężko jak słoń. Uśmiechnął się cierpko. Usiadł w wysłużonym fotelu, wylał różowy dzin do doniczki przy oknie i nalał sobie whisky z karafki.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje, Elise. Książki twojego ojca naprawdę nie przysparzają mu popularności w Austrii. Ani w Berlinie, jeśli już o to idzie. Łapówka jest dużo większa, niż się spodziewałem.

Naszedł mnie dziwny spokój. Świat dookoła ucichł, choć jednocześnie słyszałam rytmiczne tik-tak zegara szafkowego w holu, głucho echo tykania tego mniejszego w naszym wiedeńskim mieszkaniu. Poczułam zapachy z kuchni Hildegardy: woń pieczonego tłuszczu jagnięcego i soli selerowej, kiedy zawinięte w liście białej kapusty klopsiki skwierczały w piekarniku. Wsłuchiwałam się przez chwilę w odgłos bliźniaczych zegarów odmierzających dwa warianty czasu, potem usłyszałam swój głos, jak pyta:

- No a pan Freud? Nienawidzili jego książek, ale go wypuścili. Pan Rivers westchnął.

- Owszem. Ale Freud jest bardzo sławny poza Austrią. Twój ojciec ma mniej przyjaciół.

Przypomniałam sobie o perłach Anny.

- Mam jeszcze naszyjnik. Mogę go sprzedać. Pan Rivers wziął łyk whisky.

- To nie pomoże. Mówię o tysiącach niemieckich marek. Zanim miałam czas odpowiedzieć, do pokoju napłynęła fala

panowie, a za nimi Diana i Juno. Pokój napełnił się gwarem i ruchem.

- To co, stary, może posłuchamy? - rzucił Eddie, choć może był to George.

Kit walnął w radio i dzwony Big Bena wypełniły bibliotekę.

- Słabo mi - oświadczyła Juno. - Podejrzewam, że teraz jak nic wybuchnie wojna. Zupełnie jakby nie mogli załatwić tego między sobą bez wciągania nas w tę aferę.

- Czy ktoś ma papierosa? - Diana opadła na fotel przy oknie. Spojrzałam ponownie na pana Riversa. Roilo się wokół niego

od ludzi i zrozumiałam, że to koniec naszej rozmowy. Nie musiałam słuchać wiadomości w radio. Wymknęłam się do opustoszałego holu. Pan Wrexham sprzątał puste kieliszki. Przerwał, kiedy mnie zobaczył.

- Już po północy. Możesz się położyć, jeśli chcesz. Podczas tej wizyty nie powierzono mi obowiązków pokojówki Diany i Juno. Podejrzewałam, że ku obopólnej uldze.

- Dziękuję, panie Wrexham.

Ruszyłam szybko korytarzem dla służby i tylnymi schodami do służbówki. Leżałam w ciemnościach, nasłuchując niecichnącego szumu morza. Tysiące marek. Tysiące. Wymawiałam te słowa na głos raz po raz, jakbym potrafiła wyczarować taką sumę z ciemności nocy. Dom był cichy i pełen śpiących. Przeszłam na palcach przez hol do biblioteki. Przejrzałam półki z książ-

kami i kiedy znalazłam to, czego szukałam, wyciągnęłam *Posag starych panien* Juliana Landaua i zakradłam się do bawialni. Okna nie były zasłonięte i pomieszczenie tonęło w zimnej księżycowej poświacie, dość jasnej, by można było przy niej czytać. Usiadłam po turecku na podłodze z książką na kolanach. To nie była moja ulubiona powieść ojca, a Anna wręcz jej nie cierpiała. Twierdziła, że jest okrutna. Dlatego właśnie chciałam ją mieć ze sobą tej nocy. Trzymając ją w dłoniach, słyszałam, jak rodzice się kłócą. Trzema tytułowymi starymi pannami były cioteczne babki. Julian opisał je nielitościwie szczegółowo aż po pojedynczy włoszek wyrastający z okrągłego pieprzyka na podbródku Gretty. Tyle że w książce miała na imię Gertruda. Upierał się, że babki zostały twórczo zmienione przez fikcję i Gretta, Gerda i Gabrielle (rzeczywiste) nie mają nic wspólnego z Gertrudę, Grunhildą i Griseldą (z powieści). Ich samych i Anny to jakoś nie przekonało. Kiedy ojciec usiłował się usprawiedliwić przy kawie i *sachertorte*, Gretta sarknęła, że nie życzy sobie, by jej pieprzyk pozostał unieśmiertelniony po wieki wieków. Kiedy babki wyszły, dotknięte do żywego, w mieszkaniu rozpętała się awantura. Ku zachwytowi mojemu i Margot, Anna rzuciła w Juliana kilkoma talerzami z miśnieńskiej porcelany. Zagrzewałyśmy ją do boju zza drzwi dziecięcego pokoju, zastanawiając się, czy zdołała trafić i położyć go trupem: „Myślisz, że zostaniemy sierotami? Mama będzie malowała usta w więzieniu?”. To wszystko było strasznie ekscytujące.

Rozumiałam furję Anny i babek - rozwścieczyły je nie kłamstwa Juliana, a jego szczerość. Nie powinien był żerować na ich życiu, ale tej nocy cieszyłam się, że to zrobił. Dygocząc na podłodze bawialni angielskiej wiejskiej rezydencji setki mil od Wiednia, widziałam babki jak żywe na stronach książki. Uśmiechały się do mnie, częstowały ciasteczkami i utyskiwały na wyniosłych

kelnerów w Cafe Sperl. Nie mam ich żadnych fotografii, więc wszystkie trzy wydają się niemal postaciami z bajki - trójką pomarszczonych dobrych wrózek, przepadających za *linzertor-te* i swoimi bliskimi - nie całkiem pasującą do współczesnego świata. Ale zachowały się między stronicami powieści Juliana niczym pokruszone skrzydła motyla.

Tej nocy czytałam przez długie godziny, udając, że jestem z rodziną. Rodzice wylegiwali się na sofie, Anna trzymała blond głowę na kolanach Juliana.

- Nie przyjechałabym tutaj, gdybym wiedziała, że tam ugrzęźnicie - oświadczyłam, patrząc na nich spode łba.

Anna się uśmiechnęła.

- A co byś zrobiła, Fasolko? Siedziała i denerwowała się z nami?

Poruszyłam się na podłodze.

- Wszyscy mieliśmy być teraz w Nowym Jorku. To nie powinno było tak się potoczyć.

Twarz matki się nie zmieniła: ta sama drobna zmarszczka między brwiami, ten sam półuśmiech.

- Mam nadzieję, że powieść w altówce jest o tobie, o mnie i o Margot. Tylko w książce będziemy znacznie piękniejsze. Ja będę szczuplejsza i o kilka centymetrów wyższa. Margot będzie taka sama jak w rzeczywistości. Julian będzie miał wąsa i go podkrecał, ty będziesz chodziła w sztybletach za kostkę i paliła cygaretki. A Kit...

- Ale przecież nie znamy Kita - zaproponował Julian.

Nie, nie znacie, pomyślałam i miraż zniknął niczym mgła w promieniach słońca. Musiałam wstać za kilka godzin, żeby napalić w kominkach i sprzątnąć dom. Podniosłam się z trudem i zaczęłam chodzić wte i wewte po pokoju, próbując się zmęczyć, żeby przywołać sen. Może powinnam już zakasać ręką-

wy - wtedy przynajmniej rano część roboty będę miała z głowy. Wyłowiłam chusteczkę z kieszeni piżamy i zaczęłam przecierać nią ramy fotografii. Posuwałam się wzdłuż gzymsu kominka, przeciągając materiałem po miniaturowych portretach dam w sukniach z wysokim kołnierzem i koronkowych czepcach, panów w perukach i mundurach, jakiejs wielkookiej piękności z olśniewającym dekoltem i w upudrowanej peruce przetykanej perłami. Przeszłam do mariny Turnera, żeby zetrzeć kurz z jej pozłacanych ram, ale obraz zniknął. Zamrugalam i potarłam oczy. Czy na pewno zawsze tu wisiał? Padałam z nóg ze zmęczenia, a w głowie miałam mętlik. Ale tak. Turner wisiał na tej ścianie, z dala od kominkowego dymu, który mógłby mu zaszkodzić, i południowych okien, przez które wlewało się światło słoneczne. A teraz go nie było.

Usiadłam na krytej sukniem sofie i wbiłam wzrok w pustą ścianę. Nie budziła we mnie takich uczuć jak ogołocone tapety naszego wiedeńskiego mieszkania, kiedy myślałam o nich, szalałam z bólu. Tym razem było inaczej. Wstąpiła we mnie nadzieja. Obraz nie zginął, nie został ukradziony ani powieszony w innej części domu. Pan Rivers go sprzedał. Pomoże nam. Anna i Julian przyjadą do Tyneford.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Miss Landau

O szóstej rano wślizgnęłam się do sypialni Kita. Na dworze zrobiło się już na tyle ciepło, że w sypialniach panów przestano palić - damy takie jak Diana i Juno domagały się buzującego ognia nawet w upalne czerwcowe noce. Byłam więc bezpieczna, ale na wszelki wypadek przekreśliłam klucz w zamku. W pokoju unosił się ostry zapach potu i papierosów. Kit leżał rozwalony na dużym białym łóżku z jedną stopą wystającą spod kołdry i płową głową na wpeł ukrytą pod stosem poduch. Słuchałam przez chwilę rytmicznego odgłosu jego oddechu, potem podeszłam na palcach do okna i popatrzyłam ponad ogrodami w stronę wzgórz. Jednym ruchem odsłoniłam story, jaskrawe światło wlało się do pokoju i padło na postać leżącą na łóżku.

- Kit.

Ani drgnął.

- Kit.

Żadnej reakcji.

Usiadłam na łóżku i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć nagiego ramienia. Potarłam palcami ciepłą skórę.

- Kit.

Zacisnął ręką na moim nadgarstku i pociągnął mnie na łóżko.

- Ty tutaj? - powiedział, nagle całkiem rozbudzony. - To raczej mało rozsądne. Gdyby naszły mnie grzeszne myśli, nie by-

łabyś w stanie się obronić. - Przyglądał mi się badawczo przez chwilę, a potem ziewnął. - Nie podejrzewam, żebyś przypadkiem przyniosła herbatę i aspirynę?

Puściłam to mimo uszu i usiłowałam usiąść, ale trzymał mnie mocno za nadgarstek i musiałam odwrócić głowę. Nagle leżałam obok niego, twarzą tylko kilka centymetrów od jego twarzy.

- Kit. Powiedz, że to prawda. Że pan Rivers sprzedał obraz. Że naprawdę pomoże Annie i Julianowi.

Puścił mnie, oparł się na poduszkach i wbił wzrok w zieloną trawę za oknem.

- No, nie został jeszcze sprzedany. Ojciec chciał się upewnić, że nie mam nic przeciwko temu. No wiesz, mój spadek i tak dalej.

- A masz coś przeciwko temu?

Nie odpowiedział. Nachylił się i pocałował mnie w usta. I nagle nie myślałam już o Annie ani o Julianie, tylko o Kicie. Ugryzł mnie w wargę i krzyknęłam, choć nie bolało. Uśmiechnął się do mnie.

- Kocham cię, wiesz. Pewnie nie powinienem. Powinienem zakochać się w Dianie albo jednej z tych potwornie nudnych i potwornie bogatych dziewcząt. Ale się nie zakochałem. Kocham ciebie.

Gapiałam się na niego. Nikt wcześniej, oprócz matki, nie wypowiedział do mnie tych słów. A ja zawsze wyobrażałam sobie, że gdy to już nastąpi, usłyszę je po niemiecku, nie po angielsku. Brzmiały dziwnie obco w moich uszach. Nie byłam w angielskim kinie i nie śledziłam nadawanych w radiu sztuk miłosnych. Przeczytałam kilka romansideł, które dostałam od Kita, ale nigdy nie słyszałam tej kwestii wypowiedzianej na głos. Dopiero z jego ust.

- Sprowadzimy ich tutaj, obiecuję, Elise - wyszeptał. – Na-

wet gdybym musiał pójść do Austrii na piechotę i targać ich walizki na własnych barkach, ściągnę twoich rodziców do Tyneford.

Patrzył na mnie okrągłymi niebieskimi oczyma, szczerymi jak u dziecka. Był tego niezachwianie pewien i kiedy patrzyłam na niego, też byłam pewna. Wsunęłam dłonie w jego złote włosy i go pocałowałam.

- Kocham cię.

Wypowiedziałam te słowa po angielsku. Brzmiały dziwnie egzotycznie w moich ustach, a jednak jakoś bez wyrazu. Spróbowałam jeszcze raz po niemiecku.

- Kocham cię.

Kit zaśmiał się gardłowo.

- Powtórz. Podoba mi się.

Zanim zdążyłam, klamka u drzwi się poruszyła.

- Paniczu Kit, sir. Zechce pan otworzyć drzwi? - zawołał pan Wrexham.

Usiadłam zdjęta zgrozą, niechcący uderzając Kita w czoło.

- Wie, że tu jestem - syknęłam i zeskoczyłam z łóżka.

Kit wzruszył ramionami i sięgnął po swoją srebrną papierośnicę.

- Prawdopodobnie. Wrexham wie wszystko. Cholernie dobry kamerdyner. Stara szkoła.

Spuścił nogi z łóżka, zeskoczył i chwycił wiszący na drzwiach szlafrok. Obejrzał się, żeby sprawdzić, gdzie jestem, i kiedy zobaczył, że czaję się przy oknie, wygladzając fartuszek, otworzył.

- Dzień dobry, Wrexham. O, świetnie, przyniosłeś herbatę. I aspirynę, naprawdę jesteś mistrzem.

Kamerdyner wszedł do pokoju z tacą na herbatę w dłoniach i zamarł, kiedy mnie zobaczył. Kit, najwyraźniej nieprzejęty, sięgnął po opakowanie aspiryny i połknął tabletki na sucho.

Stary lokaj poszarzał jak zimowe niebo i świdrował mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Mogę zapytać, co tu robi Elise? - rzucił. Ochłonął na tyle, by postawić tacę na stoliku nocnym i napełnić filiżankę herbatą.

Kit wziął łyk, głośno siorbiąc.

- Tak. Cóż, mówiąc szczerze, gdy się obudziłem, już tu była. Uroczą niespodzianka. Ciut niestosowna. Wiem. Ale nie martw się - dodał, widząc, że stary kamerdyner zbladł jeszcze bardziej. - Nic niestosownego nie zaszło. No, nic nazbyt niestosownego. - Posłał mi szelmowski uśmiech.

Jęknęłam głośno i zasłoniłam usta, odwracając twarz do okna. Wolałam, żeby pan Wrexham nie widział mojej miny.

- Och, wszystko w porządku, Wrexham - zapewnił Kit. - Kocham ją, wiesz?

- Może w takim razie zachciałby panicz poinformować o tym fakcie swojego ojca.

Kamerdyner się schylił, żeby podnieść poniewierającą się na podłodze poduszkę i czasopismo. Kit przeszedł przez pokój i usiadł w wysłużonym fotelu przy oknie, po raz pierwszy od chwili wkroczenia Wrexhama sprawiając wrażenie lekko strapionego.

- Tak. Zdaje się, że muszę. - Poruszył się w fotelu. - Ale najpierw powinienem się chyba ubrać.

- Doskonale, sir. Czy mam przygotować kąpiel?

- Tak. Świetnie.

Pozostałam przy oknie podczas tej wymiany, kilka metrów od fotelu Kita. Byłam wniebowzięta i zażenowana jednocześnie. Chciało mi się płakać, nie wiedziałam, czy z radości czy ze wstydu. Było jasne, że kamerdyner nigdzie się nie wybiera, uznałam więc, że przede wszystkim chcę opuścić to pomieszczenie.

- Muszę posprzątać na dole - powiedziałam. Nie podejrzewałam, by Kit próbował mnie pocałować w obecności starego służącego, ale pewności nie miałam. Czułam na plecach ich wzrok, gdy uciekałam, i cieszyłam się, że nie widzę wyrazu ich twarzy.

Trzymałam się z dala od pokoju śniadaniowego. Nie miałam ochoty na spotkanie z panem Riversem lub jego gośćmi, pewna, że już cały dom czuje, że coś wisi w powietrzu. Odkurzyłam wszystkie netsuke w bawialni: wyjęłam je ze szklanej gabloty, potem umyłam każde w ciepłej wodzie, wytarłam i odłożyłam na właściwą półkę trzęsącymi się dłońmi. Były strasznie szpetne: szare szczury z kości słoniowej wpełzające jeden na drugiego z zapętlonymi ogonami i uśmiechający się z wyższością grubi wojownicy. Umyłam listwy przypodłogowe wodą z mydłem i natarłam lamperie pszczelim woskiem. Nie mogłam usiedzieć na miejscu i musiałam się czymś zająć. Kiedy pomyślałam o Kicie, palce poszybowały mi do szyi. Uśmiechnęłam się. Może powinnam się bać, że mnie zwolnią, mimo to czułam się szczęśliwa i nietykalna. Pocałował mnie. Kocha mnie. Czy się pobierzemy? Przeczytałam wszystkie romanse ukryte w pokojach gościnnych od *Lady Rose* i *Pani Memmary* przez intrygującą *Książkę panny Buncie* po bardziej niepokojącą *Dobrą pogodę na ślub*, ale wszystkie kończyły się w kluczowym momencie samego ślubu, i to, co następowało po nim, nadal pozostawało okropnie frapujące. Żałowałam, że nie ma tu Margot, z którą mogłabym porozmawiać. Informacje, którymi wymieniliśmy się z Poppy, teraz wydawały się raczej niewystarczające, a podejrzewałam, że żadna z książek na półkach pana Riversa nie będzie służyć praktyczną pomocą. Moja siostra nie należała do wstydliwych

i wiedziałam, że bez mrugnięcia okiem i śladu rumieńca objaśniłaby mi wszystko co i jak, leniwie pociągając papierosa. Wyobraziłam ją sobie, jak leży w eleganckim dessous rozciągnięta na łóżku w pokoju niebieskim, je czekoladki z różanym nadzieniem i otoczona mgiełką dymu udziela rad w kwestii pożycia małżeńskiego. Teoretycznie mogłam do niej napisać, domagając się szczegółowego i rzeczowego wykładu, ale nie chciałam zimnego papieru, chciałam jej.

Usiłowałam wyobrazić sobie, jak latem pijemy z Kitem herbatę na tarasie, pnące róże wypełniają powietrze wszechobecnym zapachem, a my gawędzimy o nedorzecznie upalnej pogodzie albo, dajmy na to, krykiecie. Zachichotałam. Potem wyobraziłam sobie, jak by to było nie wychodzić z łazienki, kiedy brałby kąpiel, i siedzieć na skraju wanny, tak jak robiłam to z Margot -tyle że tu nie było nawet porównania. Zobaczyłam Kita wylegującego się w wodzie, nagiego i uśmiechającego się do mnie przez kłęby pary. W co powinnam być ubrana na taką okazję? Szlafrok? Bieliznę? Nic zupełnie? Policzki mi spąsowiały i przygryzłam wargę. Tak, doszłam do wniosku, mogę za niego wyjść.

Znalazł mnie, gdy splukiwałam tylne schody wychodzące na dziedziniec stajenny. Tak byłam pochłonięta zeszkrobywaniem zielonego mchu z kamienia, że musiał krzyknąć.

- Tu jesteś. Wszędzie cię szukam.

Wstałam i otrzepałam się, świadoma warstwy czarnozielonego szlamu pod paznokciami.

- Chodź na spacer.

Rzuciłam pełne winy spojrzenie na wiadro brudnej wody i na wpół umyte schody.

- O, daj spokój. Zrobisz to później - warknął.

Chwycił moją mokrą dłoń i pociągnął mnie przez dziedziniec na ścieżkę wiodącą w górę wzgórza. Milczeliśmy przez minutę czy dwie, wspinając się po stromym zboczu i ślizgając na wilgotnym gruncie. Spośród splątanych łodyg traw wyrastały delikatne fiołki, pierwsze, jakie widziałam tej wiosny, i starałam się ich nie deptać. Kit szedł szybko i wkrótce się zdyszałam, próbując dotrzymać mu kroku. Czułam, jak czoło mi wilgotnieje od potu. Kiedy dotarliśmy na szczyt, zwolnił.

- No, rozmawiałem z nim.

Oparłam się o murek przecinający wzgórze. Po szaroniebieskim niebie przewalały się białe chmury. Podszedł i stanął przy mnie z kosmykiem wilgotnych włosów przyklejonym do czoła.

- I jak zareagował? Przesząpił z nogi na nogę.

- No. Tak trochę tam wmaszerowałem. Do biblioteki. I oświadczyłem: „Kocham Elise”. A on popatrzył na mnie i powiedział: „Wiem”.

- Wiem?

- Tak. To dziwne. Sam zorientowałem się dopiero wczoraj. Byłem niemal pewien, kiedy wyjeżdżałem. A gdy mnie nie było, bez przerwy o tobie myślałem. Próbowałem się czymś zająć, umawiałem się z kolegami na obiad albo partię tenisa, ale nie pomagało. Zacząłem się zastanawiać, czy się przypadkiem nie zakochałem. A kiedy wróciłem, a ty rzuciłaś się na mnie przy samochodzie, miałem już pewność.

- Nie rzuciłam się.

- O tak. Głowę daję, że tak.

Pacnęłam go, na wpół w złości, na wpół w żartach, a on złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Uśmiechnęłam się, bezpieczna w jego ramionach, i pomyślałam: Więc to jest szczęście.

- I podbierałeś moje papierosy. Znalazłem jednego na wpół wypalonego.

Puścił mnie, podciągnął się na murek i podał mi rękę, żebym też się wdrapała. Siedzieliśmy obok siebie, machając nogami. Popatrzył w morze. Szumiało w oddali, fale rozbijały się o kamienie na plaży.

- Dziwne. Ojciec niespecjalnie był ciekaw moich uczuć. Jakby znał je na wylot. Bardziej interesowałaś go ty.

- Ja? A to czemu?

- Chciał wiedzieć, czy mnie kochasz. Pytał kilkakrotnie, czy jestem pewien. Wydawał się zdenerwowany całą tą sytuacją. Nie. - Kit zamilkł, szukając słów na bladym niebie. - Nie zdenerwowany. Smutny. Był smutny.

- Och.

Podejrzewałam, że pan Rivers musi być rozczarowany, że jego syn zakochał się właśnie we mnie. To na pewno nie mogło być korzystne dla jego reputacji. Prawdopodobnie wolałby, żeby zakochał się w Dianie, Juno albo lady Henriecie. Kimś bez podbródka, za to z dużym majątkiem i szafą pełną etoli z norek. I pięknym wpisem w rejestrze chrzcielnym jakiegoś hrabstwa.

Siedzieliśmy i słuchaliśmy ptaków, pieśni skowronków, ćwierkania łąkowych świergotków i chichotliwego pogwizdywania dzięcioła zielonego. W powietrzu uniósł się słodki zapach porastających zbocze kolcolistów. Kit milczał przez chwilę, potem poruszył się niespokojnie i powiedział cicho:

- Nie chce, żebyśmy się zaręczyli. Jeszcze nie teraz.

- Och.

Żołądek podjechał mi do góry. Kit się uśmiechnął.

- Nie rób takiej stropionej miny. Chce tylko, żebyśmy poczekali.

- Dlaczego?

Wiele lat później dowiedziałam się, jak dokładnie wyglądała ta rozmowa między ojcem i synem w bibliotece. Ale tamtego wiosennego poranka 1939 roku Kit zrelacjonował mi tylko jej część, przemilczając to, co zostało powiedziane później. Przez lata odtwarzałam ją w myślach tak często, że czasami muszę się napominać, że mnie przy niej nie było, że to nie jest wspomnienie.

Choć dochodziła ledwie dziesiąta, pan Rivers nalał dwie duże whisky. Jedną szklaneczkę przesunął po blacie biurka w kierunku syna.

- Dobrze - powiedział. - Wierzę, że ją kochasz, a ona ciebie. Ale daj spokój, Kit. Ludzie tacy jak ty i ludzie tacy jak Elise nie stają razem na ślubnym kobiercu.

Kit się wzdrygnął.

- Ludzie tacy jak Elise? Masz na myśli Żydów.

- Tak - odrzekł jego ojciec bez cienia wstydu.

- To nie są lata dwudzieste. Oni teraz należą do towarzystwa - rzucił Kit z narastającym gniewem.

- Owszem. Są mile widziani czy raczej, jeśli mówimy szczerze, tolerowani w niemal każdym domu w Anglii. Ale co się tyczy małżeństwa, trzymają się swoich. Ich nakazy są w tej kwestii równie kategoryczne jak nasze.

Kit pokręcił głową.

- Co za absurd.

- Nie zachowuj się jak sztubak. Jej ojciec byłby tak samo wściekły jak ja. I nie chodzi tylko o to, że jest Żydówką. Na miłość boską, Kit. To pokojówka. - Opróżnił swoją szklaneczkę. - Nie lubię, gdy ludzie gadają. Zwłaszcza gdy gadają o nas.

Kit zaśmiał się krótko.

- Jesteś taki sam jak oni wszyscy.

- Tak. Chciałbym, żebyś się zakochał w bogatej kobiecie. Chciałbym, żebyś miał co zostawić swojemu synowi. Staram się jak mogę, ale Kit, Tyneford... nie damy rady dłużej tak ciągnąć. Majątek potrzebuje zastrzyku gotówki.

- Więc chcesz, żebym się ożenił z jakąś dziewczyną, której nie kocham. Dla pieniędzy.

Jego ojciec pokręcił głową.

- Nie. Nikomu bym tego nie życzył. Czy mi się to podoba czy nie, minęły już czasy, kiedy żeniliśmy się dla chwały Anglii.

Kit przyglądał się ojcu z chłodną ciekawością.

- Kochałeś moją matkę? Czy chodziło tylko o jej pieniądze? Pan Rivers zeszywniał.

- Nie waż się mnie osądzać. Spełniliśmy swój obowiązek. To, czego od nas obojga oczekiwano. A jej pieniądze zapewniły dachy w chałupach we wsi, opłaciły twój Eton i Cambridge. To dzięki nim lipy w alei nie zostały ścięte, a pola sprzedane. -Twarz mu złagodniała na wspomnienie.

- Kochałem ją na swój sposób. Była miłą, słodką dziewczyną. I cudowną matką. Uwielbiała cię. Mam nadzieję, że dałem jej szczęście. Ale czy ją kochałem z namiętnością poetów? Nie. Tyle że w tamtych czasach nikt tego nie oczekiwał.

Kit wpatrywał się w ojca i czuł, jak jego gniew ustępuje smutkowi.

Pan Rivers westchnął.

- Musisz dokonać wyboru, Kit. Jeśli poślubisz Elise, stracisz prawdopodobnie Tyneford: nie w tym roku, nie w przyszłym, ale kiedyś. Czy będziesz ją wtedy kochał, ze świadomością, że dla niej się go wyrzekłeś?

- Oczywiście - odparował Kit z całym oburzeniem młodzieńca upojonego pierwszą miłością.

- Nie spodziewałem się, że odpowiesz inaczej. - Pan Rivers

zaśmiał się gorzko. - Nikt by nawet nie mrugnął, gdybyś się z nią przespał. Zrobił z niej swoją kochankę. Połowa tak zwanych dżentelmenów w Anglii ma ciche romanse. Ale nie pozwoliłbym ci potraktować tak Elise.

- Nigdy bym tak nie postąpił. Chcę się z nią ożenić.

- Masz dwadzieścia jeden lat. Nie potrzebujesz mojej zgody, ale chcę cię prosić, żebyś się wstrzymał. Zrób to dla mnie i poczekaj rok, tak na wszelki wypadek. Rzadko cię o coś proszę, Kit.

Kit milczał przez chwilę, potem skinął głową.

- Zgoda. Rok. Ale tylko dlatego, że prosisz. Nie zmienię zdania.

Gdybym wtedy miała świadomość wyboru, jaki przedstawił mi ojciec, czyby to coś zmieniło? Czy nadal zgodziłabym się za niego wyjść? Nie wiem. To było tak dawno temu.

Kit zamrugał i przetarł oczy. Dałam mu kuksańca.

- Dlaczego twój ojciec chce, żebyśmy zaczekali, Kit? Wziął mnie za rękę.

- Daj spokój. Elise. Musimy dać mu trochę czasu. Jesteś Żydówką i przyjechałaś tu jako służąca. Dla nas to bzdury, ale dla ojca to ma znaczenie. Dla nich wszystkich ma: tych lady Ver-nons, dziewcząt Hamiltonów, a wbrew pozorom ojciec jest z tej samej gliny.

Zagryzłam wargi, urażona, że pomimo wszystko - jego podziwu dla książek Juliana, sprzedaży Turnera, życzliwości, jaką mi okazywał - w oczach pana Riversa nadal jestem napiętnowana żydowskością. To było gorsze od mojej skromnej pozycji w jego domu - ta była tylko zrządzeniem losu. Żydowskość płynęła we krwi.

- A pomyślałaś chociaż, co powiedziałby twój ojciec? - spytał Kit.

W Wiedniu małżeństwa mieszane były na porządku dzien-

nym, przynajmniej zanim zaczęły się problemy. Zawierano je tak często, że straciły swój egzotyczny posmak. Julian dowodził przy obiedzie z ustami pełnymi sznycła, że to jest przyszłość i jedna z Dobrych Rzeczy na Tym Świecie. Mieszane małżeństwa, pierwszorzędny burgund i wydawcy, którzy nie domagają się nieuzasadnionych zmian w jego rękopisach albo nie charakteryzują jego twórczości jako niezrozumiałej czy niemądrej. Określenie nieprzyzwoita uważał za komplement.

- Julian nie będzie miał nic przeciwko - zapewniłam po chwili zastanowienia. - Przynajmniej tak sądzę. Wszystkie jego książki opowiadają o doskonałej asymilacji, a on nieraz opowiadał się za małżeństwami z gruntu nowoczesnymi. Więc powinien być z gruntu za. Poza tym wydaje mi się, że jest ateistą.

Kit zmarszczył brwi.

- Człowiek może pisać jedno, ale myśleć zupełnie co innego, jeśli chodzi o własne dzieci.

Popatrzyłam na niego beznamiętnie. Westchnął i spróbował jeszcze raz.

- Chodzi o to, że nie jestem pewien, czy powieści są dobrym prognostykiem co do tego, jak ich autor zareaguje na chrześcijańskiego narzeczonego swojej córki.

Przyglądałam się Kitowi i zastanawiałam, czy sam wpadł na tę myśl, czy też podsunął mu ją ojciec. Zresztą bez obecności Juliana cała ta rozmowa była tylko gdybaniem. Lubił sam przedstawiać swoje racje i zaskakiwać ludzi opiniami - zwykle przeciwnymi do tych, o które go posadzali. Był jednak daleko, a Kit z tymi niebieskimi oczyma, uśmiechem oraz zapachem drzewa sandałowego i tureckich papierosów na wyciągnięcie ręki. Nagle coś mi przyszło do głowy.

- Nie będziesz chyba chciał, żebym się ochrzciła? Roześmiał się.

- Uchowaj Boże. Uwielbiam cię taką, jaka jesteś.

- I myślisz, że twój ojciec nie będzie nalegał? Bo nie zrobię tego, wiesz. Nie mogę.

Przypomniałam sobie ze zgrozą ten jeden raz, kiedy zajrzałam do katedry Świętego Szczepana w Wiedniu. Lało jak z cebra, a ja nie zabrałam z domu płaszcza przeciwdeszczowego ani parasolki. Trzymałam w ręku lukrowane ciastko daktylowe, które lada moment by się rozpuściło, i dałam nura do wnętrza kościoła, szukając suchego kącika, żeby je spałaszować. Jakiś ksiądz w czarnej sutannie ściągnął brwi, kiedy zobaczył, że jem, więc wpakowałam całe ciastko do buzi, zanim zdążył mnie obsztor-cować. Kiedy starałam się nim nie zadławić, zauważyłam groteskową marmurową rzeźbę. Przedstawiała mężczyznę w agonii na białym krzyżu: spływał kamienną krwią, czoło miał rozorane przez ciernie, usta zaciśnięte, na zawsze gotowe do krzyku. I oni myślą, że my to zrobiliśmy? Nic dziwnego, że nas nienawidzą. Dopóki nie zobaczyłam tego posągu i nie poczułam mdlącej woni palonego kadzidła, nie rozumiałam, jak bardzo inne dziewczęta w szkole różnią się ode mnie, Margot i pozostałych żydówek. Od tamtego czasu nie jem daktyli. Wzdrygnęłam się, gdy poczułam chłodny powiew marcowego wiatru przez cienki splot swetra.

- Nie zrobię tego. Nie mogę.

- Kochanie, już mówiłem, nie ma takiej potrzeby. A ty? Chcesz, żebym przeszedł na judaizm?

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i nasadził ją na głowę niczym prowizoryczną jarmułkę.

- Nie bądź niemądry. Oczywiście, że nie.

- Świetnie, zatem postanowione. Będziemy na wskroś nowocześni. Herr Landau nam pobłogosławi, mój ojciec tak samo. I będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Tak jak w romansach.
- Właśnie. Tyle że bez tej całej tafty.

Pochylił się i pocałował mnie, jego długie rzęsy muskały mój policzek. Mogłabym całować się z nim całą dobę bez przerwy. Podejrzewałam, że właśnie to May i pokojówki na przychodne nazywały „migdaleniem się”. Wziął mnie za rękę i przesunął palcami po knykciach. Próbowałam wyrwać dłoń - skórę miałam szorstką i spierzchniętą od godzin spędzonych na szorowaniu i się wstydziłam. Dżentelmeni powinni podziwiać aksamit skóry swoich ukochanych, a nie ich nagniotki i połamane paznokcie. Violetta może i była kurtyzaną/kurwą, ale dałabym sobie głowę uciąć, że ten problem jej nie dotyczył - z pewnością miała dłonie miękkie niczym kaczki puch. Poczułam się jak podstarzała Julia z szorstkimi łapami i grubymi kostkami u nóg. Kit świetnie nadawał się na Romea, mimo że kojarzył się bardziej z leniuchowaniem, papierosem i szklaneczką ginu niż przebijaniem kolegi mieczem.

- Popatrz, dmuchawiec. Pierwszy w tym roku. - Wskazał na białą puszystą kulkę rosnącą w żółtej płataninie mleczy, którymi zielona trawa była usiana niczym niebo gwiazdami na dziecięcym rysunku. Ześlizgnął się na ziemię, zerwał go i wyciągnął w moją stronę.

- Męska stałość - oświadczył i dmuchnął, posyłając na wiatr chmurę puchowych parasoli.

Wprawdzie nie byliśmy z Kitem zaręczeni, ale moje życie w Ty-neford się zmieniło. Pan Wrexham spytał, czy chcę się przenieść do większej sypialni, ale odmówiłam. Zdażyłam polubić moją facjatkę. Leżąc na łóżku na samym szczycie domu, wyobraża-

łam sobie, że siedzę na maszcie wysokiego statku i mam najlepszy widok na bezkresne morze, lepszy niż sam kapitan. Pan Wrexham, choć zaskoczony, zgodził się, żebym póki co została na poddaszu, ale już następnego dnia rano po deklaracji Kita, po raz pierwszy stałam się „Miss Landau”. Wezwał mnie do swojej służbówki i ni stąd, ni zowąd zaproponował herbatę, co tak mnie zdumiało, że odmówiłam. Twarz lokaja się ściągnęła i zrozumiałam, po fakcie, że odmowa była błędem. Kiedy więc pokazał, żebym spoczęła, usiadłam tak gwałtownie, że o mały włos nie minęłam się z krzesłem. Pan Wrexham, wzór manier w każdym calu, zdołał udać, że nie zauważył. Usadowił się na krześle naprzeciwko, z plecami prostymi jak topole przy podjeździe, złączonymi kolanami i połami fraka wiszącymi z tyłu. Białe dłonie złożył na podolku.

- Sytuacja jest cokolwiek delikatna, miss Landau. Pan Rivers poinformował mnie, że choć panienka i panicz Kit jeszcze się nie zaręczyliście, taki rozwój wydarzeń jest wysoce prawdopodobny. - Urwał. - To czyni pani położenie cokolwiek problematycznym. Nie może pani dalej pracować jako pokojówka, miss Landau. Jednak, ponieważ zaręczyn jeszcze nie było, musimy postępować z dużym taktem.

Wyjaśnił następnie, że moje obowiązki przejmą służące na przychodne oraz May (pan Rivers nie mógł ani minuty dłużej ścierpieć, by jego przyszła synowa myła mu podłogi czy ścieliła łóżko), ale miałam pomagać pani Ellsworth w prowadzeniu gospodarstwa, co rzekomo było szlachetniejszym zajęciem i polegało, o ile wiedziałam, na układaniu kwiatów i menu posiłków. Od garnków i gotowania umiałam się trzymać z daleka. Moje dłonie powinny być gładkie i niesplamione pracą, kiedy przyjdzie czas wsunąć obrączkę na palec.

- Pozostaje niezręczna kwestia posiłków. Do czasu oficjal-

nich zaręczyn i pojawienia się zawiadomienia w „Timesie” nie wypada, by jadała panienka z rodziną. Ale nie może też panienka się dłużej stołować w jadalni dla służby. Postanowiono zatem, że będzie pani jadać w pokoju dziennym. Staralam się nie skrzywić.

- Sama?

- Na razie, miss Landau.

- Dobrze, panie Wrexham. Ściągnął nieznacznie brwi.

- Proszę wybaczyć śmiałość. Okoliczności się zmieniły. Za pozwoleniem panienki teraz jestem „Wrexham”.

Pokreśliłam głową.

- Nie. Tak jak pan powiedział, zaręczyny jeszcze się nie odbyły. Funkcjonuję na pograniczu dwóch światów. Dopóki ja nie zostanę panią Rivers, pan zostanie panem Wrexhamem.

Nie uśmiechnął się, ale kiwnął zdawkowo głową.

- Wedle życzenia, miss Landau.

Razem z kwietniem przysłyły wiosenne przymrozki, które oszroniły okna koronkowymi wzorami i poplamiały bielą żółte kobierce pierwiosnków. Czarne tulipany w brązowych donicach na tarasie zwieszały się pod ciężarem lodowych klejnotów niczym obsypane kryształami damy w sobolowych futrach. Noce zrobiły się zimne i bezchmurne. Pan Rivers pozwolił mi zadeszować do Margot ze szczęśliwymi wieściami i nie narzekał, kiedy nadałam do niej entuzjastyczny i nieoszczędny w słowach telegram.

WSZYSTKO DOBRZE STOP LEPIEJ NIŻ DOBRZE STOP
WSPANIALE STOP ANNA JULIAN PRZYJEŹDŻAJĄ DO
TYNEFORD STOP SPALIŁAM CZEPEK I FARTUCH STOP KIT
MNIE KOCHA STOP

MUSICIE PRZYJECHAĆ Z ROBERTEM DO ANGLII STOP ZABIERZ PARASOL STOP BARDZO TU MOKRO STOP

Diana i Juno wyjechały do Londynu, zabierając ze sobą ostatnich kolegów Kita. Ponieważ nie zaręczyliśmy się jeszcze oficjalnie, nie było sensu im o niczym mówić, a pan Rivers i szczywany kamerdyner zdołali utrzymać mnie z dala od nich podczas tych kilku dni, zanim wybyły. Ale w sprawach miłości obie były nie w ciemną białą i Diana, w głębokim przeświadczeniu, że wystrychnięto ją na dudka, wodziła za mną oczyma gestapowca.

Wieczorem na dzień przed jej odjazdem poszłam na górę i zastałam ją siedzącą na moim łóżku. Szuflady komody były powysuwane, ich zawartość walała się po podłodze w nieuporządkowanym kalejdoskopie majtek, staników, bluzek i rękawiczek.

- Znalazłaś, czego szukałaś? - spytałam, czując ulgę, że nie muszę już tytułować jej jaśnie panienką.

Wzruszyła ramionami.

- Nie. Nie wydaje mi się. Bo te perły nie są chyba kradzione? - Wskazała piękny sznur klejnotów wyciągnięty z kryjówki w pończosze.

- Obawiam się, że nie. To moja własność.

- Szkoda - stwierdziła beznamiętnie. Zaczęłam porządkować swoje rzeczy.

- On powinien być mój, wiesz o tym - stwierdziła. Zasunęłam z trzaskiem szufladę i oparłam się o komodę. Bez

dwóch zdań, Diana była śliczna - z tą twarzą w kształcie serca w obramowaniu złotych pukli i ustami jak dwa płatki róży.

- Owszem. Może i powinien - powiedziałam.

Ale jest mój, pomyślałam i obie usłyszałyśmy te słowa, choć nie wypowiedziałam ich na głos.

Potem przyszedł maj z kwitnieniem jabłoni, dzwonekami na klifach, pocałunkami na dobranoc i wartym trzydzieści milionów funtów złotem Banku Anglii wyekspediowanym na dwóch okrętach wojennych do Kanady. Kukułki nawoływały z ciemnych lasów, ogrodnicy z Tyneford sadzili w równych rzędach kapustę, mężczyźni zastanawiali się, czy zostanie ogłoszony pobór, a pan Wrexham denerwował się zamętem, jaki wywołany nim odpływ ludzi wprowadzi do jego drobiazgowego planu prac służby. Kit co wieczór omawiał z panem Riversem strategię uzyskania wiz wyjazdowych dla moich rodziców. Choć nie jadałam z nimi, po posiłku pozwalano mi do nich dołączyć i nalewać kawę.

Odstawiłam błyszczący imbryk na tacę, poczęstowałam się kawałkiem gorzkiej czekolady i usiadłam obok Kita, który natychmiast oparł mi na ramieniu blond głowę.

- Chcę na własne uszy usłyszeć to „nie” - powiedział pan Rivers, którego zmęczyły już grzeczne, acz wykrętne odpowiedzi z niemieckiej ambasady. „Ogromnie żałujemy... pokornie prosimy o wybaczenie... niewielka zwłoka... do Wielkanocy... przed świętym Michałem”. - Mam już powyżej uszu tego mydlenia oczu. Umówiłem się na spotkanie w ambasadzie. Porozmawiam z tymi ich gryziopiórkami i zobaczymy, czy uda nam się uporać z tym nonsensem - oznajmił w niezachwianym przekonaniu, że kiedy dwóch rozsądnie myślących ludzi spotka się w jednym pokoju, szybko wypracuje kompromis. Nie byłam w stanie mu wytłumaczyć, że niemieccy biurokraci nie są ani kompromisowo nastawieni, ani rozsądni w brytyjskim rozumieniu.

- Pojadę z tobą - zaoferował Kit.

- Tak. I ja też.

Poczułam swędzenie w dłoniach na samą myśl o spojrzeniu wrogowi w twarz - przekonam się, czy jestem w stanie go za-

wstydzić. Tak bardzo chciałam coś zrobić, żeby pomóc Annie i Julianowi. Miałam po dziurki w nosie swojej bezsilności. Pan Rivers ściągnął brwi.

- Kit, możesz pojechać, jeśli chcesz. Ale ty, Elise, powinnaś zostać. Twoja obecność może tylko zaszkodzić.

- Chodzi o moich rodziców.

- Więc jeśli chcesz im pomóc, zostaniesz. Wątpię, by ludzie z ambasady chcieli w ogóle z tobą rozmawiać.

Frustracja przerodziła się w gniew.

- Bo jestem Żydówką. Mam już tego po dziurki w nosie. Teraz już tylko tym zostałam, choć nawet nie wiem, co to znaczy. Jem wieprzowinę i nienawidzę Boga. Ale dla nich tylko to się liczy. I dla pana też, panie Rivers. Elise nie może poślubić Kita, bo jest cholerną Żydówką.

Popatrzyli na mnie obaj, zszokowani tym wybuchem. Zdaje się, że nie takiego zachowania oczekiwano po miłych angielskich dziewczętach, tym bardziej po zatrudnionych z litości pokojówkach. Wiedziałam, że powinnam zalać się łzami, żeby zatrzeć złe wrażenie, ale byłam zbyt wściekła.

- Nie zamierzam przeproszać - oświadczył pan Rivers. - Staram się zrobić, co mogę, dla twoich bliskich. Proszę tylko, żebyście poczekali chwilę. Jesteście oboje jeszcze bardzo młodzi.

Teraz naprawdę miałam ochotę się rozplakać.

- Przepraszam. Strasznie mi przykro.

Poprosiłam ich o wybaczenie i wymknęłam się w chłód ogrodu. Stałam sama na tarasie, kuląc się ze wstydu i odrazy na myśl o tym, na jaką niewdzięcznicę wyszłam.

Pan Rivers nie był jednak pamiętliwy i uśmiechnął się do mnie, kiedy, z pewnym wahaniem, wróciłam do pokoju po jakimś czasie.

- Chodź - powiedział. - Podajmy sobie ręce. Przyjaciele mogą się czasem pokłócić.

Uścisnęliśmy sobie z powagą dłonie i przycupnęłam na podnóżku przy kominku.

- Zatem wszystko ustalone - stwierdził Kit. - Jedziemy jutro. Chcesz, żeby ci coś przywieźć z miasta? Coś dla pani Landau może?

Łzy napłynęły mi do oczu, wiedziałam, że nie zasługuję na tyle dobroci z ich strony.

- No, jeśli tak mówisz. Anna uwielbia zapachowe sole kąpielowe.

Kit się wyszczerzył.

- Na to chyba mogę się szarpnąć. Coś jeszcze?

- Hildegarda zawsze wkładała do szuflad jej komody małe saszetki z lawendą i pączkami róż.

- Załatwione. Pójdę do Liberty's. Uznają mnie tam od razu za zakochanego, skoro proszę o takie rzeczy.

- A pan Landau? Co pija? - spytał pan Rivers. - Wrexham dba, żeby piwniczka była doskonale zaopatrzona, ale może twój ojciec ma jakąś ulubioną kontynentalną wódkę?

Uśmiechnęłam się.

- Dziękuję. Obaj jesteście dla mnie tacy dobrzy. Julian nie jest wybredny. Lubi wszystkie gatunki czerwonego wina. Nie przepada za mocnymi alkoholami.

Po prawdzie określał „kontynentalne wódki”, takie jak sznaps czy kirsch, uwielbiane przez stryjeczne babki, mianem „trucizny starych kwok”. Rozciągnęłam się przed kominkiem i dumiałam nad tym, ile mam szczęścia. Większość służących była wniebowzięta, jeśli usłyszała miłe słowo od pana domu. Bóg jeden wiedział, że na to wszystko nie zasługiwałam. Mimo to, wyjąwszy mój wybuch tego wieczoru, zauważyłam, że przy mnie ojciec

i syn czują się w swoim towarzystwie swobodniej. Znikała wtedy ta niezręczna bliskość, potrzeba rozmawiania ze sobą twarzą w twarz, zamiast tego mogli mi opowiadać o Tyneford, dziejach domu i jego poprzednich mieszkańców: babki Julii, która tak panicznie bała się psów, że zemdląła kiedyś na widok lisa na wzgórzu; wujka Maksa, który dla odmiany wołał psy od ludzi, zwłaszcza od swojej kostycznej żony. Wydawało się, że w krzepiącej obecności osoby trzeciej pan Rivers i Kit nawet czerpią przyjemność ze swojego towarzystwa. Mogli mówić, nie rozmawiając. Ich obiady trwały coraz krócej i krócej, aż w końcu ledwo zdążyłam skończyć spożywane w samotności pierwsze danie, a już zjawiał się u mnie pan Wrexham, prosząc, bym przeszła do salonu i naląka kawę.

- Zagramy w karty? - spytał pan Rivers. Kit poruszył się i przeciągnął.

- Nie, nie dzisiaj.

- A może upiec ci tost w kominku? - zaproponowałam. Kit się wyprostował.

- O tak. Doskonale.

Pociągnęłam za dzwonek i poprosiłam pana Wrexhama, żeby przyniósł chleb, masło i widelec do tostów z pokoju pani Ellsworth. Kiedy wrócił, uklękłam przed rozżarzonymi węglami, nabiłam kromkę chleba na ząbki i trzymałam ją nad ogniem. Zrumieniła się na złoty brąz, a mnie policzki zrobiły się różowe od ciepła. Kit zakradł się do mnie od tyłu i przycupnął na podłodze przy kominku. Pan Rivers manipulował chwilę przy gramofonie i moment później pokój wypełniły dźwięki *Nokturnu f-moll* Szopena.

- Trochę tu nadymione - powiedziałam i Kit wstał, żeby otworzyć okno.

Razem z powiewem zimnego powietrza wpadł do pokoju huk

morza, odległy łoskot fal, niczym orkiestra basowa akompaniująca Szopenowi. Patrzyłam na blask ognia na twarzy Kita i jego ojca i wiedziałam, że już mi wybaczyli, że zapomnieli o kłótni. Nie miałam pojęcia, że jest to jedna z najszczęśliwszych chwil mojego życia. Było mi ciepło, czułam się kochana, muzyka grała i wiedziałam, że wszystko, co najlepsze, jeszcze przede mną. Ale taka już nasza ludzka natura, że patrzymy zawsze nie tam, gdzie trzeba.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czarne psy i białe rękawiczki

Minął gorący czerwiec. Ważki o skrzydłach w kolorze opalizującej zieleni flirtowały nad stawem w wiosce, brzęcząc niczym miniaturowe samolociki. Kit wyjechał do Cambridge na końcowe egzaminy i pojawił się dwa tygodnie później, uzyskawszy na dyplomie przyzwoite cztery. Pan Rivers ukrył rozczarowanie w butelce Veuve Clicquot rocznik 1928. Sączyliśmy szampana, wznosiliśmy toasty i byłabym szczęśliwa, gdyby nie stały niepokój o rodziców. Każdego ranka przemierzałam niebieski pokój gościnny, który przygotowano na ich przyjazd: w oknach wisiały świeżo uprane zasłony, saszetki z lawendą odświeżały szuflady komody, kryształowe buteleczki perfum stały na toalecie. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie Annę, jak leży w bawełnianej piżamie rozciągnięta na łóżku w oczekiwaniu na kawę, którą przyniosę, i Juliana w szlafroku bazgrzącego coś w oprawionym w skórę notesie przy oknie. Z chwilą ich przybycia ostatnie kilka miesięcy zmieni się z miejsca w zabawę, wszystko stanie się takie proste i szczęśliwe z perspektywy czasu niczym bajka kończąca się połączeniem rodziny, a po roku zaślubinami w ogrodzie. Zastanawiałam się, czy Robert i Margot zdążą przyjechać na czas, by siostra została moją druhną.

Ostatniego dnia lipca pan Wrexham pojawił się na dziedziń-

cu stajennym, gdzie pomagałam Artowi szczotkować Pana Bobbina. Podał mi list na srebrnej tacy.

- Miss Landau. Chwyciłam go i otworzyłam.

Kochana Fasolko!

Nadeszła wiza! Nadeszła. Nie bardzo w to wierzę, ale trzymam ją w dłoni. Przyjeżdżamy. Naprawdę. Ojciec ustawi się w kolejce, zapłaci podatek wyjazdowy (nie mam pojęcia, jak zdołamy się odwdziaczyć panu Riversowi) i już będziemy z Tobą. Napisz mi, jak wygląda Tyneford o tej porze roku. Mówiłaś, że kuchnia na wątrobie Ci „nie leży”. Tak zdaje się brzmie ten angielski idiom. Nie przepadam za podrobami, ale chyba do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Przestałam czytać, porwałam Arta w ramiona i wycisnąwszy mu głośnego całusa, pognałam do domu, wołając Kita i pana Riversa.

- Jest wiza! Przyjeżdżają.

29 sierpnia. Rozłożyliśmy z Kitem koc piknikowy na trawie w ogrodzie. On chciał się wspiąć na szczyt Flowers Barrow albo iść popływać, ale ja wołałam poczytać gazety i napisać kolejny list do Anny. Już ich nie wysyłałam, bo nie miały szansy dotrzeć na miejsce przed wyjazdem rodziców, ale przechowywałam wszystkie w futerale altówki. Bałam się, że mogę o czymś zapomnieć, opowiadając później mamie wydarzenia ostatnich kilku miesięcy. Wyobrażałam już sobie, jak będzie siedziała na wyściełanym leżaku w cieniu wielkiego dębu i czytała pakiecik listów, cicho chichocząc i popijając mrożoną herbatę.

Czytywałam regularnie „Daily Mirror” Arta i „Timesa” pana Riversa, które teraz, rozłożone dokoła na trawie i przyciśnięte kamieniami, wydymały się i łopotały na wietrze niczym spętane mewy, Kit przetoczył się na plecy i osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem późnoletniego słońca.

- No i? Co powiedział pan Churchill dziś rano? Przerzuciłam z szelestem stronicę „Daily Mirror”.

- „Nikt nie wie, co się wydarzy na świecie. Ani kiedy dojdzie do najgorszego”.

Kit otworzył oko.

- Anna i Julian przyjadą lada dzień.

W końcu przejął mój zwyczaj mówienia o nich po imieniu.

- Lada dzień - powtórzyłam.

- Daj spokój, kochanie. Zamartwianie się nic nie pomoże. Będą tu ani się obejrzysz.

Przeniosłam wzrok na gazetę.

- „Wszystkie brytyjskie jednostki pływające są w chwili obecnej pod kontrolą marynarki wojennej. Od północy w sobotę każdy pływający brytyjski statek znalazł się pod rozkazami Admiralicji”.

- O. Burt będzie wniebowzięty, że *Lugier* jest teraz częścią floty wojennej - stwierdził Kit, gładząc pociemniałe od słońca piegi na moim ramieniu. - Idziesz popływać? Jest tak cholernie gorąco.

- Nie, dzięki. Zostanę tu jeszcze chwilę.

- Jak chcesz. Jeśli zmienisz zdanie, będę na plaży Worbarrow.

- Dobrze. - Wycisnęłam mu całusa na nosie. - Daj mi godzinę.

Patrzyłam, jak oddala się w kierunku plaży w swoich białych butach do tenisa. Dni spędzone na słońcu nadały jego włosom jaśniejszy odcień złota, a skóra nabrała barwy intensywnego

brązu. Kusilo mnie, by porzucic prasę i za nim pobiec. Pływał jak ryba, prując zielone fale silnymi uderzeniami muskularnych ramion. Później rozciągal się na skałach w samych szortach, lśniący i sprężysty niczym kałan. Tak, uznałam. Gazety i list do Anny mogą poczekać. Postanowiłam zabrać z domu strój kąpielowy i ręcznik. Podniosłam się, strzepnęłam szkarłatną bożą krówkę z bluzki i ruszyłam na taras. Dobiegł mnie chrzęst opon na żwirze, a potem trzask-prask drzwiczek samochodu. Pan Rivers wybrał się na swój codzienny spacer po wzgórzach, a Art nigdy nie wyjeżdżał autem bez niego. Nie spodziewaliśmy się żadnych gości. Serce zabiło mi mocniej. Anna. Julian. To muszą być oni. Ślizgając się na kamieniach, rzuciłam się w kierunku domu. Wybiegłam z za węgla i stanęłam jak wryta.

Anna i Julian stoją na podjeździe. Z ust wymyka mi się jakiś dźwięk, przez chwilę myślę, że to krzyk mewy, nie mój. Są tutaj. Powtarzam te słowa raz po raz, nie bardzo w nie wierząc. Chwilę później tonę już w ramionach Anny i och, w zapachu jej perfum. Z bliska dostrzegam pasemka siwizny w złocie jej włosów, a Julian jest chudy, szczuplejszy, niż gdy go ostatni raz widziałam, ale to nieważne, bo teraz będą karmieni ciastem agrestowym z kruszonką, dopóki znowu nie nabiorą ciała. I płacze, i nie mogę złapać tchu, i tyłam wyprasowany len kołnierzyka mamy.

- Kochanie, już dobrze - mówi Julian. - Wszystko jest już dobrze.

Biorę go za rękę, prowadzę oboje na taras i siedzimy w ciepłe popołudnia. Motylek ląduje na klapie żakietu Anny, a ona spogląda na niego dobrotliwie.

- Lepiej uważaj, bo za bardzo mi się spodobaś i przerobię cię na broszę - mówi.

Nie odrywam oczu od rodziców i widzę, że wcale się nie zmienili: są może trochę starsi i bardziej wycieńczeni, ale poza

tym tacy sami. Anna się uśmiecha i na czole wykwita jej zmarszczka. Julian wyciąga przed siebie nogi i widzę zachwycona, że skarpetki ma nie do pary. Jest za wiele do powiedzenia, więc milczymy i tylko słuchamy morza. Na falach żaglówka, halsując, płynie na drugą stronę zatoki. Chcę im o wszystkim powiedzieć: że w komodzie Anny czeka na nią lawenda, a pan Rivers naszykował butelkę Château Margaux, żeby uczcić ich przyjazd. Chcę, żeby poznali Kita. Chcę, żeby Anna go pokochała. Szkarłatne pelargonie w donicach z terakoty mają taki jaskrawy, płomienny odcień - krzykliwej, śmiałej czerwieni - i postanawiam, że już zawsze będę miała pelargonie na tarasie, żeby mi przypominały o tej chwili. I chcę zapytać o cioteczne babki, ale nie mogę, bo jestem egoistką i nie chcę zmać szczęścia, które czuję, i próbuję wymyślić, co by tu powiedzieć - cokolwiek, byleby tylko oderwać myśli od trzech starych kobiet zostawionych w Wiedniu - i odwracam się do Juliana i pytam: „O czym jest powieść w altówce?”.

To wszystko wydarzyło się w jednym cyknięciu kieszonkowego zegarka. Stałam, zamrugałam i już byłam sama na podjeździe. Fatamorgana zniknęła, ale całym sercem pragnęłam, żeby to byli Julian i Anna. Słyszałam trzaskanie drzwiczek samochodu i zauważyłam policyjny wóz zaparkowany przed domem. Tylko dlaczego przywiozła ich policja? Przecież Art odebrałby ich ze stacji, ale nie miało to znaczenia, nie teraz. Południowe słońce mnie oślepiało. Osłoniłam oczy dłonią i przeczesywałam wzrokiem podjazd w poszukiwaniu rodziców.

- Anno! To ja. Tato? - zawołałam, nic nie widząc.

- Panienko? - powiedział jakiś głos. Odwróciłam się i ujrzałam posterunkowego w mundurze z okrągłym hełmem wciśniętym pod ramię.

- Tak? - rzuciłam zniecierpliwiona.

- Rozumiem, że w tym domu jest zatrudniona austriacka pokojówka.

- Już nie. Czy przyjechało z panem małżeństwo? Jasnowłosa kobieta i wysoki brunet z...

- Hola, panienko, wolniej. Nie rozumiem, kiedy mówisz tak szybko.

Do posterunkowego dołączył jego kolega: pulchny młodzieniec dumnie obnoszący brązowe pierwociny zarostu nad górną wargą.

- Panienska jest obywatelką brytyjską? - spytał.

- Nie. Jestem Austriaczką. Ale to nieważne. Gdzie jest Anna? Gdzie Julian?

- Nikogo tu nie ma oprócz nas, panienko. Musi panienska pójść z nami. Proszę się nie bać. Pojedziemy tylko na posterunek.

Próbowałam słabo protestować, ale otumaniona rozczarowaniem, dałam się wepchnąć na tył samochodu. Prześladowała mnie mglista świadomość, że nie mam na sobie kapelusza i płaszcza. Anna wpajała mi wiele razy, jak ważne jest, by nigdy nie pokazywać się publicznie z gołą głową. Młody policjant zapalił silnik i samochód ruszył z łoskotem po żwirze. Z padoku nadbiegł Art, machając jak oszalały, żeby radiowóz się zatrzymał, ale posterunkowy dodał gazu i ruszyliśmy do przodu. Odwróciłam się i gapiłam na Arta, który mówił coś do mnie bezgłośnie za szybą.

Na posterunku wszyscy byli bardzo mili. Częstowali mnie filiżankami letniej herbaty i herbatnikami czekoladowymi, których nie chciałam, i prosili o wypełnianie niezliczonych formularzy. Puszysta sekretarka w źle leżącej tweedowej spódnicy i bluzce, która rozchyłała się, ukazując trójkąt gąbczastego brzucha, wyznała: „Kazano zgarnąć do sprawdzenia wszystkich »wro-

gich cudzoziemców«, którzy tu mieszkają. W tych stronach nie uświadczy się wielu przybyszów z kontynentu, więc jesteś jakby atrakcją". Nic na to nie odrzekłam i tylko sączyłam słodką jak ulepek herbatę. Rozpacz obezwładniła mnie. Jeśli internują obcokrajowców, którzy tu mieszkają, nie będą wpuszczać kolejnych. Granice Anglii zamykały się nieuchronnie jak muszla małża o zmroku. Ledwie zauważyłam, kiedy pani Tweedowa poprowadziła mnie do celi i, kajając się pod nosem, poprosiła posterunkowego, żeby mnie zamknął. Nie dbałam o to. Cieszyłam się, że w środku jest zimno. Cieszyłam się, że celę czuć wilgocią. Za oczyma narastał mi ból, kłujący i ostry jak nóż, którego pani Ellsworth używała do filetowania przepiórek, pod powiekami migwały oślepiające punkciki światła. Historia dzieje się gdzieś indziej. Mężczyźni maszerowali przez Europę. Książki Juliana, wyrzucone przez okno, gniły na deszczu, słowa spływały strużkami atramentu do kałuż. Herr Finkelstein został skatowany tak mocno, że kiedy wrócił do domu, do Esther, wypluwał na dywan zęby jak ziarna kukurydzy. Nawet to nie było wystarczająco istotne dla historii. Historia to cała flota okrętów, nie kuter rybacki Berta szukający śledzi w zatoce. Siedząc na podłodze celi, poczułam muśnięcie jej włochatego ramienia na rękę. Zobaczyłam dwa wielkie czarne psy goniące Annę i Juliana po polach na szczycie wzgórza. Czarne psy z białymi kłami i szeroko rozwartymi czerwonymi paszczami. To nie były psy, tylko wilki, które uciekły z mojej starej książki z baśniami. Anna i Julian muszą biec, biec, biec. Kit przyjdzie i mnie uwolni, ale Anna i Julian muszą uciekać.

- Natychmiast, powiedziałem. Natychmiast. - Usłyszałam znajomy głos na zewnątrz.

Chwilę później otwarto drzwi celi i wszedł pan Rivers. Podbiegłam do niego i rzuciłam mu się w ramiona, zanosząc się spazmatycznym płaczem, od którego drżały mi ramiona. Przycisnął mnie do piersi i wyszeptał:

- Ciii, Elise. Ciii. Jesteś bezpieczna. Obiecuję, że cię nie zabiorą.

Próbowałam wyjaśnić, że nie chodzi o mnie, tylko o Annę i Juliana, ale nie byłam w stanie wydusić ani słowa. Pan Rivers zdjął swoją marynarkę i otulił mi nią ramiona. Oparłam się o niego, usiłując stłumić łkanie, a on ścierał mi kciukiem łzy z policzka i pocałował mnie w czubek głowy.

- Cii. Samochód czeka na dworze. Zabierzemy cię do domu. Skinęłam głową w osłupieniu, a potem zwymiotowałam na jego wypastowane półbuty.

Przespałam wybuch wojny. Migrena trwała cztery dni i obudziłam się w nie swoim pokoju. Dokoła panowały ciemności choć oko wykol. Łóżko było miękkie i obce, czułam zapach róż, słodki i mdlący. Pomyślałam, że uduszę się tymi różami i ciemnością, i krzyknęłam. Drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka żółte światło, i zaraz u mojego boku pojawiła się pani Ellsworth i mnie przytuliła.

- Już dobrze, kochanie. Źle się czujesz. Proszę, napij się. Zmusiła mnie do wypicia napoju z jęczmienia i cytryny. Zrobiło mi się trochę lepiej i głupio, że podniosłam taki raban.

- Jestem w niebieskim pokoju - oświadczyłam. W świetle z korytarza zasłony i tapeta błyszczały jak wieczorne niebo.

- Tak, kochanie. Umęczyłam sterane kolana, wdrapując się na to poddasze, żeby do ciebie zajrzeć.

Zauważyłam ekrany zaciemniające przymocowane do okien. Wojna.

- Czy były już jakieś bombardowania, pani Ellsworth?

- Nie, panienko. Nawet w Londynie.

W jakiś pokrętny sposób ucieszyłam się, że nic mi nie przeszło koło nosa. Dziwnie było położyć się spać, gdy panował pokój, i obudzić w środku wojny, nawet jeśli nie doszło jeszcze do starć. Czy w Europie zaczęły się już walki? Gdzie są Anna i Julian? Poczułam pulsowanie bólu za oczyma i ucieszyłam się z zaciemnienia.

- O, ależ panienka nastraszyła obu panów. Kiedy pan Rivers wrócił ze spaceru i odkrył, że panienka zniknęła, wsiadł do samochodu i odjechał. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie za kierownicą. Jechał jak szalony. Dostałam palpitanii z obawy, że się rozbije. - Urwała i zaczęła się wachlować dłonią, jakby chcąc ostudzić wspomnienie. - A co tu się działo, kiedy panicz Kit wrócił z plaży i zobaczył, że panienki nie ma, a pan odjechał samochodem! No! Powiem ci, moja droga, był jak otumaniony. Potem wparadował pan Rivers z panienką na rękach. Panicz Kit odchodził od zmysłów. Nie uspokoił się, dopóki nie przyszedł lekarz i nie powiedział, że to atak nerwowy. Nig-rena czy jakoś tak.

Ze wstydem, że w ogóle coś podobnego przychodzi mi do głowy, poczułam żal, że nie pamiętam, jak pan Rivers wniósł mnie do domu na rękach, a Kit nie mógł sobie znaleźć miejsca ze zdenerwowania. Brzmiało to bardzo romantycznie w ustach pani Ellsworth. Gdybym tylko nie zepsuła wszystkiego, wymiotując na buty pana Riversa. Ani Violetta, ani Julia, ani nawet Jane Eyre nigdy by czegoś takiego nie zrobiły. Anna też nie.

Wzdrygnęłam się, skuliłam na boku i podciągnęłam kolana pod brodę. Kiedy byłam mała i zdarzało mi się chorować, Anna

zawsze gładziła mnie po uszach. Nie cierpiałam tego. Łaskotało, dźwięk był za głośny i zawsze strzepywałam jej rękę zirytowana, ale w tamtej chwili tak bardzo zapragnęłam poczuć na uchu jej dotyk, że aż bolało.

Rozległo się ciche stukanie, podniosłam wzrok i zobaczyłam w drzwiach pana Riversa.

- Obudziłaś się. - Twarz powoli rozjaśnił mu uśmiech.

- Może pan wejść i z nią posiedzieć - zaproponowała pani Ellsworth, widząc, że się waha i nie chce pakować się dalej bez pozwolenia. - Ja muszę zejść na dół przynieść jej kolację.

Wyszła z pokoju i pan Rivers przyciągnął sobie głęboki fotel do łóżka. Powodowany impulsem ujął moją dłoń. Przez jakąś minutę nic nie mówił. Zaczynał raz czy dwa, ale urywał. W końcu chwycił moją rękę w obie swoje i odezwał się cicho:

- Elise, strasznie mi przykro. Wybuchła wojna. Wszystkie wizy anulowano. - Ścisnął mi palce tak mocno, że zabolalo. - Tobie nic nie grozi. Nie pozwolę, żeby znowu cię zabrali. Ale państwo Landau... Nie wpuszczą ich do kraju. Nic nie mogę już zrobić. Możemy tylko czekać i mieć nadzieję, że to szaleństwo szybko się skończy.

Zmusiłam się do oddychania.

- Wie pan, gdzie oni są? Pokręcił głową.

- Mam człowieka w Paryżu. Będzie próbował się czegoś dowiedzieć. - Sięgnął po szklanę z wodą. - Proszę, wypij to. Jesteś bardzo blada.

Próbowałam się napić, ale ręce mi się trzęsły i naczynie się przechyliło, a zawartość pociekła na pościel. Pan Rivers wziął je ode mnie, odgarnął mi włosy z twarzy i przystawił szklanę do moich ust.

- Gdzie jest Kit? - spytałam, gdy odstawił ją na stolik nocny.

- Wysłałem go na dwór, żeby zaczerpnął trochę powietrza. Zaczął już wydeptywać dziury w dywanach tym swoim chodzeniem z kąta w kąt. Gdy tylko wróci, przyślę go tu do ciebie.

Patrzył na mnie w milczeniu. Byłam zbyt zmęczona i nieszczęśliwa, by czuć wstyd czy się zastanawiać, dlaczego tak się we mnie wpatruje. Wiedziałam tylko, że wygląda na równie zgnębionego jak ja.

Czułam, jak ciemności spowijają dom. Pojawiły się razem z zaciemnieniem, gdy spałam, ale potem pani Ellsworth zdjęła żaluzje, a mrok pozostał. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że żyłam w Arkadii, dopóki nie nadszedł czas jej opuszczenia. Potworny żart polegał na tym, że na razie wszyscy pozostaliśmy niezmienieni i tylko miejsce dookoła nas się zmieniało. Drzewa, ogrody i zarośla wydawały się wciąż takie same, dom niby też się dostrzegalnie nie różnił, ale coś było już inaczej. Wtedy jeszcze sobie tego nie uzmysławialiśmy, ale nasze życie w Tyneford nabrało innego charakteru i błyskawicznie zbliżaliśmy się do ostatecznej zmiany, czy byliśmy na nią gotowi czy nie.

Nazajutrz rano Kit wpadł do mojego pokoju obładowany tacą ze śniadaniem. Pani Ellsworth czaiła się w drzwiach, podejrzewając, że wyleje sok pomarańczowy i wywali marmoladę na jej nieskazitelnie czysty dywan. Kiedy postawił wszystko chybotliwie na stoliku nocnym, sztuce się rozdzwoniły, imb-ryk z herbatą zabrzączał niebezpiecznie, a ja wyciągnęłam rękę, żeby złapać przewracający się dzbanuszek z mlekiem.

- No i widzisz, Flo? Poszło jak po maśle - zawołał do pani Ellsworth.

Przewróciła oczyma i zniknęła z zamaszystym machnięciem fartucha. Kit usiadł na brzegu łóżka. Żałowałam, że nie

zdażyłam się uczesać i umyć twarzy. Wolałam nie myśleć, jak potwornie muszę wyglądać. Dzień wcześniej zasnęłam, gdy tylko pan Rivers ode mnie wyszedł, a z Kitem nie rozmawiałam od czasu przygody na posterunku. Przyciągnął mnie do siebie i przytulił mocno.

- Tak mi przykro - powiedział i głos mu zadrżał. - Odszukamy ich, natychmiast gdy tylko wojna się skończy. Pojedziemy razem do Austrii. Czy Paryża albo Amsterdamu. Gdziekolwiek będą, odnajdziemy ich i sprowadzimy do Tyneford. Obiecuję.

Pokiwałam głową w milczeniu.

- Niewykluczone zresztą, że jeszcze sami przyjadą.

- Kit, nie. Proszę.

Nie chciałam rozmawiać na ich temat. Milczenie czyniło to wszystko trochę nierealnym. Rozluźnił uścisk, ale ręce nadal trzymał mocno na moich ramionach. Wyczuł mój nastrój i przyglądał mi się badawczo z cieniem uśmiechu igrającym na ustach.

- Wyglądasz okropnie - oznajmił z udawaną wesołością.

- Dziękuję - powiedziałam i odwróciłam głowę.

- Tak - rzucił pogodnie. - Naprawdę strasznie. Ohydnie po prawdzie. Dobrze, że jestem tak bezrozumnie w tobie zakochany. - Chwycił tacę ze śniadaniem i postawił ją na łóżku. - Mam bezwzględnie przypilnować, żebyś wszystko zjadła.

Popatrzyłam na niego spode łba, nadal zła, ale byłam głodna, więc wzięłam łyżkę i zaatakowałam jajko.

- No proszę, w jednej chwili witasz się ze śmiercią, już po chwili pałaszujesz jajko na miękko.

Próbował mnie pocałować, ale miałam usta pełne żółtka i go odgoniłam.

- Okrutnica - westchnął. - Flo ci mówiła, że tkwiłem tu kamieniem, gdy chorowałaś? Bardzo się o ciebie martwiłem.

- Tak. To bardzo miło z twojej strony. Ale już mi lepiej.

Obserwowałam go znad filiżanki z kawą. Co za ulga nie musieć już pić tej okropnej brązowej lury co rano. Zamoczyłam grzanekę w jajku.

Ciepłe wrześnie słońce wlewało się do pokoju. Kit otworzył okno i poczułam zapach wrzosu i morza.

- Przyniesiesz mi papier i długopis? Muszę napisać do Margot.

- Kochanie, możesz nadać telegram.

Pokręciłam głową i natychmiast tego pożałowałam, bo eksplodowała bólem.

- Nie. Niech się cieszy jeszcze kilkoma tygodniami nadziei i szczęścia. List i tak nadejdzie wystarczająco szybko.

Zaczęło się, a oni nie przyjechali. Musimy mieć nadzieję, że dotarli do Paryża. Kit przysięga, że ich odnajdzie, gdy wojna się skończy. I kiedy z nim jestem, nawet w to wierzę. Ty też musisz. Anna i Julian przyjadą do Tyneford, podobnie jak Ty i Robert i dwanaścioro Waszych dzieci i będziemy popijać lemoniadę i zajadać się kanapkami z ogórkiem w ogrodzie tonącym w słońcu.

- Pani Ellsworth, chciałabym wrócić do pracy - powiedziałam kilka godzin później, kiedy przyniosła mi stos czasopism i lunch.

Musiałam się czymś zająć. Czymkolwiek, byleby tylko nie leżeć tak beczynnie i nie myśleć. Ochmistrzyni krzątała się przy łóżku, poprawiając pościel i skubiąc nieistniejącą plamę na kocu.

- Może panienka zacząć układać menu i pomóc mi sortować bieliznę pościelową, kiedy się lepiej poczuje.

- Nie. Muszę pracować.

Głos mi zapiszczał z desperacji i ochmistrzyni przestała się

krzątać, odwróciła się i obrzuciła mnie wzrokiem. Przez chwilę pieczenie za oczyma pomagało, ale gdy ból znikł, wiedziałam, że muszę się czymś zająć: szorowaniem komórki przy kuchni, kopaniem grządek w ogrodzie warzywnym - wszystko jedno czym.

- Czy Henry już się zaciągnął? Bo to zrobi, dobrze pani wie - powiedziałam błagalnym tonem. - I chłopak ogrodnika też, May się nie wywinie od prac społecznych i kto wie, czy służące na przychodne zostaną. A pani i pan Wrexham nie podolacie sami wszystkim obowiązkom.

Ochmistrzyni uwijała się przy toaletce, ustawiając już poustawiane buteleczki z perfumami.

- Pan Rivers bardzo kategorycznie zapowiedział, że nie życzy sobie, żeby panienka myła podłogi. To niestosowne.

Prychnęłam. Jeszcze kilka miesięcy temu słałam mu łóżko i składałam jego piżamę.

- Teraz sytuacja się zmieniła. Zostanę wezwana do biura pośrednictwa pracy. Jeśli nie będę wykonywała jakiejś sensownej pracy w domu lub na farmie, odeślą mnie. Nie chcę trafić do fabryki. Wolę zostać tutaj, ale muszę pracować.

Ochmistrzyni cmoknęła cicho z niezadowoleniem.

- Panu Wrexhamowi się to nie spodoba - sarknęła.

- No to proszę mu powiedzieć, że jeśli mi nie pozwoli, pójdę prosto do mleczarza i zaproponuję, że będę mu doila krowy. Po prawdzie, to nawet nie dam głowy, czy to nie byłaby większa frajda...

- Nie, nie, panienko. Już dobrze. Powiem mu. - Pani Ellsworth obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem. - Ale to nic nie da. Nie wolno panience gotować. Ani postawić nogi w mojej kuchni.

Siedziałyśmy przed zwałistym piecem. Pani Ellsworth demonstrowała mi właściwą technikę obierania marchwi.

- Do świąt będzie po wszystkim - oznajmiła i wyrwała mi z rąk nożyk do warzyw. - W ten sposób, bez skrobania. A już najdalej do wiosny - zawyrokowała, gładko przeskakując międzywojennymi prognozami a warzywnym instruktążem. - Taki kweres. I jeszcze to wykopanie ziemniaków na schron przeciwlotniczy - labiedziła. - Co za marnotrawstwo. Po cóż ten cały pan Hitler miałby robić naloty na kartoflany zagon? Nie wróżę mu wielu sukcesów na wojnie, jeśli będzie bombardował cebule i pyry.

Nawet nie próbowałam jej wyjaśniać. Była święcie przekonana, że schron Andersona musi zostać wkopany na zagonie z ziemniakami, bo warzywa stanowią najbardziej prawdopodobny cel ataku, a nie dlatego, że osłonięty ogród przydomowy jest najbezpieczniejszym miejscem.

- Od tego całego zamieszania ściska mnie w dołku i nabawiłam się niestrawności.

Milczałam i pozwalałam jej dalej trajkotać. Padała z nóg. Podkuchenny, który, jak się okazało, miał osiemnaście lat mimo patykowatych nóg i pryszczycy (oraz innych cech, dzięki którym migał się wcześniej od najgorszej roboty w domu), natychmiast po wybuchu wojny zaciągnął się, zniknął w nocy i słuch po nim zaginął. To oznaczało, że pani Ellsworth miała o wiele więcej pracy w kuchni i moja pomoc stała się koniecznością. Kilku parobków też zgłosiło się do wojska na ochotnika, nie czekając na powołanie, i mleczarz musiał prosić o wyrękę córkę, co z kolei oznaczało, że ubyła nam jedna dochodząca pokojówka. Potem zaciągnął się Henry lokaj i dwunastego września wyruszył na szkolenie do Wiltshire, ku ogromnemu niezadowoleniu pana Wrexhama.

- Minimum tygodniowe wypowiedzenie. Tak nakazuje prawo - utyskiwał, gdy lokaj pojawił się u niego w pokoju w nowym zielonym mundurze i oddał swoją, ongiś tak cenioną liberię, która teraz leżała na stercie brudów do prania.

Henry wzruszył ramionami.

- No to nie płąćcie mi za ostatni tydzień. Ale to bardzo nie-patriotyczne. Jest wojna.

Oczywiście pan Rivers nie chciał nawet słyszeć, żeby Henry nie dostał ostatniej tygodniówki, i jeszcze pewnie poleciłby odwieźć go samochodem do Dorchester, gdyby nie fakt, że benzyna była reglamentowana. Tylko najkonieczniejsze podróże można było odbywać automobilem, ale Kit i pan Rivers i tak woleli jeździć z Artem i Panem Bobbinem, więc nie czyniło to wielkiej różnicy. Słuchałam, jak pani Ellsworth peroruje i nuci do taktu jakiś marsz z radia. Lubiłam siedzieć w kuchni. Przypominała mi o domu i godzinach spędzonych na przeszkadzaniu Hildegardzie, gdy piekła *sachertorte* albo kroila mięso na gulasz. Zapachy w kuchni pani Ellsworth były inne - gruszki, łój, skwierczący bekon, śledzie wędzone, babeczki i tarta - ale też mi się podobały. Właśnie wykonałam swoją pierwszą zapiekankę rybną i rozpierała mnie duma. Pani Ellsworth wyjęła ją z piekarnika wśród syku pary i postawiła na kuchence.

- No, no, niczego sobie. Ładna i brązowa. Proszę, niech panienka teraz pójdzie się umyć. Za pięć minut pan Wrexham zadzwoni na lunch.

Nie było sensu protestować. Opuściłam pośpiesznie kuchnię, żeby przygładzić włosy i ochlapać twarz wodą. Pomimo braku służby i ogromnej odległości między kuchnią a jadalnią obniżenie standardów nie wchodziło w grę. Rozkopanie zagonu z kartoflami i zniknięcie młodszej służby wytrąciło z równowagi ochmistrzynię, która teraz szukała ukojenia w szczegółach

uroczystego lunchu, zaplanowanego na pierwszą w wyłożonej boazerią jadalni. Widok pana Wrexhama, przechodzącego obok kuchennych drzwi z wyładowaną tacą i w perfekcyjnie wykroch-malonej koszuli, napełniał ją wiarą, że Anglia jest potężna i niezniszczalna. Wojny mogły sobie wybuchać, podkuchenni mogli znikać w szeregach marynarki, zasłony zaciemniające pokrywać drzwi balkonowe, a solidny jeszcze niedawno lokaj mógł rzucać posadę bez uprzedzenia, ale lunch musiał być podany pięć po pierwszej, a kamerdyner nosić białe rękawiczki z bawełny.

- Armia zarekwirowała zamek Lulcombe - oznajmił pan Rivers.

Siedzieliśmy na tarasie i piliśmy herbatę późnym popołudniem. Wydawało się, że całe wieki minęły od dnia, w którym stłukłam porcelanową filiżankę, podając podwieczorek džentelmenom. Dziś pan Wrexham przyniósł tacę, a ja nalałam herbatę dla trzech osób i posmarowałam masłem gorące bułeczki. Było ciepło jak na koniec września, niebo bladoniebieskie bez śladu chmury i tylko purpurowe liście opadające ze śliwy zdradzały, że jest jesień.

- Zaproponowałam lady Vernon i dziewczętom Hamiltonów, żeby się u nas zatrzymały, dopóki wdowi dom nie będzie gotowy dla rodziny.

Pan Rivers urwał i uśmiechnął się na widok mojej zbolącej miny. Kit rzucił mi spojrzenie z ukosa. Nie cierpiałam Diany, a jej ciotka, lady Vernon, przerażała mnie swoją maestrią w posługiwaniu się angielskim podtekstem. Jej słowa były zawsze grzeczne, ale zupełnie niezgodne z tym, co miała na myśli. Pewnego popołudnia przyłapała mnie, jak sięgnęłam palcami po biszkopt, i spytała „Panno Landau, nie chce pani widelczyka do ciasta?” - tonem, który wyraźnie stwierdzał: „Ty konty-

nentalna prostaczko, mój mops ma lepsze maniery od ciebie". Kiedyś, gdy wracałam z plaży i minęłam jej automobil zaparkowany przed pocztą, zawołała mnie, by skomentować mój brak kapelusza. Moment wcześniej wiatr zwał mi go do morza, więc żeby nie umieszczać ociekającego wodą nakrycia na głowie, trzymałam go w dłoni.

- Moja droga! - zawołała, przywołując mnie chudą dłonią w rękawiczce. - Chodzisz bez kapelusza! Cóż za odwaga. Naprawdę cię podziwiam. Jesteś taka pewna siebie, że śmiało możesz paradować bez nakrycia głowy.

Ton jej głosu jasno dawał do zrozumienia, że wolałaby mnie ujrzeć przed pocztą całkiem naga niż w tym skandalicznym półnegliżu. Wiedziałam, że nie znosi mnie z powodu Kita. Uważała, że jest za biedny, by stanowić dobrą partię dla którejś z jej siostrzenic, ale chciała, by Diana miała szansę dać mu kosza.

Pan Rivers posłał mi cierpki uśmiech.

- Nie bój się, nic ci nie grozi. Nie zatrzymają się u nas. Choć obawiam się, że będziemy musieli zapraszać je na obiad częściej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

- Miejmy nadzieję, że wojsko nie zajmie Tyneford. - Kit zlizywał dżem z palca, ignorując bułeczkę.

- Tak - odrzekł pan Rivers. - Ale to raczej mało prawdopodobne. W okolicy nie ma przyzwoitej drogi, a majątek leży za daleko od stacji. No i sam dom jest za mały jak na koszary.

- No a na szkołę? Słyszałem, jak Flo mówiła, że niektóre wiejskie dwory są przejmowane przez londyńskie szkoły. - Kit zapalił papierosa.

Jego ojciec pokręcił głową.

- Tyneford leży za blisko plaży. Zbyt niebezpieczne. Co za sens ewakuować się z Londynu w inną strefę zagrożenia? - Złożył gazetę i rzucił ją na stół. - Najlepsze, co możemy zrobić, to

pomóc w pracach na farmie. Połowa robotników rolnych już się zaciągnęła, reszta dostanie wezwania za miesiąc lub dwa. Nie jeździłem pługiem od czasów dzieciństwa. Nie mogę się już doczekać.

Mieszałam srebrną łyżeczką kawę i patrzyłam, jak mleko się w niej rozpuszcza i znika.

- A pana mogą powołać, panie Rivers? - spytałam, zastanawiając się, czy nie jestem niegrzeczna. Anglicy bywają tacy przewrażliwieni na punkcie wieku.

- Szczerze wątpię. Jestem po czterdziestce. Musieliby być w prawdziwej desperacji.

Uśmiechnęłam się. Mówił, jakby był starcem. Tymczasem ja wiedziałam, że to bzdura: widziałam nieraz, jak przechadzał się po wzgórzach, i coraz bardziej skłaniałam się do opinii Anny: mężczyzna z czterdziestką na karku nadal jest w sile wieku. Kit przyglądał się bacznie ojcu przez chwilę, a potem rzucił z wystudiowaną swobodą:

- Will zaciągnął się do drugiej Dorsetshire. Ponoć są niezli. Pomyślałem, że ja też mógłbym.

Pan Rivers odstawił filiżankę na stół. Zbladł jak ściana.

- Tylko nie do wojska - powiedział. - Nie zniósłbym wojska. Nie wiesz, jak jest na wojnie. To nie jakaś tam przygoda. To piekło.

Kit zaciągnął się powoli papierosem, szukając słów, które nie zdenerwowałyby ojca jeszcze bardziej.

- Czasy się zmieniły. Wojna jest inna. Nie taka, jaką ty pamiętasz.

- Może masz rację, ale, Kit, proszę, nie.

W oczach pana Riversa pojawił się wyraz, którego nigdy wcześniej w nich nie widziałam. Warstewka potu wykwitła mu nad górną wargą. Kit wyciągnął rękę i pogładził go po dłoni:

był to pierwszy kontakt fizyczny między nimi, jaki miałam okazję obserwować.

- Zgoda. Wojsko odpada.

Pan Rivers opadł na oparcie krzesła i wziął łyk herbaty, ręka nieznacznie mu się trzęsła. Odwrócił się do mnie.

- Walczyłem przez sześć miesięcy w tysiąc dziewięćset osiemnastym, kiedy byłem rok czy dwa lata młodszy od Kita. Potworność. Koszmar, nie do opisania. Żaden mężczyzna nie chciałby, żeby jego syn przeżywał coś takiego.

Kit wyciągnął papierośnicę. Pan Rivers wziął papierosa i zapalił: był to jedyny raz, kiedy widziałam go palącego. Bawiłam się okruszkami na talerzu.

- Starszy brat mojego ojca służył w armii przez trzy lata. Zginął we Flandrii w 1917 roku. Pierwsza powieść Juliana o tym opowiada - powiedziałam.

Pan Rivers patrzył na mnie przez chwilę z dziwną miną, potem zaśmiał się krótko.

- Walczył dla cesarza oczywiście.

- Tak.

Zapadło milczenie. Popijaliśmy herbatę, skubaliśmy bułeczki i dumaliśmy nad tym, że ćwierć wieku temu byliśmy na wojnie wrogami. Duża biała mewa usiadła na donicy z terakoty i wbiła łakomy wzrok w ciastko. Kit odłamał kawałek bułeczki i rzucił go na trawnik. Chwilę później w zamieci białych skrzydeł wylądowało na trawniku stadko mew i powietrze wypełniły ich głuche krzyki.

- W takim razie marynarka. To musi być marynarka. Jeśli mam być z dala od Tyneford, chcę być na morzu.

Dwa tygodnie później staliśmy z panem Riversem na podjeździe i patrzyliśmy, jak Art prowadzi Pana Bobbina przez stajenny dziedziniec. Obok siedział Kit. Miał pojechać z Wareham autobusem aż do Hove, na szkolenie dla oficerów marynarki. Patrzyliśmy w milczeniu, jak wóz toczy się ciężko po zielonych drózkach. Zaczęło mżyć, ale staliśmy i patrzyliśmy, zdecydowani nie uronić ani krzty z widoku naszego chłopca. Przypomniałam sobie, jak Anna, Julian i Hildegarda machali mi na do widzenia na peronie, wszyscy jak jeden mąż twardo wstrzymując łzy. Dworzec rozbrzmiewał sykiem pary, krzykami bagażowych, zawodzeniem dzieci i szeptem pożegnań. Zadrżałam i owinęłam się ciaśniej wełnianym kardiganem. Lodowaty wiatr zawodził pod okapem, niosąc ze sobą krzepiącą woń dymu z komina i torfu. Przyszło mi do głowy, że w ten sposób dom wyśpiewuje jakiś rodzaj pożegnania. Na zakręcie Kit pomachał nam pogodnie, kiedy zeskoczył z wozu, żeby otworzyć pierwszą z siedemnastu bram prowadzących na łańcuch wzgórz i świat leżący poza Ty-neford. Staliśmy z panem Riversem na podjeździe, nawet kiedy wóz stał się już tylko punkcikiem na horyzoncie, ledwo odróżnialnym od gołych drzew czy bydła rozproszonego po obu stronach drogi. Jechał powoli szczytem wzgórza, a potem zniknął w ciemnym tunelu drzew, kierując się do Steeple, Wareham i autobusu do innego świata.

- Pani Ellsworth twierdzi, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem - powiedziałam. - Szkolenie potrwa chwilę, więc możliwe, że w ogóle nie będzie walczył.

- Mam nadzieję, że pani Ellsworth ma rację. Wracamy? Usunął się w bok, pozwalając, bym poszła przodem do domu.

Stałam chwilę w cichym holu, słuchając odgłosów kołatków w ciężkich belkach nad głową. Na stole stał wazon brązowych róż, jeden zwiędły płatek opadł na blat. Każdego innego dnia

pani Ellsworth dopilnowałyby, żeby kwiaty zostały wymienione na świeże - nie miały prawa opadać, zanim ich nie sprzątnięto - ale z chwilą wyjazdu Kita dom natychmiast popadł w stan zapuszczenia. Badyle w wazonie. Plama po paście na podłodze. Adamaszkowe zasłony przy frontowych drzwiach nie wyglądały już na antyczne i naznaczone szlachetnym zębem czasu, tylko zniszczone i stare.

- Będę w bibliotece - powiedział pan Rivers.

Odmaszerowałam, usłyszałam trzask zamykanych drzwi, a sekundę później brzęk karafki z whisky. Usiadłam na dolnym stopniu schodów, oparłam brodę na dłoniach i słuchałam dźwięczenia ciszy. Czułam się tak daleko od wszystkich, których kochałam. Nieraz słyszałam wcześniej rozmowy Kita z innymi chłopcami: wszyscy rwali się do walki. „Niech no tylko nas puszczą. Damy im popalić”, domagali się, jakby natychmiast, gdy się zaciągną, został im zaprezentowany długi sznur wrażeń żołnierzy, tylko czekających na dobry łomot. Żałowałam, że nie mogę porozmawiać z ojcem. Wiedziałałam, że powiedziałby coś, co podniosłoby mnie na duchu albo przynajmniej rozśmieszyło. Nie słyszałam jego głosu od dwóch lat, ale mogłam pójść na górę, rozwalić altówkę i wyciągnąć zapisane stronice. Jego powieść leżała tam i czekała, żebym ją przeczytała.

W swojej dawnej służbówce wyciągnęłam instrument z kącika, w którym był schowany, i położyłam go sobie na kolanach. Siedziałam i czułam dziwny ciężar w jego środku. Uniosłam go za główkę i trzymałam w górze przez chwilę, gotowa rozwalić o krawędź żelaznego stelaża łóżka. Ale w końcu tylko wsunęłam pod brodę, chwyciłam smyczek i przeciągnęłam nim po strunach. Zagrałam po raz pierwszy od piętnastu lat. Nie wzięłam altówki do ręki, odkąd usłyszałam, jakie cuda wyczynia z nią Margot. Tak powinny brzmieć smyczki, a nie być profanowane

pensjonarskimi melodyjkami, które mnie udawało się wyszarpywać ze strun. Ale ta altówka była inna. Brzmiała dziwnie przez powieść schowaną w środku i nie musiałam się wstydzić, że wzorem siostry nie potrafię wydać na świat prawdziwej muzyki.

Ton był cichy, jakby instrument mógł tylko szeptać. Spróbowałam prostej kompozycji Mozarta. Zabrzmiała cienko i smutnie - niczym głos chłopca z chóru kościelnego - i to mi odpowiadało. Muzyka to nie tylko dźwięki, tworzą ją także przerwy między nimi, pauzy i luki. Czekamy w ich trakcie, nasłuchując i wypatrując możliwości melodii. Chciałam przykryć muzyką lukę zostawioną przez Annę i Juliana, wypełnić ich milczenie, ale ono nie było pauzą. Żaden czarny znak na pięciolinii nie wskazywał mi, kiedy dźwięk znowu zabrzmi. Ich cisza nie była muzyką, tylko pustką - próżnią pochłaniającą każdy odgłos. Zagrałam inny nokturn, ale tym razem nie słyszałam melodii, jedynie pauzy między nutami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Anna

W sylwestra poszłam wcześniej do łóżka. Pan Rivers musiał wziąć udział w przyjęciu wydawanym przez lady Vernon we wdowim domu w Lulcombe, i choć upierał się, że będę gościem jak najmilej widzianym, oboje wiedzieliśmy, że to tylko kurtuazyjne kłamstwo. Zostałam w Tyneford, słuchając radia w bibliotece i przegryzając kandyzowane figi przed kominkiem. Wymknęłam się do sypialni, zanim pan Wrexham zdążył zacząć się trapić, czy powinien zaprosić mnie, bym dołączyła do reszty służby na kieliszek sherry o północy w jego pokoju.

Pogasiłam wszystkie światła w korytarzu i w sypialni, zdjęłam zaciemnienie i otworzyłam okno. Chwilę trwało, zanim moje oczy przyzwyczyły się do absolutnej ciemności. Wcześniej nocą zwykle na zewnątrz migotało jakieś światełko albo horyzont rozjaśniała żółta poświata świateł dalekiego Weymouth i Portland. Teraz wszystko tonęło w nieprzeniknionym mroku. Zwinęłam się w fotelu i wciągałam do płuc zimne powietrze, tak lodowate, że czułam klucie w zębach. Musiała dochodzić północ, ale nie byłam w stanie dostrzec tarczy zegarka, a dzwony kościelne milczały - zgodnie z nowym prawem można było w nie bić tylko na znak inwazji. Słyszałam więc jedynie łoskot morza. Teraz stał się już tylko pogłosem, równie swojskim jak tupot moich myśli. Podczas rzadkich eskapad do Wareham albo

Dorchester uderzała mnie panująca tam głusza. Ulice były rojne i gwarne, ale pod całym tym zgiełkiem kryła się niemilknąca cisza. Wiedziałam, że nie mogę już żyć bez morza: było moją muzyką. Przynajmniej zrozumiałam wreszcie, jak Anna z Margot się czuły w te rzadkie dni, kiedy nie dane im było niczego ani zagrać, ani posłuchać.

Wzniosłam szklaneczkę whisky i wypiałam za rodzinę, a potem za Kita. Wiedziałam z radosną pewnością, że gdziekolwiek płynie teraz na swoim okręcie, myśli o mnie. Co kilka tygodni otrzymywałam od niego listy (zachowałam je przez te wszystkie lata i dawno już poprzecierały się w miejscach złożenia od nieustannego odczytywania. Pełno w nich żarliwych bzdur, tych wszystkich komunałów, które zakochani wypisują do swoich wybranek, ale które, gdy są skierowane do nas osobiście, nigdy nie wydają się oklepane czy banalne, tylko bezgranicznie czułe i prawdziwe).

Siedziałam w mroku z plikiem listów, a ponieważ było zbyt ciemno, bym mogła czytać, recytowałam je z pamięci.

Najukochańsza Elise,

Okręt szkoleniowy nosi imię króla Alfreda. Choć to wcale nie okręt, tylko przerobiona szkoła czy co tam innego, ale mamy udawać, że tak. Front to dziób i odbywają się apele, żeby nie było wątpliwości, że wszyscy są „na pokładzie” przed zajęciami. Ja mam kwaterę w mieście, ale gdy zajęcia kończą się wieczorem, idziemy „założyć hamak”. Takie są zwyczaje w marynarce, raczej dziwne z początku, ale człowiek się przyzwyczaja, no i jest w tym jakaś poezja. Kiedy to wszystko się już przewali, popłyniemy we dwoje do Durdle Door któregoś letniego wieczoru, rozwiesimy dwuosobowy hamak pod urwiskiem i będziemy leżeć razem i czekać, aż zjawi

RNVR1 podobnie - zieloni pod każdym względem. Ale zawodowi podeszli do tego z wyrozumiałością, ponoć marynarze nigdy nie żartują z choroby morskiej, każdy kiedyś jej posmakował. Mat powiedział mi, że jego nadal zawsze skręca przez pierwsze dwa, trzy dni na morzu. Mam nadzieję, że do tego czasu nauczę się chodzić po kołyszącym się pokładzie. Zwłaszcza, że mamy płynąć do■■■■■■■■ O, zorza polarna! Jak żałuję, że jej nie widziałas, Elise. Była taka jasna, że przez chwilę myślałem, że to race wielkiego pancernika - cały horyzont płonął oślepiającym zielonkawym światłem niczym jakiś straszny brzask [...]. Wybierzemy się do [...] ■■■■■■■■ Ty i ja, a potem popłyniemy stateczną szalupą dokoła ■■■■ Tylko we dwoje, ja będę kapitanem. Może na nasz miesiąc miodowy. Jak Ci się podoba ten pomysł? Ja myślę, że byłoby wspaniale. Jedlibyśmy tosty z jajkami i anchois (bo sama wiesz doskonale, że nie umiem przyrządzić niczego innego) i moczyli stopy w oceanie, i pływali nago, a nocą leżeli na pokładzie i czekali na blask zorzy [...]. O i Boże, nie mogę pisać. Mam takie mdłości, że chyba umrę. Co za lichy mniepodkusiło z tą marynarką? [...] Ale koledzy są w porządku, słowa złego nie powiem. Wczoraj wieczorem mieliśmy trochę pietra ■■■■■■■■■■ Tak chciałbym być w Tyneford. Podejrzewam, że przy tej zimnej pogodzie i racjonowaniu opału marzniecicie tam teraz na amen. Pamiętasz, jak zeszłej zimy przytargałem ten wielki kawał dębu i spaliłem w kominku w holu? Byłem już w Tobie zakochany, ale jeszcze Ci nie powiedziałem.

Patrzyłem, jak tańczysz z Wrexhamem, i imaginuj sobie, byłem zazdrosny o staruszkę. Zazdroszczę każdemu, kto jest teraz blisko Ciebie, gdy mnie nie ma. Zazdroszczę ojcu, bo on widuje Cię każdego dnia i mówi: „Proszę, podaj marmoladę” i ogląda Cię co rano, gdy jesteś jeszcze zarumieniona od kąpieli i na wpół śpiąca - o, jak bardzo człowiek tęskni za takim drogocennymi okruchami codzienności, kiedy jest z dala od domu. Słyszeliśmy dzisiaj, że niszczyciel ■■■■■■■■■■ [...]. Po powrocie do Tyneford przez tydzień nie będę Cię odstępował ani na krok. Nikomu innemu nie wolno będzie z Tobą rozmawiać, podchodzić do Ciebie ani Cię dotykać. Gdybyśmy byli po ślubie, nalegałbym, żebyś przez cały ten czas chodziła nago, ale ponieważ nie jesteśmy, chyba będę się musiał zadowolić całowaniem, no i może jeszcze rozepnę [...]. W marynarce mamy taki zwyczaj, że o północy w Nowy Rok wznosimy toasty za nasze żony i ukochane, więc, najdroższa, wiedz, że gdziekolwiek będę, będę pił za Ciebie...

Twój Kit

W sylwestra poszłam klifami do jaskiń Tilly Whim. Pomogłam wcześniej pani Ellsworth przygotować poledwicę na uroczysty obiad (ostatnia uczta przed początkiem racjonowania), obrałam morze ziemniaków, przelałam przez sitko kwartę tarniów-ki i po kuchennym skwarze zapraagnęłam odetchnąć świeżym powietrzem. Niebo było stalowoszare, a ciemne morze kłębiło się i kotłowało, zwichrzone fale biły o brzeg. Już dawno zaprzyjaźniłam się z zimnem i wiatrem, który smagał mi policzki, aż robiły się czerwone. Maszerowałam ścieżką szczytem urwiska, mijając piaszczysty płacheć zatoki Brandy w dole, potem skręci-

łam na wapienną półkę Tilly Whim. Widziałam w oddali ciemne sylwetki okrętów wojennych stojących na kotwicy w Portland. Zastanawiałam się, czy któryś z nich przypomina korwetę Kita. Miałam na sobie ciemnoczerwony szalik z kaszmiru, podarek gwiazdkowy od pana Riversa, i upajałam się jego pełną przepychu jaskrawością na tle posepnego zimowego pejzażu. Z trudem mieściło mi się w głowie, że należy do mnie coś tak wytwornego, bardziej w stylu Anny i Margot niż moim. Nie spodziewałam się, że w ogóle dostanę prezent, i zaskoczona, zrewanżowałam się panu Riversowi tomikiem Goethego, który kiedyś znalazłam w antykwariacie w Dorchester i zamierzałam podarować Kitowi. Ale pewnie bardziej nadawał się na prezent dla jego ojca. Kit lubił tylko takie wiersze, które były nieprzyzwoite albo śmieszne, a najlepiej i nieprzyzwoite, i śmieszne naraz.

Występ skalny prowadzący do Tilly Whim lśnił wilgocią, wapien pokrywała śliska warstewka marznącego deszczu. Kwadratowe otwory jaskiń ziały czernią niczym rozdziawione paszcze, a wysoko w górze krążyła samotna mewa. Nagle kątem oka dostrzegłam z przodu jakiś ruch, potem mignęło coś czerwonego, jaskrawego jak lisia kita. Poppy. Rzuciłam się w jej kierunku, ale przystanęłam, widząc, że nie jest sama. Czaiłam się w cieniu skały i obserwowałam kilku mężczyzn w brązowozielonych szynelach. Taszczyli pudła i płachtę brezentu do jaskiń. W ich ruchach była ukradkowość i pośpiech wiewiórek zagrzebujących we wrześniu orzechy leszczyny w ogrodzie. Po półgodzinie oddalili się urwiskiem w stronę Lovell's Tower. Poppy kręciła się jeszcze w środku przez chwilę, a potem, owinąwszy się szczelnie wełnianym płaszczem, ruszyła pospiesznie ich śladem. Wyszłam z ukrycia i ją zawołałam. Odwróciła się na pięcie i spanikowana podniosła rękę do szyi.

- To ty! Boże święty, Elise, na śmierć mnie wystraszyłaś.

Podbiegła i uścisnęła mnie krótko. Przytrzymałam ją, nie chcąc wypuścić z objęć.

- Przyjechałaś zobaczyć się z Willem? - spytałam. - Bo wstąpił do Dorsetczyków.

- Wiem. Widziałam się z nim któregoś popołudnia w Salisbury. Czeka na zaokrętowanie. Spacerowaliśmy po mieście i poszliśmy na herbatę. Dokoła pełno było par w mundurach, z równie nieszczęśliwymi minami jak nasze. To naprawdę dziwne, tak siedzieć, patrzeć w oczy ukochanego i myśleć: „Kiedy się znowu zobaczymy?” zjadając racuszki z masłem.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz do domu. - Wyjęłam jej z włosów źdźbło mchu.

Wsadziła dłonie w rękawiczkach do kieszeni płaszcza.

- O, ale widzisz, wcale nie przyjechałam do domu. Nie tak naprawdę. Tylko w tajnych sprawach wojennych. - Obejrzała się przez ramię, ale mężczyźni byli już kilkaset metrów dalej i wdrapywali się z boczem do małej wieży. Policzki jej płonęły z zimna i podekscytowania. - Choć w sumie, jeśli o mnie idzie, nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby wiedzieć. - Zaczerpnęła powietrza, a potem wyjaśniła w pośpiechu: - Składujemy amunicję i broń w różnych kryjówkach po całym wybrzeżu. Na wypadek najgorszego. Założenie jest takie, że jeśli już do dojdzie do inwazji, miejscowa ludność odkryje tajne składy i wykorzysta do walki z Niemcami. Choć to trochę bez sensu, skoro pies z kulawą nogą nie wie, gdzie się znajdują.

Wzruszyłam ramionami.

- No, teraz ja wiem.

- Tak, ale nie możesz nikomu powiedzieć, bo się domyślą, że wiesz to ode mnie, i będę w strasznych opałach. - Zakasłała. - No chyba że dojdzie do inwazji. Wtedy możesz powiedzieć wszystkim.

Popatrzyłam na morze, gdzie pasma mgły unosiły się nad wodą niczym gigantyczne pasma jedwabnych nici z ogromnej pajęczyny. Niebo, brzemienne śniegiem, zrobiło się czarne jak atrament. Nagie drzewa w oddali wyglądały na chude i zziębnięte, i wydawało się, że ciemne paszcze jaskiń pochłaniają resztki światła dnia. W upiornym półmroku stanęła mi przed oczami armada czarnych okrętów - płynęły w stronę Anglii, ich maszty cięły mgłę. Zobaczyłam tysiące mężczyzn o oczach wezbranych szaleństwem: roili się na plaży i pełzli tysiącami w górę stromych klifów, czepiając się skał ostrymi pazurami.

- Będę pamiętać - obiecałam.

W lutym zrywałam śnieżyczki. Nigdy nie stały w domu dłużej niż dzień, potem wędły, jakby naprawdę były ze śniegu. Stawiałam je w wazonie na kredensie. Tego ranka otrzymałam list od Margot, zaadresowany do pani Anny Landau, dwór Tyneford. Został wysłany z Kalifornii we wrześniu zeszłego roku, kiedy jeszcze wierzyła, że rodzice przyjeżdżają do Anglii. Otworzyłam go bez wahania, rozpaczliwie spragniona jakichkolwiek wieści.

Kochana Mamusiu!

Tak się cieszę, że wizy wreszcie nadeszły! Napisz, proszę, jak minęła podróż. Nie, mniejsza z tym, napisz, jak Wam się żyje na wybrzeżu. Czy Tata pływał już w morzu? Założę się, że wygląda bardzo poważnie wśród fal i nigdy nie moczy włosów. Co myślisz o Anglii? Czy jest naprawdę taka zielona jak na obrazach, a jedzenie takie okropne, jak wszyscy mówią?

No i jak Ci się widzi Kit? Czy kocha Elise wystarczająco mocno? Z początku myślałam, że może - no, mniejsza

z tym. Żałuję, że nie ma mnie tam z Wami. Musisz pisać i informować mnie o WSZYSTKIM. Rozmawiałam z Robertem, ale on twierdzi, że podróż do Anglii mogłaby być niebezpieczna, gdyby walki wybuchły, kiedy będziemy na morzu, i naprawdę powinniśmy poczekać do końca wojny, która na pewno wkrótce zostanie wypowiedziana, ale przecież nie będzie trwała w nieskończoność i, o, tak za Wami tęsknię. Robert przebąkuje coś o Kanadzie, żeby móc walczyć, gdy już dojdzie co do czego, ale uniwersytet oczywiście nie chce go puścić. No i ja też, choć wiem, że to strasznie egoistyczne z mojej strony i że powinien się bić, bo wtedy bylibyście bezpieczni i moglibyśmy wszyscy wrócić do domu. Uściski dla Elise i Taty.

Twoja córka Margot

PS Poszliśmy do opery na Wesele Figara. Sopranistka, która śpiewała partię Cherubina, była tłusta i piskliwa. Ale Robert nie pozwolił mi wyjść, lajdak.

PPS Nadal ani śladu maleństwa. Liczyłam, że tak jak Ty po podróży poślubnej już będę przy nadziei. Twoja okropna herbatka nic a nic nie pomogła. Przyrządzałam ją dokładnie tak, jak kazałaś (nie uwierzyłabyś, jak trudno tu dostać suszone nagietki), ale była po prostu wstrętna. Miałam po niej mdłości i przez chwilę nawet myślałam, że zadziałała, ale okazało się, że to tylko od tych przeklętych ziótek.

Opuściłam list, zaskoczona, z ukłuciem bólu. Dlaczego Margot nic mi nie wspomniała, że chce mieć dziecko? Wgnana z jej zaufania miałam wrażenie, że jestem od niej dalej niż kiedykolwiek. Nawet w dzieciństwie nigdy mi się nie zwierzała, za-

zdrośnie strzegąc swoich miłości i opowiadając o nich szeptem Annie, gdy zamykały się w łazience. Podśluchiwałam z uchem przy dziurce od klucza, ale nie udawało mi się wyłowić niczego poza szumem wody i urywanymi chichotami. I nawet teraz, gdy była hen, hen za oceanem, nadal sprawiała, że czułam się jak mała dziewczynka strzygąca uszami na korytarzu po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Zaczynałam się już przyzwyczajać do tęsknoty za Anną i Julianem. To był ból jak od starej rany: stały, ale z którym człowiek się oswaja. Kiedy czytałam list Margot, odezwał się jednak nagle z potrójną siłą, aż zakreśliło mi się w głowie. Wszystkie listy Margot do mnie wydawały się puste i nieprawdziwe. Nie byłam już tą dziewczynką z kucykami, którą żegnała na dworcu dwa lata temu. I w przeciwieństwie do niej dawno przestałam marzyć o powrocie do domu. Domu w Wiedniu już nie było. Istniał przed wojną, w innym czasie.

Tego ranka byłam odrętwiała z niepokoju i bólu. Brak Kita dawał mi się we znaki bardziej bezpośrednio niż brak rodziny. Przyzwyczaiałam się do widywania go, całowania, codziennych wspólnych spacerów. Od kilku tygodni nie dostałam od niego ani jednego listu. Domyślałam się, że pewnie jest gdzieś daleko, gdzie nie funkcjonuje poczta wojskowa, ale nie potrafiłam orzec, czyjego milczenie bardziej mnie martwi czy irytuje. Postawiłam wazon z kwiatami tak gwałtownie, że woda zachlapała kredens z drewna czereśniowego. Szybko starłam ją rękawem, żeby nie pojawiła się plama. Pani Ellsworth wprawdzie nic by nie powiedziała, ale szorowałyby zacieki ściereczką, a jej pochylone plecy byłyby wyrzutem wymowniejszym niż słowa. Rękaw nasiąkł mi wodą, ale nie zwracałam na to uwagi. Zastanawiałam się, czy Kit tęskni za mną tak bardzo jak ja za nim i czy naprawdę chce, by mu się cknęło, gdy naraża życie na morzu. Poprawiłam jeden z przebiśniegów, który już zaczynał zwisać niczym biała głowa

drzemiącego starca. Nie. Może to świadczyło o mnie fatalnie, ale chciałam, by był nieszczęśliwy. Tylko troszeczkę. Żeby uronił na przykład kilka łez w nocy - nie tyle, by inni oficerowie zauważyli i z niego pokpiwali, ale dość, by pokazać, że serce mu krwawi. Trzy albo cztery łzy nocą. To by wystarczyło.

- Elise? Co robisz? - spytał pan Rivers.

Zerknęłam w dół i zobaczyłam, że rozchlapuję krople wody z łożyski po całym kredensie. Pan Rivers wyciągnął chusteczkę z kieszeni na piersi i wytarł blat.

- Napijesz się ze mną kawy? - zaproponował. Usiadłam przy stole i podał mi filiżankę. Chwilę później

pojawił się pan Wrexham ze srebrnym stojakiem do tostów, na którym leżały piękne trójkątne kromki, masło i marmolada. Sięgnęłam po jeden tost, zaczęłam jeść go na sucho i po chwili odłożyłam ze wstrętem. Pan Rivers przyglądał mi się w milczeniu, potem zauważył:

- Jesteś jakaś niespokojna.

Nie powiedziałam mu o liście od Margot. I bez tego czuł się wystarczająco podle. Któregoś dnia podsłuchałam, jak głośno pluł sobie w brodę, gdy myślał, że nikogo nie ma w pobliżu: „Że też nie naciskałem na nich mocniej. Jeden dzień. Choćby jeden dzień”.

Uśmiechnął się do mnie teraz.

- Idę o zakład, że lada chwila Kit się odezwie.

- Tak - odpowiedziałam, przesuwając okruszki na talerzu.

- Dziś rano organizuję naprawę dwóch starych kutrów. Ryby nie będą reglamentowane, więc trzeba zadbać o stan wszystkich łodzi. Chcę, żeby jak najwięcej z nich mogło wyjść w morze na połów. Możesz pomóc, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Chętnie. Godzinę później ruszyliśmy żwawym krokiem na plażę, gdzie

oprócz Arta i Burta z tuzin rybaków z wioski i kilku chłopców za młodych na wojsko zebrało się na dziedzińcu przed domkiem Burta. Dwie łodzie, wielkości mniej więcej *Ługiem*, stały oparte o sterty cegieł, na których wierzchu położono kawałki starego dywanu dla osłony kadłubów. Mężczyźni krążyli dokoła kutrów, przyglądali im się z bliska, badali tu stępkę, tam płetwę sterową. Wydawało się, że wszyscy czekają z początkiem pracy na pojawienie się pana Riversa. Spłowiały napis wymalowany farbą na bakburcie jednej z łodzi informował, że jest to *Margaret*, imię drugiej zostało usunięte.

- Na moje oko nie wyglądają źle - zawyrokował pan Rivers po dokładnej inspekcji. - W tej trzeba wymienić rumpel, w *Margaret* zreperować kil, a obu przydałby się nowy takielunek, ale myślę, że damy radę.

Mężczyźni zaczęli chrząkać i kiwać głową na znak zgody, potem zakasali rękawy i zabrali się do roboty. Burt rzucił mi kombinezon.

- Trzymaj, panna - powiedział. - Niepodobna zabierać się do brudnej roboty w tej sukieneczynie.

Przemknęłam za róg domku i szybko wciągnęłam kombinezon, potem wróciłam do reszty. Burt wyszczerzył się na mój widok.

- Trza przyznać, co wygląda panna jak ta lala. Ino fajki brakuje. - Śmiał się głośno z własnego dowcipu, po czym wręczył mi kawałek papieru ściernego i dłuto. - Usuwaj panna tym wąsonogi i wszystkie zielska. Dno musi być gładkie jak ryba, zanim staruszka wróci na wodę. Prosto rób to co chłopak Millerów. - Pokazał jednego z wyrostków, który zestrugiwał nożem błoto z kadłuba.

Przez godzinę klęczałam pod łodzią, ścierając i zdrapując wodorosty przyklejone do drewna, zielone jak kawałki przemo-

klej na deszczu sałaty. Małe, twarde pąkle trzeba było podwazać ostrym końcem dłuta. Wszędzie dokoła mężczyźni szlifowali albo cięli małe deski, żeby zastąpić nimi zbutwiałe kawałki kadłuba. Art z Burtem wspięli się na *Margaret* i odkręcali przerdzewiałe okucia na maszcie i relingu sterburty i zastępowali je oczyszczonymi. Kiedy poczułam skurcze w rękach, podniosłam się, żeby rozprostować kości i się przejść. Niskie zimowe słońce wyglądało zza chmury, morze skrzyło się w jego promieniach. Zmrużyłam oczy i osłoniłam je dłonią przed blaskiem. W kącie podwórza pan Rivers pochylał się nad białym kawałkiem drewna i wygładzał go heblem. Rozebrany do pasa pracował z zapalem, przesuwając strug w tę i z powrotem, cienkie wióry padały na ziemię. Odwróciłam wzrok.

- Trzymaj, panna, napij się. - Burt podał mi butelkę wody.

Przyjęłam ją z wdzięcznością i przechyliwszy, piłam dużymi haustami. Potem wzięłam wiklinowy wiecierz, usadowiłam się na nim jak na stołku pod nakrapianym pąklami kadłubem bezimiennej łodzi i wróciłam do jej czyszczenia. Po chwili dołączył do mnie Burt. Pracowaliśmy w milczeniu, od czasu do czasu podawał mi butelkę, ale za któryś razem okazało się, że w środku jest rum. Niemal wyplułam go zaskoczona i Burt zaśmiał się z głębi gardła.

- Ano. Trza pannie kapkę paliwa. Poczuć prąd w żyłach.

Pan Rivers i Art stali na *Margaret* ze zwojem nowej liny i zaczęli przekładać ją przez knagi, żeby otaklować płócienne żagle, które brązową chmurą zaścielały pokład.

- Żeglarz pierwszej wody z pana Riversa. W młodości startował w zawodach. Świetny w jachtingu - wymruczał Burt z podziwem.

Popatrzyłam na niego zaskoczona i się uśmiechnęłam.

- Ano. Sam nie bardzo się na żeglarce wyznaję. Po mojemu

kiedyk się wychodzi w morze, musowo trza złović cós na talerz. A pływać dla pływania to już dla mnie jest ambaras. - Wzruszył ramionami. - Co inszego pan Rivers. Najlepszy żeglarz i marynarz. Lepszejszy od Kita. Panicz jest zbyt narwany. Brawurowy i lekkomyślny. To niebezpieczne. Morze jest łase na głupców.

Odłożyłam dłuto i odeszłam. Nie chciałam wysłuchiwać jego zastrzeżeń do Kita. Nie teraz, gdy był na morzu. Z tyłu, w kruszejacej skale tkwiły porobione przez ptaki otwory na gniazda. Teraz były opuszczone: ich lokatorzy fruwali daleko stąd, w cieplejszych krajach, a dziuple wyglądały jak wymarłe domy z nieoświetlonymi oknami o zmroku.

- Burt nie miał na myśli nic złego, Elise. Po prostu się martwi o Kita. Bardzo go kocha - wyjaśnił pan Rivers.

Stanął cicho przy mnie i patrzył na cofające się fale. Zaczynał się odpływ.

- Nie podoba mi się to milczenie - powiedziałam. - Wcześniej pisał regularnie.

- Wiem. Ale jestem pewien, że to nic nie znaczy. Marynarka natychmiast telegrafuje do rodzin, jeśli coś się stanie. Pewnie po prostu wykonują jakąś tajną misję.

- A miał pan może wieści od tego znajomego z Paryża? Pokręcił głową.

- Niestety. Ani słowa. - Objął mnie lekko ramieniem i oparłam się o niego. Skórę miał wilgotną, pachniał potem i pracą. Nagle oboje uświadomiliśmy sobie jego nagość, on opuścił rękę, a ja się cofnęłam. - Chodź. Pora na malowanie - rzucił z uśmiechem.

Wszyscy pomagali smarować podwodne części kutrów warstwami farby przeciwporostowej, która miała zapobiec przyleganiu wodorostów i pąkli oraz zapewnić gładkość kadłubom, tak by ciężkie fale z szybkością strzały. Słońce zaczęło się zsuwać

po niebie, aż w końcu pozostał z niego tylko okrągły czerwony dysk nad horyzontem. Chmury płonęły, czerwone jak węgielki, a morze migotało różem, jakby woda też się paliła.

- Trza jej dać jakieś imię. Taka eligancka łódź jak ona musi mieć eliganckie imię - powiedział Burt. - Chcesz ją panna nazwać? - Wyszczrzył się w moim kierunku.

- Naprawdę mogę? - Popatrzyłam po twarzach starych rybaków, srebrnych brodach.

- Ino musowo imieniem kobiety - dodał Art, drapiąc się po umazanym farbą czole. - Taka tradycja.

Zastanawiałam się chwilę. W grę wchodziło tylko jedno imię.

- Anna - oznajmiłam.

- Podług życzenia - powiedział Burt i podał mi flaszkę rumu.

Wylałam kilka kropli na dziób i krzyknęłam: „Anna"! Mężczyźni mruknęli z aprobatą. Potem sama pociągnęłam łyk i podałam butelkę panu Riversowi. Słońce schowało się za horyzontem i różowe niebo poszarzało. Pomyślałam o Annie i Julianie. Byliby zachwyceni na wieść, że jakiś statek nosi jej imię. Żałowałam, że nie mogę natychmiast go zwodować i wypłynąć na ich poszukiwanie. Wzięłam flaszkę od pana Riversa i przełknęłam kolejny haust palącego trunku.

- Chodźmy - powiedział pan Rivers i odwrócił się w stronę dworu.

Dołączyłam do niego w pośpiechu i ruszyliśmy razem kamienną ścieżką w zapadającym zmierzchu. Potknęłam się i podtrzymał mnie za łokieć. Z tyłu za nami stopniowo cichł plusk fal i śmiech rybaków.

Któregoś marcowego ranka obudziłam się wcześniej i podreptałam na dół w piżamie i boso. Było kilka minut po szóstej

i pokojówka na przychodne nie zaczęła jeszcze myć korytarza. Zdjęłam zaciemnienie z okien przy portyku i światło świtu zaczęło się wsączać przez wielodzielne okna. Mała bawialnią była zasłana kawałkami materiałów, kłaczki bawełnianego wypełniacza unosiły się w powietrzu. Gospodynie z wioski postanowiły uszyć kaftaniki dla rannych żołnierzy, a kierujące całą inicjatywą ciotki Poppy uznały żółtą bawialnię za idealne miejsce dla tego szlachetnego przedsięwzięcia. Panie zwały się do nas ławą dwa razy w tygodniu, zasiadały dokoła kominka, piły nalewkę śliwkową pani Ellsworth, gawędziły o wojennej niedoli oraz potwornych niedogodnościach zaciemnienia i były bardzo szczęśliwe. No i bez końca nicowały, całkiem dosłownie, i pruły do poprawki moje szwalnicze dokonania. Osobiście wątpiłam, by fakt, że ścieg na okrętkę nie jest idealnie równy, przeszkadzał choć trochę kapralowi, szeregowemu czy kapitanowi, który miał siedzieć w łóżku odziany w fioletoworóżową kwiecistą lizeskę (pozyskaną z pary stary zasłon, a kto nie marnuje, temu nie brakuje). No i dość dziwnie było szyć szpitalne wdzianka dla żołnierzy, którzy jeszcze nie zostali ranni. Przyszły nosiciel szkaradnego kaftanika przygotowywał się pewnie do zaokrętowania do Francji albo uczestniczył w musztrach na jakimś mokrym polu w Wiltshire, ucząc się nosić broń i salutować, względnie pływał po północnym Atlantyku w karygodnym zdrowiu. My tymczasem dziergałyśmy i fastrygowałyśmy w nadziei na jego przyszłe obrażenia, zupełnie jakbyśmy skazywały go na miesiące leżenia w szpitalu i rozwiązywania krzyżówek z „Timesa” jedną ręką.

Słyszałam, jak May rzuca w kuchni mięsem, próbując napalić w ogromnym czarnym piecu, żeby pan Rivers miał gorącą wodę na poranną kąpiel. Kuchenka była stara jak świat i chimeryczna jak niezamężna ciotka. Trawiłam swego czasu całe godziny,

dogadzając jej, kadząc, karmiąc węglem, koksem, skacząc koło niej albo ją błagając.

- Może pomóc? - spytałam.

May klęczała na podłodze przy drzwiczkach. Wzruszyła ramionami.

- Jeśli taka wola. To i tak mój ostatni tydzień. Późnij ochmistrzyni bendzie musiała sama rozpalać to głupie krówsko.

- Nie mów tak o pani Ellsworth. To niegrzeczne.

- A panna ogłuchłaś czy jak? Taż mówię, co odchodzę. Uklękałam obok niej w pizamie, zwinęłam w kulkę starą gazetę i wsunęłam ją do pieca.

- Myślałam, że ci się tu podoba. Pani Ellsworth bardzo cię lubi.

Miała dość przyzwoitości, by zrobić ciut skruszoną minę.

- No, cięż muszem pomóc we wojnie, co nie? Dostałam robotę w fabryce. Co tydzień bendom mi na rękę płacili piniondze. No i żaden sztywny jak kij gnojek nie bendzie mi już gadał co i jak - oznajmiła, zerkając na zamknięte drzwi pokoju kamerdynera. - Ojciec nie chcieli wcześniej słyszeć o fabryce. Mówili, że nie uchodzi. Wszystkie dziewczyny w mojej rodzinie zawsze robiły za służące. No, ale tera to mój patriotyczny łobowionzek i nie może powiedzieć ani słowa.

Pod kuchnią się w końcu rozpałiło. Wstałam i się otrzepałam.

- Tylko panna nie patrz tak na mnie - powiedziała. - Sama wiesz, jak to jest. Czemu ktoś miałby tu ślęczeć kamieniem, skoro ma wybór?

Nie mogłam się z nią kłócić. Zbyt dobrze wiedziałam, jaką nędzną harówką jest praca pomywaczki i podkuchennej.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, May.

Kiedy szłam korytarzem, słyszałam, jak pani Ellsworth podzwania słoikami i mruczy pod nosem o kurczących się zapa-

sach dzemu. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka z powiewem zimnego wiatru i szelestem pakunków wpadła pokojówka ze wsi.

- Dobry - wymruczała i przeszła obok mnie pośpiesznie, by zabrać się do sprzątania domu.

Z każdym dniem wyglądała na coraz bardziej zaharowaną: urabiała sobie ręce po łokcie, próbując wykonywać obowiązki trzech służących i lokaja. Z westchnieniem zastanawiałam się, jak damy sobie radę bez May. Błagałam pana Wrexhama nie raz, nie dwa, żeby schować srebra i porcelanę obiadową i używać zwykłego serwisu śniadaniowego do wszystkich posiłków, co zmniejszyłoby obciążenie czyszczeniem, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Poziom domu mierzy się jego srebrami. Co pomyślałyby sobie panie Hamilton?

Ja sobie pomyślałam, że mieszkając we wdowim domu z armią żołdaków przewalających się przez Lulcombe Park, może przychylniejszym okiem spojrzę na zastawę śniadaniową. Zresztą było mi to obojętne, bardziej się przejmowałam tym, że nasza ostatnia pokojówka na przychodne może wypowiedzieć służbę, wyczerpana nadmiarem obowiązków. Staralam się ukradkiem pomagać służącym, odkurzałam bibeloty, gdy pan Wrexham był zajęty w piwniczce, wałkowałam ciasto pani Ellsworth, a po wstawieniu go do piekarnika nacierałam woskiem blat stołu w jadalni. Pan Wrexham cieszył się nagłym wzrostem efektywności May i służącej z wioski, podczas gdy one wierzyły święcie, że to kamerdyner macza w tym palce. Wiedziałam jednak, że ów chytry system pomocy od przypadku do przypadku nie przetrwa długo.

Drzwi do pokoju kamerdynera były otwarte i przez chwilę patrzyłam w milczeniu, jak stary sługa klęczy przy palenisku

kominka w eleganckim fraku przepasanym białym fartuszkami i z zapalonym poleruje na błysk buty pryncypała. Pokój pozbawiony był ozdób z wyjątkiem wyblakłej fotografii w odcieniu sepia. Przedstawiała pana Wrexhama w towarzystwie młodego pana Riversa i jego oblubienicy. Nie zauważyłam żadnych zdjęć rodziny kamerdynera. Na niskim stoliku obok lampy stał kalendarz. Dni, które minęły, były starannie przekreślone niebieskim atramentem. Zerknęłam na aktualną datę: szósty marca.

- O - wyrwało mi się.

Pan Wrexham odwrócił się i skrzywił na mój widok, ale zaraz wygładził czoło. Wiedziałam, że uważa moją obecność w części domu przeznaczonej dla służby za nieuprawnione naruszenie granicy zielonych drzwi.

- Wystarczy zadzwonić, jeśli panience czegoś trzeba - rzucił z lekkim wyrzutem.

Puściłam przyganę mimo uszu i dalej wpatrywałam się w kalendarz.

- Dzisiejsza data, panie Wrexham. Są moje urodziny. Kończę dwadzieścia jeden lat.

- Bez dyskusji. Zabieram cię na lunch - powiedział pan Rivers, prowadząc mnie podjazdem w kierunku samochodu.

- No, ale przecież paliwo?

- Od miesięcy je oszczędzamy. A to jest wyprawa konieczna. Zabieram cię do miasta, żeby uczcić twoje urodziny.

Otworzył mi drzwi i pomógł zająć miejsce.

- Zgoda. - Wsunęłam się na skórzane siedzenie. - Dziękuję. Ale to naprawdę niepotrzebne.

Wzniósł oczy do nieba.

- Dobry Boże. Nie miałem pojęcia, jaka potrafisz być niezdolna.

Nic na to nie odrzekłam. Przed oczyma mignęło mi wspomnienie: ja, z włosami przylizanymi gładko jak u chłopca. Tańczę z Kitem, który przechyla mnie w ramionach i całuje. Pomyślałam, że pan Rivers bardzo dobrze wie, jaka niezdolna potrafisz być.

Art zawiózł nas do Dorchester. Nie rozmawialiśmy wiele po drodze. Pan Rivers sprawiał wrażenie zamyślnego i starał się nie wpadać na mnie, gdy pokonywaliśmy ostre, obsadzone żywopłotami zakręty (Art czuł się znacznie swobodniej, prowadząc Pana Bobbina niż elegancki automobil). Na rogatek Dorchester utknęliśmy w wielkim korku wojskowych ciężarówek. Wlokły się w naszą stronę niczym smoki, ocierając się bokami o brązowe żywopłoty po obu stronach drogi. Było coś złowieszczego w warkocie i pomrukach ich dieslowskich silników, a Art musiał skierować auto prawie do rowu, żeby przejechać obok. Po kwadransie zaparkował przed hotelem Royal i, mrużąc pod nosem, poczłapał dokoła maski, żeby otworzyć mi drzwiczki. Pan Rivers podał mi ramię.

- Idziemy? - spytał z uśmiechem.

Zamówiliśmy szampana. Sędziwy kelner napenił mi kieliszek i patrzyłam na wyskakujące na powierzchnię bąbelki. Ich widok zawsze przypominał mi o Annie. Miałam na sobie perły, które przemyciła do mojego bagażu, i udawałam teraz, że to mój prezent urodzinowy. Piły mnie w szyję.

- Nie lubisz szampana? - Pan Rivers zauważył, że nie tknęłam trunku.

- Mogę zamówić coś innego, jeśli wolisz.

- Nie, nie, dziękuję, Jest pyszny.

Sięgnęłam po kieliszek i przełknęłam wino w kilku łykach. Zaszumiało mi przyjemnie w głowie. Zamiast lnianym obrusem

stolik był przykryty impregnowanym materiałem, który trochę lepił się do palców. Pan Rivers zamówił przepiórcze jaja, łososa z wody i ogórki na ostro, a na deser zjedliśmy coś na kształt biszkoptu z kremem bez jajek. Smakował głównie brandy i szum w mojej głowie wzrósł do ryku. Sala jadalna świeciła pustkami. Mężczyzna w mundurze wyglądający na zmęczonego jadł lunch naprzeciwko kobiety o włosach ufarbowanych na olśniewającą żółć, a w dalekim kątku dwie starsze panie w grubych beżowych pończochach popijały herbatę i gawędziły przy pustym kominku. Chcąc nie chcąc, pomyślałam o Cafe Sperl i Demel, o wiedeńskich kawiarniach, gdzie tysiące luster odbijały w nieskończoność kopce wypieków i czekoladek, a schludne kelnerki w biało-czarnych uniformach sunęły między stoliczkami, nalewając kremową gorącą czekoladę z wypolerowanych srebrnych dzbanuszków.

Kiedy skończyliśmy jeść, pan Rivers poprosił o cygaro i szklaneczkę porto. Rozparł się na krześle i cicho zaśmiał.

- Coś strasznego prawda? - spytał. - Pomyśleć, że mogliśmy zostać w domu, otworzyć butelkę Latour z dwudziestego trzeciego i pozwolić pani E. coś upitrasić.

Uśmiechnęłam się. Biedak nie wiedział, że teraz to zwykle ja przygotowuję mu wołowinę po burgundzku albo biszkopt z rabarbarem.

- Nie. Miejsce jest urocze. Tylko ta wojna. Utrudnia.

- Tak, cóż, ale jeśli chcą dalej prosperować, mogliby spróbować serwować ciut mniej ohydną kuchnię.

Pociągnął cygaro.

- Kiedy Kit wróci, wybierzemy się do Londynu. Zabiorę was do Savoyu i tam uczymy rzecz jak należy.

Na wzmiankę o Kicie oboje na moment zamilkliśmy, a ja poczułam, że nie mam ochoty wracać do pustego domu. Były

moje urodziny i na godzinę chciałam o wszystkim zapomnieć.

- Panie Rivers. Zostańmy w mieście jeszcze trochę. Popatrzył na mnie zaskoczony, ale zaraz zrobił zadowoloną minę.

- Zgoda. Możemy pójść do kina.

Miejscowy iluzjon wyświecił akurat *Rebekę*. Pan Rivers kupił dwa bilety na miejsca z tyłu, a ponieważ film już się zaczął, weszliśmy na paluszkach. Na widowni było gęsto od dymu i wpatrywałam się w ekran przez grubą warstwę żółtej mgły. Przepchnęliśmy się na swoje miejsca, wpadając na splecione pary zakochanych, które sarkają, niezadowolone, że się im przeszkadza. Było tłoczno i kiedy lotnik śpiący obok mnie zaczął się na mnie pokładać, byłam zmuszona przysunąć się bliżej do pana Riversa. Patrzyłam jak urzeczona na młodą panią de Winter biegnącą po domu. Ekran wypełniło wzburzone morze, drewniana łódka podskakiwała na falach niczym zabawka i poczułam dreszcz ulgi na myśl, że Kit jest na pokładzie porządnego okrętu. Nigdy wcześniej nie byłam w angielskim kinie i bardzo mi się spodobała jego swobodna atmosfera - widownia chwaliła i oklaskiwała postaci na ekranie niczym aktorów w teatrze. Byłam jej częścią - dziedzic, ekspokojówka/emigrantka, oficerowie, sklepowe i ochotniczki - tworzyliśmy po prostu wspólnotę widzów, zjednoczoną historią rozgrywającą się na wielkim ekranie. Zupełnie zapomniałam o świecie poza filmem i byłam szczęśliwa.

W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy. Zaczęło padać, krople deszczu waliły o szyby, auto z pluskiem pokonywało kałuże, rozpryskując wodę brązową jak bawarka. Przymknęłam oczy i chyba zasnęłam, bo kiedy je otworzyłam, podjeżdżaliśmy już pod dom. Pani Ellsworth czekała na frontowych schodach.

Tknięta nagłym przerażeniem otworzyłam drzwi samochodu, zanim jeszcze się zatrzymał. Wypadłam na zewnątrz i nie zwracając uwagi na lejący deszcz, rzuciłam się przez podjazd i wbiegłam po schodach, pokonując dwa stopnie naraz.

- Chodzi o panicza... - zaczęła.

- O Boże, Boże - powiedziałam.

Popatrzyłam obok niej w mrok korytarza. Kit siedział w bardzo okazałym wózku inwalidzkim, z nogą wysuniętą do przodu i w mojej ohydnej, ręcznie wyszywanej fioletoworóżowej lizesce.

- Witaj - powiedział. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kamienie na czarownice

Kit męczył się w gipsie przez sześć tygodni. Dodatkowym źródłem niemałej irytacji były dla niego okoliczności odniesionego urazu. Jego okręt zaliczył kilka potyczek, eskortując konwoje handlowe na północnym Atlantyku w obawie przed atakami wilczych stad. Dwóch oficerów odniosło rany, jeden kadet zginął w trakcie manewrów, ale złamanie kostki u Kita miało bardziej haniebny charakter: poślizgnął się na oblodzonym pokładzie podczas nocnej wachty niedaleko norweskiego wybrzeża. Lekarz okrętowy nastawił mu nogę, ale kiedy zawinęli do Scapa Flow, przeniesiono go na ląd i odesłano do domu, by tam się kurował. Na zatłoczonej korwecie nie było miejsca dla niesprawnego marynarza.

Mimo że zwykle z ogromną przyjemnością wylegiwał się na sofie, odpalając jednego papierosa od drugiego i pozerając „Racing Post”, pacjentem okazał się potwornym: wiercił się, kręcił i na okrągło narzekał na nudę. Zauważyłam, że kopci chyba nawet jeszcze więcej, jeśli to w ogóle było możliwe, i wygląda dojrzałej. Zaokrąglił się trochę i przykuty chwilowo do fotela stracił tę niespokojną szybkość ruchów, która wcześniej nadawała taki chłopięcy wygląd jego sylwetce. Noga dawała mu popalić i myślę, że papierosy i poranna whisky miały odwrócić uwagę od bólu. Całymi godzinami siedzieliśmy w ciepłym zaduchu ba-

wialni, przy buzującym ogniu kominka podsycanym jeszcze co chwila przez pana Wrexhama mimo naszych protestów. Czytałam na głos najnowsze romansidła - a im bardziej idiotyczne opisy i wyznania miłości w nich się pojawiały, tym bardziej Kit był zachwycony. Gdy tylko zaczynałam chrypieć i przestawałam na moment, poganiał mnie zniecierpliwiony z papierosem między palcami.

- No, dalej. Śmiałam się z niego.

- Jesteś nieznośny. Sam sobie czytaj. Kręcił głową i posyłał mi leniwy uśmiech.

- Nie. Lubię, jak ty czytasz. Zwłaszcza co bardziej nieprzyzwoite ustępy. Uroczo się wtedy rumienisz.

Kontuzja Kita zmuszała nas do pewnej powściągliwości, co na swój sposób dobrze się składało. W listach dawał wcześniej upust swoim pragnieniom i snuł wizje pełne miłosnych uniesień. Z początku były to żarliwe, sztubackie fantazje wyznawane językiem, jakiego można się spodziewać po dżentelmenie, który uczęszczał do Sidney Sussex College w Cambridge, ale potem, po miesiącu czy dwóch spędzonych na pokładzie, stały się dosadniejsze i bardziej ekscytujące. Wiedziałam, że powinnam być zszokowana, zła albo zniesmaczona. Nie byłam. Te nowe słowa, których nie wyjaśniał mój wierny słownik niemiecko-angielski, intrygowały mnie i konsternowały. Były równie egzotyczne jak na wpół zrozumiałe działania, które nieudolnie opisywały. Chcąc nie chcąc, wyobrażałam sobie obrazy, jakie te gardłowe dźwięki przywoływały, a moje wizje, nieograniczone znaczeniem, były szalone. Wspólnota tych marzeń sprawiła, że do naszej relacji zakradła się intymna zażyłość i byliśmy jak para podrostków dzień po pocałunku na szkolnej potańcówce, jednocześnie nieśmiali i rozochoceni.

- Przeczytaj jeszcze - poprosił Kit i pogłaskał mnie po policzku.

- Później. Zachryplam.

- O, perły. - Zauważył naszyjnik Anny pod kołnierzykiem mojej bluzki.

- Podobają ci się? Należały do mojej matki.

Położył dłoń na moim karku, przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Potem rozpiął mi kolejny guzik i przebiegł palcem po perłach, muskając szyję.

- Są bardzo ładne.

Pozwalałam, by mnie całował i bawił się perłami. Byłam zadowolona, że to mnie poświęca pełną uwagę. Gdy tylko wrócił do Tyneford, z miejsca zrozumiałam, że mam rywalkę. Zdecydowanie groźniejszą od Diany czy Juno, rywalkę, z którą musiałam się pogodzić i nauczyć żyć na czas trwania wojny. Kit mnie kochał, ale jego serce było teraz rozdarte między nas dwie: *Angelice* i mnie. Cieszył się, że jest w domu, siedzi ze mną i gawędzi przy kominku, ale coś się zmieniło. Podświadomie przez cały czas wyrывał się na morze. Nie mógł znieść myśli, że tkwi uwięzany w czterech ścianach, podczas gdy ona pływa gdzieś na Atlantyku, przemierzając wody w poszukiwaniu U-Bootów i niszczycieli. Jego koledzy z okrętu ryzykowali życie, a on wylegiwał się na sofie, popijał kakao i chrupał imbirowe herbatniki.

- Opowiedz mi, jak jest na morzu - poprosiłam. Zamilkł. Nie chciał mówić o życiu na okręcie. Twierdził, że

z uwagi na tajemnicę wojskową, ale podejrzewam, że tak było mu po prostu łatwiej. Na morzu musiał się stać kimś innym, podporucznikiem rezerwy Riversem, i w domu pragnął na powrót być tylko Kitem. Nieraz plułam sobie w brodę z tego powodu. Nie naciskałam, choć później przyszło mi tego żałować.

Kiedy nie czytaliśmy razem w bawialni ani nie jedliśmy w pokoju dziennym, lubił wysiadywać na zewnątrz. Wyjeżdżał wózkem na taras, zrzucał koce w szkocką kratę, którymi uparcie otulała go pani Ellsworth, i uzbrojony w piersiówkę z whisky siedział tam godzinami ze starym dziecięcym teleskopem wycelowanym w morze. Czasami jechał wózkem na skraj ogrodu, ku zgrozie ogrodnika zostawiając w murawie dwie równe koleiny, i godzinami przeczesywał wzrokiem morze w poszukiwaniu okrętów. Czasami dołączał do niego pan Wrexham. Siedzieli tam razem ramię w ramię, jeden z głową białą niczym świeżo wyprana chusteczka, drugi ze złotą jak kłosa żyta, i podawali sobie teleskop. Zwykle kamerdyner wynosił jeszcze niski stolik i stawiał na nim przenośną radiołę. Kit słuchał jej niemal bez przerwy, wyciągając do przodu szyję na każdą wzmiankę o marynarce, jakby mógł zbliżyć się bardziej do akcji. Gdy tylko mówiono coś o korwecie klasy Flower, zaciskał dłonie w pięści i wstrzymywał oddech. Nazwa *Angeliki* nigdy nie padła.

W dniu kiedy zdjęto mu gips, Poppy wróciła do domu na kilkudniowy urlop. Przyszła od razu do dworu i dołączyła do nas na tarasie, gdzie Kit powoli kuśtykał wte i wewte z pomocą laski. Zbliżał się koniec kwietnia, deszczowy ranek przeszedł w ciepłe popołudnie. Dreptałam u ramienia Kita, zdenerwowana niczym mama jaskółka, której pisklę wzbija się po raz pierwszy w niebo. Rzucił mięsem sfrustrowany.

- Kurwa! - Walnął laską o rynnę. - Zrobił się ze mnie jakiś pieprzony starzec.

Nigdy wcześniej nie przeklinał przy mnie tak wulgarnie i zamarłam na sekundę, zanim pomogłam mu usiąść na drewnianej ławce. Poppy oparła się o ścianę i przymknęła oczy.

- O - powiedziała. - Teraz będziesz kłął jak marynarz, Kit? Trochę banalne.

Uśmiechnął się, pociągnął mnie na swoje zdrowe kolano i pocałował w nos.

- Przepraszam, kochanie. Po prostu nie przywykłem do bycia cholernym kaleką.

- Nie jesteś kaleką. Ani się obejrzysz, a dojdiesz do siebie. -Zmusiłam się do uśmiechu, świadoma, że gdy tylko noga się zagoi, wyjedzie na *Angelice*.

- A co u Willa? - Kit zmienił temat i przeniósł wzrok na Poppy.

- Nie wiem. Wypłynął do Francji tuż przed twoim powrotem. Z ostatniego listu wynikało, że ma się dobrze. Prosił o jakieś książki do francuskiego i żebym sprawdziła, czy ktoś się zajmuje jego roślinami i karmi to ohydne kocisko. Nie wydaje mi się, żeby mieli tam jakieś specjalne urwanie głowy. Przechodzą szkolenia. Czekają, aż coś się wydarzy. Póki co zastrzelił tylko królika.

- Nazistowskiego, mam nadzieję? - spytał Kit. Poppy się uśmiechnęła.

- Śladu nazistów w zasięgu wzroku. Nie jestem pewna, dla kogo to czekanie jest gorsze, dla nich czy dla nas. I jeszcze poczta szwankuje w ostatnich kilku tygodniach. - Mówiła wesoło, z udawaną niefrasobliwością, jednak nie dałam się zwieść. -A może byśmy się napili? Wiem, że dopiero pora podwieczorku, ale mam ochotę na coś mocniejszego - dodała, opadając na krzesło.

Poszłam poprosić pana Wrexhama o wino. Kiedy wróciłam z butelką, siedzieli w milczeniu przy radiu.

- Dania się poddała. - Kit przygotował sobie drinka. - Bóg jeden wie, co się dzieje w Norwegii. Pewnie jest tam z połowa floty.

- Co to oznacza dla Francji? - spytała Poppy.

- Nie wiem - przyznał, podając jej kieliszek. - Front zachodni musi się kiedyś otworzyć. Nasi chłopcy są gotowi.

I tak mijały nam kolejne dni. Wylegiwaliśmy się w ogrodzie w łagodnych promieniach słońca, słuchaliśmy radia i zwykle piliśmy za dużo wina, podczas gdy z lasu Rookery niosło się wołanie kukulek, a kutry rybackie sunęły nieśpiesznie po wodach zatoki. Każdy dzień zapisał mi się w pamięci ciepłym, niczym niezmaconym błękitem. Wszystkie miały posmak ostatnich tygodni letnich wakacji, kiedy szkoła już majaczy na horyzoncie, a mimo wszystko należy jeszcze do innego świata tak bez reszty, że aż trudno uwierzyć, by ten przepełniony słońcem czas wolności mógł się kiedykolwiek skończyć. Leżąc na kocu, próbowałam liczyć nowe piegi na nosie Kita i myślałam, że nie sposób kochać mocniej, niż ja go kochałam w tamtej chwili. Pomagałam mu w rehabilitacji i jego krok stał się pewniejszy w dniu, w którym zauważyliśmy pierwszą nakrapianą muchołówkę lądującą na obsypanej kwieciem śliwie. Wyrzucił laskę, gdy para modraszków śmigła wśród gałązek irysów. Kiedy bladoróżowe skalnice rozkwitły w skalniaku, chodził już płynnie i czuł tylko lekki ból. Z całych sił starałam się nie modlić o wyjazd Poppy, ale to były kradzione chwile i chciałam mieć Kita tylko dla siebie.

Pomagałam pani Ellsworth przy gotowaniu. Nie chciała słuchać serwisów informacyjnych Home Service, narzekając, że są „chorobliwie makabryczne”, i zamiast nich wybierała muzykę nadawaną na okrągło przez stacje wojskowe. Uwielbiała te pogodne wojenne piosenki i kuchnia rozbrzmiewała skocznymi rytmami *Bye, bye, Blackbird, I left my heart at the Stage Door Canteen* oraz *This is the Army, Mr Jones*. Nuciała je i podśpiewy-

wała pod nosem, kiedy przyrządzała pasternak albo przelewała do butelek nalewkę z dzikiego bzu, od czasu do czasu sarkając: „Czemu w czasach pokoju nie wymyślają takich dobrych melodii? Pojąć nie mogę”.

Kiedy wróciłam do ogrodu, Poppy siedziała z Kitem i z łokciami na stole słuchała jak wyroczeni serwisu Home Service. Poczułam ukłucie zazdrości i po raz tysięczny zapragnęłam, by już wyjechała.

Kit posłał mi ponury uśmiech.

- No, wygląda na to, że Will będzie miał szansę postrzelać sobie nie tylko do królików. We Francji zaczęły się walki.

- Nic mu się nie stanie, Poppy. Głowę daję. - Sięgnęłam po wyświechtane frazesy, które mnie samą tak wcześniej irytowały, nagle przepełniona wyrzutami sumienia, że życzyłam sobie jej wyjazdu.

Ale dzień później moje pragnienia się ziściły. Do Poppy przyszedł telegram wzywający ją bezzwłocznie do powrotu na służbę - wszystkie przepustki odwołano - a pan Rivers oznajmił tego samego popołudnia, że wyjeżdża na tydzień do miasta. Życzyliśmy mu z Kitem szerokiej drogi, a potem trzymając się za ręce, pożeglowaliśmy na taras, nagle niepewni jak wykorzystać najlepiej ten niespodziewany dar losu. Czuliśmy się jak dzieci, których rodzice wyjechali i zostawili na pastwę rozkosznej wolności. Z głośników radia w jadalni dochodziły doniesienia o tworzeniu ochotniczych oddziałów obrony i „piątej kolumnie” w Holandii. Ale w tamtej chwili wojna wydawała się daleka. Sędziwy ogrodnik grabił opadłe kwiaty azalii, a niebieska sikorka wyciągała robaka z rabatek lawendy.

- Nie przebierajmy się do obiadu - zaproponował Kit.

- I tylko tyle? Twój ojciec wyjechał, a ciebie stać tylko na niezmiennienie koszuli do obiadu?

Zerwał stokrotkę i rzucił nią we mnie.

- A ty co proponujesz?

- Powinniśmy właśnie się przebrać. I to w stroje wieczorowe. A potem otworzyć szampana i koniak i bardzo się upić. - Nagle sobie coś przypomniałam i pokręciłam głową. - Nie. Nic z tego.

- Dlaczego? To świetny plan.

- Nie mam co na siebie włożyć. Diana zniszczyła moją jedyną suknię.

- Mam pomysł.

Poprowadził mnie schodami do jednej z pustych sypialni. Jako pokojówka sprzątałam ją i odkurzałam każdego dnia, ale od wybuchu wojny i zniknięcia służby pozostawała zamknięta. Wszystkie meble z wyjątkiem wielkiej szafy z mahoniu wysunięto na środek pokoju i przykryto wielkimi pokrowcami. Szare zasłony były zaciągnięte, a kiedy Kit je rozsunał, rodzinka moli wzbijała się nad jego głową. Przegonił je machnięciem ręki, otworzył drzwi szafy i chwycił naręczę sukien.

- Należały do mojej matki. Któraś na pewno będzie pasować. Cofnęłam się.

- Kit, nie. Nie mogłabym.

- Niby dlaczego? Nikomu tu nie służą, wisząc tak po próżnicy. A to by ją irytowało.

- Nie pamiętasz, co ją irytowało. Wzruszył ramionami.

- Żadna kobieta nie mogłaby spać spokojnie ze świadomością, że suknia z Paryża wisi bezużytecznie na wieszaku.

- Z Paryża?

Ciekawość wzięła górę nad skrupułami.

Obróciłam się przed lustrem. Ciemnogrnatowy jedwab spływał mi z gołego ramienia i opadał falą na ziemię. Złoty pasek połyskiwał poniżej talii, a kolczyki w kształcie liści zwisały z uszu. Wyobraziłam sobie matkę Kita: młodą dziewczynę, która wkłada tę suknię, przegląda się w lustrze, a potem schodzi po schodach na powitanie gości. Zastanawiałam się, co powiedziałyby Anna, gdyby mnie zobaczyła w tym stroju.

Nawet pan Wrexham przyłączył się do zabawy. Podał nam obiad na najlepszej porcelanie, nalał szampana i wycofał w ciemność, by nie podsłuchiwać, gdy szeptaliśmy i chichotaliśmy z Kitem. Nie czułam się jak przyszła pani Tyneford, ale dziecko bawiące się w przyjęcie, któremu pozwolono w ramach nagrody napełnić zabawkowy imbryk prawdziwą herbatą i ułożyć miniaturowe kanapki na maleńkich talerzykach.

Po posiłku wymknęliśmy się na taras. Przy zaciemnionych oknach jedynym źródłem światła w ogrodzie były nasze żarzące się papierosy. Zrzuciłam pantofle i położyłam stopy na ławce, żałując, że nie mam szkarłatnego lakieru na paznokciach. Podawaliśmy sobie szampana, pijąc prosto z butelki, a ja drżałam podekscytowana naszą dekadencją. Wślizgnęłam mu się w objęcia i zaczęliśmy się całować, najpierw delikatnie, potem coraz goręcej. Nagle Kit przestał i próbowałam go znowu do siebie przyciągnąć, ale zaraz poczułam ciepło jego oddechu na moim nagim ramieniu, a potem wilgoć jego warg na skórze. Wsunął palce pod ramiączko sukni i kiedy poczułam dotyk dłoni na piersi, usłyszałam jakby z oddali własne myśli analizujące dokładnie, ile zasad etykiety Anny łamię w tym momencie. Pocałował mnie znowu i oddałam mu pocałunek. Byłam upojona szampanem i nim. Położył mnie na ławce i sięgnął do rąbka sukni. Wiedziałam, że powinnam go powstrzymać. Właśnie tak powinny postępować dziewczęta, gdy młodzieńcy robią się zbyt

śmiali, zbyt zuchwali, zbyt rozkoszni. Ale nie chciałam, żeby przestał. Nie chciałam też rozczarować Anny. Nie chciałam być jedną z tych zepsutych dziewcząt z chóru, które przyprowadziły ją o westchnienia. Chciałam móc powiedzieć, że rozważyłam konsekwencje, przypominając jakąś skalaną bohaterkę - Toskę albo może Tessę D'Urberville - ale prawda wyglądała tak, że z trudem w ogóle myślałam. W tamtej chwili moje ciało ni w ząb nie było zainteresowane właściwym zachowaniem, jakiego oczekiwano po dziewczętach mojego pokroju. Kit rozwarł mi uda kolanem i usłyszałam trzask rozdieranego jedwabiu. To mnie trochę otrzeźwiło i usiłowałam mu się wyrwać, ale trzymał mnie mocno, tworząc klatkę ze swych ramion.

- Nie - powiedziałam, odpychając go, ale chyba mnie nie usłyszał. Pot błyszczał mu nad górną wargą i był teraz pochłonięty próbami sięgnięcia do moich majtek. - Nie - powtórzyłam i pchnęłam go z całej siły.

- Kocham cię - wyszeptał, jednak zamiast zachęcić, jego słowa tylko mnie rozgniewały i dźgnęłam go łokciem. Mocno. Odskoczył, usiadł prosto i wbił we mnie zranione spojrzenie. - O co chodzi? - spytał. - Chciałaś jak najlepiej wykorzystać fakt, że mamy dom tylko dla siebie.

- Tak. Ale tego nie chcę robić. Jeszcze nie.

Nagle poczułam się jak dziecko w pożyczonej toalecie.

- Mam na sobie suknię twojej matki. A my ją zniszczyliśmy.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze możesz ją zdjąć.

- O, co to, to nie - usłyszałam głos Anny dobywający się z moich ust.

Podniosłam palce do pereł, które nagle zaciążyły mi na szyi. Poczułam chłód dezaprobaty dwóch nieobecnych matek. Popra-

wiłam sukienkę, wzięłam buty i pobiegłam do domu z oczyma pełnymi łez.

Po powrocie ojca Kit zrobił się niespokojny. Wiedział, że gdzieś tam inni biją się na wojnie, a on został zdegradowany do sadzenia kapusty albo łowienia wątlusza z Burtem. Noga była już prawie zdrowa i nie chciał się przyznać do bólu, desperacko pragnąc jak najszybszego powrotu do wojska. Krążył po ogrodzie albo zaszywał się gdzieś na plaży. Nie domagał się już, bym mu towarzyszyła. Gdzieś szalały wałki, *Angelica*, choć mała, miała w nich swój udział, tymczasem Kit siedział z założonymi rękami. Chcąc nie chcąc, zastanawiałam się, czy gdyby sprawy potoczyły się inaczej i pozwoliłabym mu się ze mną kochać, bardziej by mi zaufał. Od tamtej chwili miałam dużo czasu, by to przetrwać, i czasami nadal się zastanawiam. Gdyby jedwabna suknia się nie podarła. Gdyby nagle nie naszły mnie wyrzuty sumienia. Czy to możliwe, że wtedy wszystko skończyłoby się inaczej? Ale właśnie po to Anglicy wymyślili ogrody. Kiedy łapię się na tym, że zaczynam się w ten sposób roztkliwiać, przycinam róże albo ze zdwojonym wigorem biorę się do bzu.

Przyszedł list od Margot, pierwszy od miesięcy: wilcze stada potwornie zakłócały funkcjonowanie poczty. Wyobrażałam sobie, jak jej zaginione listy toną w falach, i starałam się nie myśleć jednocześnie o zaginionych okrętach. Przeczytałam go w słońcu na tarasie, zmuszając się do powolnej lektury, do delektowania się każdym słowem.

Nawet nie potrafię Ci opisać, jak beznadziejnie się czuję, tkwiąc bezużytecznie w tej Ameryce. Mielicie już dużo nalotów? Bardzo się boicie? Poszłam do kina i słyszałam

w kronice filmowej hałas, jaki robią te przeklęte syreny, i naprawdę nawet w iluzjonie jeżą włos na głowie, a co dopiero na żywo - nie wyobrażam sobie, jak przerażająco muszą brzmieć razem z samolotami i bombami. Musisz pić brandy na uspokojenie.

Biedna Margot nie miała jeszcze pojęcia, że czujemy się równie beznadziejnie i bezużytecznie w naszej spokojnej części angielskiego wybrzeża.

Wiosna tutaj jest piękna. Mieszkamy w uroczym domu z widokiem na port i skrawek mostu Golden Gate. Ćwiczę w pokoju, którego okna wychodzą na wodę, i kiedy gram, myślę o Tobie, patrząc na drugi brzeg tego samego morza. Ostatnio czuję się trochę pod psem. Przepelnia mnie w środku taka pustka, gdy za Wami tęsknię, i tak bardzo pragnę mieć własną rodzinę i wiem, że nie powinnam się zamartwiać, że sprawa się przewleka, bo martwienie się tylko wszystko jeszcze bardziej pogarsza, i Robert z lekarzem (strasznie miłym) mówią to samo, ale, Plisę, to takie trudne. Robert kupił mi psa, pięknego golden retrievera, żebym go rozpieszczała i wyprowadzała na spacer. Nazwałam go Wolfgang, zdrobniale Wolfie. Byłabyś nim zachwycona. Pamiętam, jak wiercełaś Annie i Julianowi dziurę w brzuchu o psa.

Żałowałam, że jest tak daleko i nie mogę jej pocieszyć. Zawsze marzyła, by dać synowi na imię Wolfgang. Wyobraziłam sobie, jak obie włączymy się po wzgórzach w Tyneford, rzucamy Wolnemu patyki, śmiejemy się, gdy kąpie się w zatoce, a potem otrzepuje mokrą sierść na nas. Co ciekawe, w żadnej z tych wizji

nie mówiłam jej o powieści ojca. Mimo że tak bardzo wypatrywała najmniejszego słowa czy znaku od rodziców, zagarnęłam skarb w altówce tylko dla siebie. Teraz już za późno na żale. Dzisiejszy dzień spędzę w ogrodzie. Zasadzę krokusy na następną wiosnę i będę próbowała zająć myśli czymś innym.

Pewnego wieczoru w końcu maja zostałam dłużej w bawialni po wspólnym posiłku z Kitem i panem Riversem. Było po jedenastej. W środku zrobiło się za ciepło, marzyłam, żeby otworzyć okiennice i wpuścić trochę świeżego powietrza. Kit siedział przygarbiony w fotelu przy kominku, patrząc w pustkę, pan Rivers udawał, że czyta, a ja, znudzona, studiowałam porady dotyczące prowadzenia domu w „Womans Own”. W holu rozległ się dzwonek telefonu. Wszyscy zeszywnieliśmy, nasłuchując cichych kroków kamerdynera, a potem jego odległego szeptu. Kilka chwil później drzwi bawialni się otworzyły i wszedł pan Wrexham.

- Paniczu Kit. Telefon do pana, sir. Dzwoni kapitan Graham Parsons.

Kit zerwał się i dwoma susami pokonał pokój. Oboje z panem Riversem opuściliśmy gazety i wstrzymaliśmy oddech, by podsłuchiwać. Pochyliłam się do przodu i starałam się wyłować głos Kita.

„Tak jest, sir... Naturalnie, sir... dwadzieścia cztery godziny... tak, natychmiast, sir... przyływ... zupełnie zdrów, dziękuję, sir... do widzenia”, a potem odgłos jego kroków na parkiecie. Wrócił do pokoju i zauważyłam, że oczy mu błyszczą, policzki się zarumieniły z podniecenia. Stał, patrząc na mnie i pana Riversa, potem oparł się o ścianę w nonszalanckiej pozie, ale na ustach igrał mu uśmiech.

- Otrzymałem rozkazy. Mam zarekwirować łódź, popłynąć nią do Kentu i dołączyć do konwoju płynącego do Francji.

- Dobry Boże. Zatem to prawda. Odwrót. - Pan Rivers odrzucił gazetę.
- Chyba tak. Kapitan nie powiedział. Ostateczne rozkazy mam otrzymać po dotarciu do Ramsgate.

Przycupnął na brzeżku sofy, ale nie mógł usiedzieć na miejscu, wstał zaraz i zaczął krążyć po pokoju. Złapałam go za rękę, kiedy przechodził obok, i zmusiłam, by się zatrzymał.

- Kiedy wyruszasz?

- Gdy będzie przytył. Mam wypłynąć, gdy tylko łódź będzie gotowa.

Poczułam mdłości i zacisnęłam dłoń na jego rękę tak mocno, że kłykcie mi pobieleły. Uśmiechnął się do mnie i wsadził mi za ucho ciemny loczek.

- Nie denerwuj się, kochanie. Nareszcie mogę się na coś przydać. Wrócę, zanim się obejrzysz.

Spróbowałam odpowiedzieć uśmiechem, ale nie puściłam jego ręki. Pomimo tego, co przydarzyło się mojej rodzinie, Kit nadal nie mógł sobie wyobrazić, że czasami ludzie rozstają się na dłużej, niżby chcieli.

- Idź się przebrać - powiedział pan Rivers. - Potem zejdziemy na plażę i porozmawiamy z Burtem. Zakładam, że chcesz wziąć *Ługiem*?

Kit skinął głową.

- Tak. To najzwinniejszy kuter. Nie największy, ale szybki i znam kaprysy jego silnika.

Dziesięć minut później szliśmy śpiesznie do zatoczki: Kit w swoim marynarskim mundurze, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię. W długim szynelu i czapce, której rondo ocieniało mu oczy, wyglądał bardzo szykownie i o wiele dojrzałej. Wbiłam paznokcie w dłonie i żałowałam, że nie wierzę w Boga, by modlić się o jego szczęśliwy powrót. Pan

Rivers też się przebrał w strój roboczy i zauważyłam sztormiak wepchnięty pod ramię. Noc była bezchmurna i rozgwieżdżona. Jakaś sowa zahuczała w ciemności i przeleciała nisko nad kamienistą plażą. Szłam szybko, starając się dotrzymać kroku mężczyznom. Okna chatki Burta były zaciemnione, ale w poświacie gwiazd widać było cienką smugę dymu unoszącą się z rozwalonego komina. Pan Rivers zapukał i po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie. Burt zamrugał na widok Kita w mundurze i czapce porucznika na swoim ganku.

- Burt, jestem zmuszony zarekwirować *Lugiera*. Muszę popłynąć nim do Francji. Nasi chłopcy utknęli tam na plażach.

Burt skinął wolno głową, potem zasalutował.

- Ano, panie oficerze. Mówiliście przecie, co *Lugier* jest tera częścią floty Jej Wysokości. Jeśli Admiralicja go potrzebuje, to nie ma rady. Ino szkoda, że sam nie ciut młodszy i mniej stetryczały, bobym z wami popłynął.

Kit ruszył ciemnym dziedzińcem na plażę, gdzie na kamieniach pod brezentem stała łódź. Pan Rivers pomógł mu ściągnąć płachtę i razem z Burtem zaczęli krążyć we trzech dokoła kadłuba, badając jego poszycie w migotliwym świetle zapalek. Kit wszedł na pokład i zaczął podawać mi zwinięte sieci i wię-cierze.

- Wszystko, co nie jest niezbędne, trzeba zabrać. Złapałam sieci i zaniósłam je w kąt podwórza.

- Są tam jakieś koce? - zawołał pan Rivers. - Na kanale będzie zimno. I jedzenie. Potrzebujemy puszek i co najmniej trzech galonów świeżej wody.

- Pójdę spytać panią Ellsworth - zaproponowałam i odwróciłam się, by ruszyć z powrotem do domu.

- Spokojnie, mamy jeszcze mnóstwo czasu - powściągnął

mnie. - Trzeba poczekać na przyływ. Minie co najmniej sześć godzin, zanim *Lugier* będzie mógł wypłynąć.

Nie obchodziło mnie, czy mamy czas. Pobiegłam ścieżką ile tchu w płucach - chciałam spędzić z Kitem każdą chwilę, jaka nam pozostała. Kredowy trakt, biały jak kość, tonął w księżycowej poświacie. Nocne powietrze pachniało słodko dzikimi różami. Przebiegłam obok puszczyka, który teraz przysiadł na słupku ogrodzenia i obracając łepkę obserwował mnie żółtymi ślepiami. Zdyszana dobiegłam do tylnych drzwi.

- Pani Ellsworth! Potrzebuję koców, konserw mięsnych, puszek z owocami i wody... i opatrunków, i bandaży... i trochę brandy, jeśli pani ma.

Ruszyła szybko korytarzem, jej opalone czoło pokryło się bruzdami niczym świeżo zaorane pole.

- Tak, tak, dobrze. Wejdz i zamknij drzwi. Wypuszczasz światło.

Uświadomiłam sobie, że w pośpiechu zapomniałam o zasadach zaciemnienia i żółta poświata ze środka wylewa się na bruk dziedzińca. Zatrzasnęłam drzwi i ruszyłam za nią do spiżarni. Podała mi worek.

- Włóż do niego konserwy z dolnej półki. Weź tuzin puszek skondensowanego mleka. Owoce. Dwa otwieracze do konserw. I łyżki.

Kiedy zapakowałam prowiant, zatargałam worek do tylnych drzwi. Zastanawiając się, jak, u licha, zataszczę to wszystko na plażę, zauważyłam z westchnieniem ulgi taczkę Arta. Pani Ellsworth wyniosła na podwórze kosz piknikowy i stos koców. Zaczęłam pchać taczkę, najpierw podjazdem, potem po ścieżce na plażę. Terkotała na kamieniach i byłam pewna, że pobudzę całą wieś. Zachodziłam w głowę, jak, u Boga, radzą sobie szmuglerzy. Podejrzywałam, że mimo wszystko nie używają ta-

czek. Ustrojstwo było ciężkie, grzęzło między kamieniami, ale w końcu dotarliśmy na plażę. Mężczyźni sprawdzali olinowanie *Lugiera* i kłócili się, czy zabrać dodatkowy żagiel.

- Nie będę żeglował na linii frontu - upierał się Kit z rękoma złożonymi na piersi. - Gdy będziemy już blisko Francji, popłyniemy na silniku.

- A co, jeśli wysiądzie? - spytał pan Rivers.

- Popłyniemy na wiosłach.

- Diabelnie trudno nim wiosłować - zaproponował Burt, kręcąc głową.

- Na pokładzie będzie mnóstwo ludzi. Niektórzy będą musieli pomóc - Kit obstawał przy swoim z determinacją.

- Dobra - rzucił Burt. - Weźcie taką razą jeszcze jeden komplet.

- A co z flarami? - spytał pan Rivers.

- Pod ławką na rufie - odpowiedział Burt.

Kit zeskoczył z łodzi, stanął przy mnie i objął mnie ramieniem.

- Teraz zostało już tylko czekać na przyptyw.

- No to może wróci panicz do domu i prześpi się kilka godzin? - zaproponowała pani Ellsworth.

Roześmiał się.

- Za nic teraz nie zasnę. Wyciągnę się na pokładzie i odpocznę - dodał, żeby ją udobruchać. - Chodź. - Chwycił mnie za rękę i wybrał koc. - W kółko się dopytujesz, jak to jest spać na morzu, teraz masz okazję się przekonać.

Pomógł mi się wdrapać na pokład. Rozłożył koc na jednej z wąskich drewnianych ławek, położył się i poklepał puste miejsce obok siebie. Wahałam się tylko sekundę. Oplótł mnie ramionami, poczułam jego oddech na szyi. Nadal byłam jednak zziębnięta i dygotałam. Podniósł się szybko.

- Przepraszam. Bardzo nieszarmancko z mojej strony. Proszę. -
Ściągnął wełniany trencz i przykrył nas oboje. Linia odpływu rysowała się daleko w zatoce, woda uderzała o skały w oddali. - Nie jest tu tak wygodnie jak na hamaku Snottiego.

- Snottiego?

- Aspiranta marynarki. My oficerowie cieszymy się luksusem twardej koi i lądujemy na podłodze przy lada podmuchu wiatru. Jednak raz czy dwa rozwiesiłem sobie hamak i nie ma porównania. Człowiek buja się do rytmu z okrętem, śpi jak dziecko w kołysce.

- Spróbujemy tak po twoim powrocie - wyszeptałam. - Przy Durdle Door. Jak mi pisałeś.

Zamilkliśmy, przypomniawszy sobie poufale wizje z jego listów i zmarnowane tygodnie w Tyneford. Większość z nich spędził, marząc o znalezieniu się na morzu, a teraz, gdy miał odpłynąć, nie posiadał się z żalu.

- Przepraszam, kochanie. Kiedy przyjadę na przepustkę, będzie zupełnie inaczej. To przez tę bezczynność zachowywałem się jak ostatni drań.

Obróciłam się w jego ramionach, by go pocałować. Poczułam ciepło jego warg na swoich.

- Elise - powiedział, kiedy wreszcie oderwał usta. - Pragnę cię poślubić. Już. Nie chcę czekać dłużej.

Przełknęłam głośno, czując, jak coś rośnie mi w gardle.

- Dobrze.

Pogłaskał mnie po policzku.

- Zgadzasz się? Naprawdę?

Próbowałam sobie wyobrazić list, który napiszę do Anny... *Kochana Anno. Dziś wyszłam za Kita. Miałam na sobie twoje perły.*

Musnęłam wargami jego brodę.

- Ale - spuściłam wzrok na dłonie, zbyt onieśmielona, by spojrzeć mu w oczy - nawet jeśli nie pobierzemy się teraz. To, o czym pisałeś w listach. Moglibyśmy to zrobić, jeszcze przed ślubem. Następnym razem cię już nie powstrzymam. Jeśli chcesz.

- Tak. Chciałbym - powiedział cicho. - Kiedy wrócę. Przyciągnął mnie blisko do siebie i mocno objął. Zwinęłam

się w jego ramionach, zamknęłam oczy i słuchałam morza. Zaczynał się przypyływ. Każda fala coraz bardziej przybliżała moment rozstania. Otworzyłam oczy, walcząc ze snem w ciepłe jego objęcie. Nad cieniami drzew w wiosce rozpoznawałam ostrą sylwetkę kościoła i niemego dzwonu na wieży. Milczał od wybuchu wojny, nie wybijał ani kwadransów, ani północy, nie odzywał się w porze niedzielnej mszy ani na pogrzeby. Tak bardzo pragnęłam, by jego cisza oznaczała, że czas się zatrzymał. Wyobrażałam sobie, że dopóki nie zabrzmia karyliony, Kit będzie leżał obok mnie na drewnianej ławce, czekał bez końca na przypyływ i nie odjedzie. Jeśli dzwon by się nie odezwał, już na zawsze żylibyśmy w tej chwili tuż przed rozłąką i nigdy byśmy się nie rozstali.

Dokoła płońął brzask. Zdradziłam nas oboje w nocy i zasnęłam. Pan Rivers siedział na ławce naprzeciwko. Przyglądał nam się i zanim się zorientował, że nie śpię, zauważyłam, że jest smutny. Zamrugął, uśmiechnął się i twarz mu się rozchmurzyła.

- Dzień dobry - powiedział. - Pani Ellsworth przyrządza śniadanie.

Kit usiadł i przeciągnął się z potężnym ziewnięciem.

- Która godzina?

- Około czwartej. Za godzinę przypyływ będzie akurat.

- W dechę - oznajmił Kit i wciągnął mnie na swoje kolana,

kiedy usiadłam. Przycisnął podbródek do mojej szyi i poczułam drapanie jego zarostu.

Morze chlupotało zaledwie kilka stóp od *Ługiem*, wiedziałam, że za godzinę kuter znajdzie się już na falach. Parę metrów dalej pani Ellsworth smażyła bekon na małym ogniu. Garstka rybaków kręciła się po podwórzu Burta, popijając herbatę z emaliowanych kubków i omawiając pogodę ściszonymi głosami. W oddali drobna postać we fraku schodziła sztywno po ścieżce na plażę. Kiedy się zbliżyła, rozpoznałam w niej pana Wrexhama. Trzymał przed sobą miskę z parującą wodą, w pasie miał przewiązany nieskazitelnie biały fartuszek, a przez oba nadgarstki przewieszane nieskazitelnie białe ręczniki. Skłonił głowę na widok pana Riversa i Kita.

- Dzień dobry, panie Rivers, sir. Dzień dobry, paniczu. Mam nadzieję, że noc minęła dobrze, bez większych niedogodności.

- Spałem doskonale, dziękuję, Wrexham - zapewnił Kit. Wydawało mi się, że prawa powieka kamerdynera zadrgała,

kiedy zobaczył, że siedzę na kolanach Kita, ale pewna nie byłam.

- Mogę prosić? - spytał, podnosząc do góry miskę.

Pan Rivers wziął ją od niego, postawił na pokładzie i chwilę później stary lokaj zwinnie wspiął się na kuter. Pan Rivers usiadł na ławce wyprostowany, zupełnie nieruchomo, a pan Wrexham owinał większy ręcznik dokoła jego kołnierza, a na drugim, mniejszym, rozłożył przyrządy do golenia, które wyciągnął z kieszeni fartucha. Patrzyłam zafascynowana, jak zanurza kawałek flaneli w misce z wodą i przyciska do twarzy pana Riversa: materiał parował jak poranna mgła. Później do był z kieszeni skórzany pasek i przerażającą brzytwę, którą jął po nim przeciągać, aż ostrze zabłyszczało. Ubił pędzelkiem pianę z mydła, potem rozsmarował ją na brodzie i ustach pana Riversa. To była męska alchemia. Pomyślałam z ukłuciem bólu

o Julianie. Pokojowiec golił go co rano i choć często błagałam, by dał mi popatrzeć, ojciec jasno dał do zrozumienia, że jest to dla mężczyzny chwila intymna, prosta przyjemność, której nie może zakłócić obecność małych dziewczynek. Zastanawiałam się, kto go teraz goli. Nigdy wcześniej nie robił tego sam.

Pan Wrexham zanurzył ręcznik w słonej fali i przycisnął go do brody pana Riversa. Ten wzdrygnął się i wciągnął z ostrym sykiem powietrze.

- Dobra, morska woda. Lepsza od kolońskiej, sir - zapewnił kamerdyner.

Potem przeniósł uwagę na Kita, powtarzając całą procedurę z użyciem świeżych ręczników i pędzla. Żaden z dżentelmenów nie wydawał się speszony faktem, że stary lokaj przyszedł na plażę i zadał sobie tyle trudu, by zająć się ich toaletą pod gołym niebem. Brytyjski oficer nie mógł wypłynąć w morze nieogolony jak należy.

- Czy mam zapakować pańskie przybory do golenia, sir?

- Jeśli możesz, Wrexham - odpowiedzieli obaj dżentelmeni.

Na łodzi miały się znajdować tylko rzeczy absolutnie niezbędne i najwyraźniej brzytwa mieściła się w tej kategorii. Zafascynowana widowiskiem przeoczyłam jeden ważny szczegół. Kit nie. Odwrócił się do ojca zaskoczony.

- Twoje przybory? Zamierzasz popłynąć do Kentu?

- Jeśli przyjmiesz pod swoje skrzydła starego wojaka. Wiem, że poradzisz sobie bez mojej pomocy, ale będziesz nieludzko skonany, zanim jeszcze dotrzesz do Ramsgate. To piętnaście godzin żeglugi.

- Wiem - powiedział Kit, jakby ojciec kwestionował jego zdolność oceny sytuacji. - Rzuciłem okiem na mapę.

- Nie wątpię - stwierdził pan Rivers spokojnie. - Mimo to też chciałbym popłynąć. - Patrzył na Kita, jakby prosił o zgo-

dę, jego ton był pogodny, ale wiedziałam, że to nie jest pytanie. Chciał po prostu dać synowi iluzję wyboru.

Mierzyli się wzrokiem, wyraźnie podminowani. W końcu Kit skinął krótko głową i rozluźnili się.

- Dobrze - powiedział. - Przyda mi się pomoc, ale w Ramsgate mam wziąć na pokład jeszcze jednego oficera rezerwy.

- Świetnie. - Ale jeśli będzie was za mało, popłynę z wami do Francji - oświadczył pan Rivers.

Popatrzyłam na jego zaciśnięte usta i wiedziałam, nawet jeśli Kit jeszcze się nie zorientował, że popłynie do Francji bez względu na innych rezerwistów. Ochmistrzyńni wezwała nas na śniadanie, ucinając dyskusję. Słońce wyszło zza wzgórz i połyskując złotym blaskiem niczym zegarek kieszonkowy džentelmena, odbijało się od kepy zawciągu nadmorskiego porastających skraj urwiska. Dokoła niosły się krzyki mew, a przed chatką Burta świstunki kłaskały i śmigwały wte i wewte wśród zarośli. Woń chrupkiego bekonu rozeszła się w powietrzu, kiedy pani Ellsworth rozdała wszystkim okrągłe talerze z pajdami chleba, kawałkami żyłkowanego boczku i smażonymi jajkami. W rogu podwórza Burt z panem Wrexhamem nawlekali na mocny kawałek sznurka kamienie o dziwnych kształtach: duże zdeformowane otoczaki z otworami w środku, wydrążonymi przez tysiąclecia przyływów i odpływów. Zanieśli je potem na *Lugiera* i zawiesili dokoła dziobu, przywiązując sznur mocno do podstawy stójek sztormrelingu, tak że przód łodzi ozdobił osobliwy naszyjnik. Burt zauważył, że się przyglądam, i posłał mi oko.

- Kamienie na czarownice - zawołał. - Coby się jędze nie pchały na pokład.

Nic na to nie powiedziałam, ale byłam zdania, że niemieckie sztukasy będą większym zagrożeniem niż czarownice. Wyglą-

dało na to, że Burt domyślił się, co mi chodzi po głowie, i się wyszczerzył.

- Ano. Lepiej zawsze dmuchać na zimne. No i nie mamy nic, coby odstraszyć szkopów. A tak przynajmniej wiemy, co czarownice nie bedom sprawiać kłopotu.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy ze mnie kpi. Popatrywałam to na niego, to na jego brata. Stary rybak miał na sobie swoje zwykłe zgrzebne brązowe spodnie i usiany cerami sweter, brodę porastał mu tygodniowy zarost barwy soli. Pan Wrexham wyglądał jak spod igły w czarnym fraku i wykrochmalonej koszuli, ale oczy obu patrzyły na świat tym samym odcieniem błękitu, a kiedy zawieszali kamienie nad dziobem kutra, poruszali się lekkimi ruchami mężczyzn nawykłych do zarzucania sieci i życia na morzu. Kamerdyner nadal był rybakiem.

- Już czas - zawołał pan Rivers. - Pomóżcie oddać cumy. Fale opływały teraz kadłub, ale trzeba było zepchnąć łódź

głębiej na morze i rybacy zaroili się dokoła, nie bacząc na wodę wlewającą im się do butów. Pochylili ramiona i przeciągnęli łódź, trąc drewnianym kadłubem o kamieniste dno. Ruszyłam za nimi. Pan Rivers pocałował mnie lekko w policzek i ujął moją rękę w obie dłonie.

- Dostarczę go całego i żywego do domu z powrotem, obiecuję. Zobaczymy się za kilka dni. Góra tydzień. Postaram się zadeszować. Ale masz się nie denerwować. - Zorientowałam się, że płaczę, i obmyłam twarz wodą, żeby ukryć łzy. Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem przyciągnął do siebie. - Tak mi przykro, że nie udało mi się sprowadzić twoich rodziców do Ty-neford. Nawet nie potrafię wyrazić jak bardzo. Ale obiecuję, że Kita ci przyprowadzę.

Czułam przez cienką bluzkę rytm jego serca: było niczym fale o brzeg. Myślałam, że powie coś jeszcze, ale nagle mnie puścił,

odszedł i wskoczył na rufę. Otarłam oczy i zlizalam słoną wodę z grzbietu dłoni. Najpierw Anna i Julian. A teraz Kit i pan Rivers.

Kit tańczył dokoła dziobu, trzymając faleń i obracając *Lugie-ra* tak, by dziobnica była zwrócona na morze. Kiedy Burt wziął od niego linę, przyszedł się pożegnać.

- Skarbie, kocham cię - powiedział. - I bardzo szybko się zobaczymy. Wiesz, że muszę popłynąć, na tych plażach czeka Will.

Skinęłam głowę, ale głos uwiązł mi w gardle. Pocałował mnie, przechylając do tyłu w kierunku fal, jakbyśmy byli parą z melodramatu. Rybacy na plaży nagrodzili to owacją. Poczzerwieniałam w przyływie nagłego gniewu. Zachowywał się jak bohater jakiegoś przygodowego filmidła pozujący przed widzami.

- Kit, proszę. Musisz uważać. Bardzo lubię Willa. Ale ciebie kocham. Jestem egoistką. Nie chcę, żebyś zginął, ratując kawalera jakiejś innej dziewczyny. Jeśli to oznacza, że jestem zła, to przepraszam, ale ty nie wiesz, jak to jest być rozdzielonym z kimś, kogo się kocha. Byłam sama. Potem znalazłam ciebie. Nie chcę znowu zostać sama.

Pocałował mnie ponownie, ale wiedziałam, że nie może się już doczekać wypłynięcia w morze.

- Cii - powiedział. - Nikt nie zginie, kochanie.

- Nie, Kit. Zginie. I wolałabym, żebyś to nie był ty.

Wiedziałam, że nie zachowuję się po brytyjsku. Angielka pocałowałaby swojego narzeczonego lekko w usta i oświadczyła: „Skarbie. Wiesz, że bardzo mi na tobie zależy. Postaraj się nie wdać w żadne kłopoty”. A potem pomachałaby mu grzecznie na do widzenia, może ukryła stoicką łzę w chusteczce, zaparzyła sobie pysznej herbaty i wróciła do cerowania skarpet. Cóż, nie byłam Angielką, tylko wiedenką, a kobiety z kontynentu mówią to, co czują. Wzięłam głęboki oddech i starałam się nie zwracać uwagi na fakt, że Kit przestępuje z nogi na nogę zakłopotany.

- Wszyscy, których kocham w Anglii, zaraz wsiądą do tej drewnianej łodzi i znikną na morzu. Płyn ostrożnie, bo płyniesz ze wszystkim, co jest mi drogie na tej śmiesznej deszczowej wysepce.

(Jestem niemal pewna, że właśnie tak powiedziałam. Przez lata, które minęły od tamtej chwili, odtwarzałam ją sobie w pamięci niezliczoną ilość razy. Nawet jeśli tego nie zrobiłam, to właśnie chciałam rzec).

Pan Rivers pomachał z łodzi. Kit ujął moją twarz w dłonie i delikatnie mnie pocałował.

- Do widzenia, najdroższa.

Stałam w morzu, patrząc, jak mała łódź oddala się, obraca przez sztag w stronę ujścia zatoki i wypływa na otwarte wody. Już po chwili kuter skurczył się do rozmiarów dziecięcej łódeczki, a po drugiej zniknął. Odwróciłam się, powlokłam na plażę i przycupnęłam na jednej z płaskich skał pod urwiskiem. Wiedziałam, że powinnam czuć dumę i radość z powodu męstwa ojca i syna, ale nie czułam. Płynęli do Francji, by ratować ludzi, którzy ugrzęźli na obcych plażach, jednak ich odwaga nie była altruizmem bez skazy. Kitem kierowała chęć przygody. Niebezpieczeństwo i ryzyko go pociągały, choć twierdził, że płynie tylko dla Willa. Uwielbiałam go, ale wiedziałam, że Burt miał rację, gdy nazwał go zuchwałym i lekkomyślnym. Pan Rivers także to wiedział i płynął do Francji, by przypilnować, aby jego syn wrócił do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Mewa na horyzoncie

Próbowałam pomagać pani Ellsworth w gotowaniu, ale nic dobrego z tego nie wyszło, przypaliłam tylko ciasto, marnując połowę tygodniowego przydziału tłuszczu, i zacięłam się w palec, kiedy obdzierałam ze skóry królika. Słuchałam serwisów informacyjnych w radiu, ale doniesienia były niejasne i zdawkowe. W końcu zaszyłam się na małej facjatce (którą nadal uważałam za swoją mimo awansu do niebieskiego pokoju) i chodziłam od ściany do ściany, w końcu wyciągnęłam altówkę. Otworzyłam futerał, dobyłam smyczek i wzięłam małą grudkę wosku, którą rozgrzałam w dłoniach, zanim potarłam nią delikatnie po włosiu. Wsunęłam altówkę pod brodę i przeciągnęłam smyczkiem po strunach. Grałam przez całe popołudnie: Vivaldiego, Do-nizettiego, Binga Crosbyego, nie przerywając nawet na posiłki ani wiadomości w porze lunchu.

Przez następne kilka dni albo grałam na altówce, albo pracowałam w ogródku warzywnym ze starym Billym. Rozsypywałam dokoła równych rzędków sadzonek sałaty zmiażdżone muszle z plaży, żeby odstraszyć ślimaki, i z czołem ociekającym potem kopałam grządki pod nowy zbiór boćwiny. I przez cały czas słyszałam w głowie dziwny dźwięk altówki. Rozgościł się w mojej wyobraźni jak odgłos morza i dreptałam, rąbałam, kopałam i sadiłam do jego refrenu. O zmierzchu powlokłam

się na plażę, usiadłam z Burtem na kamieniu przed jego chatą i odpoczywaliśmy tak w przyjaznym milczeniu, patrząc na zaczynający się przypływ. Wiedziałam, że gdzieś daleko plaże rozbrzmiewają hukami karabinów i artylerii, wyciem sztuka-sów i mężczyzn, ale tu, w Worbarrow, woda pluskała spokojnie

O brzeg, a jedynymi krzykami były krzyki mew.

Słońce zsunęło się za horyzont, fajka Burta jarzyła się w ciemności niczym drugi, czerwony księżyc. Nagle kamyczki za-chrzęściły i przez plażę przekradł się lis, w nocnym powietrzu niósł się jego ostry odór.

- Nie trza się denerwować, panienko. Pan dziedzic nie pozwoli paniczowi wpakować się w żadną kabałę - powiedział Burt.

Sięgnęłam po gładki kamień i posłałam go z chrzęstem po plażę.

- Chcę, żeby żaden z nich nie wpakował się w kabałę.

Maj przeszedł w czerwiec, a ja chodziłam po domu jak lunaticzka. Miałam wrażenie, że noszę na szyi ciężki sznur kamieni na czarownice: dwa dla Anny i Juliana, a teraz dwa dodatkowe dla Kita i pana Riversa. Ruszałam się jak otepiała mucha w smole i na okrągło miałam ochotę spać, ale gdy tylko zamykałam oczy, śniły mi się rozdarte żagle i wzburzone morze pełne krwi. Gazety drukowały zdjęcia zmęczonych i brudnych mężczyzn w zielonobrazowych łachmanach, wylewających się z niezliczonych okrętów i kuśtykających po nabrzeżach w Dover i Portsmouth. Autorzy radiowych relacji i „Times” upierali się, że są „zmęczeni, ale niestrudzeni” i niezwyciężeni w obliczu klęski. Mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek przygotowali dla nich dwadzieścia tysięcy kanapek i trzydzieści tysięcy filiżanek herbaty, a naród upajał się

śmiałą akcją ratunkową i niezłomnością ducha ocalałych. Wy-
patrywałam na zdjęciach prasowych *Lugiera* albo Kita czy pana Riversa,
ale oczywiście nadaremno. Słyszałam brzęk, gdy uratowani żołnierze
wsuwali grosik do otworu w budkach telefonicznych. Słyszałam radosne
krzyki ich matek, ukochanych i babć. Jeden z pomocników rolnych
przyjechał prosto z Portsmouth do Tyneford okazją, załapawszy się na
poranny wóz mleczarza. Poprosiłam panią Ellsworth, by wysłała butelkę
porto i cygaro jego ojcu, by mógł uczcić szczęśliwy powrót syna.
Staralam się nie żałować, że to nie Kit i pan Rivers wrócili cali i zdrowi
zamiast tego nieznanego chłopca kochanego przez obcych.

Przez to otumanienie minęły dwa dni, zanim się zorientowałam, że w
obliczu nieobecności pana i panicza służba zwraca się do mnie po
instrukcje. Ogrodnik chciał wiedzieć, czy ma nadal sadzić groszek
pachnący czy tylko zielony (naciskałam na pachnący, bo jego wesołe
kwiatki stały się jeszcze bardziej nieodzowne w czasie wojny), a pan
Wrexham prasował gazetę i zostawiał ją dla mnie co rano w jadalni.
Kiedy ochmistrzyni poprosiła o instrukcje co do obiadu, poinformowałam
ją, że zjem to, co przygotuje dla służby.

- Pani Ellsworth, obie mamy wystarczająco dużo pracy przy
gotowaniu bez pitraszenia czegoś specjalnie dla mnie. Pana dziedzica nie
ma, więc to nie stanowi obniżenia standardów -powiedziałam stanowczo
na widok bladości wstępującej na jej rumiane policzki. - Podczas
nieobecności pana Riversa będę jadała w kuchni z wami. To głupota
kazać panu Wrexhamowi obsługiwać mnie jedną w jadalni.

Ochmistrzyni popatrzyła na mnie z gniewem i zaczęła czyścić i tak już
nieskazitelnie czysty blat stołu.

- Pan Wrexham się nie zgodzi.

Ale pan Wrexham się zgodził. Był zmęczony. Wykonywał

pracę lokaja, pokojowca i nadzorcy i nawet dla człowieka tak ambitnego jak on okazało się to za wiele. Tydzień przed wypłynięciem Kita i pana Riversa zauważyłam, że rusztów nie czyszczono co najmniej od dwóch tygodni, a obiadowe srebra zniknęły i oba posiłki zaczęto podawać na zwykłej zastawie śniadaniowej. Z początku starałam się go pokrzepić, zapewniając: „To bardzo rozsądna decyzja, panie Wrexham. Po wojnie znowu będziemy mogli wyciągnąć srebra obiadowe”, ale choć nic wtedy nie odrzekł, nazajutrz srebrne sztuce znowu się pojawiły, doskonale wypolerowane. Następnego dnia ukradkiem wytarłam w serwetkę czarną plamę po paście ze swojego noża. Po tygodniu obiadowe srebra znowu zniknęły i tym razem pilnowałam się, by nie powiedzieć już ani słowa.

Dziwnie było znowu jeść razem ze służbą. Pan Wrexham i ochmistrzyni upierali się, by nakładać mi pierwszej, zamiast sobie, jak czynili to wcześniej, gdy pracowałam jeszcze jako pokojówka. W kuchni przed wielkim czarnym piecem było przytulnie, choć trochę duszno.

- Może napije się pani wina, miss Landau? - dopytywał się kamerdyner.

- Nie, dziękuję. Wystarczy mi napój z jęczmienia i cytryny. Jedliśmy w milczeniu. Ta cisza mi odpowiadała, ale czułam

się winna, że moja obecność krępuje towarzystwo. Po obiedzie pani Ellsworth się nie zgodziła, żebym pomogła jej przy zmywaniu, więc zaszłam się w głuszy biblioteki. Nigdy tam nie siedziałam, kiedy pan Rivers przebywał w domu - to było jego królestwo, ale może właśnie dlatego to tam szukałam pociechy. To był pokój męczyzny. Opary whisky mieszały się ze stęchłą wonią starych książek, a w powietrzu unosił się zapach pana Riversa i niemal czułam jego obecność, jak siedzi w swoim fotelu i obserwuje mnie kątem oka. Słońce jeszcze nie zaszło,

okna i drzwi były szeroko otwarte. Przycupnęłam na krawędzi biurka, bawiąc się mechanicznie lornetką - tą, której pan Rivers używał na spacerach i polowaniach, żeby lepiej widzieć sokoły czy myszołowy. Skierowałam ją na morze i obserwowałam mewę szybującą na horyzoncie. Zamrugałam. To nie mogła być mewa. Znajdowała się zbyt daleko jak na ptaka. Popatrzyłam znowu. Łódź.

Upuściłam lornetkę i wybiegłam na taras, wołając do pani Ellsworth i pana Wrexhama:

- Łódź. Łódź. Wszyscy na brzeg.

Nie sprawdzwszy, czy mnie słyszeli, popędziłam na złamanie karku nad morze. Nadciągał zmierzch i cienie dokoła się wydłużały, a nad falami wisiał niczym papierowa dekoracja sceniczna cienki księżyc w pełni. Świerszcze cykały w trawach jak oszalały chór kieszonkowych zegarków. Kiedy dotarłam do najwyższego miejsca ścieżki, przystanęłam i wbiłam wzrok w przestrzeń, wypatrując łodzi w zatoce. Tak. Jest: mały ciemny żagiel łopotał, niestrymowany porządnie. Nie byłam w stanie zobaczyć, ile osób jest na pokładzie. Łódź płynęła wolno ujściem zatoki, skręcając i trzymając się blisko czarnych skał. Zbiegłam na plażę. Na lądzie czekali już rybacy, w tym Art i Burt. Stali na linii fal i obserwowali zbliżającą się łódź. Wszyscy milczeli. Obróciła się przez sztag i skierowała prosto na nas. Słyszałam, jak wiatr łomocze o rozdarty fok, i dopiero po chwili zorientowałam się, że to tylko mojej serce tak dudni.

- Dwóch na pokładzie! - krzyknął Burt.

Zobaczyłam, że ma rację. Dwie sylwetki rysowały się niewyraźnie w mroku: jedna przy rumplu, druga przy szocie. Głos Burta zadziałał na rybaków jak trzaśnięcie bicia i nagle jak jeden mąż wszyscy rzucili się do morza.

- Silnik musiał nawalić. Płyną pewnie od wielu godzin. -Burt zmarszczył brwi.

Wbiegłam na płyciznę i patrzyłam, jak dwóch, potem trzech, w końcu czterech mężczyzn dopłynęło do łodzi, wspięło się na pokład i skierowało ją na plażę. Dno kadłuba chrzęściło po kamieniach, kiedy, z rozchwianym, połamanym masztem, wyciągali ją na brzeg. Kit siedział przy sterownicy w płaszczu czarnym od wody i z twarzą oblepioną włosami, ale uśmiechnął się do mnie. Po raz pierwszy od pięciu dni odetchnęłam pełną piersią. Kiedy Burt pomagał mu wygramolić się na ląd, poszukałam wzrokiem pana Riversa. Siedział ze zwieszoną głową na pokładzie, trzymając linę grotzągła pobielającymi palcami. Twarz miał szarą, pod ramieniem ciemną plamę i rozdarty sztormiak. Wgramoliłam się na pokład i rzuciłam w jego stronę. Uklęłam obok, objęłam go ramieniem i dotknęłam jego policzka. Wzrok miał nieprzytomny.

- Idźcie do domu. Powiedzcie Wrexhamowi, żeby wezwał lekarza! - krzyknęłam.

Rybacy patrzyli na mnie wstrząśnięci. Żaden się nie ruszył.

- Natychmiast!

Ktoś wyskoczył z łodzi i zobaczyłam, że Art pędzi w stronę brzegu.

- Brandy! - zawołałam.

Ktoś rzucił mi butelkę trunku, przycisnęłam ją do bezbarwnych warg pana Riversa. Pociągnął słabo i otworzył jedno oko.

- O, witam - powiedział. - Pycha.

- Kit! Co się stało? Jest ranny? - zawołałam.

Siedział na plaży wśród obmywających go fal, zbyt zmęczony, by się ruszyć.

- Tylko wykończony. Nieziemsko. I draśnięty odłamkiem szrapnela.

Uniosłam ramię pana Riversa i zbadalam plamę na płaszczu. Nie potrafiłam orzec, czy to jego krew. Cały pokład umazany był na czerwono, bok kadłuba znaczyły ślady po pociskach. Wszystkie stójki sztormrelingu na bakburcie były wyrwane z podstawy mocowania i zwisły niczym płaty skóry.

- Zanieście go do domu - powiedziałam po chwili. - Burt, zabierz Kita do siebie, daj mu coś gorącego do jedzenia i suche ubranie. Połóż do łóżka przy kominku.

Dwóch potężnych rybaków wsunęło ramiona pod ciało pana Riversa i, jakby ważył nie więcej niż migotliwa ryba, podniosło go i z szacunkiem podało na dół dwóm innym parom czekających rąk. Ruszyłam za nim na brzeg, z pluskiem pokonując fale.

- Zanieście go do domu, tylko delikatnie - poleciłam, a sama ujęłam go za rękę i trzymałam, gdy rybacy dźwigali go przez plażę na biegnącą klifem ścieżkę. Drzwi domu czekały szeroko otwarte i słyszałam pełną napięcia wymianę zdań między ochmistrzynią a kamerdynerem. Żółty snop latarki drżał przed portykiem.

- Panie Wrexham. Tutaj! - zawołałam.

Kamerdyner rzucił się w naszą stronę. Na widok poszarzałej twarzy pana Riversa prychnął przerażony. Ku swojemu zdumieniu odezwałam się do niego stanowczo:

- Panie Wrexham. Trzeba zanieść pana Riversa na górę i położyć w ciepłym łóżku.

Ani drgnął i dalej wpatrywał się w swojego chlebodawcę z ustami otwartymi ze zgrozy.

- Wrexham - warknęłam.

Zesztywniał. Otrząsnął się ze stuporu i zaczął kierować rybakami i służbą, zaganiając ich do domu.

- Butelka z gorącą wodą, pani Ellsworth, natychmiast. Na górę do sypialni pana, proszę. Nie, nie przejmujcie się butami

dodał, kiedy rybacy przystanęli w holu, żeby ściągnąć swoje zapiaszczone, nabijane ćwiekami buty. - Posset, Art. Pobiegnij do panny Bartons, poproś, żeby przyrządziła posset. I przynieś go jak najszybciej.

Powłokłam się za nimi szerokimi schodami do pokoju pana Riversa. Stałam chwilę na progu, zanim weszłam: nie zaglądałam tam, odkąd przestałam być pokojówką. Grube czerwone zasłony były zaciągnięte i nawet w czerwcowy wieczór w środku panował chłód. Kamerdyner przykucnął, żeby rozpaść podpałkę, potem pospieszył po doktora. Pani Ellsworth wpadła do środka i wygoniła rybaków na korytarz.

- Dziękuję wam wszystkim bardzo uprzejmie. Teraz, proszę, pójdźcie do kuchni i tam poczekajcie. Na podgrzewaczu stoi imbryk z herbatą.

Rozległo się szuranie stóp, potem stukot ćwieków, gdy cztery pary podkutych butów schodziły po schodach. Pan Rivers leżał na łóżku, a jego skóra miała kolor prześcieradła. Ochmistrzyni podeszła i zaczęła ściągać z niego przemoczony sztorniak.

- Proszę poczekać za drzwiami na doktora, miss Landau. Pokręciłam głową i zbliżyłam się do łóżka.

- Nie. Będzie go mniej bolało, jeśli zrobimy to we dwie.

Cmoknęła zirytowana, ale pozwoliła mi pomóc. Nożyczkami krawieckimi przecięła wilgotny sweter i koszulę. W świetle lampy zobaczyłam krew: sączyła się spomiędzy żeber z czerwonej rany o zaognionych brzegach.

- Proszę przynieść bandaż z mojego pokoju, miss Landau -poleciała pani Ellsworth.

Popatrzyłam na nią, ale nie ruszyłam się z miejsca.

- Proszę. Muszę go przebrać w piżamę. Nie chciałby, żeby panienka na to patrzyła - dodała łagodnie.

Skinęłam głową, wymknęłam się z pokoju i zbiegłam po

schodach do pokoju ochmistrzyni. Kiedy kilka minut później wróciłam z opatrunkiem, pan Rivers leżał opatulony kołdrą, a w kominku huczał siarczysty ogień. Przysunęłam sobie krzesło do łóżka i ujęłam jego dłoń, z zadowoleniem odkrywając, że jest cieplejsza niż wcześniej. Poczułam uścisk jego palców.

- Elise - wyszeptał.

- Tak, panie Rivers. - Przysunęłam się bliżej. - Proszę nie mówić. Jest pan już bezpieczny. Kit też.

- Tak - powiedział. - Tak. Kit jest bezpieczny. Sprowadziłem go z powrotem dla ciebie.

- Dziękuję.

Ścisnął mi palce tak mocno, że aż zatrzeszczały. Potem puścił moją rękę i zamknął oczy. Nie mogłam się już doczekać, żeby pobiec do chatki Burta, zobaczyć się z Kitem. Podeszłam do drzwi i, z dłonią na klamce, popatrzyłam przez ramię na pana Riversa. Pierś falowała mu w płytkich oddechach, palce zaciskały się na kołdrze. Nie mogłam go zostawić tylko pod opieką służby - nie w tym stanie, nie z twarzą ściągniętą bólem. Zamknęłam drzwi, usiadłam w głębokim fotelu i owinęłam ramiona wełnianym kocem. Wiedziałam, że Kit zrozumie.

- Pani Ellsworth - powiedziałam. - Muszę zostać z panem Riversem. Czy mogłaby pani pójść do Burta i sprawdzić, co z Kitem? Upewnić się, że odpoczywa? Proszę mu przekazać, że go kocham, ale muszę zostać z jego ojcem.

- Tak, panienko.

Kiedy drzwi się zamknęły, pan Rivers otworzył oczy i spio-runował mnie wzrokiem.

- Idź. Idź do Kita.

- Nie. Nic mu nie jest. Pani Ellsworth się nim doskonale zajmie, Burt także.

Westchnął i ściągnął brwi.

- Nie powinnaś tu być. Wyjdź - dodał już mniej stanowczo. Puściłam to mimo uszu i poruszyłam się na fotelu - ciepło

sprawiło, że ogarnęła mnie senność. Z dołu dolatywały odgłosy krzątania, ale miałam wrażenie, że dochodzi z daleka, jakbym słuchała dźwięków pod wodą. Byliśmy z panem Riversem w innym świecie, odcięci od reszty domu jak w izolatce. Kiedy ja zaniemogłam, obaj z Kitem skakali koło mnie niczym para zaniepokojonych ciotek, ale wtedy pragnęłam opieki Anny. W domu w Wiedniu poila mnie wodą z miodem i nuciła uwerturę z *Traviaty*. W odróżnieniu od innych matek, nie mogła mi śpiewać, kiedy chorowałam. Jej operowy głos był po prostu zbyt silny, nawet kiedy śpiewała *pianissimo*, ale nucenie *Traviaty*, opery o *bellefemme* w agonii, przydawało splendoru chorobie. Margot narzekała, że to trąca makabrą, ale grubo się myliła. Wyobrażanie sobie, że jestem wielkooką pięknoscią umierającą na suchoty, było moją jedyną pociechą, kiedy leżałam w łóżku z gorączką i czułam się pod psem. Nie wiedziałam, na ile przyniesie to ulgę panu Riversowi, ale ujęłam jego dłoń i zaczęłam nucić.

Po jakimś czasie rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł lekarz. Uśmiechnął się do pana Riversa z za oparówek okularów.

- Rozbijać się po kraju w twoim wieku. No nie wiem.

- Sam byś popłynął, John, gdybyś miał łódź.

- Tak. Pewnie masz rację. No dobrze, obejrzymy cię. Odwrócił się do mnie.

- Panienko? Zostawi nas panienka samych, żebym mógł zbadać pacjenta?

- Wolałabym zostać.

- Christopher? - Spojrzał pytająco na pana Riversa.

- Tak, tak. Może zostać.

Lekarz popatrzył na mnie dziwnie, ni to z zaciekawieniem,

ni to z troską. Stałam przy kominku, plecami do pokoju, żeby dać im trochę prywatności. Kusilo mnie, żeby się odwrócić i spojrzeć na twarz lekarza. Chciałam wyczytać z jej wyrazu, co zobaczył, zamiast czekać na zwyczajowe komunały. Jednak się nie odwróciłam i nie spojrzałam. Zamknęłam oczy, zagryzłam wargę i słuchałam szelestu pościeli. Potem rozległo się ostre syknięcie pana Riversa, kiedy lekarz badał ranę.

- Nie jest głęboka, ale podkażona. Domyślałam się, że z początku pewnie nawet nic nie poczułeś przy takiej adrenalinie.

- Nie. Było głośno i zatrząsienie rannych. Nie miałem pojęcia, że dostałem. Zorientowałem się, dopiero gdy wypłynęliśmy z Portsmouth.

- Taa. Cóż. Zakażenie wdało się po kilku godzinach. Dlaczego wróciłeś do Tyneford? Czemu nie zostałeś w Portsmouth? -Lekarz zasypywał pana Riversa pytaniami, żeby odwrócić jego uwagę od bólu.

- Przez Kita. Chciał wrócić. Popłynąć tam jeszcze raz, gdy wysadziliśmy żołnierzy na brzeg. Ale silnik *Lugiera* padł. Trzeba było coś w nim wymienić. Cholerni Niemcy zbombardowali skład z częściami zapasowymi w Portsmouth. Kit myślał, że Burt go naprawi.

Odwróciłam się na pięcie i wbiłam spojrzenie w pana Riversa.

- Nie może tam wrócić. Jest wyczerpany. Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie wróci. Naprawdę sądzisz, że Burt naprawi silnik, nawet jeśli potrafi?

Świdrowałam wzrokiem jego zmęczoną twarz, linie dokoła niebieskich oczu i próbowałam stłumić strach.

- No tak. Racja.

Podeszłam, usiadłam z powrotem na krześle przy łóżku i ponownie ujęłam jego dłoń, ale cieszyłam się, że wysłałam panią

Ellsworth do Kita. Ochmistrzyni nie pozwoli mu na żadne głupstwa. Pan Rivers się odprężył, zamknął oczy i po sekundzie już spał. Lekarz stanął za moimi plecami, wziął go za nadgarstek i zmierzył puls.

- Nadal trochę przyspieszony. Organizm walczy ze stanem zapalnym. Nie gorączkuje za mocno, co jest korzystne, ale musimy na niego uważać. Skinęłam głową i popatrzyłam na nieruchomą postać na łóżku.

- Jest spokojniejszy przy panience - ciągnął lekarz. - Byłoby dobrze, gdyby mogła panienka z nim zostać - dodał, posyłając mi kolejne dziwne spojrzenie.

- Naturalnie. Zostanę.

- Wygląda na to, że Christopher bardzo panienkę lubi - rzucił poufale.

- A ja bardzo lubię pana Riversa - odrzekłam zimno. Nigdy nie pozwoliłby sobie na taką impertynencję, gdyby

pan Rivers nie spał. Zachichotał i pogrzebał w czarnej skórzanej torbie.

- Opatrzę ranę. Musi odpoczywać i dużo pić. Proszę natychmiast mnie zawiadomić, jeśli coś się zmieni.

- Wolałabym, żeby pan tu został - powiedziałam. - Pani Ellsworth przygotuje panu pokój.

Lekarz roześmiał się serdecznie, donośnym rechotem, od którego zatrzęsły mu się ramiona.

- Zaczynała tu panienka jako pokojówka? A teraz świetnie sobie radzi z wydawaniem poleceń, co?

Poczułam, jak policzki oblewają mi się pąsem.

- Jestem pewna, że pan Rivers będzie bardzo zobowiązany. Lekarz dalej chichotał.

- Nie ma sprawy, chętnie zostanę na pani życzenie, miss

Landau. - Ukłonił się lekko. - Poszukam Wrexhama. Ciekaw jestem, czy ma otwarte to porto.

Kiedy wyszedł w poszukiwaniu kamerdynera, owinełam się szorstkim kocem i spróbowałam usadowić się wygodnie w fotelu. Pan Rivers nadal trzymał moją dłoń i ręka zaczynała mi drętwieć. Położyłam głowę na skraju kołdry i zamknęłam oczy, ignorując mrowienie w palcach. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi.

- Miss Landau? Nie śpi panienka? - spytała ochmistrzyni.

- Nie. - Usiadłam prosto, zaniepokojona. - Z Kitem wszystko dobrze?

- Tak, tak. Śpi jak dziecko. Sama go położyłam do łóżka i utuliłam, tak jak to robiłam, gdy był mały. Może panienka odpoczywać spokojnie.

- Dziękuję.

Pozwoliłam, by wsunęła poduszkę pod moją głowę i zdjęła mi buty. Potem postawiła dzwonek przy mojej ręce.

- Wystarczy króciutko zadzwonić i zaraz będę.

- Dziękuję, pani Ellsworth. Chwilę później już spałam.

Otworzyłam oczy, kiedy pani Ellsworth zdjęła zaciemnienie. Zasłony nadal były zaciągnięte, ale wczesnoporanne słońce wlewało się przez szpary między nimi i padało na twarz pana Riversa. Zniknął z niej już ten niezdrowy szary odcień, a skóra była niemal brązowa od dni spędzonych na morzu.

- O, wygląda o niebo lepiej. - Ziewnęłam i przeciągnęłam się.

- Tak. Doktor do niego zajrzał. Zmierzył puls, mówi, że jest dużo lepiej. Zakażenie się nie rozprzestrzeniło.

Uśmiechnęłam się z ulgą.

- Tak się cieszę. Nadal jest w domu?

- Tak, panienko. Nie chciał odjeżdżać, nie zobaczywszy się najpierw z panią. Powiedział: „Młoda dama nie pozwoliła mi się oddalić”.

Pan Rivers się poruszył. Otworzył oczy i zamrugał.

- Elise.

- Tak, panie Rivers? Jak się pan czuje?

- Troszkę obolały. Ale do wesela się zagoi. Pani Ellsworth się uśmiechnęła.

- Ależ nam pan napędził strachu, sir. Powiem panu Wrex-hamowi, żeby przyniósł śniadanie.

Wyszła różnym krokiem, zostawiając nas samych.

- Zostałaś. Mówiłem ci, żebyś poszła do Kita.

- No cóż, nie posłuchałam. Nie muszę już wykonywać pana poleceń. Nie jestem pańską pokojówką.

Zdobył się na uśmiech.

- A Kit?

- Wszystko z nim dobrze. Odsypia.

- Chcesz do niego iść.

Nie odpowiedziałam, bo nie było to pytanie. Wstałam i uśmiechnęłam się do niego.

- Bardzo się cieszę, że już z panem lepiej.

- Przyrowadź go, jeśli będzie miał dość sił, żeby przyjść do domu.

- Dobrze.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju, czując, jak odprowadza mnie wzrokiem.

Trawa była wilgotna od rosy i tenisówki natychmiast mi się przemoczyły. W powietrzu czuło się chłód i choć pojedyncze

promienie słońca przekradały się jeszcze między chmurami, niebo powoli ciemniało i czarna mgła zasnuwała horyzont. Wiatr niósł metaliczny zapach nadciągającego deszczu. Owinęłam się mocniej cienkim kardiganem. Wystarczająco dobrze znałam już te znaki, by wiedzieć, że zanoszą się na letni szkwał. Ruszyłam rażno na plażę. Przypomniałam sobie, co obiecałam Kitowi w noc przed jego wypłynięciem, i poczułam mrowienie ekscytacji w brzuchu. Potem przypomniały mi się jego listy i krew mi zawrzała w żyłach.

Widzę to teraz tak żywo jak na filmie. Kit czeka na mnie przy lekkiej łodzi. „No chodź, pośpiesz się”, woła, chcąc uciec przed sztormem. Zasapani spychamy ją na fale i odbijamy od brzegu, odpychając się wiosłami. Kit podnosi płócienny żagiel, chwiejąc się przez chwilę na rozkołysanym pokładzie. Trzymam rum-pel i czuję jego rękę na swojej dłoni. Fale wynoszą nas w morze. Chcę go spytać, czy bardzo się bał pod Dunkierką, ale milczę. Dostrzegam zadrapanie nad jego okiem i na policzku. Niebo robi się szare i zaczyna mżyć. Trzęsę się w cienkiej sukience, Kit mnie obejmuje, żeby rozgrzać. Potem ściąga mnie na podłogę łodzi, która jest wilgotna i pachnie rybami. Zaczyna mnie całować, a ja płaczę. Żagiel trzepocze dziko na wietrze, łódź kolebie się na falach jak kołyska. Rozpinam sukienkę pewnymi palcami i kładę się na linach zwiniętych na pokładzie. Widzę tylko Kita, słyszę tylko łopot żagla. Kocham cię, mówię mu i przyciągam go do siebie. Liny wrzynają mi się w plecy. Tym razem nie proszę, by przestał.

Wyobrażałam sobie tę scenę tyle razy, że czasami muszę się napominać, że nie jest prawdziwa. Że przydarzyła się jakiejś innej Elise w innej wersji tej historii. W mojej głowie miriady Kitów wirują w słońcu jak oszalałe i kto mi powie, że jeden z nich nie wrócił do domu, żeby ściągnąć mi pończochy. Chciałam zo-

baczyć tutaj tę scenę czarno na białym. Gdy ją spisuję, staje się realna jak wszystko inne.

Ale tak naprawdę stałam wtedy sama na plaży. Cienka smużka dymu unosiła się z komina Burta, a on sam siedział jak zwykle na wiecierzu i filetował makrełę, żeby ją uwędzić na śniadanie. Wydawał się zaskoczony moim widokiem, ale skinął mi przyjaźnie głową.

- Nie podam ręki panie - oświadczył. - Całe łapy mam po łokcie w rybich wąpłach. Capię jak morze.

- Kit jeszcze śpi? - spytałam.

Ściągnął brwi, głębokie bruzdy pokryły mu czoło.

- A gdzie tam. Nie było go już, kiedy żem się zbudził. Myślałem, co poleciał do dworu, zobaczyć się z panią i panem dziedzicem.

- Jak długo go nie ma? - spytałam grubym, nieswoim głosem.

- Od świtu. Budzi mnie słońce, nawet przy zaciemnieniu. - Podniósł się, wypatroszona ryba ześlizgnęła się na ziemię brązową, krwawą smugą.

- Ale nie mógł odpłynąć. - Potrzebowałam zapewnienia. - *Ługiem* trzeba naprawić. Widziałam. Nie nadaje się do rejsu. No i silnik. Nie zreperowałeś silnika.

- Rozumie się. - Posłał mi gniewne spojrzenie. - Zamkiem też na klucz szopę z narzędziami. Ot tak, na wszelki wypadek. Ale to bez różnicy. Jak panią mówi, *Lugier* nie dopłynąłby do Swanage, a co tu mówić o Francji.

Krople deszczu zabębniły o kamienie. Morze bardzo się roz-srożyło i biło o brzeg spienionymi falami. Burt obszedł dom i pomaszerował do szeregu drewnianych szop na wpół ukrytych pod klifami. Dreptałam tuż za nim. W najdalszej z nich, prowizorycznym hangarze dla łodzi, brakowało jednego skrzyd-

ła, które zbutwiało na amen wiele lat temu, drugie, otwarte na oścież, wisiało na zawiasie. Burt podszedł krok bliżej i krótko krzyknął. Zajrzałam do środka. Szopa była pusta. Wyraźne, równe ślady prowadziły na brzeg. - *Anna*. - wrzasnął. - Zabrał *Annę!*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mam na imię Alice

Zuchwały i lekkomyślny. Zuchwały i lekkomyślny i go kochałam. Rzuciłam się prosto w fale, zimna woda ochlapywała mi kostki, potem uda, gdy brnęłam coraz głębiej i głębiej. Po co tam popłynął? Żeby ratować Willa i innych? Dla przygody? Musiał wrócić. Dla mnie. Straciłam wszystkich. Wyrzucałam sobie, że z nim nie zostałam, że nie czuwałam nocą przy jego posłaniu. Nie pozwoliłabym mu wypłynąć. Fala dosięgła mi już brzucha. W zatoce nie było śladu *Anny*. Ani w ogóle żadnej łodzi. Deszcz zacinał, włosy ociekały mi wodą. Słyszałam Burta wołającego z brzegu, żebym wracała. Po co? Kit mnie opuścił. Bez słowa pożegnania. Zanurkowałam pod powierzchnię, słona woda szczypała mnie w oczy i nos, włosy muskały policzki jak wodorosty. Nabrałam garść kamieni, wynurzyłam się i cisnęłam je z powrotem do morza. Zaczęłam wołać: „Kit! Kit! Kit!”, jakby jakaś nadnaturalna moc mogła zanieść mój głos do niego, a on westchnąłby na jego dźwięk i w okamgnieniu zawrócił łódź, i zanim jeszcze ta czarna chmura nadpłynęłaby nad Lovell's Tower, nie, zanim ta szarobrzucha mewa wylądowałaby na skalnej iglicy w zatoce, zobaczyłabym małą drewnianą łódkę prującą przez wodę w moją stronę. Zdarłam gardło, krzycząc, ale żadna łódź się nie pojawiła. Chmura przemknęła nad wieżą na urwisku, a mewa zniknęła za skałami. Ruszyłam gwałtow-

nie przez fale na drugi koniec zatoki. Plażę zamykał żółty klif Worbarrow Tout: ostra turnia wznosząca się trzydzieści metrów nad falami niczym pysk morskiego potwora. Woda ściekała mi z butów i ubrania, gdy wdrapywałam się na śliską skałę, ostre pąkle raniły palce i piszczele, skóra krwawiła. Wreszcie wdarłam się zdyszana na szczyt, stanęłam na samym skraju klifu i patrzyłam, jak fale kłębią się niżej i rozbijają z trzech stron dokoła. Były równie czarne jak skały i niebo. Wbiłam wzrok w horyzont. Nic.

Popatrzyłam w kierunku Lulcombe Cove, brukowanej drogi na grobli i grupki kamiennych domków, a potem jeszcze dalej na zachód w stronę wystającego pasa ziemi, który łączył Portland z wybrzeżem Dorset. Zwaliste okręty łypały na mnie gniewnie z kanału, posapując i puszczając czarny dym z kominów małych z oddali jak cygara. Za łukiem zatoki leżał świat zewnętrzny. Na swój sposób Tyneford było tak odseparowane od Anglii jak wyspa Portland. Ta dolina, wąwóz, wzgórza i czarne lasy należały do innej rzeczywistości. Wojna toczyła się gdzieś indziej. Odczuwałam jej okrucieństwo w milczeniu moich bliskich i stopniowym znikaniu młodych mężczyzn w zastępach armii. Dla nas, którzy zostaliśmy na miejscu, życie toczyło się w dużej mierze tak jak wcześniej, służba narzekała wprawdzie na niedogodności i nadmiar roboty i musieliśmy sami ubijać sobie masło z krowiego mleka, a pozbawione gumek pończochy zsuwały się nam do kolan, jednak zmiany te były męczące, ale nie katastroficzne. Wszystkim nam wojna dawała się we znaki egipskimi ciemnościami nocą i milczeniem kościelnych dzwonów, jednak komunikaty radiowe odnosiły się do innej rzeczywistości. Wydawało się, że Tyneford nie należy do Europy, i gdybyśmy tylko zostali tutaj, ukryci pośród tych wzgórz i dolin, włos by nam z głowy nie spadł. Patrzyłam na nadcią-

gające burzowe chmury, deszcz lejący się na fale i zobaczyłam Kita, jak znika w tym obcym, zewnętrznym świecie. Porzucił nas, wyjechał w nieznane, oddał się w szpony tego hałaśliwego, wypełnionego dymem miejsca.

Odwróciłam się i powlokłam na plażę, gdzie czekał Burt. Przez ścianę wody lejącą się z chmur niczym z pompy na stajennym podwórzu dostrzegłam z trudem, że coś w rękach trzyma: porwany naszyjnik z gigantycznych zębów. Zamrugłam i rozpoznałam sznur kamieni na czarownice, które w upiornym świetle czerwcowej burzy wyglądały na umazane czerwonobrazową krwią. Poczulałam dreszcz strachu, zimny i lekki niczym muśnięcie piórka na skórze.

- Jak mógł ją zabrać? - powtórzył pan Rivers. - Nie rozumiem. *Anna* jest zbyt ciężka. Jeden człowiek nie da rady nią sterować. - Siedział w skórzanym fotelu w swojej sypialni, nadal w piżamie. Stałyśmy z panią Ellsworth przy oknie i udawałyśmy spokój. - Chryste, Wrexham, pomóż mi się ubrać. Stary kamerdyner zrobił krok do przodu.

- Sir. Proszę wybaczyć moją zuchwałość, ale lekarz powiedział, że powinien pan odpoczywać.

- Wrexham. Dowiadywać się, że syn wrócił na pole bitwy, gdy samemu ma się na grzbiecie pasiastą piżamę od Simpsona, to rzecz niegodna dżentelmena. Chciałbym się ubrać.

- Oczywiście, sir.

Kamerdyner wszedł do garderoby, zaczął otwierać i zamykać szuflady. Twarz pana Riversa przybrała ten sam upiorny odcień co poprzedniego wieczoru.

- No? Powie mi ktoś jak, u licha, Kit zdołał nią wypłynąć?

- Jack Miller zniknął - poinformowałam, opierając się o pa-

rapet. - Rodzice odkryli rano, że go nie ma. We dwójkę zdołali pewnie zaciągnąć *Annę* na plażę.

- Dobry Boże. Spodziewam się, że dowiemy się czegoś więcej, gdy chłopak Millerów wróci za dzień czy dwa. - Zamknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, wyjaśnił na widok zaskoczenia malującego się na naszych twarzach. - Ma dopiero siedemnaście lat. Kit odeśle go do domu. Nie pozwoli mu popłynąć do Francji.

Miał rację. Dwa dni później Jack Miller wrócił do Tyneford na wozie mleczarza. Siedziałam na swojej starej facjatce na kopcu z poduszek i wpatrywałam się przez spadziste okno w horyzont. Świt gorzał nad falami, z odległego wiejskiego podwórza dolatywało pianie chóru kogutów. Nagle rozległy się krzyki.

- Elise! Miss Landau! Wrócił chłopak Millerów!

Zbiegłam na złamanie karku po stopniach poddasza, a potem głównymi schodami na dół. Ochmistrzyni i pokojówka na przychodne stały w holu. Pan Wrexham wskazał na bibliotekę.

- Pan dziedzic przepytuje już chłopca, panienko.

Otworzyłam drzwi. Pan Rivers opierał się o biurko, a młodzieniec stał przed nim z czapką w dłoniach i spuszczoną głową. Obaj spojrzeli w moją stronę, gdy weszłam.

- Żem chciał ino pomóc paniczowi Kitowi - upierał się chłopak, trącając kawałek błota na swoim bucie.

- To nic złego - zapewnił pan Rivers. - Nie bój się. Opowiedz tylko, co się stało.

Jack Miller popatrzył na mnie, oczy miał wodnistozielone niczym morze wiosną.

- Niewiela mam do opowiadania. Z Tyneford popłynęliśmy

do Portsmouth i tam żeśmy uzupełnili paliwo. Potem machnęliśmy się do Dover. A tam statków jak psów. Wielgaśne okręty plujące czarnym dymem i takie parowce bocznokołowe jak te w Swanage dla letników. I korwety, i niszczyciele i nawet jeden pancernik. Wszystkie pełne żołnierzy. Port i nabrzeża były brązowe od mundurów. Tysiące i tysiące, nie sposób zliczyć. W życiu żem nie widział tylu ludzi. Pan Rivers skinął krótko głową.

- Tak. Też byłem w Portsmouth. Co się wydarzyło, gdy dotarliście do Dover?

- No, panicz Kit wiedział, co robi. Odszukał łódź motorową z człowiekiem w czapce i belkami na ramieniu i mówi, co trza mu kogoś, coby z nim popłynął do Francji. Powiedział mu, co ja jestem za młody, ja żem mówił, że nie, ale nie chciał słuchać. Pół godziny później na pokład *Anny* przyszło dwóch żołnierzy, zabrali mi ster, wsadzili na łódkę wiosłową i kazali płynąć na brzeg. Jakiś inny pan dał mi bilet na pociąg, to żem wsiadł do składu do Wareham, no i żem wrócił.

- Dziękuję, Jack - powiedział pan Rivers. Podszedł do okien i popatrzył na ogród. - Nic więcej nie możemy zrobić. Czekać. Nie tracić nadziei.

Nie odpowiedziałam. Moje życie upływało na czekaniu i nietraceniu nadziei. Anna. Julian. Teraz Kit dołączył do rozbrzmiewającego we mnie echa imion.

- Miss Landau? - zagadnął mnie chłopak. Wzdrygnęłam się, wyrwana z zamyślenia.

- Tak?

- Panicz Kit nic ino ciągiem gadał o panience. Nie jakieś tam ckliwe bajdurzenia. Ino co panienka jest zupełnie wyjątkowa dziewczyna. Co on panienkę poślubi, zara gdy wróci do domu. Wim, bo mnie zaprosił na ślub i w ogóle. Bardzo się martwił, że

pewnikiem narobił wam wielkiego stracha. I napisał list. Kazał mi obiecać, co go oddam panience, z miejsca jak dojadę.

List od Kita. To wszystko zmieniało. Nagle jego zniknięcie nie wydawało się już takie absolutne. Były wieści. Wiadomość. Nasza historia mogła toczyć się dalej. Poczułam drgnienie uśmiechu w kąciu ust. Chłopiec sięgnął do kieszeni spodni i wydobyl garść świstków i śmieci. Uśmiechnął się zakłopotany, potem pogrzebał w kurtce.

- Jedną chwileczkę, panienko. Mam go gdzieś tutaj, wim. Pan Rivers odwrócił się od okna i przyglądał chłopcu, gdy ten wywalał zawartość kieszeni na biurko.

- Nie spiesz się, Jack - powiedział. - I nie przejmuj się tym, że śmieczysz. Połóż wszystko na blacie.

- Dobrze, sir - rzucił Jack, czerwieniąc się. - O, proszę. Jest. Podał mi złożony kawałek papieru. Wyprostowałam go drżącymi rękoma.

- O. - Głos mi się załamał. - To tylko rachunek za paliwo.

- Nie, nie. Niech panienka przewróci. Liścik jest na odwrocie - upierał się Jack.

Zrobiłam, jak mówił, ale druga strona była pusta.

- Cholera. Psiakość - zaklął. - Musiał mi się wyslizgnąć z kieszeni. Albo żem wyrzucił nie ten, co trzeba. Panicz Kit będzie musiał sam przekazać panience, co chciał powiedzieć.

- Tak - powtórzyłam. - Będzie musiał sam mi to powiedzieć.

Nie pamiętam, jak wyszłam z pokoju. Podejrzewam, że rozmawiałam jeszcze przez chwilę z panem Riversem i wymieniliśmy kilka pokrępowanych frazesów. Potem zaszyłam się na facyjce i wsunęłam pusty rachunek do futerału altówki, dorzucając go do listów, które pisałam do Anny. Uzbierało się ich już tyle, że wysypywały się za każdym razem, gdy otwierałam fu-

terał, wciskały w zawiasy i ześlizgiwały na podłogę. To był taki okrutny dowcip: kakofonia listów do tych, których kochałam, i teraz jedna, pozbawiona słów odpowiedź.

Mijały dni. Godziny. Tygodnie. Minuty. Strzępy czasu. Słońce wstawało i zachodziło. Cienie okręzały zbocza wzgórz, rosnąc i kurcząc się. Pąsowe truskawki dojrzały na polach. Pnące róże przed domem obsypały się kwieciem. Potem poźółkłe płatki opadły z deszczem na ziemię, zbrązowiały i zgniły. Wrócił Will. Pan Churchill obwołał akcję ratowniczą w Dunkierce zwycięstwem. Tylko dwadzieścia pięć małych jednostek pływających zaginęło. Nie ujawniono ich nazw. Groszek pachnący i mięta rozkwitły w przydomowym ogródku. Z wrzosowiska dolatywały trele słowików. Poppy przyjechała do Tyneford i całe dni włóczyła się z Willem po plaży, a ja nie potrafiłam się do nich odezwać. Ich szczęście mnie dławilo. Pan Rivers pił do lustra w bibliotece. Zauważyłam wydrę w rzece wpadającej do morza. Nocą lelek kozodój wołał w krzaku jaśminu przed moim oknem. Spacerowałam boso po plaży, czując chrzęst kamyków pod stopami. Weszłam do morza. Woda zapieniła mi się dokoła kostek, zimna jeszcze na tyle, bym syknęła.

- Kit! - krzyknęłam. - Anna. Julian. AnnaJulianKit!

Ich imiona zmieszały się w bezpostaciowy dźwięk, wyprany ze znaczenia. Chciałam przekląć. Sięgnęłam do pamięci w poszukiwaniu złych, strasznych słów. Takich, które okaleczą mi język, gdy je wymówię.

- Kurwa. Nienawiść. Sraka. Cholera.

Żadne nie było wystarczająco paskudne. Przypomniałam sobie, jak pierwszy raz przyszłam wściekać się nad morze. Zamknęłam oczy, czekając, żeby Kit dołączył do zabawy. To wszystko

to był tylko głupi żart i za chwilę rozlegnie się jego głos: „O, to jakaś prywatna zabawa?”.

- Jądra. Sroka. - Wydarłam się, ciskając słowa w fale, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko ciszę, chrzęst kamieni i ryk odpływu.

Gdyby tylko zostało coś, cokolwiek: ciało, wrak łodzi. Ale nie było nic: morze połknęło go jak wieloryb Jonasza. Potem którejś nocy, miesiąc po jego zniknięciu, usłyszałam muzykę. Nie spałam, skręcałam się tylko pod ciepłą pościelą, widząc jego twarz w ciemnościach. Usunęłam wcześniej zaciemnienie, bo dusiłam się w lipcowym skwarze, i przez otwarte okno dochodził dźwięk skrzypek i chór męskich głosów. Wyślizgnęłam się z łóżka, przechyliłam przez parapet. Rybacy stali w ciemnościach, dziesięciu śpiewało lament, a struny skrzypek płakały cicho.

Wyszedł w morze nasz chłopiec

I pływa po falach zielonych.

Jakże wesół był i piękny, i młody.

Nie został po nim grób ni kopiec,

Tylko grzywy fal zielonych.

Nasze uszy usłyszą jego głos w krzyku mew

I huku wody,

Ale oczy nie ujrzą go więcej.

Bo nasz chłopiec wyszedł w morze

I pływa po falach zielonych.

Rozległ się trzask okiennic, kiedy pan Rivers otworzył drzwi balkonowe bawialni i wyszedł na taras. Nie położył się jeszcze i stał tam w białej koszuli, jak duch na tle kamiennej ściany.

Zeszłam na dół, przemknęłam przez zaciemniony hol i bawialnię i dołączyłam do niego. Letnia noc była ciepła i śmierdziała kwiatami: jaśminem, kapryfolium i starymi chińskimi różami. Stał całkiem nieruchomo niczym marmurowy posąg. Słuchałam pieśni żałobnej, zlizując słone łzy.

- Śpiewają to, kiedy rybak zginie na morzu - rzucił. - Wiedzą, że Kit nie żyje.

Nikt jeszcze nie powiedział tego na głos. Sama wiele razy wcześniej powtarzałam sobie szeptem te słowa, kiedy nie mogłam spać. Bez końca odmieniałam je w głowie we wszystkich językach, jakie znałam, ale dopiero kiedy pan Rivers je wypowiedział, uwierzyłam.

Kit nie żyje. Kit nie żyje. Kit nie żyje.

Spróbowałam teraz na głos.

- Kit nie żyje.

- Tak - potwierdził. - Kit nie żyje.

Słuchaliśmy rybaków, którzy raz po raz śpiewali swoją melancholijną pieśń. Zniknęli w ciemnościach na skraju ogrodu, idąc w stronę morza, ich głosy mieszały się z odległym szumem fal. Nie wiem, jak długo staliśmy tam w nocy, ramię przy ramieniu, nie dotykając się. Pragnęliśmy pocieszenia, ale ponieważ jedyny człowiek, który mógłby nam je dać, nie żył, nie chcieliśmy żadnego. Tęskniłam za Anną, Julianem i Margot i opłakiwałam Kita. Nie poślubię go i nigdy nie będziemy się kochać, a on się nie zestarzeje. Ja przekwitnę, skóra mi się pomarszczy, starcze plamy poznać twarz i dłonie, włosy przyprószy siwizna, potem całkiem pobieleją i będę mówiła z powolnością właściwą wiekowi, ale on zachowa młodość i już na zawsze pozostanie chłopcem-mężczyzną o błękitnych oczach. Dziwiłam się, że tak stoję, że się nie rozsypałam jak dmuchawiec na wietrze. Myślałam, że będę rzucać porcelaną i ciskać się po domu, rozbijając

wazony i zegary w furii, ale nic nie zrobiłam. Po prostu stałam cicho w ciemności.

Śmierć Kita oznaczała śmierć Tyneford, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Od tego dnia kurz nigdy już nie był dokładnie ścierany. Brązowiejące płatki, które opadały z ogrodowych róż w wazonie, wiecznie tkwiły na stole w holu, nawet pani Ellsworth nie zwracała sobie głowy ich sprzątaniem. Pan Wrexham przestał się denerwować, że wojna uniemożliwia mu zamawianie wina, żeby leżakowało w piwniczce. Wiedział, że zapasów wystarczy na dwadzieścia lat, a co będzie potem - jakie to miało znaczenie? Dzwony kościelne uparcie milczały, nie mogły oznajmić śmierci syna i następcy dziedzica, ale i tak je słyszeliśmy. Wracaliśmy myślą do dnia wielkiego połowu makreli w zatoce - czy byłby równie szczęśliwy i radosny, gdybyśmy wtedy wiedzieli, że to ostatni?

Pan Rivers przerwał milczenie.

- Czytałem, że internują Niemki i Austriaczki. Zrobiłem, co mogłem, by cię nie ruszyli, ale chcę, żebyś zmieniła imię i nazwisko. Na jakieś angielskie.

Popatrzyłam na niego. Twarz miał bladą, błękitne oczy wydawały się czarne w ciemności. Koszula była wymięta, górne guziki niezapięte. Ciemny cień pokrywał brodę, a mięsień nad górną wargą podrygiwał, co nadawało mu wilczy wygląd w mroku. Czułam odór cygar i whisky w jego oddechu.

- Podoba mi się moje nazwisko.

Łączyło mnie z Anną i Julianem. Ojciec płakał, kiedy moja siostra w dniu ślubu przybrała nazwisko męża. Twierdził, że to przez nadmiar szampana i szczęścia, ale ja wiedziałam swoje.

Pan Rivers się skrzywił.

- Nie pytałem, czy ci się podoba. Tylko czyje zmienisz. Wysyczał te słowa z błyszczącymi oczyma. Chwycił mnie za

nadgarstki i usiłował przyciągnąć bliżej, ale wyrwałam się wystraszona i wycofałam wzdłuż ściany. Zamknął oczy, próbując się opanować, jednak głos miał stanowczy i cichy. - Zmień to cholerne nazwisko.

Poczułam, jak narasta we mnie próżnia, jak pochłania ciało i krew i zamienia je w nicość. Wyobraziłam sobie moje wnętrze: przypominało pusty ugór. Nigdy nie zostanę panią Kitową Rivers. Jakie znaczenie miały jeszcze nazwisko czy imię? Nie zauważyłam, kiedy pan Rivers zniknął w domu, ale teraz pojawił się ponownie z karafką whisky i dwiema szklaneczkami. Postawił je na stole i pokazał, żebym usiadła. Rozlał trunek do szklanek, przysunął jedną w moim kierunku, drugą wznosił w toaście.

- Za niego - powiedział.

- Za niego - powtórzyłam.

Wypiliśmy. Poczułam palenie alkoholu w gardle i szczypanie łez pod powiekami. Połknęłam je również.

- Riversowie żyli w Tyneford od tysiąc pięćset dwudziestego trzeciego roku - oświadczył pan Rivers rzeczowo. - Ale wszystko się kiedyś kończy. Kit nie miał żadnych kuzynów. Ordynacja po prostu wygaśnie razem ze mną. Świat się zmienia, taka jest kolej rzeczy. - Jego głos był spokojny, ale ręka trzęsła się jak gałąź na wietrze. Opróżnił drugą szklaneczkę i dotarło do mnie, że lada chwila zrobi się bardzo pijany. - No i? - Odwrócił do mnie twarz, oczy mu błyszczały. - Jak cię nazwiemy?

Wzruszyłam ramionami.

- Na drugie imię mam Rosa.

- Nie. - Walnął pięścią w stół. - Coś angielskiego. Żeby cię nie zabrali.

- Osuszył szklaneczkę i nalał sobie kolejną. - Pij. - Wskazał na moją, na wpół opróżnioną. - Elsie. Przypomina bardzo Elise, ale to dobre, staroświeckie angielskie imię.

Wzdrygnęłam się i pokręciłam głową.

- Mowy nie ma. Siostra tak na mnie mówiła i nie cierpiałam tego.

Roześmiał się niskim, obco brzmiącym śmiechem.

- To może coś po twoich rodzicach? Anna brzmi ładnie i angielsko. Albo, jeśli wolisz imię po ojcu, Julia też jest niczego sobie.

- Nie. My dajemy dzieciom imiona tylko na cześć zmarłych. To zapewnia ciągłość pamięci. Nazwanie dziecka po kimś żyjącym sprządza nieszczęście, czasem nawet śmierć.

Pan Rivers zamilkł. Uświadomiłam sobie z wyrzutem, że przecież sam nazwał syna swoim imieniem.

Rozejrzałam się po ogrodzie. Tonał w nocnych cieniach, wiatr szeleścił w zwieszającym się nad tarasem figowcu i miałam wrażenie, że słyszę cichy poszum dochodzący z ziemi, dżdżownice kłębiące się pod jej powierzchnią. Pojedyncze gwiazdy wystawały zza opończy chmur i dostrzegałam jasne runo owiec na zboczu. Oblizalam wargi, smakowały solą. Niby nic się nie zmieniło, a zmieniło się wszystko. Nagle wiedziałam już, jak się nazywam.

- Alice - powiedziałam stanowczo.

Byłam Alicją po drugiej stronie lustra. Wpadłam w świat postawiony na głowie, gdzie wszystko na pozór wyglądało tak samo, a w rzeczywistości było zupełnie na opak. Zaprağnęłam nagle pójść na plażę, brodzić w wodzie na brzegu, by huk fal zagłuszył zgiełk w mojej głowie. Czulał mdłości, gdy tak stałam nieruchomo. Miałam wrażenie, że spokojne łąki i kamienisty grunt trzęsą się i kołyszają jak zielone morze.

- Alice. Alice Land - powtórzył pan Rivers, smakując moje imię niczym nieznanie danie. - Dobrze, zgoda. Brzmi całkiem odpowiednio. Chyba chwilę potrwa, zanim się przyzwyczaimy.

Zamknęłam oczy i zastanawiałam się, czy widzi, jak kawałek mnie odpada. Bo rozpekłam się na dwie połowy: Alice i Elise.

Uśmiechnęłam się, to była taka mała śmierć. Część mnie umarła razem z Kitem, ta część, która marzyła o ślubie z ukochanym, o piknikach na trawie, o weselu z udziałem Anny w jedwabnej sukni i o tym, jak wyjmuję powieść z altówki, i leżę w hamaku z Kitem przy Durdle Door, a on zsuwa mi pończochy i przebiega palcami po moich gładkich, pulchnych udach, i o tym, jak nadzy płyniemy razem łódką o zmierzchu, ja przeciągam leniwie palcem po wodzie, on całuje mnie po brzuchu i szyi, i piersiach, i o ospałej rozkoszy letnich dni. Łatwiej było nie być już Elise. Ktoś inny, dziewczyna, którą kiedyś byłam, marzyła o tym wszystkim. Teraz mam na imię Alice.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Biegnij, króliku, biegnij

Sierpniowe słońce szalało i nawet twarde bydło z Dorset, które z niejednego już jadło pieca, tłoczyło się pod rozłożystymi drzewami w poszukiwaniu cienia. Owce miały się lepiej: ogołocoone z futra przez podróży gang postrzygaczy, kłębiły się na zboczach komicznie łyse, z miękkimi kłaczkami nowego runa tu i ówdzie porastającymi gołe grzbiety. Żywopłoty stały dumne w blasku pełni lata, krzaki jeżyn usiane były białym kwieciem i twardymi zielonymi jagodami. Pejzaż trwał niezmieniony bez Kita. Nic w przyrodzie nie przejęło się jego śmiercią: ani skowronki wzbijające się w chmury z krzaków morwy, ani żmija z rozwidlonym językiem wygrzewająca się z otwartymi oczyma na piaszczystym wrzosowisku. A jednak, pomimo obojętności natury, oboje z panem Riversem szukaliśmy pociechy właśnie na dworze, pod gołym niebem.

Skóra mi zbrązowiała i zrobiłam się równie szczupła i silna jak przemykające po szczycie wzgórza sarny. Rodzice by mnie nie poznali, gdy z nowym imieniem i krótko ściętymi włosami przemierzałam łąki, pilnując owiec. Zastępowałam pastuszka, który w końcu także otrzymał powołanie. Eddie Stickland, pasterz, był stary i ogorzały jak smagana solą leszczyna na klifie, i kiedy wspinał się stromymi pastwiskami, wiatr tarmosił go i rzucał nim na wszystkie strony.

Kiedy doglądałam stada, miałam wrażenie, że nic się nie zmieniło: rytm pór roku był tak spokojny i niezmienny jak zgrzytanie zębów owiec, które przeżuwały twardą trawę na wzgórzu. Ale tego sierpnia 1942 roku zawitała do Tyneford wojna. Nie tkwiliśmy już dłużej na skraju konfliktu, śledząc biernie doniesienia z odległych pól bitewnych na obcych ziemiach. Pojawiły się samoloty. Przez kilka wieczorów obserwowałam je ze schodków pasterskiej chaty. Mały odmalowany wóz tkwił na szczycie wzgórza jak melonik. Za jedyne źródło światła służyła tam po zmierzchu latarka, jednak świadoma, jakim deficytowym towarem są baterie, rzadko ją włączałam. Usłyszałam warkot samolotów lecących nisko nad wodą. Jeszcze nie umiałam poznać, czy należą do „nas”, do „nich”, czy może są wśród nich i takie, i takie. Morze spowijała gruba warstwa mleka, więc odgłos wybuchów i terkot wystrzałów wydawały się dziwnie bezcielesne, jakby dochodziły z niewidocznej bitwy za mgłą. Podejrzewałam, że pobliskie Portland jest pod obstrzałem albo że na morzu rozszalała się bitwa. Owce pasły się dalej, obojętne i niewzruszone. Chowały się podczas burzy, jednak dźwięk wystrzałów, choć pochodzący spoza świata natury, nie budził ich zainteresowania. Słońce zniknęło za horyzontem i gwiazdy jedna po drugiej zapłonęły na firmamencie, jakby jakaś planetarna pani Ellsworth zabrała się do zapalania świec w niebie. Zbocze tonęło w ciszy zakłócaną tylko posapywaniem owiec albo odległym szuraniem borsuka lub jeża. Tymczasem od strony morza dochodził ciągły stukot karabinów, świst i odgłosy wybuchów. Siedziałam w gęstniejącej ciemności i nasłuchiwałam.

Nagle rozległ się strzał. Nie odległy odgłos artyleryjskiego ognia, ale dźwięk wystrzelonego w pobliżu pocisku. Może jakiś członek piątej kolumny wyszedł z ukrycia albo Straż Przy-

brzeżna nakryła i osaczyła szpiega? Ciekawość wzięła górę nad strachem i zbiegłam wzgórzem, a potem stromą ścieżką w dół klifu na brzeg morza. Noc była chłodna, a plaża zupełnie cicha i z początku pomyślałam, że nikogo tam nie ma. Może bliskość wystrzału była tylko złudzeniem, figłem spletanym przez słuch i fale, a może któryś z farmerów chciał po prostu przepłoszyć lisa z kurnika. Szłam cicho po kamieniach, próbując objąć wzrokiem panoramę zatoki. I wtedy go zobaczyłam. Na skraju fal stał mężczyzna z rewolwerem w dłoni. Odciągnął spust i wystrzelił w fale.

- Zabiję was. Ukatrupię was wszystkich! - krzyknął, mierząc ponownie do jakiegoś niewidzialnego wroga.

Poznałam ten głos. Należał do pana Riversa. Jeszcze raz popatrzyłam na morze, jednak nie było tam ani śladu człowieka. Ponownie uniósł broń i nacisnął spust, ale magazynek był już pusty. Kiedy zaczął macać kieszenie w poszukiwaniu naboju, rzuciłam się w jego stronę, próbując złapać za ramię, zanim naładuje broń. Obrócił się na pięcie z podniesionym rewolwerem. Opuścił go na mój widok.

- Alice - powiedział. - Nadchodzą. Słyszałem, że nadchodzą, i nie pozwolę, żeby go zabrali. - Nagle rozzłościł się i naskoczył na mnie: - Mogłem ci zrobić krzywdę, ty głupia dziewczyno.

Zachwiał się i znowu skierował pusty rewolwer w stronę morza. Pociągnęłam go za ramię, ale odepchnął mnie i wpadłam do wody. Szarpał się z magazynkiem, usiłując wsadzić pocisk. Przerażona, że zrani siebie albo mnie, pchnęłam go z całych sił i oboje się przewróciliśmy. Leżał rozciągnięty w wodzie, nie próbując się podnieść. Usiadłam obok i poczułam woń alkoholu w jego oddechu. Nie protestował, kiedy wyjęłam mu rewolwer z dłoni.

- Jestem trochę wstawiony, Alice - oświadczył i położył się

na plecach, Fale go obmywały i moczyły garnitur z pierwszorzędnej wełny.

- Bardzo wstawiony - skorygowałam. - A skąd pan wziął tę broń?

- Jest moja. Zostałem dowódcą oddziałów ochotniczych w tym rejonie. Mam kierować ruchem oporu i powstrzymać najeźdźców. W wielkiej tajemnicy. Cicho sza.

- Przed chwilą nie zachowywał się pan specjalnie cicho sza.

- Nie. Chyba nie. Szkoda. Niczego nie podejrzewałaś aż do teraz. Byłem na tygodniowym szkoleniu w Wiltshire, a tobie i Kitowi powiedziałem, że jadę do Londynu.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Naprawdę nie pojechał pan wtedy do miasta? Pokręcił głową.

- Żadne z was nawet nie spytało, po co wyjeżdżam. Oboje byliście wniebowzięci, że zostaniecie sami. - Uśmiechnął się. - Nic nie szkodzi. Nie rób takiej skruszonej miny. Pamiętam jeszcze, jak to jest mieć dwadzieścia jeden lat i być zakochanym.

- A do czego strzelał pan przed chwilą? - zmieniłam temat.

- Nie wiem. Usłyszałem samoloty. Myślałem... sam nie wiem.

Na horyzoncie płonął okręt, szare płatki popiołu unosiły się w powietrzu i lądowały na nas niczym brudny śnieg. Nie próbowałam pocieszać pana Riversa, po prostu siedziałam obok i patrzyłam na płomienie trawiące fregatę.

- Czy poczuł się pan lepiej po tym strzelaniu?

- Nie. Moja rodzina nadal nie żyje.

Oznajmił to rzeczowym tonem, bez śladu uzalania się. To dziwne, ale nigdy nie myślałam o pani Rivers jak o jego żonie. Dla mnie zawsze była tylko matką Kita.

- Tęskni pan za żoną tak mocno jak za Kitem?

Usiadł.

- Nie. Minęło już tyle czasu od jej śmierci. To było smutne i okropne wydarzenie. Ale nawet nie ma porównania.

Patrzyłam na płonący okręt i pragnęłam, by moje wnętrze też się zajęło, by ogień skauteryzował rany. Czułam się tak samotna jak podczas pierwszych dni pobytu w Tyneford. Nie, poprawiłam się. To było kłamstwo. Brakowało mi bliskich, nie cierpiałam ich wywołanego wojną milczenia i i pragnęłam Kita tak mocno, że mało nie pękły mi żebra. W historiach, które snułam w głowie, zawsze byłam heroiną, umierającą sopranistką z talią osy, uwielbianą i oplakiwaną przez zrozpaczonych wielbicieli - tymczasem los zostawił mnie przy życiu, i to w doskonałym zdrowiu. To heros, główny bohater umarł. A jednak nie zostałam sama ze swoim cierpieniem. Ból pana Riversa musiał być gorszy od mojego. Ojciec nie powinien chować syna, ludzkie serca nie zostały stworzone do takiej rozpacz. Jeśli kochałam Kita, musiałam ukoić rozpacz jego ojca, sprawić, by jakoś ją wytrzymał.

Wprowadziłam małe zmiany w prowadzeniu domu. Wiedziałam, że nic już nie będzie tak jak wcześniej i bez sensu jest się oszukiwać. Nie chciałam, żeby pokój Kita zamienił się w jakieś upiorne mauzoleum. W Wiedniu, kiedy cioteczne babki straciły matkę, wszystkie jej rzeczy zachowały owinięte w bibułę, nie usunęły nawet włosów z grzebienia ani nie wylały herbaty z filiżanki. Nigdy nie korzystały z jej sypialni, choć umarła dziesięć lat przed moim przyjściem na świat, a ciotkom - ściśniętym jedna obok drugiej na sofie jak książki na półce - z pewnością przydałoby się trochę więcej przestrzeni. My z Margot także bałyśmy się tam wchodzić, przeświadczone, że duch pra-

babki mieszka w środku, doskonale zachowany w szeleście bibuły. Nie chciałam, by coś podobnego stało się z Kitem. Dzieci nie będą się bały wchodzić do jego pokoju, jakby był jakimś zrzęsotniałym żółtozębnym upiorem. Pani Ellsworth najeżyła się z powodu mojej decyzji, którą odbierała jako brak uczuć.

- Ledwo ostygł w grobie, a panienka już wyrzuca jego rzeczy. Co by sobie pomyślał?

Posłałam jej twarde - w zamierzeniu - spojrzenie.

- Pani Ellsworth. Kit nie ma grobu. A ponieważ nie żyje, nic nie pomyśli. Z pewnością nie potrzebuje już trzech bardzo ładnych granatowych swetrów marynarskich. Burtowi natomiast, głowę dając, będą jeszcze długo służyły.

Wyszła, mruczając pod nosem coś o „tej dziewczynie bez serca”, której „szkopskie skłonności” okazały się tylko utajone.

Usiadłam na łóżku Kita. W pokoju unosił się zapach jego nieodłącznych tureckich papierosów. Wyciągnęłam jednego ze srebrnej papierośnicy. Pudełko zapalek leżało obok zdjęć w ramkach: portretu matki i fotografii jego samego, wykonanej rankiem w dniu dwudziestych pierwszych urodzin. Umarł niemal w tym samym wieku co matka i na stojących obok siebie zdjęciach przypominali bardziej brata i siostrę. Ale przynajmniej ja go pamiętałam. Nie zniknął ze świata tak całkowicie jak pani Rivers. Zapaliłam papierosa, wciągnęłam w płuca dym i zapach Kita. Pomyślałam, że jeśli będziemy mieli kiedyś gości, polecę pani Ellsworth, żeby przygotowała im tę sypialnię. Wiedziałam, że trzeba to zrobić - nie mogliśmy trzymać go w zamkniętym pokoju.

Zeszłam na dół. Podczas ostatnich kilku miesięcy przypominałam sobie, jak miło jest się guzdrać. Nerwowy trucht pokojówki należał już do przeszłości. Wiedziałam, że ospały, niespieszny krok stanowi w przekonaniu angielskiej elity

ważny wyróżnik pozycji społecznej. Tylko klasy średnie pozwalały sobie na bieg. I choć zupełnie nie dbałam o pozycję, pośpiech przychodził mi z trudem. Miałam znużone, ociążałe nogi i niewielką ochotę nimi przebierać. Zmęczenie opuszczało mnie jedynie, kiedy maszerowałam przez wzgórze, pola i wilgotne lasy.

Pan Rivers był w pokoju dziennym i pił kawę. Stał przy wysokich oknach, spoglądając na pierzaste chmury przeciągające nad Tyneford Barrow. Zwykle jadał śniadanie wcześniej rano, czasami tak wcześnie, że się zastanawiałam, czy w ogóle się kładł.

- Dzień dobry, panie Rivers.

Odwrócił się do mnie, ale unikał mojego wzroku.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór. Byłbym wdzięczny, gdybyś...

- Nie pisnę nikomu ani słowa.

Skinął głową, a potem rzucił rażno, żeby zmienić temat:

- Dziś sianokosy.

Przez cały tydzień ze swojego stanowiska na szczycie wzgórza obserwowałam, jak prowadzi konie pociągowe po rozciągających się niżej polach: poganiał, krzyczał z plecami pochylonymi nad karkiem szkapy albo szedł za zgrabiarką, która zbierała suchą trawę. Od jakiegoś czasu się nie przebierał i teraz też paradował po eleganckiej bawialni z wesołą żółtą tapetą w roboczym stroju: szyty na miarę garnitur zastąpiły zgrzebne spodnie, buty nabijane ćwiekami i prosta biała koszula. Promień słońca padł mu na twarz i dostrzegłam ciemny zarost na szczęce. Zastanawiałam się, dlaczego pan Wrexham go nie ogolił. Biedak, z pewnością wzdragał się przed szykowaniem takiej prostackiej garderoby dla swojego chlebodawcy.

- Muszę iść - oznajmił pan Rivers.

Odstawił filiżankę na stół i opuścił pokój. Unikał przebywa-

nia w domu w porze posiłków. Żadne z nas nie mogło się powstrzymać w ich trakcie od gapienia się na puste krzesło przy stole. Zaczął więc zabierać lunch na pola: chleb, ser i butelkę piwa, jakby naprawdę był jednym ze zwykłych pracowników najemnych majątku. Farmerzy jednak niechętnie z nim jadali - w końcu był dziedzicem - a on na nich nie naciskał, bo nie pragnął towarzystwa. Do domu wracał późno, kiedy ja byłam już po kolacji. Wiedziałam, że nie może znieść oficjalnej atmosfery jadalni. Postanowiłam pomówić o tym z panią Ellsworth.

- Jak żyję nie słyszałam o czymś takim, a od czterdziestu lat jestem na służbie - powiedziała, odkładając głośno wałek na stół i przewracając ciasto. Drobinki mąki zawirowały w powietrzu.

- Ale pani Ellsworth, jego syn nie żyje - wtrącił pan Wrexham spokojnym głosem. Wysunął krzesło i usiadł przy piecu. - Naszym obowiązkiem jest dbać o wygodę i dobro jaśnie państwa, a naszym nadrzędnym celem winien być komfort domowników. Jeśli, jak mówi miss Land, potrzeby pana najlepiej zaspokoi podawanie mu posiłków w kuchni, musimy tak robić.

Popatrzyłam na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję, Wrexham.

- Nie ma za co, miss Land. Zakładam, że woli panienka sama poinformować pana Riversa o tej zmianie?

- Tak. I - zawahałam się - powiem mu, że to na prośbę pani Ellsworth. Wyjaśnię, że teraz, przy tak skromnej służbie, to ją znacznie odciąży.

- Bardzo dobrze, panienko - odpowiedział kamerdyner z nieznacznym skinieniem głowy.

Ochmistrzyni zakaszlała zirytowana. Pan Wrexham zeszywniał i zmrużył oczy.

- Moja droga pani Ellsworth, w tym jednym przypadku sytuacja wymaga, by udawała pani przeciążenie pracą, co, jak wszyscy doskonale wiemy, jest w rzeczywistości grubym niedoszacowaniem pani niezwykłych możliwości. Ale tak nakazuje dobro naszego chlebodawcy. - Wbił wzrok w jakiś nieokreślony punkt w oddali. - Syn i następcą dziedzica nie żyje. Musimy jak najlepiej służyć ostatniemu panu na Tyneford, aż do końca.

Szłam doliną z lunchem dla pana Riversa. Rano zniknął w takim pośpiechu, że zapomniał zabrać go ze sobą, i pomimo swojej irytacji pani Ellsworth wręczyła mi owiniętą w papier śniadaniowy paczuszkę, żebym zaniósła mu ją na pole. Był ciepły sierpniowy dzień, miałam na sobie kapelusz słomkowy z szerokim rondem i letnią sukienkę z krótkim rękawkiem. Słońce muskało mi gołe ramiona, wszystko dokoła bujnie się zieleniło, trawy upstrzone były różową wierzbówką kiprzącą i szpetnymi guzkami trędownika. Rodzinka strzyżyków patrolowała teren na skraju ścieżki, pokrzykując na mnie, a na murku wylądowała para ciemnożółtych motyli. Wędrowka doliną w południowym słońcu okazała się jednak wyczerpująca i ucieszyłam się, kiedy wreszcie dostrzegłam pana Riversa. Stał na dużym drewnianym wozie zaprzężonym w parę koni pociagowych. Skrzynia była pełna siana, a on łapał na widły kolejne naręcza rzucane przez dwóch młodzików z mlekiem pod nosem i układał je w coraz wyższe stosy. Przystanąłam na skraju pola, oparłam się plecami o murek i obserwowałam ich pracę. Przypomniałam sobie swoje pierwsze sianokosy w Tyneford, wtedy używano nowego traktora. Teraz, przy reglamentacji benzyny, trzeba było wrócić do pomocy wielkich szajrów. W ruchach pracujących był rytm i miarowość mechanizmu zegara: chłopcy podawali naręcza

siana z precyzją werku, pan Rivers odbierał je z regularnością wahadła. Obserwując ich, miałam wrażenie spokoju, ciągłości czasu odmierzanego pojawianiem się pąków i opadaniem liści. Ludzie kosili i zbierali siano na tych polach, dokładnie tak samo, od ponad tysiąca lat. Narodziny i śmierć, deszcz i słońce stanowiły tylko część tego rytmu. Jeden z chłopców podniósł wzrok i na mój widok powiedział coś do pana Riversa, który przywołał mnie ręką.

- Przyniosłam panu lunch - oznajmiłam.

- Możesz go zostawić tam w cieniu. Na murku, z dala od szcurów.

Wzdrygnęłam się na wzmiankę o gryzoniach i chłopcy się roześmiali.

- A pan dziedzic mówili, co z panienki tera prawdziwa wiejska dziolcha.

Czułam, jak sztywnieję.

- No i? Nikt nie lubi szcurów.

- Stanton je uwielbia - zapewnił jeden z młodzieńców, jasnowłosy wyrostek o krótko ściętej czuprynie barwy pierzastych dmuchawców. Wskazał na spaniela tarzającego się w ściętej trawie.

- Chodźcie. Robota czeka - rzucił pan Rivers, wracając do pracy.

- Przydałoby się kilka tych ochotniczek rolnych - wymruczał jeden z wyrostków, pochylony nad łopatą.

Postawiłam lunch we wskazanym miejscu i wróciłam do wozu.

- Ja mogę pomóc.

Popatrzyli na mnie z powątpiewaniem.

- Jestem równie silna jak one. Zresztą większość z nich to chuderlawe dziewczyny z miasta.

- Zgoda. Zbierz to porozrzucane siano w rządki. - Pan Rivers rzucił mi grabie.

Złapałam je i zaczęłam grabić luźne łądyżki traw, przegapione przez konną zgrabiarę. Po kilku chwilach pot wystąpił mi na czoło i zaczął spływać do oczu, bawełniana sukienka przykleiła się do pleców. Po paru następnych bolały mnie już mięśnie brzucha i ramion, a gołe stopy miałam pokłute przez pokrzywy, rumianek i jaskry, ale nie odłożyłam grabi. W końcu odnalazłam taneczny rytm w pracy i przed oczyma stanęły mi pejzaże Bruegla w wiedeńskich galeriach. Czułam się jak jedna z malowanych przez niego chłopek i zanuciłam pod nosem urywek z *Symfonii pastoralnej* Beethovena. Od czasu do czasu popatrywałam spod szerokiego ronda na pana Riversa, który układał, łąpał, układał, łąpał, i wiedziałam, że wysiłek fizyczny jemu też pomaga. Nagle powietrze przeszło głośnie szczeknięcie i wysoki pisk - spaniel zacisnął szczęki na tłustym ciałku czarnego szczura i zaczął nim potrząsać. Ofiara protestowała piskliwie potwornie ludzkim głosem i machała postronkiem ogona wte i wewte. Potem zaległa cisza. Spaniel porzucił maleńkie truchło pod żywopłotem, gdzie podrygiwało jeszcze chwilę, potem zniechęciło się. Młodzieńcy zachichotali i znowu spiekłam raka, uświadomiwszy sobie, że upuściłam grabie ze grozy.

- Dosyc - warknął pan Rivers. - Przerwa na lunch. Chłopcy odłożyli narzędzia i powlekli się na drugi koniec

poła w cień rozłożystego dębu. Zawahałam się, patrząc na pana Riversa.

- Chodź. Podzielimy się. Tego, co pakuje pani Ellsworth, wystarczyłoby dla połowy wioski.

Usiadłam przy nim na kamiennym murku i wzięłam chleb i ser, które mi podał. Jedliśmy w milczeniu. Twarz miałam lepka od potu, upstrzona kawałkami siana, a na palcach bolesne

pęcherze. Zerknęłam na ręce pana Riversa. Pod paznokciami tkwiła żałoba, niegdyś gładkie dłonie dżentelmena teraz zrobiły się szorstkie. Skóra zdążyła mu już stwardnieć od ciężkiej pracy i nie wyskakiwały już na niej bąble. Wyjąwszy pusty, trupi wyraz oczu, wyglądał jak okaz zdrowia: mężczyzna w kwiecie wieku, emanujący siłą. Rzucił kawałki chleba spanielowi, który biegał za nimi po łące w radosnych poskokach. Odchrząknęłam i z obojętną miną poinformowałam go o decyzji podawania posiłków w kuchni. Skinął głową w zamyśleniu i nic nie powiedział. Poruszyłam się, kamienie murku wrzynały mi się w ciało.

- To wróci pan dzisiaj do domu przed kolacją? - spytałam.

- Tak. Wrócę - obiecał i popatrzył na mnie.

Nagle poczułam skrępowanie z powodu swojego wyglądu.

- Alice - powiedział i zeszywniałam, nieoswojona jeszcze ze swoim nowym imieniem. - Dlaczego nie zapuścisz znowu włosów?

Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam w bok, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

- Nie mogę. Już nie. - To Elise nosiła długi czarny warkocz. Alice miała krótką fryzurkę, która zapewniała ochłodę, gdy grała na polu albo szła skąpanym w słońcu zboczem, doglądając owiec w ciszy popołudnia.

- Wcześniej miałam długie - rzuciłam, niezdolna dalej tłumaczyć.

- W takich też ci ładnie. Tyle że wyglądasz na starszą. Uśmiechnęłam się.

- Jestem starsza, panie Rivers.

Harowaliśmy wiele godzin, aż dzień rozplynął się w szarówce, a świergot ptaków zastąpiło bzyczenie komarów i cykanie świerszczy w nieskoszonej trawie. Oczy mnie piekły od pyłków,

otarłam ukradkiem nos grzbietem dłoni. Mężczyźni posuwali się powoli po polu, wóz pochłaniał kolejne rzędy siana, ale wydłużające się cienie mówiły, że zrobiło się późno.

- Panie Rivers - zawołałam. - Idę do domu. Muszę pomóc pani Ellsworth przy kolacji. Przyjdzie pan przed ósmą?

Pomachał mi z góry stogu siana i wrócił do pracy. Patrzyłam na nich jeszcze przez chwilę, potem ruszyłam do domu. Wlokłam się spieczoną słońcem doliną wzdłuż łożyska podziemnego strumienia, podziwiając ciemnozielone trawy błotne, zasilane od spodu niewidzialną wodą. Morze migotało jak tysiąc luster, u ujścia zatoki kołysała się para rybackich kutrów. Zdziwiona usłyszałam z oddali warkot samolotu. Zwykle bombowce nadlatywały w nocy, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni częstotliwość ataków wzrosła - Swanage, Portland, Weymouth, a nawet Dorchester były regularnie bombardowane, i podejrzewałam, że pewnie teraz zaczną się dzienne naloty Czasami, kiedy siedziałam na najniższym stopniu pasterskiej chatki, widziałam samoloty pikujące w dolinie niżej: silniki wyły, końce skrzydeł zdawały się ocierać o pola na wzgórzach po obu stronach doliny.

Warkot silnika narastał, robił się coraz bardziej ogłuszający, aż zacisnęłam dłonie na uszach. Podniosłam głowę i zobaczyłam nie jednego, a dwa messerschmitty: wynurzyły się z tarczy słońca z czarnymi krzyżami wymalowanymi na musztardowo-żółtych skrzydłach. Zagotowałam się z furii. Jak śmieją tu latać? Pod tym angielskim niebem ludzie i konie przemierzają łąki, zbierając siano na zimę. To niebo należy do krogulców i gęgaw, nie do tych wstrętnych maszyn z ich terkotliwym wyciem. Messerschmitty były coraz bliżej, leciały bardzo nisko nad doliną, miałam wrażenie, że ocierają się o krzaki tarniny. Ale, dziwna rzecz, ich widok nie wzbudził we mnie lęku, tylko gniew. Niena-

wiść ścisnęła mi żołądek, zwinęłam zeszywniałe z wściekłości palce w pięść. Pochyliłam się, żeby podnieść kamień. Wzięłam zamach i cisnęłam go w stronę pierwszego samolotu.

- Wynoś się! Wynoś się! - krzyknęłam.

Kiedy kamień poleciał pięknym łukiem, na moment zalała mnie euforia i poczucie triumfu - trafię go! Dorwę drania! Sekundę później zaczął spadać i wylądował na ziemi bezsilny. Zakląłam i sięgnęłam po kolejny. W gniewie nie zauważyłam, że jeden z samolotów zawrócił, robiąc pętlę, i teraz leci z powrotem w moim kierunku. Patrzyłam przez chwilę na jego żółty dziób, bardziej z zainteresowaniem niż ze strachem, aż tu nagle, kiedy się do mnie zbliżył, ziemia eksplodowała ogniem maszynowym. Stałam sparaliżowana, z buzią otwartą z wściekłości i zaskoczenia. Potem rzuciłam się do ucieczki. Jeszcze nigdy w życiu nie biegłam tak szybko. Samolot zasypywał dolinę gradem pocisków. Wzgórza trzęsły się od huku wystrzałów i grzechotu strzałów. To zabawa. Tylko zabawa. Biegnij, króliku, goń. Nie czułam nóg - byłam niewyraźną plamą, spoconą, dyrdającą istotą. Niczym. Pędem i strachem. W głowie dźwięczał mi ten głupi przebój z zeszłego lata: „Biegnij, króliku, goń... gospodarz wyciąga broń, broń, broń”. Pociski. Bieg. Szkarłatna główka ostu odpadła, odstrzelona. Rejestrowałam wszystko i nic. Tylko bieg. Płyta grała i grała, mój umysł zamienił się w wirujący talerz gramofonu. „Co czwartek farmer robi pasztet z królika. Dlatego każdy królik co sił zmyka. Więc biegnij, króliku, goń. Goń, goń, goń!” Spadła mi tenisówka. Nie zwolniłam. Pędziłam co tchu w płucach, ostre kamienie raniły mi stopy, a pokrzywy parzyły skórę, ale nie czułam bólu, odrętwiała od adrenaliny.

Las. Muszę dobiec do lasu. Ukryć się w gęstwinie drzew i będę bezpieczna. Jestem Kitem biegnącym po wzgórzach, szybkim jak kozioł sarny. Cień drzew. Bliżej. Pociski stukoczą o kamie-

nie, spadają na owczarnię. Bang! Bang! Bang! Śpiewa pistolet farmera. Ogrodzenie się przewraca. Owce rozbiegają. Nie mogę sprawdzić, czy żyją. Coś czerwonego. Krew na wełnie. Niemal przy drzewach. Jeśli dotrę do tej leszczyny, tego miejsca, będę bezpieczna. Będę żyć. „Biegnij, króliku, goń, goń, goń! Farmer niech strzeli sobie w skroń, skroń, skroń!” Wbiegam do lasu. Samoloty warkoczą nad drzewami. Są złe, słyszę. Zagnały królika do nory. Padam na zasłaną liśćmi ściółkę, ciepłą, wilgotną, pachnącą ziemią i pleśnią. Strzelają w sufit z drzew. Na poszycie sypią się pociski, gałązki, liście. Zrywam się: gramolę na czworaka, podnoszę na nogi i znowu uciekam, uciekam, uciekam. Ziemia i błoto wlatują do góry i rozpryskują się na wszystkie strony, kule ścielą się dokoła, czasami tak blisko, że muszę wciągać powietrze, żeby sprawdzić, czy żyję. Cała jestem strachem i biegiem. To wielkie drzewo. Ten duży dąb. Ma białe konary i macha do mnie z gąszczu ciemnej zieleni. Dopadam do niego, łapie mnie i wciąga, w chłodną ciemność i ciszę.

- Jesteś bezpieczna - uspokajała Poppy. - Zupełnie bezpieczna.

Leżałam w mroku, słuchając ciszy. Nic się nie poruszało. Chrząszcze, mrówki i dzięcioły wstrzymały oddech. Potem wiatr zaszumił w jesionowych liściach, zaszeleścił modrzew. Gdzieś zaśpiewał grzywacz, gawron zakrakał i las powoli wrócił do życia.

- Skąd wiesz, że nie wrócą? - spytałam.

- Po pierwsze pewno kończy im się amunicja. Góra dziesięć sekund solidnego ognia. No i paliwo.

Usiadłam, wyplątałam liście i mech z włosów oraz przedsiębiorczego skorka z bawełnianego stanika.

- Oni się ze mną bawili, Poppy.
- Masz, wypij to, poczujesz się lepiej.

Chwyciłam butelkę i wzięłam potężny łyk czegoś, co okazało się szkocką.

- Nie wydaje się, żebyś specjalnie histeryzowała. - Poppy wyglądała na dość rozczarowaną, gdy wysypywałam kamyczki z tenisówki, która mi się ostała. - Przyznaję, liczyłam, że będę musiała cię spoliczkować. Tak się robi w napadzie hysterii. Na pewno nie jest ci ani trochę słabo? - spytała z pełnym nadziei uśmiechem.

- Nie.

Pociągnęłam jeszcze raz z butelki i rozejrzałam się dokoła. Siedziałyśmy w ziemnej pieczarze, z góry zwisały splątane korzenie. Przez wyrwę między nimi przebijało światło dnia, dodatkowo wewnątrz rozjaśniała zawieszona na kawałku sznurka latarka. Gdzieś w rogu błysnął czarny karabin.

- Lepiej nie patrz - poradziła Poppy. - Ścisłe tajne i w ogóle.

- Trochę za późno.

Przypomniałam sobie broń, którą ukryła kiedyś w jaskiniach Tilly Whim, i rewolwer pana Riversa. Zastanawiałam się, czy należą z Poppy do tego samego ruchu oporu, ale szanując obietnicę daną ojcu Kita, nie zapytałam.

- Macie takie kryjówki na całym wybrzeżu?

- Mhm. Tak na wszelki wypadek.

- Chcę się przyłączyć. Brać udział w tym, co robicie. Poruszyła się i odwróciła wzrok.

- Obawiam się, że nie możesz. Tylko Brytyjczycy. Naprawdę jesteśmy supertajni. Nie powinnaś nigdy nawet znaleźć się w tej pieczarze, zwłaszcza że jesteś obywatelką wrogiego kraju, ale nie miałam wyjścia, bo inaczej byś zginęła i w ogóle.

Podpełzłam do tarczy światła i wygramoliłam się na ze-

wnątrz. Otrzeptałam jak mogłam najlepiej brudną sukienkę, wstałam i rzuciłam Poppy gniewne spojrzenie.

- Obywatelką wrogiego kraju? Jak możesz? Spasowała.

- Przepraszam. To wredne. Ale to nie ja, tylko ten cholerny rząd.

- Lepiej już nic nie mów - warknęłam.

Kopnęłam drzewo i zacisnęłam pięści. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę spluć. Bez żadnego do widzenia ani dziękuję odwróciłam się na pięcie i odeszłam. To nie było fair. Chciałam się przyłączyć do walki.

Kuśtykałam po ścieżce i rozglądałam się za zgubioną tenisówką. Znad morza nadciągała wieczorna bryza. Owce się pasły, kuliki szybowwały po niebie. Znalazłam but i wsunęłam go na stopę. Flotylla rusalek admirałów latała nad kępą koniczyny, a po drugiej stronie doliny leżały ostatnie pokosy siana. Pejzaż na powrót zrobił się idylliczny, atmosfera sielska. Nagle coś błysnęło w trawie. Schyliłam się i podniosłam gruby pocisk, połyskliwy jak ślimak. Na wzgórzu w pewnej odległości od reszty stada leżała nieruchomo jedna z owiec. Zaklaskałam i krzyknęłam. Nie poruszyła się. Zmrużyłam oczy i dotarło do mnie, że nie żyje. Powinnam zawiadomić pasterza. Padła niedawno: nie było sensu marnować dobrej baraniny. Na końcu pola zauważyłam rząd szkarłatnych flag, wyglądały jak krwawiąca blizna na ciele łąki. Zastanawiałam się, co oznaczają. Podejrzewałam, że Poppy wie, ale pewnie i tak by mi nie powiedziała, nawet gdybym spytała.

Kiedy dotarłam do domu, pan Rivers chodził tam i z powrotem po tarasie.

- Dobry Boże - ruszył pośpiesznie w moim kierunku. - Jesteś ranna? Byłam zbyt wyczerpana, by docenić jego troskę.

- Nie. Tylko brudna. Muszę się wykapać. Próbował chwycić mnie za ramię, gdy go mijałam.

- Alice. Słyszałem kanonadę. Strząsnęłam jego dłoń.

- Proszę. Niech mi pan da spokój. Nic mi nie jest. Trzeba przekazać panu Sticklandowi, że jedna z owiec padła.

Weszłam szybko do domu i ruszyłam po schodach, zanim jeszcze ktoś zdążył mnie zaczepić. Całe przerażenie ze mnie wyparowało. Czułam tylko gniew, zmęczenie i bezsilność. Strzelali do mnie, a ja nie mogłam nic zrobić. Za kilka godzin wrócą i ciemność znowu się rozterkocze. Wkrótce horyzont zapłonie na czerwono, kiedy Swanage, Portland albo Dorchester będzie się paliło. Rozpięłam sukienkę i przemierzałam pokój w samej bieliźnie, czekając na ryk samolotów, który rozerwie ciszę. Nie mogłam odpocząć, dawno już nie sypiałam spokojnie. Od śmierci Kita. Nawiedzał moje sny, wyglądał w nich dokładnie tak jak wcześniej, ale nawet śniąc, wiedziałam, że nie żyje. Rano, kiedy się budziłam, dławiłam się rozpaczą, gęstą jak dym. W dzieciństwie wyobrażałam sobie, że gdyby coś się stało komuś, kogo kocham, rodzicom albo Margot, umarłabym z żalości, pękłabym na pół niczym wiaz, w który trafił piorun. Ale choć kochałam Kita, nie umarłam razem z nim. Czułam tylko pustkę, jakby ktoś wydryłował mnie ze wszystkiego w środku do czysta. Wyobrażałam sobie, że jestem jak matrioszka i wypełnia mnie czarna nicość. Czasami, gdy spacerowałam nad morzem, a fale obmywały mi łydki, przechodziło mi przez głowę, że może powinnam wejść w nie głębiej. Mogłabym wypchać sobie kieszenie kamieniami i brnąć przez wodę aż za te czarne skały, za Wor-barrow Tout, gdzie sięgnęłaby mi do gardła. Wydawało się, że to taka łatwa, spokojna śmierć. I może Kit czekałby na mnie pod falami, tak jak czekał na mnie w snach. Ale to była tylko luźna

myśl, wywołana smutkiem i smętnym wołaniem morza. Tego popołudnia, kiedy polował na mnie messerschmitt, chciałam jedynie się uratować. Nawet przez sekundę nie pomyślałam, by skorzystać z okazji i dołączyć do Kita. Kiedy biegłam, spocona i dzika ze strachu, odkryłam, że zachłannie pragnę żyć. Instynkt samozachowawczy był we mnie równie silny jak u skrwawionego szczura w paszczy psa.

Jedliśmy z panem Riversem kolację w kuchni, obsługiwani przez pana Wrexhama, olśniewającego w białych bawełnianych rękawiczkach i nieskazitelnie czystym fraku. Za nami stary piec dymił i pomrukiwał. Lubiłam kuchnię: jej ciepło, zapachy smażonego tłuszczu i mydła karbolowego, pobrzękiwanie i krzątanie pani Ellsworth, wszystko to przypominało mi dom. Sączyłam wino i skubałam tłuczone kartofle. Pan Rivers ściągnął brwi.

- Alice, co się wydarzyło dziś po południu? Nic ci nie jest? Przypomniałam sobie, jak oszalały z wściekłości strzelał nad morzem. Zdecydowana nie rozsierdzić go znowu, powiedziałam z udawanym spokojem:

- Nadleciał messerschmitt. Wystrzelił kilka serii w dolinie.

- Do ciebie?

Mówił cicho, ale w jego głosie pobrzmiwał złowrogi chłód, który mi się nie spodobał. Nachyliłam się przez stół i ujęłam jego dłoń.

- Nic mi nie jest. Proszę. Jeśli się pan zezłości, dopiero się zdenerwuję.

Mięsień zadrgał mu w szczęce, ale nie poruszył już tego tematu. Po posiłku za milczącym porozumieniem zostaliśmy oboje w kuchni, nie chcąc wracać do bawialni. Już od lat wkradała

się tam ruina, ale w blasku obecności Kita jej nie zauważaliśmy. Upajaliśmy się wtedy przywiedłym przepychem otoczenia, jak dzieci porwane romantyzmem zakurzonego zamku z baśni. Teraz, przywaleni nieszczęściem, krzywiliśmy się na widok zaniedbania dworu niczym mąż na widok roztytej żony. Wyobrażałam sobie, że dom umiera ze wstydu, zażenowany własnym opłakanym stanem, i spędzałam całe godziny, usiłując przywrócić mu dawne piękno, ale nie mieliśmy dość pokojówek, by utrzymać go w należytej czystości, i nawet mimo mojej pomocy listwy przypodłogowe i panele były szare od kurzu, a parkiet pełen rys i niewypastowany.

Pani Ellsworth postawiła świece na wyszorowanym dębowym stole i zaciemniwszy okna, zniknęła w swoim pokoju. Kamerdyner nalał panu Riversowi porto i też zniknął, zostawiając nas samych i zasłuchanych w bulgotania i posykiwania kuchenki. Pan Rivers nie przebrał się do kolacji, co w bielonym zaciszu kuchni nie raziło tak bardzo, ale tak czy siak oznaczało przypieczętowanie ostatecznej zmiany zwyczajów panujących w majątku. Zdjął buty z pola, jednak to było jego jedyne ustępstwo. Rozparł się na drewnianym krześle w rozchełstanej, brudnej koszuli i wyciągnął przed siebie nogi. Czuć go było sianem i potem. Sięgnął do kieszeni, wyjął pudełko zapalek i zapalił cygaro. Ten nedorzeczny kontrast sprawił, że się roześmiałam.

- Panie Rivers, z tym wyglądem powinien pan raczej nabijać fajkę najtańszym tytoniem, a nie palić cygara z Jermyn Street.

Zignorował kpinę i wypuścił dym, który wzbił się niebieskimi kłęбами aż po belki sufitu.

- Dlaczego ciągle nazywasz mnie panem Riversem?

- A nie powinnam? Pan też chce zmienić nazwisko? - spytałam z uśmiechem.

- Nie. To dobre, stare nazwisko. Jedno z najlepszych w An-

glii - powiedział z odrobiną dawnej dumy. Przysunął sobie spodek i strząsnął popiół. - Dlaczego nie mówisz mi po imieniu? Może zwracałabyś się do mnie Christopher? Wbiłam wzrok w stół.

- Nie mogę - powiedziałam, niezdolna spojrzeć mu w oczy. - Kit miał tak na imię. Nie mogłabym nazywać pana jego imieniem.

Zaciągnął się ostro.

- Otrzymał je po mnie. Ja pierwszy je nosiłem. - W jego głosie pojawiła się nutka gniewu.

Wiedziałam, że sprawiam mu ból, ale nic na to nie mogłam poradzić.

- Nie dla mnie. - Spojrzałam mu twardo w oczy. - Nie chcę myśleć o nim, kiedy zwracam się do pana.

Podniósł wzrok na wysokie okno, gdzie gałązka kapryfolium postukiwała o szybę, i westchnął.

- Na drugie mam Daniel. Możesz mnie tak nazywać? Podeszedł do pieca, otworzył drzwiczki i przegarnął węgiel,

aż szkarłatne iskry wleciały do pomieszczenia. Nie golił się już od kilku dni i nawet w blasku ognia widziałam gęsty zarost na jego twarzy.

- Zamierzasz zapuścić brodę, Danielu? - spytałam. Odwrócił się do mnie zaskoczony i przeciągnął dłonią po podbródku.

- Nie. Po prostu przez dzień czy dwa Wrexham mnie nie golił.

- No to jutro musisz koniecznie mu pozwolić. Uśmiechnął się i usiadł.

- Chcesz cygaro? Kit powiedział mi kiedyś, że popalasz. Był pod ogromnym wrażeniem.

Roześmiałam się.

- I dobrze. Po to właśnie to robiłam.

Wyjął cygaro z ust i mi je podał. Pociągnęłam, próbując nie kasłać. Przyglądał mi się bacznie i też na niego patrzyłam. Jego oczy miały niesamowicie intensywny odcień błękitu i zauważyłam, że jedno, gdy spojrzeć z bardzo bliska, jest ciut ciemniejsze od drugiego. To była informacja z gatunku tych znanych tylko najbliższym, tymczasem jego matka nie żyła, żona i syn podobnie. Więc ten mały szczegół należał teraz jedynie do mnie.

- Myślisz o Kicie - powiedział, wyrywając mnie z zadumy. Zarumieniłam się.

- Tak - skłamałam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Czerwone flagi

Nazajutrz rano przyszedł list od Margot, pierwszy od śmierci Kita.

Me wiem co powiedzieć. Wszystko co przychodzi mi do głowy brzmi niezręcznie i bezsensownie... Chciałabym dać Ci sachertorte, taki jak te, które serwowali w Sacher Hotel. Kroiłam ci kawałek kiedy płakałaś jako mała dziewczynka i wiem, że w żaden sposób nie przyniosłby Ci teraz ulgi, ale i tak chcę Ci go dać.

Można je tutaj dostać w „europejskich cukierniach” ale nawet się nie umywają do tych prawdziwych których jak podejrzewam nie dane nam już będzie spróbować - chyba że wygnają mistrza ciastkarskiego, a on przyjedzie tu ze swoim tajemnym przepisem. Pamiętasz jak w dzieciństwie wydawało Ci się że hotel został nazwany na cześć ciasta, a nie na odwrót? Hotel Tort Czekoladowy... Czasami wyobrażam sobie, że nadal tam siedzimy po jakimś przedstawieniu operowym, trochę młodsze, zajadamy się sachertorte ze śmietaną i gawędzimy o piskliwym sopranie i pocącym się tenorze i jego śmiesznej chusteczce.

Napiszę list do Margot i Elise adresując go na hotel Czekoladowy Tort w Wiedniu, a on dotrze do tamtej Elise

i innej Margot i nic z tego co się wydarzyło, się nie wydarzy. Któregoś dnia po wojnie wrócimy tam i będziemy gawędzić o tym jak drugie skrzypce wylamały się z reszty orkiestry podczas scherzo i myśleć tylko i wyłącznie o muzyce.

Rok temu Anna przesała mi przepis na wstrętną herbatkę, którą parzyły jej babki, kiedy marzyła o dziecku (choć pojąć nie mogę dlaczego szukała tego typu pomocy akurat u trójki bezdziejnych starych panien). Smakuje okropnie, ale mimo to piję ją co rano - nie żebym wierzyła, że coś zadziała, ale dlatego, że to ostatnia rada, jaką dostałam od mamy. Łapię się na tym, że zbieram w pamięci wszystkie swoje wspomnienia Anny i Juliana i odtwarzam je raz po raz w głowie, przerażona, że mogłabym coś zapomnieć.

W liście siostry widziałam odbicie własnych lęków. Nasi rodzice zniknęli. Może ukrywali się gdzieś na francuskiej wsi (Anna przebrana za rumianą chłopkę), a może przyjaciele w Amsterdamie dali im schronienie? Wolałam wyobrazać sobie dla nich radosne przygody, niż rozważać inne możliwości.

Chciałam oderwać się od tych myśli i zesłam nad morze poszukać Poppy. Kiedy zbliżyłam się do kamienistej plaży, zobaczyłam, że roi się tam od ludzi. Trzech obcych mężczyzn w kombinezonach roboczych mówiło coś do rybaków zgromadzonych przy łodziach przed chatą Burta. Na kamieniach dokoła leżały porzucane drewniane skrzynie. Rybacy opierali się o kutry z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, oczyma zmrużonymi podejrzliwie. Jeden z nich, stary brodac, splunął, a potem odszedł nieśpiesznie, zbywając nieznanego krótkim machnięciem ręki, gdy ten próbował go zatrzymać. Z tyłu tłumu dostrzegłam Poppy. Siedziała na wiklinowym wiewiórku. Przepchnęłam się przez zgromadzonych i usiadłam przy niej.

- Straż Przybrzeżna - powiedziała, wskazując trzech nieznajomych, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. - Pan Rivers poprosił ich, żeby skłonili rybaków do zaminowania zatoki. Głupi pomysł, jeśli chcesz znać moje zdanie. Doskonały sposób na zabicie mnóstwa dobrych makreli. Chodź. - Podniosła się i trzymając mnie za rękaw, odciągnęła od grupy. - Najlepiej niech to sami załatwią. Nie chcieliby, żebyśmy się wtrącały - oznajmiła, oddalając się plażą.

Musiałam biec, żeby dotrzymać jej kroku. Słońce rozpalilo klify, które połyskiwały złotym brązem niczym ciasto wyjęte z pieca. Kępy szorstkiej trawy morskiej porastającej szczyt usiane były szkarłatnymi makami, a brzegówki uwijały się wokół maleńkich dziupli wygrzebanych w wapiennym zboczu. Poszłyśmy na drugi koniec plaży i tam Poppy poprowadziła mnie w górę klifu. Po pięciu minutach byłyśmy już na szczycie. Rozciągnęłam się na trawie zziębnięta i zamknęłam oczy, próbując złapać oddech.

- No chodź. Nie czas na drzemkę - ponagliła mnie. Sarkając pod nosem, otrzępałam się i pospieszyłam za nią.

- Gdzie idziemy?

- Do Willa - odrzekła, jakby to tłumaczyło wszystko.

Szłyśmy teraz wysoką granią. Poniżej szachownica pól rozciągała się przypadkową mozaiką, jak patchwork, który wyszedł spod igły niedbałej szwaczki. W dolinie, tam gdzie zbocza przechodziły w rozległe łąki, pan Rivers kończył sianokosy w asyście małych pomocników. Trwały wakacje i łąka roiła się od chłopców w krótkich spodenkach i dziewcząt w kaloszach i spłowiałych letnich sukienkach, którzy biegali po łące, zbierając naręcza suchej trawy i układając je w niebotyczne stosy. Ich krzyki, niesione do nas wiatrem, mieszały się z poszczekiwaniami spaniela. Pan Rivers cisnął psu patyk i zwierzak rzucił się w pogoń. Pod

gołym niebem ojciec Kita wydawał się spokojny. Nagle, jakby wyczuł, że mu się przyglądam, popatrzył w górę zbocza, osłaniając oczy dłonią przed słońcem. Ruszyłam dalej w pośpiechu, zawstydzona, i miałam nadzieję, że mnie nie zauważył.

Poppy czekała na mnie przy następnym przełazie. Siedziała na ogrodzeniu i przytupywała sandałem.

- Pan Rivers nie jest jedynym ojcem, który stracił syna -oznajmiła. - Zanim wojna się skończy, takich jak on będą tysiące.

- To wcale nie czyni tego lżejszym.

- Nie - zgodziła się. - Chciałam powiedzieć, że to przetrwa.

. - A jakie to ma znaczenie? - warknęłam. - Że będzie dalej oddychał, smarował masłem grzanki i rozmawiał przez telefon? Nie chcę, żeby przetrwał. Tylko szansy na szczęście. Nie krótkich chwil przyjemności, jaką daje tabliczka czekolady czy gorąca kąpiel. Szczęścia.

Urwałam, niepewna, czy mówię dalej o panu Riversie czy o sobie samej. Poppy mi się przyglądała.

- Będziecie jeszcze szczęśliwi. Oboje. Najpierw robi się lżej, a potem ciężiej, gdy dociera do ciebie, że zrobiło się lżej, i czujesz się winna. - Urwała na widok mojej zdziwionej miny i uśmiechnęła się. - Moi rodzice. Kiedy miałam dziesięć lat. A jak ci się wydaje, czemu mieszkałam z ciotkami? Mama i tata zginęli w pożarze hotelu, gdy byli na urlopie w Blackpool. Pojechali zobaczyć festiwal światła. Od tego czasu ciotki uważają, że lotniska są bardzo niebezpieczne. Nigdy nie pozwoliły mi pojechać do żadnego, a już Boże broń na północy kraju.

- Przykro mi. Nie miałam pojęcia. Wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy. Stare dzieje. Chodźmy lepiej poszukać

Willa. Zostały mu już tylko dwa dni przepustki i spędza je na budowaniu ogrodzenia.

Kiedy do niego dotarliśmy, rozłupywał drzewo za pomocą siekiery i klina, trawę dokoła zaścielały pocięte już deski, a nowy płot biegł aż na szczyt wzgórza: jasne wsporniki przylegały do okrągłych pionowych słupków niczym kawałki gigantycznej układanki. Dwóch małych chłopców leżało na brzuchach i przybijało młotkiem gęstą siatkę ogrodzeniową do podstawy jednego ze słupków. Ledwo odrośli od ziemi i powinni raczej chować się w maminy fartuchu, a nie naprawiać płoty, ale praca paliła im się w rękach i nie przerwali jej, nawet żeby spojrzeć na mnie czy Poppy. Will rzucił siekierę na trawę, objął Poppy w pasie grubym ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Odwróciłam wzrok, nagle skrepowana, i starałam się nie myśleć o Kicie.

- No i? - spytała Poppy, odpychając go czule. Wzruszył ramionami.

- Pewnie raz dwa się uwiniemy. - Wsadził ręce do kieszeni

i zmarszczył brwi. - Właśnie dlatego nie cierpię tych przeklętych ogrodzeń. Za szybka robota. Nieprzemyślana. Nie ma to jak porządny kamienny mur. Niechtórych spraw nie idzie odwalić na chybcika. Jeśli ma się poszatkować z bocze, trza to robić z głową, a to zabiera czas.

Popatrzyłam na wzgórze i zobaczyłam murki biegnące po stoku niczym kamienne rzeki. W blasku porannego słońca połyskiwały kościstą bielą, gdzieś tylko przetykane czarnymi gagatami były tak samo częścią krajobrazu jak rozkołysane trawy czy smagana wiatrem leszczyna.

- A co jest nie tak ze starym murem? - spytałam.

- Wojsko się coraz bardziej panoszy. - Pokazał na rząd czerwonych flag między murkiem a ogrodzeniem. - Ciężkiem zajmu-

je coraz więcej i więcej ziemi na swoje poligony. Zostało ledwo siedemset akrów. Niedługo będziemy ogradzać plażę. Poppy kopnęła stokrotkę i prychnęła.

- Ogradzać? Ha! Prędzej minować. Ani się obejrzymy, a plaże i wzgórze zaroją się od kolczastego drutu i stanowisk karabinów maszynowych.

Will schylił się, żeby podnieść siekiere.

- Wystarczy tego gadania po próżnicy. I tak nie mogę nic na to poradzić. Beczą owce, a kraczą wrony. A wy zamiast tego może byście zakasały rękawy.

Poppy rzuciła mi potężny drewniany młotek i idąc za jej przykładem, zaczęłam wbijać w ziemię słupek. Krowy i owce wałęsały się dokoła i nie zwracały uwagi na nowe ogrodzenie, czerwone flagi ani ciarki, które przebiegały mi po ramionach przy każdym uderzeniu pobijaka pieczętującym zmiany. Z obozu wojskowego w majątku Lulcombe, tuż za grzbietem wzgórze, dochodziło miarowe tra ta ta wystrzałów i świst pocisków. Ten hałas też ignorowały: grube jarki machały jak gdyby nigdy nic ogonami wśród dmuchawców, a krasule przeżuwały ze stoickim spokojem i odganiały się od brzęczących much.

Kiedy wróciłam tego wieczoru do domu, usłyszałam podniesione głosy na tarasie. Dochodziła siódma i spodziewałam się raczej, że zastanę pana Riversa popijającego samotnie whisky w gasnącym blasku dnia. W drodze powrotnej nazbierałam do kapelusza jeżyn z myślą o upieczeniu tarty. Postawiłam je teraz cicho przy ogrodowej bramie i ruszyłam murawą. Pan Rivers stał na tarasie, a obok na krzesłach ogrodowych wierciły się lady Vernon i Diana Hamilton. Żadne z nich nie zauważyło mojego nadejścia.

- Bardzo mi przykro - rzuciła lady Vernon. - Naprawdę ogromnie panu współczujemy.

Pan Rivers obrócił się na pięcie, żeby na nią spojrzeć.

- Wszyscy mi współczują. I co mi z tego przyjdzie? Pal licha wasze współzucie.

Lady Vernon się wzdrygnęła, ale jej pogodny, kulturalny uśmiech ani drgnął. Diana wbiła wzrok w złożone na podołku dłonie, kiedy pan Rivers zaczął przemierzać taras wte i wewte. Stałam na skraju trawnika w cieniu orzecha i czekałam, niezauważona.

- Może jeszcze wróci do domu. Niewykluczone, że został wzięty do niewoli. Wielu zostało - oznajmiła lady Vernon.

- Nie. On nie żyje.

Pan Rivers zatrzymał się gwałtownie przed jej krzesłem. Mierzył ją spokojnie wzrokiem, zmuszając, by też na niego spojrzała. Na chwilę jej układna, gładka jak szkło mina pękła i wyraz żalu przemknął przez jej twarz buldoga. Na chwilę przestałam jej nienawidzić.

- Odbędzie nabożeństwo żałobne? Jakaś uroczystość ku jego pamięci?
- spytała cicho, obracając złotą obrączkę na pulchnym palcu.

- Nie. Ja go pamiętam. Alice go pamięta. To wystarczy. Odwrócił się od niej i zapatrzył w zamyśleniu na zatokę.

- Tak się normalnie postępuje w podobnych przypadkach... - zaczęła.

- Do diabła z tym, co normalne. Co to za świat, na którym morderstwo czyjegoś syna jest czymś normalnym?

Skwitowała jego wybuch rutynowym, kurtuazyjnym uśmiechem.

- Z największą przyjemnością zajmę się organizacją.

W dwóch krokach znalazł się przy niej, położył ręce na pod-

łokietnikach jej fotela i wbił w nią zimne z furii oczy. Trzeba przyznać, że się nie odchyliła ani nawet nie wzdrygnęła. Siedziała nieruchomo z plecami prostymi jak pensjonarka tuż po szkole manier.

- Niech pani ze mnie nie robi jednego ze swych towarzyskich przedsięwzięć! - wysyczał. - Jeśli się pani nudzi, niech się pani zajmie robieniem skarpet na drutach dla żołnierzy albo przetapetowaniem swojego cholernego salonu. - Wyprostował się, ręce mu drżały i zapanował nad sobą z wyraźnym wysiłkiem. -Pójdę się przebrać. Proszę zadzwonić na Wrexhama, jeśli będą się chciały panie czegoś napić. Dobranoc paniom.

Zniknął w mroku domu. Wymknęłam się z cienia i weszłam na schody tarasu.

- No. - Lady Vernon cmoknęła zszokowana jak nioska, której przeszkodzono w składaniu jaj. - No. Coś podobnego.

- Mówiłam ci, że nie powinnyśmy tu przychodzić - powiedziała Diana i nozdrza jej się rozchyliły z niezadowolenia na mój widok.

- Dobry wieczór, lady Vernon. Lady Diano. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Przepraszam za pana Riversa. Nie jest sobą.

Kłamałam. Był w każdym calu sobą. Po prostu przestał być tą osobą, którą znały wcześniej. Oboje przestaliśmy, ale w przeciwieństwie do mnie, on nawet nie wyglądał już tak samo, paradując w zgrzebnych roboczych ubraniach, nieuczesany i zarośnięty. Wzrok miał dziki i pusty i na pierwszy rzut oka było widać, że nie dba już o konwenanse i nakazy dobrego wychowania. Zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że żadna z nich tego nie zauważyła, i przeklinałam obie w duchu, że go sprowokowały. Byle dziecko by im powiedziało, że ten człowiek nie jest już dżentelmenem - same ściągnęły na siebie jego gniew. A teraz jeszcze przyglądały mi się z nieukrywaną antypatią. Diana wy-

dęła pogardliwie wargi. Obowiązek przeprosin spadł na mnie, co tylko pogorszyło sprawę - już sam fakt, że w ogóle okazały się konieczne, był skandalem, ale to, że wyszły od szkopskiej gudłajki było wprost nie do zniesienia. Lady Vernon podniosła się i skinęła mi szorstko głową.

- Dobry wieczór, panno Land, czy jak tam się pani dzisiaj wieczorem nazywa. Przespaceruję się po parku, korzystając z pięknej pogody. Diano?

Skinęła na dziewczynę, ale ta potrząsnęła blond lokami.

- Nie, dziękuję, ciociu. Dołączę do ciebie za chwilę.

Brew lady Vernon podjechała do góry, staruszka była ewidentnie zaskoczona, że siostrzenica przedkłada moje towarzystwo nad jej, ale nie skomentowała tego i w milczeniu zeszła po schodach do ogrodu. Odwróciłam się i patrzyłam na Dianę pytająco. Gapiła się jednak na mnie bez słowa, oczekując, że pierwsza przerwę milczenie. Westchnęłam. Chciałam mieć ją już z głowy.

- Napije się pani herbaty, lady Diano?

- Pytasz jako pani domu czy pokojówka? - spytała, mierzając mnie wielkimi fiołkowymi oczyma.

- Czego chcesz, Diano? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie i oparłam się o balustradę

Rozparła się na krześle i wygładziła bawełniany materiał żółtej letniej sukni, starannie wybranej, by podkreślić kremowy róż jej karnacji. Uśmiechnęła się do mnie spod gęstych rzęs.

- Ludzie plotkują, wiesz - oznajmiła.

Milczałam i tylko zdrapywałam podeszwę tenisówki kawałek mchu wyrastający pomiędzy płyt tarasowych. Przyglądała mi się przez chwilę, potem spróbowała z innej beczki.

- Czemu nadal tu mieszkasz?

Prychnęłam zaskoczona. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłabym wyjechać.

- Bo muszę.

- Dlaczego? - spojrzała na mnie z udawanym zdziwieniem. - Nie jesteś już służącą. Ani narzeczoną Kita. Przepraszam, moja droga, że to powiem, ale nie dotarłaś nawet do etapu „póki śmierć nas nie rozłączy”. Nie ma najmniejszego powodu, żebyś tu tkwiła.

Policzki zapłonęły mi gniewem.

- Pan Rivers. Daniel. Jestem tu dla niego. Nie mogę go teraz opuścić.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Daniel? A to niby kto? Christopher Rivers? Cóż za pieszczotliwe przezwisko. Doprawdy rozkoszne.

- Jestem pewna, że twoja ciocia cię potrzebuje - rzuciłam ostro z wyraźnym austriackim akcentem.

Diana zbyła moją troskę machnięciem ręki.

- O, doskonale daje sobie radę beze mnie. I będzie wniebowzięta tym, co tu usłyszałam. Jak mówiłam, ludzie uwielbiają plotkować, zwłaszcza o romansach. Im bardziej skandalicznych tym lepiej.

- Proszę, idź sobie. - Porzuciłam w końcu wszystkie pozory dobrego wychowania.

Klasnęła w dłonie rozradowana i wstała ze śmiechem.

- To po prostu wyborne. Nieprzyzwoite. Ale wyborne. Pochyliła się i, ignorując wyraz wstrętu na mojej twarzy, wycisnęła mi na policzku chłodnego całusa.

- Do widzenia. Dziękuję za uroczne popołudnie.

Kiedy zniknęła, usiadłam na stopniu i oparłam brodę na złożonych dłoniach. Nie obchodziło mnie, że ludzie plotkują. Może i moja obecność w Tyneford była nieprzyzwoita. Ale czy takie kwestie jeszcze miały jakieś znaczenie? Mówiłam prawdę: musiałam zostać. Pan Rivers mnie potrzebował.

Tej nocy, kiedy leżałam, nie mogąc zasnąć, i słuchałam szumu morza w ciemności, nie myślałam o Kicie, a o panu Riversie. Czy Diana ma rację? Wygramoliłam się z łóżka przerzuciłam szpargały w szufladzie toaletki i wyciągnęłam notatnik, który kupił mi w Liberty podczas ostatniej podróży do Londynu. Podwinawszy jedną nogę pod siebie, usiadłam i napisałam do siostry.

Twoim zdaniem fakt, że nadal tu mieszkam, jest szokujący? Mam nadzieję, że tak nie myślisz. Uważam, że to byłoby z Twojej strony bardzo nie fair. Zawsze całowałaś się Robertem na oczach innych, nawet już po ślubie (a nikt nie lubi patrzeć na całujących się małżonków), więc myślę, że nie masz prawa mnie potępiać.

Chcąc nie chcąc, zastanawiam się, co Anna i Julian by na to powiedzieli. Cioteczne babki nigdy by nie pochwałyły mojego pobytu tutaj bez przyzwoitki, ale one mało co pochwalają, krytykowanie innych jest jedną z głównych przyjemności ich życia, obok zajadania się smażonym marcepanem i wietrzenia wszędzie skandalu. Anna pewnie ma wyrobioną opinię na ten temat -jak zresztą na większość innych. Wiem, że kobieta jej zdaniem nie powinna wyjmować szpilek z koka i potrząsać włosami przed mężczyzną, w którym nie zamierza się zakochać, bezwzględnie powinna za to spryskiwać bieliznę wodą różaną. Wiesz przecież, że słucham się Anny we wszystkim (i zawsze oglądam się przez ramię, zanim poprawię choćby jedną szpilkę we włosach), ale to tutaj to zupełnie inna sprawa.

Pamiętasz, co się stało z Herr Aldermannem po śmierci jego żony? Usechł na naszych oczach. Z grubaska, który cały

się trząsał, gdy ze śmiechem ocierał z policzków kurzy smalec, został z niego tylko cień. Przychodził do nas na kolację, powłócząc nogami, wypijał sznapsa i wracał do pustego mieszkania, też powłócząc nogami. Nie chcę, żeby to samo się stało z panem Riversem. Na razie jest zły. Wściekły na cały świat, ale w końcu ochłonie, gniew przejdzie w rozpacz i ja muszę być wtedy przy nim. Nie pozwolę, żeby zamienił się w starca, któremu nie chce się podnosić stóp przy chodzeniu albo ścierać tłuszczu z podbródka.

Rozumiesz już, dlaczego, bez względu na to, co ludzie gadają, nie mogę stąd wyjechać, prawda, Margot?

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca ze zdenerwowania, ręce miałam lepkie od potu. Słuchałam skrzypienia parkietu w bibliotece i wiedziałam, że to pan Rivers chodzi z kąta w kąt piętro niżej. Kiedy w końcu zasnęłam, śnił mi się: maszerował niespokojnie od ściany do ściany, a ciemność rozbrzmiewała echem jego kroków.

Willowi skończyła się przepustka i to na mnie i Poppy spadło ukończenie ogrodzenia. Szkraby, które wcześniej pomagały przy pracach, wróciły do szkoły na naukę czytania i arytmetyki i zostałyśmy same na zboczu. Sierpień niepostrzeżenie przeszedł we wrzesień, a nas nie opuszczał nastrój melancholii, który zawsze towarzyszy ostatnim dniom lata. Promienie słońca straciły ostrość i żałowałam, że nie mogę złapać kilku z nich w zaciśniętą pięść jak motyla, żeby przechować do następnego roku. Pola, ogołocoone z zieleni sianokosami, rozciągały się łyse i pożółkłe i tylko pojedyncze kępki firletek i ozorki ostały się na ich skraju. Pracowałyśmy w krótkich rękawkach - ja miałam na sobie parę

szortów, które odkryłam w głębi szafy Kita. Nabrałam zwyczaju donoszenia jego starych ubrań. Bardzo irytował panią Ellsworth, która bała się, że panu Riversowi będzie krwawiło serce, na widok błękitnych spodenek szkolnych syna. Wyśmiałam ją: „Jego serce już i tak krwawi, bez względu na to, czy przy naprawie płotu zniszczę swoją jedyną dobrą sukienkę czy rzeczy zmarłego”. W rzeczywistości nie dbałam zupełnie o własną garderobę, po prostu lubiłam chodzić w ubraniach Kita - pachniały nim. Wszystko, co wyjmowałam z jego szafy, było przesiąknięte wonią sandałowca i papierosowego dymu. Wypaliłam już prawie wszystkie jego tureckie papierosy i postanowiłam nawet zamówić kolejne ze sklepu na Jermyn Street, kiedy nagle w magiczny sposób srebrna papierośnica znowu się napełniła. Oczywiście za sprawą Wrexhama. Kamerdyner odkrył akcesoria mojej żałoby i bez słowa dopilnował, by ich nie brakowało.

Leżałam na brzuchu wśród szorstkich traw i usuwałam pojedyncze kawałki krzemienia z suchego gruntu. Poppy podała mi rydel, żebym przygotowała miejsce pod kolejny słupek ogrodzenia. Sama, z gwoździami w zaciśniętych ustach, przybijała do już stojących poprzeczki. W górze nad nami szybowała kania, połyskując czerwonymi skrzydłami, gdzieś na klifie rozwrzeszczała się mewa. Obóz w Lulcombe tonął w ciszy, ale widziałyśmy nieme poruszenie: zielone wojskowe ciężarówki sunęły wzgórzem niczym opancerzone chrząszcze, a pustymi polami w równych formacjach maszerowali piechurzy wielkości ołowianych żołnierzyków. Stary kamienny zamek górował nad okolicą i wyobrażałam sobie, że się uśmiecha, zadowolony, że w jego cieniu znowu rozgrywają się bitwy.

Poppy się wyprostowała i przeciągnęła, unosząc ramiona nad głowę i ukazując nakrapiany piegami brzuch. Zużyła już wszystkie swoje gumki do włosów, a ponieważ nie było szans

na kupienie nowych, używała teraz gładkiego patyka, którym spinała do góry skłębioną grzywę włosów. Efekt zapierał dech w piersiach i byłam pewna, że gdyby tylko postanowiła poopalać się na skałach, rybacy braliby ją za białoskórą syrenę. Wsadziła rękę do kieszeni, wyciągnęła garść gruszkowych dropsów i rzuciła mi jednego. Zaczęłam go ssać i przez moment, z twarzą wystawioną do słońca, napawałam się błogą słodyczą. Tak właśnie teraz żyłam: od czasu do czasu cieszyłam się jakąś chwilą i próbowałam nie myśleć. Minęło zatem kilka sekund, zanim do mojej świadomości dotarł ryk messerschmitta. Usiadłam prosto, o mały włos nie rozbiwszy sobie głowy o poprzeczkę płotu. Poppy przykucnęła nieruchomo i nadstawiła uszu. Czułam, jak coś piekącego rośnie mi w gardle, pot spływa z tyłu po nogach. Nie, powściągnęłam strach. Nie po to przeżyłam raz ich atak, by zginąć na łące kilka tygodni później.

- Wszystko dobrze - powiedziała Poppy. - Patrz.

Wskazała na niebo i zobaczyłam, że zza białego obłoku wypada spitfire. Niebo eksplodowało ogniem maszynowym. Najpierw rozległ się terkot i świst pocisków brytyjskiego myśliwca, potem wizg silnika messerschmitta, kiedy samolot się obrócił. Spitfire rzucił się za nim w pogoń, a ja wybuchłam głośnym śmiechem.

- Dorwij drania! Daj mu popalić! - krzyczałam w mściwym triumfie.

Walka miała w sobie wdzięk fantasmagorii. Wcześniej strawiłam wiele godzin i dni na szczycie wzgórza, obserwując drapieżne ptaki. Widziałam jastrzębia, którego zaatakowała banda małych kruków i osaczyła ciemną burzą skrzydeł uniemożliwiając ucieczkę. Widziałam, jak sokół pikuje i łapie w powietrzu śpiewającego skowronka. Starcie samolotów, które teraz śledziłam, wydawało się równie nierzeczywiste jak tamte krwawe

łowy i czułam się dziwnie zdystansowana, kiedy patrzyłam na dwa myśliwce lawirujące między chmurami. Trudno było sobie wyobrazić, że w kokpitach siedzą przerażeni, spływający potem młodzi ludzie i walczą na śmierć i życie z zawziętością myszołowa czy jastrzębia. Wzgórze rozbrzmiewało odgłosem strzałów, pociski smugowe przelatywały po błękitnym niebie, a ja dziwiłam się od niechcenia, jak to się dzieje, że nie dziurawią chmur i na głowy nie leci nam grad śrucin i strugi deszczu.

- Chyba brakuje mu paliwa - zauważyła Poppy.

Patrzyłam, jak żółtodzioby samolot mknie w kierunku zatoki, ale ostrzelany przez spitfirea zawraca w głąb lądu, i próbowałam wykrzesać z siebie litość z powodu wyboru, przed jakim stanął jego pilot: śmierć od nieprzyjacielskiego ognia albo ucieczka na dno morza. Nie wykrzesalam. Jak każde zaszczute zwierzę messerschmitt był w desperacji, gotów połamać skrzydła, byleby się wydostać, nawet jeśli przyszłoby to przypłacić życiem. Uciec. Tylko to się liczyło. Spitfire się nie spieszył, miał dość paliwa, był u siebie i wyglądało, jakby się bawił, kiedy wypluwał z siebie pociski, z niedbałą łatwością umykał przed strzałami przeciwnika, chowając się za obłokami i tańcząc po niebie z gracją baletmistrza. W końcu to się stało. Wysoko nad naszymi głowami, ale wystarczająco blisko, byśmy widziały ogień buchający niczym płomień z paszczy smoka: Spitfire ustawił się w równej linii tuż za wrogiem i zasypał go gradem pocisków smugowych. Messerschmitt, płonący feniks, zaczął spadać smugą dymu i ognia, jego silnik zamilkł. Spitfire krążył jeszcze chwilę nad nami, sprawdzając, potem zniknął w blasku wieczoru. Wspięłyśmy się z Poppy na ogrodzenie, by popatrzeć na upadek rannego samolotu. Z pikującego na ziemię wraku wypadł biały spadochron i szybował w stronę jednej z grani: gładka czasza unosiła się leniwie na wietrze niczym

zarodnik dmuchawca. Poppy zeskokczyła z ogrodzenia i chwyciła mnie za rękę.

- Szybko - powiedziała.

Pociągnęła mnie w dół zbocza. Musiałyśmy go znaleźć. Wyobraziłam sobie nieprzyjacielskiego pilota, jak oswobodziwszy się ze spadochronu, drze się, wymachuje pistoletem i do nas strzela. Wyciągnęłam jeszcze krok i choć ten jeden raz Poppy została w tyle. Sadziłam wielkimi, sprężystymi susami przypominając sobie, jak Kit biegał kiedyś po tych wzgórzach, i nagle zrozumiałam, jakie to łatwe. Rozjarzona tarcza słońca chowała się za horyzontem. Zmrużyłam oczy i przeczesywałam wzrokiem nagi szczyt w poszukiwaniu spadochronu. Dym. Błysk bieli.

- Tam. - Pokazałam na rozkołysane wiatrem łany. Popędziłyśmy jak szalone i z zatrzymałyśmy się dopiero przy

bramie prowadzącej na pole. Wrak samolotu płonął, w powietrzu unosił się smród palącego się paliwa i dym, który kłębił się grubymi tumanami niczym z tysiąca kominów. Szara maź oblepiła mi skórę. Złapałyśmy się z Poppy za ręce i rozmawiałyśmy szeptem.

- Widzisz go? - spytałam.

- Nie. Podejźmy bliżej.

Ruszyłam, ściskając jej palce i żałując, że nie przyszło nam do głowy, by wziąć ze sobą młotek albo choćby pobijak w charakterze broni. Miałam nadzieję, że lotnik jest nieprzytomny albo nieżywy.

- Noszą brytyjskie mundury, na wypadek gdyby się rozbili. I mówią doskonałą angielszczyzną - zasyczała Poppy. - Trzeba naprawdę mocno nastąpić im na nogę, żeby sprawdzić, po jakiemu przeklinają.

- No, ale przecież i tak wiemy, że to nazista, prawda? Więc

nie ma potrzeby deptać mu po palcach, chyba że będziemy chcieli.

Nagle ciszę przeszył wrzask. Krzyk furii i nienawiści. Żołądek podjechał mi do gardła. Przelazłyśmy przez bramę i korzystając z zasłony dymu, podkradłyśmy się w pobliże samolotu. Jakaś postać majaczyła w mroku i wznosiła widły nad opadłym jedwabiem spadochronu. Na tle płomieni wzbijających się do nieba z wraku, wyglądała jak sam diabeł. Poczułam, że w gardle narasta mi krzyk i tylko resztką sił zapanowałam nad sobą, żeby się nie odwrócić na pięcie i nie wziąć nóg za pas. Postać popatrzyła na mnie.

- Szanowanie. Żem se złapał szkopa - oznajmił Burt. - Zawszeć to jakaś odmiana od dorsza.

Jeniec siedział w jadalni w Tyneford. Otarł ranę na czole i zwymiotował do kubła, który pani Ellsworth postawiła mu przy butach. Twarz miał czarną od sadzy, oczy nabiegłe krwią i wściekle. W brązowej skórzanej kurtce z nazistowskim emblematem wyglądał absurdalnie niestosownie w tym typowo angielskim otoczeniu. Pasterze i pasterki od Wedgewooda łypali nań z jawną dezaprobatą z gzymsu kominka i dziwiłam się, że żmija i sokół walczące ze sobą na zakurzonej herbie nie przerwały swych zmagania i nie rzuciły się na niego z furją. Burt stał w drzwiach i nadal ścisnął w rękę widły, Poppy rozpląszczyła się na ścianie z rękoma złożonymi na plecach. Tylko pan Rivers zachowywał się zupełnie swobodnie, nie bardziej wytracony z równowagi koniecznością podejmowania nieprzyjacielskiego żołnierza niż wizytą nużącego obiadowego gościa. Siedział naprzeciwko pilota na jednym z krzeseł i z wprawą wyjmował naboje z niemieckiego rewolweru.

- Tak jest chyba bezpieczniej, co? - powiedział.

Tamten zmierzył go spojrzeniem pełnym nienawiści, a potem pochylił się i ponownie zwymiotował. Pan Rivers dobył z kieszeni papierośnicę Kita i wyciągnął w jego stronę. Niemiec wziął jednego papierosa i bez słowa podziękowania pozwolił, by pan Rivers mu go zapalił.

- Obawiam się, że będzie pan musiał zabawić tutaj godzinkę lub dwie, dopóki nie przyślą po pana żołnierzy - oznajmił pan Rivers. - Zapewnimy panu wszystkie wygody. Nikt pana nie skrzywdzi. A kiedy się pan lepiej poczuje, dostanie coś do jedzenia.

Mężczyzna tylko zaciągał się w milczeniu papierosem.

- Alice? - powiedział pan Rivers. - Będziesz tłumaczyć? Na wypadek gdyby brakowało mu znajomości języka, a nie manier.

Podeszłam, położyłam rękę na oparciu jego krzesła i powiedziałam po niemiecku.

- Herr pilot, przyjdzie po pana ktoś z armii. Do tego czasu musi pan tu zostać. Będzie pan traktowany z szacunkiem.

Niemiec się wyprostował i popatrzył na mnie zdumiony.

- Pani jest Austriaczką.

- Tak. Urodziłam się w Austrii.

Dalej się na mnie gapił, najwyraźniej nie dowierzając własnym uszom. Dotknął rany na czole, jakby nie był pewien, czy nie jestem wywołanym uderzeniem majakiem. Chrząknął, oblizał spieczone wargi i przebiegł oczyma po pokoju, przelotnie nadziejąc się na chłodne spojrzenie pana Riversa. Najwyraźniej zadowolony, że jednak nie śni, znowu skupił uwagę na mnie.

- Gdzie w Austrii, Fraulein? Ja jestem z Tyrolu.

Mimo woli się uśmiechnęłam. W najśmielszych fantazjach, które zdarzało mi się snuć na temat spotkania z niemieckimi

jeńcami, nie wyobrażałam sobie, że będę z którymś prowadzić towarzyską pogawędkę. Wahałam się, czy odpowiedzieć. Westchnęłam cicho.

- W Wiedniu. Urodziłam się w Wiedniu. Popatrzył niewidzącym wzrokiem przez okno.

- Najcudowniejszym mieście na świecie. Niebiańsko pięknym.

- Tak - zgodziłam się, mierząc go wzrokiem.

Ten człowiek, który spadł z nieba, był nazistą, ale mówił moim ojczystym językiem. Rozumiał Wiedeń. Nienawidziłam go, a jednak coś nas łączyło. Przez chwilę poraziła mnie tęsknota za domem. Zapragnęłam nagle, by wojsko nie spieszyło się z przyjazdem, tak bym mogła spędzić wieczór, rozmawiając z nim o Cafe Sperl i koncertach w Parku Belwederskim albo o tym, które ciasto jest smaczniejsze: czekoladowe u Sachera czy *linzertorte* podawany w hotelu Bristol. Był moim krajanem, na swój sposób mi bliższym, niż pan Rivers, pani Ellsworth, Poppy czy Burt mogliby kiedykolwiek się stać. Ale spalił także książki mojego ojca na bruku, kazał mi zmywać psie fekalia z chodnika, zmusił Annę i Juliana do opuszczenia pięknego mieszkania na Dorotheegasse i sprzedaży fortepianu, i... zamrugałam.

Pan Rivers popatrywał to na mnie, to na lotnika, ale milczał. Jego niemiecki był całkiem znośny, wiedziałam jednak, że mówiliśmy zbyt szybko, by mógł nas w pełni zrozumieć.

- O, nie ma to jak tyrolskie góry. Śnieg zimą. Fiołki latem -powiedział pilot, strzepując popiół z papierosa na dywan. - Podejrzewam, że minie trochę czasu, zanim je zobaczę.

- Tak.

Odpowiedziałam po angielsku, niepewna czy nie próbuje wziąć mnie na litość, ale jego twarz była pusta, i zrozumiałam, że tylko myślał na głos. Miał rudawozłote włosy, zadarty nos

i zielononiebieskie oczy. Krew na czole zaczynała już krzepnąć i wydawało mi się, że mignął mi w ranie kawałek białej kości. Poczułam mdłości i przełknęłam ślinę. Przykładał sobie bez przekonania kompres, który zrobił się już brązowoczerwony. Niewiele myśląc, podeszłam bliżej i sięgnęłam po opatrunek. Ale nagle stanęłam jak wryta i wsadziłam rękę do kieszeni. Nie dotknę tego człowieka. Cofnęłam się ze wstrętem na myśl o jego bliskości i stanęłam za krzesłem pana Riversa.

Pilot przyglądał mi się badawczo, zaintrygowany moją ewidentną odrazą. Czułam, jak bije się z myślami i - teraz, gdy pierwsze otumanienie szokiem i bólem już minęło, zastanawia się, dlaczego Austriaczka mieszka w angielskiej rezydencji. Wiedziałam, że lada chwila zgadnie. Rozumował logicznie i najpierw wyeliminował inne możliwości. Przyjrzał się mojej lewej dłoni w poszukiwaniu obrączki.

- Fraulein?

Nie odpowiedziałam. Nie zamierzałam mu pomagać.

- On jest pani mężem? - Wskazał na pana Riversa. Zaczerwieniłam się i zaprzeczyłam.

Skinął nieznacznie głową, zadowolony. W takim razie był tylko jeden powód mojej tu obecności. Słyszałam niemal, jak formułuje go myślach. Żydówka. „Żyje tu na wygnaniu, bo jest Żydówką”. Usłyszałam tę konstatację tak głośno, jakby ją wykrzyczał. Byłoby lepiej, gdyby to zrobił. Jego milczące potępienie doprowadziło mnie do szewskiej pasji. Jak śmie? To on jest zdrajcą. To on gonił mnie przez pola jak zaszczutego królika. To on uciszył śpiew mojej matki i nie pozwolił jej pisać listów, to on trzymał moją siostrę z daleka ode mnie, za morzem, i zamknął mojego ojca we wnętrzu altówki. To on ścigał mnie przez całą tę drogę z Austrii aż tutaj, potem po zielonych angielskich wzgórzach, a teraz siedzi tu i ze mnie szydzi. W jego milczeniu czu-

łam nienawiść. Nic nie mówił, więc słyszałam wszystko. Znowu przeszłam przez pokój, jednak tym razem już nie wzdragałam się go dotknąć. Wzięłam zamach i z całej siły uderzyłam go w twarz. Poczułam, jak coś trzasnęło mu w szczękę i ramię mnie zabolowało, ale byłam zadowolona. Przyłożył rękę do policzka, smużka czerwieni wykwitła w miejscu, gdzie paznokieć mojego kciuka wbił mu się w skórę. Nikt się nie odezwał. Ani pan Rivers. Ani Poppy. Ani Burt. Pilot popatrzył na mnie zaskoczony.

- Strzelałeś do mnie. - wrzasnęłam. - Ty! Pokręcił głową.
- Nie, Fraulein. Nie strzelałem do pani.
- To byłeś ty. Wiem, że to ty.

Trzęsłam się z gniewu, a może ze strachu, nie miałam pojęcia ani ochoty łamać sobie tym głowy. Pan Rivers chwycił mnie za nadgarstki, by uspokoić, ale go odepchnęłam. Miałam prawo do chwili furii. Pod paznokciem zobaczyłam krew. Należała do nazisty, a wyglądała jak każda inna. Wyobrażałam sobie wcześniej, że oni krwawią na czarno jak czarownice. Nagle moja własna krew zawrzała i włoski na ramieniu stanęły mi dęba. Przed oczyma zobaczyłam obraz lisa skradającego się nocą z najeżoną sierścią i wiedziałam, że moje dzikie ja chce zabić tego człowieka. Chce gryźć, szarpać, drapać, ranić i zadawać ból większy niż małe draśnięcie paznokciem.

Wyszłam z pokoju i trzasnęłam drzwiami. Oparłam się o nie i przez sekundę słuchałam walenia własnego serca i ściszonych głosów po drugiej stronie.

Potem leżałam w półmroku facjatki, tuląc zniszczony futerał z altówką, i nie ruszyłam się, dopóki nie rozległ się chrzęst opon na żwirowym podejździe, tupot butów na kamiennych płytach, a potem warkot silnika, kiedy wojskowa ciężarówka ruszyła, i wiedziałam, że zniknął razem z nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Uprasza się o niepalenie w sypialniach

Ochotniczki ze Służby Pomocniczej Lotnictwa Brytyjskiego przybyły w marcu razem z roztopami. Pojawiły się, gdy na wzgórzach złotymi chmurami wybuchały mlecze, a przenikliwy wiosenny wiatr niósł zapach zieleni. Obserwowałam z okna sypialni, jak tarabanią się podjazdem w błysku walizek, wełnianych pończoch i ust wymalowanych czerwoną szminką od Woolwortha. Trajkotały, paliły papierosy i wypełniły hol nietłumionym śmiechem i ukradkową szeptaniną. Zeszłam na dół, by je powitać, poczułam woń „Ashes of Roses” mieszającą się z tanimi fiołkowymi perfumami i się uśmiechnęłam. Za długo pozwalaliśmy, by otumaniała nas rozpacz, sparaliżowani chłodem zimy i nieszczęściem. Dom potrzebował tych dziewcząt z ich romansami, wymalowanymi ołówkiem brwiami i radosnym zgiełkiem. Uciszyły się na mój widok. Każdej uścisnęłam dłoń.

- Witam, jestem Alice Land. Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, poproście mnie albo panią Ellsworth.

Ochmistrzyni zaszyła się w kuchni, rozsierdzona faktem, że wojna zmusza nas do przyjęcia większej liczby gości, niż miałyśmy sypialni, ale wiedziałam, że złość jej przejdzie w obliczu tego radosnego świergotu. Dziewcząt było piętnaście, musiałam upchnąć po cztery w każdym pokoju gościnnym i, po raz pierwszy odkąd przyjechałam do Tyneford, wszystkie służbówki się

zapełniły. Z jednym wyjątkiem: mojej małej facjatki. Kiedy poszłam zmienić pościel na łóżku i przewietrzyć pokój, uświadomiłam sobie, że nie zniósłabym, żeby spał tam ktoś obcy. Poza tym w zimnym domu ochotniczki pewnie i tak wolałyby spać razem. Wiosna zawsze nadchodziła do Tyneford spóźniona i pomimo że kwiaty obsypały już żywopłoty jak pierze, przez szpary w zaprawie zawodził wiatr, a polana bez pomocy węgla, który podsyciłby ich ogień, po zmroku szybko przygasła. Warstewka szronu pokrywała wnętrza okien w większość poranków. Poprowadziłam dziewczęta na górę, ciesząc się ich jazgotem i tupotem nóg. Kiedy wprowadziłam kilka ostatnich do dawnej sypialni Kita, usłyszałam za plecami szepty i chichot. Jedna z ochotniczek imieniem Maureen wzięła do ręki fotografię stojącą na toalecie.

- Przystojniak - powiedziała na widok podobizny Kita. - Kiedy przyjedzie do domu na przepustkę?

- Założę się, że w mundurze dopiero jest z niego adonis - rzuciła Sandra, korpulentna dziewczyna o brązowych oczach i mysich włosach poskręcanych trwałą.

Z trudem opanowałam chęć wyrwania im zdjęcia z rąk.

- Już nie wróci. I jeśli pan Rivers będzie dla was trochę szorstki, to właśnie dlatego.

Trajkot na chwilę ucichł, a Maureen odstawiła fotografię. Z ust wyrwało jej się ciche westchnienie, w którym pobrzmiwał zawód.

- Wielka szkoda - wymruczała Sandra, niepocieszona, że taki przystojny młodzieniec się zmarnował, a jej przeszedł koło nosa nie lada romans.

- Tak. Wszystkie kobiety podkochały się w Kicie. - Uśmiechnęłam się, bo nie dało się ukryć, że nadal to robią. - Będzie wam tu trochę ciasno, ale na pewno dacie sobie radę. Kolację poda-

jemy w kuchni o dziewiętnastej. Proszę, nie spóźnijcie się. Jeśli przekażecie mi swoje książeczki z kartkami żywnościowymi, pani Ellsworth się nimi zajmie.

Z żołnierską karnością podały mi beżowe kajeciki, a potem te z nich, które nie musiały się szykować na służbę, rozciągnęły się na podwójnym łóżku i niskich połówkach porozstawianych na podłodze.

- I muszę prosić, żebyście nie paliły w sypialniach. Obiecały mi bardzo grzecznie, że nawet im to nie przejdzie

przez głowę, i ruszyłam do wyjścia. Przystanąłam przy drzwiach i przez chwilę patrzyłam, jak wśród entuzjastycznych popiskiwań zabierają się do robienia makijażu albo kartkują stare egzemplarze „Vogue'a” Diany oraz „Womans Own”. Przypomniało mi się, jak w Wiedniu podobnie popiskiwałyśmy z Margot, szykując się na przyjęcie, a ja spoglądałam na nią z zawiścią, gdy wkładała cudowną koronkową bieliznę albo robione na zamówienie szpilki Anny lub inne części garderoby, w które ja w życiu bym się nie wcisnęła. Wymknęłam się z sypialni, zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam na dół. Kiedy zapinałam płaszcz, żeby udać się na farmę, w korytarzu pojawił się pan Wrexham z dużą brązową paczką w dłoniach.

- Przyszła w porannej poczcie. Zdaje się, że z Ameryki, miss Land - oznajmił z takim zachwytem, jakby sam ją przytaszczył z Kalifornii.

Otworzyłam przesyłkę i zobaczyłam duże kartonowe pudełko, wypełnione podarunkami, zawiniętymi starannie w pocięte gazety. Wyjęłam dużą tabliczkę czekolady mlecznej Hersheya. Do sreberka przyczepiony był list. Rozerwałam kopertę.

Kochana Fasolko!

Mam nadzieję, że otrzymasz tę paczkę. Tu wszystkie gazety piszą o tym jaka straszna sytuacja panuje w Anglii. Nasi dziennikarze twierdzą, że przymieracie głodem na ulicach, nie macie pończoch i nic do jedzenia oprócz rzodkwi i ziemniaków i, o zgrozo - nic do słuchania! Mam nadzieję, że spodoba Ci się płyty (jeśli się nie połamię w drodze). Wspominałaś, dam sobie rękę uciąć, że pan Rivers ma gramofon. Wszyscy tutaj oszaleli na punkcie tej muzyki, tańczą do niej młodzi i starzy też (nie sposób się jej oprzeć), a nazywa się jitterbug. Nie jest to wprawdzie Dworzak Mozart ani Strauss ale wiesz co - ma swój urok. A pamiętasz małego Janka Tibora? Przyjechał tu do Ameryki i został dyrygentem. Wyrabia sobie powoli nazwisko. Wysłałam Ci jego pierwsze nagranie - zawsze się w Tobie kochał, ucieszyłby się że tego posłuchasz.

I sama nie wiedziałam czy to wysłać czy nie ale znalazłam tu w antykwariacie muzycznym jedną z płyt Anny. Trwiątę w wykonaniu orkiestry Filharmonii Wiedeńskiej.

Pogrzebałam w pudełku i wyciągnęłam kilka krążków. W prostej kartonowej koszulce tkwiła płyta Anny. Nie mogłam jej posłuchać, tak jak nie mogłam przeczytać powieści w altówce, ale cieszyłam się, że Margot ją przysłała. Któregoś dnia ją włączę. Nagle za moimi plecami rozległy się podekscytowane głosy. Odwróciłam się i zobaczyłam pół tuzina ochotniczek: wszystkie były w mundurach, gotowe do służby.

- O! Płyty! Z Ameryki! - Sandra aż podskoczyła na widok paczki na stole.

- Mogę? - spytała Maureen, sięgając do pudełka.

- Oczywiście. - Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam płytę.
- Glenn Miller, Billie Holiday i, o matko, ta jest połamana. Wzięłam od niej dwa kawałki czarnego krążka i złożyłam razem w miejscu pęknięcia, jakbym chciała odczytać napis:
- Moja siostra i ja.
- Nieważne - rzuciła Sandra. - I tak najbardziej chcę posłuchać orkiestry Tommyego Dorsey'a z Frankiem Sinatrą. I patrzcie, ta jest nienaruszona.
Pokazała mi inną płytę.
- A może mogłybyśmy urządzić sobie tutaj tańce? - spytała jedna z dziewcząt.
- O tak, prosimy - włączyły się Maureen z Sandrą z twarzami rozświetlonymi nadzieją.
Zawahałam się i popatrzyłam na pana Wrexhama. Oboje zastanawialiśmy się, co by na to powiedział pan Rivers. Rozległ się okrzyk zachwytu, a potem w grupce zapanowała pełna respektu cisza, gdy Sandra wyciągnęła małą kartonową tubkę z pudełka.
- Elizabeth Arden - wyszeptała nabożnym tonem. - Wiśniowy karmazyn.
- Od dwóch lat nie do dostania w Anglii - wymruczała Maureen i przez jedną potworną chwilę myślałam, że się rozpłaczę.
- No, nie ma wyjścia. - Sandra świdrowała mnie stanowczym spojrzeniem. - Teraz to już po prostu musisz wydać przyjęcie.
Ochotniczki ze służby pomocniczej miały rację - powinniśmy urządzić tańce. W ten jeden poranek od chwili ich przybycia mieliśmy tu więcej śmiechu i radości niż przez całą zimę. Wiedziałam, że pan Rivers będzie z początku gderał, ale dobrze mu to zrobi. No i te wszystkie wspaniałości z paczki naprawdę nale-

zało jakoś uczcić. Margot przysłała mi nawet cztery pary nylonowych pończoch i nowy komplet jedwabnej bielizny, wszystko zapakowane w kremową bibułę - niemal równie cenną jak dobra, które chroniła. Papier pakowy był teraz na wagę złota i nie do dostania, nawet w najdroższych sklepach. W zeszłym miesiącu pani Ellsworth wracała z Wareham autobusem, trzymając dwa wędzone śledzie za ogon, bo zapomniała zabrać z domu gazetę do ich zapakowania.

Doczytałam do końca list Margot i prawie nauczyłam się go na pamięć, zanim wysłałam posprzątać w kurniku. Kiedy rozsypywałam świeżą słomę dokoła gdaczących bantamek, odtwarzałam w myślach poszczególne ustępy.

Muzyka pozwala łatwiej znieść niepokój o Annę i Juliana. Wyobrażam sobie, że gram dla nich. Że wszyscy siedzicie w pierwszym rzędzie jakiejś sali koncertowej tu w Kalifornii albo że znowu jesteśmy u Frau Finkelstein, ja daję recital, a Wy gnieździecie się na jednej z jej wyściełanych różowych sof. Siedzą tam też cioteczne babki i niby się krzywią, że występuję publicznie, ale kiedy kończę Schuberta, zerkam na Gretę i widzę, jak ukradkiem ociera łzę z długiego nosa. Wszystko co gram, gram z myślą o Annie i Julianie. Wiem, że to bzdura ale wyobrażam sobie że jakoś mnie słyszają nawet jeśli tylko w swoich snach. Nadejdzie dzień kiedy zagram dla Was w wielkiej sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia. Gdy Anglicy wygrają wojnę i wrócimy do Austrii wystąpię w Operze Wiedeńskiej. Będziecie siedzieć w loży, Anna w futrze z polarnych lisów, piękna jak zawsze, Julian siwowłosy i przystojny, a Ty, Elise, zainicjujesz owację na stojąco! Będzie wspaniale a już po wszystkim pójdziemy do Sachera na obiad i ani Ty ani Anna nie będziecie mi

wypominać w których miejscach skiksowałam. Póki co, za całą publiczność robi mi Wolfe. Siada przy mnie kiedy gram - jeśli choć na chwilę zamykam go na zewnątrz skowycza i wali w drzwi nosem dopóki go nie wpuszczę. Pewnie dlatego, że nazwałam go na cześć Mozarta. Nie wierzę, że wszystkie goldeny po prostu kochają muzykę.

Nuciłam urywki *Czarodziejskiego fletu* kogutowi i myślałam, jak to będzie wrócić do Wiednia. Cieszyłam się, że gra na altówce przynosi ulgę Margot. Ja obnosiłam swój niepokój niczym stary wełniany pulower, drapał mnie i drażnił, ale i tak go przywdziewałam co rano, niemal znajdując pociechę w jego swojskości. Z całych sił próbowałam wyobrazić sobie, że któregoś dnia zniknie, ale nie potrafiłam.

Jednak to ostatnie linijki listu słyszałam w kółko w głowie. Staralam się o nich zapomnieć, zająć myśli czymś innym, czymkolwiek, jednak na próżno: dźwięczały mi w uszach niczym daleki głos w głośniku radia.

Odpisz szybko, kochanie. I ucałuj ode mnie swojego pana Riversa.

Ucałuj swojego pana Riversa... swojego pana Riversa. Też coś. Margot grubo się myliła. Nie był moim panem Riversem. Był niczyj. Ani mi się śniło całować go od niej, tak jak się całuje ojca. Ale ona nie miała na myśli ojca.

Kiedy nakarmiłam kury, powlokłam się tonącą w błocie ścieżką do zagrody z owcami. Tryki pokryły maciorki zimą i spodziewaliśmy się pierwszych jagniątek na początku kwietnia. Na położonych wyżej terenach zacienione miejsca przykrywała jeszcze szreń, kępki pierwiosnków leżały na wpół zagrzebane pod śniegiem. Ruszyłam pospiesznie z boczem, zadowolona, że mam na sobie nowe spodnie. Pani Ellsworth uszyła je dla mnie do pracy na dworze i okazały się o niebo praktyczniejsze od spódnic czy sukienek. Za materiał posłużyły stare żeglarskie spodnie Kita, za podszewkę jedna z jego jedwabnych koszul.

Ochmistrzyni przestała w końcu narzekać na mój rzekomy brak sentymentów i przyswoiła sobie wojenną filozofię zapychania dziur czym się da, stosując ją teraz z religijną niemal żarliwością. Każdego ranka bez wyjątku słuchała audycji *Kuchenny front* i przez dwa tygodnie upierała się przy mieleniu skorupki jaj, żeby uzyskany w ten sposób grys dawać kurom do dziobania, dopóki nie wytłumaczyłam jej, że na wsi nie brak ani piasku, ani grysu.

Kiedy dotarłam na szczyt wzgórza, pan Rivers pakował już siano do paśników. Dokoła kłębiły się owce: beczały, skrobały zmarznięty grunt i skubały siano. Maciorki ruszały się z trudem, postępując pod ciężarem wielkich brzuchów. Pan Rivers obrzucił je krytycznym spojrzeniem.

- Już niedługo - stwierdził.

- Na to wygląda.

- Góra miesiąc. Może ciut szybciej w przypadku dorsetańskich czystej krwi.

Pokazał zgarbiony kształt na wzgórzu.

- Jedną straciliśmy w nocy. Cholerne psy. Pewnie z obozu wojskowego. Coś je musiało przestraszyć, bo inaczej zmarnowałyby całe stado. Cholerne szczęście. Wygląda na to, że reszta dziewczynek jest cała. No, ale tamta miała trojaczki. Zbrodnicze marnotrawstwo.

Jedna z jarek skubała mi palce, domagając się soli. Odepchnęłam ją i zaczęłam napęniać lizawkę. Staralam się nie patrzeć na pokiereszowany zewłok dwadzieścia metrów dalej.

- Dostałaś paczkę od siostry?

Skinęłam głową.

- Tak. I list.

- Jakież ważne wieści?

- Niespecjalnie. Pisze o tym i o owym. I przesyła panu... -Urwałam, szukając odpowiedniego określenia. Wyrazy szacunku? Zdecydowanie zbyt chłodne. Najlepsze pozdrowienia? Fatalna angielszczyzna. Może jednak powinnam go od niej ucałować? Margot była w takich sprawach nieźrównana. Pocałunek, któryby złożyła, stanowiłby doskonałą mieszankę czułości i siostrzanej wdzięczności.

Uświadomiłam sobie, że spiekłam raka, a pan Rivers przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Tak. Margot przesyła ci... wszystkiego najlepszego.

- Pozdrów ją ode mnie serdecznie, kiedy będziesz odpisywała.

Serdeczne pozdrowienia. Oczywiście, to było właściwe wyrażenie.

- Tak. Pozdrowię - zapewniłam, ale w duchu myślałam, że jeśli kiedykolwiek odważę się pocałować pana Riversa, zrobię to we własnym imieniu, nie siostry. Chwyciłam pojemnik z solą i odwróciłam się, żeby nie widział mojej twarzy.

- Art zdobył trochę farby. Jeszcze dziś rano wezmę się do obory - ciągnął, pomagając mi wysypywać kryształki soli.

- Przyłączę się, gdy tylko obejrzę ogrodzenie, żeby sprawdzić, którądy ten pies się dostał. Może przejdę się jeszcze do obozu, pogadam.

Skinął krótko głową, potem wsadził mi końce szalika pod płaszcz, strzepnął pojedyncze ziarenka soli z kłapy i moich policzków. Poczułam szorstki dotyk jego palców na skórze.

- No, proszę - rzucił z uśmiechem, zadowolony.

Przez ostatnich kilka miesięcy wypracowaliśmy sobie spokojną rutynę, pracując zgodnie ramię przy ramieniu. Nie mieliśmy językami jak ochotniczki ze służby pomocniczej ani nawet nie rozmawialiśmy, tak jak kiedyś ja z Kitem. W rzeczywistości przez większość czasu milczeliśmy, ale lubiłam jego towarzystwo. Bardziej niż swoje. Ruszył w dół zbocza.

- Wracaj szybko - zawołał. - Przyda mi się pomoc. I nie daj się oszwabić tym gałganom w mundurach.

Roześmiałam się.

- Nie martw się. Nie dam sobie w kaszę dmuchać. A, Danielu, uważam, że powinniśmy zorganizować tańce. Dla dziewcząt ze służby pomocniczej. Nudzą się tu jak mopsy. Zaproszę też kilku „gałganów w mundurach”.

Pan Rivers się uśmiechnął.

- Co tylko zechcesz, Alice.

Tego popołudnia byłam z siebie bardzo zadowolona. Oficerowie z obozu w Lulcombe z zachwytem przyjęli zaproszenie na potańcówkę w przyszłym tygodniu. Obiecali także znaleźć winnego psa i go zastrzelić. Za grosz nie żałowałam skazanego na śmierć zwierzęcia, nie po tym, jak widziałam rozszarpaną owcę: mięso było wystarczająco deficytowym towarem bez takiego bezsensownego marnotrawstwa. Potem ruszyłam do domu, żeby jak zwykle zabrać lunch dla siebie i pana Riversa. Wiatr przybrał na sile, mleczce trzęsły się pod lipami w alei, kolczasty drut ogrodzenia wyśpiewywał tęskną melodię, a mnie skóra poczerwieniała od zimna i cieszyłam się na myśl, że się ogrzeję przy kuchennym piecu przez chwilę, zanim wyruszę z powrotem na smagane wiatrem wzgórze. Przystanęłam w korytarzu, żeby ściągnąć rękawiczki, i zauważyłam, że jedna z ochotniczek

stoi na dolnym stopniu schodów i mnie obserwuje. Ponieważ nie widziałam jej wśród dziewcząt przybyłych tego ranka zwróciłam się do niej z przyjaznym uśmiechem, wyciągając rękę.

- Witam. Alice Land - przedstawiłam się.

- Tak, znam cię.

W jednej chwili opuściłam dłoń.

- Juno.

- Zgadza się. Nie spodziewam się, żebyś skakała z radości na mój widok.

Nie odpowiedziałam. Wyglądała dobrze w eleganckim zielonym mundurze, ze złotoblond lokami wsuniętymi pod czapkę. Gardziłam nią: elegancką, swobodną i wyniosłą. Jednak po chwili z rozmysłem zeszła ze stopnia. Ponieważ była o dobrych kilkanaście centymetrów niższa ode mnie, musiała zadrzeć głowę, żeby na mnie spojrzeć.

- Przykro mi - powiedziała. - Strasznie ci współczuję z powodu Kita. To okropne. Nie wiem, jak to wytrzymujesz.

- Dziękuję.

Patrzyła na mnie fiołkowymi oczyma, odrobinę łagodniejszymi od oczu siostry, i zobaczyłam, że są mokre.

- Nie potrzebuję twoich łez.

- O, nie są dla ciebie - powiedziała. - To, że go zdobyłaś, nie znaczy jeszcze, że reszcie z nas na nim nie zależało.

Ta opryskliwa przygana spowodowała, że trochę mniej jej nie lubiłam.

- Tak. Masz rację. Przepraszam.

- Nie. Nie przepraszaj. - Usiadła na stopniu. - Po jego śmierci wstąpiłam do służby pomocniczej. Czułam się beznadziejnie, siedząc w domu i wysłuchując biadoleń Diany, że ma za mało cukru do herbaty.

Prychnęłam.

- O tak. Wyobrażam sobie, że już lepiej było się zaciągnąć. Ku mojemu zaskoczeniu Juno się roześmiała.

- Nie jestem taka jak ona. Ale wiem, że mogłaś odnieść takie wrażenie. Diana to wydra, potrafi dojeść każdemu.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do holu wpadła grupka ochotniczek i ją obskoczyła.

- Chodź na górę i zobacz, gdzie śpimy. To bajecznie stary dom.

Patrzyłam, jak ciągną ją ze sobą. Nie dała po sobie poznać, że była już w Tyneford, i pozwalała innym dziewczętom upajać się przyjemnością oprowadzania nowo przybyłej. Co jakiś czas wydawała stosowne pomruki zachwytu.

- Niestety wszystkie dobre łóżka są już zajęte, więc będziesz musiała spać na dostawce - poinformowała ją czarnowłosa dziewczyna.

Ku mojemu zdumieniu, przyjęła tę wieść bez słowa skargi.

Po tygodniu zapomniałam niemal, że znałam Juno wcześniej. Wojna ponownie odwróciła nasze role, a ona gładko zaadaptowała się do nowych zwyczajów w dworze. Minęły bite dwa dni, zanim pan Rivers ją rozpoznał, a kiedy już to się stało, nie silił się na galanterię.

- O, to ty - zauważył, wchodząc do kuchni któregoś wieczoru w roboczym ubraniu, kiedy dziewczęta jadły zapiekanekę z konserwy przy wielkim stole. Bateria widelców powędrowała w dół, piętnaście par oczu w jego stronę. Nie przejął się i dalej patrzył na Juno z marsową miną. - Tylko nie sprowadzaj ciotki do dworu. Bo znowu ją skrzyczę.

Juno potrząsnęła lokami.

- Nie ma obawy, panie Rivers. Nie wie, że tu jestem.

Wierzyłam jej. Podejrzewałam nawet, że reszta ochotniczek nie ma pojęcia, że ten wspaniały zamek na wzgórzu należy do jej rodziny. Nie dalej jak dzień wcześniej słyszałam, jak mówi Sandrze, że musi iść do „wuce” zamiast do „kio”. Zdarzało mi się od czasu do czasu powątpiewać w wynik wojny, ale z całkowitą pewnością wiedziałam, że sposób określania ubikacji jest najważniejszą oznaką przynależności klasowej Brytyjek. Dotarło do mnie, że Juno pragnie zrzucić z siebie ciężar arystokratycznego pochodzenia i udaje plebejkę.

W sobotę razem z Poppy pomogła mi i pani Ellsworth przygotować dom na potańcówkę. Przesunęliśmy meble pod ściany, a co delikatniejsze krzesła wyniosliśmy do pokoju śniadaniowego. Juno owinęła netsuke i porcelanowe dzwoneczki w szmatki. Poppy nastawiła gramofon, niby z zamiarem „wprowadzenia nas w nastrój zabawy”, ale tak naprawdę po to, byśmy nie musiały rozmawiać. Wszystkie pamiętałyśmy ostatnie przyjęcie, jakie odbyło się w tych murach, a żadna z nas nie chciała o nim mówić, więc słuchałyśmy słodkich jak miód pieśni Cole'a Por-tera. Poppy gryzła swoje czerwone warkocze, a Juno pociągała nosem. Wiedziałam, że lada chwila ktoś się rozplacze. Przewróciłam oczyma.

- Dosyć. Wystarczy tego rozczulania się. Upijmy się - zarządziłam.

Podeszłam do Juno, wyjęłam jej z rąk srebrny dzwonek i potrząsnęłam nim z zapalem. Po kilku chwilach pojawił się stary kamerdyner. Prawie już na niego nie dzwoniliśmy i najwyraźniej teraz go zaskoczyłam, bo wprawdzie wyraz twarzy miał jak zawsze nieprzenikniony, ale na nosie maleńką smugę pasty.

- Wrexham. Mógłbyś nam przynieść butelkę... sama nie wiem. Na co macie ochotę?

- Gin z sokiem pomarańczowym? - zaproponowała Juno.

- Nie - zaproponowałam stanowczo. - Wiem, że starasz się dostosować do reszty koleżanek i zostać socjalistką czy kim tam, ale to nie jest pub. Poza tym nie mamy soku pomarańczowego. Nawet butelkowanego.

- Różowy gin - rzuciła Poppy.

- O. Świetny pomysł. Trzy koktajlówki, proszę.

- Nie ma lodu, panienko - powiedział Wrexham.

- Wiem. Nieważne. Mamy zamiar się zalać.

- Wedle życzenia, panienko - odpowiedział kamerdyner i wyszedł.

Pół godziny później zaśmiewaliśmy się jak starzy kumple i po kolei tańczyliśmy w parach swinga dokoła krzeseł. Klaskałam i kołysałam się do rytmu, kiedy Juno z Poppy płaśły po wytartym perskim dywanie: pierwsza udawała mężczyznę, druga przytupywała z wprawą. Śmiałam się i je zagrzewałam, ale kiedy Poppy odchyliła się w ramionach Juno, z miną poważną jak u rabiego na pogrzebie, muzyka się nagle urwała. Obie się do mnie odwróciły.

- Włącz coś innego, szybko - zażądała Juno.

- Tylko romantycznego - domagała się Poppy.

- Dobrze, już dobrze.

Opróżniłam szklaneczkę i przerzuciłam resztę płyt.

- Ta. To musi być ta - oznajmiłam, umieszczając winyl na obrotowym talerzu i ustawiając igłę. - *Amapola* (Śliczny mały mak²).

Rozległy się trzaski, orkiestra Jimmy'ego Dorsey'a zaczęła wygrywać skoczną melodię, dziewczęta spojrzały po sobie i ruszyły do tanga. Oparłam się o ścianę, by zejść im z drogi, i chi-

² *Amapola* - z hiszp. „mak”, *Poppy* - z ang. „mak” (przyp. tłum.).

chotałam, gdy Juno podłapała prosty tekst i zaczęła go nucić Poppy: „Amapola, śliczny mały maczku... muszę skraść ci ten urokliwy czar”.

Ramiona trzęsły mi się ze śmiechu, a kiedy tempo się zmieniło i tango się skończyło, gromko je oklaskiwałam, by dalej tańczyły.

- Zmiana! - zawołała Poppy i teraz ona odgrywała mężczyznę.

Gdy na nie patrzyłam, chcąc nie chcąc, myślałam o skandalu, jaki w tym samym pokoju wywołaliśmy z Kitem naszym walcem. Smoking, który wtedy miałam na sobie, nadal wisiał nietknięty w jego szafie. To była jedyna rzecz, której za nic bym nie oddała w celu „zapychania dziur”. Juno pocałowała Poppy w policzek i z udawaną powagą owinęła sobie jej długie włosy dokoła nadgarstka. Żadnej matrony z towarzystwa nie zbulwersowałby widok tej pary: to były tylko pensjonarskie wygłupy. W Wiedniu sama uczyłam się tańczyć walca z Margot, cioteczne babki udzielały nam wskazówek, a Anna grała na pianinie, wznosiła oczy do nieba i zagryzała wargi, żeby nie wybuchać śmiechem za każdym razem, gdy deptałam siostrze po placach.

- Chyba odpłynęłaś gdzieś daleko myślami - usłyszałam nagle znajomy głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że pan Rivers stoi obok.

- Wygląda na to, że się świetnie bawią - powiedział z uśmiechem. - Może do nich dołączymy? No chyba, że puszczasz się w tany tylko z dziewczętami?

- Myślę, że mogę zrobić wyjątek.

Dałam mu się poprowadzić na wełniany dywan, który tworzył środek parkietu. Położył sobie moje ręce na szyi i zaczęliśmy podrygiwać do rytmu. Nigdy wcześniej z nim nie tańczyłam,

a ponieważ jakieś pół godziny wcześniej zrzuciłam pantofle, znowu mnie uderzyło, jak bardzo jest wysoki.

- Jeśli będziemy to jeszcze kiedyś razem robili, trzeba ci będzie znaleźć jakieś buty na wysokim obcasie - powiedział, opierając podbródek na czubku mojej głowy.

Był dobrym tancerzem i prowadził mnie pewnie z ręką na moim pasie. Niestety, zakreśliło mi się w głowie od alkoholu, potknęłam się o brzegu dywanu i zatoczyłam na niego.

- Myślałem, że wiedeński są w tym dobre - zakpił. Ściągnęłam brwi.

- Tak, no ale cóż. Za dużo ginu, a za mało praktyki. Płyta się skończyła i stanęliśmy na środku bawialni. Chciałam

odejść, ale mnie przytrzymał, nie pozwalając zabrać rąk z jego szyi. Bez muzyki to już nie był taniec, tylko uścisk. Opierałam się o niego, czując ciepło jego ciała i rytmiczne falowanie klatki piersiowej. Brodę porastał mu tylko cień zarostu i uświadomiłam sobie z ulgą, że znowu pozwala, by Wrexham go golił. Złożyłam policzek na jego piersi i popatrzyłam na Juno i Poppy. Stały przy gramofonie, oglądając płyty i udając, że nas nie widzą.

- Może teraz spróbujemy walca? - spytał. - Jestem staromodny.

- Nie - rzuciłam za szybko i oblałam się pasem. Swój ostatni walc tańczyłam z Kitem.

Na chwilę zaległa cisza. Pan Rivers popatrzył na mnie, ale nie potrafiłam orzec: ze złością czy tylko ze smutkiem.

- Puśćmy jeszcze którąś z tych amerykańskich płyt. Chcę spróbować tego jitterbuga - stwierdziła Poppy. - Nabrać trochę wprawy, zanim zwali się tu cała reszta.

Pan Rivers się skrzywił i tym razem, kiedy się odsunęłam, mnie nie przytrzymał.

- Nawet nie wiem, czym to się je - poskarżył się.

- To coś takiego jak swing, tylko bardziej wymyślny - wyjaśniła Juno. - Musimy spróbować. Jest bardzo nowoczesny.

- A pan nie może się wymigać, bo Juno nie da rady partnerować nam obu równocześnie. - Poppy wzięła się pod boki i spiorunowała go wzrokiem, bardzo podobnym do wzroku pani Ellsworth.

Pan Rivers zamienił ponurą minę na uśmiech. Pokręcił głową.

- Nie. Gdzieżbym śmiał. No to do dzieła.

Poppy naląła zdrowo ginu do mojej pustej szklanki, dodała odrobinę angostury i wręczyła całość panu Riversowi

- Chyba lepiej, żeby najpierw pan to wypił. Znacznie ułatwi sprawę - powiedziała.

Myślałam, że zaproponuje, ale tylko wzruszył ramionami i opróżnił całą szklaneczkę, jedynie lekko się wzdrygając. Zapomniałam już, ile potrafi wypić. Poppy ponownie napełniła naczynie. Znowu je osuszył.

- Teraz pan nawet nie zauważy, kiedy Elise pomyli krok i nastąpi panu na palce - powiedziała z aprobatą.

Pan Rivers pokręcił głową.

- Nie, ale ona może zauważyć, kiedy ja nastąpię na jej. - Odwrócił się do mnie. - Nie damy rady znaleźć ci jakichś butów?

- A dlaczego nie zdejmiesz swoich? - spytałam. - Wtedy nie będziesz taki potwornie wysoki.

Zawahał się, jakby rozważał stosowność prośby, potem usiadł na brzegu sofy i ściągnął półbuty, ukazując parę mocno pocerowanych szarych skarpet. Juno nakręciła gramofon i z głośnika popłynęła piosenka *Kurczak to tylko ptak*. Pan Rivers patrzył na dziewczęta przez chwilę, a potem pociągnął mnie do swinga.

Obracał mnie raz po raz, a ja przebierałam nogami i wystukiwałam rytm, śmiejąc się, piszcząc i starając nie zderzyć z Poppy i Juno. Kręciliśmy się, podrygiwaliśmy, ja chichotałam i sunęłam po wyfroterowanym parkiecie w pończochach, a Cab Calloway śpiewał w kacie „kurczak to ptak co ma ogromne wzięcie/można go dusić, smażyć, piec na pręcie/ kłaść obok pyry, ryż lub bób/ /lecz koniec końców drób to drób”.

- O Boże - zawołała Poppy, zdyszana od tańca. - Poczulałam nieziemską ochotę na kurczaka. Nieważne jak przyrządzonego.

- Tak, mnie też pociekła ślinka. Nie mogę się skupić na tańcu. Myślę tylko o pieczonych skrzydełkach - poskarżyła się Juno.

Skrzywiłam się, rozcierając bolący bok.

- Margot naprawdę nie powinna wysyłać nam tej płyty, nie załączysz prawdziwego kurczaka. Choć jeden z naszych kogutów chyba ostatnio marnie się czuje. Jeśli mu się pogorszy. ..

Pan Rivers chwycił mnie za rękę i znowu mną obrócił. Twarz mu błyszczała od alkoholu i ruchu i zobaczyłam, że jest szczęśliwy. Nie chciałam, żeby płyta się skończyła. Chciałam, żeby wirowała i wirowała, odtwarzając piosenki, nawet te najgłupsze, i żeby pan Rivers dalej się uśmiechał. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio był taki wesoły. Ruszyłam tanecznym krokiem w stronę gramofonu, ciągnąc go za sobą, aż w końcu zaproponował:

- Kto tu kogo prowadzi? - i próbował odciągnąć mnie na drugą stronę pokoju, obracając i obracając, aż zakreśliło mi się w głowie, kolory zaczęły się rozmazywać, a w oczach stanęły świece.

- Nie. Muzyka musi grać! - wrzasnęłam z nutą desperacji w głosie i sięgnęłam po rączkę gramofonu.

Wiedziałam, że jeśli płyta się zatrzyma, czar pryśnie i zno-

wu staniemy się po dawnemu posepni. Dopóki gra muzyka, pan Rivers będzie szczęśliwy i nie będziemy myśleć, tylko śmiać się i tańczyć.

Leżałam w łóżku, nucąc Colea Portera, Verę Lynn i Tommy ego Dorsey'a. Przyjęcie udało się wyśmienicie. Nawet Wrexham zaczął przytupywać, kręcąc się po korytarzu i pilnując stołu z przekąskami przed wygłodniałymi palcami zaczerwienionych tancerzy. Uśmiechał się, kiedy rzucał z przyganą „mogę służyć pomocą” do Maureen czy Sandry, gdy sięgały palcami po jabłka w cieście z konserwy. Tańczyłam przez cały wieczór, ponieważ okazało się, że panów jest więcej niż pań. Zamierzałam wcześniej zachowywać się jak dorosła i pełnić wobec ochotniczek rolę swego rodzaju przyzwoitki, ale gin i śmiech sprawiły, że na śmierć zapomniałam o postanowieniu. Wydawało się niegrzecznością odmawiać stęsknionym tańca młodzieńcom, którzy przepychali się do mnie w kolejce. Dziewcząt było tak mało, że często nie zdążyłam dotańczyć jednej melodii do końca, a już zmieniałam partnera na środku parkietu. Nikomu to jednak nie przeszkadzało i salon oraz wyłożony boazerią hol rozbrzmiewały muzyką, krzykami „odbijany” i tupotem butów na parkiecie. Oczywiście nikt z nas nie wiedział, że to ostatni bal w Tyneford. Gdybyśmy mieli taką świadomość, pewnie tańczylibyśmy i śmiali się z mniejszym zapałem, ale nie mieliśmy i po całym domu niósł się wesoły stukot obcasów, twarze danserów jaśniały radością, a pokoje światłem.

Zatańczyłam tylko jeden taniec z panem Riversem tego wieczoru, ale wiedziałam, że mnie obserwuje, i cieszyłam się. Nie chciał tańczyć więcej, żeby nie pozbawiać żołnierzy partnerki, i tylko przechadzał się po parkiecie, roznosząc kieliszki i dole-

wając burgunda i porto, których większość gości nie miała w ustach od lat. Jednak cokolwiek robił - dyskutował o Churchillu z dowódcą, omawiał niedobór oficerek z podporucznikiem czy kręcił się przy kominku - wiedziałam, że szuka mnie wzrokiem wśród tańczących. Nietrudno było wyłowić mnie z tłumu: panowie tworzyli jedno wielkie morze khaki, większość ochotniczek także zdecydowała się włożyć eleganckie zielone mundury służby pomocniczej, więc siłą rzeczy w nowym różowym swetrze z kaszmiru i szkarłatnej szmince na ustach rzucałam się w oczy. Pulower leżał teraz starannie złożony na wiklinowym krześle w sypialni. W ten wieczór po raz pierwszy od wybuchu wojny i śmierci Kita poczułam się niemal szczęśliwa. Było to przelotne wrażenie i nawet kiedy się śmiałam, wiedziałam, że wkrótce minie. Ale podczas tych kilku godzin radosne chwile następowały jedna po drugiej jak paciorki na sznurku, tak że stworzyły coś na kształt szczęścia. Nie przyniosły zadowolenia ani spokoju, ale zawsze coś i z tego się cieszyłam.

Kiedy ostatni balowicze udali się do Lulcombe i wreszcie poszłam na górę, stałam przez chwilę na podeście i słuchałam, jak basowe kuranty zegara szafkowego wybijają północ, niosąc się echem po pustym teraz holu. Przypomniłam mi się inny zegar, ten, który rozbrzmiewał w naszym wiedeńskim mieszkaniu. Dołączył do mnie pan Rivers i staliśmy razem w milczeniu, dopóki ostatni gong nie wybrzmiał i słychać było już tylko miarowe tykanie wskazówki minutowej niczym pulsowanie tętna starego domu. Złapałam go za rękę, oplótł moją dłoń palcami, a potem, przelotnie gładząc mnie po kłykciach, podniósł ją do warg. Zbliżył się i otworzył usta, a ja stałam i z walącym dziko sercem czekałam na to, co powie. Ale nic nie powiedział. Wsadził mi tylko luźny kosmyk za ucho, a kiedy się pochylił, żeby pocałować mnie w policzek, odwróciłam głowę i musnęłam brzeg

moich warg. Kiedy się wyprostował, z oczyma czarnymi w mroku zobaczyłam maleńki szkarłatny ślad w kąciku jego ust. Moja szminka. Wiśniowy karmazyn. Prezent od Margot. Więc jednak go pocałowałam, i to nie od niej.

Tej nocy nic mi się nie śniło. Żadne blade twarze w mroku. Nie widziałam we śnie ani Anny, ani Kita. Po prostu spałam.

Głosy na zewnątrz mojej sypialni. Stłumiony krzyk, potem wrzask. Obudziłam się i przez moment wierciłam na łóżku zdeorientowana. Okna były zaciemnione, nie wiedziałam, czy jest noc czy dzień. Krzyki rozlegały się teraz na schodach, słyszałam pospieszne kroki, tupot stóp za drzwiami. Wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz w spłowiełej piżamie. Przetarłam zaspane oczy i zobaczyłam ochotniczki: przemykały obok w szlafrokach i koszulach nocnych, z lokówkami we włosach. Byłam otumaniona, głowa pękała mi od ginu, oczy miałam opuchnięte. Tarłam je i mrugałam, mrugałam i tarłam, aż w końcu dotarło do mnie, że to nie ja widzę niewyraźnie, tylko kłęby dymu spływają po schodach. Rzuciłam się korytarzem i załomotałam do drzwi pana Riversa.

- Panie Rivers! Danielu! Zbudź się! Pożar!

Nie czekając, aż otworzy, wparowałam do środka. Był już jedną nogą na podłodze i szybko przemknął obok mnie na rojący się od dziewcząt korytarz.

- Na dół! - ryknął. - Wszystkie! Na dwór! Dziewczęta przystanęły i popatrzyły na niego.

- Natychmiast. Wychodzić.

Tym razem nie trzeba im było powtarzać dwa razy. Z trzepotem szlafroków i plaskaniem kapci, pognały w dół schodów i jedna po drugiej wyszły gęsiego przez portyk. Przez ogrom-

ne frontowe drzwi dolatywało ich podekscytowane trajkotanie. Nie poszłam za nimi, tylko ruszyłam na koniec korytarza do wąskich schodów, które prowadziły na poddasze dla służby. Gęsty dym spływał na dół do wielkiego holu. Miałam mglistą świadomość, że pojawił się tam Wrexham i woła pana Riversa, ale głowę zaprzętała mi tylko jedna myśl: altówka. Leżała na górze, osaczona przez ogień. Straciłam już Kita. Anna z Julianem rozplynęli się w milczeniu. Powieść w altówce była wszystkim, co mi zostało. Nie mogłam jej stracić. Słowa ojca nie spala się nieprzeczytane.

Kiedy obaj mężczyźni zastanawiali się, co robić, ruszyłam schodami na poddasze, niezauważona. Dym był tu jeszcze gęstszy i oczy zaszyły mi łzami. Wyciągnęłam z kieszeni brudną chusteczkę, przyłożyłam ją do ust i nosa, i oddychałam chrapliwie, próbując się nie udusić. W jednej chwili całkowicie straciłam orientację. Macałam dokoła w absolutnych ciemnościach, jak ślepiec. Wiedziałam, że muszę iść dalej. Muszę znaleźć altówkę. Słyszałam w głowie jej wołanie. Brzmienie było Margot, ale melodia Anny: *Für Elise*. Muzyka sączyła się wąskim podestem, mieszając z czarnymi kłębam i wyobrażałam sobie, że to ona, nie dym, wypełnia powietrze. Elise. Zawołał mnie ojciec. Zawsze panikował, że straci rękopis. Śmiałyśmy się, gdy pisał przez kalkę i przechowywał kopie w zamkniętej szufladzie biurka, ale miał rację - o, miał rację, a ja go zawiodłam. Elise! Jego głos dochodził coraz wyraźniej. Byłam już blisko, wśród kłębow dymu zamajaczyły drzwi poddasza. Wyciągnęłam dłoń do klamki, ale nagle czyjeś ręce szarpnęły mnie do tyłu. Chwyciły mnie mocne ramiona, uniosły do góry i zostałam przewieszona przez szerokie plecy. Kopałam, wrzeszczałam i łkałam, ale wbrew swojej woli oddalałam się coraz bardziej od drzwi i altówki. Elise. Elise. Wołanie stawało się coraz głośniejsze. Krzy-

czałam i walczyłam, ale nic nie widziałam przez gęsty kopeć. W końcu ktoś położył mnie na ziemi, dym się przerzedził. Usiadłam i zorientowałam się, że jestem w ramionach pana Rivresa.

- Alice - rzucił podniesionym głosem. - Co, u licha, strzeliło ci do głowy?

Twarz miał poczerwieniałą z wściekłości i przerażenia. Odepchnęłam go z całej siły i z powrotem rzuciłam się na schody. Złapał mnie za ramiona.

- Alice! O co chodzi? Co ty wyprawiasz?

- Altówka. - Kaszlałam, krztusiłam się i plućem czarną śliną na podłogę. - Mój ojciec - wydusiłam w końcu. - Jego ostatnia powieść. - Obróciłam się i popatrzyłam w napiętą twarz pana Riversa. - Muszę ją stamtąd wynieść.

Świdrował mnie wzrokiem przez chwilę, potem skinął głową i zniknął. Rzuciłam się za nim, ale pan Wrexham zatarasował mi drogę.

- Miss Land, proszę. Znajdzie ją, jeśli tylko się da.

Przez chwilę rozważałam, czy nie odepchnąć na bok starego kamerdynera, ale tylko oparłam się o ścianę i zsunęłam na podłogę. Usłyszałam bicie kościelnych dzwonów w oddali. Inwazja! Pożar! Pożar! Wyobraziłam sobie, jak mieszkańcy wioski wyskakują z łóżek, gotowi biec na brzeg z bagnetami z mioteł, a tymczasem widzą, że to dwór płonie. Zacisnęłam powieki i modliłam się, żeby wrócił cały i zdrowy.

- Nie może mu się nic stać. Ja powinnam pójść. - Ukryłam twarz w dłoniach.

- Pan dziedzic będzie ostrożny - zapewnił kamerdyner i próbował podnieść mnie na nogi. - Powinniśmy poczekać na dworze. Tu nie jest bezpiecznie.

Wyszarpnęłam się gwałtownie.

- Nigdzie się bez niego nie ruszę. Idź, jeśli chcesz.

Wrexham zakaszłał nie z powodu dymu, a irytacji i usiadł obok mnie. Czekaliśmy całe dni. Lata. Wieki. Potem jeszcze z tysiąc lat. Dym. Wreszcie odgłos kroków. Kaszel, chrypienie. Pan Rivers ni to zbiegł, ni to spadł ze schodów. W ręku trzymał futerał z altówką.

Ogień wygasł, zanim straż pożarna dotarła z Dorchester. Ochotniczki zebrały się w podekscytowanych grupkach na murawie, popijając herbatę w ciemnościach i gawędząc ze strażakami, którzy, skoro ich rutynowe usługi okazały się niepotrzebne, z poświęceniem oddali się kojeniu nerwów panienek.

Zostaliśmy z panem Riversem sami w domu. Opowiedziałam mu o powieści w altówce. Słuchał z czołem zmarszczonym w skupieniu. Trzymałam futerał na kolanach, gładząc zniszczoną skórę. Gdy skończyłam, wziął go ode mnie i popatrzył na mnie pytająco. Kiedy skinęłam głową, zwolnił zatrzask i otworzył pudełko w kształcie trumny. Plik listów poleciał na podłogę i naszym oczom ukazała się altówka z palisandru. Podniósł ją, trzymając ostrożnie jak noworodka, i ważył w dłoniach.

- Więc jest w środku? - spytał.

- Tak.

- I nigdy nie próbowałaś jej wyjąć?

- Myślałam o tym, ale musiałabym rozwalić altówkę.

Zaszyliśmy się w bawialni, owinięci w koce i przez nielegalną dziurę w ekranach zaciemniających obserwowaliśmy, jak świt zakrada się na wzgórze. Pan Rivers nachylił się i pogładził mnie po twarzy.

- Opaliłaś sobie rzęsy - zauważył tonem, w którym pobrzmiwał ślad wyrzutu.

- Odrosną. - Wzruszyłam ramionami i podsunęłam się bliżej niego.
- O czym jest? - Pokazał na altówkę. Uśmiechnęłam się.
- Nie mam pojęcia. Sama często się nad tym zastanawiam. Lubię myśleć, że ma szczęśliwe zakończenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nie żyję tam, gdzie kocham

Nazajutrz te z ochotniczek, które nie miały porannej służby, krzątały się tłumnie, zorganizowane przez panią Ellsworth w oddziały sprzątające. Z pochylonymi głowami słuchały jej połajanek, ale żadna nie chciała wyznać, która zlekceważyła tabliczki upraszające o „niepalenie w sypialniach” i bezmyślnie wrzuciła niedopałek do kosza na śmieci. Z dachu, gdzie Art wisiał na drabinie, próbując zasłonić nową dziurę, dochodził miarowy odgłos uderzeń młotka. Dziewczeta snuły się dokoła w brudnych kombinezonach, taszcząc wiadra z brązową wodą i nieśmiało nuąc pod nosem melodie z zeszłego wieczoru. Cienka warstwa popiołu i sadzy niczym czarny śnieg pokrywała wielki hol, boazerię i lamperie. Obrazy w korytarzu postarzały się o sto lat i patrzyły na nas z wyrzutem. Nie zaproponowałam, że pomogę w sprzątanii, tylko zamknęłam drzwi swojej sypialni i usiadłam za biurkiem.

Od ostatniego wieczoru w Wiedniu trzymałam zazdrośnie w ukryciu powieść Juliana, ale po pożarze postanowiłam powiedzieć o niej Margot. Fakt, że o mały włos nie straciłam altówki, mnie przeraził. Wiedziałam, że nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby powieść zginęła.

Mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro. Wiem, że byłam egoistką, ale jeśli spojrzysz na to uczciwie, przyznasz, że postąpiłabyś tak samo.

Ostatniego dnia przed wyjazdem z Wiednia Julian dał mi spisana przez kalkę kopię swojej ostatniej powieści i ukrył ją we wnętrzu Twojej starej altówki. Przechowałam ją. Nie przeczytałam, słowo. Zawsze myślałam, że sam ją stamtąd wyjmie, odczyta nam nagłos i wszystko będzie po staremu. Anna będzie się śmiała w odpowiednich miejscach, my obie w tych nieodpowiednich, a on będzie sarkał i prychał i nic się nie zmieni.

Jednak wczoraj w nocy wybuchł pożar. Pan Rivers uratował altówkę. Powieść jest nadal w jej wnętrzu. Ale gdyby poszła z dymem, zanim któraś z nas by ją przeczytała, zanim Ty dowiedziałabyś się o jej istnieniu, wiem, że, no, że nigdy byś mi nie wybaczyła.

Mówię Ci więc o niej teraz i mam nadzieję, że nie będziesz bardzo zła. Chciałam mieć coś własnego, tylko dla siebie. Ty masz Roberta, a bez względu na to, co Ci chodzi po głowie, pan Rivers nie jest moim panem Riversem. Proszę, nie odpisuj od razu, tylko odczekaj chwilę i spróbuj zrozumieć.

Zakleiałam kopertę i zniosłam ją na dół, żeby położyć na tacy w korytarzu. Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim list dotrze do Margot. Tygodnie. Miesiące. Być może przyjdzie mi czekać z pół roku na odpowiedź. Bałam się jej gniewu. Nigdy nie wybuchała, tylko chowała urazę. Gdy byłyśmy dziećmi, miała lalkę z prawdziwymi włosami, które ja kiedyś ostrzygłam w przekonaniu, że odrosną. Nie odezwała się do mnie wtedy ani słowem przez bite dwa tygodnie. Kiedy zaczęła dojrzewać, te ciche dni trwały coraz dłużej. Gdy raz ośmieliłam się nazwać

Roberta „miłym młodzieńcem” (co w naszym siostrzanym kodzie oznaczało nudziarza), minęło sześć tygodni, zanim jej cichy gniew opadł. Zgodziła się, żebym była jej druhną, tylko po interwencji Anny. Drżałam na samą myśl, jak długo teraz potrwa jej milczenie.

Pomimo pożaru pojawiały się kolejne dziewczęta ze służby ochotniczej ze skierowaniem do zakwaterowania we dworze. Nie było sensu protestować ani tłumaczyć, że nie mamy ich już gdzie upchnąć. Byle skarga mogła doprowadzić do całkowitej konfiskaty posiadłości, a już doszły nas potworne opowieści od Juno o posągach w Lulcombe pomazanych sprośnymi malunkami, sztukateriach na sufitach zniszczonych przez suchy murz i proch z pistoletów. Stare brzozy w alei ścięto na opał podczas lodowatego stycznia, choć lady Vernon broniła ich ponoć zębami i pazurami. Chodziły nawet słuchy, że może zostać wywłaszczona z wdowiego domu. Więc bez słowa skargi wynieśliśmy meble z jadalni, schowaliśmy je w gwałtownie pustoszejącej piwnicze na wino, a jadalnię zamieniliśmy na prowizoryczną sypialnię. Dziewczęta, które w niej spały, nawet to sobie chwaliły, bo, w przeciwieństwie do pokoiów gościnnych, miała grzejnik.

Latem w całym domu roіło się już od ochotniczek i pani Ellsworth była zmuszona oddać część swojej kuchni ich kucharce, a stary korytarz dla służby zamieniono w kantinę. Przez kilka dni chodziła po całym domu i cmokała z dezaprobatą, zgnębiona.

- Nie wiem już, czy mieszkam w jakimś internacie czy może barakach.

Jednak dziewczęta były tak wesołe i pogodne, że szybko zdobyły sobie sympatię ochmistrzyni: zdradzały jej domowe sposo-

by opatrywania nagniotków albo rozpały w kuchennym piecu o czwartej rano, kiedy szły na poranną zmianę, tak że po raz pierwszy od lat mogła się wylegiwać w łóżku aż do świtu. Pożyczały jej nawet hełm w charakterze czepka kąpielowego. Trzy razy dziennie obserwowaliśmy, jak grupkami maszerują do obozu w Lulcombe na swoją zmianę. Burt zostawiał im w koszach lśniące makrele na dwa tuziny śniadań, a pan Wrexham służył wskazówkami, jak polerować niezliczone pary czarnych butów. Wkrótce całkiem oswoiliśmy się z ich obecnością i nie potrafiliśmy już wyobrazić sobie, że życie może wyglądać inaczej.

Mijały tygodnie, a potem miesiące bez znaku życia od Margot. Każdego ranka i popołudnia sprawdzałam tacę w korytarzu w poszukiwaniu listu. Zaścielały ją stosy korespondencji do ochotniczek, ale do mnie nigdy nic nie przychodziło. Czułam narastający niepokój. Jest zbyt wściekła, by choćby napisać? Karze mnie milczeniem? I nagle, pewnego dnia na początku czerwca, właśnie gdy jaskry zaczynały kwitnąć na łąkach, przyszedł list z Kalifornii. Siedząc na tarasie w porannym słońcu, rozerwałam kopertę i na moment serce zabiło mi nadzieją - nie gniewa się - ale wtedy dostrzegłam datę: 6 marca 1941 roku. Mój list nie mógł dotrzeć do niej, zanim napisała ten. Zamknęłam oczy i zobaczyłam, jak dwa statki mijają się na Atlantyku z naszymi przesyłkami.

Spodziewam się dziecka. Musisz napisać i zaproponować jakieś imiona. Nie mam pojęcia, jak je nazwę, jeśli okaże się chłopcem. Zawsze myślałam, że synowi dam na imię Wolfgang. Ale kiedy straciłam już nadzieję na dziecko, nazwałam psa Wolfie.

Nie mogę znieść tego oddalenia od Was. Zastanawiam się, czy podoba Ci się perspektywa zostania ciocią? Choć

w sumie niewiele to zmieni, bo pewnie przez najbliższe lata nawet nie zobaczysz swojego siostrzeńca. Przepraszam, że snuję takie ponure myśli. Czy też raczej, że przelewam je na papier. Wiem że powinnam zatrzymać je dla siebie, zwłaszcza w oczekiwaniu na to „szczęśliwe wydarzenie”, ale jestem trochę przerażona i nigdy nie myślałam, że w takiej chwili nie będzie przy mnie Anny i teraz...

O, Elise, nawet nie potrafię jej sobie wyobrazić jako babci. Nie jest dość stara. Julian potrafi gderać jak prawdziwy dziadek, ale Anna przypomina bardziej czarodziejską wróżkę niż babcię. Czasami odchodzę od zmysłów, że może nigdy nie zobaczy wnuka i że nie mogę wyobrazić jej sobie jako staruszki, bo... ale nie. Robert powtarza, że nie mogę wygadywać takich rzeczy, bo to szkodzi dziecku, ale jak mam przestać, kiedy lata mijają, a my nie mamy żadnych wieści?

Zatem miałam zostać ciocią. Ogarnęła mnie lekka ekscytacja. Może mogłabym zrobić coś na drutach dla maleństwa - miałam po uszy dziergania skarpet dla żołnierzy. Przypomniałam sobie, jak niedługo po ślubie Margot z Robertem siedziałyśmy z Anną, jedząc śniadanie na balkonie. Widzę tę scenę teraz jak żywą: stół z białym obrusem, garstka okruszków po bułkach, czerwone pelargonie w doniczkach.

- Chłopiec czy dziewczynka, wszystko mi jedno, byleby było muzykalne.

Ściągnęłam brwi urażona i sięgnęła po moją dłoń.

- O, kochanie. Zupełnie nie dbam o twoje uzdolnienia czy ich brak. Po prostu muzyka to jedyne, na czym wyznaje się Margot. Myślę, że dziecku byłoby łatwiej mieć ją za matkę, gdyby także zostało muzykiem. - Posłała mi filuterny uśmiech. - Krnąbrności nauczy się od ciotki.

Milczałam, piłam kawę i wyobrażałam sobie tego wnuka Anny, to dziecko Margot przynależne do ich wielkiej kliki muzyków, połączonych wspólnotą języka, który dla mnie już na zawsze miał pozostać obcy.

Kiedy teraz czytałam list siostry, nic nie było tak, jak sobie wtedy z Anną wyobrażałyśmy. Szczygieł wylądował na ogrodowym murze z rozświetloną słońcem maską jaskrawoczerwonych piór na głowie i zaczął klaskać. Zastanawiałam się, czy dziecko Margot odziedziczyło jej talent czy może będzie podobne do mnie. Wiedziałam, że to nie ma znaczenia. Anna się myliła. Margot nie przeszkadzałoby, nawet gdyby nie cierpiało muzyki. Choć wiedziałam, że i tak pewnie nazwie je Amadeuszem, jeśli okaże się chłopcem, i Konstancją w przypadku dziewczynki.

Pewnego chłodnego popołudnia w początkach października postanowiłam przejść się po klifach. Żniwa i sianokosy już się skończyły i rozkoszowałam się przejściowym okresem spokoju przed początkiem orki. To był jeden z tych dni, kiedy morze walczyło z wiatrem i łomot fal rozbijających się o czarne skały tonał w świcie wichury. Uszy bolały mnie z zimna. Popychana wiatrem zatoczyłam się i zbliżyłam chwiejnie jak pijak do urwiska. Bezpieczniej było bliżej gruntu, więc przykucnęłam, przytrzymując się dla równowagi ostów i głogu. Ziemia pachniała gliną i wrzosem, a w dole białe płachty fal przewalały się przez kamiki, pokrywając je warstwą skłębionej piany. Zaczynało się zmierzchać, a gdy popatrzyłam jeszcze raz na plażę, zobaczyłam pana Riversa na skraju wody.

Zacząłam gramolić się na dół, ale nagle się zawahałam. Długo obserwowałam go z oddali i w końcu zawołałam:

- Panie Rivers! Danielu!

Odwrócił się, pomachał mi i pobiegłam do niego przez plażę, grzęznąc w kamykach. Kiedy się zbliżyłam, zobaczyłam ze zdziwieniem, że ma na sobie nie robocze ubranie, a jeden ze swoich przedwojennych garniturów. Fale obmywały mu półbuty i zmarszczyłam czoło na myśl o marnowaniu dobrej skóry.

- Co robisz? - Chwyciłam go za łokieć i pociągnęłam w stronę brzegu.

- To koniec - oznajmił. Ściągnęłam brwi.

- Jaki koniec? Czego koniec?

- Tyneford. - Twarz miał bladą, ciemne cienie pod oczyma. Między zaciśniętymi palcami trzymał list. - Zajmują dom. Wioskę. Wszystko. Do świąt musimy się wyprowadzić.

Ruszył plażą. Pobiegłam za nim i wyjęłam mu list z dłoni.

Szanowny Panie Rivers

Celem zapewnienia naszym oddziałom najlepszych warunków szkoleniowych siły zbrojne muszą dysponować terenem odpowiednim do ich potrzeb i zapewniającym możliwość używania ostrej amunicji. Względy bezpieczeństwa nakazują wysiedlenie z niego ludności cywilnej.

Z przykrością informujemy, że z dniem 19 grudnia z uwagi na ważny interes narodowy obszar wsi Tyneford przyległością przechodzi w całości na własność armii. Do tego czasu musicie Państwo opuścić swoją nieruchomość. Otrzymacie każdą możliwą pomoc, w tym odszkodowanie finansowe, a w razie potrzeby także lokal zastępczy.

Rząd ma świadomość, że prosi o nie lada poświęcenie, ale

jest pewien, że bez żalu zaoferujecie Państwo tę dodatkową pomoc w celu wygrania wojny.

C. H. Miller, generał dywizji, Administracja Dowództwa Południe

Przeczytałam pismo dwa razy i zwróciłam trzęsącymi się dłońmi panu Riversowi.

- Najpierw doręczyli je mnie - rzucił bezbarwnym głosem. -Dzień wcześniej, przez grzeczność. Reszta mieszkańców wioski otrzyma je jutro.

Zaczełam coś mówić, ale pokręcił głową.

- Nic się nie da zrobić. Rozmawiałem z tym całym generałem. Klamka zapadła. Nieodwołalnie. Teren od East Lulcombe po Kimmeridge ma zostać wysiedlony z ludności cywilnej.

Poczułam, że nogi się pode mną uginają. Łoskot fal pozbawił mnie nagle tchu w płucach.

- Nie - powiedziałam. - Nie.

Kochałam to miejsce. Kochałam jego dzikość i słoną wodę rozbijającą się o skały, i gęgawy wrzeszczące nad głową, i krzewinki zawciągu na szczytach klifów, i żmije wygrzewające się na wrzosowisku, i pieśni rybaków, i tęczowe brzuchy makreli, i cichy kościółek, kochałam widok na Portland we mgle i pogodę zmienną jak opera Mozarta: w jednej chwili słońce i upał, mewy śmieją się w zatoce, a chwilę później deszcz pstrzy fale. Kochałam drewniane kutry rybackie kołyszące się leniwie na falach i przyływ narastający w ciemnościach. Tu też kochałam Kita. Kochałam go, gdy pływał między skałami i podkradał muszle sercówek w rozlewisku i gdy biegał po Flowers Barrow. Tutaj się poznaliśmy i pokochaliśmy. Tutaj trwał w echu morza na brzegu i...

- Jak możemy go opuścić? - spytałam błagalnym tonem.

Pan Rivers westchnął.

- To on odszedł, Alice. Pierwszy nas zostawił. Pokręciłam głową.

- Nie. Kit jest w Tyneford. To jedyne miejsce, które oboje znaleźliśmy.

Te kamienie i to morze były nasze wspólne.

Usiadł na kamieniach i pociągnął mnie za rękę na dół. Przykucnęłam obok.

- W takim razie powinnaś odejść. Oboje powinniśmy. Każde z nas musi zacząć wszystko od nowa gdzieś indziej. Spróbuj znowu posmakować życia. On umarł. My żyjemy. - Objął mnie ramieniem i przycisnął mocno do siebie. - Jesteś młoda, Alice. Powinnaś znaleźć sobie kawalera. Te przekłete ochotniczki mają chłopców na pęczki. Ty też powinnaś.

Zaczełam szlochać, a on delikatnie mnie kołysał.

- Jego życie było tragiczne. Twoje nie powinno.

- Ale ja nie chcę opuszczać tego miejsca. Tej doliny. Zatoki.

-Wytarłam nos w rękaw. - Byłam zagubiona, a tu znalazłam dom.

- Wiem. To miejsce potrafi oczarować. Tu przyszedłem na świat, podobnie jak mój ojciec i dziad. Myślałem, że moje wnuki będą dorastały, bawiąc się w tych lasach. - Westchnął znowu. - Ale wojna wszystko zmieniła. Koniec końców i tak byśmy tych zmian nie uniknęli, tyle że teraz następują jedna po drugiej z nagłością, na którą nie jesteśmy gotowi.

- Zaśmiał się cierpko. - Tak bardzo się baliśmy tej cholernej inwazji, tego, że dom zajmą naziści. Wstąpiłem do oddziałów pomocniczych, na miły Bóg. A inwazja i tak przyszła, tyle że z zupełnie innej strony.

- Nawet twój pistolet, by ich nie zatrzymał.

Oboje zamilkliśmy, wspominając tamtą noc na plaży, kiedy pan Rivers strzelał w pustkę. Podniósł kamyczek z ziemi i posłał go w fale. Złotawy otoczek odbijał się od nich i odbijał, ale

w końcu zapadł się pod powierzchnią szarej wody. Ogarnął mnie smutek, zimny jak październikowe morze.

- Może to i lepiej dla nas. Nie powinniśmy... tak... ty i ja -powiedział, kiedy złożyłam głowę na jego ramieniu. Wzdrygnęłam się, nie wiedząc, czy chodzi mu o gwałcenie konwenansów czy o wspólnotę rozpaczy. - Czasami mam wrażenie - ciągnął - że to będzie prawdziwa ulga odciąć się od tego wszystkiego: tego domu, który Bogiem a prawdą rozpada się na naszych oczach, i tych wspomnień. Tu jest ich wszędzie tyle, że czasami mnie dławia.

Płakałam teraz bezgłośnie i otarł mi łzy kciukiem.

- Nie płacz, Alice. Proszę, nie płacz. Podobno będziemy mogli tu wrócić, kiedy wojna się skończy. Gdy tylko będzie już po wszystkim, przyjedziemy tu. Będziemy żyć po staremu, jeśli zechcesz.

Uśmiechnęłam się i pogłaskałam go po rękę, ale oboje wiedzieliśmy, że to koniec Tyneford.

Czterysta lat z hakiem leżało w pudłach do pakowania. Pani Ellsworth przyjęła wieści dobrze, mocząc łzami tylko jedną chusteczkę. Daniel nie zwolnił służących, mogli zostać przy nim, jeśli chcieli. Art miał się zająć ogrodem, a ochmistrzyni postanowiła dalej prowadzić dom wyeksmitowanemu dziedzicowi - myśl, że mógłby sam gotować sobie jajka, była dla niej zbyt absurdalna. Jednak pan Wrexham odmówił. Wysłuchał nowin na stojąco w bibliotece, nie chcąc ani spocząć, ani napić się brandy. Milczał przez chwilę.

- Bardzo dziękuję za tę wspaniałomyślną propozycję, sir. Ale nie jestem już pierwszej młodości i może nadeszła pora pomyśleć o emeryturze. Mógłbym chyba zamieszkać z bratem

w jakimś spokojnym miejscu nad morzem. - Podeszedł do okna i poprawił szarfę zasłony, która się podwinęła. Kiedy już ją wygładził, odwrócił się z powrotem do pana Riversa. - Czy to już wszystko, sir?

Zachodziłam w głowę, co kazało starymu kamerdynerowi zrezygnować ze służby w rodzinie Riversów. Jakoś nie mogłam uwierzyć, by perspektywa łowienia ryb z Burtem była taka pociągająca. Może nie mógł znieść widoku swego chlebodawcy w niedostatku, albo uznał, że z chwilą wyjazdu pan Rivers przestanie być już dziedzicem Tyneford. A może po prostu w obliczu ostatecznego końca pewnej epoki, który przepowiedział tyle lat wcześniej, postanowił nie trzymać się kurczowo przeszłości, tylko wycofać ze swoją zwykłą godnością. Wymknąć się z naszego życia z taką samą dyskrecją, z jaką zostawiał dżentelmenów nad szklaneczką porto po dobrym obiedzie.

Dom już sprawiał wrażenie porzuconego. W każdym skrzypnięciu parkietu krył się wyrzut, a nocą wiatr wzdychał pod okapami. Za milczącą zgodą pana Wrexhama pani Ellsworth definitywnie przestała pastować podłogi i kłęby kurzu gromadziły się za drzwiami. Uznałam, że lepiej wyjechać - zamiast obserwować powolny proces zniszczenia postępujący z każdym rokiem. Nie będziemy musieli patrzeć, jak rynny odpadają w zachodniej części dachu, a na ich miejsce nie pojawiają się nowe, jak dach facjatki się zapada, suchy mursz pokrywa boazerię i wilgoć zakrada się z piwnicy do wielkiego holu. Zapamiętamy dwór taki, jaki był kiedyś, dumny i pełen blasku, z rozświetlonymi oknami i lampionami migoczącymi na murawie. We wspomnieniach na zawsze już pozostanie wspaniała angielską wiejską rezydencją, czekającą na gości: chrzęst opon na podjeździe, trzask otwieranych przez szoferów drzwiczek, lekki krok dam wkraczających na stopnie w powiewie futer. I zawsze będzie lato, a my będzie-

my popijali herbatę na tarasie wśród zapachu dzwonek ciągnącego się smugą znad lasu Rookery jak dym.

Moja przyszłość była niepewna. Co wieczór po kolacji zaszywałam się z panem Riversem w bibliotece. Na jego biurku stał kalendarz i łypał na mnie złowieszczym okiem. Kolejny dzień minął. I jeszcze jeden. Chciałam położyć go twarzą do dołu na blacie, jakby to mogło wstrzymać czas. Anna i Julian już nigdy nie zobaczą tego miejsca. Ani Margot. Pan Rivers rzucił się w gorączkowy wir przygotowań, miał dom po drugiej stronie zatoki Kimmeridge i doglądał przenosin większości cennych pamiątek i rzeczy: niezliczonych portretów przodków, zdjęć Kita i mniejszych mebli. Wszystko inne miało zostać zniesione do piwnicy i zamknięte.

- Alice, co zamierzasz zrobić? - zapytał, podnosząc wzrok znad biurka. Zawahał się i przełknął ślinę. - Wiesz, że nie możesz pojechać ze mną. Gdzie indziej nie jest tak jak w Tyneford. Ludzie będą gadali. Nie chodzi mi o siebie, o mnie mogą mówić, co im ślina przyniesie na język, ale nie o tobie.

Nie miałam ochoty informować go, że ludzie już gadają.

- Nie martw się - rzuciłam pogodnie. - Dam sobie radę. Mogę pracować na roli. W Worth Matravers jest farma, która cierpi na brak rąk do pracy.

Pan Rivers się skrzywił.

- Tak. Znam ją. Należy do Nigela Loddera. To dobry człowiek. - Popatrzył na mnie ostro. - Najpierw masz się mnie poradzić. Nie chcę, żebyś się zaczęła byle gdzie.

Wzruszyłam ramionami. Wyjeżdżałam z Tyneford, a gdzie, to nie miało już chyba szczególnego znaczenia.

- Zgoda. Ale w niedzielę, gdy będę miała wychodne, musisz zabierać mnie na herbatę.

Spróbował się uśmiechnąć i rzucił bez troskim głosem:

- Ależ tak, naturalnie. Zabiorę cię do hotelu Royal w Dorchester na czerstwe bułeczki z margaryną.

Przygryzłam wargę i odwróciłam wzrok. Próbowałam wyobrazić sobie, jak to będzie, nie widywać go codziennie, nigdy więcej nie wyłapywać z nim okulałych owiec ani nie zasypywać lisich podkopów pod ogrodzeniem. Z nieprzyjemnym skurczem żołądka uświadomiłam sobie, że tę odrobinę szminki, którą malowałam usta co wieczór przed kolacją, nakładałam z myślą o nim. Nie byłam pewna, co mnie bardziej martwi: perspektywa opuszczenia Tyneford czy pana Riversa.

Pewnego dnia zgodziłam się wybrać na piknik z Poppy. Tak naprawdę nie miałam na to specjalnej ochoty, wolałam snuć się z nieszczęśliwą miną po farmie albo wałęsać wśród owiec i użalać nad sobą, ale Poppy naciskała. Sarkając pod nosem zła, że nie da mi cierpieć w spokoju, powlokłam się nad morze. Dzień był pogodny, jesienne słońce migotało na falach, a zwiędłe liście opadały z szelestem na ziemię i udawały tam muszle. Na szczycie wzgórza przycupnęła samotna rybitwa, wypełniając powietrze skomlącym zawodzeniem, a wysoko w górze leciała w zwartym szyku eskadra kormoranów. Nagle jeden oddzielił się od grupy, zanurkował w falach i złapał trzepoczącą rybę. Prychnęłam - trzeba czegoś więcej niż byle dekretu Urzędu ds. Wojny, żeby wygnać z Tyneford wszystkich jego mieszkańców. Szłam po plaży, omijając szerokim łukiem wydmy, gdzie poniewierały się zwoje kolczastego drutu. Kiedy przechodziłam obok betonowych bunkrów wykopanych w klifie, zobaczyłam błysk lornetki i pomachałam ukrytym w środku dziewczętom ze straży ochotniczej. Przeczesałam wzrokiem plażę w poszukiwaniu Poppy. Dostrzegłam ją w końcu tuż za chatką Burta.

Wsadziłam ręce do kieszeni i ruszyłam pospiesznie w jej kierunku. Rozłożyła obszarpany wełniany pled na plaży i postawiła na nim przykryty szmatką kosz piknikowy.

- Cześć - powiedziała. - Mam nadzieję, że jesteś głodna. I spragniona.

Uniosła ściereczkę, ukazując masę przysmaków i, ku mojemu zdumieniu, las butelek piwa. Rozdziawiłam usta z podziwem. Od ponad roku piwo było w Anglii nie do kupienia.

- Skąd, u Boga?

- Od Wrexhama - wyjaśniła z dumnym śmiechem. - Znalazł zapas w piwnicy, kiedy robił miejsce na meble. Z ostatniego warzenia Kita. - Zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem. - Tylko bez sentymentów. Ja je piję. Kit nigdy nie zmarnowałby dobrego piwa.

Wyciągnęłam butelkę z koszyka i zdjęłam zatyczkę.

- Z pewnością.

Trochę zdziwiona zobaczyłam Willa. Zbliżał się do nas nie-śpiesznie z rękami pełnymi wyrzuconego na brzeg drewna. Miał na sobie wojskowy mundur, spodnie podwinięte do kolan i bose stopy. Wyszczrzył się na mój widok, zrzucił polana na stertę i klapnął obok nas na pled.

- Czołem, Alice. Możesz pierwsza nam pogratulować. Właśnie się chajtnęliśmy. To nasze śniadanie weselne.

Poppy posłała mi nieśmiały uśmiech.

- I spodziewam się dziecka. Tak naprawdę właśnie dlatego się pobraliśmy. Will uznał, że tak będzie przyzwoiciej. A teraz, gdy wyjeżdżamy z Tyneford, może to i lepiej - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Ucałowałam ją i przytuliłam mocno, wypuszczając z objęć tylko po to, by ucisnąć dłoń Willowi. Twarze promieniały im radością.

- Tak się cieszę waszym szczęściem. I moim, w końcu zostanę ciotunią dziecka, które już niedługo pojawi się na świecie. Będę je okropnie rozpieszczęła, już teraz wam zapowiadam.

Wzniosłam swoje piwo w toaście. Poppy przemocą wyjęła Willowi butelkę z dłoni i pociągnęła z niej zdrowo.

- Tak. Za nowe początki. Uniosłam brew.

- Na pewno powinnaś? Teraz, gdy jesteś przy nadziei?

- Bzdury - ucięła krótko. - Piwo jest dobre dla dziecka. Popływamy przed posiłkiem?

- Woda jest lodowata.

- Orzeźwiająca.

Już się rozbierała: ściągnęła zrobiony na drutach sweter i wyślizgnęła się z zielonych spodni. Will leżał rozwalony na kocu i przyglądał się temu z cichą aprobatą. Zawahałam się chwilę, potem zaczęłam zdejmować płaszcz i rozpinąć bluzkę. Poppy już pakowała się z pluskiem w fale w szarej bieliźnie popiskując z zimna. Jej skóra miała niebieskobiały odcień rude włosy opadały jaskrawym wodospadem do pasa. Długie kończyny zachowały jeszcze niezdatną dziecięcą chuderlawość, ale usiany piegami brzuch był lekko nabrzmiaty. Zastanawiałam się, czy dziecko, które nosi w łonie, też będzie miało czerwone włosy.

- No chodź - zawołała.

Wbiegłam za nią do morza. Nagłe uderzenie zimna pozbawiło mnie myśli. Poczułam ciarki na skórze i wrzasnęłam. Zanurzyłam się pod powierzchnię, dławiąc się lodem, oczy i usta zalała mi słona woda. Mózg przestał pracować. Trzęsłam się tylko i miałam mdłości z zimna. Oblewająca mnie fala wyrugowała każdą świadomą myśl. Parskałam solą i brnęłam głębiej, na kilka chwil wolna od samej siebie. Potem wynurzyłam się na powierzchnię, z trudem łapiąc powietrze. Poppy chichotała na

plaży, gdy Will wycierał jej siną skórę. Pomachał do mnie, żebym wychodziła. Wypadłam na brzeg, i poszczękując zębami, złapałam ręcznik, który mi rzucił. Pojawił się Burt. Przykucnął przy stercie bierwion i dmuchał delikatnie na palącą się gazetę. Uśmiechnął się od ucha do ucha na mój widok.

- No, to było głupie jak trza - oznajmił.

- Orzeźwiający - sprecyzowałam.

Zachichotał i przysiadł na piętach, kiedy drewno zaczęło skwierczeć i syczeć. Napluł na ręce i wytarł je o spodnie, zostawiając na nich czarną smugę. Wciągnęłam spodnie i sweter i uklękłam przy nim, grzejąc dłonie nad płomieniem. Poppy usadowiła się obok i wręczyła mi kawałek zimnego królika w cieście. Jadłam i gapiałam się w ogień jak zahipnotyzowana. Will i Burt zaczęli nucić starą pieśń: „Śpiewajmy razem dla zabicia czasu... bo me serce jest przy niej, choć nie żyję tam, gdzie kocham”.

Włączyłam się do chóru, lecz nagle urwałam.

- Po raz ostatni pływałam w tej zatoce - stwierdziłam, trącając drewno w ognisku.

- Ino bez takiego głupiego gadania - zarządził Burt, klaszcząc w dłonie. - Kiedy człek je królika i biadoli, kałdun jak raz go rozboli.

Poppy popatrzyła na niego badawczo.

- Nie słyszałam tego wcześniej.

- Ano. Pewnikiem po temu, co właśnie zem go wymyślił. Ale brzmi jak należy.

- Nie wyjeżdżamy daleko - powiedział Will. - A całe to wybrzeże oblewa jedno morze. Wszędzie człowiek najdzie kawałek Tyneford, jeśli się zastanowić.

Poppy wycisnęła mu całusa na czubku nosa i z powrotem rozwalila się na kocu.

- Wiedział żech, co to się zbliża - oznajmił Burt. - Co nas

stamela przepędzom. - Posłał nam skruszony uśmiech. - Po prawdzie to przeze mnie, jeśli chceta wiedzieć. Patrzyliśmy na niego w osłupieniu.

- Ano. Wszystkie gadały o tej tam hin-wazji. Hin-wazja to. Hun-wazja tamto. No. A ja nie życzem se żadnych szkopów hit-lerujących się tu po dolinie. Wienc żem zrobił, co trza było. Po-szłem na wzgórze i chlusłem se zdrowo. Potem żem się rozebrał do rosołu i goły jak świnty turecki chodziłem po tych tam kurhanach i wrzeszczałem do angielskich króli, co w nich spoczywają, że jeśli nie chcom, coby im faszystowskie buciory stukały po czachach, to lepiej niech coś zrobiom. Coby utrzymać z dala tych przeklętych szwabów. Coby Tyneford było wolne. - Urwał i poruszył patykiem w ognisku, aż cynobrowe iskry wzbiły się z niebieskich płomieni. - Ino coś mi się widzi, żem był ciut za skuteczny. Te moje wrzaski, modły i co tam jeszcze, podziałały lepiej, niżem się spodziewał. Królowie z kurhanów nie wpuścili tutaj fryców, ale cosik się zagalopowali i nas także wywalili na zbity pysk. - Kawalek drewna wyleciał z ogniska w snopie iskier i Burt przydepnął go ze złością. - Trza było się trzymać kamieni na czarownicy. Rozwiesić je na kawałku szpagatu stamela aż do Dover. To bych zapobiegło nieprzewidzianym konsykwencjom.

Gapiliśmy się na niego w milczeniu, nawet Poppy ten jeden raz zapomniała języka w buzi.

- No, ludzie z armii gadają, co będziemy mogli wrócić po wojnie. A mi się coś nie widzi, coby ten cały Hitler jeszcze długo wytrzymał. I przy odrobinie próśb i wyrzeczeń, może z małą ofiarą...

Tutaj Poppy się wtrąciła.

- Z ofiarą? Nie patrz na mnie. Burt posłał jej miażdżące spojrzenie.

- Jak ci się zdaje, co teraz mamy? Tysiąc dziewięćset czter-

dziesty pierwszy, nie jakieś tam średniowiecze. I kiepska byłaby z ciebie ofiara w twoim obecnym stanie, moja panno.

Poppy spojrzała na niego spode łba i Burt zachichotał. Przeciągnął się błogo, kości mu zatrzeszczały niczym płonące bierwiona.

- Tak czy siak, trza wierzyć, co wojsko, królowie i kto tam jeszcze pozwolą nam wrócić do Tyneford.

- Tak - powiedziałam, odwracając wzrok. - Trzeba wierzyć.

List od Margot przyszedł pierwszego listopada. To był pierwszy dzień zimy i kiedy odprowadzana krakaniem gawronów wracałam do dworu z farmy, gęsty dym buchał ze strzelistych kominów i mieszał się z chmurami. Wieczór przygasał powoli od szarości do czerni, z mroku dochodziło pobekiwanie owiec na wzgórzu i huk fal rozbijających się o brzeg.

Dom tonął w ciszy. Te z ochotniczek, które nie miały służby, zniknęły na potańcówce w obozie wojskowym i panujący spokój przypominał dawne czasy. Stałam chwilę w wyłożonym boazerią holu, słuchając szurania i stukania kołatka. Zdjęłam rękawiczki, odwinęłam szalik z szyi i byłam już w połowie drogi do drzwi, kiedy zobaczyłam kremową kopertę leżącą na stoliku w holu. Chciałabym móc powiedzieć, że coś mnie tknęło. Że papier oparzył mnie w palce i upuściłam list albo że kiedy po niego sięgałam, rozległo się wycie wiatru i ptak załomotał o szybę, ale nic podobnego nie zaszło. Tego typu rzeczy przydarzają się tylko bohaterkom oper lub powieści gotyckich. Ja poczułam jedynie radość na widok charakteru pisma. Przyjrzałam się stemplowi pocztowemu: San Francisco, wrzesień 1941 roku. Ogarnęło mnie nagłe podekscytowanie i zastanawiałam się, czy Margot urodziła syna czy córkę. Miałam nadzieję, że moja paczka dotarła do niej na czas. Te przyjemne rozważania szybko przerwało nagłe ukłucie niepokoju: a jeśli nadal się na mnie gniewa?

Pobiegłam, nie, poszłam korytarzem dla służby. Ten zapach wilgoci.

Język przylgnął mi się do podniebienia. Otworzyłam usta i zawołałam kamerdynera, ale głos, który się z nich wydobył, brzmiał jak głos obcej osoby.

- Szampana, Wrexham. Szampana.

Pojawił się w drzwiach swojej służbówki i patrzył na mnie zdumiony. Trzymał parę powalanych błotem butów pana Ri-versa i nie zdejmując ze mnie wzroku, postawił je na podłodze. Potem zawiesił spojrzenie na kopercie w mojej dłoni. Tupnęłam nogą.

- Szampana. Potrzebuję cholernego szampana. Wzdrygnął się.

- Tak, miss Land.

- Proszę, przynieś go na górę. Idę przygotować sobie kąpiel.

Woda piszcziała i huczała w rurach, głośno jak lokomotywa. Pieprzyć czarną linię. Pieprzyć oszczędzanie wody. Zamierzałam napełnić nią tę wannę aż po sam brzeg. Taplać się w ukropie i pić szampana, jakbym była w Wiedniu. Usłyszałam sopran Anny dochodzący z pokoju niżej. Musiałam nastawić jej płytę, ale wyleciało mi to z głowy. Mogłam udawać, że to ona śpiewa na żywo tam na dole. Anna. Anna. Przykucnęłam na macie łazienkowej i słuchałam, jak jej głos wzbija się w górę, wypełnia powietrze niczym woń ciepłej czekolady. W dłoni trzymałam list Margot.

Najukochańsza Elise!

Otrzymałam wiadomość od Hildegardy. O, Elise. Anna zmarła w Nowy Rok... Tyfus w getcie... Robert pokazał mi

list dopiero po porodzie... 5 września urodziłam córeczkę. Ważyła pięć funtów dziesięć i ma ciemne włosy jak ty. Dałam jej na imię Juliana na cześć obojga rodziców.

Woda wypełniła wannę po brzegi i przelewała się na zewnątrz po obu stronach. Żarówka zamrugła. Chwyciłam butelkę szampana, zdarłam sreberko i wyciągnęłam palcami korek - wystrzelił jak pocisk przeciwlotniczy i odbił się od lustra, zostawiając ślad na skroplonej parze. Pociągnęłam łyk i zamknęłam oczy. Anna... Tyfus... Juliana... Na cześć obojga rodziców.. Margot wiedziała, że Julian nie żyje. Wiedziała, że nawet jeśli jeszcze oddycha, już jest martwy. Nie potrafił żyć bez Anny. Kochał nas, mnie i Margot, ale Annę najbardziej. Może jeszcze nie umarł, wiedziałam, że czeka gdzieś na śmierć. Zakreśliłam kurki i w pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana tylko pojękiwaniem i bulgotaniem rur.

Najukochańsza Elise... Anna zmarła w Nowy Rok.

Co robiłam w Nowy Rok, kiedy moja matka leżała w agonii? Nawet nie mogłam sobie przypomnieć. Ten dzień przeszedł, nie zostawiwszy w pamięci żadnego śladu, zapomniany na amen. Oparłam się o wannę i pomyślałam o ostatnim wieczorze w Wiedniu - jak siedziałyśmy z mamą i Margot w łazience przed przyjęciem i popijałyśmy szampana w kłębach pary pachnącej różanymi solami do kąpieli. Anna leżała w wannie, śmiejąc się i śpiewając, Margot siedziała rozwalona w jedwabnej halce i paliła, a w drzwiach, niezauważony przez resztę, stał Julian i płakał.

Wzięłam jeszcze jeden łyk zimnego szampana, czując łaskotanie bąbelków na podniebieniu i wróciłam do listu.

Byłam na Ciebie zła z powodu powieści w altówce. Powinnaś była mi powiedzieć. Gdyby coś się z nią stało i nie zdążyłabym jej przeczytać... masz rację, myślę, że bym Ci nie wybaczyła. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Musisz ją wyjąć, przepisać słowo w słowo i mi przysłać. Pierwsze strony nadaj już jutro. Została nam jeszcze jedna rozmowa z tatą, Elise.

Margot wiedziała, że nigdy już nie zobaczymy ojca. Prędzej można było wyobrazić sobie światło dzienne bez słońca niż jego bez Anny. Julian zginie. Pociągnęłam kolejny łyk szampana i powiedziałam do siostry:

- Dobrze, Margot. Wyjmę ją. Ale nie rozumiesz? Dopóki powieść jest w altówce, ta historia jeszcze się nie skończyła. I nie może się skończyć. Nie może.

Zerknęłam w kierunku starego futerału opartego o parapet. Wiedziałam, że muszę go otworzyć. Przyniosłam go do łazienki ze świadomością, że muszę, a jednak dalej siedziałam bez ruchu. Wzięłam solidny łyk szampana, podpełzłam do instrumentu i położyłam go sobie na kolanach. Żałowałam, że nie pamiętam słów modlitwy, najlepiej gdyby to był kadisz, ale tak naprawdę każda by się nadała. Anna wykonywała na dole jedną z arii Violetty z *Traviaty* i dźwięk przesączał się przez podłogowe deski, jakby śpiewała swój własny lament. Otworzyłam futerał i wyciągnęłam altówkę. Listy, które napisałam do Anny i których nigdy nie wysłałam, rozsypały się po wyściółce i w ataku furii cisnęłam nimi przez pokój. Opadły z trzepotem na ziemię niczym gołębie, lądując na podłodze, w umywalni i wannie, gdzie unosiły się na wodzie, wypuszczając czarne rzeki atramentu.

Wzięłam głęboki oddech i zmusiłam dziko bijące serce, by

się uspokoiło. Znalazłam nóż i spróbowałam wsunąć ostrze pod miejsce sklejenia pudła. Klej za mocno trzymał. Zakłęłam pod nosem i wepchnęłam nóż w otwór rezonansowy, zaciskając dłoń na rączce. Rozległ się trzask i płyta wierzchnia się połamała. Mostek odleciał, struny zwisały luźno jak zwichnięte palce. Przez chwilę gapiłam się na rozwalony instrument ze zgrozą, potem chwyciłam pierwszą stronę i przyciągnęłam ją do otworu, próbując wysunąć z altówki tak, by nie podrzeć na rozłupanym drewnie. Wyciągnęłam ją z precyzją chirurga. Przez sekundę siedziałam z kartką na kolanach, zanim spuściłam wzrok, by zacząć czytać. Nic.

Była pusta.

Odwróciłam ją i podniosłam do światła. Ani słowa. Westchnęłam - ojciec musiał włożyć czystą kartkę na wierzch dla ochrony rękopisu. Znowu wsunęłam palce do altówki, chwyciłam kolejną stronicę i wyciągnęłam przez otwór. Przyjrzałam się jej. Pusta.

Nie przejmując się już, czy ich nie porozrywam, wyciągnęłam ze środka cały plik kartek. Podnosiłam każdą po kolei i uważnie oglądałam w poszukiwaniu choćby jednego słowa, najmniejszego śladu brązowego atramentu. Nic. Nic. Ani śladu. Odrzuciłam je na bok i porozlatywały się po łazience, mieszając z listami do Anny. Pomieszczenie tonęło w słowach, ale wszystkie były moje.

Wyciągałam kolejne strony, rozwaliwszy i odsunąwszy na bok umieszczone wewnątrz pudła dusze. Żadna kartka nie była zapisana. Może to skutek słonego powietrza? Albo ojciec przez pomyłkę umieścił w pudle pustą kopię? A może zbyt długo ją w środku trzymałam i atrament wyblakł na amen? Nie. Zamknęłam oczy. Julian już nie żył. Jego słowa zniknęły razem

z nim. Wyobraziłam sobie, jak w chwili jego śmierci ukryty w instrumencie papier pobiełał, słowa zniknęły.

Ale Margot? Ona nigdy nie zrozumie. Będzie przekonana, że to moja wina. Ukradłam jej ostatnią rozmowę z tatą.

Nie założyłam zaciemnienia. Siedziałam w wannie i piłam, i piłam, i gapiłam się na cichy księżyc. Na srebrny sierp. Teatralny. Podobny widywałam w operze, kiedy Anna śpiewała partię Cherubina, Violetty albo Lucii, a ja roniłam gorące łzy dumy i biłam brawo, aż dłonie robiły mi się czerwone i zaczynały szczypać. Woda w wannie parzyła mi skórę. Bolało i uśmiechnęłam się z ulgą, potrzebowałam bólu. Przez alkoholowe otumanienie usłyszałam stukanie do drzwi, głos pani Ellsworth.

- Miss Land? Panienko?

Zamknęłam oczy i zanurzyłam się pod wodę. Gdyby tylko była zimna, mogłaby wyrugować mi myśli jak ostatnia kąpiel w morzu. Mogłabym zrobić się równie pusta jak strony powieści Juliana.

Woda nie była już gorąca, tylko ciepła. Patrzyłam na odłazącą tapetę z wypukłym wzorem i plamę po paście przy umywalce. Skroplona para ściekała po szkle.

Potem woda zrobiła się chłodna. Później zimna.

- Miss Land. Będę bardzo wdzięczny, jeśli otworzy pani drzwi - powiedział pan Wrexham.

- Alice, kochanie - zawołała pani Ellsworth. - Wpuść mnie, proszę.

Nie ruszyłam się, opróżniłam tylko do dna butelkę szampana i jeszcze raz zanurzyłam się pod powierzchnię.

Trzęsłam się w zimnej wannie z kolanami przyciągniętymi do brody. Gdybym tylko mogła płakać. Poczulałabym się lepiej. Walenie do drzwi. Głos pana Riversa.

- Alice. Alice, otwórz te drzwi albo sam wejść.

Nie poruszyłam się. Rozległ się dźwięk klucza wsadzanego do zamka. Drzwi się otworzyły i zamknęły ponownie.

- Alice - powiedział. - Alice? Co się stało, maleńka? Co się wydarzyło?

Siedziałam w wannie i gapiłam się na niego. Wszędzie dokoła walały się kartki. Zaścielały podłogę, wisiały przyklejone do wilgotnych szyb i pływały w wannie razem z moimi mokrymi listami. W rogu leżała połamana altówka. Gdzie nie spojrzeć, papier zaścielał podłogę, poźółkły jak stare kości. Wskazałam list Margot oparty o mydelniczkę.

- Nie żyją. Oboje nie żyją.

Ukląkł przy wannie i zobaczyłam, że oczy ma pełne łez.

- Nie płacz - powiedziałam. - Nie wolno ci płakać. Ja nie mogę, więc ty też nie.

Przełknął ślinę.

- Zgoda. Nie będę.

Wsunął dłoń do wody i się wzdrygnął.

- Zimna. Wyłaż, zanim się przeziębisz.

Siedziałam zupełnie nieruchoma, niezdolna się ruszyć. Patrzył na mnie przez sekundę, potem pochylił się nad wanną, wsunął mi ręce pod ramiona, podniósł mnie i postawił na podłodze. Stałam przed nim naga, nawet nie próbując się zasłonić. Trzęsłam się, ciarki przebiegały mi po skórze, brodawki sutkowe zamieniły się w dwa paciorki. Pod stopami

czułam pogniecione kartki. Popatrzyłam na niego z kamienną twarzą i oddech mu przyspieszył. Pochylił się, żeby podnieść ręcznik, i mi go podał. Kiedy go nie wzięłam, zaczął mnie wycierać.

- Bardzo mi przykro - powiedział. Odsunęłam się.

- Nie. Nie rozumiesz, Danielu? Wszyscy nie żyją. Nie został już nikt, kto by mnie kochał. Nie tak jak Anna mnie kochała. Nie tak jak...

Niewypowiedziane imię Kita zawisło między nami w powietrzu. Świdrowałam go wzrokiem i była to prowokacja. Chciałam, by też na mnie spojrzął. Chciałam, by to powiedział i uratował nas oboje. Wyprostował się i i popatrzył mi w oczy.

- Nie wszyscy, którzy cię kochają, nie żyją.

Leżałam na jego łóżku, gdzie mnie zaniósł, z włosami jeszcze wilgotnymi. Cały pokój nim pachniał. Karafka z czerwonym winem, na wpół opróżniona, stała na toaletce obok zdjęcia roześmianego małego Kita. Marynarka wisiała przerzucona przez oparcie krzesła, a wiatr zawodził przeraźliwie w pustym palenisku. Daniel leżał obok w ubraniu, blisko, ale jeszcze mnie nie dotykał.

- Jestem o wiele, o wiele za stary dla ciebie - wymruczał.

- Tak - zgodziłam się. - Stanowczo za stary. To obsceniczne. Ile masz tych lat? Siedemdziesiąt pięć? Sto?

Roześmiał się, niskim gardłowym chichotem.

- Wystarczająco stary, by mieć więcej rozumu. - Pochylił się, żeby mnie pocałować. - Alice. Elise.

Powstrzymałam go i pokręciłam głową.

- Nie. Elise już nie ma. Przy tobie jestem tylko Alice.

- Dobrze, niech będzie Alice, ale i tak cię pocałuję.

Był drugim mężczyzną, z którym się całowałam. Jego usta smakowały solą i nagle zorientowałam się, że płaczę. Twarz miał mokrą od moich łez, wargi szczypały mnie od soli. Przypomniałam sobie tę wieczerzę sederową sprzed lat i usłyszałam głos Juliana: „Człowiek, który doświadczył wielkiego smutku, a potem poznał jego koniec, budzi się każdego ranka i raduje wschodem słońca”. Ale mój smutek trwał nadal. Czułam, jak zalewa mnie razem z falą rozkoszy i nagle nie mogłam oddychać i wiedziałam, że jeśli Daniel przestanie mnie całować, rozplynie się w nicość, jak powieść w altówce, ale nie przestał. Przesunął palce z moich policzków na piersi i miękką skórę brzucha, a ja rozpięłam mu koszulę pewnymi dłońmi i przycisnęłam wargi do szorstkich siwych włosów. Poczułam jego usta na swoim udzie, a zaraz potem język, delikatny niczym język węża. Zaczęłam dyszeć jak po biegu, gdy rozsunął mi kolana i zatonął we mnie w plątaninie kończyn, miłości i życia. Kiedy się we mnie poruszył, poczułam, jak w piersi narasta mi szloch, i krzyknęłam. Pękłam, a on mnie trzymał. Byłam nowa, ciepła i naga. Leżałam w jego ramionach i nagle pojęłam. Jestem dwiema kobietami i kocham dwóch mężczyzn. Elise będzie zawsze kochała Kita, a Alice kocha Daniela. Nie takiego życia i nie takiej miłości się spodziewałam, jednak była to miłość. Wiedziałam, że musimy wyjechać z Tyneford, ale nie wyjedziemy oddzielnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Powieść w altówce

Koniec końców jestem panią Rivers. Danielową Alice Rivers. Nasza fotografia ślubna stoi u mnie na toaletce obok zdjęcia z Kitem, które zostało zrobione tego lata, gdy się zaręczyliśmy. Jestem szczęśliwa na obu.

Niewiele pamiętam z samego ślubu. Odbył się, zanim wyjechaliśmy z Tyneford, ale nie chciałam wychodzić za mąż w kościele, więc pobraliśmy się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Dorchester. Był wtedy pogodny grudniowy dzień, ziemię zaścielał szron gęsty jak śnieg, a z drzew zwieszały się błyszczące sople. Miałam na sobie perły Anny, a pani Ellsworth zrobiła mi zielony bukiet z gałązek ogrodowych krzewów. Czekaliśmy z Danielem na swoją kolej w ogonku na wyłożonym linoleum korytarzu wśród żołnierzy i ich ukochanych. Nie zaprosiliśmy żadnych gości. Naszymi świadkami byli jakiś młody porucznik i jego oblubienica. Zapomniałam już, jak się nazywali. Śniadanie weselne zjedliśmy w kuchni w Tyneford, Wrexham nalegał, by podać nam omlet ze szparagami z puszki w swoich białych bawełnianych rękawiczkach, a pani Ellsworth ocierała oczy chusteczką. Poczęstowaliśmy szampanem ochotniczki Żeńskiej Służby Pomocniczej Lotnictwa Królewskiego, ale ja nie piłam, bo musujący trunek przypominał mi o Annie.

Jedyną chmurą na horyzoncie była Margot. Nie odpowie-

działa na mój telegram. Nie nadała depeszy, nie napisała listu. Wiedziałam, że wini mnie za puste strony powieści. Przez trzy kolejne lata słałam jej długie epistoły i prezenty dla dziecka, błagając, by zrozumiała, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Po wojnie wszystkie moje listy wróciły z pieczętką „adresat nieznany” i przestałam pisać.

W ciągu tych wszystkich lat miałam tyle czasu, by myśleć o tym, co między nami zaszło. Początkowo wierzyłam, że jest zła i nie potrafi mi wybaczyć. Kiedy przestałyśmy ze sobą korespondować, coraz bardziej się oddalałyśmy. Rozmowa utknęła w martwym punkcie i po jakimś czasie żadna z nas nie wiedziała, jak rozpocząć ją na nowo. Mimo to zastanawiałam się, czy za tym milczeniem nie kryje się coś jeszcze. Straciłyśmy bezpowrotnie niemal każdą część dawnego życia. Ja stałam się Alice i podejrzewam, że Margot podobnie - stała się jakąś inną wersją samej siebie. Byłyśmy jedynym, co nas łączyło z utraconym domem rodzinnym, i po prostu łatwiej było zapomnieć, zagrzebać przeszłość w milczeniu i i zająć się terażniejszością. Ale często myślałam o Margot. Nie mogłam jeść jej ulubionych kremów różanych ani słuchać symfonii na altówkę i orkiestrę Berlioza. I, w miarę jak się starzałam, coraz częściej myślałam o swojej siostrzenicy, Julianie.

Zawsze miałam nadzieję, że będziemy mogli kiedyś wrócić do Tyneford, i rzeczywiście, wiele lat później pojechaliśmy tam jeden, ostatni raz. Minister obrony uznał te tereny za kluczowe dla potrzeb szkoleniowych sił zbrojnych i poinformował, że wojsko wykupuje przymusowo całą posiadłość. Majątek nie miał już nigdy należeć do rodziny Riversów, nawet z nazwy. Pojechaliśmy tam któregoś popołudnia na początku marca 1963 roku. Od wschodu wiał lekki wiatr, a widok na zatokę zasłaniała cienka ściana mżawki. Cieszyłam się, że pada. Nie byłam pewna, czy zniosłabym widok błyszczącego w słońcu dworu. Zaparkowaliśmy samochód w pewnej odległości na zwirowej teraz

drodze i ostatnią milę do wioski pokonaliśmy na piechotę. Z początku nie widziałam żadnych domów, drzewa podkradły się do przodu i otuliły je masą wiosennej zieleni, jakby chciały wciągnąć głęboko, głęboko w las. Chatki stały schowane wśród białych brzoź, leszczyn i splątanych krzaków tarniny jak na ilustracjach z baśni. Wszystko było zielone - sprężysty mech czepiający się konarów, jaskrawe porosty na korze i cienie liści na kamiennych ścianach. Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy, że dachy się pozapadały, drewniane podesty piętra przegniły, gałązki bluszczu wyglądają przez szpary w zaprawie, a między kamiennymi płytami podłogi trzęsą się niezapominajki. Ściany znaczyły dziury po kulach, niektóre z tkwiących w nich pocisków zardzewiały i krwawiły na deszczu, zostawiając brązowoczerwone zacieki.

Z wioski poszliśmy do dworu. Wojsko rozebrało tudoriańskie skrzydło kilka lat wcześniej i teraz dom stał na wpół obnażony, z gołymi belkami wystawionymi na widok publiczny jak żebra. Ruszyliśmy do środka: drzwi dawno wyrwano z zawiasów. Korytarz nie był zabezpieczony dachem, i deszcz padał na kamienną posadzkę, parkiet został wiele lat temu zdarty przez amerykańskich żołnierzy i wysłany morzem do Ameryki. Bawialnią cuchnęła lisami i zobaczyłam, że jeden z nich zaadaptował sobie na norę wielki kominek. Nie zauważył nas i dalej drzemał, szkarłatna kita wystawała spomiędzy porozrzucanych kominkowych akcesoriów. Trzymając się za ręce, poszliśmy z Danielem na taras i popatrzeliśmy na miejsce, gdzie kiedyś znajdował się ogród. Zostały z niego tylko kamienne schody prowadzące na murawę. Ona sama zmieniła się w łąkę, a przez rabaty z lawendą i tymiankiem przedzierały się chwasty. I nagle słońce wymknęło się chyłkiem zza chmury, skapało doli-

nę w bladym świetle, odbijając się od złotych mleczy i rudego skrzydła kani. Śpiew gajówki zakłócił ciszę i w bladych promieniach dostrzegłam kępki żółtych pierwiosnków, nakrapiające ścieżkę na Flowers Barrow.

W ciszy zeszliśmy nad zatokę, przeczesując wzrokiem plażę w poszukiwaniu chatki Burta. Zdażyła się rozpaść z kretesem, co mniejszy budulec zabrały fale przyływu i pozostał tylko zwałony stos brązowo-białych kamieni. Na falach nie było widać żadnych łodzi, ale mewy wrzeszczały i czarny kormoran brodził w wodzie, polując na ryby. Kiedy słońce zatoneło w morzu i zmierzch nadciągnął nad wzgórza, opuściliśmy plażę i wróciliśmy do samochodu, świadomi, że naruszyliśmy spokój tego miejsca. Nie należało już do ludzi.

Później, jesienią 1984 roku, odbyłam kolejną podróż do domu. Staliśmy w rozgardiaszu wiedeńskiego Westbahnhof, poszturchiwani walizkami, wśród echa pożegnań innych ludzi. Daniel wziął mnie za rękę.

- Wszystko dobrze, kochanie? Może przynieść ci trochę wody?

Pokręciłam głową i złapałam się jego ramienia. Popatrzyłam na dworcowy zegar. Jedenasta pięćdziesiąt dziewięć. Pociąg miał przyjechać za minutę - przynajmniej w Austrii jeździły punktualnie, zgodnie z rozkładem. Nie zniosłabym nawet sekundy spóźnienia. Serce waliło mi jak oszalałe i oddychałam z trudem. Jeszcze mocniej zacisnęłam dłoń na futerale altówki. Punkt dwunasta. Rozległ się pisk i stukot zatrzymującego się na peronie składu. Potem z łoskotem otworzyły się drzwi. Podawano bagaże i zaraz lawina podróżnych ruszyła w nasz naszym kierunku. Wspinając się na palce, przeczesywałam tłum w poszukiwaniu

szczupłej dziewczyny z blond włosami, na pewno bardzo elegancko ubranej. Dokoła mnie przepływali ludzie i obracałam się na wszystkie strony i gapiłam, ale nigdzie jej nie było. Tłum się przeredził i stłumiłam łkanie. Jak mogła się spóźnić na pociąg? Jak mogła?

- Elise.

Odwróciłam się na pięcie. Zamiast dwudziestolatki ujrzałam przed sobą siwowłosą panią. Ale zielone oczy się nie zmieniły. Uśmiechnęła się i zrobiłam krok do przodu, prosto w jej objęcia, dzieliła nas jedynie altówka w futerale.

- Margot. Margot - tylko tyle byłam w stanie wydusić przez minutę czy dwie. - Zapomniałam. Minęło tyle czasu. Szukałam młodej dziewczyny.

Zaśmiała się.

- Uważaj, bo pożałuję, że nie ufarbowałam włosów. - Przyjrzała mi się badawczo tym swoim dawnym spojrzeniem, z głową przechyloną na bok.

- Nic się nie zmieniłaś.

Zarumieniłam się jak dziewiętnastolatka.

- No tak, cóż, ale przez jakiś czas byłam szczuplejsza. Roześmiała się.

- Nie do tego piłam.

Miałyśmy sobie tyle do powiedzenia, ale tak dawno tego nie robiłyśmy, że zwykła pogawędka szła jak po grudzie. Wyraziłam zachwyt dla jej broszki, jej spodobał się mój pierścionek. Rozmawiałyśmy po angielsku i w duchu nie mogłam wyjść z podziwu nad jej amerykańskim akcentem, wytwornym brzmieniem samogłosek. Nasi mężowie tymczasem przedstawili się sobie i omawiali pogodę oraz niedogodności zagranicznych podróży. Po kilku minutach Margot spytała:

- Czy to jest ta altówka? Skinęłam głową, w ustach mi zaschło.

- Tak. Kazałam ją naprawić i wymieniłam struny.

Podaliśmy jej instrument i wzięła go w milczeniu. Chrząknęła i otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Nagle dokoła zrobiło się bardzo cicho, jakby cały dworzec zamarł i stałyśmy z Margot same na dwunastym peronie.

Z zewnątrz Opera wyglądała niemal tak samo jak kiedyś: wyspa światła pośrodku Ringstrasse. Panowie w czarnych smokingach i panie w długich sukniach wlewali się tłumnie po schodach. Sznur lampionów połyskiwał nad brązowymi posągami zastygłymi w bezruchu w loggii pierwszego piętra, światło rozlewało się nad nimi niczym aureole. Jeszcze wyżej para skrzydlatych koni stała dęba z odrzuconymi do tyłu łbami i rozwianymi grzywami z metalu. Posuwaliśmy się z Danielem powoli, wchłonięci przez tłum, i wsłuchiwałam się w niegdyś tak znajomy poszum rozmów, pełen podekscytowania gwar wieczoru premiery. Tak często przychodziłam tu kiedyś z Anną, Julianem i trzem ciotek: Gretta panikowała, że zapomniała zabrać z domu lornetkę teatralną i nie będzie mogła obserwować znajomych (uwielbiała zdawać Annie szczegółowe raporty z reakcji publiczności, każde pojedyncze ziewnięcie na balkonie było skrzętnie odnotowywane i zgłaszane). Gerda zwykle nas pospieszała, płacząc się w trenach swoich staromodnych spódnic. Biedna Margot była zawsze cicha i trochę blada, zbyt dobrze rozumiała zdenerwowanie matki. Julian i ja przeciwnie: jako niemuzycy sami nigdy nie doświadczyliśmy scenicznej tremy i tylko kipieliśmy z dumy. Anna będzie śpiewać! Nasza Anna. Ale to było wiele lat temu i nie śpiewała już tutaj od dawna. Zerkałam na siwe głowy w tłumie i zastanawiałam się, czy któraś ją jeszcze pamięta.

Staliśmy z Danielem na zewnątrz w chłodzie loggii. On zachwycał się freskami ze scenami z *Czarodziejskiego fletu*, a ja słuchałam koncertu samochodowych klaksonów dochodzącego z ulicy. Oboje byliśmy tu obcy. Moją ojczyzną był Wiedeń z 1938 roku, a nie to jazgotliwe nowoczesne miasto. Z ulgą rozmawiałam po angielsku. Nie chciałam, by kelnerzy czy *maitre d'hôtel* szydzili z mojej muzealnej niemczyzny. Daniel wyczuł mój opór i to on podał taksówkarzowi nazwę hotelu i zamówił *linzertor-te* i kawę. Mogłam skryć się za maską brytyjskiej turystki, Angielki zdolnej tylko się jąkać i uśmiechać, nierozumiejącej ani słowa.

Obserwowałam tłum i wreszcie dostrzegłam Margot i Roberta. Podeszli do nas, mężczyźni wymienili uprzejmości, a ja przyglądałam się siostrze, milczącej i trochę bladej. Nasze spojrzenia się spotkały i uśmiechnęła się. Rozbrzmiał dzwonek wzywający publiczność do zajęcia miejsc i nagle cała nasza czwórka siedziała już na sali. Zorientowałam się, że drzę, Daniel ścisnął mi dłoń. To nie była opera, a pałac, świątynia muzyki - szkarłatno-złota i przepełniona światłem. Rozległy się kasznięcia, chrząkanie i publiczność się uciszyła. Wierciłam się na miejscu i wachlowałam programem, niemal słysząc, jak Gretta syczy z dezaprobatą. Światła przygasły i teatr wypełnił się znajomymi twarzami. Tam w loży przy scenie kokosi się Herr Finkelstein, ciągle podekscytowany faktem, że został wzięty za łysiejącego barona, Frau Goldschmidt, spływa potem w grubym futrze, ale wzdraga się porzucić je na niepewny los w szatni, i w końcu Julian: siedzi pochylony do przodu, zasłuchany. Niemal nie oddycha, napięty z oczekiwania. Powitaliśmy brawami dyrygenta, a potem na scenę wyszedł mały Jan Tibor. Tyle że nie był już małym Janem. Ani urojeniem czy figlem wyobraźni, a drobnym siwowłosym mężczyzną z tą wymuszającą ciszę aurą władzy,

właściwą dyktatorom, treserom lwów i dyrygentom. Przywołuje skinieniem solistkę i na scenę wkracza Anna. Wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ją widziałam po raz ostatni - piękna czterdziestopięcioletnia kobieta z altówką w ręku. To nie Anna. Tylko moja siostrzenica, Juliana.

Zerkam na program rozłożony na kolanach.

Światowa premiera.

Powieść w altówce: koncert D-moll na altówkę i orkiestrę. Muzyka: Jan Tibor Dyryguje: Jan Tibor Altówka: Juliana Miller

Ta muzyka należy do mojej rodziny. Mały Jan Tibor, który ongiś karmił sałatą żółwia i grał salonowe koncerty dla ciotecznych babek, sprawiając, że pianino Anny śpiewało i płakało poruszone pięknem własnego brzmienia, skomponował ją dla nas. Robię wdech razem z orkiestrą i świat zamiera na przedtackie: potem batuta tnie ostro powietrze i dźwięki zaczynają wirować. Zielone i niebieskie fale smyczków narastają i wirują. Głos fletu, klarowny jak strużka wody, rozbrzmiewa echem w głębszym potoku wiolonczeli i nagle, wreszcie, odzywa się altówka Juliany, brzmieniem głębokim, mocnym i słodkim jak wino z miodem. Jej głos wypełnia mi uszy i płuca. *Allegro* przechodzi w walc i nagle tańczę na balu w Operze z Kitem, a Anna śpiewa i kręci mi się w głowie od szampana i słyszę brzęk tłuczonego szkła. Jan dyryguje orkiestrą z pełną napięcia furją, wyciągając od muzyków wznoszący się kalejdoskop dźwięków, Juliana prowadzi smyczek coraz wyżej i wyżej i nagle, na skraju przepaści, Jan wstrzymuje ich jednym machnięciem palca i uspokaja smyczki, wprowadzając je w ciche jak westchnienie *diminuendo*.

Teraz powolne poruszenie. Publiczność czeka. To tego tu przyszli posłuchać. Juliana odkłada stradivariususa i bierze do ręki małą altówkę z drzewa różanego. Zgromadzeni przyglądają się badawczo tym skrzypkom - widać zbiorowe marszczenie nosów. Instrument pasowałby bardziej do szkolnej salki albo metra niż wspaniałej opery. Jan wznosi batutę i opuszcza ją gwałtownie i się zaczyna: melodia stłumiona i dziwna, pieśń pustej strony.

Biorę siostrę za rękę i słucham, jak jej córka wyczarowuje muzykę ze strun. Śpiewa o powieści ukrytej w altówce i niespisanej nigdy historii. Tylko ja wiem, że jej stronice nie są już puste. Wysuszyłam je i zanim zamknęłam z powrotem we wnętrzu instrumentu, zappełniłam jedna po drugiej swoją opowieścią. Są pokryte słowami, a powieść w altówce jest teraz palimpsestem. Po dzisiejszym koncercie zapiszę ostatnią kartkę i wsunę ją do pudła.

Gdzieś wskazówki zegara się cofają i północ nigdy nie wybija. Juliana gra i gra, a czas i wydarzenia nakładają się na siebie. Burt łowi ryby z *Lugiera* w Dunaju o świcie, pani Ellsworth i Hildegarda pieką razem pasztet z dziczyzny w małej kuchni naszego starego mieszkania. A ja zawsze kocham dwóch mężczyzn.

Dziś wieczorem będę śniła o Tyneford. Kiedy położę się spać, zobaczę dom taki, jakim go ujrzałam tego pierwszego lata. Krzaki dzikich róż splecione przy tylnych drzwiach. Koń na dziedzińcu stajennym. Rusza i rusza pyskiem. Zapach magnolii i soli. A potem wejść do swojego snu. I znowu będę Elise. Alice odpoczywa i wszyscy żyją. Ręce mam białe i gładkie, nienaznaczone różami starości. Stoję na murawie i słucham wołania morza, odgłosu silników łodzi. Biegnę na plażę. Stopy grzęzną mi w kamieniach, fale obmywają brzeg. Słońce świeci i jest tam jeszcze jakiś młodzieniec. Angielski chłopiec-mężczyzna. Stoi w białej fali. Czeka na mnie. Uśmiecha się, zawsze się uśmiecha, i czeka, żeby mnie pocałować. Czuję rozprysk słonej wody na języku. Smak łez i zamorskiej plazy. A dookoła łoskot morza.

Od autorki

Tyneford jest wzorowane na wiosce Tyneham położonej na wybrzeżu Dorset. Ludzie mieszkali w Tyneham i Worbarrow Bay od ponad tysiąca lat, ale nawet w latach trzydziestych XX wieku było to miejsce mało dostępne i tajemnicze, oddalone od głównych szlaków i stacji kolejowych, z drózkami odseparowanymi od świata zewnętrznego szeregiem drewnianych bram. Elżbie-tański dworek uchodził za jedną z najpiękniejszych angielskich rezydencji: perłę architektury wyciosaną ze złotego wapienia z wyspy Purbeck. Życie w dolinie toczyło się niezmiennym torem od stuleci: mężczyźni łowili makrele w zatoce, kobiety pracowały na polu albo na dworze od kilkuset lat należącym do rodziny Bondów.

I nagle, w czasie II wojny światowej, wszystko się zmieniło. Urząd ds. Wojny zarekwirował całą posiadłość. 16 listopada 1943 roku mieszkańcy wioski otrzymali pismo z informacją, że mają miesiąc na opuszczenie swoich domów. Większość zakładała, że wrócą do nich po Bożym Narodzeniu, i wysiała nawet warzywa w przydomowych ogródkach. Churchill obiecał, że wojskowa okupacja potrwa w najgorszym razie do zakończenia wojny. Przed wyprowadzką mieszkańcy wioski przypięli na drzwiach kościoła apel do żołnierzy:

„Prosimy, opiekujcie się naszym kościołem i zabudowaniami. W domach, które wam oddaliśmy, żeby pomóc w wygraniu

wojny i zachowaniu wolności, wielu z nas mieszkało od pokoleń. Pewnego dnia wrócimy tu i podziękujemy wam za uszanowanie naszej wioski".

Żołnierze (brytyjscy i amerykańscy) jej nie uszanowali. Zamienili domki na strzelnicze tarcze, dziurawiąc ściany i roztrzaskując szyby. Stare lipy z alei zostały ścięte, a w średniowiecznym skrzydle dworu wybuchł pożar. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy wojna się skończyła, Churchill nie dotrzymał obietnicy: wioski nie zwrócono mieszkańcom, przeszła na zawsze pod zarząd armii. Ludzie nigdy nie wrócili do swoich gospodarstw, ich domy obróciły się w perzynę. Elżbietański dwór został częściowo zburzony w latach sześćdziesiątych i nadal znajduje się na terenie wojskowym o ograniczonym dostępie, z dala od ciekawskich oczu.

Tyneham jest teraz „wymarłą wioską”. Wojsko zezwala okresowo na wstęp do niektórych jej części i to dziwne, przygnębiające miejsce nawiedzało moje myśli od dzieciństwa. Zawsze chciałam wypełnić je na powrót ludźmi i ukazać takim, jakie kiedyś było. Choć wiele pojawiających się na kartach tej powieści miejsc jest prawdziwych, zaludniają ją postaci są tworamii mojej wyobraźni - która jednak wiele zawdzięcza elegijnej opowieści Lilian Bond o dzieciństwie spędzonym we dworze.

Pomimo swych smutnych dziejów Tyneham jest miejscem wyjątkowym. Większość wiosek i miasteczek na wybrzeżu Dorset nosi już piętno nowoczesnego życia, krajobraz w okolicach Tyneham pozostaje jednak niezmienny. Tamtejsze ziemie nigdy nie były poddane metodom intensywnej uprawy roli, ani podczas kampanii „kop dla Wielkiej Brytanii”, ani później, i zachowały wygląd z lat czterdziestych z małymi, obsadzonymi żywopłotami polami. Z zabudowań zostały tylko ruiny, ale pod wieloma względami wojskowa okupacja, która je zniszczyła

paradoksalnie pomogła w zachowaniu okolicy. W pewne deszczowe sierpniowe popołudnie widziałam tam sokoła wędrownego i słowika oraz niezliczoną ilość dzikich kwiatów. Ziemia, porzucona przez ludzi, została przejęta przez naturę.

Inspiracją do postaci Elise Landau była moja cioteczna babka Gabi Landau, która z pomocą mojej babki Margot, zdołała uciec z Europy, przyjmując w latach trzydziestych posadę piastunki u pewnej angielskiej rodziny. Wiele młodych dziewcząt z zamożnych mieszczańskich domów wyemigrowało w ten sposób dzięki „wizom dla służby” - zamieniając wygodne, opływające w dostatki życie na ciężki los angielskich służących. Tak jak Elise, Gabi rozpaczliwie tęskniła za domem i swoją siostrą Gerdą, która wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Nie widziały się trzydzieści lat, a kiedy doszło w końcu do spotkania - w porcie w Liverpoolu - nie rozpoznały się.